



MAGDALENA
KNEDLER

NIC OPRÓCZ STRACHU

NIC OPRÓCZ STRACHU

MAGDALENA
KNEDLER

NIC OPRÓCZ STRACHU



Copyright © Magdalena Knedler-Zajęc, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek
Redakcja: Kinga Gąska
Korekta: Magdalena Owczarzak
Projekt okładki: Magdalena Zawadzka
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia na okładce: lenaer/Shutterstock.com
Mapics/Shutterstock.com

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-362-7

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

CZEŚĆ I

Darmowe eBooki: www.eBook4me.pl

Dziewczyna była brzydka. Nigdy mu się nie podobała. Źle, że akurat na nią padło. Mógł zacząć lepiej, efektowniej. Zacząć? Czy to był rzeczywiście początek? Spojrzał na dziewczynę i żołądek podszedł mu do gardła. Szeroko otwarte oczy, zsiniałe wargi, porwana bluzka, nienaturalnie rozrzucone ręce. Jak w filmie. Ale ona nie znajdowała się za szklanym ekranem, tylko leżała na dywanie, jeszcze ciepła. Wpatrywał się w nią intensywnie. Mógłby przysiąc, że za sekundę uniesie się klatka piersiowa, rozchylą nozdrza, zamrugają powieki. Przez chwilę czuł się nawet zupełnie spokojny, miał ochotę powiedzieć jej, by przestała się wyglupiać. Nigdy zresztą nie wydawała się zbyt mądra, mówiła nie to, co powinna.

Jak przed chwilą. Mogła siedzieć cicho i wtedy nic by się nie stało.

A stało się. Zrozumiał to wreszcie, wstał z kolan. Otrząpiał spodnie, jak gdyby teraz schludny wygląd był najważniejszą rzeczą na świecie. Odsunął się od dziewczyny i przyłgnął plecami do ściany. Jego dłoń powędrowała w bok, w poszukiwaniu klamki.

Za chwilę korytarz, czerwone światła, muzyka gdzieś w tle. Jego kroki, echo, pojękiwania, nawet krzyki. Dawno już przestał się przejmować. Teraz jednak... Coś musiał zrobić. Schody, drzwi, kolejne drzwi, jakieś „dokąd idziesz, przecież...”, które wybrzmiało za jego plecami. Przecież co? Przecież ona tam leżała. Zupełnie bez sensu. Nie pasowała — do niczego nie pasowała. Jej czarne włosy, szerokie biodra, pospolita twarz, złote zęby. To przykre, że tacy ludzie chodzą po świecie. Co czują, kiedy patrzą w lustro? On, gdyby był tak brzydki jak ta dziewczyna, z pewnością stawalby przed lustrem z zamkniętymi oczami i nadzieją kryjącą się pod powiekami. Że coś się wreszcie wydarzy i zwierciadło zmieni zdanie. Pokaże inną twarz. Piękną. Później nadeszłoby rozzarowanie, że znowu te bruzdy wokół ust, opadnięte kąciki oczu, pierwsze siwe włosy na skroniach. Na szczęście on nie miał takich problemów. Lustro było mu przyjacielem.

Ostatnie drzwi, ciemna uliczka, chodnik wilgotny od deszczu. Telefon, głos w słuchawce. Piękny, oczywiście.

Nie lubił, kiedy mu przerywano. Ten chłopak stawał się irytujący, nie znał umiaru. Pewnego dnia mógł okazać się również niebezpieczny. Wszystko już wiedział, potrzebował jedynie motywacji. A teraz zrobił to.

Idiota.

Dziewczyna na sofie chichotała, szampan już się schłodził. Wszystko było idealnie przygotowane. Ta tutaj podobała mu się najbardziej. Pasowała doskonale, o wiele lepiej niż poprzednie. A jednak telefon, idiota i martwa brzydula. Westchnął. Dziewczyna położyła dłoń na jego ramieniu. Uśmiech, błysk białych zębów, czerwień pełnych warg. Tak, pasowała idealnie. To nie mogło się skończyć niezgodnie z planem.

Rzucił telefon na stolik i chwycił dziewczynę za nadgarstki. Była zadowolona, sama tutaj przysła. Zawsze przychodziły same, nic na siłę. Przemoc była taka brzydka. Idiota i jego maskara będą musieli poczekać. Najpierw przyjemności. Mocniej zacisnął palce na nadgarstkach dziewczyny. Uśmiech zgasł na jej twarzy. Teraz podobała mu się jeszcze bardziej. Ta niepewność, błysk niepokoju w oczach, o ton bledsza cera.

Piękna.

Jeszcze piękniejsza wtedy, gdy osunęła się na ziemię i zastygła w bezruchu. Ruch deformuje sylwetkę, zniekształca obraz. Nie pozwala delectować się pięknem proporcji i harmonią rysów. Prawdziwe dzieło sztuki nie może pozostawać w ruchu.

Ani żyć.

YSTAD — MALMÖ

Rozdział 1

Anna czuła ból w klatce piersiowej. Wokół latały rozżarzone drobinki, a Vidar mówił tak niewyraźnie, że nie potrafiła zrozumieć ani jednego słowa. Samochód płonął. Musiała coś zrobić. Każdy ruch sprawiał jej ból. On za to nie ruszał się w ogóle. Dlaczego? Szarpnęła Vidara za ramię, krzyczała na niego, płakała. Gdzie się podział tamten samochód? Annę i Vidara otaczał las. Płonące auto wydawało się pojedynczą roziskrzoną kropką na ciemnym tle. Wiedziała, że nikt tutaj nie usłyszy jej wołania. A jednak krzyczała nadal, głośno, aż zanosła się kaszlem. Chwyła Vidara za ramiona i przeciągnęła dalej o kolejne kilka metrów. Nie miała siły, a on nie chciał jej pomóc. Mamrotał nadal, bez ładu i składu. Anna wciąż czuła ból w klatce piersiowej, a chodzenie sprawiało jej kłopot. Prawdopodobnie miała połamane żebra i skręconą nogę w kostce. Zaciśnęła zęby.

Oparła Vidara plecami o drzewo. Nie wiedziała, dlaczego, ale nie mogła na niego patrzeć. Nie potrafiła dłużej słuchać tego szeptania. Bała się jego bierności. Pokuściła na środek szosy i zawahała się. Dokąd teraz? Z powrotem do Ystad czy w stronę wydm, do domu? Do domu miała bliżej, ale przecież tam nikogo nie było.

Podniosła z ziemi długi kij, na którym się wsparła. Ból nasilał się z każdą sekundą. Mimo to ruszyła przed siebie. Starła się nie myśleć o tym, jak bardzo przerażała ją perspektywa samotnego spaceru przez las i pozostawienia Vidara tutaj, nieopodal płonącego auta.

A tamten drugi samochód...? Jak daleko odjechał?

Anna doskonale wiedziała, że to, co się wydarzyło, nie było przypadkowe.

Ingvar Frisk przyglądał jej się z uwagą. Milczał. Anna potrząsnęła głową i przykryła oczy. Nie była już w tamtym lesie. Nie widziała płomieni, nie czuła bólu. Nie było tutaj też Vidara, jej męża. Obok Anny stał zupełnie inny mężczyzna, który doskonale wiedział, o czym teraz myśli. Otworzyła oczy i zerknęła na niego. Ingvar przypominał bardziej Włocha niż Szweda. Miał ciemną karnację, czarne włosy i oczy. Anna uśmiechnęła się mimowolnie. Zawsze lubiła na niego patrzeć, teraz jednak szybko przywołała się do porządku. Wbiła wzrok w skupisko kamieni. Przyjechała tutaj po raz pierwszy od dawna, a przecież kiedyś Ales Stenar było jednym z jej ulubionych miejsc. I to jeszcze zanim dowiedziała się, że tę samą przestrzeń upodobała sobie także córka słynnego komisarza Wallandera z powieści Henninga Mankella. Anna zdawała się nieświadomie kroczyć tą samą drogą, którą poruszał się bohater Mankella. Nie wiedziała tylko, czy to dobrze. Kto wie? Może ona również była wytworem czyjejś wyobraźni? Marionetką wprawianą w ruch ręką niewidzialnego lalkarza? Tyle tylko, że w literaturze zawsze znajdzie się miejsce na cudowny zbieg okoliczności, niespodziewane rozwiązanie wszystkich dramatów tego świata, a prawda za każdym razem wypłynie na wierzch. Pojawi się *deus ex machina*, który nikogo nie zdziwi ani nie zgorszy. W jej historii natomiast nie przyszedł jeszcze czas na żadne sensowne rozwiązanie.

Anna wzięła głęboki wdech. Chłodne jesienne powietrze załaskotało ją w gardle. Ruszyła między głazy i na chwilę znalazła się w innej rzeczywistości. Kroczyła przez pokład łodzi wikingów, by za moment znaleźć się w starożytnym grobowcu, a jeszcze później wtopić się w tło gigantycznego kalendarza astronomicznego, używanego przez praprzodków człowieka. Kto tak naprawdę wiedział, czym jest Ales Stenar? Badania archeologiczne nigdy nie pozwoliły w pełni go zidentyfikować i Anna bardzo się z tego cieszyła. Przeszłość pozostawała tutaj spowita delikatną mgłą tajemnicy, zakłęta w ponad pięćdziesięciu gładkich, drwila z marnych ludzkich wysiłków i dumnie brzmiących naukowych teorii. Anna miała swoje własne Ales Stenar, które traktowała jak azyl. Teraz zaś to miejsce stanowiło doskonałą metaforę jej życia, wydawało się równie skomplikowane i tajemnicze. A jednak Ales Stenar tkwiło na posterunku od wieków, ona zaś była tylko jednym z miliona cieni, które przesunęły się pomiędzy kamieniami. I nie miała pojęcia, co przyniesie jutro. Chyba nawet nie chciała już tego wiedzieć.

Podeszła do krawędzi klifu i wpatrzyła się w morze, bardzo tego dnia spokojne. Za horyzontem znajdował się świat, do którego kiedyś należała, i do którego musiała niebawem wrócić. Na czyjąś prośbę. Anna skrzywiła się. Poczowała swędzenie pod powiekami. Wiedziała, że za chwilę znowu zacznie płakać, choć przecież obiecała sobie raz na zawsze z tym skończyć. Wziąć się w garść. Ale ostatecznie... znajdowała się w Ales Stenar. Tutaj wolno było Annie okazać odrobinę słabości. Siłę musiała zachować na później, na powrót do domu, do Ystad. Do czekającego w salonie przy kominku Vidara, zastygłego w jednej pozycji, zapatrzony w ogień. Zamyślonego i nieobecnego. Jej męża — zupełnie innego niż kiedyś.

Ingvar zbliżył się do Anny i mocno przytrzymał ją za ramiona.

— Uważaj — powiedział tylko, po czym milczeli nadal.

Anna była mu wdzięczna za tę ciszę.

Wieczorem rozbili namiot na trawiastym parkingu. Postanowili zostać na noc w Kåseberdze, zjeść rybę w knajpce na wybrzeżu, a później pójść na długi spacer po plaży. Tuż przed północą zaszyli się w swoje śpiwory i leżeli obok siebie na wznak, wpatrzni w ciemnozielony sufit.

— Nie wróć do pracy — powiedziała wreszcie Anna, z trudem artykułując dźwięki.

Ingvær z wolna pokijał głową. Z pewnością domyślał się tego już od dawna. Półroczny urlop Anny dobiegał końca, a ona nie wykazywała najmniejszego zainteresowania tym, co działo się na komisariacie. Decyzję o odejściu z policji podjęła przed kilkoma tygodniami i usilnie starała się więcej jej nie analizować.

— Przystępczość w Ystad wzrośnie o sto procent. Ja sam nie dam rady wszystkim oprychom...

— Masz Ulfa.

Ingvær roześmiał się głośno. Anna poczuła, że kąciki jej ust również lekko drgają.

— Ulf to idiota! Wiesz, teraz stylizuje się na Kennetha Branagha, bo uważa, że właśnie Branagh najlepiej zagrał komisarza Wallandera w serialowej adaptacji książek Mankella. Choć to przecież Anglik, a nie Szwed, bla bla bla... Kupił sobie nawet podobne ubrania i zaфарbował włosy.

— Żartujesz? — Anna uniosła się na łokciu.

— Niestety nie. I w dodatku biega cholernie wolno. Emeryta z balkonikiem nie byłby w stanie dogonić. Jeśli nie masz zamiaru wracać, muszę poszukać kogoś innego na twoje miejsce. Nie wiem, skąd wytrzasnę tego kogoś, bo nasz komisariat ostatnio jakoś niespecjalnie obfituje w normalnych ludzi. Banda zdziwaczył ch indywiduów. Mankell może nakręcił turystykę w Ystad dzięki swoim powieściom, ale w tutejszej policji wszystkim padło na mózgi.

— Nie przesadzaj. Na mnie też narzekali. A ty to wszystko zaczęłaś! Przy pomnij sobie. „Nie dość, że baba, to jeszcze z Polski”... I takie tam duperele. Myślałam, że będę musiała kogoś sprzątnąć, by wreszcie dostać awans. A teraz co? Jęczyz.

Ingvær przechylił głowę w stronę Anny i spojrział jej w oczy.

— Nie rób tego.

— Muszę. I tak nigdy nie zapomnę o tym, co się wydarzyło. Ani ja, ani Vidar. Ani nawet ty. Ale ja muszę spróbować od nowa. W poniedziałek złożę oficjalną rezygnację. Rozmawiałam już z Vidarem i postanowiliśmy, że teraz będę pracowała razem z nim w naszej firmie. Ostatecznie ja również trochę się na tym znam, może nawet lepiej niż na policyjnej robocie. Zajmę się też dystrybucją. Ktoś musi. Ktoś rozgarnięty i mobilny. Vidar nie może już... Wykonywać swojej pracy tak samo, jak dawniej, choć radzi sobie całkiem nieźle, zwłaszcza ostatnio. Miewa gorsze i lepsze dni. Muszę mu pomóc.

— Nie możesz brać na siebie odpowiedzialności za to, co się wydarzyło. Ana... Ryzyko jest wpisane...

— ...w nasz zawód — dokończyła płynnie. — Wiem. A jednak przeceniłam swoje możliwości. I pamiętaj — nie ja ucierpiałam. To jest najgorsze. Nie mogę... Nie potrafię tego

znieść. — Głos Anny zadrzął.

W namiocie zapadła cisza. Ingvar obrócił się na boki i oparł głowę na dłoni. Patrzyli na siebie w pełnym napięciu milczeniu, aż wreszcie ona poddała się pierwsza. Wysuwała się ze śpiwora i zaczęła rozpinąć guziki flanelowej piżamy. Ingvar przelknął ślinę. Śledził każdy jej ruch, każdy drobny gest i grymas twarzy. Nie wierzył w to, co właśnie się działo. Uniósł się, wczepił palce we włosy Anny. Marzył o tym od lat. Czuł na swoim policzku jej gorący oddech. Głos rozsądku, choć ledwie słyszalny, podpowiadał mu, by się wycofać, póki jeszcze czas. Ale Ingvar nie zamierzał słuchać głosu rozsądku. Nie dziś i nie przy niej. Jedynie na ułamek sekundy odsunął od siebie Annę i ujął jej twarz w dłonie. Uśmiechnęła się lekko. Przycisnął ją do siebie. Nigdy wcześniej nie czuł podobnej mieszaniny radości, bólu i smutku. Miał też niemal absolutną pewność, że to, co działo się tej nocy, więcej już się nie powtórzy.

Anna wstała o świcie. Październikowy poranek był wyjątkowo chłodny, szybko więc narzuciła na siebie piżamę i gruby sweter. Przykryła nagiego Ingvara dwoma śpiworami, wygrzebała z torby termos, po czym po cichu wymknęła się z namiotu. Mewy zaśpiewały nad jej głową i poszybowały w kierunku plaży. Morze nie było już tak spokojne, jak poprzedniego wieczoru. Anna opuściła parking. Z termosem w dłoni wspięła się na klify. Zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów od krawędzi. Tym razem za plecami nie miała już Ingvara, który przytrzymałby ją za ramiona i kazał uważać. Spojrzała w dół i zachwiała się. Wykonała krok do tyłu. Było tutaj tak pięknie, że żołądek skurczył się Annie z dziwnej radości. Zimny wiatr smagał ją po policzkach, a powietrze smakowało solą. Tego dnia po raz pierwszy poczuła, że być może jakoś da sobie ze wszystkim radę.

Postawiła na ziemi kubek i napełniła go do połowy kawą, która smakowała wciąż doskonale, jednak była już zaledwie letnia. Uśmiechnęła się pod nosem. Termos miał trzymać ciepło przez blisko dwadzieścia cztery godziny. Jasne... Na etykietkach wszystko wyglądało tak prosto. Ale za to Ingvar powinien być zadowolony. On — w przeciwieństwie do niej — zawsze wszystko pił zimne i wydawał się organicznie niezdolny do przyjmowania gorących napojów.

Oderwała wzrok od wód Bałtyku i ruszyła z powrotem w kierunku parkingu. Ingvar czekał na nią przed namiotem. Wzdrygnęła się na jego widok. Miał na sobie tylko T-shirt.

— Ubierz się! Będziesz chory — zawołała i podała mu termos.

— Nie byłem chory od dwudziestu pięciu lat — mruknął.

— No i widzę, że bardzo chcesz to zmienić.

— Ana! Martwisz się o mnie czy co? — Ingvar posłał jej uśmiech, którym posługiwał się podczas przesłuchiwań. Kobiety zazwyczaj w końcu miękły. Nawet morderczynie.

— Tak — odpowiedziała z prostotą, czym zupełnie zbiła go z tropu.

Zaczęła związać swoje rzeczy i upychać je w torbie. Nie było tego wiele. Mały ręcznik, kosmetyczka, bielizna, piżama, czysta koszulka... Ingvar stał przez chwilę w miejscu i przyglądał się jej z uwagą. Czula to, a jednak nie zareagowała. Pakowała się dalej, starając opanować

drzenie rąk. Wreszcie Ingvar poszedł w jej ślady. W ciszy zwinęli namiot i dokonali pobieżnej porannej toalety. Kiedy nie pozostało już nic do zrobienia, stanęli naprzeciwko siebie z zakłopotaniem.

— Zjemy jakieś śniadanie? — spytał Ingvar. W jego głosie pobrzmiwała nadzieja.

Pokręciła głową.

— Muszę jechać. Obiecałam, że wrócę rano.

— Rano rozciąga się właściwie do dwunastej...

Uśmiechnęła się, zarzuciła torbę na ramię i machnęła ręką w kierunku swojego samochodu.

— No to uciekam. Zostań jeszcze, jeśli masz ochotę.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła zmierzać z wolna w stronę auta. Choć dzieląca ich odległość rosła z każdym krokiem, Anna była myślami przy Ingvarze. Marzyła, by wydarzyło się coś, co pozwoliłoby jej bez konsekwencji tutaj zostać, na powrót rozbić namiot i pić zimną kawę. Zadrżec na widok mężczyzny w koszulce, zarzucić mu koc na ramiona. Nie wiedziała, czy były to dobre, czy złe marzenia.

— Ana! — usłyszała za sobą głos Ingvara.

Przystanęła. Bała się, że jeśli jeszcze raz na niego spojrzy, nie będzie potrafiła odjechać. Mimo to obróciła głowę.

— Kocham cię.

To były dokładnie te słowa, których się spodziewała i które tak bardzo chciała usłyszeć. Ingvar nigdy wcześniej ich nie wypowiedział. Choć oczywiście o tym, że ją kochał, wiedziała od dawna.

— Ja ciebie też — odpowiedziała i popędziła do auta.

— Co?! — krzyknął Ingvar. — Co ty powiedziałaś?! Ana!!!

Dłonie drżały jej tak bardzo, że ledwie przekreśliła kluczyk w stacyjce. Dopiero kiedy dotarła do Ystad, uspokoiła się na tyle, by móc normalnie odjechać.

Rozdział 2

Nad Ystad zawisły czarne chmury, które zdawały się płynąć w ślad za nią, kiedy przejechała przez miasto i skręciła w drogę, wrzynającą się w gęsty las. Radio rozbrzmiało głosem Stevena Tylera z Aerosmith. Wokalista wychrypiał: *There was a time/ When I was so broken hearted*, i Anna roześmiała się głośno. Znała ten tekst. Pamiętała go jeszcze z podstawówki, kiedy wraz z podwórkowym „bandem” planowali przygotować *Cryin'* na jedną ze szkolnych akademii. Zamierzali wystąpić w skórzanych spodniach, rozciągniętych T-shirtach i z włosami pozlepianymi w długie, sztywne strąki. Anna grała na gitarze — całkiem zresztą niezłe — a w rolę

wokalisty wcielał się Leon Woliński, pseudonim „Lajon”, który może i miał odpowiedni rockowy piasek w głosie, ale który z pewnością nigdy nie trafił w odpowiednie dźwięki. Jeśli zdarzyło mu się nie zafalszować, to zawsze przypadkiem i ku wielkiemu zdziwieniu pozostałych członków bandu. O wdzięcznej nazwie: From Hel. Stamtąd właśnie Anna pochodziła. Z Helu. From Hel.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień i skrzywiła, kiedy Stevena Tylera zastąpił w radio jakiś szwedzki wokalista. Przez chwilę usiłowała nawet złapać rytm, szybko jednak skapitulowała i zmieniła stację. Mieszkała w Szwecji od piętnastu lat i świetnie знаła język, a mimo to wciąż trudno jej było słuchać go w połączeniu z linią melodyczną i akompaniamentem. Szwedzkie piosenki śmieszyły Annę prawie tak samo, jak czeskie i niemieckie. Było to głupie, irracjonalne i dziecinne, ale dawno już przestała ze sobą walczyć. Zajęta własnymi myślami, dopiero po pewnym czasie zauważyła, że minęła las i pole. Jej dom był coraz bliżej.

Zdjęła nogę z gazu i wrzuciła niższy bieg. Zawahała się na moment, po czym zjechała na pobocze i zatrzymała auto. Zerknęła w lusterko, na swoją nieumalowaną twarz, rozczochrane włosy i lekko skośne, błękitne oczy. Wygrzebała z torebki szczotkę, uczesała się, a w skórę wklepała krem nawilżający.

Kiedy patrzyła na swoje blade policzki i długie, czarne, proste jak druty włosy, znowu przypomniał jej się Leon-Lajon. Anna podkochiwała się w nim aż do ósmej klasy podstawówki i myślała, że serce jej pęknie, kiedy zdecydował się zdawać do liceum w Gdańsku. Ona sama poszła do szkoły średniej w Pucku, a pozostali członkowie From Hel również porozjeżdżali się w różnych kierunkach i „band” się rozsyłał. Kiedy się żegnali, Anna wyznała Lajonowi swoje uczucia, Lajon zaś uśmiechnął się do niej ciepło i powiedział — wykazując się inteligencją, o którą, przy całej swojej „wielkiej miłości”, wcale go nie podejrzewała — że jeszcze nie dojrzał na tyle, by potrafił odpowiednio docenić taką dziewczynę. Mądrą. Bystrą. Piękną w trudny sposób. Tak powiedział, a Annę замуrowało. Był to chyba najprzyjemniejszy sposób, w jaki facet mógł dać kosza dziewczynie, choć nie do końca zrozumiała, czy na pewno powiedział jej komplement. Lajon... Możliwe, że już wkrótce się zobaczą. Jeśli Anna zdecyduje się na podróż do Polski. I jeśli on wciąż mieszka w Helu.

Przeknęła kluczyk w stacyjce i już zamierzała ruszyć, kiedy zadzwonił jej telefon, a na wyświetlaczu pojawiła się uśmiechnięta twarz. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

— Cześć tato — przywitała się. Miała ogromną nadzieję, że zabrzmiało to wesoło.

— Cześć, Aniu. To jak? Zdecydowałaś się? Nie wiem, czy bukować bilety, czy się jeszcze wstrzymać i poczekać na ciebie.

— Uważasz, że powinnam pojechać, prawda?

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Słysząc tylko westchnienie i delikatny odgłos zamykanych drzwi.

— To twoja siostra. Zależy jej na twojej obecności — padła odpowiedź, której Anna się spodziewała.

— Nie będzie łatwo, tato. Dopóki Lidka przylatywała tutaj, wszystko układało się jeszcze w miarę okay, ale w Helu... No... Tam będzie też matka. A ty? Jesteś gotowy na to, żeby się z nią

spotkać?

— Nie wiem, Anka, ale Lidka jest moją córką i poprowadzę ją do ołtarza, tak samo jak poprowadziłem ciebie! Nawet jeśli w twoim wypadku to wcale nie był ołtarz!

Anna przymknęła powieki, a wokół jej gardła zacisnęła się obręcz. Ojciec chrząknął.

— Jak tam Vidar? Dobrze się czuje?

— Tak Zważywszy na okoliczności. — Anna zaczęła mechanicznie stukać palcami o kierownicę.

— Rozumiem, że on nie pojedzie z tobą...

Roześmiała się nieprzyjemnie, po czym zaczęła płakać. Żałowała, że ojca nie ma obok niej i że nie może, jak dawniej, zwyczajnie wyżalić mu się w rękaw. Była zupełnie sama, zamknięta w samochodzie, na który kapały już z wolna ciężkie krople deszczu. Przeszukała torbę w poszukiwaniu chusteczek higienicznych i w pewnym momencie jej palce napotkały coś miękkiego. Chwyliła to coś i mocno szarpnęła. Zamrugnęła gwałtownie. W rękę trzymała zmiętą koszulkę Ingvara, którą musiała przez przyadek zabrać z namiotu, kiedy się pakowali. Przy cisnęła ją do ust i oczu. Na ułamek sekundy całą sobą pożałowała, że nie została na parkingu w pobliżu Ales Stenar, w objęciach mężczyzny, który nie był jej mężem.

— Przepraszam, Aniu — szepnął zaniepokojony ojciec. — Wszystko... u ciebie w porządku? Jeśli chcesz, przyjadę do Ystad. Pobędziemy trochę razem, a później dołączy do nas Dagmar i polecimy do Polski we trójkę. Co ty na to?

— Nie, tato, dzięki. Przez ostatnie pół roku sporo się do mnie najeździłeś. Muszę zacząć radzić sobie sama. Poza tym... Myślałam, że może popłynę promem do Świnoujścia i później jakoś przetransportuję się na Hel. Na przykład samochodem.

— Czyli jednak zdecydowałaś się pojechać? — ojciec nie ukrywał zadowolenia. — W takim razie my z Dagmar polecimy do Polski ze Sztokholmu i spotkamy się z tobą na miejscu. Musimy trzymać się razem, co? Aniu... Spróbuj porozmawiać z Vidarem. Może jednak da się namówić. Przydałaby mu się wycieczka.

— Rozmawiałam. Ciągle mi powtarza, że i tak raczej sobie z nim nie potańczę. A poza tym nie może pić alkoholu, bo nadal bierze mocne leki przeciwbólowe. Pogadać w towarzystwie nie pogada, chyba że po angielsku, a przecież nie każdy w naszej rodzinie zna ten język. No i Vidar... po prostu nie chce jechać. Nie chce, żeby wszyscy oglądali go jak małpę w cyrku i współczująco kiwali głowami. Uparł się i koniec. Nie mogę go zmusić. I chyba nie powinnam.

— Rozumiem. Przykro mi.

— Mnie też jest przykro. Chociaż... Wiesz, tato, wydaje mi się, że Vidar zrobił mały krokczek do przodu. Znowu zaczął śledzić trendy w dziedzinie projektowania mebli i wysłał mnie do Norwegii, żebym podpisała nową umowę. Całkiem duże zlecenie. Jakiś dziany Norweg zamówił meble do jednego ze swoich wiejskich domów i jeszcze renowację kilku antyków, bardzo cennych. Zrobiliśmy już wstępne projekty.

— To świetnie — głos ojca zabrzmiał sztucznie.

Anna wiedziała, że nie był przekonany co do jej odejścia z policji. Nie chciała o tym

rozmawiać i postanowiła szybko zmienić temat.

— Aha, i Vidar zatrudnił nową gosposię. Finkę. Ma na imię Lempi...

— Lempi? — ojciec parsknął krótkim śmiechem.

— Nie śmieję się — zgromiła go. — To chyba znaczy „miłość”. Albo „ulubiona”. Jakoś tak Gotuje dobrze, ale czasem każe nam jeść dziwne rzeczy. Na przykład takie ruloniki z kapusty, które nazywa *kaalikäärileet*. Wiesz, jak długo uczyłam się to wymawiać?! No nie śmieję się! Vidar ją lubi. Lempi ma trzydzieści pięć lat, czyli tylko o trzy więcej ode mnie. Jesteśmy prawie rówieśniczkami. Myślisz, że powinnam się z nią zaprzyjaźnić? To znaczy wiesz, płacimy jej, no ale to by było coś ciekawego. Może nauczę się od niej gotować? Ostatnio pokazała mi, jak zrobić fińską owsiankę. Wiem, niby owsianka to owsianka, tak też jej powiedziałam, ale, no cóż, okazało się, że fińska owsianka to jednak inna owsianka. Oni jedzą ją w Boże Narodzenie. Nazywa się *Joulupuuro*. Przestań się śmiać!!!

Ojciec nadal chichotał do słuchawki i Anna mimowolnie również się roześmiała. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

— Dobra, tato. Kończę.

— Kończ. To co? Pojedziesz na ślub Lidki?

— Pojadę.

Rozłączyła się i wjechała na szosę. W oddali widziała już dach swojego domu.

Vidar nie siedział w salonie, przy kominku, tak jak się tego spodziewała. Zastała go w kuchni, wpatzonego w czasopismo meblarskie. Na długim, solidnym dębowym stole piętrzyły się także inne czasopisma o podobnej tematyce. Anna dostrzegła kilkanaście tytułów, związanych z projektowaniem mebli, wystrojem wnętrz, architekturą, tkaninami... Od cieniutkich gazetek dla laików, aż po grube i drogie periodyki dla znawców branży, producentów i kolekcjonerów. Anna uniosła z niedowierzaniem brwi i podeszła bliżej. Tak! Były tam nawet katalogi z Ikea! Vidar nie spojrział na nią, ale uniósł lewą dłoń, jak gdyby chciał oznajmić, że za chwilę poświęci jej więcej uwagi, musi tylko doczytać artykuł do końca.

Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po kuchni, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Tego dnia niczego jeszcze nie przelknęła, poza mocną i słodką, ale zimną kawą. Po raz kolejny przypomniawszy sobie Ingvara i jego organiczną niezdolność do przyjmowania gorących napojów. Ciekawe, co teraz robi? Wrócił do domu? A może został w Käseberdze i nadal przechadza się pomiędzy głazami Ales Stenar? Czy myśli o niej? O tym, co mu powiedziała? Czy będzie próbował nawiązać do jej słów, kiedy w poniedziałek Anna przyjedzie na komisariat, by złożyć wypowiedzenie? Z pewnością będzie.

Wiedziała, że Ingvar ją kocha i to już od dawna. Nigdy niczego nie ukrywał. Nie miał jednak pojęcia, co czuła ona. Pracowali razem od ośmiu lat i Anna wielokrotnie dawała Ingvarowi do zrozumienia, że wprawdzie skoczyłaby za nim w ogień, ale bynajmniej nie z miłości. Lubiała go, szanowała i liczyła się z jego zdaniem. Zawsze mogli na sobie polegać. Dzięki Ingvarowi

przetrwiała pierwszy zawodowy kryzys, po tym, jak podczas akcji zastrzeliła groźnego przestępcę. Musiała. Sytuacja nie pozwoliła na wahanie, nawet na myślenie. Anna uratowała życie niewinnego człowieka, a jednak odebrała je komuś innemu. Została później wysłana do psychologa i to właśnie Ingvar pilnował, by regularnie chodziła na spotkania. Z nim również godzinami rozmawiała o tym, co się wydarzyło. Jak gdyby wypowiedane słowa pomagały jej oswoić rzeczywistość, nadać abstrakcyjnym pojęciom znajomo brzmiące nazwy i wszystko racjonalnie poukładać. Zamienić tragedię w opowieść o precyzyjnie skonstruowanej fabule. Dzięki Ingvarowi przetrwała. Wróciła do służby. Pewnego wieczoru, kiedy opuszczali komisariat, Anna cmoknęła go w policzek, po czym podziękowała za pomoc. Ingvar spuścił wzrok i mruknął coś pod nosem, a ona wszystkie się domyśliła. Objęła go za szyję i pogłaskała po włosach.

A później wyszła za mąż za Vidara Lindholma. O dziesięć lat od niej starszego, zabójczo przystojnego producenta i renowatora mebli, genialnego projektanta, właściciela dwóch świetnie prosperujących warsztatów w Ystad i w Sztokholmie. Vidara, któremu — o dziwo — w ogóle nie przeszkadzało to, że chciała robić karierę w policji i wykonywać pracę nie tylko stresującą i wyczerpującą, ale przede wszystkim krańcowo niebezpieczną. Teraz pewnie tego żałował. Mógł nakłonić ją do porzucenia policji. Mógł namawiać, by pracowała razem z nim i zgodnie ze swoim wykształceniem zajęła się renowacją antycznych mebli, zamiast gonić za bezsensownymi marzeniami o naprawianiu świata. Tak, teraz Vidar pewnie żałował. Ale było już za późno.

— Pani komisarz? Niech no mi pani powie, co jest takiego ciekawego w tej desce do krojenia chleba? Jak dla mnie wygląda całkiem zwyczajnie. — Lempi, fińska gosposia, wpatrywała się w Annę z dobroliwym i chyba zupełnie szczerym uśmiechem. Wyglądało to dość groteskowo i surrealistycznie, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, iż kobieta trzymała w jednej dłoni wielki tasak, a w drugiej tłuczek do mięsa.

— Przepraszam, zamyśliłam się — odpowiedziała Anna i upomniała się w duchu za swoje rozżargnienie. Powinna przecież stwarzać jakieś pozory. Udawać, że nic się nie wydarzyło. Absolutnie nic. — Lempi, mówiłam ci, żebyś nie nazywała mnie panią komisarz. Już nią nie jestem.

— Oj tam, do poniedziałku pani jest, a poza tym dla mnie zawsze będzie pani „panią komisarz Lindholm, która rozpracowała Narcyza”. Koniec i kropka. Pani siada, zrobię śniadanie.

Anna nie ruszyła się z miejsca. To jedno wypowiedziane przez Lempi słowo przyśrubowało ją do posadzki z niewyobrażalną siłą.

„Narcyza”.

Podniosła wzrok na Vidara, który również zastygł w bezruchu nad swoim czasopiśmie. Anna widziała tylko falowanie jego klatki piersiowej i pulsującą żyłkę na skroni.

„Narcyza”.

Czyżby Vidar o niczym Lempi nie powiedział? To on ją zatrudnił, kiedy Anna była w Norwegii... Myślała, że wszystko zostało wyjaśnione i Lempi doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jaki wpływ na ich życie miał Narcyz. Poza tym w gazetach pisali przecież o wypadku... Musiała coś gdzieś przeczytać, skoro w ogóle słyszała o „Narcyzie” i „komisarz Annie Lindholm”.

Nawet jeśli pochodziła z zabitej dechami wioski tuż pod kołem podbiegunowym.

Vidar zaklął. Anna przeniosła wzrok z niego na Lempi, która chyba pojęła wreszcie, że poruszyła trudny temat, i momentalnie zbladła. W kuchni zapadła cisza. Anna drgnęła niespokojnie i wykonała dłonią bliżej nieokreślony gest.

— Śniadanie to dobry pomysł. Umieram z głodu. Dziękuję, Lempi. Cokolwiek zrobisz, będzie w porządku — odezwała się.

Finka odłożyła tasak i tłuczek do mięsa, po czym — nadal bardzo zmieszana — zabrała się do pracy. Anna podeszła do stołu. Usiadła obok Vidara. Zdobyła się na odwagę i przykryła jego dłoń swoją, modląc się w duchu, by nie wzdrygnął się z obrzydzeniem. I znowu nie pogrążył się w milczeniu na długie godziny. By po raz kolejny jej nie odrzucił. Ale Vidar nawet się nie poruszył. Podniósł tylko lekko głowę i uśmiechnął się smutno. Anna wstrzymała oddech. To było coś nowego. Krok do przodu, wyciągnięcie ręki. Być może nawet pierwszy nieśmiały gest pojednania? Zamrugła, bo jej oczy nagle niebezpiecznie się zaszklily. Po raz kolejny odczuła groteskowość sytuacji. Jeszcze kilka godzin wcześniej tkwiła w objęciach kochanka, a teraz prawie szalała ze szczęścia z powodu jednego uśmiechu swojego męża.

Poza tym, czy Ingvar naprawdę był jej kochankiem? Czy kochankiem zostaje się po zaledwie jednej, wspólnie spędzonej nocy? Być może nie. Być może Ingvara nie uważałyby za swojego kochanka, gdyby absolutnie nic do niego nie czuła. Ale czuła. Miała wrażenie, że czyjeś niewidzialne dłonie spychają ją pod ścianę i krępują ruchy. Nakazują wejrzeć w głąb siebie. Stawała się z wolna postacią pseudotragiczną, która nie mogła tak po prostu dokonać jednego słusznego wyboru. Jak jakaś cholerna Anna Karenina. Wszystko się zgadzało, nawet imię...

— Miło spędziłaś czas w Ales Stenar? — odezwał się cicho Vidar.

— Tak, dziękuję — odrzekła i przekartkowała jedno z leżących na stole czasopism. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

— Nie bałaś się spać sama w namiocie? W Kåseberdze nie było chyba zbyt wielu turystów?

— Nie.

Zmusiła się do uśmiechu. Wstała od stołu i włączyła ekspres do kawy. Lempi przy sunęła się do niej dyskretnie.

— Zrobię jajecznicę i tę naszą świąteczną owsiankę. Wiem, że pani smakuje. I panu Vidarowi też.

— Dziękuję, Lempi — odpowiedziała Anna i wbiła wzrok w czarny strumień, spływający do filiżanki.

Schadzka z Ingvarem w Ales Stenar była przez Annę z góry zaplanowana i to już od dawna. Decyzją o odejściu z policji ty tylko wzmocniła w niej przekonanie, że właśnie tak powinna postąpić. Ten jeden jedyny raz pragnęła zapomnieć o poczuciu winy, które miało ścigać ją już do końca życia. Chciała dać się ponieść chwili, postąpić czysto egoistycznie i po prostu zaznać przyjemności, którą nie musiałaby z nikim się dzielić. Od dawna już nie myślała o swoich

potrzebach, nie usiłowała wprowadzać w życie własnych marzeń, uzewnętrzniać tego, co dotąd pozostawało częścią jej zamkniętego w sferze wyobrażeń egzystowania. Prawie zapomniała, kim właściwie jest i do jakiego celu dąży. Bo przecież każdy powinien mieć cel. Plan, wokół którego mógłby zogniskować wszystkie działania. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka ten schemat byłby pozbawiony sensu. A Anna od sześciu miesięcy nie miała żadnego planu, żadnego pomysłu na siebie. Myślała jedynie o tym, jak uczynić życie Vidara choć odrobinę znośniejszym.

Z początku było prościej. Bezpośrednio po wypadku samochodowym spowodowanym przez współnika Narcyza — i najprawdopodobniej na jego wyraźne życzenie — skoncentrowała się na tym, by szybko dojść do siebie i zająć się mężem. Sama nie ucierpiała mocno. Zaledwie złamane żebro, skręcona noga w kostce i niegroźne stłuczenie głowy. Tyle, co nic. To ona prowadziła samochód, kiedy na szosie, kilka kilometrów za Ystad, wjechała w nich z dużą prędkością czarna toyota. Anna straciła na moment panowanie nad wozem, szybko jednak odzyskała zimną krew i zrobiła wszystko, co tylko mogła, by wyjść z tej sytuacji cało. Każdy ją chwalił. Każdy klepał po plecach i podziwiał za to, że tak świetnie sobie poradziła. Że ocaliła życie swoje i swojego męża.

Ocaliła życie.

Z początku również tak właśnie myślała. Po dwóch tygodniach, oprócz bólu w zrastających się kościach i lekkich zawrotów głowy, nie odczuwała żadnych przykrych skutków wypadku. Żadnych fizycznych następstw. Czula natomiast wściekłość — na Narcyza i jego kumpla, który w imieniu tego cholernego świra próbował się na niej zemścić. Wściekłość zamieniła się w furję, kiedy okazało się, że z Vidarem nie było dobrze. Mało tego. Było fatalnie.

Anna wpadła w szal. Po raz pierwszy w życiu naprawdę żalowała, że w Szwecji nie obowiązywała kara śmierci. Była gotowa rozszarpać Narcyza gołymi rękami. Zamierzała nawet odwiedzić sukiny na w więzieniu i wydrzeć mu z gardła informację o tym, dokąd spieprzył jego przydupas od czarnej toyoty, ale tutaj już wtrącił się Ingvar. I zdusił plan Anny w zarodku. Nie pozwolił jej pojechać do więzienia. Zabronił kontaktować się z Narcyzem. Mógł to zrobić jako szef i najbliższy przyjaciel.

I człowiek, który ją kochał. O tym nie mogła zapomnieć.

Był bardzo dumny po tym, jak rozpracowała Narcyza, seryjnego mordercę, wypisującego na ciałach swoich ofiar cytaty z powieści *Na wspan* Jorisa-Karla Huysmansa. Kiedy Narcyz pojawił się na szwedzkim wybrzeżu i w okolicach Ystad, Anna marzyła o tym, by wpakować go za kratki, ale nie przypuszczała, że naprawdę jej się uda. Z początku gubiła się w szczegółach śledztwa, uznawała swoje domysły za głupie, goniła za kolejnymi tropami, które wciąż i wciąż okazywały się fałszywe. Kilka razy zwątpiła. Chciała zrezygnować, zająć się prostszą sprawą, na własne oczy zobaczyć efekty swoich działań. Nie lubiła błądzić. Ale później godzinami wpatrywała się w fotografię kolejnej martwej kobiety. Zawsze blondynki, zawsze szczupłej, wiotkiej, o porcelanowej cerze, błękitnych oczach, pełnych czerwonych wargach, owalnej twarzy, z delikatnym podbródkiem i subtelnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Narcyz gustował z początku w duńskich prostytutkach z okolic Kopenhagi, które nie miały właściwie

żadnego życiorysu. W pewnych wypadkach trudno było ustalić nawet, skąd pochodzili. Później sytuacja uległa zmianie i morderca przeniósł się na szwedzkie wybrzeże. Identyfikował miejsca zbrodni, ale na swoje ofiary wybierał zupełnie inne kobiety. Zawsze grzeczne, z nienagannym życiorysem i dobrze wykształcone. Jedyne co się nie zmieniło, to ich uroda. Narcyz nie przestał gustować w smukłych blondynkach o porcelanowej cerze. Podobał mu się typ lalki, kruchej figurki. Zawsze znajdowano je z kwiatami w dłoniach. Narcyzami. Były też cytaty z Huysmansa, wypisane na klatce piersiowej lub plecach. Anna najlepiej zapamiętała dwa. *Któregoś ranka obudził się niespokojny, jak więzień w celi; drżące nerwowo wargi poruszały się usiłując wydać jakiś dźwięk, lzy cisnęły mu się do oczu, dusił się niby ktoś, kto szlochał był godzinami. I jeszcze: Ta prostytutka zachwyty była zresztą jednym z największych utrapień w życiu diuka Jana; niepojęte sukcesy psuły mu raz na zawsze obrazy i książki niegdyś umiłowane; zaznajamiając się z ogólną aprobatą sądu, odkrywał w nich na koniec niedostrzegalne skazy.*

Cytaty oddano pod lupę psychologom i profilerom, którzy dokonali epokowego odkrycia, że Narcyz to osobowość narcystyczna, z przerośniętym ego z jednej strony, z gigantycznymi kompleksami z drugiej, najprawdopodobniej esteta, być może kolekcjoner dzieł sztuki. Przekonany o swojej wyższości, a jednocześnie samotnik, który czuje się niezrozumiany przez innych. Anna słuchała ich jednym uchem, a w międzyczasie usiłowała dowiedzieć się jak najwięcej o zamordowanych dziewczętach. Kiedy odkryła, że w Danii, pod Kopenhagą, znów znaleziono ciało kobiety z narcyzem w dłoni i wypisanym na plecach cytatem, ale wyglądem odbiegającej od wzorca, wstąpiła w nią nadzieja. Zebrała informacje o ofierze. Dowiedziała się, że była prostytutką i pracowała w kilku miejscach. Nikt nie wiedział o niej za wiele. Alfonsów nie dało się przycisnąć. Nie miała żadnych papierów. Morderca oczywiście nie zostawił śladów. Duńska policja uważała, że tym razem mają do czynienia z naśladowcą i traktowali ten przypadek jako pojedyncze zabójstwo. Anna przez jakiś czas drążyła temat, ale kiedy nie zdołała dowiedzieć się niczego więcej, opuściła. Zaczęła czytać opracowania na temat narcyzmu, a zdjęcia ofiar wciąż nie dawały jej spokoju.

Pewnego dnia jednak coś się wydarzyło. Kiedy Anna wróciła z pracy, pod wycieraczką znalazła plik gazet i czasopism. Zaczęła je przeglądać i okazało się, że poza codzienną prasą znajdowały się tam również tytuły poświęcone hodowli kwiatów i projektowaniu ogrodów. Nawet nie weszła do domu. Siedziała na schodach i coraz bardziej nerwowo przewracała kartki. Wiedziała, że gazety wyselekcjonowano bardzo starannie. Niektóre tytuły były całkiem nowe, inne pochodziły sprzed lat. W każdym pojawiało się to samo nazwisko: Elias Persson. Biznesmen.

Hodowca kwiatów.

Anna pamiętała, jak wielkie wrażenie zrobiły na niej zdjęcia Perssona. Pasował idealnie. Blondyn, szczupły, o nieskazitelnej cerze, błękitnych oczach i długich rzęsach. Piękny. Jak one. I wtedy już wszystko wiedziała. Nie miała pojęcia, kto podrzucił jej te gazety i czy był powiązany z całą sprawą. Ale nie zamierzała się poddać. Znalazła wreszcie dowody i wpakowała Perssona za kratki. Tyle tylko, że ona sama uważała to za sukces zaledwie połowiczny, o ile w ogóle. Zginęło dziesięć kobiet, ale Narcyzowi udowodniono tylko jedną zbrodnię. Każdy,

łącznie z sędzią, prokuratorem i adwokatem, wiedział, że cała reszta to również jego robota, a jednak nie dało się tego w żaden sposób dowieść. Narcyza skazano za pojedyncze morderstwo, w wyniku czego nie trafił do specjalnego aresztu o zaostrzonych rygorze dla więźniów szczególnie niebezpiecznych. Anna pocieszała się jedynie tym, że przynajmniej nie chodził wolno i nie mógł już nikogo skrzywdzić. A ten, kto podrzucił jej te gazety? Kim był? Anna myślała o nim często. Próbowwała rozmawiać z Ingvarem, dawała upust swoim wątpliwościom, ale on nie przejmował się detalami. Kazał jej cieszyć się z sukcesu. Bo przecież znalazła dowody. Nieważne, że z czyjąś pomocą. Anna jednak dostawała gęziej skórki na myśl o tym, że ktoś znał wcześniej sekret Eliasa Perssona. I wiedział o niej. O tym, że chciała dorwać Narcyza.

Mimo nie do końca satysfakcjonującego wyroku Ingvar tryskał takim entuzjazmem, jak gdyby Narcyza rozpracował on sam. To właśnie wtedy Anna pojęła skalę jego uczucia. Nigdy niczego od niej nie chciał. Nigdy o nic nie zabiegał. Cieszył się jej sukcesami i nieustannie pilnował, by była bezpieczna. To właśnie wtedy również Anna zrozumiała, że ona sama czuje do niego coś więcej niż tylko sympatię. Ale była przecież żoną Vidara. A później...

Później zdarzył się wypadek, po którym raz na zawsze przestała się zastanawiać, co by było gdyby. Musiała zająć się mężem. Zaopiekować się nim i sprawić, by przynajmniej w niewielkim stopniu przestał jej nienawidzić. Bo nienawidził. To przez nią z pełnego życia i energii człowieka sukcesu przeistoczył się w „kukłę” przykutą do wózka. „Kukłę”... Tak właśnie o sobie mówił. „Jestem kukłą, lalką, którą trzeba ubierać, karmić i sadzać na kibel”. Przez nią był kukłą. Przez Annę. Przez jej cholerną pracę. Przez popapranego psychopata, którego ścigała i który chciał się zemścić. To ona była celem kumpla Narcyza. To ona powinna ucierpieć w tym wypadku, a może nawet zginąć. Nie Vidar.

Zalała się, ale tylko na chwilę. Na kilka dni zamknęła się w domu i piła. Odstawiła leki przeciwbólowe. Zalewała cierpienie bursztynowym burbonem, zataczając się po domu i śpiewając ochryple jakieś piosenki, których teraz zupełnie już nie pamiętała. Dała wolne ówczesnej gospośi — Vidar zatrudnił ją jeszcze przed ich ślubem — i prowadziła pełne przekleństw dialogi z samą sobą. Pretensje do Narcyza ustąpiły miejsca wściekłości na samą siebie. Nigdy niekończącym się wyrzutem sumienia i poczuciu winy, które trawiło ją od środka niczym najbardziej inwazyjny nowotwór. Ingvar odwiedził wówczas Annę w domu. Podczas tych pijackich kilku dni, kiedy pozwoliła sobie na uzalanie się, na płacz i ataki paniki. Na strach przed przyszłością, która miała malować się w zupełnie innych barwach niż dotychczasowe, całkiem dobre i znośne życie.

Ingvar przyniósł jedzenie, posadził ją do stołu i przypilnował, by cokolwiek przelknęła, a później nalał wody do wanny i kazał Annie zmyć z siebie zapach alkoholu. Siedziała zanurzona w pianie po samą brodę, wpatrując się w popielate kafelki, niezdolna do tego, by wykonać najprostszy ruch. Ingvar sięgnął po szampon i zaczął myć jej włosy. Były tak długie, że zupełnie nie potrafił ich splukać. Wykazał się jednak pewną kreatywnością i po chwili sięgnął po kubek do mycia zębów, który wyczyścił z pasty i napełnił wodą. Anna czuła się błogo, kiedy po jej czole i plecach spływały gorące strumienie. Nie przejmowała się tym, że pokazała się Ingvarowi

zupełnie naga. Nie wykorzystał sytuacji. A mógł. Anna potrzebowała bliskości i wsparcia, Ingvar zaś nie był jej obojętny. Wtedy chyba właśnie zakochała się w nim na poważnie. W tej łazience, kiedy splukiwał szampon z jej włosów.

Włożyła całą swoją energię w to, by wyprowadzić męża na prostą. Obsesyjnie wpatrywała się w oczy lekarzom, szukając w nich nędznych okruczeń nadziei, którymi mogłaby wykarmić się choć przez kilka dni. Rehabilitacja dawała dobre rezultaty, nikt jednak nie zmienił wyroku, który zapadł miesiąc po wypadku.

— Paraliż jest trwały. Pani mąż już nigdy nie będzie chodził. Porusza sprawnie lewą ręką, ale prawą nie włada w pełni. Będzie musiał zmienić lateralizację, nauczyć się pracować drugą ręką. Bo był praworęczny, prawda?

— Tak. To nie będzie takie proste, panie doktorze. Vidar projektuje meble. Robi sporo rysunków, niekiedy sam wykonuje pewne prace, odnawia antyki... On potrzebuje obu rąk. Musi być sprawny. Czy to... To nieodwracalne?

— Z prawą ręką trudno powiedzieć. Być może długotrwała rehabilitacja przyniesie efekty. Ale nie sądzę, by kiedykolwiek było tak, jak przed wypadkiem. Co do nóg zaś...

Lekarz spuścił wzrok i pokręcił głową. Anna miała wrażenie, że jej serce za moment przebiję się przez klatkę piersiową. To był koniec. Koniec nadziei na poprawę. Vidar nie będzie już nigdy chodził i nigdy jej nie wybaczy. Nigdy nie pokocha Anny na nowo, bo kiedy miłość raz zmieni się w nienawiść, bardzo trudno jest odwrócić ten porządek. Ona zaś resztę życia poświęci na to, by uzyskać od niego choć częściowe przebaczenie. I by walczyć, mimo wszystko.

Decyzja o odejściu z policji okazała się trudniejsza niż spotkanie z Ingvarem w Ales Stenar. Annie żal było zamknąć za sobą ten rozdział życia, wiedziała jednak, że nie jest gotowa, by wrócić na komisariat i znowu ryzykować. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek będzie. Skoncentrowała się zatem na meblach. Na projektach, renowacjach i prowadzeniu firmy. O dziwo, wypadek Vidara i jego trwałe kalectwo przyczyniły się do nieoczekiwanego napływu klientów. Nigdy nie mogli narzekać na brak zainteresowania, ale to, co działo się obecnie, przechodziło najśmielsze wyobrażenia. Anna pojechała nawet na parę dni do Sztokholmu i zaangażowała nowych fachowców, by firma nie musiała rezygnować z kilku dużych i intratnych zleceń. Do Vidara z wolna wracała dawna meblarska pasja i tylko to się teraz liczyło. Anna postanowiła jemu poświęcić całą swoją uwagę.

Pewnego dnia jednak poczuła, że dłużej nie zniesie już samotności, w której pogrzała się za każdym razem, kiedy przekraczała próg domu. Vidar wciąż był wobec niej chłodny, a ich rozmowy dotyczyły głównie pracy i nowych zleceń. Czasami wymieniali kilka nieznaczących uwag o książce czy filmie. Nigdzie razem nie wychodzili. Nigdy nie rozmawiali o wypadku. Anna wiedziała, że to błąd. Ona i Vidar oddalali się od siebie z każdym dniem.

Pragnienie bliskości stało się wreszcie tak obojętne, że zadzwoniła do Ingvara i poprosiła go o spotkanie. Od owego pamiętnego wieczoru, kiedy nakarmił ją i wykąpał, widywali się dość regularnie, były to jednak spotkania bardzo prozaiczne. Kawka, obiad, późne śniadanie, niekiedy piwo wieczorem, kilka zdawkowych pytań o Vidara, kilka równie zdawkowych

pytań o komisariat i seria rozmów o życiu. Niekiedy głębokich, a niekiedy całkiem płytkich i wypełnionych śmiechem ze wszystkiego i niczego. Ingvar nie miał zamiaru zostawić Anny samej. Na osobliwą propozycję wycieczki do Ales Stenar i spędzenia nocy na parkingu w Kåseberdze przystał od razu, choć z lekkim zaskoczeniem.

Czy przejrzał Annę? Domyślił się, czego tak naprawdę od niego chciała? Z pewnością. Anna nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie czuła też wyrzutów sumienia, kiedy wszystko się skończyło. Jedyne smutek wywołany przekonaniem, że nigdy nie nastąpi żaden ciąg dalszy.

Vidar przełknął ostatni kęs fińskiej owsianki i wrzucił łyżkę do miski. Upił łyk kawy, skrzywił się i dosypał cukru. Zrobił to prawą ręką, więc część kryształków nie trafiła do miejsca przeznaczenia. Vidar wpatrzył się posępnie w białe kropki, chaotycznie rozrzucone na drewnianym blacie. Anna podniosła się z krzesła i zgarnęła rozsypany cukier. Ona również skończyła już swoją owsiankę, nadal jednak była głodna. Usiadła na powrót do stołu i dziabnęła widelcem jajecznicę. Zamruczała z rozkoszy.

— Lempi! Niebo w gębie!

Finka uśmiechnęła się z zadowoleniem i zamachała tłuczkiem do mięsa.

— A, dziękuję, to przepis mojej babki, ale nie zdradzę szczegółów, bo to rodzinna tajemnica.

Anna przesunęła po talerzu resztki posiłku. Nie miała pojęcia, że może istnieć coś takiego, jak tajemniczy przepis na jajecznicę. Zerknęła na Vidara, który uśmiechnął się jednym kącikiem ust i z niewinną miną powrócił do przeglądania pism. Kiedy Lempi utłukła już wreszcie całe mięso, które było do utłuczenia, oznajmiła, że wychodzi do sklepu po warzywa na kolację. Anna skończyła jeść i włożyła naczynia do zmywarki, po czym zaczęła zamiatać podłogę. Vidar oderwał wzrok od artykułu.

— Wiesz, że płacimy jej też za sprzątanie? I to wcale niemało?

Zastygła z miotłą w dłoni i wruszyła ramionami. Vidar patrzył na nią z lekkim rozbawieniem. Anna — wciąż trzymając miotłę — zbliżyła się do niego.

— Słuchaj... Może jednak pojedziesz ze mną na ślub Lidki? Rozmawiałam dzisiaj z ojcem... No i wiesz, jemu też nie będzie tam lekko, moja matka pewnie postanowi żeżreć go żywcem albo naśle na niego tę najmniej normalną część rodziny, żeby przypadkiem nie bawił się na imprezie za dobrze. Chyba czułby się raźniej, gdybyś też się tam zjawił — powiedziała wreszcie, choć wyraźnie bez przekonania.

— Partnerzy w niedoli? An, nie bądź śmieszna. Będzie miał swoją żonę do towarzystwa i ciebie. Uwierz mi, tak naprawdę wcale nie chcesz, żebym jechał. Będziesz się czuła zażenowana. — Vidar nie patrzył na nią. Patrzył na miotłę. Niby w tym samym kierunku, a jednak Anna poczuła się nieswojo. Za każdym razem, kiedy usiłowała poruszyć jakiś istotny temat, Vidar unikał jej wzroku.

— Nie będę — zaprotestowała.

— Będziesz!

— Jesteś moim mężem! — podniosła głos.

— I właśnie dlatego chcę, żebyś pojechała sama i chwilę sobie ode mnie odpoczęła! Dlaczego mnie dręczysz?! Czego się boisz? Że spadnę ze schodów? Że się potłukę? Że nie pokroję sobie kotleta na talerzu?! Odsuść mi trochę, An! Nie potrzebuję choleralnej niańki, a gdybym nawet potrzebował, zawsze mogę zawołać Lempi.

Anna odstawiła miotłę do schowka i powoli skierowała się do drzwi. W progu odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na Vidara.

— To ty ode mnie chcesz odpocząć, prawda?

Vidar wreszcie popatrzył jej w oczy. Długo i intensywnie, jak gdyby chciał przejrzeć Annę na wylot, wniknąć we wszystkie sekrety, zdemaskować każdy błąd, grzech, wątpliwość. Nie odpowiedział. Anna również bez słowa kiwnęła głową i wymknęła się z kuchni. W sypialni przebrała się w dres. Postanowiła potrenować na świeżym powietrzu. Przecież biegła jako policjantka, nie zamierzała więc przestać teraz, kiedy już policjantką nie była. Pomyślała, że później kupi bilety na prom do Świnoujścia. Wypłynie w czwartek, a wcześniej, w poniedziałek, zanieśie na komisariat wypowiedzenie. Tak jak zapowiedziała Ingvarowi. Znowu się zobaczą. Dobre i to, kiedy na więcej nie można liczyć.

Rozdział 3

Dawniej w bieganiu chodziło o ruch. O to, by przyspieszyć krążenie krwi, pogłębić oddech, wzmocnić mięśnie, dotlenić mózg i skłonić organizm do pokonywania własnych ograniczeń. Anna biegła, bo chciała być silna i sprawna, musiała rozładować stres, potrzebowała wyłączyć myśli. Skupić się na rytmie, tempie, na zapachu lasu i głuchym odgłosie swoich kroków na ścieżce.

Teraz było inaczej — odkąd Vidar wyszedł ze szpitala i znowu zamieszkał w domu. Teraz Anna biegła po to, by dać upust złości. Tylko wówczas, jeden jedyny raz w ciągu dnia, była wobec siebie pobłażliwa i pozwalała sobie na negatywne uczucia wobec męża. Na złe myśli. Pretensje, wyrzuty, nawet na agresję. Tylko kiedy biegła, pozwalała sobie poczuć się odrzuconą, skrzywdzoną, ignorowaną, źle traktowaną. I otwierała się na to słowo, którego nienawidziła i którego nigdy nie wypowiadała na głos. „Nieszczęśliwa”. Anna była nieszczęśliwa. Zazwyczaj, ale oczywiście nie zawsze. Zdarzały się chwile, kiedy Vidar zdobywał się na uśmiech i kilka ciepłych słów czy gestów, jak dzisiejszego poranka przy owsiance. Częściej jednak był ponury i zamyślony, a w rozmowach bezustannie nawiązywał do tego, co dawniej robił, a czego teraz robić już nie może. Wymierzał Annie karę, dzień po dniu.

Przyspieszyła kroku i skręciła w głąb lasu. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała

się w poszukiwaniu złowrogich oczu i zaciętego wyrazu twarzy. Wy tężyła słuch, by pochwycić złośliwy śmiech. Pociągnęła nosem. Nie pamiętała już, jak pachnie strach. Zwykły, pierwotny strach, który każe uciekać lub walczyć o życie. Czy teraz właśnie go czuła? Czy gdzieś tam czaiło się niebezpieczeństwo? Wśród splątanych konarów, za zasłoną kolczastych krzewów, między grubymi kolumnami stuletnich pni? Roześmiała się głośno.

Obsesja.

W tym lesie Anna zawsze czuła się obserwowana. Choć teraz, w tej jednej konkretnej chwili wrażenie wydawało się mocniejsze niż zwykle. Może ktoś rzeczywiście na nią patrzy!?

Nie... Niemożliwe. Głupia, głupia!

Zaczęła biec na oślep, a zwieszające się nisko ostre i mokre gałęzie boleśnie smagały ją po twarzy. Oddychała głośno i ciężko. Szybko zdała sobie sprawę, że to nie był najlepszy dzień na trening. Zatrzymała się i oparła o pień drzewa, w które po chwili zaczęła tłuc pięściami, jak gdyby tym przepelnionym złością, agresywnym gestem chciała zmienić bieg wydarzeń. Mogli jeszcze mieć dobre życie! Ona i Vidar. Mogli. Gdyby tylko chciał, gdyby się postarał... Za każdym razem, kiedy Anna usiłowała z nim o tym rozmawiać, Vidar uśmiechał się gorzko i mówił, że ona absolutnie nic nie rozumie. I nie ma najmniejszego pojęcia, jak to jest... Faktycznie. Nie miała. Ta jedna uwaga wystarczyła, by Vidar zbijał wszystkie jej argumenty. Tłumaczenia, że przecież mają siebie, dom, firmę, nawet cholerne pieniądze. Nawet miłość. Jakąś na pewno. I nic. Nic nie wychodziło z tych rozmów, tłumaczeń, błagań. Anna straciła chęć i siłę.

A jednak dzisiejszego ranka, kiedy stała na skraju kifu w Kåseberdze, przez chwilę miała wrażenie, że da radę. Znajdzie w sobie energię do dalszej walki, być może nawet do błagania o wybaczenie. A jeśli to Ingvar dał jej tę siłę? Anna zacisnęła powieki. Nie powinna myśleć o Ingvarze. Odetchnęła głęboko i ruszyła w drogę powrotną. Biegła wolniej, zatapiając się w obłoki mgły. Las zwracał niebu wchłonięty wcześniej deszcz.

Kiedy Anna weszła na zwirowaną ścieżkę, prowadzącą do domu, kałuże odbijały nieśmiało promienie słońca. Nadmorski wiatr szybko uporał się z chmurami, po których nie było już śladu. Nad głową Anny rozciągał się bezkresny, czysty, błękitny sufit. Przystanąła na ścieżce i obróciła się wokół własnej osi. Objęła wrokiem drzewa, które jesień zdążyła już wymalować swoimi barwami, i zółkłą łąkę, płynącą aż do wydm. W oddali, za obłymi piaszczystymi pagórkami leniwie mrucało morze. Anna uśmiechnęła się, mimo iż dłonie wciąż bolały ją po nierównej walce, jaką stoczyła z drzewem.

Przynajmniej miała to miejsce. Ten dom. I przynależny do niego widok, z którym budynek tworzył niepodzielną całość. A to zawsze coś, o co warto walczyć. Nie każdy ma przecież tyle szczęścia w życiu, by znaleźć własną przestrzeń, w której od początku do końca może pozostać sobą.

Na ganku przed domem stała obładowana zakupami Lempi. Finka zastygła w bezruchu

i uporczywie wpatrywała się w wycieraczkę. Chyba w wycieraczkę. Anna widziała jedynie plecy gospośi, wygięte w delikatny łuk. Podbiegła do niej i spontanicznie chwyciła jedną z toreb. Chciała pomóc, ale Lempi poderwała się i — równie spontanicznie — wbiła Annie łokieć w żołądek.

— O mój Boże!!! Nic pani nie jest?! Jezus Maria! Przepraszam, to tylko tak mówię, nie żeby kogoś wzywać, ja wiem, że pan Vidar jest wyznania starotestamentowego, ale... Aaaaaa!!! — Finka urwała, kiedy Anna zgięła się wpół i zwymiotowała śniadanie. — Ależ ze mnie baba głupia, no! Pani komisarz!!! Żyje pani?! — Lempi również zgięła się wpół i zajrzała Annie w oczy. — Niech mi pani wybaczy, moja matka pochodzi z Moskwy i ja wcześniej tam pracowałam przez pół roku i — przysięgam na wszystkie świętości, eee, znaczy na... proroków i psalmistów — że tam starczyło się odwrócić, a już jeden z drugim zakupy kradli. No ja nie wiem, może to kwestia dzielnicy, a nie całej Moskwy, pojęcia nie mam, bo też po całej Moskwie to ja nie jeździłam, duże to i jakieś takie straszne, i kopuły jak u Turków... Pani komisarz!!! Och, pani się nie przejmuję, ja zaraz to zmyję...

— Lempi... Co ty chcesz zmywać? Krzaki? — zapytała słabym głosem Anna, przysiadając na schodku. — Nic się nie stało. W sumie powinnam się cieszyć, że jesteś ostrożna i umiesz się obronić. Ale następnym razem błagam — jedź do sklepu samochodem. To kawał drogi! Później możesz wejść do domu przez garaż, będziesz miała bliżej do kuchni i mniej się nanosisz. Przecież jest wolne auto do twojej dyspozycji. Vidar nie wspominał? — Anna skrzywiła się i złapała się za brzuch. Ta Finka odznaczała się jednak cholerną krzepą, nie ma co!

— Wspominał, ale... Widzi pani... Ja nie mam prawa jazdy.

Anna zamrugała wolno, jak lekko pijana sowa.

— Nie masz prawa jazdy? To jak ty po tej Moskwie się poruszałaś?

— Tam jest metro...

Lempi umilkła i spuściła wzrok. Pozbierała porzucane zakupy, zacisnęła palce na siatkach i dźwignęła je z ziemi, zaraz jednak na powrót upuściła. Anna mimowolnie drgnęła. Lempi wydała jej się nagle nieobliczalna. Wcześniej wymachiwała tasakiem i tłuczką do mięsa, później kontemplowała wycieraczkę, jeszcze później popisała się swoją znajomością sztuk walki — czy wschodnich, to już trudno określić — a teraz... Czyżby znowu wycieraczka? Finka wpatrywała się w jakiś punkt poza jej plecami. Anna ostrożnie obróciła głowę.

— No właśnie, bym zapomniała. Pani spojrzy. Na to patrzyłam. Co to? — spytała cicho Lempi, wskazując na ułożone pod drzwiami kartonowe pudełko.

Anna schyliła się i bez zastanowienia dźgnęła pudełko palcem. Poniewczasie przemknęły jej przez myśl bomby, granaty, węglik, gazy i inne śmieci. Jako doświadczona policjantka, w dodatku bogatsza o przeboje z Narcyzem i jego współnikami, powinna mieć się na baczności. Skoro jednak nic jeszcze nie wybuchło, Anna ostrożnie uniosła wieko i otworzyła ze zdumienia oczy.

— Wygląda jak ciasto — oświadczyła.

— Ciasto?! — Lempi zajrzała jej przez ramię. — Czy je?

— Cholera wie. Nie ma żadnej kartki?

Finka pokręciła przecząco głową. Przez chwilę obie wpatrywały się w kartonowe pudełko, w którym rozpychał się puszysty sernik w polewie czekoladowej. Tak też zastał je Vidar, kiedy szarpnął za klamkę i otworzył drzwi z zamiarem wytoczenia się w wózku na ganek. On również zastygł w bezruchu, z dłońmi na framudze. Za plecami Vidara zamajaczyła sylwetka młodego rehabilitanta. Anna rzuciła mężowi przelotne spojrzenie i wskazała palcem pudełko.

— Co właściwie robicie? — wykrzusił wreszcie Vidar i otworzył szerzej drzwi, by przepuścić rehabilitanta.

— Zobacz — odezwała się glucho. — Ktoś nam ciasto podrzucił. Wygląda smacznie.

— Pani tego nie dotyka, pani komisarz!!! — wydarła się nagle Lempi, ciągnąc Annę za rękaw. — To może być zatrute!!!

— Lempi, czy ty w tej Moskwie dorabiałas w jakimś KGB czy co?

Finka gwałtownie potrząsnęła głową, tak że jej ciemne, kręcone włosy wydostały się spod spineki i zaczęły sterczeć na wszystkie strony.

— Gdzie tam w KGB, przepraszam, ale teraz to pani trochę tym, no, stereotypem się posłużyła, że tak powiem. Bo jak Moskwa to zaraz KGB! Już tam KGB! Nie, nie... ja... czytałam kiedyś u Agathy Christie, że komuś przyślali kawałek tortu z... arsenikiem... chyba.

Na ganek zapadła głucha cisza. Pierwszy przerwał ją rehabilitant, Ebbe, który ryknął śmiechem. Anna również się roześmiała, a po chwili dołączył do nich Vidar. Tylko Lempi stała z założonymi rękami i wściekle tupiała nogą.

— Tak, tak, śmiecie się, a pewnie! Najlepiej to się śmiać z prostego człowieka ze wsi, który uniwersytetów nie pokonczył!

Anna, wciąż chichocząc pod nosem, podniosła się ze schodów i objęła Lempi ramieniem. Chciała ją przeprosić, jednak zanim wypowiedziała pierwsze słowo, musiała opanować kilka kolejnych wybuchów śmiechu. Ebbe opierał się o ścianę i trząsł się jak osika, a Vidar wycierał łzawiące oczy. Anna objęła Lempi jeszcze mocniej. Za widok płaczącego ze śmiechu Vidara byłaby w stanie postawić jej dziękczynny pomnik.

— Nie denerwuj się Lempi! Wszyscy bardzo cię lubimy! — pocałowała Finkę w oba policzki i poklepała ją po plecach. — Aha, Lempi... Możesz wzywać sobie do woli takich świętych, jakich chcesz. Tutaj panuje wolność wyznania. Możesz nawet składać ofiary Zeusowi, dopóki nie będą z ludzi ani ze zwierząt. I gwoli ścisłości — „starotestamentowy” jest tylko mój mąż. Ja nie.

— Właśnie — nieoczekiwanie wtrącił się Vidar. — I choć od ślubu minęło sześć lat, matka Anny ciągle nie może przeżyć, że jej córka wyszła za mąż za szwedzkiego Żyda.

Vidar powiedział to lekkim tonem i Anna z zaskoczeniem odkryła, że nie zamierzał tym razem być wobec niej złośliwy. Ich oczy spotkały się na moment. Vidar uśmiechnął się lekko i kiwnął głową, jak gdyby... na zgodę? Anna również się uśmiechnęła i po raz kolejny wskazała palcem niefortunne ciasto.

— Może faktycznie nie powinniśmy tego jeść?

Lempi, która wchodziła już po schodach z zakupami, ponownie upuściła siatkę i rzuciła się

w stronę sernika. Anna i Ebbe na wszelki wypadek zeszi jej z drogi.

— Ja!!! Ja się tego pozbędę, coby nikogo nie kusilo!!! Jak trzeba, to upiekę taki sam. A nawet lepszy! Co to za filozofia?! Każdy głupi by upiekł! — krzyknęła, po czym wydała z siebie coś w stylu przeciągłego „pffff”.

Mrucząc po nosie, Lempi podniosła z wycieraczki karton i trzymając go przed sobą jak odpad radioaktywny, ruszyła na tyły domu. Ebbe uspokoił się wreszcie, a jego buraczana od śmiechu twarz powoli odzyskiwała normalne kolory. Rehabilitant podał rękę Vidarowi i uśmiechnął się do Anny.

— No, to ja się zbieram. Udanego weekendu państwu życzę. Pan Lindholm nieźle poradził sobie dzisiaj z ćwiczeniami — zwrócił się jeszcze do niej i, kiedy Vidar nie mógł już widzieć jego twarzy, mrugnął porozumiewawczo.

Anna przez chwilę jeszcze obserwowała oddalające się od nich światła samochodu Ebbego. „Nieźle sobie poradził” znaczyło zazwyczaj tyle co: „postarał się wykonać wszystkie ćwiczenia, nie robiąc przy tym miny smarkacza obrażonego na cały świat”. Ale dzisiaj Anna miała wrażenie, że faktycznie było „nieźle”. Posłała Vidarowi ukradkowe spojrzenie. Patrzył przed siebie, a na jego wargach majaczył słaby uśmiech. Co mu się stało? Czyżby ten Ebbe był jakimś cholernym cudotwórcą? A może to meble, którymi Vidar na nowo się zainteresował?

— Pójdziemy na plażę? — odezwał się nagle, nie patrząc na nią.

— Chciałbyś? — spytała zdumiona. — Nie byliśmy razem na plaży od... Od...

— Chodźmy...

Vidar wykierował wózek na podjazd, a Anna zbiegła po schodkach. Kiedy zmierzali w stronę żółtej łąki, zakończonej piaszczystą wydumą, Vidar postanowił zaskoczyć Annę jeszcze raz.

— Odebrałem przed chwilą ciekawy telefon. Pamiętasz Sofię Stiatesi?

— Sofię Stiatesi? — Anna przystanąła, marszcząc brwi. — Stiatesi? Tak.. To ta szwedzka Włoszka, która kupiła sobie starą kamienicę w Wenecji i chciała urządzić cały parter na wzór dawnych arystokratycznych *palazzi*. Śpiewaczka operowa? I córka jakiegoś bogatego typu... Spała na forsie. Miała fantastyczne pomysły na wystrój wnętrz i meble... Co z nią? Myślałam, że zerwała kontrakt po... wypadku i... zatrudniła jakąś kobietę ze Sztokholmu.

Po twarzy Vidara przebiegł bolesny grymas. Anna nie wiedziała, czym został wywołany. Wspomnieniem wypadku, zerwanego kontraktu czy faktu, iż Stiatesi zatrudniła kogoś innego, a tym samym uznała, że Vidar Lindholm nie jest niezastąpiony.

— Chce odnowić współpracę. Marzą jej się meble wykonane na wzór tych z dawnego Ca Rezzonico. I jeszcze inne... Jak wrócimy z plaży, pokażę ci kilka zdjęć i... mały szkic.

— Zrobiłeś szkic?! — Anna powiedziała to głośniejszym głosem niż zamierzała, Vidar jednak niczym się nie przejął. Ze stoickim spokojem jechał dalej, a szum morza stawał się coraz bliższy. Anna po raz pierwszy poczuła coś dziwnego — coś, co do złudzenia przypominało subtelny, nieśmiały zwiastun ulgi.

Rozdział 4

Na komisariacie panował chaos, mimo iż Anna zjawiała się tu o wczesnej porze, licząc na krótkie sam na sam z Ingvarem. Ingvar zawsze zjawiał się w pracy o świcie i od razu zasiadał do papierkowej roboty. Nie znosił tego i każdego dnia usiłował skończyć z biurokracją, zanim na dobre zacznie się piekło. A piekło stanowiło część składową komisariatu i w zależności od dnia oraz aktywności przestępców mogło przybierać rozmaite formy, od łagodnie wirującej mikrofalówki, delikatnie odgrzewającej wczorajszy obiad, aż po rozżarzony piec kaflowy, w którym zła czarownica zamierzała upiec nieszczęsnego Jasia. Dzisiaj, jak widać, nastał czas złej czarownicy.

Anna chwyciła się za głowę. Kiedyś zupełnie nie słyszała tego hałasu. Nauczyła się tutaj żyć, była elementem tego pogrążonego w chaosie świata, trybikiem maszyny, która mimo wielu niedostatków i co rusz psujących się części działała całkiem sprawnie. Teraz jednak dźwięki ukłuły ją w uszy. Odzwyczaiła się. W zakładzie meblarskim „Lindholm” pracownikom również zdarzało się wydierać i popisywać kreatywnością w wymyślaniu nowych przekleństw, ale to... było coś zupełnie innego. Anna poczuła wyraźny kontrast między skotlowaną atmosferą komisariatu, a uśpionymi uliczkami Ystad, którymi spacerowała jeszcze przed godziną.

Uwielbiała Ystad o świcie i kiedy pracowała w policji, zawsze wyjeżdżała z domu wcześniej, by choć przez chwilę poszpendać się po rynku, Stortorget czy po Mariagatan, gdzie Henning Mankell kazał zamieszkać swojemu książkowemu Kurtowi Wallanderowi. Po Mariagatan każdego dnia pałętał się przynajmniej jeden amator Wallandera. Nawet o szóstej rano. Anna musiała przyznać, że był to ciekawy element lokalnego folkloru.

— Komisarz Lindholm! — usłyszała za plecami i uśmiechnęła się.

Edvin Blom, śledczy, wraz z którym Anna zaczynała pracę w Ystad i którego prześcignęła w walce o stanowisko komisarza, wyłonił się z tłumy. Miał na sobie wymiętą koszulkę i poplamione kawą dżinsy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i teatralnie zsalutował. Nigdy nie chował do Anny urazy za to, że właśnie ona awansowała, a nie Edvin, mimo iż była od niego o kilka lat młodsza i przed Ystad nie miała żadnego innego zawodowego doświadczenia. Edvin zaś pracował wcześniej w Malmö i Helsingborgu, gdzie zaczynał od drogówki i zaliczał po kolei wszystkie obowiązkowe szczeble policyjnej kariery, kroczył po krocisku. Bez żadnych spektakularnych sukcesów. O Annie zawsze mówił: „zdolna gówniara”.

— Weź odpuść sobie tego komisarza, co? — podeszła do kolegi i cmoknęła go w policzek — Głośno tu.

Edvin kiwnął głową. Zaraz jednak zmienił się na twarzy i chwycił za szyję, jak gdyby coś utkwilo mu w przełyku. Anna zmrugała oczy.

— Co się stało? — spytała powoli, a jej głos zabrzmiał głucho. Miała wrażenie, że na komisariacie zrobiło się nagle potwornie duszno. — Edvin! Co jest?! I w ogóle... Gdzie jest

Ingvar? Powinien tutaj być, zawsze przyłazi o szóstej rano. Chyba... Chyba nie wywiało go jeszcze w teren?

Śledczy milczał uparcie i tępo wpatrywał się w Annę. Widziała, że się waha. Złapała go za ramiona i syknęła:

— Gadaj!

Edvin rozejrzał się na boki, ale w ogólnym rozgardiaszu nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi. Tylko kilka znajdujących się w pobliżu osób uśmiechnęło się do Anny, kilka kiwnęło jej głową lub rzuciło zdawkowe „dzień dobry”, a jeszcze kilka... zerknęło na nią uważnie. Coś się działo. Anna nie miała w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Edvin chwycił ją za łokieć i pociągnął do gabinetu, który jeszcze do niedawna należał do niej. A właściwie nadal należał. Na drzwiach wciąż połykiwała tabliczka z napisem: „Komisarz Anna Lindholm”.

Usiadła na obrotowym krzeselku, które, tak jak się tego spodziewała, znajomo zakrzywiło. Edvin przestępował z nogi na nogę i miął w palcach materiał koszulki. Anna pomyślała, że ten gest dość dobrze tłumaczy wygląd jego odzieży. Zastukała palcami w blat biurka. Edvin westchnął.

— Narcyz... — zaczął, a Annie przebiegł po plecach lodowaty dreszcz.

— Tylko mi nie mów, że uciekł — odezwała się cicho i wpatrzyła w swoje dłonie. W uszach jej szumiało, serce biło wściekle.

— Nie uciekł. Umarł. To znaczy... — Edvin urwał.

— Został otruty — dokończył za niego ktoś inny. Głos dochodził od strony drzwi. Anna dobrze знаła ten ton.

Ingvar Frisk wsunął się do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na Annę z niepokojem i... smutkiem? Przełknęła ślinę. Ingvar postawił na biurku dwa kubki z parującą kawą, zerknął na Edvina i wzruszył ramionami.

— Przepraszam, stary, powiedzieli mi, że Ana przyszła, ale nie wiedziałem, że też tu jesteś i sobie gadacie.

— Przy cisnęła mnie — mruknął Edvin, z tęsknotą spoglądając w kierunku kawy.

W gabinecie zapadła głucha cisza, w którą wgryzało się jedynie tykanie ogromnego ściennego zegara. Zegar ten był prawdopodobnie droższy niż całe wyposażenie biura. Anna dostała go w prezencie od Vidara tuż po podróży poślubnej, w którą wybrali się na Kubę. Na Kubie czas stanął w miejscu i zdawało się, że świat poza wyspą nie istnieje, a rzeczywistość nie podlega nieustającym metamorfozom. To było jak stop klatka. Jak oddech.

Kiedy pracowała, często miała wrażenie, że czas stoi w miejscu. Zwłaszcza jeśli trafiała się wyjątkowo trudna sprawa, nad którą musiała długo i intensywnie myśleć, przedzierać się przez materiał dowodowy, sprawdzać, pytać, szukać, wyłuskiwać wszelkie niejasności. Nie słyszała wówczas słów ponaglenia, ignorowała prywatne telefony, nie sprawdzała, która godzina. Vidar ofiarował zatem Annie zegar. Tak wielki, by od razu rzucał się w oczy. Drewniany, antyczny, pięknie rzeźbiony i bardzo cenny. Szwajcarski. Po szwajcarsku dokładny. Wyraźnie słyszała jego tykanie, które nie pozwalało nawet na moment zapomnieć o upływie czasu. Także teraz.

Ingvar podniósł do ust kubek z kawą, ale nie wypił nawet łyka. Była dla niego zbyt gorąca.

Jak zwykle.

— Ana, słuchaj... Kiepska sprawa z tym Narcyzem — zaczął.

— Skąd wiesz, że ktoś go otrul? — Anna weszła mu w słowo.

— Wyszło w sekcji zwłok, ale od razu takie było podejrzenie. W sobotę rano zachowywał się normalnie, jednak skarżył się coraz częściej na złe samopoczucie. Wszyscy go olali, bo myśleli, że chce po prostu wymusić wycieczkę do szpitala. Ale wieczorem wykitował. Wymiotował, zwił się z bólu, no... cierpiał.

Ingvar urwał, a Anna poczuła dziwną satysfakcję. Narcyz cierpiał. I dobrze. Powinien cierpieć i tak właśnie skończyć swój marny, cuchnący, bezsensowny żywot. Poprawiła się na krześle. Sięgnęła po swoją kawę. Dłoń bardzo jej drżała, kiedy podnosiła kubek do ust.

— I co dalej? — spytała.

— Dalej? — Ingvar przeczesał palcami włosy. Anna domyśliła się, że tej nocy w ogóle nie był w domu. I na pewno nie przespał ani minuty. — Dalej, hm... Wezwano lekarza, ale nic już nie można było zrobić. Sekcja zwłok wykazała, że Narcyz był podtruwany arsenikiem od dawna. Podawano mu go w małych dawkach. Strażnicy zeznali, że faktycznie skarżył się na złe samopoczucie, zmizerniał jakoś i wychudł, ale zrzucano to na karb więziennych warunków, jedzenia i dyscypliny. Narcyz ponoć złe też znosił zamknięcie, wykazywał objawy klaustrofobii, miał ataki paniki. No... Rozumiesz, Ana, nikt się specjalnie tym nie przejął. Facet zabił dziesięć kobiet... Udowodniono mu jedno morderstwo, ale każdy swoje wiedział. No to teraz pozwolono, by trochę pocierpiał. Przecież sobie zasłużył. A jednak to nie była żadna kara z niebios. Ktoś go sukcesywnie truł. Organizm był osłabiony, dostał większą dawkę arseniku i to wystarczyło, żeby kopnął w kalendarz.

— Nie powiem, żeby mnie to martwiło, ale... — zaczęła Anna. Wstała z krzesła i podeszła do okna. Zawsze tak robiła, kiedy wspólnie z Ingvarem i Edvinem myśleli nad sprawą. Podchodziła do okna i patrzyła na drzewa. Niekiedy potrafiła tak stać przez godzinę, wykonując zaledwie pojedyncze mikroruchy. — Ale kto się go pozbył? I co to oznacza dla naszego śledztwa sprzed ponad pół roku? Podejrzewasz... Tego jego współnika od czarnej toyoty, który próbował mnie zabić? Nigdy go nie znaleziono. Ani auta.

Anna oparła dłonie o parapet i zacisnęła powieki. Wspomnienie wypadku wróciło do niej ze zdwojoną siłą. Słyszała swój własny krzyk i widziała szeroko otwarte oczy Vidara, czuła pulsujący ból głowy i szyi. Pamiętała zapach spalonej gumy, krew na dżinsach, włosy przyklejone do policzków. Palce lewej dłoni Vidara zaciskające się coraz mocniej na jej nadgarstku. Poczowała to dopiero po chwili. Każdą część ciała czuła mocniej niż ten nadgarstek. Wreszcie oswoiła się ze swojego pasa i zaczęła szamotać się z pasem Vidara. Ale on nic nie zrobił, tylko słabo poruszał wargami. Zanim Anna wyciągnęła męża z auta, minęło sporo czasu. Gdzieś na obrzeżach jej świadomości kołatało się ostrzeżenie, że nie powinna go ruszać. A jednak dobrze zrobiła. Zdążyła w ostatniej chwili, nim auto stanęło w płomieniach. I wciąż miała do Vidara te dziwne pretensje. Że jej nie pomagał. Że nie ruszał się, a ona ledwo dała radę przeciągnąć go te kilka metrów.

Wypadek wydarzył się w lesie, na obrzeżach Ystad, późno w nocy. Wracali do domu.

W pobliżu nie było widać żywej duszy, a po czarnej toyocie pozostał tylko ślad opon na asfalcie. Telefon Vidara właściwie rozpadł się na części, zaś komórka Anny — mimo iż w jednym kawałku — nie chciała się włączyć. Zanim Anna przywlekała się do domu, minęła prawie godzina. W ogóle nie pamiętała tej drogi. Jedyne to, że wymiotowała z bólu głowy, płakała i wciąż zadawała sobie pytanie, czy odciągnęła Vidara wystarczająco daleko od płonącego samochodu i czy w ogóle powinna zostawiać go tam samego.

Dwa dni później, w szpitalu, Ingvar przekazał jej list, który dostarczono na komisariat. Zaadresowany był do komisarza Lindholm i nadany z więzienia w Malmö. Narcyz pisał, jak to dobrze się stało, że Anna wyszła cało z wypadku i wyrażał troskę o jej przyszłe bezpieczeństwo... Musiał maczać w tym palce. Musiał... pociągając za sznurki. A jednak kierowcy toyoty nigdy nie odnaleziono. Samo auto również zapadło się pod ziemię.

— Ana...? Dobrze się czujesz? — Ingvar zmaterializował się tuż za jej plecami.

Odwróciła się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ingvar wydał jej się nagle przestraszony jak małe, bezbronne dziecko. Chciała go dotknąć. Stali teraz tak blisko siebie, że Anna poczuła na policzku jego oddech i znajomy zapach wody toaletowej, który zawsze kojarzyła z poczuciem bezpieczeństwa. Kiwnęła głową i przygryzła wargę.

— W porządku. Tylko... Czy to znaczyłoby, że... — Anna bała się wypowiedzieć na głos to, czego wszyscy po cichu już zaczęli się domyślać. Wzięła głęboki wdech. — Czy to znaczyłoby, że Narcyz wcale nie był szefem, tylko... czyjąś marionetką? I teraz, kiedy nie był już potrzebny, został zlikwidowany?

Edvin chrząknął w tle i Ingvar drgnął. Anna również przypomniała sobie o obecności jeszcze jednej osoby w gabinecie. Odsunęła się od okna i na powrót usiadła na obrotowym krześle. Ingvar oparł się o biurko. Sięgnął po kawę, która wystygła wreszcie na tyle, by mógł się napić.

— Być może. Tak naprawdę nic jeszcze nie wiem. Może też być tak, że Narcyz wiedział coś o kimś i dlatego został usunięty. I to coś wcale nie musi się łączyć z morderstwami. Wcześniej Narcyz był biznesmenem, robił interesy, hodował kwiaty i handlował nimi na dużą skalę, miał różne znajomości... Cholera go wie. Na razie techniczni lustrują jego rzeczy w celi. Ale nie powiedziałem ci jeszcze czegoś, Ana... Nie mam pojęcia, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. I czy to nie jest żadna ściema, żeby ci skomplikować życie. Zanim umarł, Narcyz powiedział... — Ingvar urwał i wyciągnął telefon komórkowy. Uruchomił dyktafon. — Kazał lekarzowi to nagrać i ci przekazać.

Anna zdrętwiała. Wyjęła z dłoni Ingvara telefon i wcisnęła guzik. Od razu rozpoznała dość wysoki jak na mężczyznę, nieprzyjemnie brzmiący głos: „Powiedz komisarz Lindholm, że to nie ja... To nie byłem ja. Nie miałem nic wspólnego z toyotą i tamtym lasem”. Mężczyzna mówił z trudem, sapał, kasłał i ciężko wdychał. Anna pobałda. Odśluchiwała nagranie jeszcze raz. I później jeszcze raz. I jeszcze... Wreszcie Ingvar zabrał telefon i chwycił ją za rękę. Anna zdrząła. Po jej policzkach zaczęły kapać łzy.

To musiał być Narcyz! Wtedy w lesie!

Za tym wszystkim musiał stać Narcyz! Musiał!

Tak by ło łatwiej...

Anna musiała mieć kogoś, kogo mogła obarczyć winą. Kogoś, kogo twarz znała i potrafiła sobie w kaźdej chwili wyobrazić. Ingvar ukłął przy niej i, nie zważając na obecność Edvina, objął ją ramieniem.

— Podszyl się pod ten wypadek? Chciał, żeby m go obwinila? — spytała głucho.

— Niekoniecznie — odezwał się wreszcie Edvin. — Być może... Został nakloniony do napisania tego listu. Albo o wszystkim wiedział, ale nie pociągał za sznurki. Albo... krył kogoś. Istnieje duzo możliwości. Ten facet nie był normalny. Może nawet zwyczajnie skłamał, żeby jeszcze przed śmiercią zdążyć wbić ci ostatnią drzazgę.

Anna wyswobodziła się z objęć Ingvara i wstała z krzesła. Położyła na biurku tekturową teczkę.

— To moja rezygnacja, tak jak się umawialiśmy.

Ingvar spojrzal na nią bez słowa. Anna skierowała się do drzwi. Jak w transie szła przez korytarz, mijala znajome twarze, omiatała wzrokiem meble i rekwizyty policyjnego życia. Nie mogła złapać tchu i żeby się uspokoić, zaczęła liczyć kroki. Kiedy wyszła na powietrze, oparła się o ścianę budynku i tępo wpatrzyła się przed siebie. Usłyszała obok czyjś głos, a później poczuła dotyk i zapach. Dała się zaprowadzić do samochodu. Uliczki Ystad i budynki, które zawsze uważała za wyjątkowo urokliwe, nagle wydały jej się obce i odpychające. Poza jednym... Małym, parterowym domkiem wymalowanym na ceglasty kolor, z białymi okiennicami, krytym ciemnozieloną dachówką. Na parapetach poustawiane były prostokątne donice, z których zwieszały się czerwone i białe pelargonie. Anna nie miała pojęcia, kiedy Ingvar o nie dbał. I jak to robił, że jego dom wyglądał smakowicie niczym piernikowa chatka. Wyszli z auta i już po chwili znaleźli się w pachnącym drewnem przedpokoj. Anna bez słowa ruszyła w stronę sypialni.

Rozdział 5

Kiedy otworzyła oczy, natychmiast usłyszała dobiegające z dworu odgłosy wesolej rozmowy, prowadzonej po angielsku. Dyskusja dotyczyła, rzecz jasna, Kurta Wallandera. Jakaś dziewczyna na przekonywała jakiegoś chłopaka o wyższości szwedzkiego serialu o komisarzu z Ystad nad serialem angielskim, w którym główną rolę grał Kenneth Branagh. Idol Ulfa z komendy.

Anna przeciągnęła się i rozejrzała po przytulnej, choć dość oszczędnie urządzonej sypialni. Mimo iż Ingvar Frisk mieszkał w pobliżu Mariagatan i był niemal „sąsiadem” Wallandera, w niczym go nie przypominał. Wiódł wprawdzie życie w pojedynkę, ale bardzo dbał o swój dom, o zdrowie, formę, a nawet wygląd. Anna nie raz podziwiała jego dietetyczny reżim, któremu ona

sama nigdy w życiu nie potrafiłaby sprostać. Tak Ingvar Frisk robił, co mógł, by pomimo zawodu, który wykonywał, pozostać przy zdrowych zmysłach. On nigdy nie zasnąłby na sofie, spity do nieprzytomności jak Kurt Wallander. Nie zdzierzyłby brudnej bielizny i śmieciowego jedzenia. Ciekawe, co też ta angielska dziewczyna na i jej angielski chłopak powiedzieliby na takiego policjanta z Ystad? Na nadkomisarza Friska, ze śniadą cerą, idealną sylwetką, czarnymi włosami i zdrowym stylem życia? Anna uśmiechnęła się. Z pewnością Ingvar wydałby się im zbyt perfekcyjny jak na współczesne wzorce literatury kryminalnej...

Usiadła na łóżku i zmarszczyła brwi. Sięgnęła do torby po telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się informacja o tym, że wybiła dwunasta w południe, dwa razy dzwonił Vidar, trzy razy Lempi i raz... Ulf z komendy. Ten ostatni wysłał również esemes: „Weź nie świruj z tą rezygnacją!!!”. Weź nie świruj... Anna podniosła się z łóżka i zeszła do kuchni. Ingvar przygotowywał przy blacie kanapki, które — w to nie wątpiła — z pewnością były bardzo zdrowe. Dojrzała jakieś kielki, warzywną pastę i ekologiczne pomidory. Ingvar miał na sobie tylko dzinsy. Był boso i bez koszulki. Anna podeszła do niego i objęła go w pasie. Znieruchomiał na chwilę, po czym obrócił się delikatnie. Anna również nie zdążyła się jeszcze ubrać. Owinęła się pospiesznie w cienki pled z polaru, który niespecjalnie chronił przed październikowym chłodem. Ingvar nie przepadał za uruchamianiem centralnego ogrzewania, dopóki nie nastały porządne mrozy. Przycisnął Annę do siebie i potarł jej ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka.

— Zimno ci — powiedział. — Ubierz się.

— Nie chcę.

Nie chciała. Nie chciała jeszcze się żegnać ani też jeść tych kanapek, które z pewnością stanowiły początek końca. Preludium dla słów: „do widzenia”. Anna pokręciła stanowczo głową, a Ingvar rozwinął jej pled, który upadł na ziemię. Tym razem nie dotarli do sypialni. Kochali się na sofie w salonie, szybko i nerwowo. Kiedy po wszystkich spojrziała mu w oczy, dostrzegła w nich ból i smutek. Nie powinna była tego robić. Przychodzić tu. Prowokować go.

— Kocham cię — szepnęła. — Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową. Ingvar ani razu nie zapytał o to, co powiedziała wtedy, na parkingu w Kåseberdze. Może bał się, że ona wszystkiemu zaprzeczy? Odwoła te słowa, powie, że się pomyliła? A przecież Anna nie zamierzała niczego odwoływać. Nie potrafiłaby okłamać Ingvara.

Kiedy siedzieli w kuchni nad kanapkami, nie rozmawiali już więcej o swojej relacji. Ingvar wykazywał coraz większe zdenerwowanie, a Anna raz po raz spoglądała na zegarek.

— Dlaczego pozwoliłeś mi zasnąć? Jest środek dnia! Pewnie masz mnóstwo pracy, a ja muszę wpaść do warsztatu i pogonić fachowców, bo zbliża się termin zamknięcia jednego zlecenia. Powinam też obdzwonić kilku ważnych klientów... Ingvar... Co ty myślisz? Tak naprawdę? O Narcyzie? Nie ma tutaj Edvina. Nie musisz uważać.

— Nie mam pojęcia, co myśleć, szczerze mówiąc. — Ingvar odłożył na talerz nadgryzioną kanapkę. — To dziwna sytuacja i nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Na razie badają sprawę w Malmö, ale myślę, że w końcu nas tam zaproszą, bo Narcyz długo działał w okolicach Ystad. No i to ty go rozgryzłaś, więc jesteś pewnie pierwsza na ich liście do ewentualnej

współpracy...

Anna przy gryzła wargi. Zupełnie o tym nie pomyślała. Przez chwilę w zadumie bawiła się rogiem serwetki. Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy wróciła z pracy i znalazła plik czasopism pod wycieraczką. O świetle pobiegła na komendę, żeby wraz z Ingvarem poprzeglądać tę „brązową” prasę i zwrócić jego uwagę na pięknego blondwłosego hodowcę kwiatów. Ingvar nie miał skrupułów, choć spodziewała się czego innego. Myślała, że będzie jej kazał zachować ostrożność, bo przecież każdy by tak zrobił. Ale on najwidoczniej również chciał za wszelką cenę dorwać mordercę. Kazał Annie działać. Sama się wszystkim zajęła i wiele przy tym ryzykowała. Wzięła Eliasa Perssona pod lupę, nawiązała kontakty z ludźmi, którzy go znali, przyjrzała się jego interesom, poznała zwyczaje, zainteresowania, hobby, nawet nawyki żywieniowe. A później przedstawiła Ingvarowi dowody. Był pod wielkim wrażeniem. Nie rozmawiali za wiele o człowieku, który umieścił gazety pod wycieraczką. I nigdy niczego się o nim nie dowiedzieli. A w gruncie rzeczy bez pomocy tego „kogoś” nie zwróciłaby uwagi na Perssona. Cholerna wycieraczka! Wszyscy się na nią uwzięli. Najpierw gazety, teraz ciasto. Ciasto, ciasto... Czy te dwie sytuacje należało ze sobą łączyć?

— Musisz im powiedzieć, że ja już nie pracuję w policji — zaczęła, ale Ingvar nie dał jej dokończyć.

— Ana, moim zdaniem powinnaś się wstrzymać z tą rezygnacją. Ja nie mówię, że masz przyłączyć do komisariat. Weź kolejny bezpłatny urlop, jeśli chcesz, ale dopóki jesteś zatrudniona w policji, ciągle masz odznakę i... dostęp do broni. Gdyby okazała się potrzebna.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Anna odsunęła od siebie talerz. Straciła apetyt.

— Nic konkretnego. Otrucie Narcyza równie dobrze może nie mieć z tobą żadnego związku, ale jednak to ty go rozpracowałaś i wpakowałaś do pierdła. Wszyscy to wiedzą. Nawet w gazetach pisali... Musisz po prostu bardziej uważać. — Ingvar wstał i wyszedł z kuchni. Po kilku minutach wrócił z tekturową teczką w dłoni. — Zabierz to. Nie składaj rezygnacji. Poczekaj jeszcze trochę, proszę. I Ana... Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Malmö, jeśli nas rzeczywiście tam zaproszą. A zaproszą na sto procent. Dałabyś radę?

— Nie wiem. Ale to pewnie i tak nie wchodzi w grę, bo w czwartek płynę promem do Świnoujścia, a potem jadę na Hel. Moja siostra bierze ślub i muszę tam być. Mówiłam ci.

— Mówiłaś. Ale jeszcze nie byłaś pewna, czy pojedziesz — odparł Ingvar. Był rozczarowany.

On również odsunął od siebie talerz z niedojedzoną kanapką. Anna była ciekawa, czy tak właśnie wyglądałoby ich wspólne życie. Rozmowy na temat seryjnych zabójców przy śniadaniu... Wspaniały sposób, by pobudzić apetyt.

— Bo tak naprawdę nie wiem, czy chcę tam być. Raczej nie chcę. Ale powinnam, to w końcu moja siostra.

— Rozumiem. A... Vidar? Jedzie z tobą?

Anna przelknęła ślinę. Ingvar rzadko wymieniał imię jej męża. Pytał o niego zdawkowo od czasu do czasu i na tym koniec. To nie był łatwy temat. Anna zaprzeczyła. Wstała z krzesła,

podeszła do Ingvara i usiadła mu na kolanach.

— Nie jedzie. Dziwnie się zachowuje. Zaczynam podejrzewać u niego coś na kształt choroby dwubiegunowej. Raz depresja, innym razem może nie do końca euforia, ale jednak względne zadowolenie. Tak jak teraz, w weekend. W sobotę rano powiedział mi, że mam jechać w cholerę na Hel, że on też chętnie sobie ode mnie odpocznie, a niecałe dwie godziny później proponuje mi małą wycieczkę na plażę, na której nie byliśmy, od kiedy zdarzył się wypadek. I śmieje się z...

Ingvar poruszył się niespokojnie. Anna umilkła. Zachowała się głupio. Po co opowiadała mu to wszystko o Vidarze?! Nie przyszła tutaj przecież na terapię małżeńską. Pocałowała Ingvara w szyję. Kretynka! Mogłaby się na coś zdecydować, zamiast się tak bez sensu miotać. A teraz jeszcze ten otruty Narcyz Otruty... Anna wyprostowała się nagle i poczuła, że wszystkie jej mięśnie sztywnieją. Ingvar spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Słuchaj... To otrucie Narcyza... Sprawdzali już jego żarcie?

— Sprawdzali, ale jeśli był podtruwany od dawna, to tak naprawdę nie wiadomo, w czym dokładnie znajdowały się te niewielkie ilości. Arsenik właściwie nie ma smaku. A co do finalnej dawki, to w sumie wszystko jest jasne, bo...

Anna podniosła się z kolan Ingvara i zaczęła niespokojnie krążyć po kuchni. Arsenik. Taki staromodny sposób zabijania. Jak w filmach. *Kolacja z arsenikiem. Arsenik i stare koronki*. Znalazłoby się jeszcze mnóstwo innych tytułów. Ale jak to możliwe, że Narcyza otruto w więzieniu? I dlaczego akurat arsenikiem, a nie czymś trudniej wykrywalnym i prostszym w... „obsłudze”?

— Jak to możliwe, że Narcyza otruto w więzieniu? — powiedziała na głos. — Ciągle nie mogę tego pojąć...

Ingvar również wstał od stołu i położył jej dłonie na ramionach.

— Jeśli chodzi o tamte poprzednie podtrucia, to, jak już mówiłem, nie wiem. Teraz pewnie się zacznie przeglądanie taśm z monitoringu. Ale co do finalnej dawki, to właśnie miałem zamiar ci powiedzieć. Nie pozwoliłaś mi skończyć — Ingvar cmoknął Annę w czubek nosa. — W sobotę rano Narcyz dostał paczkę. Podobno od matki. Zbliżały się jego urodziny i kobiecina miała przysłać mu ciasto. Jego ulubione. Sernik z polewą czekoladową. I ze specjalną przyprawą, nie muszą chyba dodawać. Sernik był dosłownie naładowany arsenikiem. Całe szczęście, że Narcyz nie poczęstował kolegów z paki, bo normalnie wyszłaby ostatnia wieczerza. A raczej ostatnie śniadanie. Oczywiście od razu chciałem sprawdzić tę kobietę, ale problem w tym, że teraz nie ma jej w kraju, co już wydaje się pode... Ana! Co się dzieje?! Ana!!!

Anna pobladała śmiertelnie i osunęła się na ziemię. W gardle zaschło jej tak, że przełykanie śliny sprawiało ból. Sernik Z czekoladą... Pieprzony sernik, który wydał jej się nagle najbardziej absurdalnym, surrealistycznym elementem niedalekiej przeszłości. Skąd się tam wziął? Do niczego nie pasował. Do niczego. Był jak dziergana na szydełku „babcina” narzuta w futurystycznym, szklanym wnętrzu. Był jak skrawek wędzonego łososia zdobiący ostatnie piętro czekoladowego tortu. Był abstrakcyjny tam, na jej wycieracze. Dlaczego tak łatwo

wypuściła go z pamięci? Przecież nie powinien się tam znaleźć.

— Ja też... — odezwała się słabo. — Ja też dostałam... Dostałam...

Rozdział 6

Telefon Lempi milczał, a komórka Vidara przemawiała głosem automatycznej sekretarki. Żołądek Anny skurczył się ze strachu. „Odbierz, odbierz”, powtarzała bez sensu i kłęła, kiedy odpowiadał jej sygnał wolny. Najbardziej zniechęcony w tej chwili dźwięk na świecie. „Nic nie mogło się stać”, powtarzała sobie w panice. Dzwonili do niej przecież — Vidar dwa razy, Lempi trzy. Wcale nie tak dawno temu. Dzwonili, a więc nic im nie było. Oddychali, przeżykali ślinę, ich serca biły. Czy również bali się, kiedy Anna nie odbierała? Czy także zniechędzili sygnał wolny?

Zacisnęła palce na pasie bezpieczeństwa. Ingvar uruchomił silnik i wrzucił na dach służbowego auta migającego koguta. Zadzwoił na komisariat i wydał polecenie, by wysłano radiowóz do domu Lindholmów, ale — ku swojemu zaskoczeniu — usłyszał, że przed niecałą godziną pojechało tam już dwóch funkcjonariuszy. Dostali wezwanie... Anna schowała telefon do torby. Pomyślała, że nie znieśie kolejnego sygnału wolnego. Wezwanie, przed godziną. Wtedy właśnie kochała się z Ingvarem na żółtej sofie. Chyba. A może to było jeszcze wcześniej? Jak długo jedli kanapki z ty mi pieprzony mi kielkamy? Jak długo rozmawiali o Narcyzie?!

— Mogłam oddzwonić. Powinłam była oddzwonić. Jak tylko się obudziłam. Dzwoniła Lempi. I Vidar. Powinłam oddzwonić!!! — powtarzała jak automat, kiedy Ingvar pokonywał kolejne uliczki Ystad. Wreszcie minął zabudowania i wcisnął gaz.

— Przestań, proszę. Skąd mogłaś wiedzieć? — rzucił i przez całą drogę więcej się nie odezwał. Zaciskał szczęki tak mocno, że jego twarz wydała się Annie niemal kwadratowa.

Skąd mogła wiedzieć? I to on pytał? Nadkomisarz Ingvar Frisk? On akurat powinien świetnie ją rozumieć. Powinien rozumieć, że właśnie mogła wiedzieć, że wręcz musiała czegoś się domyślić. Ale Anna, mimo ośmiu lat przepracowanych w policji, mimo doświadczenia w wydziale zabójstw i mimo niemałych sukcesów w łapaniu przestępców, okazała się ślepa i głucha. Śmiała się z pieprzonego sernika jak jakaś kretynka! Cieszyła się z tego, że Vidar śmiał się również. I że Ebbe się śmiał. I Lempi. A przecież Anna nie powinna się śmiać. Powinna patrzeć bardziej podejrzliwie na to cholerne ciasto. Ludzie nie podrzucają sobie przecież ot tak ciast na wycieraczkę!

Idiotka! Skończona idiotka!!!

Pomyślała przecież o wągliku i bombie... Dlaczego nie przyszedł jej do głowy dobry stary arsenik? To już Lempi wykazała się większą przytomnością umysłu. Bo przeczytała książkę Agathy Christie!!! A Anna? Dlaczego Anna nie przeczytała tej cholernej książki?! No dlaczego?

A zresztą... Gdyby nawet był w nim arsenik, to ciasto nie mogło już nikomu wyrządzić krzywdy. Trafiło do śmietnika. Nikt go przecież stamtąd nie wyciągnął, prawda? Musiało chodzić o coś innego. Coś innego musiało się... stać.

Przed domem Anny i Vidara rzeczywiście stał radiowóz. A jednak nic się więcej nie działo. Wokół panowała głucha cisza. Wiatr delikatnie kołysał drzewami i budził fale na morzu żółkłej trawy, ciągnącej się aż po wydmy.

Gdzieś w oddali szczekał pies.

Śpiewała mewa.

Zakrakęła wrona.

Krzewy nadal okalały dom, a w ogrodzie bujała się drewniana huśtawka.

Nad ziemią nisko zwisały się ciężkie, granatowe chmury, które raz po raz uwalniały leniwe krople deszczu. Anna miała wrażenie, że cisza nasila się i gęstnieje z każdą sekundą. Bała się wysiąść z samochodu Ingvara, a jednocześnie chciała już wszystkiego się dowiedzieć. Zobaczyć to, co było do zobaczenia, i raz na zawsze przestać snuć domysły. Obrazy podsuwane przez wyobraźnię by wają niekiedy znacznie gorsze od tych malowanych przez rzeczywistość.

Ingvar otworzył drzwi i podał jej rękę. Niemal wywłókł Annę z auta. Była mu za to wdzięczna. Razem przeszli przez podjazd i skierowali się na ganek. Ingvar obrzucił wzrokiem pusty radiowóz, a ona sięgnęła do torby po klucz. Niepotrzebnie. Drzwi były otwarte. Anna weszła do hallu i szybko zapaliła światło. Ciemność po raz pierwszy w życiu naprawdę ją przeraziła.

— Vidar! — zawołała. Jej głos zabrzmiał jak rozstrojone skrzypce. — Lempi!

Z kuchni dobiegły ją jakieś odgłosy. Był to, zdaje się, dźwięk tłuczonego szkła. I rozmowa. Głos męski zmieszał się z damskim. Anna rzuciła się w tym kierunku, ciągnąc za sobą Ingvara. Wpadli do kuchni razem, przepychając się w progu. Na podłodze Lempi zbierała odłamki stłuczonego talerza, a odziany w mundur policjant przytrzymał jej szufelkę. Anna oparła się o ścianę i odetchnęła ciężko. Zamrugnęła powiekami, by się nie rozplakać. „Naprawdę nic się nie stało, nic się nie stało, nic...”, powtarzała sobie w duchu, bo trudno jej było w to uwierzyć.

Lempi poderwała się i zamachała rękami.

— Pani komisarz, co myśmy tu mieli!!! Dlaczego pani telefonu nie odbierała? Jezus Maria!!! No to jak pani nie odbierała, to myśmy zadzwonili na policję, bo i tak trzeba było. Święci Pańscy! Pan Lindholm powiedział, że nie można tego tak zostawić. O Jezu, Jezu!!! Dobrze, że pani jest!!! I pan też... Chyba? — Lempi zerknęła niepewnie na Ingvara i prawie dygnęła.

— Gdzie Vidar? — spytała Anna, ledwie panując nad głosem.

— Z tyłu, za domem! Rozmawia z tym drugim policjantem! Co myśmy tu mieli!!!

Anna oderwała plecy od ściany i rzuciła się do tylnego wyjścia. Usłyszała jeszcze, jak Ingvar wypytuje mundurowego o to, co się stało. Nie pochwyciła całej odpowiedzi. Złowiła jedynie słowa „koty” i „sąsiad”. Mimo wszystko zaczynała powoli orientować się w sytuacji. Wyszła z domu tylnymi drzwiami i skierowała się w stronę drewnianej budki, w której stały pojemniki na śmieci. Stamtąd również dobiegały odgłosy rozmowy. Po chwili zza budki wyłoniły się dwie postaci. Policjant dzierżył w jednej dłoni wielki notes, drugą zaś zamasyście

gestykulował. Obok niego Vidar mocował się z wózkiem, który trudno było prowadzić po porośniętej trawą, wąskiej ścieżce. „Coś trzeba z tym zrobić”, przemknęło Annie przez myśl.

Przystanęła na drodze i przez chwilę przyglądała się swojemu mężowi. Z tej odległości wyglądał tak, jak gdyby wiosłował... Potrafił wiosłować. I to całkiem niezłe. Wyprawy łodzią i wkuwanie ostrych jak noże wiosel w zielonkawą tkankę wody stanowiły jego trzecią — po meblach i operze — wielką pasję. Vidar za każdym razem nalegał, by Anna mu towarzyszyła. Nigdy nie oponowała. Uwielbiała zwłaszcza wycieczki nad gigantyczne jeziora Vänern i Vättern — tam czuła się zawsze tak samo jak nad Bałtykiem. A Vidar nigdy się nie męczył. Potrafił wiosłować godzinami, nieustrudzenie, z nadnaturalną, kosmiczną energią.

Co by zrobiła, gdyby nagle go nie było? Gdyby nie było Vidara? Anna wzdygnęła się i ruszyła w kierunku mężczyzny. Mundurowy zatrzymał się na jej widok i wyprostował.

— Komisarz Lindholm, dzień dobry. Pani mąż nas wezwał. Miał tu miejsce mały wypadek..

— Koty zdechły — odezwał się z wolna Vidar. Nie parzył na Annę. Jak zwykle. — Dwa dzikie i jeden od sąsiada. Ten, co mu zawsze ucieka. Taki rudy. Od Erikssonów. Wiesz..

Wiedziała. Serce Anny, na chwilę uspokojone świadomością, że Vidar i Lempi są cali i zdrowi, znowu zaczęło szybciej bić.

— Rudy. Od Erikssonów — potwierdziła jak automat.

— Władowały się nam do śmietnika i musiały... zżreć to ciasto. Rano znalazła je Lempi. Kiedy przyjechała śmieciarka. — Vidar umilkł.

Anna wiedziała, co chodziło mu po głowie. Vidar nie był głupi. Na pewno domyślał się, że koty nie zdechły z powodu przeterminowanego jedzenia.

Podeszła do niego i — mimo protestów — pchnęła wózek. Zerknęła na policjanta, który odetchnął z ulgą. Teraz mogli iść zdecydowanie szybciej. Anna wprowadziła Vidara do domu i wskazała policjantowi kuchnię. Sama sięgnęła do szafki, z której wyciągnęła kilka suchych ściereczek i płyn w sprayu. Zaczęła w milczeniu czyścić koła. Przez cały czas czuła na sobie spojrzenie Vidara.

— Co ty, do cholery, robisz? Po prostu przy prowadź mi tamten drugi wózek. Przesiądę się — mruknął tuż nad jej uchem.

Skinęła głową. To był dobry pomysł. Koła można przecież wyczyścić później. Kiedy pomagała Vidarowi się przesiąść, mąż wreszcie spojrzał jej w oczy.

— W internecie piszą, że ktoś otruił Narcyza w więzieniu — szepnęła. — Ciekawe, czy tym samym, co... te koty.

Anna zadrżała. Oczy potwornie ją piekły, a ucisk w gardle dokuczał coraz bardziej. W hallu usłyszała kroki. Vidar spojrzał w przestrzeń ponad ramieniem Anny i pomachał lewą ręką.

— Cześć Ingvar. Rzadko wpadasz. Miło cię widzieć. Szkoda, że akurat przy okazji zdechłych kotów..

Mężczyźni przywitali się i wymienili kilkoma spostrzeżeniami. Anna nie wiedziała, czy powinna w ogóle rozmawiać z Vidarem o śmierci Narcyza, o arseniku i podrzuconym cieście.

A jednak nie mogła przecież trzymać go w całkowitej niepewności. Sprawa Narcyza dotyczyła ich obojga. Spojrzała na męża i poczuła ukłucie panicznego strachu. Ten sam strach dostrzegała w oczach Ingvara za każdym razem, kiedy on z kolei patrzył na nią. Za każdym razem... Cholerny łańcuszek wzajemnie nakręcanego lęku o drugą osobę. O to, że można nie zdążyć na czas.

Rozdział 7

Wspólna kolacja z przyjaciółmi była niegdyś w domu Lindholmów zjawiskiem częstym. Anna dość szybko przekonała się o tym, że Szwedzi są nieco bardziej wycofani od Polaków, zdystansowani i dyskretni, a swoje mieszkania traktują niczym twierdze. Zaproszenie do czyjegoś domu na wspólny posiłek traktowane bywa zatem jako wielkie wyróżnienie i sygnał, że gospodarz postrzega znajomość bardzo poważnie. Anna rozumiała to jeszcze w Sztokholmie, kiedy jako studentka zamieszkała razem z ojcem i jego nową, szwedzką żoną w urokliwej kamienicy z wymalowanymi na białe ścianami. Dagmar bardzo pomogła jej wtopić się w ten nowy, obcy świat, dawała wskazówki i wyjaśniała zawiłości związane z tutejszymi zwyczajami, kulturą i mentalnością Szwedów. Dzięki niej Anna szybko przyswoiła sobie również szwedzką potoczną mowę i zaczęła dość dobrze orientować się w lokalnych nawykach komunikacyjnych. Nie miała okazji doświadczyć tego wcześniej, mimo iż za naukę języka zabrała się już w szkole podstawowej.

To właśnie wtedy ojciec rozwiódł się z matką i wyjechał z Polski. Anna nie miała mu tego za złe. Rozstali się z winy matki, z którą zwyczajnie nie dało się żyć pod jednym dachem. Anna dziwiła się, że ojciec wytrzymał z tą kobietą aż osiemnaście lat... I dziwiła się również temu, że jej siostra — Lidka — wciąż potrafiła mieszkać w bliskim sąsiedztwie matki, w Helu. Ona sama liczyła dni do swoich osiemnastych urodzin. Już podczas niewielkiej imprezy z tortem i świeczkami oświadczyła, że po osiągnięciu pełnoletności zamierza zamieszkać z ojcem w Sztokholmie. Wszystko było od dawna ustalone. Anna i tak odwiedzała ojca wtedy, kiedy tylko mogła. A on ze swej strony robił wszystko, by mimo dystansu jego relacje z córkami nigdy się nie rozluźniły.

Kolacje z przyjaciółmi w domu Lindholmów odbywały się raz na tydzień bądź raz na dwa tygodnie. Te, na które zapraszano znajomych z pracy Vidara, były niezwykle eleganckie i wyrafinowane, może nawet odrobinę nadęte, ale Anna bardzo je lubiła. Z początku obawiała się, że okażą się zbyt snobistyczne, wypełnione pustymi rozmówkami bogatych ludzi o swoich kolejnych wymyślnych rozrywkach. Wołała stać z boku, w cieniu wspaniałego, przedsiębiorczego i niebawale zdolnego męża.

Później jednak przekonała się, iż znajomi Vidara zachowywali się po prostu jak grupa

pasjonatów, zapaleńców i ekscentryków, mających bzika na punkcie mebli, architektury wnętrz, sztuki i antyków. Anna również z wykształcenia była konserwatorem dzieł sztuki, szybko więc znalazła z tymi ludźmi wspólny język. A fakt, iż w wieku dwudziestu czterech lat porzuciła świetną posadę w warsztacie Vidara i zrezygnowała z renowacji antycznych mebli, by wstąpić do policji, tylko dodawał jej atrakcyjności. Anna lubiła te kolacje. Lubiała rozmawiać, wygłaszać — kontrowersyjne niekiedy — opinie, miała cięty język i zawsze w mgnieniu oka formułowała zabawne riposty. Przyjaciele Vidara szybko pokochali Annę, mimo iż z początku z rezerwą podchodzili do jego związku z młodszą o dekadę dziewczyną z Polski. Była im wdzięczna za tę akceptację. Chciała czuć, że to naprawdę jej świat, jej otoczenie. Vidar również tego chciał. I cieszył się, że udało mu się stworzyć z Anną taki właśnie dom. Byli zgraną parą. Dawniej.

Najbardziej jednak Anna lubiła, kiedy do domu na przedmieściach Ystad złączyli się jej znajomi z komisariatu. Vidar witał ich zawsze z otwartymi ramionami, choć te kolacje i te spotkania nigdy nie odznaczały się już tak wielkim stopniem wyrafinowania. Wszyscy czuli się swobodnie i zadowalali się prostymi potrawami. Jeśli kolacja wypadła w weekend, zazwyczaj ciągnęła się do rana. Vidar lubił przyjaciół Anny z komendy. Nigdy nikomu nie okazywał wyższości, choć wiedział doskonale, że jego zarobki i pozycja są znacznie wyższe, a styl życia i przyzwyczajenia zupełnie inne.

Gospoia, choćby... Anna czuła się z początku odrobinę zażenowana tym, że stać ją na zatrudnianie prawdziwej gospoia, która wyręcza ją w kuchni i innych obowiązkach domowych. W Polsce gospoia to jednak ciągle „sprawa” z wyższej półki, symbol zamożności ponad przeciętną, wyrastanie o głowę ponad szare szeregi. Ale tutaj, w Szwecji, wystarczyło po prostu zarabiać „przyzwoicie”, by zatrudnić pomoc domową. A policjanci z komendy obracali zażenowanie Anny w żart. W pracy zwracali się czasem do niej per „wasza wysokość” albo „madame Lindholm”, a kiedy jedli u niej kolację, pytali z rozbawieniem, którym widelczykiem powinni nabici sobie klopsiki. Anna wiedziała, że na komendzie nikt nie czuje do niej dystansu. Była „swoja”. Nosiła dzinsy i skórzane kurtki, a czarne długie włosy zawsze zaplatała w gruby warkocz lub związywała w koński ogon. Lubiała sobie siarczyście zaknąć i bywały chwile, kiedy nie pogardziła papierosem lub kieliszeczką czegoś mocniejszego. W policji zdarzały się przecież nieciekawe momenty... Anna była jedną z nich. Należała do dwóch światów. I w obu czuła się dobrze. Dawniej.

Teraz zaś, kiedy Ingvar nabijał sobie klopsika, nie zapytał Anny o to, którym widelcem powinien się posłużyć. Przy stole panował grobowy nastrój. Anna nie potrafiła i nie próbowała nawet ukryć zaskoczenia, kiedy jej mąż zaprosił Ingvara na kolację. Nie mogła jednak nic zrobić. Nie mogła się sprzeciwić. To by wyglądało cholernie podejrzanie. Dlatego też teraz, pozornie spokojna, siedziała przy stole, przeżywając z wolna jakieś jedzenie, które Lempi podetknęła jej pod nos. Finka usiadła do stołu razem z nimi, na wyraźne życzenie Anny. Sytuacja znowu wydawała się wściekle groteskowa. Oto ona — Anna Lindholm — siedziała przy stole ze swoim mężem, kochankiem i fińską gospoią... A gdzieś za oknami czaił się być może świr z arsenikowym sernikiem... Żyć nie umierać!

Westchnęła i pomyślała, że chętnie napiłaby się czegoś mocniejszego niż to wino, które stało na stole jak wyrzut sumienia i po które nikt nie sięgał. Lempi oświadczyła z wyższością, że jest w pracy, a w pracy się nie pije, Ingvar przyjechał samochodem, Vidar wciąż brał silne środki przeciwbólowe i antybiotyki po tym, jak wstawiono mu implanty w miejsce trzech wybitych w wypadku zębów, a Anna... Anna niespecjalnie lubiła wino. Wolała wódkę, burbona i piwo. Męskie alkohole. Żadnych słodkich likierów i mdlących drinków. Na wino była chyba — mimo całej swojej przynależności do świata Vidara — zbyt mało wyrafinowana.

— Uważam, że... — odezwał się ostrożnie Ingvar, zakładając melodię wygrywaną przez sztucce. — Uważam, że powinniście mieć ochronę. Technicy wzięli próbki tego ciasta do zbadania, ale raczej wiadomo, że... Wiadomo, co tam w nim było. Dlaczego od razu nie zadzwoniłaś?

Ingvar skierował to pytanie do Anny. W jego głosie pobrzmiwała irytacja. Wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, dlaczego od razu nie zadzwoniła. Być może pomysł Lempi, że ciasto jest zatrute arsenikiem jak u Agathy Christie, wydał jej się tak absurdalny, że zwyczajnie zbagatelizowała sprawę? Co jeszcze mogła Ingvarowi powiedzieć? Że zobaczyła, jak Vidar głośno się śmieje, po raz pierwszy od miesiący, i to uśpiło jej czujność? A później, po wycieczce na plażę, w ogóle zapomniała o tym, że było jakieś ciasto? To właśnie miała mu powiedzieć? Zwierzać się swojemu kochankowi z postępów, jakie w kontaktach ze światem robił jej mąż? Fantastycznie. Tylko pozazdrościć. Można by wymyślić ciekawy film na podstawie ich historii. O równie ciekawym tytule. *Meblarz, jego żona, jej kochanek i fińska gosposia*. To by było prawie jak u Petera Greenawaya. Bardzo... postmodernistyczne.

— Nie będzie mi się tu pałętała żadna menda z ochrony — mruknął nagle Vidar, przerywając jedzenie.

Anna właśnie tego się spodziewała. Nie przypuszczała, by Vidar gładko przelknął pomysł o ochronie.

— An jest z policji — dodał. — To wystarczy. Bo chyba nadal jest?

Ton Vidara był dość jadowity, podobnie jak jego rzucone spod półprzymkniętych powiek spojrzenie. Anna nabrała powietrza. Poczula, że żołądek podchodzi jej do gardła, kiedy Ingvar z rozmachem odłożył widelec. No to się zacnie...

— Nie przyjąłem na razie jej rezygnacji. Może wziąć kolejny bezpłatny urlop, ale skoro dzieją się... takie rzeczy, lepiej żeby była... z nami. A zresztą, chodzi przecież o Narcyza. Kto wie, czy nie będziemy potrzebować jej pomocy.

Ingvar wycedził ostatnie słowa powoli i precyzyjnie, patrząc Vidarowi prosto w oczy. Annie zrobiło się gorąco i bezwiednie powachlowała się papierową serwetką. Wiedziała, o co chodziło Ingvarowi. On nie postrzegał Narcyza przez pryzmat wypadku i tego wszystkiego, co wydarzyło się później. Dla Ingvara schwywanie Narcyza było wielkim sukcesem Anny, zakończeniem zbrodniczego procederu, który trwał już tak długo. Ale ona nie potrafiła się z tego cieszyć. Sukces z rozpracowania Narcyza tonął w cieniu wypadku, tonął w cieniu kalectwa Vidara i szkieletu, który pozostał z ich małżeństwa.

Poza tym gazety... Tajemniczy pomocnik Nie, ten sukces przypisywano jej na wyrost.

— Pomocy? — pisała Lempi. — Jej... Znaczy, przepraszam, pani komisarz pomocy? Jezus Maria!!! O Boże!!! Co to się na świecie wyprawia teraz????!!! Człowiek nie może spokojnie żyć!!! Nie może! Zaraz mordują, gwałcą, trują! — Finka pokręciła głową i zacisnęła dłonie w pięści.

Anna podziękowała w duchu wyższej instancji za to, że ją tu zesłał. Atmosfera przy stole na chwilę uległa rozluźnieniu i Vidar powstrzymał się od komentarza, który — z pewnością — nie należałby do przyjemnych. Lempi wytarła dłonie w serwetkę i wstała od stołu.

— To ja pójdę po deser — oświadczyła. — Nie wiem tylko, czy będziecie chcieli go jeść...

Po chwili wróciła, niosąc pokrojony w prostokąty... sernik w polewie czekoladowej. Lempi postawiła go na stole z ponurą miną i rozłożyła ręce w geście bezradności.

— Aaaaa, bo... No w sobotę, jak podrzucili sernik to tak wszyscy na niego patrzyli łakomie... To ja powiedziałam, że też taki umiem upiec. Ale później była niedziela, a w niedzielę pan Vidar lubi zjeść tartę owocową, no to... Dzisiaj rano tak sobie pomyślałam, że ten sernik wstawię. Już był prawie gotowy, kiedy te koty... znalazłam.

Tego właśnie brakowało, by sytuacja osiągnęła krańcową groteskowość i otarła się o teatr absurdu. Po przeciwnej stronie stołu Vidar zachichotał. Lempi przewróciła oczami. Ingvar również uśmiechnął się krzywo i jako pierwszy wyciągnął talerzyk. Anna pomyślała, że najgorsze już chyba za nimi. I wtedy jej mąż powiedział:

— Ochrona to głupi pomysł, Ingvar. Ale jeśli An nie chce na razie składać rezygnacji, to niech nie składa. Mam tylko nadzieję, że odpowiednio zajmiesz się firmą i nie odstawisz na bok obowiązków — zwrócił się do niej. — Ja... nie mogę wszystkiego przejąć. Chyba rozumiesz. Rozmawialiśmy o tym. Na razie jednak uważam, że dobrym pomysłem jest ten wyjazd na Hel. Na wesele. Skoro tutaj kręci się jakiś idiota z arsenikiem, dobrze by było choć na chwilę zejść mu z oczu.

— Ale ja właśnie pomyślałam — weszła mu w słowo Anna. — Że zwłaszcza kiedy wyjadę na te kilka dni, ktoś powinien mieć oko na dom. Na was.

Lempi zastygła z łyżką do nakładania ciasta w dłoni, po czym przeżegnała się. Wciąż trzymając łyżkę. Anna miała nadzieję, że Finka nie będzie chciała zrezygnować z pracy. Zdążyła się już do niej przyzwyczaić i chyba... ją lubiła.

— Widzisz... — Vidar wziął do ust kawałek sernika i zaczął żuć. Wszyscy w milczeniu czekali, aż przełknie pierwszy kęs. Anna wzdygnęła się. — Widzisz, pomyślałem, że może jednak pojedę z tobą. Chciałaś tego przecież, prawda?

Vidar umilkł, a Anna pokiwała wolno głową. Kątem oka zerknęła na Ingvara, który zagryzł wargi i dziabnął sernik widelczykiem. Nie powinno go tu być. Nie powinien tego słuchać. Ta sytuacja nie powinna w ogóle nigdy zaistnieć. Anna poruszyła się niespokojnie i również nałożyła sobie sernik. Musiała zająć czymś ręce, skupić się na prostych czynnościach, by zyskać czas na zebranie myśli. Ingvar jednak ubiegł ją. Brzmiał wyjątkowo smutno.

— To niezły pomysł, faktycznie. Nie będzie was tylko kilka dni, ale zawsze coś. Możemy

zakwaterować tutaj kogoś z policji, by miał oko na wszystko pod waszą nieobecność. Na wszelki wypadek Wiecie... Jakąś „mendę” z ochrony.

— Dobrze — odezwał się Vidar, zanim Anna otworzyła usta.

— Świetnie. Przyślę kogoś w czwartek Bo wtedy jedziecie? Ana mówiła... że chyba wtedy.

— Aaaaa — zabrzmiał gdzieś w tle pisk Lempi. — Że tak zapytam... Co ze mną? Sama mam tu zostać? Z trucicielem i mendą z ochrony? Znaczy — policjantem? Ooooo... Ja przepraszam...

— Lempi, ty pojedziesz z nami — oświadczył nagle Vidar, czym wprawił Annę w niebotyczne zdumienie. — Wynajmiemy coś, jakieś mieszkanie, może domek W październiku na Helu nie ma chyba wielu turystów? Lempi będzie miała krótkie wakacje. Byłaś w Polsce?

Finka pokręciła przecząco głową i w osłupieniu wpatrywała się na zmianę w Vidara, Annę i Ingvara. Wreszcie machnęła ręką i wyszła do kuchni. Zza półprzymkniętych drzwi dało się słyszeć wypowiedziane szeptem: „Jezus-Maria-co-za-świat-się-porobili!”. Anna wzięła wreszcie do ust kawałek sernika. Jak solidarność, to solidarność. Jeśli Lempi była trucicielką, niech przynajmniej zginą wszyscy razem. Meblarz, jego żona i jej kochanek.. Dla Anny tak byłoby nawet lepiej. Wołała nie wyobrażać sobie zbyt dokładnie miny swojej matki, kiedy zjawi się w Helu z mężem na wózku i fińską gosposią. Z nadzieją spojrzała na ciasto.

— Muszę iść — usłyszała głos Ingvara. — Vidar, dzięki za zaproszenie. Będę was informował na bieżąco. Uważajcie na siebie i zamykajcie na noc drzwi. To straszne pustkowie. Jutro powinienem mieć jakieś wieści z Malmö. Pewnie się jeszcze zobaczymy przed czwartkiem. Zadzwonię. Może wpadnę na chwilę. Ana... odprowadzisz mnie do auta?

Anna wstała od stołu, nie patrząc na swojego męża. I tak szykowała się wieczorem mała awantura. On będzie się czepiał, że nie złożyła rezygnacji i znowu zaczynała angażować się w pracę dla policji, a ona... ona właściwie nie miała czego się czepiać. Sama nalegała przecież, by Vidar pojechał z nią na Hel. A że zaprosił Lempi... W takiej sytuacji rzeczywiście niebezpiecznie było zostawić ją tu samą.

Do samochodu szli w milczeniu. Anna spłota ramiona, próbując odgradzić się od przejmującego wieczornego chłodu. Czuła się podle po tej kolacji. Czuła się winna. W ogóle przez cały czas czuła się winna. Ingvar oparł się o drzwi auta i przez chwilę mechanicznie bawił się kluczykami. Anna stała naprzeciwko niego, obrócona plecami do domu. Ingvar wyciągnął rękę i pogładził ją po dłoni. Chciała go przytulić i pocałować, ale nie ruszyła się z miejsca. Patrzyli na siebie jeszcze przez kilka długich minut, po czym Ingvar wszedł do samochodu. Opuścił szybę i uśmiechnął się smutno.

— Błagam, uważaj na siebie. To nie są żarty. Tobie chyba nie muszę tego tłumaczyć. Gdyby coś ci się stało...

Nie dokończył. Jego oczy zaszklily się, ale przetarł je szybko dłonią. Uruchomił silnik Anna odwróciła się i oddaliła w stronę domu. Chciała, by ten dzień jak najszybciej dobiegł końca.

Rozdział 8

Kiedy otworzyła oczy, o szyby dzwonił deszcz. Tego poranka świt, skąpany w szarości, wyjątkowo nieśmiało zaglądał w okna. Październik zapowiadał się ponuro i Anna z wolna traciła nadzieję na złotą — szwedzką — jesień. Bo jesień na południu Szwecji bardzo przypominała tę polską, nurzaną w rdzy i miedzi, w żółci i soczystej pomarańczy, w ceglastej czerwieni i mlecznej czekoladzie. Anna uwielbiała taką ciepłą, rozświetloną słońcem jesień. Ystad, podobnie jak i jej rodzinny Hel, zamieniało się wtedy w kolorowy parkiet lekkich liści, które uwolnione przez swoje macierzyste drzewa, wirowały w szalonych płaszcach, prowadzone krok po kroku przez silny wiatr od morza. Z tym właśnie Anna kojarzyła wczesną jesień. Z tańcem liści, wilgotnym zapachem drzew i wiatrem ciężkim od kryształków soli.

Przeciągnęła się, po czym odrzuciła na bok koldrę. Usiadła na łóżku i spojrzała w okno, na mokłą od deszczu szybę. W sypialni wciąż było ciemno, a zegar wskazywał szóstą rano. Anna poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku. To już jutro. Jutro popłyną do Świnoujścia, a później pojedą na Hel. Już jutro. Wszystko było do tej podróży przygotowane. Walizki stały w korytarzu, bilety na prom zostały zamówione, a Ingvar wybrał już odpowiedniego funkcjonariusza do pilnowania domu Lindholmów. Anna musiała jeszcze tylko pojechać do myjni i wypucować samochód. Nie wiadomo po co. W Polsce też są myjnie, a przecież auto nie musi lśnić czystością na promie. Bałtyk i tak będzie miał je w nosie. A poza tym zanim dojadą na Hel, zdąży się jeszcze wybrudzić. Była w końcu jesień. Wszędzie błoto. Vidar jednak uważał, że Anna za mało dbała o swój samochód i traktowała go po macoszem. Jeździła jak policjantka i niespecjalnie przejmowała się błotem, ani też tym, że ptactwo okazjonalnie urządzało sobie na dachu toaletę. Nie ich wina. Przecież jak lecają, to nie patrzą w dół!

Wsunęła stopy w kaptcie i owinęła się szlafrokiem. Przed jutrzejszą podróżą czekało ją jeszcze jedno zadanie. A właściwie dwa. Anna nie miała pojęcia, które budziło w niej większą niechęć. O ósmej trzydzieści umówiła się z Ingvarem. Mieli jechać razem do Malmö, żeby skonsultować się z tamtejszymi śledczymi, którzy badali sprawę otrucia Narcyza. Sekcja zwłok została już przeprowadzona, a ekipa technicznych przejrzała rzeczy denata z celi. Znaleźli ponoć kilka interesujących artefaktów, o których chcieli porozmawiać z komisarz Lindholm i nadkomisarzem Friskiem z Ystad. Chcieli również, żeby Anna i Ingvar obejrżeli razem z nimi taśmy z monitoringu i sprawdzili, czy przypadkiem kogoś na nich nie rozpoznają. Ingvar zamierzał też przesłuchać kilku więźniów, z którymi „trzymał” Narcyz. O ile w ogóle można tutaj było mówić o jakimkolwiek „trzymaniu”. Narcyz uchodził za samotnika. Jakżeby inaczej! Artysta przecież... Delikatny i subtelny. Taki piękny. Pobyt w pierdlu musiał być dla niego niezłą traumą.

Anna nie zdecydowała jeszcze, czy będzie towarzyszyć Ingvarowi. Wypadła z obiegu. Miała wrażenie, że nie potrafiłaby już tak sprawnie, jak jeszcze przed sześcioma miesiącami, manipulować przesłuchiwanym. Ale mogła przecież patrzeć. I słuchać. I wyciągać wnioski.

W głębi duszy tego właśnie chciała. Wkręcić się znowu w mechanizm i walczyć ze złem, jak Don Kichot z La Manchy walczył z wiatrakami. Ona sama również walczyła z wiatrakami — zdecydowanie za często.

W kuchni panowała cisza. Anna słyszała jednak odgłosy krzątania piętro wyżej i szum uruchamianego prysznica. Lempi już wstała. Anna musiała się zatem pospieszyć, jeśli chciała wypić kawę w samotności i jeszcze przez chwilę pomyśleć nad tym, co było do zrobienia. W Malmö czekało ją też umówione spotkanie ze sławną szwedzką Włoszką, Sofią Stiatesi, byłą klientką Vidara. Tą samą, której telefon wprawił go ostatnio w takie zadowolenie. Stiatesi miała zaplanowany w Malmö koncert, więc Anna uznała, że warto skorzystać z jej propozycji i porozmawiać o odnowieniu współpracy. To była dobra klientka, z ciekawymi pomysłami i mnóstwem pieniędzy. Konkretna i logicznie myśląca — mimo swojej artystycznej profesji — a z takimi najlepiej się pracowało. Stiatesi była też bardzo wymagająca i oczekiwała, że ktoś w lot pojmie każdą jej wizję. Skoro chciała na nowo nawiązać z nimi współpracę, którą zerwała po wypadku Vidara, pewnie mocno się zawiodła na innych projektantach.

Czyli... Być może Vidar jednak był niezastąpiony? To by się naprawdę dobrze składało. Vidar potrzebował motywacji. Musiał na nowo uwierzyć w swoją wielkość. I dlatego też Anna, mimo iż zupełnie nie wykazywała chęci na podobne przyjemności, zgodziła się na spotkanie z włosko-szwedzką śpiewaczką. Miała ogromną nadzieję, że uda jej się pogodzić to z wizytą w więzieniu. Cholerny Narcyz! Nawet za grobu działał Annie na nerwy.

Włączyła ekspres i ziewnęła przeciągle. Z obrzydzeniem pomyślała o tym, że na spotkanie z Sofią Stiatesi należało ubrać się jakoś porządnie, w coś odrobinę bardziej eleganckiego niż sznurowane buty, dżinsy rurki i skórzaną kurtkę lub żakiet. Anna dokonała w myślach przeglądu swoich sukienek. Kilka z nich już przeznaczyła na cel weselno-improwizacyjny i zapakowała do walizki, choć w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, czy się nadawały. Były eleganckie, uszyte z dobrych tkanin i dość kosztowne, ale... minimalistyczne. Matka z pewnością będzie kręciła nosem. Anna nie zamierzała jednak przejmować się jej zdaniem. Nigdy w życiu nie planowała też kupić sobie balowej, pstrokatą kieckę. Westchnęła i upiła duży łyk gorącej kawy. Zaczęła bezwiednie przerzucać czasopisma o tematyce meblarskiej, które ostatnio Vidar wertował z nową energią. Zauważyła, że było wśród nich kilka świeżych tytułów. Wciąż pachniały farbą drukarską. Vidar musiał je zaprenumerować.

Nagle, wśród kolorowych, pomysłowo zaprojektowanych okładek, Anna dostrzegła coś jeszcze. Zmarszczyła brwi i pociągnęła za róg niewielkiej kartki formatu A4, po czym wyjęła ją spod gazet. Prawie zakrzuszyła się kawą. Zbliżyła do oczu czarno-biały rysunek wykonany prawdopodobnie tuszem. Na pewno tuszem. Nie było co się oszukiwać. Anna widziała już kiedyś podobne rysunki, wykonywane niemal identyczną techniką. Tamte przedstawiały zawsze kwiaty. Kwiaty, których Anna szczerze nienawidziła. Narcyzy... A pod spodem za każdym razem znajdował się stosowny do sytuacji cytat z *Na wspaniały* Huysmansa — ten sam, który widniał wypisany czarnym markerem na ciele martwej kobiety. To było jak swoisty pakiet. Znak firmowy mordercy. Rysunek, cytat na papierze, cytat na ciele...

Teraz również obrazek przedstawiał narcyza. Kwiat był jednak niewielki i skromny. Na pierwszym planie widniała inna bohaterka szkicu. Kobieta trzymająca kwiat w dłoni była w połowie szkieletem. Skóra na twarzy ustępowała miejsca nagim kościom, piękne oko sąsiadowało z pustym oczodołem, a duże zmysłowe wargi przechodziły w odsłonięte, pozbawione dziąseł zęby. Wzrok Anny ślizgał się po kościach klatki piersiowej, miednicy i ud. Gdzieś już widziała podobny szkic... Kobieta szkielet...

W popłochu odłożyła rysunek i chwyciła telefon. Nie potrzebowała już kawy, by podnieść sobie ciśnienie. Być może Narcyz nie żył. Być może. Ktoś jednak pozostał przy życiu. I wciąż był tam. Na zewnątrz.

— Ingvar! — zawołała do słuchawki. — Zebrałeś się już? Wiem, że byliśmy umówieni dopiero za dwie godziny, ale musisz zrezygnować ze swojego porannego organicznego koktajlu czy co tam w siebie wlewasz. Przyjeżdżaj tutaj. Wyślę ci zdjęcie na zachętę.

Anna pstryknęła fotkę i posłała ją Ingvarowi. Atak paniki z wolna mijał. Jego miejsce stopniowo zajmowała fala zwykłych, rzeczowych pytań. Na przykład... Co ten obrazek robił w domu? Na stole w kuchni? Kto go podrzucił? I jak się tutaj dostał?

Vidar z obrzydzeniem wpatrywał się w światła radiowozów, zajeżdżających przed dom. Anna stanęła obok niego i również skrzywiła się z niesmakiem. Miała nadzieję, że Ingvar przyjedzie najpierw sam i wszystko na spokojnie omówią, a dopiero później wezwą ewentualne posiłki. On jednak zrobił od razu cyrk. Nie mógł się powstrzymać. Szlag by to...

Lempi siedziała przy stole w kuchni błada jak ściana. Anna pomyślała, że dla policjantów z Ystad fińska gosposia stanie się niebawem główną podejrzaną. Pasowała idealnie. Umiała piec sernik z polewą czekoladową, miała klucze do domu i była nowa w tych stronach. Mogła Vidarowi nakłamać na temat swojej przeszłości i wkrącić się podstępem w jego łaski. A później zacząć truć. To by było bardzo proste i wdzięczne rozwiązanie. Tyle tylko, że w Ystad, oprócz pechowych kotów, nikt jeszcze nie padł trupem, a Anna jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić Lempi snującej misterną intrygę, która miała na celu wyeliminowanie Narcyza przy użyciu ciasta. To wymagało czasu. Obserwacji. Dokładnego rozeznania w sytuacji Narcyza, znajomości więziennych realiów chociaż w podstawowym stopniu... A Lempi była przecież w tej cholernej Moskwie. Vidar natomiast nie szukał gospodyni przez internet. Nie zamieszczał publicznie ogłoszeń, które mogli przeczytać przypadkowi psychopaty czni mordercy. Lempi została mu polecona przez poprzednią gosposię. Widocznie jakoś się ze sobą znały. Anna nigdy w to nie wnikała. I ani przez moment nie wierzyła, że Finka może mieć coś wspólnego z arsenikowym ciastem. Wiedziała jednak, jakie są procedury. Lempi znajdzie się w krzyżowym ogniu pytań, a później pewnie od nich odejdzie... Anna skrzywiła się na myśl o tym, że będzie musiała szukać kolejnej gosposi. Z pewnością znajdzie się mnóstwo chętnych do pracy w domu policjantki i zdziwaczałego faceta na wózku, którym ktoś co rusz podrzuca uroczę upominki w postaci trucizny, makabrycznych rysunków i gazet z fotografiami seryjnych morderców. Kandydatki zlecą się jak muchy...

W domu zaroiło się nagle od policjantów. Anna naliczyła dziewięciu i na widok Ingvara postukała się palcem w czoło. Miała ochotę mu przyłożyć. Zrobiła krok do przodu i zamierzała się odezwać, kiedy zza pleców Ingvara wyłoniła się jakaś kobieta. Ładna. Ingvar chrząknął z zakłopotaniem.

— Ana, poznaj nadkomisarz Ester Gustafsson z Malmö. Przyjechała do Ystad wczoraj wieczorem... Widzisz...

Anna wyprostowała się dumnie. „Wczoraj wieczorem”? I Ingvar nic jej nie powiedział o jakiejś cholernej policjantce z Malmö?! Co ona tu w ogóle robiła? Przecież to Anna i Ingvar mieli pojechać TAM!

Nadkomisarz Ester Gustafsson uśmiechnęła się lekko i wyciągnęła rękę. Anna zlustrowała jej elegancki damski garnitur. Poczula się idiotycznie w swoim szlafroku i kapciach. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i sama zamorduje Ingvara, przy czym wcale nie będzie siłiła się na żaden wyrafinowany, książkowy sposób. Udusi go gołymi rękami. I już.

— Dzień dobry — przywitała się uprzejmie policjantka z Malmö. — Przepraszam, że panią zaskakuję w... hm... domu, ale nadkomisarza Friska również nie uprzedziłam o mojej wizycie. Pomyślałam, że trochę się rozejrzę. Bo widzi pani... Jest coś, co mnie niepokoi. A teraz jeszcze ten rysunek. To potwierdza moje obawy. — Ester Gustafsson rozejrzała się niespokojnie po kuchni. Przesunęła wzrokiem po skrzywionym Vidarze na wózku i śmiertelnie bladej Lempi. — Czy mogłybyśmy porozmawiać na osobności? To znaczy, moglibyśmy? Z nadkomisarzem Friskiem. I proszę, by pan Lindholm i panna...

— Lempi — powiedziała zdezorientowana Lempi.

— ...i panna Lempi poczekali w salonie i pozwolili technikom zebrać materiał. Może są tu gdzieś jakieś ślady...

Vidar szarpnął kołami swojego wózka i podjechał do nadkomisarz Gustafsson. Zmrużył oczy.

— Posłuchaj, kobieto, nie mów do mnie takim tonem i nie rozkazuj mi w moim domu, okay? W dupie mam to, skąd jesteś. Wiem, że trzeba pozwolić technikom zebrać materiał. Nie jestem debil. Moja żona pracuje w policji, pamiętasz? I nie mów do niej jak do pięcioletniego dziecka. A co do „panny Lempi”, to ma na nazwisko Hannes i jest wdową. Powinnaś więc zwracać się do niej: „pani Hannes”. Jasne?

Anna spojrzała w popłochu na Ingvara. Wpatrywał się w jej męża szeroko otwartymi oczami i bezgłośnie poruszał wargami. Zatkło go. Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok Vidara na wózku, ubranego w kraciastą piżamkę i grube skarpety, nieogolonego i ze sterczącymi na wszystkie strony szpakowatymi włosami. I przystojnego, mimo wszystko... Cieszyła się w duchu, że Vidar dał tej napuszonej Gustafsson lekcję pokory. Nawet jeśli był w gruncie rzeczy cholernie niemiły, a ta cała Ester mogła równie dobrze okazać się w ogóle nienapuszona, tylko całkiem sympatyczna. Anna nie знаła jej przecież. Ani trochę. A jednak zapalała do nadkomisarz z Malmö dziwną antypatią.

Ester Gustafsson oblała się rumieńcem i cofnęła o krok. Uśmiech znik z jej twarzy. Anna gwałtownie zamachała rękami, choć wiedziała, że to może jeszcze pogorszyć sprawę. Żaden ze

Szwedów, których do tej pory poznała, nie gestykulował tak wściekle, jak ona.

— Proszę tędy — rzuciła nerwowo i zaprowadziła policjantkę do gabinetu na piętrze. Pochód zamykał dziwnie milczący Ingvar. Z dołu usłyszeli jeszcze głos Vidara, „proszącego” techników, by nie narobili zbyt dużego „burdelu”.

Anna zamknęła za nimi drzwi. Poprosiła, by usiedli, a sama oparła się o biurko. Kątem oka dostrzegła, jak Ester Gustaffson lustruje wzrokiem eleganckie meble i oryginalne grafiki, wiszące na ścianach.

— O co chodzi? — ponagliła ją. — Ach, i przepraszam za mojego męża. Zazwyczaj nie jest taki niemiły. Ostatnio wyszedł z wprawy jeśli chodzi o kontakty towarzyskie. Mam na myśli... po wypadku.

— Oczywiście, rozumiem — zapewniła Ester, a Anna uśmiechnęła się w duchu. Vidar powiedziałby: „Nic, do cholery, nie rozumiesz!”.

— Podobno coś panią zaniepokoiło? Co to by było? Coś, co ma związek z tym rysunkiem?

— Tak — Policjantka z Malmö sięgnęła do torby, z której wyjęła kopertę ze zdjęciami. Podala ją Annie bez słowa.

W kopercie było kilka fotografii. Pierwsze trzy przedstawiały rysunki podobne do tego, który Anna znalazła w kuchni. Kobieta szkielet, z narcyzem w dłoni. W kilku wariantach. Raz z pojedynczym kwiatem, innym razem z całym bukietem. Szłuce z pewnością wykonała ta sama osoba. Na każdym z nich widniał jakiś napis. A raczej krótki tekst. Anna zbliżyła fotografię do oczu, nie mogła jednak odczytać ani słowa.

— To cytaty — poinformowała Ester.

— Cytaty? Znowu Joris-Karl Huysmans?

— Nie. Tym razem Oscar Wilde. *Portret Doriana Graya*.

— To nawet podobna tematyka — zauważyła Anna.

— Tak — zgodziła się nadkomisarz — Mam je wszystkie spisane. Później sobie pani przeczyta. A teraz... Niech pani ogląda dalej.

Anna rzuciła Ester niespokojne spojrzenie. Sięgnęła po kolejne zdjęcie. I zamarła. Na fotografii zobaczyła samą siebie. Tuż po wypadku, posiniaczoną i w kołnierzu ortopedycznym. I później, na parkingu przed szpitalem, w szpitalnym parku z Vidarem na wózku i na oddziale przy automacie z kawą. Były tam również zdjęcia Vidara. Na szpitalnym łóżku. Podczas ćwiczeń. W ogrodzie... Anna zacisnęła powieki i pokręciła głową. Kto mógł wykonać te fotografie? Tak bardzo... prywatne? Osobiste? Zdjęcia wyglądały wprawdzie tak, jak gdyby fotograf stał w pewnym oddaleniu i posługiwał się zoomem, ale mimo wszystko... Coś widział. Widział ich. Annę i Vidara. I sprawił, że Narcyz w swojej celi zobaczył ich również. A teraz nie żył.

— Właśnie dlatego nie chciałem wczoraj dzwonić — odezwał się wreszcie Ingvar. — Nadkomisarz Gustaffson przyjechała późnym wieczorem, pomyślałem, że będziesz się przez noc denerwować, a przecież rano i tak mieliśmy jechać do Malmö. Chciałem powiedzieć ci po drodze. I ostrzec Vidara. Zostawić tutaj ludzi. Trzeba mieć na was oko. Rozumiesz, Ana? Prawda? Ale nie spodziewałem się tutaj tego rysunku. Jeżeli to nie ta wasza Lempi, w co wątpię, to ktoś

musiał jakoś ten szkieł podrzucić. Domyślałam się, że gazety przyszły pocztą, więc można zerknąć na listonosza. Ale przecież paczka musiała być zamknięta, więc... Stawiałbym na dom. Ktoś wszedł do domu i po prostu zostawił tutaj szkieł. Nie dawałaś nikomu kluczy? A może kojarzysz, kto mógłby mieć okazję, by sobie je dorobić?

Ingvar spojrział na Annę z niepokojem. W gabinecie zapadła cisza. Anna wstała z fotela i owinęła się ciasniej szlafrokiem. Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Poprzednia gospodyni? Miała klucze. Nie zmieniliśmy zamków po tym, jak odeszła. Ogrodnik? Hydraulik? Nie wiem, naprawdę... Mój ojciec ma klucze, oczywiście. Ale to przecież absurd! Nie wydaje mi się też, żeby ktoś chciał mu je kraść...

— Nigdy nic nie wiadomo. To duży dom — powiedziała Ester. — Na pewno macie alarm i odpowiednie zabezpieczenia. A zatem ja również stawiałabym na klucz, nie na włamanie. Poza tym nigdzie nie ma śladów sugerujących, że ktoś wtargnął tu siłą.

Anna pokiwała głową. Ester i Ingvar również wstali. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Ich milczenie przerwało pukanie do drzwi. Jeden z techników wsunął głowę do gabinetu. Spojrzął niepewnie na Annę i podał jej komórkę.

— Przepraszam, pani komisarz, ale ciągle dzwoni. Pomyślałem, że może coś ważnego.

— Dziękuję. — Anna przechwyciła telefon i odebrała połączenie. Wsłuchiwała się w obcy głos, który przekazywał jej jakąś niezrozumiałą treść. Usiadła z powrotem na fotelu i zaczęła nerwowo skubać kosmyk swoich czarnych włosów, które w nieładzie spływały na ramiona. — Rozumiem. Tak.. Dziękuję. Tak tak.. Postaram się.

Zakończyła połączenie i położyła telefon na stoliku. Wpatrywała się w niego bez słowa, wciąż skubiąc włosy. Miała wrażenie, że wszystkie jej mięśnie stężały. Wreszcie wbiła wzrok w Ingvara, po czym powoli przeniosła go na nadkomisarz Gustafsson.

— Dzwoniła... Amalia Stiatesi. Byłam dzisiaj umówiona w Malmö z jej siostrą, śpiewaczką operową Sofią Stiatesi. Ona jest naszą klientką. Zamawia u nas meble. Ja... Miałam się z nią spotkać w jej hotelu, po wizycie w więzieniu. Omówić nowe zlecenie. Ona jest... Ona była... — Anna urwała i ukryła twarz w dłoniach. Ingvar w sekundę znalazł się obok niej.

— Co się stało? — zapytał ostrożnie.

— Nie żyje. Najprawdopodobniej została otruta.

Rozdział 9

Droga do Malmö z perspektywy tylnego siedzenia wydawała się Annie wyjątkowo nudna. Nie lubiła tego miejsca i wolała raczej prowadzić auto niż zajmować fotel pasażera. Teraz jednak za kierownicą swojej nowej terenówki siedział zamysłony Ingvar, który raz po raz z niepokojem

zerknął w lusterko wsteczne, by upewnić się, czy wszystko z nią w porządku. Anna miała ochotę parsknąć śmiechem, kiedy po raz kolejny ujrzała wpatrzoną w siebie parę czarnych oczu.

Tak..

Miała ochotę się śmiać, mimo iż sytuacja bynajmniej nie należała do komicznych. Wręcz przeciwnie. Od dłuższej już chwili Anna próbowała podsumować wydarzenia, wyciągnąć wnioski i pokusić się o jakąś prognozę na przyszłość. A przyszłość rysowała się wyjątkowo nieciekawie. Ktoś otrul Narcyza, jej arcywroga, przysłał jej ciasto z arsenikiem, następnie podrzucił do domu uroczy rysunek kościotrupa, a teraz... otrul Sofię Stiatesi. Najlepszą klientkę Anny i Vidara. O co tutaj, do cholery jasnej, chodzi? Anna była właściwie gotowa na wszystko, poza jednym. Miała szczerą nadzieję, że to nie prawdziwy Narcyz uaktywnił się teraz, tak nagle, ponad pół roku po zamknięciu sprawy brutalnych, seryjnych morderstw.

Prawdziwy! Prawdziwy-cholerny-Narcyż! Który tamtego — fałszywego Narcyza — potraktował jak przykrywkę i pozwolił go Annie przytknąć. Dlatego te gazety pod wycieraczką... A jeśli wszystko od początku do końca było ukartowane? I ktoś posłużył się Anną, by osiągnąć swój cel? A ona była głupia i myślała, że to pomocna dłoń, dar od losu, palec sprawiedliwości czy co tam jeszcze...? Tymczasem połknęła haczyk i zrobiła dokładnie to, czego od niej oczekiwano. Przytknęła Perssona, który... nikogo nie zamordował? Nie! To nie było możliwe! Znalazła dowody. I przecież ten, którego postawiono przed sądem i skazano, nie dałby się tak po prostu wsadzić za kratki, by chronić czyjś tyłek. Nawet gdyby w grę wchodziła jakaś pieprzona wielka miłość. Chyba że... Obiecano mu pieniądze. To co innego. Pieniądze i szybką pomoc. Ucieczkę, na przykład.

Nie. Narcyz miał pieniądze. Dużo. Chyba że coś się pod tym względem zmieniło. A ucieczka...? Anna uśmiechnęła się pod nosem. Ucieczka ze szwedzkiego więzienia nie byłaby pewnie taka trudna. Pracownicy więziennictwa — zwani tutaj uroczo „opiekunami” — nie nosili nawet broni palnej, żeby przypadkiem nie zepsuć atmosfery i nie zwarzyć więźniom, a raczej „klientom”, humorków... Cudowna rzecz, takie szwedzkie więzienie. Anna bardzo dobrze pamiętała artykuł prasowy sprzed kilku lat. Tekst dotyczył Polaków, którzy celowo popełniali przestępstwa w Szwecji, by dostać się do jednego z tutejszych więzień. W dwa tysiące siódmym roku, kiedy Anna miała za sobą dopiero kilkanaście miesięcy pracy w policji, odnotowano aż siedemdziesiąt ucieczek z zakładów karnych na terenie całego kraju. A koledzy z pracy mówili, że to i tak mało. Anna z dezaprobatą pokręciła głową. Rozumiała cały ten wspaniały plan. Resocjalizacja, humanitarne traktowanie więźniów, stawianie na ich rozwój i reedukację, „europejski model” i tak dalej, ale... Bez przesady! Bywały przecież takie przypadki i takie zbrodnie, za które przydałoby się trochę mocniej osadzonego przycisnąć, zamiast częstować świeżymi buleczkami i podtykać podręczniki...

A Narcyz? Jak to z nim było? Dał się zapakować do pierdła, żeby pożyć w ciepélku przez kilka lat, może nawet do końca swoich dni? Taki scenariusz w ogóle nie wchodził w grę. Narcyz nie był jakimś tam zwykłym, okazjonalnie bezdomnym złodziejem i zbirzem. Był bogaty. Hodował kwiaty i handlował nimi na dużą skalę, uważano go za eksperta, zapraszano do telewizji,

wydawano jego książki. Idąc do więzienia, Elias Persson stracił wszystko. To dlatego jego adwokat tak zaciekle walczył, by nie udowodniono mu pozostałych dziewięciu zbrodni. To dlatego Narcyz trafił do zwykłego aresztu. Z prawem do sporadycznych odwiedzin, dostępem do biblioteki i możliwością odbywania spacerów bez kajdan, którymi w specjalnych oddziałach skuwano „enki”, czyli więźniów szczególnie niebezpiecznych. Anna domyślała się również, że przekupił strażników, by okazjonalnie przymykali na niego oko. Tych, którzy nie zgodzili się przyjąć pieniędzy, mógł przecież zwyczajnie zastraszyć swoimi „znajomymi” z zewnątrz. Bez wątpienia nieźle się za kratami urządził. Nawet jeśli sprawiał wrażenie delikatnego i wrażliwego artysty.

Czy Narcyz liczył na to, że szybko stamtąd zwieje? Jeśli chodziło o ucieczkę, z pewnością posiadał niezły szmal — o ile go nie stracił — na nowy start, gdzieś w dalekich, ciepłych krajach, gdzie nikt nigdy o nim nie słyszał. Anna nie miała wątpliwości, że nie odkryto nawet połowy środków Perssona, ulokowanych na różnych kontach, w bankach na całym świecie. Pieniądze nie powinny stanowić dla niego żadnego problemu. Z pewnością znaleźliby się również chętni do pomocy przy aranżowaniu ewentualnego nowego życia. Tyle tylko, że teraz Narcyz w ogóle nie żył. Ani po nowemu, ani po staremu. Ktoś okazał się od niego sprytniejszy. O ile ten Narcyz, którego zamknęli, kiedykolwiek był sprytny... Anna czuła się teraz wyjątkowo głupio i podłe ze świadomością, że być może doprowadziła do ujęcia niewłaściwego człowieka. Niewinnego. To słowo nie dawało jej spokoju od ponad doby. A jeśli tak już będzie zawsze?

Wyprostowała się na siedzeniu i zerknęła na nadkomisarz Ester Gustafsson, która od wyjazdu z Ystad na okrągło wisiała na telefonie. I nawet dobrze się składało. Dzięki temu byli na bieżąco w sprawie rzekomego otrucia śpiewaczki. Sofia Stiatesi... Anna spotkała się z nią tylko raz, przed prawie rokiem, kiedy podpisywali umowę na wykonanie mebli do jej wiedeńskiego domu na Ringstrasse. Meble miały być stylizowane na te z prywatnych apartamentów cesarzowej Sissi w Hofburgu, ale nie ślepo odwzorowane. Diwa Stiatesi pragnęła, by były również unikatowe, podkreślały jej niebanalną osobowość i artystyczną duszę. Anna stukała się w czoło, kiedy fachowcy pracowali nad projektem, ale Vidar... Vidar przeszedł samego siebie. Te meble, które zaprojektował, a w części również sam własnoręcznie wykonał, były rzeczywiście jedyne w swoim rodzaju. Tylko on potrafił stworzyć coś takiego. Wyjątkowe połączenie rzemiosła ze sztuką najwyższych lotów. Nic dziwnego, że Sofia Stiatesi z miejsca zatrudniła Vidara do kolejnego projektu. A teraz nie żyła. Tak samo jak Narcyz. Tak samo jak cholerny kot Erikssonów.

Ester Gustafsson wciąż rozmawiała przez telefon, ale Anna wiedziała, że póki co nie odkryto niczego nowego. Policjantka z Malmö potwornie się irytowała i raz po raz kłęła. Anna dobrze знаła to uczucie. Bezsilność. I oczekiwanie. Na wynik sekcji zwłok, na materiał zebrany przez techników, na wyniki z laboratoriów... Także na to, by wreszcie dotrzeć do celu i zacząć pracować na właściwym terenie. Anna bardziej teraz interesowała się hotelem, w którym od kilku dni mieszkała Sofia Stiatesi, niż więzieniem w Malmö. To właśnie tam miały się spotkać. To właśnie z osobą Anny związane było morderstwo śpiewaczki. Nie miała pojęcia jak, ale... jakoś przecież musiało. To nie mógł być zwyczajny zbieg okoliczności. Anna nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

A poza tym... Vidar z pewnością czekał na jakieś informacje. Vidar, który tak zaskakująco

mocno przeżył wieść o śmierci Sofii Stiatesi, że Anna aż zaniemówiła z wrażenia. Zdumiona patrzyła na jego zacisnięte szczęki, dłonie zwinięte w pięści i... łzy w oczach. Przez chwilę nie mogła wykrzusić słowa. Wreszcie Vidar opanował się nieco, rzucił kilka zdawkowych uwag o tym, że Anna powinna teraz jak najszybciej pojechać do Malmö, po czym zamknął się w pokoju, w którym zazwyczaj ćwiczył z Ebbem. Kiedy wraz z Ingvarem i Ester wychodzili z domu, wciąż jeszcze tam siedział. Anna czuła się fatalnie, zostawiając Lempi praktycznie samą z kilkoma obcymi facetami z policji, nie miała jednak wyjścia. Musiała jechać. A Vidar? Co mu się stało? Sofia Stiatesi była dla niego ważną klientką, ale... żeby aż tak się przejąć? Przez chwilę Anna miała nawet wrażenie, że gdyby nie chodziło o Malmö, Vidar sam wybrałby się z nią na tę cholerną wycieczkę. Że opuściłby dom pod Ystad po raz pierwszy od sześciu miesięcy. Ale Vidar został na miejscu. Bo jednak... chodziło o Malmö.

— Wielka szkoda, że pani mąż i ta panna... pani Hannes nie chcieli wybrać się z nami. To by było dziwne, przyznaję, no i oczywiście nie mogliby nam towarzyszyć na każdym kroku, ale przynajmniej mielibyśmy ich na oku, a u was w domu techniczni popracowaliby przez chwilę w spokoju. Z pani mężem nie będzie im łatwo — odezwała się nagle Ester Gustafsson, jak gdyby czytała w myślach Anny. — Poprosiłam nawet jednego z policjantów, by zaproponował to panu Lindholmowi, ale zdaje się, że... chłopak został odesłany z kwitkiem. W dość, hm, nieprzyjemny sposób.

Ester umilkła, a Anna przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Ta baba zaczynała działać jej na nerwy. Jeśli rzeczywiście wysłała kogoś do Vidara, by zaproponował mu podróż do Malmö, to przebieg tej rozmowy można sobie było łatwo wyobrazić. I ciekawe, dlaczego sama do niego nie poszła? Mądrała... Anna poczuła rosnącą irytację. Poprawiła się na siedzeniu. Ingvar rzucił w lustro kolejne uważne spojrzenie. On też od rana potwornie ją denerwował. I wiedział o tym doskonale.

— Dlaczego właściwie pani mąż tak bardzo nie chciał jechać? — drążyła dalej nadkomisarz Gustafsson. — To znaczy, pomijając oczywiście powody...

Anna popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Na usta cisnęły jej się słowa, które musiała czym prędzej połknąć, zdusić w sobie, zrobić cokolwiek, byle tylko nie nadać im werbalnego kształtu. A przynajmniej jeszcze nie teraz, kiedy zapowiadała się dłuższa współpraca z tą... bezczelną wywłoką. Ingvar po raz kolejny zerknął w lustro i pokręcił głową, co jeszcze bardziej wytrąciło Annę z równowagi. Wzięła głęboki wdech i ułożyła sobie w myślach inną odpowiedź. Mniej niecenzuralną i mniej obraźliwą, ale równie sugestywną. Gustafsson powinna poczuć się wystarczająco głupio, chyba że to po prostu zwykła idiotka z jakimś tam pojedynczym talentem śledczym. Bo coś musiała umieć, skoro była nadkomisarzem.

— Jeżeli, jak się pani wyraziła, pominiemy oczywiście powody, to ograniczmy się może do tego, że Vidar nie lubi Malmö. Nie znosi go...

— Ana... — Ingvar chciał jej wejść w słowo, ale zbyła go machnięciem ręki.

— Jest Żydem. Słyszała pani, co powiedział kiedyś Fredrik Sieradzki? Przedstawiciel żydowskiej populacji w Malmö? „Malmö jest miejscem, z którego należy wyjechać”!

Anna umilkła i wpatrzyła się w okno. Ona sama nie podzielała niechęci Vidara wobec Malmö. Wręcz przeciwnie. Lubiła to miasto. Rozumiała jednak, co musiał czuć jej mąż. W dwa tysiące dwunastym roku, po tym, jak w Malmö podłożono ładunek wybuchowy w budynku gminy żydowskiej, uznał, że więcej nigdy tam nie pojedzie. Bardzo długo laził nerwowo po domu i kłął. Nie mógł przeżyć, że w dwudziestym pierwszym wieku ludzie ciągle zachowują się jak jaskiniowcy. A Vidar nie był przecież ortodoksyjnym Żydem. Nie nalegał nawet na to, by Anna posłubiła go w synagodze.

Ester siedziała chwilę w ciszy, z szeroko otwartymi ustami. Anna pomyślała ze złośliwą przyjemnością, że jeśli w taki sposób i z taką miną przesłuchuje podejrzanych, to raczej nie ma wielu sukcesów na swoim koncie. Wreszcie nadkomisarz z Malmö poruszyła się nerwowo na fotelu i delikatnie zakasłała, pewnie po to, by ukryć zmieszanie. A jednak zadała kolejne pytanie. Nie mogła się powstrzymać. Anna przewróciła oczami.

— A... pani? Pani też jest... pani też nie lubi Malmö?

Anna zaśmiała się cynicznie. Ingvar ponownie zerknął na nią w lusterku. Nie wytrzymała.

— Ingvar, może będziesz czasem patrzył na drogę, zamiast gapić się ciągle na mnie?! A co do pani pytania — nie, ja nie jestem Żydówką, jestem zwykłą ateistką, ale moja matka prezentuje postawę na tyle ultrakatolicką, że uznała za stosowne NIE przyjeżdżać na nasz ślub. A tak serio, to te wszystkie pytania są w jakiś sposób istotne? Co? Kogoś to interesuje? Czy gawędzimy po to, żeby się lepiej poznać? Może sobie odpuścimy? Vidar został w domu, ja jestem tutaj. Ktoś prawdopodobnie otruł moją klientkę. Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, gdzie. W Malmö, Sztokholmie czy na pieprzonej Kamczatce! Co za różnica?! Miałam się z nią dzisiaj spotkać! Ingvar, przestań się do cholery na mnie gapić!!!

W samochodzie zapanowała cisza. Ingvar z westchnieniem ulgi minął tablicę z napisem „Malmö” i więcej już nie spojrzął w lusterko wsteczne. Ester Gustafsson chwyciła telefon i zaczęła znowu wydzwaniać do swoich kolegów z lokalnej policji, a Anna patrzyła przez szybę. Na miasto, które go nienawidził jej mąż. Popołudnie zapowiadało się cudownie.

Rozdział 10

Kiedy wchodzili do hotelu Renaissance, Ingvar przelotnie złapał Annę za rękę. Po plecach przebiegł jej dreszcz, ale rzuciła mu tylko chłodne spojrzenie. Była zła. Właściwie nie wiedziała, dlaczego. Dlatego, że nie powiedział jej o wizycie Ester, to pewne, ale... Za co jeszcze? Nie potrafiła tego do końca zdefiniować. Być może Ingvar rzeczywiście chciał dobrze? Anna spojrzała na niego przeprasząco. Przez chwilę wydawało jej się, że po twarzy policjanta przebiegł grymas ulgi. Uśmiechnęła się lekko, szybko jednak poczuła na sobie wzrok nadkomisarza

Gustafsson. Policjantka z Malmö obserwowała całą scenę z zaskoczeniem i... gniewem? Atmosfera w hotelowym hallu zgęstniała.

Anna zaczęła przechadzać się z wolna po parkiecie, wyłożonym białymi, lśniącymi kaflami. Odgłosy jej kroków były ledwie słyszalne. Ester miała na stopach pantofle na wysokich obcasach, które idealnie pasowały do grafitowego, damskiego garnituru, ale Anna włożyła zwykłe sznurowane martensy. Do tego wąskie džinsy, czarny żakiet i popielaty T-shirt. Wszystko bardzo proste, ale doskonałej jakości. Jak zwykle. Nawet w tak skromnym stroju, ze zredukowanym do minimum makijażem i włosami zebranymi w węzeł, Anna miała w sobie coś arystokratycznego. Nie wiedziała, skąd też to „coś” się w niej wzięło. Może dzięki Vidarowi?

W hotelowym hallu panowało niezłe zamieszanie i Anna zaczęła odrobinę współczuć personelowi. Nagła śmierć słynnej śpiewaczki... Być może morderstwo... To z pewnością nie wpływało dobrze na wizerunek hotelu, mimo pięciu gwiazdek, wygodnych pokoi i świetnej kuchni. Recepcjonistki dwoiły się i troiły, by uspokoić gości i zapewnić ich, że wszystko jest pod kontrolą, a sprawą zajęła się policja. Wreszcie w hallu zjawił się również kierownik Ester Gustafsson rozciągnęła usta w profesjonalnym uśmiechu i podeszła do niego.

— Arne Holm — przedstawił się mężczyzna. — Jestem kierownikiem hotelu. Pani nadkomisarz Ester Gustafsson, jak sądzę? Rozmawiałem już z policją i wiem, że to akurat pani miała przejąć śledztwo w sprawie śmierci Sofii Stiatesi. Nie muszę chyba dodawać, jaki to dla nas wielki szok... i strata. Sofia Stiatesi była wybitną śpiewaczką. Gościła w naszym hotelu, ilekroć przyjeżdżała do Malmö na koncert.

Anna zmarszczyła brwi. Ester miała poprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Sofii Stiatesi? Dlaczego akurat ona? I dlaczego akurat ją przydzielono do sprawy otrucia Narcyza? Nie mogła pracować w Malmö od dawna. Anna i Ingvar współdziałali z tutejszą policją przy okazji morderstw dokonywanych przez Eliasa Perssona i wówczas ekipą śledczą kierował jakiś facet... A jednak Malmö to spora metropolia, przy której Ystad jest tylko prowincjonalną pipidówką. Mają dość śledczych, by skęcić przynajmniej kilka porządných ekip. Poza tym Ester Gustafsson mogła ostatnio awansować. Albo przeprowadziła się z innego miasta. Anna zerknęła w kierunku Ingvara, ale on akurat również witał się z kierownikiem hotelu. Arne Holm wreszcie zwrócił się także do niej.

— Pani... Anna Lindholm? — Mężczyzna zastygł z wyciągniętą w jej kierunku dłonią. — Pani Anna Lindholm, prawda?

Niechętnie potwierdziła. Ona również właśnie w tej chwili przypominała sobie jego twarz. Kiedy przed dwoma laty podpisywała tutaj, w hotelu Renaissance, umowę na wykonanie mebli do kilku najekskluzywniejszych apartamentów, Arne Holm był tylko szeregowym pracownikiem. Anna dobrze pamiętała tamto zlecenie. Każdy zestaw mebli miał być inny, oryginalny i utrzymany w odmiennej kolorystyce. Pamiętała również swój ówczesny pobyt w tym hotelu. Nie spodziewała się, że wróci tutaj w tak tragicznych okolicznościach.

— Dzień dobry, tak nazywam się Anna Lindholm. To ja — dokończyła bez sensu i również wyciągnęła dłoń na powitanie.

— Państwa meble, pani i męża, są wspaniałe! Gościom bardzo się podobają. A pani Stiatesi wczoraj wciąż mówiła o tym, że będziecie projektować dla niej całe zestawy do nowego domu. W Wenecji. W Wenecji! Jaka szkoda, że...

Arne Holm umilkł, jak gdyby nagle przypomniał sobie, że Sofia Stiatesi nigdy już nie zobaczy swojego domu w Wenecji. Ani w Wiedniu. Ani nigdzie indziej. Anna poczuła niemile ukłucie w klatce piersiowej na wieść o tym, że Sofia wspominała publicznie o ich spotkaniu. Ktoś mógł usłyszeć... Tylko dla czego miałby ją z tego powodu truć?!

— Zaprowadzę państwa do pokoju pani Stiatesi — powiedział Holm i ruszył przez hall.

Cała trójka posłusznie kroczyła za nim. Po chwili jechali już windą w milczeniu. Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Ester Gustafsson ją obserwuje. Policjantka z Malmö z pewnością również nie zapalała do niej sympatią. Czyżby była zazdrosna o Ingvara? I skąd w ogóle oni się znali? Anna z chęcią oddałaby się różnym — niekoniecznie miłym — spekulacjom na ten temat, ale winda szybko wtoczyła się na właściwe piętro. Pokonali odległość kilku metrów i wreszcie znaleźli się w apartamencie, w którym poprzedniej nocy spała Sofia Stiatesi. W pomieszczeniu wciąż kręcili się pracownicy techniczni, którzy krok po kroku obnażali prywatność śpiewaczki. Anna nie znosiła tego etapu pracy. Wkraczania z butami w czyjaś intymność, w zupełnie indywidualny, zamknięty świat, wyznaczany przez hołubioną przestrzeń i oswojone przedmioty. A jednak ten etap trzeba było pokonać, by móc iść dalej i dowiedzieć się prawdy.

— Zostawię państwa — odezwał się cicho Arne Holm. — Poczekam na korytarzu i jeśli będę potrzebny, proszę mnie zawołać.

Ester skinęła głową i oddaliła się w kierunku jakiegoś mężczyzny w lateksowych rękawiczkach. Anna obróciła się wokół własnej osi. Jej wzrok padł na wieszak, na którym wisiała przepyszna szkarłatna suknia. Z pewnością na wieczorny występ w operze... Anna poczuła, że coś ściska ją za gardło. Nie знаła zbyt dobrze Sofii, a jednak.. Była przecież w jej wiedeńskim domu. Oglądała zdjęcia, przedstawiające wnętrza nowej weneckiej willi śpiewaczki. Razem z Vidarem miała te wnętrza oswoić, przeistoczyć siedemnastowieczną kamienicę w prawdziwe mieszkanie. Z duszą. Sofia Stiatesi wpuściła ich do swojego życia. Była kimś ze świata Anny. Nie tylko obcą twarzą i niewiele mówiącym nazwiskiem.

— Ana — usłyszała głos tuż przy swoim uchu.

Ingvar przyglądał jej się smutno, tak jak to ostatnio miał w zwyczaju. Chciał się odezwać, ale w tym momencie podeszła do nich Ester. Rzuciła im znaczące — karcące? — spojrzenie i wyciągnęła dłoń, w której trzymała książkę. Wzrok Anny zatrzymał się na tytule. *Portret Doriany Graya*. Krew odpłynęła jej z twarzy.

— Zajrzyj do środka — powiedziała Ester, płynnie przechodząc na „ty”. I tak wytrzymała długo przy formie grzecznościowej, jak na rodowitą Szwedkę. Anna zdążyła się już przyzwyczaić, że tutaj rzadko kto zwracał się do niej „pani Lindholm” lub „pani Anno”.

Przejęła z rąk policjantki książkę. Otworzyła w miejscu, w którym tkwiła dość duża zakładka. A właściwie nie była to zakładka, tylko... rysunek Kobieta szkielet, dzierżąca w dłoni bukiet narcyzów. Ta sama kobieta szkielet, której portret znalazła we własnym domu. Anna

w zamysleniu podrapała się po czole. Gdzieś już widziała taki rysunek Wcześniej. Dużo wcześniej. Gdzie? Przeniosła wzrok z rysunku na tekst. Szybko zauważyła zaznaczony na zielono fragment i przeczytała go na głos:

...tylko gdzieniegdzie na tle oświetlonej firanki przesuwały się fantastyczne cienie sylwetek ludzkich. Spoglądał na nie z ciekawością. Poruszały się niby potworne marionetki, gestykulując jak żywe istoty. Nienawidził ich wszystkich. Jakaś głucha złość kipiała mu w sercu.

Odłożyła książkę na stół. W zadumie wpatrzyła się w elegancką okładkę. Kiedy czytała, nawet technicy przestali rozmawiać i teraz zdawali się w ciszy analizować zasłyszane słowa.

Apartament Amalii Stiatesi był bardzo przestronny i elegancki, choć nie tak luksusowy jak ten, który zajmowała jej siostra. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć tylko tyle, że mieszkała tu osoba praktyczna i poukładana. Inna niż Sofia Stiatesi. Śpiewaczka wszędzie pozostawiała ślady swojej obecności. Flakonik perfum na toaletce, otwarta puderniczka, sznur pereł zawieszony na lustrze, szkarłatna suknia wystawiona na widok publiczny, czy wreszcie książka porzucona na szafce nocnej, w połowie przykryta przez jedwabną apaszkę. Sofia Stiatesi, jak dobrze pamiętała Anna, była bardzo zdecydowana w kwestii projektowania mebli i niezwykle skrupulatna w formułowaniu zleceń, wyglądało jednak na to, że na co dzień zachowywała się jak typowa rozragniona artystka.

A Amalia Stiatesi? Jej siostra? Jaka była? Anna rozejrzała się dyskretnie po pokoju, z nadzieją, że dojrzy tutaj pojedyncze przejawy osobowości młodszej panny Stiatesi. Pomieszczenie nic jej jednak nie powiedziało. Nigdzie nie widać było żadnych drobiazków, ozdób, przedmiotów codziennego użytku, elementów garderoby, książek.. Nic, co w jakiś sposób określałoby Amalię, przemycało podstawowe informacje na jej temat.

Anna usiadła w fotelu — zaprojektowanym zresztą przez Vidara — i założyła nogę na nogę. Spłótła palce. Zerknęła w stronę okna. Ciszę gryzła ją w uszy. Anna wolałaby teraz towarzyszyć Ingvarowi i Ester w rozmowach z personelem hotelu niż siedzieć tutaj, wiedziała jednak, że musi zamienić kilka słów z Amalią Stiatesi w cztery oczy. Zanim tamci ją dorwą i zaczną rutynowo przesłuchiwać. Anna nigdy nie poznała Amalii, ale wiedziała od Vidara, że to raczej nieśmiała i introwertyczna dziewczyna. Była kimś w rodzaju asystentki swojej siostry i dbała o sprawy organizacyjne związane z jej koncertami. Stała w cieniu. Vidar nie raz opowiadał Annie, jak to Amalia potrafiła godzinami przysłuchiwać się jego monologom na temat mebli, nie wtrącając się nawet słowem. Bywało, że... trochę z niej kpił. Oczywiście nie prosto w oczy. Mawiał, że Amalia wygląda i zachowuje się jak klasyczne filmowe popychadło, które w końcowych scenach zawsze okazuje się psychopatyczną morderczynią. Anna mimowolnie zdrząła na wspomnienie tych słów. Teraz, w zaistniałym niedawno kontekście, nabierały zupełnie nowego znaczenia.

Oczywiście Amalia nie była raczej żadną trucicielką ani psychopatyczną morderczynią, bo przecież w książce Oscara Wilde'a znajdował się ten cholerny rysunek kościotrupa z narcysem... Tutaj musiało chodzić o coś większego. Nie o jakąś banalną zemstę zakompleksionej kobiety. Niemniej jednak, gdyby okoliczności były inne... Kto wie?

Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie i do apartamentu wsunęła się kobieta średniego wzrostu, o lekko piegowanej twarzy i mocno kręconych włosach w kolorze ciemnego blondu. Była szczupła, ale nie miała sportowej sylwetki. Zupełnie też nie zdawała sobie sprawy ze swoich atutów. Nie potrafiła nawet odpowiednio nosić ubrań. Jej sukienka i marynarka były świetnie skrojone, uszyte z dobrego materiału, a mimo to na niej wyglądały jak lachy z second-handu. Amalia się garbiła... Czyżby to dlatego? Anna podniosła się z fotela.

— Pani Lindholm? Dzień dobry, proszę usiąść — przemówiła tamta i wyciągnęła dłoń.

Kobieta miała bardzo miły głos, który do złudzenia przypominał głos jej siostry. Był tylko odrobinę niższy i bardziej zachrypnięty. Ciekawe, czy Amalia również potrafiła śpiewać?

— Dziękuję, że zgodziła się pani porozmawiać ze mną w cztery oczy. Ja wiem, że później i tak wszyscy będziemy przesłuchiwani, ale... Chyba pani rozumie... Dla mnie to nie jest łatwa sytuacja. Rozmawiać z jakimiś policjantami o śmierci mojej siostry.

Amalia przyłożyła do oczu chusteczkę. Anna pokiwała współczująco głową. Oczywiście, że rozumiała. Rozumiała to bardzo dobrze nawet wtedy, kiedy sama dokonywała przesłuchań. A jednak musiała robić swoje. Wypełniać obowiązki. Teraz jednak Anna mogła poudawać cywila. Nie była oficjalnie zaangażowana w śledztwo i przyjechała do Malmö raczej w charakterze konsultanta niż śledczego. Mogła zatem z komisarz Anną Lindholm przeistoczyć się w Annę Lindholm — renowatorkę mebli i przedsiębiorcę, dbającego o interesy i dobrą reputację swojej firmy. Bo Sofia Stiatesi była przecież jej klientką. Była! Anna wciąż nie mogła przyzwyczaić się do czasu przeszłego.

— Miałyście się spotkać, prawda? — podjęła Amalia, zajmując drugi fotel. — Dzisiaj? Tak, dzisiaj... O szesnastej. Na dwudziestą pierwszą Sofia miała zaplanowany koncert w operze. Uznała, że ze wszystkim zdąży, choć ja uważałam, że przed koncertem powinna poćwiczyć i trochę się wyciszyć, zamiast ekscytować się meblami. Ale ona była uparta, jak zwykle. Ciągle o tym gadała. Zachowywała się bardzo dziwnie, wie pani?

— Dlaczego? Wcześniej nigdy nie ekscytowała się meblami? Wydawało mi się, że to jej wielka pasja. Pamiętam tamto zlecenie z Wiednia...

— Tak, ja również pamiętam tamto zlecenie z Wiednia — przerwała Amalia. Wykonała dłonią dziwny gest i Anna zrozumiała, że dziewczyna chętnie zapaliłaby papierosa. — Apartament na Ringstrasse zawsze był prawdziwym domem Sofii. Nigdy nie lubiła Sztokholmu i po śmierci rodziców myślała nawet o tym, by wynieść się stamtąd na dobre. Ale ostatecznie wygrał sentyment. Nasza matka była Szwedką. Kochała Sztokholm i nasz rodzinny dom. Sofia więc zdecydowała się go zatrzymać. Ale rzadko tam jeździmy. Jeśli nie koncertujemy, to zazwyczaj siedzimy w Wiedniu. A teraz Sofia wymyśliła sobie Wenecję! Przyszło jej do głowy, że to będzie takie uroczyste dopełnienie rodzinnych sentymentów. Dom w Sztokholmie na cześć

matki i dom w Wenecji na cześć naszego włoskiego ojca. Tyle tylko, że ojciec nie pochodził z Wenecji. Urodził się w Padwie.

Anna milczała. Bała się, że jeśli wtrąci choć słówko, Amalia przestanie mówić. A z takiego potoku słów można było niekiedy wyłowić prawdziwe skarby. Już teraz Anna dowiedziała się o rzeczach, o których nie miała pojęcia wcześniej. I jeszcze ta Amalia... Okazała się całkiem gadatliwa jak na nieśmiałą introwertyczkę. Anna wiedziała jednak, że może tutaj chodzić o próbę zagłuszenia szoku spowodowanego śmiercią siostry. Jedni płaczą, inni krzyczą, inni piją wódkę, inni zamykają się w sobie, a jeszcze inni potrzebują mówić. Amalia znowu wykonała palcami osobliwy gest. Spojrzała na swoje dłonie i zamyśliła się na chwilę. Anna uznała, że to dobry moment, by trochę jej pomóc.

— Pani Amalio... Czy zauważyła pani ostatnio coś szczególnego w zachowaniu siostry? Może coś niepokojącego? Coś, co odbiegało od... nie wiem, jak to ująć... Coś, co odbiegało od normy. Od rutyny.

— No tak, przecież mówiłam wcześniej. Sofia zachowywała się dziwnie, jeśli chodziło o to wasze zlecenie. Ciągle o tym mówiła, była okropnie podekscytowana, jak jakaś... niestabilna nastolatka. Sofia jest... Sofia była artystką i zawsze zachowywała się odrobinę ekscentrycznie, wtedy w Wiedniu również tryskała entuzjazmem, ale teraz... To ocierało się już o obsesję. Ciągle Wenecja, Wenecja i Wenecja. Każdy zwrócił na to uwagę. Trudno było zmienić przy niej temat. Wenecja wracała jak bumerang. Wenecja i wasze meble. Te, które mieliście dla niej projektować. Cieszyła się, że odnowicie współpracę. Mówiła, że nigdy nie powinna była z was rezygnować, bo cała reszta to banda partaczy.

— Mówiła, że nigdy nie powinna była z nas rezygnować? Ale przecież mój mąż...

Amalia gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na Annę szeroko otwartymi, niemal przerażonymi oczami. Jej wzrok był dziwny. I w ogóle całe zachowanie Amalii stało się nagle dość osobliwe. Dziewczyzna poprawiła się w fotelu i położyła dłoń na oparciu. Jej palce drżały lekko. Chciała zapalić. Bardzo.

— Pani mąż... — zaczęła powoli. — Wiedziałam o nim. Wiedzieliśmy. To znaczy najpierw dowiedziała się Sofia. O wypadku. Słyszała o wszystkim. Wydawała się potwornie przybita, jak gdyby to dotyczyło jej osobiście. Ja myślę, że ona... dlatego zrezygnowała z waszych usług. Nie dlatego, że zależało jej na czasie. Przecież kupno tego domu w Wenecji sfinalizowała dopiero niedawno. Ona chyba... nie była gotowa na kontakty z panem Vidarem po wypadku. Lubiła go. Bardzo. Ta cała sytuacja mocno się na niej odbiła. Sofia odwołała nawet kilka koncertów.

— Naprawdę? — spytała z niedowierzaniem Anna.

Przez chwilę milczały obie. Anna w zamyśleniu bawiła się kosmykiem swoich włosów, który uwolnił się z luźnego wężła. Sofia Statesi załamała się po wypadku Vidara? Odwołała kilka koncertów? Aż tak bardzo go lubiła? Sporo razem pracowali, to fakt. Sofia była zafascynowana talentem Vidara. To też fakt. Cholerny, pieprzony fakt... Rzeczywiście, widać było, że darzą się sympatią. Ale... mimo wszystko... aż tak?

Potrząsnęła lekko głową, jak gdyby chciała opędzić się od przykrych myśli i cisnących się

na usta pytań, które w obecnej sytuacji powinny pozostać jeszcze niewypowiedziane. Oderwała plecy od oparcia i wychyliła się w stronę Amalii. Czas się kończył. Komórka w torbie wibrowała wściekle już od kilkunastu minut i Anna wiedziała, że to prawdopodobnie Ingvar próbuje ją pogonić. Musiała się pospieszyć.

— Panno Amalio... To bardzo cenna informacja, dziękuję. A może zauważyła pani coś jeszcze? Proszę się zastanowić. Wszystko może mieć znaczenie.

Amalia Stiatesi nerwowo spłotła dłonie. Zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w ścianie przed sobą.

— Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale przez ostatnie trzy miesiące Sofia była w Malmö na sześciu koncertach.

— To dużo? — spytała zdezorientowana Anna. Tak na dobrą sprawę nie miała pojęcia, jak wygląda grafik śpiewaczki operowej.

— Ogólnie koncertów to może i niedużo, ale... No... Wcześniej do Malmö nie jeździłyśmy specjalnie często. Sama pani rozumie... Jest tu wprawdzie niezła opera i teatr muzyczny, ale, szczerze mówiąc, to nie to samo, co Wiedeń, Paryż, Londyn, Nowy Jork.. Sofia miała wyrobioną markę. Ona była marką sama w sobie. Wszędzie ją zapraszali. Sprzedała miliony płyt. Zagrała w trzech filmach. Pani myśli, że skąd te domy? Te meble? Cały ten szmal? Okay, miałyśmy bogatego ojca. Ale Sofia Stiatesi była kimś. Dziwiłam się, że tak często zgadza się na te zaproszenia do Malmö, uznałam jednak, że widocznie jej się to jakoś opłaca... Przy okazji tego dzisiejszego koncertu sprawa była jasna. Po pierwsze uznała, że od razu spotka się z wami. Na początku myślała, że może pojedzie do was, do Ystad, ale później wymyśliła, że zaprosi panią tutaj. No a poza tym była jeszcze kwestia repertuaru. Nowa obsesja Sofii... — Amalia roześmiała się gorzko.

— Co ma pani na myśli?

— Oscar Wilde.

Anna poczuła, że zasycha jej w ustach. Z trudem przełknęła ślinę.

— Oscar Wilde? — powtórzyła cicho.

Amalia Stiatesi kiwnęła głową.

— Tak *Salome*. Opera na podstawie jego dramatu, z muzyką i librettem Richarda Straussa. Piękne arie na sopran. Sofia miała obsesję na punkcie tej opery. Nie wyobrażała sobie, że ktoś inny dostanie tę rolę. A oprócz tego... Już chyba nic... Nic dziwnego się nie działo. Nic nie kojarzę. Naprawdę.

Amalia wstała z fotela i zaczęła nerwowo szperać w torbie. Wreszcie wyszarpnęła z niej paczkę papierosów. Anna miała wrażenie, że dziewczynę opanowują coraz większe dreszcze. Ona również podniosła się z miejsca.

— Dziękuję. Proszę iść sobie zapalić. Ja też powinnam już uciekać, czekają na mnie. Sekcja zwłok z pewnością wykaże, czym otruto pani siostrę. Na pewno jeszcze porozmawiamy. Bardzo... Bardzo mi przykro. Naprawdę.

Anna uśmiechnęła się smutno i wyszła z apartamentu. W jej głowie zapanował chaos

informacyjny. Uznała, że stanowczo za długo była na urlopie. Przed wypadkiem, kiedy regularnie ściagała zbirów, potrafiła w mgnieniu oka dopasować do siebie elementy układanki, a nowo zdobywane informacje szybko wskakiwały na właściwe miejsca, tworząc spójną całość. Teraz jednak... Teraz Anna miała wrażenie, że coś jej umknęło. Coś przeoczyła. O coś nie zapytała. Coś... zaniedbała?

Potrząsnęła głową i skierowała się ku schodom. Na dole czekał już na nią Ingvar z tą denerwującą Ester Gustafsson. Oni z pewnością byli bardziej skrupulatni i mniej taktowni w zadawaniu pytań personelowi. Zwłaszcza ta cholerna baba.

Ester i Ingvar stali na dole w lobby. Obserwowała ich, kiedy schodziła po schodach. Policjantka z Malmö położyła dłoń na ramieniu Ingvara, coś mu tłumaczyła. Anna zwołniła krok i zatrzymała się na ostatnim stopniu, by jeszcze przez chwilę pooglądać tę niespodziewaną scenę. Wszystko, dosłownie wszystko w Ester Gustafsson aż wyrywało się w kierunku Ingvara. Teraz, w pograżonym w chaosie i tłoczonym lobby, nawet nie usiłowała tego ukryć. Mogłaby równie dobrze podać mu się nago na srebrnej tacy, a efekt byłby dokładnie taki sam. Ingvar musiał to widzieć, a jednak stał spokojnie i nie próbował strącić ręki policjantki ze swojego ramienia.

Być może jej zainteresowanie zwyczajnie mu nie przeszkadzało? Może... był nawet zadowolony z tego, ujmując rzecz wprost, że Ester tak jawnie na niego leciała? Ostatecznie nic w tym dziwnego. Ester to atrakcyjna kobieta, z wysoką pozycją w policji, a Ingvar... był wolny. No przecież. Anna poczuła ukłucie zazdrości. Nie spodziewała się tego. A powinna. Powinna zdawać sobie sprawę, że Ingvar nie będzie czekał na nią wiecznie. Zaśmiała się w duchu. Na co właściwie miał czekać?

Zatrzepotała rękami, by rozproszyć cisnące się do oczu łzy. Zeszła ze schodów. Ingvar dojrzał ją ponad głową Ester i zarumieniał się. Zupełnie tak, jak gdyby Anna przyłapała go na czymś niewłaściwym. Na... zdradzie?

— Ana! — zawołał odrobinę zbyt głośno. — Co ty tam tak długo robiłaś? Przecież i tak będziemy ją jeszcze przesłuchiwać! Tę kobietę. Amalię.

Ingvar ominął Ester i podszedł do Anny. Policjantka z Malmö spojrzała na nią chłodno.

— Straciliśmy przez ciebie mnóstwo czasu — rzuciła, również podchodząc bliżej.

— Myślałam, że zamierzaliście porozmawiać z personelem. To duży hotel, więc ludzi chyba też trochę tu pracuje? O co ich zdążyliście zapytać przez tę godzinę z hakiem, kiedy mnie nie było? O imiona i nazwiska? — odcięła się Anna i ruszyła w stronę wyjścia.

— Poczekaj — usłyszała za plecami głos Ingvara, ale nie zwołniła kroku. — Jeszcze nikogo nie przesłuchiwaliśmy. Na razie ustaliliśmy tylko, kto był wczoraj wieczorem w pracy i kto odpowiadał za dostarczanie posiłków do apartamentu Sofii Stiatesi.

Anna przy stanęła i obróciła się na pięcie.

— I co?

— No i tutaj pojawia się problem. Sofia Stiatesi była ponoć na jakiejś diecie i piła same

koktajle, tylko obiad jadła normalny. To znaczy stały pokarm. Obiad przyrządzono jej w kuchni i zanoesiono do apartamentu, ale koktajle... robiła sobie sama. Podobno.

— Czyli w takim razie trzeba zobaczyć monitoring. Kto wchodził do jej pokoju, kto wychodził..

— Już mówiliśmy o tym kierownikowi — wtrąciła się Ester.

— Fantastycznie.

Anna ponownie skierowała się ku wyjściu. Chciała już pojechać do tego pieprzonego więzienia i mieć to z głowy. Nagle usłyszała, że ktoś ją woła. Zatrzymała się. Ingvar stanął przy niej niczym jakiś hollywoodzki bodyguard. Przez hall biegł Arne Holm i wymachiwał sporą kopertą. Anna skoncentrowała na niej wzrok. Czuiła, że koperta nie zwiastowała niczego dobrego.

— Pani Lindholm, przepraszam bardzo, ale... Recepcjonista zapomniał na śmierć. Wczoraj wieczorem, po tym, jak wróciła ze spaceru po mieście, Sofia Stiatesi kazała to schować do skrytki i przelażać pani, gdyby... gdyby nie udało wam się spotkać. Twierdziła, że w operze zawsze coś może wypaść i na wszelki wypadek.. Żeby pani nie czuiła, że przyjechała tutaj bez celu.

Bez celu? Przecież i tak miała przyjechać do Malmö w sprawie Narcyza. No tak, ale kierownik hotelu, Arne Holm, mógł o tym nie wiedzieć. Bo niby skąd? Anna wzięła od niego kopertę i usiadła na jednej z ustawionych w hallu kanap. Spodziewała się, że jest tam jakaś umowa przedwstępna lub szczegółowy projekt zlecenia, ale... to samo Sofia Stiatesi mogła równie dobrze wysłać mailem. Dziwne... Anna czuiła, że dłonie jej drżą, kiedy otwierała kopertę.

W środku było kilka zwykłych kartek formatu A4, ale tylko jedna z nich była zapisana. Anna przebiegła wzrokiem tekst. Czcionka Times New Roman, rozmiar czternaście, odstęp standardowy, kursywa... Przeczytała całość i podała papier Ingvarowi. Ester zajrzała mu przez ramię. Zmarszczyła brwi.

— Co to jest? Znowu *Portret Doriana Graya*? — zapytała.

— Obstawiam, że nie tylko — odpowiedziała Anna w zamyśleniu i podniosła się z kanapy. Ponownie przechwyciła kartkę. — Te dwa to chyba... *Salome*. I w dodatku po angielsku. A dlaczego po angielsku, to już nie wiem. Tak samo jak nie wiem, skąd się ta koperta wzięła, bo jakoś nie wierzę, że naprawdę zostawiła ją dla mnie Sofia. Chyba że coś jej padło na mózg i sama się otruiła, a teraz bawi się z zaświatów w rebusy. Naciągana teoria, no nie?

Anna zacisnęła palce na kartce papieru. Po raz kolejny wczytała się w trzy wypisane na niej cytaty.

*How pale the Princess is! Never have I seen
her so pale. She is like the shadow of a white
rose in a mirror of silver. She is like a queen
of Helheim
the land of death*

The gods of my country are very fond of

blood. Twice in the year we sacrifice to them young men and maidens; fifty young men and a hundred maidens. But it seems we never give them quite enough, for they are very harsh to us.

Ale to morderstwo! Czyż pamięć o nim będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż wiecznie ma dźwigać ciężar swej przeszłości? Więc przyznać się naprawdę? Nigdy! Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo! Zniszczy je. Czemu oszczędzał je tak długo?

Ręka, w której trzymała tekst, opadła bezwładnie wzdłuż ciała. Anna poczuła, że na dziś ma już stanowczo dosyć nadrabiania braków w literaturze. A jednak do łatania luk w edukacji będzie trzeba jeszcze wrócić. To pewne. Uniosła głowę i spojrzała na Ingvara. Poczuła napływ nowej energii. Tak właśnie motywowała ją złość.

— Jedźmy do tego cholernego więzienia. Trzeba też zdobyć egzemplarz *Portretu Doriana Graya* i *Salome*. Dramat Wilde'a i jeszcze libretto opery, którą skomponowano na jego podstawie. Musimy to przeczytać w wolnej chwili — rzuciła.

Tym razem nic się już nie wydarzyło i Anna wreszcie wyszła z hotelu. Deszcz przestał padać i powietrze było przyjemnie rześkie. Nieprzyzwoicie, przyjemnie rześkie.

Rozdział 11

Budynek więzienia w Malmö w nieśmiałych promieniach jesiennego słońca wywierał bardzo przyjemne wrażenie. Nie budził grozy, nie wywoływał dreszczu przerażenia i w niczym nie przypominał mrocznej Bastyli czy Château d'If z *Hrabiego Monte Christo*.

Anna uśmiechnęła się na wspomnienie powieści Dumasa. Nigdy specjalnie nie lubiła jego bajeko muszkieterek, ale *Hrabia Monte Christo* to było coś zupełnie innego. Siostra Anny, Lidka, pułała się znacząco w czoło, kiedy każdego roku, przy okazji świąt Bożego Narodzenia, czytali z ojcem na głos fragmenty książki, siedząc przy ogromnej, roziskrzonej choince, obstawieni piernikami i gorącą herbatą. Rytuał przetrwał nawet po rozwodzie rodziców. Najpierw Anna czytywała *Hrabiego* sama, niezależnie od tego, czy ktoś słuchał, czy nie, później zaś, już w szkole średniej, upierała się, by święta spędzać w Szwecji. Wszystko sobie zawczasu obmyśliła. Wielkanoc w Polsce, Boże Narodzenie w Szwecji. Matka musiała wreszcie ustąpić. A Anna uwielbiała szwedzki sposób świętowania. Bożonarodzeniowy nastrój panował tutaj już od początku

grudnia i wtaczał człowieka w inną rzeczywistość, w kolorowy beczkas wypełniony śpiewem i zapachem korzennego ciasta. Kto wie? Może to geograficzna bliskość Rovaniemi, miasta Świętego Mikołaja, oddziaływała w ten magiczny sposób?

Dagmar, żona ojca, bardzo szybko przyswoiła sobie zwyczaj głośnego czytania fragmentów *Hrabiego Monte Christo*. Żeby zrobić jej przyjemność, Anna kupiła nawet szwedzki egzemplarz powieści. Od tamtej pory czytali w dwóch językach. Ojciec był Annie wdzięczny za ten gest. Szybko okazało się, że cała trójka najbardziej upodobała sobie właśnie fragment o Twierdzy If. Anna potrafiła wyrecytować go z pamięci po szwedzku i polsku. *Czarniejsze od morza, czarniejsze od nieba (...) granitowe, groźne widmo, którego stercząca krawędź przypominała rękę sięgającą po swoją ofiarę...*

Kiedy wysiedli z samochodu, Anna przyjrzała się krytycznie murom więzienia w Malmö. Jasne kremowe ściany urokiwie odbijały światło słoneczne, a malownicze dachy, wieżyczki i ciągnące się w równoległych rzędach kominy budziły przyjemne skojarzenia. Od strony boiska więzienie wyglądało raczej jak elitarna szkoła dla chłopców z dobrych domów. Zakład „karny”... Twierdza If z ręką sięgającą po swoją ofiarę... Więzienie w Malmö nie przypominało Twierdzy If w najmniejszym stopniu.

Anna skrzywiła się z niesmakiem i zarzuciła na ramię swoją przepastną torbę. Ruszyła za Ingvarem i Ester. Słyszała, że żywo o czymś dyskutowali, ale nie miała ochoty włączać się do rozmowy. Przywołała się do porządku i przegoniła wspomnienia o *Hrabim Monte Christo* i świątach w domu ojca. Musiała skupić się na tym, co w tej chwili było najistotniejsze. Zacytowane przez anonimowego autora fragmenty tekstów Wilde'a wciąż odbijały się w jej głowie uporczywym echem. *Portret Doriana Graya* Anna przeczytała kilka lat temu, kiedy zaczęła fascynować się sztuką końca dziewiętnastego wieku, modernizmem i secesją. Pamiętała dość dobrze tę książkę. Ale *Salome* nigdy nie miała w ręku, domyślała się jedynie, czego dramat może dotyczyć. Z pewnością biblijnej córki Herodiady, jej symbolicznego tańca i głowy Jana Chrzciciela na srebrnej tacy. Anna nie знаła tekstu, a mimo to coś w pierwszym z wypisanych fragmentów wydawało się nie na miejscu. Nie pasowało do reszty. Tylko co?

Zatrzymała się na chwilę, chwyciła komórkę i wybrała numer ojca. Ingvar obejrzał się przez ramię i chciał na nią poczeekać, ale pokręciła głową.

— Dogonię was! — zawołała. — Halo, tata? Słuchaj... Pojawił się mały problem. Nawet nie miałam kiedy do ciebie zadzwonić. Planowaliśmy płynąć jutro do Świnoujścia i jeśli nic już się nie wydarzy, to tak zrobimy, nie wiem tylko, czy... dotrвам do ślubu Lidki. Być może wezwą mnie tu z powrotem. Do Ystad. A raczej do Malmö. Co? A, tak.. Vidar płynie ze mną. I Lempi, nasza gospośnia... Widzisz...

Anna westchnęła i streściła ojcu pokrótce wszystko to, co wydarzyło się od soboty. Od feralnego ciasta na wycieraczkę począwszy, na nagłej śmierci Sofii Statesi skończywszy. Po setnym zapewnieniu, że naprawdę na siebie uważa, że w domu została obstawa, a ona sama jest w Malmö z Ingvarem, przeszła wreszcie do sedna.

— Tato, słuchaj, mam prośbę. Potrzebny mi jest tekst *Salome* Oscara Wilde'a. A właściwie

teksty. Oryginał, przekład polski i szwedzki. I libretto opery Straussa. Ja wiem, że ty wykładasz literaturę słowiańską, ale na pewno masz tam na uniwersytecie jakiegoś kumpla, który zajmuje się literaturą angielską. To w cholere duża uczelnia. Pomóż mi. Ja nie mam czasu biegać po księgarniach ani zamawiać w internecie, poza tym jutro już wypływamy... A tutaj gdzieś pałęta się świr trucieli, który podrzuca policji co rusz literackie rebusy. Ratuj! Nie, nie wróciłam do policji. Nie, nie odeszłam. To skomplikowane... Tato, muszę kończyć, wchodzę do więzienia. Do więzienia, tak... Nieważne... Później zadzwonię. Pamiętaj o *Salome*.

Wrzuciła telefon do torby i podbiegła do bramy. Wiedziała, że ojciec z pewnością jej pomoże. I jako literaturoznawca sam bez wątpienia zainteresuje się tematem. Może podsunie Annie kilka ciekawych uwag? Najważniejsze jednak były w tym wszystkim egzemplarze *Salome*. *Portret Doriana Graya* stał na półce w jej własnej bibliotece i Anna zamierzała zabrać go ze sobą na Hel. Ale *Salome* była z pewnością trudniej dostępna w księgarniach i rzadziej omawiana. Ciekawe, czy właśnie dzięki Sofii Stiatesi trucieli wpadł na to, by zacytować akurat ten tekst? I dlaczego Anna tak łatwo przyjęła, że rzeczywiście kopertę zostawił w hotelu trucieli? Ale jeśli nie on, to kto inny? I jaki miał związek z Narcyzem? Jakiś przecież musiał. W celi Narcyza również znaleziono rysunki z cytatami z Oscara Wilde'a, a zatem... To wszystko z pewnością gdzieś się łączyło. Miało wspólny punkt. I w jakiś sposób dotyczyło również Anny. Vidara. Dlaczego?

W korytarzu niemal zderzyła się z Ingvarem i Ester. Zakłęła w duchu. Miała wrażenie, że przez cały czas tylko wlecze się gdzieś z tyłu, a oni raz po raz zatrzymują się i czekają na nią jak na krnąbrne dziecko. Ester przewróciła oczami, mruknęła coś pod nosem i rzuciła Ingvarowi znaczące spojrzenie.

— No, to chyba możemy wreszcie iść? — powiedziała.

Ingvar skinął głową i wszyscy troje ruszyli za strażnikiem. Anna poczuła się nieco zakłopotana.

— Przepraszam — rzuciła w stronę Ingvara. — Musiałam zadzwonić do ojca. Przypomniało mi się, że przecież jutro wypływamy do tego Świnoujścia i chciałam, żeby coś dla mnie jeszcze załatwił. Ja nie zdążę.

— Wyjeżdżasz? — zainteresowała się nagle Ester. — Myślałam, że zechcesz wziąć udział w śledztwie. Niby jesteś na urlopie, ale kilka osób z pewnością będzie nalegało...

Anna uśmiechnęła się złośliwie. Kilka osób z pewnością będzie nalegało, ale nie Ester Gustafsson! Ona sama chętnie wpakowałaby w Annę jakąś trutkę, żeby tylko móc pracować sam na sam z Ingvarem. Jeszcze czego! Anna machnęła niedbale ręką.

— Ale to tylko do poniedziałku. Moja siostra bierze w sobotę ślub. W poniedziałek rano mamy rejs powrotny.

— Twoja siostra mieszka w Świnoujściu? — dopytywała dalej Ester, zerkając co jakiś czas na Ingvara.

— Nie, w Helu. Płyniemy promem do Świnoujścia i później stamtąd pojedziemy autem na Hel. Musimy tam być. A przynajmniej ja muszę. To moja siostra. Pomyślę nad sprawą podczas

imprezy, obiecuję. I tak nie lubię wesel. A Vidar nie będzie przecież tańczył, prawda? Wy w tym czasie dostaniecie wyniki sekcji zwłok, wyniki z laboratorium i tak dalej... Jeśli wam się uda złapać winnego do poniedziałku, to super, ale, szczerze mówiąc, wątpię...

— Fajnie by było mieć więcej optymizmu, tylko że... No niestety raczej się z tobą zgodzę — przyznała niechętnie Ester. Wyraźnie poweselała na wieść o wyjeździe Anny. — Ale może jeszcze cię zaskoczymy. Ja i Ingvar. — Ester złapała Ingvara pod rękę.

— Wiem, na co stać Ingvara. Znam go od ośmiu lat — zripostowała Anna. W duchu modliła się o to, by nie dać się sprowokować tej wywłoce na obcasach.

— Och, ja znam go dłużej...

— Ana, jesteś pewna, że chcesz pojechać? — Ingvar wszedł Ester w słowo, ale Anna i tak ją usłyszała.

— A dlaczego mam nie jechać? — spytała, spoglądając na niego wymownie.

— Myślisz, że to bezpieczne? — Ingvar uwolnił łokieć z uścisku Ester i położył dłoń na ramieniu Anny. — Po tym, co się stało?

— A myślisz, że tu jestem bezpieczna? Jak dla mnie na jedno wychodzi.

— Ana ma rację. Na jedno wychodzi, Ingvar. Daj jej swoje błogosławieństwo — oświadczyła zimno Ester.

Anna miała ochotę przyłożyć jej za tę „Anę”. Tylko Ingvar tak się do niej zwracał. Ingvar mówił zawsze „Ana”, Vidar — „An”, a wszyscy inni nazywali ją po prostu „Anią”, co u Szwedów brzmiało trochę jak „Anja”, ale też nie do końca. Miała zamiar coś na ten temat powiedzieć, kiedy na spotkanie wyszedł im dyrektor więzienia. Klótnia, która wisiała w powietrzu, została zawczasu zażegnana.

Cela Narcyza nie była specjalnie przestronna ani luksusowo urządzona, jednak pod żadnym względem nie przypominała również jakiegoś „lochu”, czyli miejsca kaźni, do którego, zdaniem Anny, powinien trafiać każdy morderca. A już zwłaszcza ten jeden, konkretny. Po raz kolejny wróciło do niej wspomnienie Twierdzy If z *Hrabiego Monte Christo* i uśmiechnęła się gorzko. Nie była zwolenniczką kary śmierci i torturowania więźniów, ale bez przesady! Facet brutalnie zabił dziesięć kobiet, a teraz dostał karton książek z biblioteki, żeby mu się zanadto nie nudziło?! No dobrze, nie teraz dostał. Wcześniej dostał. Teraz nie żyje...

Anna rozejrzała się po pomieszczeniu. Zlustrowała prostą pryczę, szafkę nocną, półkę, toaletę i szeroki parapet. Technicy zebrali materiał, ale niczego jeszcze stąd nie wyniesiono. Celę wypełniały przedmioty, których do niedawna używał Narcyz. Niedługo one również stąd znikną, a między tymi ścianami zamieszka ktoś zupełnie nowy. Czy równie chory i niebezpieczny? O to z pewnością będzie bardzo trudno... Anna poczuła nagły przypływ irytacji. Dlaczego ten pokój nic jej nie mówił? Zajrzała do szuflad i przełożyła z miejsca na miejsce kilka podkoszulków. Mdlilo ją na myśl o tym, kto je nosił. I dlaczego tu były? Więzienie to nie wybieg dla modelek! Każdy dostaje odgórnie przypisane wdzianko, niezależnie od tego, jak bardzo kłóci się ono z jego

wrodzonym poczuciem estetyki!

Uniosła koc na łóżku, zerknęła na leżące na parapecie gazety i wreszcie uklęka przy kartonie z książkami. Nic innego jej nie pozostało. Wiedziała, że rysunki kobiety szkieletu, które wykonał Narcyz, zostały już stąd wyniesione, by mogły zostać poddane specjalnej analizie. A właśnie one interesowały Annę najbardziej. Póki co, musiała się jednak zadowolić fotografiami, które przekazała jej Ester Gustafsson.

Karton zawierał dość dużo interesujących tytułów. Sama klasyka. Anna poczuła, że nogi jej cierpną i bez chwili zastanowienia usiadła na zimnej podłodze. Na korytarzu usłyszała głosy Ingvara i Ester, którzy zbliżali się do celi Narcyza w towarzystwie dyrektora więzienia. Anna zrezygnowała z rozmowy z nim po kilkunastu minutach. W kółko powtarzał to, co już od dawna wiedziała. Oprócz kilku informacji o rozkładzie dnia w więzieniu i zachowaniu Narcyza, które było ponoć wyjątkowo spokojne i kulturalne, nie potrafił dodać nic nowego. Anna nie miała ochoty bawić się w kurtuazyjną pogawędkę i kazała się zaprowadzić do celi. A teraz jej sam na sam w przestrzeni, którą zajmował psychopatyczny morderca, dobiegało końca.

Franz Kafka, Henry James, Albert Camus, Edith Wharton, Jane Austen, poezja Artura Rimbauda, Charlesa Baudelaire'a, Samuela Taylora Coleridge'a... Wreszcie wzrok Anny zatrzymał się na kolejnej okładce. Joris-Karl Huysmans, *Na wspak*. To właśnie cytaty z tej powieści Narcyz wypisywał na ciałach swoich ofiar. I wciąż ją czytał.

A może właśnie to go kręciło? Może wszystko sobie dzięki niej przypominał? Anna odłożyła *Na wspak* i sięgnęła po kolejne książki. Oscar Wilde. Tak jak się spodziewała. *Portret Doriana Graya*, *Zbrodnia lorda Artura Saville'a*. *Upiór rodu Canterville'ów*. A gdzie *Salome*? Anna chwyciła egzemplarz *Zbrodni lorda Artura Saville'a* i zaczęła kartkować. Wydanie było stare, druk nieco wyblakły, a niektóre kartki kleiły się do siebie. Zwłaszcza w środku. Zupełnie tak, jak gdyby ktoś specjalnie je zlepiał... Dwóch stron w ogóle nie można było od siebie oderwać. Anna delikatnie podważyła papier paznokciem. Cmoknęła z dezaprobatą. Ciekawe, czy technicy też próbowali coś z tym zrobić? Szczerze w to wątpiła. Przez chwilę żałowała, że nie włożyła lateksowych rękawiczek. Być może właśnie zaciera ślady? Wreszcie kartki odskoczyły od siebie. Anna wyglądziła strony. Na marginesie widniał maleńki rysunek kobiety szkieletu z narcyzem w trupiej dłoni. Anna podniosła książkę do oczu. Tak.. Kobieta na szkicu uśmiechała się. Fragment tekstu u dołu zaznaczony był na zielono, tak samo jak w *Portrecie Doriana Graya*, który znaleźli u Sofii Stiatesi.

Jak obłądne i potworne wydawało się to wszystko! Czyż możliwe, aby na jego dłoni, znakami, których sam nie potrafił odczytać, ale łatwymi do odcyfrowania dla kogoś innego, zapisano jakąś okropną tajemnicę grzechu, jakieś krwawe znamię zbrodni? Czyżby nie było żadnej ucieczki? Czyżbyśmy byli tylko szachowymi pionkami poruszonymi nieznaną siłą, które garncarz wedle kaprysu lepi z gliny honoru lub hańby? Jego rozum buntował się przeciw temu, ale lord czuł jednak, że zawisła nad nim jakaś tragedia i że nagle został wezwany do dźwignięcia nieznośnego ciężaru. Aktorzy są tak

szczęśliwi! Mogą wybierać, czy mają wystąpić w tragedii czy komedii, czy cierpieć, czy się weselić, śmiać się czy wylewać łzy. Mężczyźni i kobiety muszą najczęściej występować w rolach, do których nie mają kwalifikacji. Guildensternowie grają nam Hamleta, a Hamleci muszą blaźnować jak książę Hal. Świat jest sceną, na której idą źle obsadzone sztuki.

Anna drgnęła, kiedy do celi wszedł Ingvar, a w ślad za nim zjawiła się również Ester. Bez słowa podeszła do policjantki z Malmø i podała jej egzemplarz *Zbrodni lorda Artura Saville'a*.

Ktoś to widział?

Cisza. Ester Gustafsson powoli obróciła książkę w dłoni.

— Może zamiast chichotać z dyrektorem więzienia, ktoś zechciałby się wreszcie zainteresować celą Narcyza?

— Przecież pobraliśmy materiał... — zaczęła Ester, ale Anna nie pozwoliła jej dokończyć.

— Jak niby pobraliście stąd materiał, skoro karton z biblioteki stał praktycznie nieruszony?

— Chłopcy na pewno myśleli, że dopiero go dostarczono i Narcyz jeszcze niczego stąd...

— Twoi „chłopcy” powinni chyba trochę mniej filozofować. — Anna miała już dość słuchania tej głupiej baby. — Książka była na samym dole. Szkoda, że na to nie wpadli!

— Mamy kolejną lekturę do nadrobienia — wtrącił się Ingvar. — Nie wiem, jaki jest związek między Narcyzem z tej celi a trucicielem, który go załatwił, ale coś musiało ich łączyć.

— Skąd ta obsesja na punkcie Wilde'a? — Anna prawie wyrwała książkę z ręki Ester. — Skąd te rysunki, które są i tutaj, i u Sofii Stiatesi, i u mnie w domu? Narcyz ich przecież nie wyniósł!

— Ktoś inny musiał to zrobić albo je samemu wykonać — odparł. — Skopiować... Ale nie sądzę, żeby można było tak idealnie naśladować czyjąś technikę. Chociaż...?

— Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, prawda? — skwitowała. — W każdym razie... Trzeba znaleźć to powiązanie. Jak najszybciej. A te rysunki ciągle nie dają mi spokoju. Gdzieś już widziałam coś podobnego. Musiałam widzieć... — Anna wyszła z celi i poprosiła strażnika, by wprowadził ją na korytarz. Ester i Ingvar ruszyli za nią.

Teraz ona szła pierwsza, oni zaś wleki się z tyłu. Anna poczuła się nagle potwornie zmęczona. Mimo to kroczyła pewnie, sprawnie pokonując kolejne odcinki więziennego korytarza. Kiedy wyszła na zewnątrz, zatrzymała się, odwróciła do swoich towarzyszy i rozciągnęła wargi w lekko kpiącym uśmiechu.

— Dlaczego lezicie za mną? Mielicie przecież porozmawiać z więźniami! Ja spadam. Głowa mnie boli i chyba straciłam nastrój do prowadzenia śledztwa. Podjadę jeszcze na chwilę do hotelu Renaissance... A później wrócę do domu.

— Czy m wrócisz? Przecież przyjechaliśmy moim autem — zaniepokoił się Ingvar. — Odwiozę cię.

— Ingvar... — zaczęła Ester, ale Anna przerwała jej zdecydowanie.

— Pojadę pociągiem. Kursują przecież. Żadnej katastrofy nie było, o ile wiem.

— Odwiozę cię — prawie krzyknął Ingvar. — Nie ma żadnej dyskusji. Zabrałem cię z Ystad

i tam cię odstawię. Ciebie też chcieli otruć. Nie będę się zastanawiał, czy ktoś cię nie wywalił z pociągu albo nie udusił po drodze. Nie dyskutuj ze mną. Błagam...

Ingvar wydawał się tak przejęty i zdenerwowany, że Anna odrobinę spuściła z tonu. Wiedziała, że nie udawał. A jednak... Nie mogła pozwolić na to, by przykleił się do niej w tej konkretnej chwili. Potrzebowała czasu. Przynajmniej godziny, może dwóch. Wpadła na pewien pomysł, który nie dawał jej spokoju. Westchnęła z udawaną rezygnacją.

— No dobrze. To wróćcie tam i pogadajcie przynajmniej z najbliższymi kumplami Narcyza. Czy coś... Chyba jakichś miał? Spotkamy się pod hotelem Renaissance. Za... dwie godziny? Muszę wrócić do domu przed północą, w końcu jutro płynę do Polski.

Ingvar łaskawie wyraził zgodę. Anna obróciła się na pięcie i odeszła szybko, ani razu nie oglądając się za siebie. Dwie godziny. Powinno wystarczyć na to, by zajrzeć do opery, zasięgnąć języka i później wrócić na czas pod hotel. Powinno wystarczyć.

Rozdział 12

Rozmowa z dyrektorem Opery i Teatru Muzycznego w Malmö nabierała tempa i nieuchronnie zbaczała na dość niebezpieczny tor. Mężczyzna, z początku blady, oblał się purpurowym rumieńcem, podniósł głos i zaczął dynamicznie gestykulować. A Szwedzi nie gestykulują przecież. Nie tak dynamicznie. Nie ci, których Anna poznała. Czasem im się zdarza, owszem, pod wpływem silnych emocji i... wzburzenia. Tak jak temu tutaj. I wszystko przez nią...

Z początku sytuacja wydawała się bezpieczna, a dyrektor opery sympatyczny, choć oczywiście mocno wstrząśnięty śmiercią Sofii Stiatesi. Przez pierwsze kilkanaście minut tłumaczył się wylewnie, że nie może odwołać dzisiejszego koncertu, bo zostało zaledwie kilka godzin, bilety wyprzedane i to byłaby — doprawdy! — ogromna finansowa strata dla pracowników i całej instytucji. Pensje trzeba przecież wypłacić, utrzymać budynek, a to — doprawdy! — sporo kosztuje. Anna pokiwała głową. Nawet faceta rozumiała. Co miał w tej sytuacji zrobić? Oddać bilety? Odwołać show, na którego przygotowanie poszło tyle pieniędzy? Wezwanie dublerki wydawało się rozwiązaniem najprostszym, najmniej kosztownym i najbardziej oczywistym. A jeśli zadedykują jeszcze koncert zmarłej tragicznie diwie Stiatesi, to sukces marketingowy gwarantowany. Takie gesty zawsze wspaniale budują wizerunek.

Anna zapewniła dyrektora, że wszystko świetnie pojmuje i płynnie przeszła do pytania o dublerkę Sofii Stiatesi. Dublerka... Anna widziała wiele filmów, w których to właśnie zazdrosna dublerka, lub mniej znana koleżanka po fachu, pozbywa się słynnej śpiewaczki bądź aktorki, by sprawnie zająć jej miejsce. W tym wypadku podobne rozwiązanie wydawało się mocno naciągane, a jednak należało wykluczyć i to. Należało w ogóle wykluczyć wszystko, co tylko

nadaowało się do wykluczenia. Sprawa tajemniczej śmierci Narcyza i Sofii Stiatesi oraz zatrutego ciasta na wycieraczkę wydawała się coraz bardziej zagmatwana. A Anna nie miała zbyt wiele czasu.

— Tak, oczywiście, dublerka... Chyba jest już w budynku. Ćwiczy. Nie spodziewała się... Sama pani rozumie — mówił dyrektor, przechadzając się niespokojnie po swoim gabinecie.

— Tak Rozumiem. A jak się nazywa?

— Camilla Stenberg. Całkiem nieźle śpiewa, no ale wiadomo... To nie Sofia Stiatesi! Wie pani co? Komisarz Lindholm? Jestem trochę w czarnej dziurze, że się tak wyrażę. Sofia Stiatesi... Niech mnie pani źle nie zrozumie. Jestem zdruzgotany jej śmiercią, bo ją znałem, darzyłem sympatią i szacunkiem, ale... Ona również generowała ogromny przychód. Każdy jej występ gwarantował pełną salę. Bilety rozchodziły się już na kilka miesięcy przed koncertem. To była wspólna współpraca, a teraz... I jeszcze, jeśli mam być szczerzy, nie do końca wierzę, że Camilla Stenberg poradzi sobie z partią Salome. To jedna z najtrudniejszych partii na sopran, jakie kiedykolwiek napisano!

Mężczyzna urwał, usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach. Anna pomyślała znowu o nieszczęsnej *Salome* i uznała, że trzeba wreszcie zapytać o ten niefortunny wybór repertuaru. Najpierw jednak poruszyła inną kwestię. I wtedy wszystko zaczęło się sypać.

— Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że Sofia Stiatesi tak często z panem współpracowała? To była słynna na cały świat śpiewaczka, występowała w Nowym Jorku, Wiedniu, Londynie, La Scali, Paryżu... Pokazała się w filmie, nagrywała płyty...

Anna bez zająknięcia cytowała wypowiedź Amalii Stiatesi. Sama nie bardzo wiedziała, która opera cieszy się obecnie największym prestiżem. Vidar by wiedział. Annie co prawda sprawiały przyjemność wyjścia do opery, ale to Vidar był jej wielkim miłośnikiem. Być może dlatego tak bardzo przybiła go wieść o śmierci Sofii? Być może dlatego tak dobrze im się współpracowało? Vidar podziwiał Sofię, a Sofia podziwiała Vidara... Uczciwa wymiana. Anna po raz kolejny przypomniała sobie dziwne słowa Amalii Stiatesi, która twierdziła, że jej siostra nie była gotowa na kontakty z Vidarem po wypadku. Zmarszczyła brwi i odsunęła od siebie na razie ten temat.

— Do czego pani zmierza? — wyrwał ją z zamyślenia głos dyrektora opery. W tym momencie powinna się już zorientować, że zmierza w niewłaściwym kierunku. Mimo to brnęła dalej.

— Po prostu się zastanawiam, co ją tutaj tak często przyciągało. Malmö to nie jest... jakaś wielka stolica opery.

W tej właśnie chwili mężczyzna z bladego zrobił się purpurowy. Wstał powoli z krzesła i oparł dłonie na biurku. Wychylił się w jej stronę. Anna czuła się jak uczennica wezwana na dywanik do dyrektora szkoły. Było już za późno, żeby cofnąć niefortunne pytanie. Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś wytłumaczenia, pomocniczego zagadnienia, które pozwoliłoby jej szybko zmienić temat. Zaczęła się również martwić o swojego rozmówcę. Wyglądał tak, jak gdyby właśnie osiągnął stan przedzawałowy. Lawina zaczęła się toczyć i urastała z wolna do monsturalnych rozmiarów. Anna zmrużyła oczy i przygotowała się na jej przyjęcie. Dyrektor

otworzył usta. Teraz!

— Co ma pani na myśli?! Malmö to nie jest światowa stolica opery, wiadomo! Ale!!! Nasze audytorium... — Dyrektor na powrót usiadł i zaczął wachlować się gazetą. Nie wyglądało to dobrze. — Nasze audytorium, powtarzam, jest jednym z największych w krajach skandynawskich!!! A scena... — Mocniejsze wachlowanie. — A scena!!! Scena jest jedną z największych w Europie!!! Być może... To nie Metropolitan Opera, ale... Jak pani śmie?!

Anna uznała, że w tej sytuacji najlepiej będzie postawić na topos afektowanej skromności.

— Przepraszam, ja jestem tylko prostą policjantką, co ja tam wiem o operze... — bąknęła z udawanym zakłopotaniem. Nie miała zamiaru przytaczać dyrektorowi swojej rozmowy z Amalią Stiatesi. Bała się, że facet za chwilę wyrzuci ją z gabinetu, a przecież trzeba było jeszcze zagaić o Oscara Wilde'a. — No wie pan, tak sobie po prostu pomyślałam... Nie znam się. Metropolitan Opera dumnie brzmi, ale tak naprawdę nigdy tam nie byłam. — W środku, dodała w myślach. Na zewnątrz to i owszem. Widziała Metropolitan Operę, kiedy była w Nowym Jorku z Vidarem.

Dyrektor wypuścił z sykiem powietrze. Purpura z jego twarzy zlała nieco i w Annę wstąpiła nowa nadzieja. Chciała się właśnie odezwać, kiedy dyrektor wygłosił niespodziewaną uwagę. Anna zamarła.

— Poza tym jest pani niedoinformowana. Albo wy wszyscy w tej policji jeszcze do tego nie doszłście. Otóż to Sofia zabiegała o współpracę z nami. Oczywiście ja byłem zachwycony, ale to ona pierwsza wysunęła propozycję. I tak samo było z repertuarem. Z początku zgadzała się na to, co akurat było zaplanowane. *Romeo i Julia*. *Faust i Helena*. *Doktor Zjivago*. A później powiedziała, że mam się, hm, wypchać i, hm, wsadzić sobie w dupę rolę Julii, bo ona już jest na to za stara. No niby tak, tylko że rola, którą zaproponowała, też była dla młodej śpiewaczki. To dziwne, bo właśnie niby dla młodej, a jednak już doświadczonej. W końcu partia cholernie trudna. Poza tym Sofia przesadzała ze swoim wiekiem. Trzydzieści osiem lat! Przy jej wyglądzie...

— A o jakiej „cholernie trudnej partii” mówimy? — przerwała mu Anna.

Znała świetnie odpowiedź na to pytanie, ale mimo wszystko chciała ją usłyszeć od dyrektora. I nie mogła już dłużej znieść tego monologu o operach. Czula, że dyrektor mógłby tak w nieskończoność...

— *Salome*, oczywiście. Właśnie dziś miała być premiera. Ale o tym już mówiliśmy przy okazji wokalnych możliwości Camilli Stenberg. Zna pani?

— Camillę Stenberg?

— *Salome*...

— Mniej więcej.

— Właśnie. Sofia Stiatesi bardzo upierała się przy tym repertuarze. Chciała zaśpiewać partię *Salome*. Była świeżo po lekturze dramatu Oscara Wilde'a, później dorwała libretto opery Straussa i się zaczęło... No, ale ona była gwiazdą. Zarabialiśmy dzięki niej sporo pieniędzy. A to... Dobra sztuka. Tylko trudna. I kiedyś bardzo kontrowersyjna. Teraz już nie, bo wiadomo, upadek

obyczajów. Kiedyś jednak żadna śpiewaczka nie chciała się na tę rolę zgodzić. Głównie ze względu na taniec siedmiu zasłon. Inaczej taniec siedmiu welonów.

— Taniec siedmiu welonów? — zainteresowała się Anna.

Ukradkiem zerknęła na zegarek. Do spotkania z Ingvarem pod hotelem Renaissance zostało trzydzieści pięć minut. Rozmowa z dublerką powoli oddalała się w kierunku wirtualnego worka z napisem „zaplanowane/ niezrealizowane”. Anna pomyślała, że w życiu nie prowadziła tak durnego śledztwa.

— Siedmiu welonów? — powtórzyła.

Mężczyzna uśmiechnął się. Dał się udobruchać. Anna odetchnęła z ulgą. Całe szczęście. Dyrektor na pewno będzie jeszcze potrzebny. Kolejna wizyta w operze wydawała się nieunikniona, zwłaszcza po tym, co Anna usłyszała. Sofia Stiatesi sama zabiegała o współpracę z Malmö. Sama wybrała repertuar. Sama postawiła właśnie na *Salome*. O co tu mogło chodzić? Czyżby Amalia Stiatesi o niczym nie wiedziała? Twierdziła przecież, że dziwiły ją wyjazdy siostry do Malmö, które nawiązywały się w ostatnim czasie. I chyba nie wiedziała też o tym, że Sofia sama decydowała o repertuarze. Dziwne... Amalia Stiatesi była prawą ręką Sofii. Brała czynny udział w organizacji koncertów.

— Taniec siedmiu zasłon trwa dziewięć minut i jest w całości partią instrumentalną. Salome wykonuje ten taniec przed królem Herodem. W trakcie jej pływów na ziemię upadają kolejne elementy garderoby, czym księżniczka doprowadza króla do ekstazy. W rezultacie władca obiecuje dziewczynie, że za ten taniec ofiaruje jej to, czego tylko zapragnie. A Salome żąda...

— Głowy Jana Chrzciciela — dokończyła cicho Anna. Coś ścisnęło ją za gardło. Taniec siedmiu zasłon... Czyżby kolejna wskazówka?

— Dokładnie tak — Dyrektor odchylił się na krześle i wyciągnął z szuflady tablet. — Proszę, tutaj mam zarejestrowane nagranie z prób. Taniec siedmiu zasłon w wykonaniu Sofii Stiatesi. Uczyla się ponoć u samych mistrzów... I zdecydowała się na bardzo odważny wariant. To znaczy... Na bardzo odważny strój, hm, końcowy...

Anna utkwiała wzrok w ekranie. Przez głowę przemknęła jej myśl, że tych „samych mistrzów” też trzeba będzie przesłuchać. Na wszelki wypadek. Ta sprawa zaczynała przypominać wielki piętrowy tort. Anna zmrugała oczy. Wsluchiwała się w niepokojącą muzykę autorstwa Richarda Straussa i po jej plecach przebiegł dreszcz. Zmienne tempo melodii i sinusoida rytmu przyspieszały bicie serca, a mroczna sceneria tylko podkreślała nastrój grozy. To była Salome niemal jak z horroru, spowita w lekkie ciemne welony wiła się po scenie, zmuszała swoje ciało do coraz to nowych figur, była jak wibrująca w powietrzu energia. Sofia nadawała pojęciu „ruch” nowe znaczenie. Ten ruch, ten taniec, stanowiły sztukę samą w sobie. Były magnetyzujące, dramatyczne, pełne podskórnych pożądania, cierpienia i... tęsknoty? Anna otworzyła szeroko oczy. Nigdy nie widziała takiej Sofii Stiatesi. Tutaj nie chodziło tylko o taniec. Raczej o coś, co kryło się w niej samej — w jej sercu, w myślach. Każdy gest kipiał od nagromadzonych emocji, każdy obrót wyzwalał kolejną ekspresję. Taki taniec musiał być bardzo wykańczający — jak każda sztuka, w którą artysta angażuje się całym sobą. Salome pożądała głowy Jana Chrzciciela.

A czego pragnęła Sofia Stiatesi?

Po dziewięciu minutach muzyka umilkła, a kolorowy ekran przeistoczył się w czarny prostokąt. Dyrektor opery westchnął. W oczach miał łzy.

— Sama pani widzi. Wszyscy mówili, że nikt jeszcze w taki sposób nie zatańczył tańca siedmiu zasłon. To miała być rewolucja. Sofia dała z siebie wszystko... Ja... Nie wierzę, że jej nie ma — głos dyrektora załamał się niebezpiecznie.

Anna wstała. Poczula się bardzo nieswojo. Co też takiego miała w sobie Sofia Stiatesi? I dlaczego Anna nie zauważyła tego wcześniej? I co łączyło ją z pieprzonym Narcyzem? O ile w ogóle coś?

— Pożegnaj się już. Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać i przepraszam za... za...

Dyrektor machnął niedbale ręką i przetarł oczy. On również wstał i odprowadził Annę do wyjścia. Odwróciła się w progu.

— Mam nadzieję, że przedstawienie uda się mimo wszystko. Życzę powodzenia.

— Złapcie go. Tego, kto ją zabił. Niech się nie wywinie — powiedział mężczyzna ostro. — Macie go złapać!

Nic mu na to nie odpowiedziała. Nauczyła się już, że takich obietnic nie należy składać. Ruszyła przed siebie, jak poinstruował ją dyrektor. Wreszcie znalazła się przed garderobą zajmowaną teraz przez Camillę Stenberg. Zapukała. Ponownie zerknęła na zegarek Kwadrans. Nigdy w życiu nie dotrze na czas pod hotel Renaissance. Ingvar się wścieknie. Pewnie w ciągu trzech sekund skłeci ekipę śledczą, żeby ją odnaleźć. Trudno nie będzie. Wystarczy namierzyć telefon...

— Proszę! — usłyszała zza drzwi i nacisnęła kławkę.

— Dzień dobry, ja tylko na chwilę. — Anna wsunęła się do środka i machnęła odznaką, którą dziś rano przezornie przywiózł jej Ingvar. — Komisarz Anna Lindholm z Ystad. Czy mogłabym...

— Z Ystad? Jak Wallander? — przerwała jej młoda dziewczyna. Wysoka. Ładna. Przerazona.

— No... Tak. Ale ja... nie jestem taka jak on. — Anna się uśmiechnęła. Kolejny głupi tekst. Ostatnio zdecydowanie wyszła z wprawy jeśli chodzi o komunikację interpersonalną. — Wiem, że pani jest teraz bardzo zajęta, ale chciałabym zapytać...

— Ale z Ystad? — wtrąciła się znowu dziewczyna. — Dlaczego z Ystad? Myślałam, że chodzi o śmierć Sofii... — kąciki ust dziewczyny zadrżały. — A ona umarła tutaj. To znaczy zabili ją tutaj. Zabili, prawda?

— Na to wygląda — przyznała Anna niechętnie. Przesiadła na brzegu kanapy. — Przyjechałam pomóc tutejszej policji jako konsultant. Nie chcę się wdawać w szczegóły i też za bardzo nie mogę tego robić, ale prawdopodobnie sprawa śmierci Sofii wiąże się z inną, którą zajmowałam się wcześniej. Dlatego znalazłam się w Malmö. Nie ma pani czasu, to oczywiste, ja zresztą też za wiele go nie mam, ale chciałam tylko zapytać...

— Czy to nie ja ją otrulałam? — Dziewczyna na po raz kolejny weszła Annie w słowo. Zaśmiała się gorzko. Podeszła bliżej i usiadła obok Anny na kanapie. — Marzyłam, żeby być taka jak ona.

Nawet... Tak, nawet o tym, żeby zająć jej miejsce. Ale... Ja pierdolę! — krzyknęła nagle. — Nie w takim tempie! Kurwa — jęknęła i ukryła twarz w dłoniach, dokładnie tak, jak niedawno zrobił to dyrektor opery — ja w życiu tego nie zatańczę. Mówiłam, żeby zatrudnić tancerkę dublerkę, to nie! Sofia sama zatańczy! A ty, Camilla, lepiej też się ucz! Na wszelki wypadek! Kur-wa!!! Kto by się spodziewał?! Sofia nigdy niczego nie zawalała. Była jak skała. Przyłaziła na próby nawet wtedy, kiedy źle się czuła! Ja tego nie zatańczę! Słyszysz pani?! Nie dam rady!!!

Anna poruszyła się niespokojnie na kanapie. No to nici z szybkiej wymiany zdań. Najpierw trzeba będzie odrobić pańszczyznę w charakterze psychoanalityka. Świetna fucha, nie ma co. Zwłaszcza Anna nadawała się do tego zadania idealnie. Ona — policjantka, renowatorka mebli, żona Vidara, kochanka Ingvara, zazdrosna o Ester, zmuszona do podróży na Hel i do odwiedzenia demonów przeszłości, z fińską gosposią, mężem inwalidą, ojcem poddanym rodzinnemu ostracyzmowi i jego szwedzką żoną!!! Nooo!!! Pięknie! Tak, pewnie, może służyć radą stremowanym śpiewaczkom operowym. Proszę bardzo!

— Da pani radę — powiedziała grobowym głosem. — Proszę to... zrobić po swojemu.

Camilla Stenberg wyprostowała się i spojrzała na Annę z uwagą. Jej twarz stężała na chwilę.

— Po swojemu, mówi pani? No może...

— A teraz proszę mi tylko odpowiedzieć na jedno pytanie — wtrąciła szybko Anna. Z tą dziewczyną wyjątkowo ciężko się rozmawiało. — Czy zauważyła pani coś dziwnego w zachowaniu Sofii Stiatesi? Może podczas prób? Albo wcześniej, podczas poprzednich występów? Wszystko może być ważne. Z kimś się kontaktowała, spotykała, zachowywała się podejrzanie?

Camilla zaczęła w zamyśleniu skubać dolną wargę. Anna obserwowała ją ukradkiem. Dziewczyna nie była taka piękna jak Sofia Stiatesi, ale miała w sobie coś świeżego i oryginalnego. Wydawała się tylko odrobinę nieopierzona. Brakowało jej klasy i doświadczenia starszej śpiewaczki. Wreszcie Camilla westchnęła z rezygnacją.

— Była trochę niespokojna ostatnio. Tak mi się wydawało. Po prostu łatwo dawała się wytrącić z równowagi. Bywała też zamyślona. Ale głównie rozdrażniona. Oni wszyscy mówili tutaj, że to sława i forsa powoli uderzają jej do głowy, ale ja... Obserwowałam ją. Była moją idolką, pani rozumie? I moim zdaniem tu chodziło... o te koktajle na odchudzanie! — wykrzyknęła triumfalnie.

— Co? — spytała z niedowierzaniem Anna.

— No, Sofia się odchudzała. Od kilku tygodni. Albo nawet dłużej. Nie wpływało to na nią dobrze. Miała poszarzałą cerę, oczy bez blasku, włosy jej wypadały, była zmęczona. Całą energię wkładała w ten cholerny taniec siedmiu zasłon. I w śpiewanie. Ponoć to przez jakiegoś faceta zaczęła się odchudzać.

— I nikt nie zwrócił uwagi na to odchudzanie Sofii Stiatesi? — Anna była coraz bardziej zainteresowana tajemniczymi koktajlami i dietetycznymi śpiewaczki.

— A kto tu patrzy na takie rzeczy?! Same pieprzone gwiazdy! Każdy jest na jakiejś diecie!

— Mhm... Coś jeszcze? Ktoś się koło niej kręcił?

— Nic nie zauważyłam. Ale proszę popytać w zespole. Nie miałam z nią kontaktu non stop. Może ktoś coś zauważył.

Anna podziękowała Camilli, czyzyła jej powodzenia, jeszcze raz ją pocieszyła i zapewniła, że wszystko się uda, po czym wreszcie opuściła garderobę, a wkrótce i budynek opery. Wezwała taksówkę i zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu. Sześć połączeń od Ingvara. Wystukała zdawkową wiadomość, że za chwilę będzie. Wsiadła do auta. Czula niedosyt. Żałowała, że musi wyjechać na Hel i zostawić całą tę sprawę w Malmö. Narcyza, Sofię Stiatesi i tajemniczego szaleńca z arsenikiem czy innym trującym chłamek. Przede wszystkim jednak w tej konkretnej chwili ciekawa była wyników sekcji zwłok Sofii Stiatesi. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że ją również ktoś podtruwał od dłuższego czasu... I jeszcze ten taniec siedmiu zasłon! Te ruchy, ta energia, to podskórne cierpienie. Prośba czy może pretensja, wyrażona za pomocą finezyjnie opracowanej choreografii. Co działo się z Sofią Stiatesi? Kim tak naprawdę... była? Anna musiała porozmawiać o tym z Ingvarem. Sam na sam. Bez tej całej Ester Gustafsson! Tylko jak?

Rozdział 13

Przed hotelem Renaissance tkwiła grupka reporterów, otaczająca ciasnym wianuszkim Arnego Holma. Kierownik wydawał się rozedrgany, a na jego czole lśniły krople potu. Nie wiedział, do którego mikrofonu mówić i na kogo patrzeć. Anna parsknęła cichym śmiechem. Biedny Holm! Pewnie zaszczytne stanowisko kierownika hotelu piastował od niedawna, a tu od razu takie coś! No cóż... Ma chłopak przy okazji przy spieszony kurs *public relations*. Każdemu się przy da.

Zapłaciła taksówkarzowi i dyskretnie wysiadła z auta. Na wszelki wypadek postawiła kołnierzyk swojego żakietu i skuliła ramiona. Roześmiała się znowu. Co ona niby wyprawia?! Przemykała pod ścianą, jak gdyby była gwiazdą filmową zaszczytą przez paparazzi, a nie prowincjonalną policjantką, o której nikt nigdy w życiu nie słyszał. Cholerna Angelina Jolie się znalazła!

Anna wyprostowała się i jeszcze raz zerknęła w stronę Arnego Holma. Usłyszała jedynie: „śledztwo jest w toku”. No, to akurat prawda, pomyślała i przy stanęła bezradnie. Dokąd właściwie powinna pójść? Z Ingvarem umówiła się przed hotelem, nigdzie go jednak nie widziała. Po namyśle postanowiła wejść do środka. Nie wiedziała, co tam zastanie i czy ktoś nie zechce jej zaczepić w związku ze sprawą. Nie wpadła jednak na lepszy pomysł. W głowie wciąż miała mętlik Oscar Wilde, narcyzy, kobieta-szkielet, taniec siedmiu zasłon... *Salome, Portret Doriana Graya, Zbrodnia lorda Artura Savile, Upiór rodu Canterville'ów*... Wszystkie teksty w jakiś sposób dotyczą morderstwa... Morderstwa, śmierci, duchów, świata zmarłych... Narcyz, kobieta szkielet, taniec siedmiu zasłon, głowa Jana Chrzciciela... Narcyz, kobieta szkielet... Narcyz w mitologii Parandowskiego był kwiatem powiązany z światem zmarłych. Czy w szwedzkich

opracowaniach również? Narcyz.. Kobieta szkielet.. Szwedzkie opracowania... Szwedzka... Mitologia? Mitologia... Nordycka? Kobieta... Szkielet...

Anna miała wrażenie, że coś jej świta. A jednak, za każdym razem, kiedy starała się pochwycić cienką nić, która mogłaby wyprowadzić ją z tego skomplikowanego labiryntu myśli, coś pomijała. Nić zaś wymykała się ponownie, boleśnie kalecząc palce. Anna ze złością potrząsnęła głową. Ile takich ran musiała jeszcze nabierać, by wreszcie trafić na właściwy trop? Zrezygnowana usiadła na kanapie. W hotelu panował pozorny spokój. Tylko kilku facecików zachowywało się tak, jak gdyby usilnie starali się nie rzucać w oczy. Dziennikarze. Na pewno. Ci nie najlepszego sortu. Anna powiodła wzrokiem po lobby. Recepcjonistka skinęła na nią głową. Anna się odkloniła. Gdzie ten Ingvar?!

Rozsiadła się wygodnie i zaczęła machinalnie przeglądać jakąś ulotkę. Kiedy odkładała ją z powrotem na stolik, wreszcie go zobaczyła. Ich. Wysiadali z windy. On z zaciśniętymi zębami, zakłopotany, ona — blada i zła. Odkryli coś nowego? A może pokłócili się o rzecz zupełnie niezwiązaną ze sprawą? Ingvar zauważył Annę i przyśpieszył kroku. Ujął ją pod łokcie i dźwignął z kanapy. Przez chwilę niemal stykali się czubkami nosów.

— Odbiło ci?! Umówiliśmy się! Szukaliśmy cię! Myślałem, że jesteś na górze, w apartamencie tej Stiatesi! A później już nie wiedziałem w ogóle, co myśleć! — szepnął wściekły.

Ester Gustafsson stanęła dwa kroki za nim. Ona również była zła.

— Przepraszam. Musiałam się rozejrzeć... Tu dookoła... — skłamała Anna, po czym odwróciła wzrok. Nigdy nie potrafiła wciskać Ingvarowi kitu. Był w stanie przejrzeć ją w ciągu kilku sekund.

Ingvar odsunął się nieznacznie, a rysy jego twarzy wyraźnie złagodniały. Przejrzał Annę, jak zwykle. Był chyba cholernym jasnowidzem, dlatego tak świetnie mu szło łapanie oprychów! Odgadł nie tylko to, że Anna kłamie, ale też, że chce mu coś powiedzieć. Coś ważnego, być może nawet przełomowego. Z tym całym paranormalnym czytaniem sobie w myślach i odgadywaniem nawzajem swoich intencji zaczęli przypominać stare dobre małżeństwo. Dające poczucie bezpieczeństwa, błogość, zaufanie i pewność. Tyle tylko, że ona miała już męża. Innego.

Milczeli przez chwilę. Ester zrównała się z Ingvarem i spojrzała na nich pytająco.

— To co? — nie wytrzymała. — Może odwieziemy Anę? Szkoda czasu, mamy sporo pracy. „Anę”? Znowu?! Anna uniosła głowę. „Odwieziemy”?! Co ona? Bała się, że sami nie trafią do Ystad?

Nadkomisarz Frisk nerwowo splótł palce. Anna niemal widziała pracę jego synaps, rozgrzanych w tej chwili do czerwoności. Wreszcie Ingvar zerknął niepewnie na Ester.

— Sam ją odwiezę, Ester. Ty nie powinnaś się stąd ruszać. Wszystko jest jeszcze bardzo świeże. Narcyz, Sofia Stiatesi... Lepiej pilnować interesu. Ja i tak muszę zerknąć na ludzi w Ystad. Zobaczyć, czy gdzieś jeszcze ktoś nie bawi się w podrzucanie zatrutych ciast i rysunków z kościotrupem. Zabezpieczyć dom, kiedy Anna i... jej mąż... wyjadą. Będziemy w stałym

kontakcie. Koniecznie zadzwoń, kiedy dostaniesz już wyniki sekcji zwłok Sofii Stiatesi. Przyjadę, jak tylko będę mógł, żeby pomóc ci tutaj w przesłuchaniach. I tak pewnie mnie wyślą. Sprawy się łączą. Rysunki, trucizna... Przyjrzyjmy się temu razem, obiecuję.

Anna poczuła się nagle bardzo głupio. Ingvar wyraźnie tłumaczył się przed Ester. Był zakłopotany do kwadratu. A ona... Ester... ledwie panowała nad głosem. Anna dałaby wszystko, byle tylko dowiedzieć się, jaka historia łączyła tych dwoje.

— No dobrze, skoro tak chcesz — odezwała się powoli policjantka z Malmö. — Myślałam, że dzisiaj jeszcze uda nam się kilka rzeczy omówić... No, ale trudno. Aha, Ingvar... Zostawiłam u ciebie kosmetyczkę. Przywieź mi ją, jak będziesz tutaj wracał — dodała od niechcienia i wcisnęła dłonie do kieszeni swojej grafitowej marynarki.

Ingvar znieruchomiał. Anna poczuła, że nogi niebezpiecznie jej drętwieją. Założyła torbę na ramię i kiwnęła głową do nadkomisarz Gustafsson.

— Na razie, Ester. Pewnie niebawem się zobaczymy. Ingvar, idę już do samochodu. Kupię sobie jeszcze jakiś batonik w automacie — powiedziała i czym prędzej się oddaliła.

Bała się, że jeśli zostanie z nimi choćby sekundę dłużej, nie będzie potrafiła nad sobą zapanować. Odnalazła automat z batonikami i kupiła snickersa. „Zostawiłam u ciebie kosmetyczkę”! Annie chciało się płakać, ale postanowiła zachować resztki godności. Przepychanki z Ester Gustafsson i tak przypomniały zagrywki jakichś gówniarz z liceum. A Anna miała przecież trzydzieści dwa lata. Ingvar trzydzieści sześć. Ester nie wiadomo ile, ale z pewnością podobnie. Wszyscy w poważnym wieku, dorośli, dojrzały, a... emocje jak u nastolatków.

Weszła na parking i odnalazła auto Ingvara. Oparła się o maskę i wgrzyzła w słodki batonik. Po raz pierwszy w życiu snickers naprawdę jej nie smakował.

Kiedy Ingvar przekręcił kuczyk w stacyjce, Anna od razu zaczęła majstrować przy odborniku radiowym. Chciała zagłuszyć ciszę, a jednocześnie nie miała nastroju na rozmowę. Przy najmniej przez kilka najbliższych minut. Z hotelowego parkingu wyjeżdżali przy akompaniamencie wielkiego hitu norweskiego duetu Nico & Vinz. *So am I wrong?/For thinking that we could be something for real?* Anna zakłęta w duchu. Świetny podkład muzyczny, niech to szlag trafi! Ingvar zerknął na nią z ukosa. Wbiła wzrok w szybę. Nie wiedziała, jak długo tak wytrzyma, na razie postanowiła jednak podziwiać widoki Malmö, ile wlezie...

Nico & Vinz umilki, zduszeni przez szwedzką reklamę. Za oknem gęste zabudowania sporej i świetnie prosperującej metropolii ustępowały z wolna miejsca niskim domkom. Wreszcie samochód wtoczył się na autostradę. Ingvar skręcił w pierwszy zjazd i zatrzymał auto na parkingu. Wyłączył silnik. Cisza, której Anna tak bardzo się bała, teraz ukuła ją w uszy. Spojrzała na niego niepewnie. Uśmiechał się. Dziwnie. Trochę z politowaniem, ale jednocześnie ciepło. Anna zapadła się w sobie.

— Co? — burknęła.

— Może ty mi powiesz? Ana, ty... Jesteś może trochę bardziej subtelna niż Ester, ale wydaje

mi się, że też... Wyprowadź mnie w razie czego z błędu. Bo... Tak sobie myślę, że jesteś zazdrosna. Troszeczkę. — Ingvar stuknął palcami w kierownicę. Patrzył teraz przed siebie, na rozciągający się za parkingiem las.

Anna przełknęła ślinę i zaczęła bawić się papierkiem po snickersie. Zbierała myśli. Chciała kupić sobie trochę czasu, by obrosnąć w siłę i przyznać się do słabości. Nie miała ich wiele. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział o tym, jak bardzo czuła się chwilami zła i bezradna. Starła się trzymać fason. Zachować resztki godności — na tyle, na ile mogła. Tak było prościej budować wizerunek kobiety twardej i niezłomnej, która nie da się w żaden sposób skrzywdzić. O słabościach Anny z pewnością świetnie wiedział jej ojciec. O tych dawnych także matka. I... Vidar wiedział. Vidar wiedział o wszystkich. Vidar i Ingvar... Wiedzieli. Kurwa pieprzona mać! Nawet imiona mieli podobne!

Ingvara również nie mogła okłamać. To i tak by nic nie dało. Musiała jakoś zahaczyć o tę zazdrość, przyznać się do emocji rodem z podstawówki. Chyba żeby odwrócić jego uwagę...

— Dowiedzieliście się czegoś w więzieniu? — zaryzykowała. — Widzisz, ja byłam w operze... Pogadałam chwilę z dyrektorem i dublerką Sofii...

— Tak? — zainteresował się nagle Ingvar.

— Tak, tak! — Anna nie zamierzała tracić czasu. — I dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Na przykład o...

Czyżby się udało?!

— No i super, za chwilę mi o tym opowiesz, a ja powiem tobie, co z więzieniem. Niewiele tego. Jak cię znam, pewnie masz coś o wiele lepszego z opery. Ale teraz nie o tym. Teraz, błagam — nie graj, co? Po prostu powiedz prawdę.

Nie, nie udało się...

„Po prostu powiedz prawdę”. Po prostu... Anna odłożyła papieraek po snickersie. Uświadomiła sobie, że odkąd rozstali się pod Ales Stenar, nigdy już nie powtórzyła Ingvarowi, że go kocha. Ani razu.

— Dobrze — zaczęła. Miała wrażenie, że mówi nieswoim głosem. — Dobrze, to... Może jestem trochę zazdrosna. Wydaje mi się, że coś was łączy. Ciebie i tę... Ester.

Ingvar roześmiał się. Anna spojrzała na niego z wściekłością. Rzeczywiście, cholernie śmieszne!

— No nie patrz tak na mnie! Proszę! O tę kosmetyczkę ci chodzi? Ester faktycznie zatrzymała się u mnie na noc, bo jej przyjazd był dość nieplanowany. Sam to zaproponowałem. Przy okazji porozmawialiśmy trochę o sprawie. Nie wiedziałem, że ona...

— Że ona co? Czuję do ciebie miętę?

— A, nie, to... No, wiedziałem. To znaczy domyślałem się, że nadal czuje. — Ingvar umilkł i przesunął dłonią po czole. Był wyraźnie zakłopotany. Tak jak w hotelu, przed Ester.

— Nadal? Ingvar! Albo gadaj jaśniej, albo jedźmy! Mamy dwa trupy, truciciela i serię rebusów do rozwiązania w wolnej chwili! A ja muszę jechać do cholernego Helu, pić wódkę weselną i udawać, że wszystko jest w zajebistym porządku, więc błagam, nie traćmy czasu na

duperele!!!

— Okay! Nie denerwuj się! — Ingvar poprawił się na siedzeniu i zdjął kurtkę. Podwinął rękawy swojego miękkiego, czarnego swetra. W tej chwili wydawał się Annie jeszcze przystojniejszy niż zazwyczaj. — Wszystko ci opowiem. Spokojnie. Widzisz, Ester i ja znamy się jeszcze ze szkoły policyjnej. Później pracowaliśmy trochę razem, zanim przeprowadziłem się do Ystad. W szkole byliśmy parą, a po szkole... Spotykaliśmy się jeszcze czasem. Kiedy zamieszkałem w Ystad, wciąż od czasu do czasu się widywaliśmy. Tak jakoś wyszło. Obawiam się, że nie byłem dobry dla Ester. Ona ciągle na coś liczyła, a ja... No cóż. Zakochałem się w kimś innym. Powiedziałem jej o tym. Zerwaliśmy na dobre. I oto cała historia. Nie miałem pojęcia, że akurat Ester zostanie przydzielona do sprawy Narcyza i Sofii Stiatesi. Chociaż ogólnie tak źle nie jest. Ester to dobra policjantka.

Anna zacisnęła zęby. Przez chwilę w zamyśleniu skubała rękaw swojego żakietu. „Zakochałem się w kimś innym”. „Powiedziałem jej o tym”. Pięknie! Anna położyła mu dłoń na kolanie. Ingvar drgnął.

— Zakochałeś się w kimś innym i powiedziałeś jej o tym? — zapytała.

— Ana, naprawdę będziesz udawała naiwną dziewczynkę? — zdenerwował się nagle.

No dobrze, to było infantylne. A trzeba być poważnym. Są dorośli. Ścigają morderców. Grzeszą. Jakby na to nie patrzeć.

— Przepraszam. Tylko... O co wam poszło dzisiaj? Pokłóciliście się, prawda? W hotelu?

— Pokłóciliśmy się. Nie powiedziałem jej wcześniej, w kim się zakochałem, ale ona dzisiaj we wszystkim się połapała. Kobiety są w tym dobre. Widzą rzeczy, które facetom nigdy w życiu nie przyszyby do głowy. Nie sądziłem, że będzie wobec ciebie taka... No nie wiem... Dziwna? W każdym razie, kiedy szukaliśmy cię w hotelu, Ester nie wytrzymała. Widziała, że okropnie się o ciebie bałem. I pęka. Zapytała, czy to o ciebie chodziło, kiedy z nią zerwałem. Potwierdziłem. A ona się wścieka. Krzyczała, że jesteś męzatką i na co ja w ogóle liczyłem...

Anna poczuła, że robi jej się zimno. Ingvar znowu zapatrzył się przed siebie i stukał palcami w kierownicę. Miała wrażenie, że znaleźli się po raz kolejny w dziwnej stop-klatce, jak wtedy, w Ales Stenar. Poza życiem, poza rzeczywistością, poza znanym światem. Anna zerknęła przez okno. Niebo zaczynało oblekać się w ciemny granat. Szyby do połowy zaparowały. W tle słychać było szum przejeżdżających samochodów. Wiedziała, że musi się odezwać. Że nie może zostawić go z niczym. Nie teraz. Odwróciła się w jego kierunku.

— Ingvar... Przepraszam. Musisz wiedzieć... Musisz wiedzieć, że ja nie traktuję ciebie jak chwilowej zabawki. Nigdy tak nie było. To po prostu nie jest dla mnie łatwa sytuacja. Vidar... On... Jestem pogubiona. Nie wiem, co robić. Ale... Nie mogłam już dłużej wytrzymać bez ciebie. Dlatego tamtego dnia zaproponowałam, byśmy wybrali się do Ales Stenar. Chciałam być wreszcie z tobą.

— Wreszcie? — powtórzył zdziwiony.

— To już trwa od jakiegoś czasu — wyjaśniła.

„To”. „Kocham cię” jakoś nie mogło przejść jej teraz przez gardło. Chociaż powinno.

Powinna coś mu od siebie dać. Wzięła głęboki wdech.

— Zakochałam się w tobie już jakiś czas temu. Tylko chyba tego nie rozumiałam — powiedziała z nieoczekiwanym spokojem. Poczula ulgę. Ingvar utkwił w niej spojrzenie swoich ciemnych oczu. — A teraz... Nie wiem, co dalej. Nie wiem, Ingvar.

— Nie musisz teraz wiedzieć. I chodź tutaj.

Objął ją mocno i pocałował. Odszukał dłonią odpowiedni guzik, rozłożył fotel. Przycisnął Annę do siebie. Bez namysłu wsunęła dłonie pod ciemny sweter i zaczęła gładzić jego skórę. Nie mogła złapać tchu. Zapas tlenu w samochodzie kurczył się z każdą sekundą. W tej chwili Anna w ogóle go nie potrzebowała.

CZEŚĆ II

Ta kobieta. Wybrał ją przypadkiem. Nikt inny nie przyszedł mu do głowy.

Słyszał to i owo. Tamten miał słabą głowę i kiedy już wypił, nie powinien nic mówić. Nie wiedział, jak bardzo sobie szkodził. Opowiadał o swoich kobietach. I o tamtych dwóch, ze Szwecji. A on wszystkie informacje dokładnie sprawdził. Nie przypuszczał, że kiedyś mu się przydadzą. Przyszedł jednak taki dzień, w którym zaczął się bać. Tamten za dużo sobie pozwalał. Za często wracał do przeszłości i za wiele żądał. Marzył o tym, co niemożliwe. Nikt nie potrafiłby sprostać jego wymaganiom. Za dużo sobie wyobrażał. Stał się nieprzyjemny. Nie do twarzy mu było z gniewem. A przecież czytał „Portret Doriana Graya”, więc wiedział, co paskudne uczucia i złe emocje mogą zrobić z ludzką twarzą. Wcześniej był inny, miły. Jego zachowanie idealnie współgrało z wyglądem. Kwintesencja piękna. Podziwiał go.

Później jednak strach wszystko zepsuł. Niedobrze jest, kiedy jedna osoba się boi, a druga napawa się jej lękiem. To było niesprawiedliwe. Tutaj, w ich wypadku, wszystko działało w obie strony. Informacja za informacją, cios za cios... Tyle że tamten nic nie rozumiał, czuł się mocniejszy, choć jego pozycja była znacznie gorsza. Należało mu to w końcu wytłumaczyć.

Ta kobieta, policjantka. Przydała się. W życiu by się nie spodziewał, że akurat nią się posłuży. Ale ona nadawała się do tego planu doskonale, była zdeterminowana, chciała osiągnąć cel za wszelką cenę. Nie musiał dalej szukać. Wiedział, że policjantka z Ystad po prostu skorzysta z jego pomocy, nie będzie podejrzliwa. Nie pomyśli o spisku, oszustwie, żadnym przekręcie. W tamtej chwili było dla niej za wcześnie, aby przejrzała na oczy. A jej upór mógł z czasem stać się zagrożeniem. Dotarła przecież do brzydkiej kobiety, którą pozbawił życia. Wiedziała, że brzydka kobieta nie pasowała do wzorca. Jeśli zaczęłaby kopać głębiej, spędziła więcej czasu po drugiej stronie cieśniny... Kto wie? Ale on w porę wymyślił ten plan. Dał jej to, czego potrzebowała. Problem się rozwiązał — na chwilę. Tamten jednak miał rację. Brakowało mu wyobraźni. Nie potrafił przewidzieć wszystkich skutków tego z początku bardzo fortunnego aresztowania. I ona, policjantka. Tak mu idealnie pasowała. Nie mógł trafić lepiej. A że później coś nie wyszło... Zdarza

się. Tylko nie wszyscy byli w stanie to zrozumieć.

Teraz coś zaczęło się dziać. Z pewnością wreszcie zaczęła myśleć i wątpić. Było już za późno na szukanie dowodów. Wiedział, że policjantka nie trafi na jego ślad. Nie ten, na który trafić powinna.

Miał jednak pewność, że wreszcie do niego przyjdzie. I nie potrafił przestać się uśmiechać.

Mewy. Nienawidziła ich. Słyszała ten skrzek od zawsze i była pewna, że nigdy się od niego nie uwolni. Straciła wszelką nadzieję. Teraz został jej tylko skrzek, szum morza w tle, odgłos kroków, oddech na szyi. Spokojny, głęboki oddech człowieka pewnego siebie. Ona wciągała powietrze gwałtownie, zasysała je jak niedoszły topielec, którego właśnie wyłowiono z wody. Unosiła ramiona, biła się piąstką w brzuch, by uruchomić przeponę. Powietrze. Nigdy nie mogła nabrać go wystarczająco dużo. Miała wrażenie, że już niedługo zupełnie przestanie oddychać. Chciała tego. Marzyła, by ukraść kuter, wypłynąć daleko w morze, skoczyć. Brakowało jej odwagi. Była zbyt wielkim tchórzem, by odebrać sobie życie, ale...

Mewy, radio, rozmowa o jedzeniu i piciu. Rosół. Kotlety. Surówki. To było jej życie. Jedyne, jakie знаła. Zupa była tutaj zawsze, i kotlety, i surówki. Ziemiaki czasem zastępowały frytki lub ryż. Lubiała obmyślać menu, wtedy nie musiała zastanawiać się nad niczym innym. Kapusta biała czy czerwona, kiszona czy słodka? To były dobre dylematy, zwykle. On również wydawał się zadowolony z jej zaangażowania w menu. Nie zadawał trudnych pytań, do niczego nie wracał. Tylko patrzył. A wtedy ona również nie mogła oderwać od niego wzroku.

Był piękny.

Jedzenie i picie, rosół, kotlety, surówki, kiszone ogórki. Dziś cel był inny. Próba mikrofonu, szampan, wódka. Spojrzała w lustro. Specjalnie ścięła tak włosy. „Wygładasz okropnie”, powiedział tylko. I nic więcej. A myślała, że coś się zmieni. Przytyła. Brzydko przybierała na wadze. Tuszcz odkładał się zawsze w okolicy bioder i na udach. „Wygładasz jak świnia”, skomentował. I nic więcej. Zupełnie przestała się malować. Każdy mógł oglądać przebarwienia na jej policzkach, cienie pod oczami, krostki na nosie. I nic, nadal nic.

Nie mógł jej darować. Nie miała szans. Wciąż czegoś żądał, a ona nie potrafiła odmówić. Zawsze znajdował mocne argumenty. Z początku jej uczucia były bardzo różnicowane, nawet sprzeczne. Teraz nie zostało nic oprócz strachu. Wiedział, co robił. Był w tym mistrzem.

Kiszzone ogórki, wódka, próba mikrofonu. I ona.

Kiedy przyjdzie? Dlaczego na nią czekała? Czekanie było bez sensu. Widziała ją przecież już wcześniej, gdy była daleko stąd. Wtedy mogła coś jeszcze zrobić.

Dlaczego nie zrobiła?

Próba mikrofonu. Jedzenie. Picie. Mewy. Zawsze mewy.

HEL

Rozdział 14

Dopiero w nocy wjechali na Mierzęję Helską. Rozsypane na półwyspie miasteczka były wprawdzie dobrze oświetlone, jednak poza nimi, kiedy zagłębiło się już w gęsty las, należało mocno wyteżać wzrok. Zwłaszcza po opuszczeniu Juraty. Anna uśmiechnęła się na widok przekreślonej tabliczki z nazwą miejscowości i — upewniwszy się, że z naprzeciwka nie nadjeżdża żaden samochód — przełączyła światła mijania na drogowe. Teraz tylko one rozpraszały ciemność.

Znała prawdziwe znaczenie tabliczki z napisem „Hel”. Miasto Hel administracyjnie rzeczywiście rozciągało się tuż za Juratą, jednak w praktyce wyglądało to inaczej. Trzeba było najpierw pokonać spory odcinek krętej i słabo oświetlonej drogi, wiodącej przez gęsty las, zanim dotarło się wreszcie do pierwszych zabudowań. Anna wciąż pamiętała, jak bardzo bawili ją turyści, którzy wyruszyli na rowerach z Juraty z nadzieją, iż za pięć minut zjedzą lody w Helu, na deptaku przy Wiejskiej. A tymczasem wjeżdżali między drzewa i... długo, długo nic... Ona sama bardzo lubiła tę drogę. Jako młoda dziewczyna często jeździła na rowerze do Juraty, by na molo poobserwować windsurferów zmagających się z deskami, żaglami i nadmorskim wiatrem. Marzyła, że kiedyś sama będzie surfować.

Marzenia udało jej się spełnić dopiero w Szwecji, kiedy, jak co roku, wybrała się do ojca na wakacje. Wcześniej, w Juracie, nie miała na to najmniejszych szans. Matka nigdy się nie zgodziła. Uważała, że surfowanie jest idiotycznym wymysłem, zajęciem niebezpiecznym i w dodatku w ogóle nie dla dziewczyn... Anna bardzo dobrze wiedziała, jakie, zdaniem matki, zajęcia były dla dziewczyn odpowiednie. To właśnie wtedy zrodziły się w niej pierwsze symptomy buntu, którego wyrazem stał się właśnie windsurfing. Wiedziała, że musi stanąć na

desce, oprzeć się sile wiatru, wpaść do zimnej wody i na powrót się podnieść. Zacząć od nowa. Jeśli tego dokona, na inne rzeczy również starczy jej sił. Na spełnianie marzeń, które matka uważała za głupie. Na to, by zarzucić kotwicę gdzieś indziej, z dala od niej.

Bywały takie chwile, kiedy Anna żałowała, że nie chodziło tutaj o zwykłą patologię. Gdyby matka piła, ćpała, biła ją i Lidkę, wtedy wszystko mogłoby ułożyć się prościej. Sąd odebrałby jej prawo do opieki nad dziećmi, one wyjechałyby z ojcem do Szwecji i żyły tam w spokoju i względnym dostatku, jako wolne, niezależne jednostki, którym nikt nie wtłacza do głowy stereotypów i nie wyznacza jedyne słusznych i odpowiednich ścieżek myślenia.

A tak? Ile nerwów trzeba było stracić, ile przykrych słów powiedzieć, jak długo walczyć o to, by móc formułować własne opinie, popełniać własne błędy, kierować swoim życiem? Myśleć niezależnie, a nie tak jak „trzeba”. Jak wszyscy myślą. Jak od zawsze myślano. Jak matka myślała. „O dziewiętnastej masz być w domu!”, „Dlaczego ty czytasz takie książki?”, „W twoim wieku nie powinnaś myśleć o takich sprawach!”, „W twoim wieku powinnaś już myśleć o takich sprawach!”, „Dlaczego oglądasz filmy o takich głupotach?”, „Dlaczego czytasz kryminały?”, „Dlaczego nie poszłaś na Drogę Krzyżową?”, „Nie możesz pojechać na wycieczkę z Asią i Natalią, bo one jadą bez rodziców, a ty masz dopiero szesnaście lat!”.

Szesnaście!!! Matce wydawało się, że to ciągle piaskownica! „Seks? O co ty mnie pytasz?! O takich rzeczach się nie rozmawia!”, „Paweł? Dlaczego się z nim zadajesz? Mówią, że to pederasta!”, „Dlaczego w twojej szufladzie znalazłam ulotkę o pigułkach antykoncepcyjnych?! Wybij sobie z głowy, że w weekend wyjdiesz z domu!!!”. I tak w kółko. Nie możesz tego! Musisz to! I jeszcze ta ciągła ocena, którą wystawiała innym. Ten zrobił to, ten tamto, tego trzeba potępić z takiego to, a takiego powodu. W ogóle wszystkich należy potępić. Bo wszyscy grzeszą. Tylko nie ona jedna. Tylko nie matka. Święta męczennica, którą zblazowany typ porzucił dla jakiejś szwedzkiej dziwki!

Anna poczuła, że serce bije jej szybciej. Nie mogła skapitulować wobec fali nawracających wspomnień. Bezsensownej, sztywnej młodości, pełnej zakazów, nakazów i umoralniających wykładów. Młodości, w której nie było miejsca na radość, bez troskę, głupotę, siano w głowie i naiwne marzenia dotyczące przyszłości. Młodości, którą kojarzyła z wiecznym upominaniem, złośliwymi komentarzami, punktowaniem jej chorych ambicji, wyśmiewaniem zainteresowań i zmuszaniem do śpiewania godzinek. Aż dziw, że Anna zdobyła się na bunt i wstąpiła do tego zespołu, w którym grali numery Aerosmith. W którym „śpiewał” Leon-Lajon. Całe szczęście, potrafiła dobrze grać na tej cholernej gitarze. Matce obiecała, że wstąpi do kościelnej scholi, jeśli tylko zapisze ją na lekcje... Takie niewinne kłamstwo. Skoro nie mogła popływać na desce, trzeba było chociaż o tę gitarę zawalczyć...

Ciekawe, czy na weselu będzie Lajon? Anna zamyśliła się. Pewnie tak Lidka wspominała, że nadal się przyjaźnią, ale nie chciała niczego więcej zdradzić. Anna nigdy również nie widziała narzeczonego swojej siostry. Tak się złożyło. Uświadomiła sobie, że nie tylko nie miała czasu poznać narzeczonego siostry, ale i nie знаła nawet jego imienia. A raczej nie pamiętała. Lidka z pewnością mówiła, jak ma na imię jej naręczony — i to wiele razy. Dzwoniła przecież,

opowiadała o ślubie, szczebiotała, że nie będzie wysyłała konwencjonalnych, tandetnych zaproszeń, bo wszystko tak na szybko i spontanicznie... A Anna miała własne problemy. Nie znalazła chwili, by o nich pomyśleć. Nawet teraz. Przecież od samego rana jej głowę zajmowały zupełnie inne sprawy. Ingvar choćby. Ingvar i wspomnienie ich słodko-gorzkiego zbliżenia na parkingu, jego gwałtowności i zapamiętania, jego wzroku, kiedy dowiedział się, że Anna od dawna coś do niego czuje. Nie spodziewał się tego. Zupełnie. Wiedziała o tym doskonale. I dlatego kiedy przywiózł ją wreszcie do Ystad, powtórzyła te słowa, które wypowiedziała po raz pierwszy pod Ales Stenar. Przeszły jej przez gardło. W ich pożegnaniu nie było niczego patetycznego, niczego filmowego. Tylko tęsknota i strach przed tym, co jeszcze może się wydarzyć. A wydarzyć mogło się bardzo wiele. Zarówno w Helu, jak i w Ystad i Malmö. Co jeszcze mógł wymyślić truciciel i... Ester Gustafsson? Kto jeszcze... mógł zginąć?

Wzdrygnęła się i nieznacznie zwolniła. Powinna myśleć o sprawie, a nie o pierdołach. Powinna jak najszybciej uwinąć się z tym całym weselem, spakować manatki i wracać do Ystad albo do Malmö. Powinna złapać świra. Powinna wyjaśnić zagadkę śmierci Sofii Stiatesi i trującego ciasta. Powinna... być z Ingvarem. Pracować z nim, pomóc mu. Odciągnąć od cholernej Ester. Pójść do tego aresztu i zagaadać do więźniów. Może jej udałoby się wyciągnąć z nich coś więcej? Bo przecież informacje, które zebrali Ester i Ingvar, były tak naprawdę niewiele warte. Fakt, mieli mało czasu, ale mimo wszystko...

Anna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w tym więzieniu można było dowiedzieć się czegoś więcej. Liczyła też bardzo na nagrania z monitoringu. Ingvar miał je obejrzeć już jutro. Może one powiedzą więcej niż współwięźniowie Narcyza? Anna czekała na wieści z niecierpliwością. Miała też nadzieję, że znajdzie trochę czasu, by poczytać sobie Oscara Wilde'a i zastanowić się nad rysunkami przedstawiającymi kobietę szkielet. I jeszcze przyjrzeć się zdjęciom, które znalaziono w celi Narcyza oraz tym przedstawiającym ją samą i Vidara. Anna czuła, że ta sprawa ma charakter osobisty. Że tutaj nie chodzi o jakiegoś zewnętrznego, obcego świra, stalkera, który zamierzał prześladować ją, by zapewnić sobie chorą rozrywkę. Problem tkwił gdzie indziej. Z pewnością wiązał się jakoś z jej przeszłością, z Vidarem, Narcyzem, Sofią... Musiało istnieć ogniwo, które ich wszystkich łączyło. Być może ktoś próbował wyrównać rachunki? Tylko z kim?

Razona tą nagłą myślą prawie wcisnęła hamulec. Opanowała się, zerknęła w lusterko wsteczne na pogrążonego we śnie Vidara, a później w bok, na milczącą Lempi. Wzięła kilka głębokich wdechów. Czy to możliwe? Że ktoś poza Narcyzem chciał wyrównać z Anną rachunki? Tak, to było możliwe. Na policjantach bandyci mścili się przecież często. Ona również myślała, że wypadek, w wyniku którego Vidar został sparaliżowany, spowodowano właśnie z takich pobudek. Że Narcyz mścił się zza więziennych krat, a później drwił z niej w liście. A jednak teraz nie żył, a ktoś ponownie uwziął się na Annę i usunął Sofię Stiatesi. Być może więc wcale nie Narcyz jej zagrażał?

Anna ponownie zerknęła w lusterko wsteczne. Vidar, przykryty kraciastym kocem, spał w jednej pozycji, odkład ruszyli z ostatniego postoju. Teraz jego twarz wydawała się mniej

zmęczona niż zazwyczaj. Rysy wygładziły się, a głęboka pionowa zmarszczka między brwiami była prawie niewidoczna. Vidar wyglądał niemal na spokojnego i zadowolonego. Jak dawniej. Anna poczuła zalewającą ją od środka falę ciepła. Wciąż go kochała, mimo wszystko. Nie była to taka sama miłość jak kiedyś, ani też podobna do tej, jaką darzyła Ingvara. Ta miłość była dziwna, pozbawiona krzykiny romantyzmu, zaprawiona goryczą i cierpieniem, ale... twarda i nie do złamania. Anna niejednokrotnie zastanawiała się nad tym, czy nie tkwi u boku Vidara z obowiązku i poczucia winy, a także przez wzgląd na sytuację, w jakiej się znalazł. Czyli trochę też... z litości. A jednak tutaj nie chodziło tylko o to. Anna nie była do końca pewna, czy potrafiłaby bez niego funkcjonować. Bez Vidara i poza granicami świata, który razem wokół siebie zbudowali. Często zastanawiała się nad tym, co powiedziałby Vidar w takiej i takiej kwestii, jak zareagowałby na taką i taką sytuację, jak brzmiałby jego śmiech, jak pokazałby swoją złość, smutek, radość... Vidar był w jej głowie. Był częścią Anny. Dopełniał ją. Wciąż. Nawet teraz, kiedy w jej życiu pojawił się inny mężczyzna.

O jednej rzeczy nie była jednak w stanie przestać myśleć. Dlaczego Vidar tak emocjonalnie przyjął śmierć Sofii Stiatesi? Dlaczego w ogóle nie chciał o tym rozmawiać? Dlaczego dzisiaj przez cały dzień prawie się nie odzywał? Dlaczego miał łzy w oczach, kiedy wydawało mu się, że nikt tego nie widzi? Dlaczego Amalia Stiatesi uważała, że Sofia nie mogła patrzeć na Vidara po wypadku? Czyżby łączyło ich coś więcej niż tylko praca? Czy to właśnie usiłowała zasugerować Amalia? A może tylko tak się Annie wydawało? Być może doszukiwała się ukrytego sensu tam, gdzie wcale go nie było?

Westchnęła głośno i wcisnęła gaz. Przed jej oczami zamajaczyły pierwsze zabudowania Helu. Nie mogła znowu zwolnić, nie mogła jeszcze bardziej wydłużyć tej podróży. I tak przecież kiedyś musiała tutaj dotrzeć. Nawet jeśli była to ostatnia rzecz na świecie, jakiej teraz chciała.

Rozdział 15

Kiedy wysiadła z samochodu, przez moment — i na przekór sobie — poczuła błogość. Nie był to wprawdzie jej Hel — ten, który opuściła przed piętnastoma laty — a jednak gdzieś z mroku wyłaniały się znajome kształty i figury, szeptem przywołujące cienie przeszłości. Przeszłości nie zawsze przecież złej i skażonej obecnością „trudnej” rodzicielki. Tutaj, w Helu, Anna mieszkała też przez kilka lat z ojcem, tutaj pływała na kutrze i towarzyszyła rybakom podczas połowu śledzi, które następnie dostarczano jej matce. Nie tylko śledzie, zresztą... Cokolwiek by o matce mówić, rybę potrafiła przyrządzić najlepiej na całym półwyspie, a o jej rolmopsy dosłownie zabijali się restauratorzy. Nic dziwnego, że postanowiła wreszcie wziąć sprawę w swoje ręce i założyć własny biznes.

Wszystkie te wspomnienia wydały się Annie nagle pokręcone i przemieszane, przypominały kulturowo-artystyczną hybrydę. Puentylizm obok antycznej harmonii, kubizm przy średniowiecznym *memento mori*, surrealizm ręka w rękę z renesansowym ideałem piękna...

Knajpka o wdzięcznej nazwie Heel, którą matka ulokowała na parterze ich starego, przedwojennego domu z czerwonej cegły, prosperowała bardzo dobrze. Tak dobrze, że do interesu wkrótce dołączyła się siostra Anna, Lidka, a Heel z wolna przystoczył się w willę z pokojami do wynajęcia. Matka mieszkała w niej nadal, zajmując niewielką kawalerkę na poddaszu, Lidka zaś przeprowadziła się na nowo wybudowane osiedle. Wiodło im się przyzwoicie. Anna wiedziała to wszystko od ojca i siostry, z którą widywała się kilka razy do roku, przeważnie w Szwecji. Kiedy były młodsze, zdarzało się, że wyjeżdżały razem na urlop, teraz jednak każda z nich zajęła się swoim własnym życiem, a ich kontakty nieco się rozluźniły. Częściową winę za ten stan rzeczy ponosiła Anna, która nie miała specjalnej ochoty na wycieczki do Polski. Zwłaszcza w jeden konkretny rejon. Przez ostatnie piętnaście lat pojawiła się w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Gdańsku i Zakopanem, ale nigdy na Helu. Hel omijała z daleka. Tak samo, jak i swoją matkę.

Teraz również, mimo iż znalazła się w rodzinnym mieście i dzieliła z matką wspólny kawałek świata, Anna nie zdecydowała się zatrzymać w Heelu. To by było nie do zniesienia. Przebywać w domu, w którym spędziła dzieciństwo, jako gość — intruz niemal — i znosić krzywe spojrzenia, złośliwe komentarze i wymówki. Że z Anny zrobiła się „cholerna wielka dama”, bo wyjechała za morze i poślubiła bogatego szwedzkiego Żyda. Dobrze wiedziała, co matka o niej myślała i mówiła. I nie tylko dlatego, że świetnie ją znała. Pewnego dnia przyciśnięta do muru Lidka wyznała prawdę. To było wtedy, kiedy Anna zastanawiała się, czy nie nadszedł właściwy moment, by wyciągnąć do matki rękę na zgodę. Ale skoro tak o niej mówiła, to nie miały o czym rozmawiać. Ciekawe, co myślała na temat pracy swojej córki w policji?

Willa Pancernik, w której Anna zarezerwowała pokoje, mieściła się w dawnym drewnianym domku rybackim z urokliwymi białymi ścianami i spadzistym dachem. Wybrała to miejsce z premedytacją. Kojarzyło jej się bowiem właśnie z Leonem-Lajonem, kolegą ze szkoły i fałszującym wokalistą zespołu From Hel. Anna pamiętała, że w dzieciństwie Lajon marzył o tym, by zamieszkać właśnie w takim budynku, przy końcu ulicy Wiejskiej. W domu, z którego miałby widok na morze i w którym czułby łączność z przeszłością. Lajon — na co dzień dość prosty w obsłudze — miewał jednak momenty, kiedy przeistaczał się w filozofa pełną gębą. I bardzo nie podobało mu się to, że on jako jedyny z „paczki” mieszkał w betonowym bloku z lat siedemdziesiątych. A „paczka” miała z tego tytułu ciągle powody do żartów. Znajomi śmiali się z Lajona, że przecież marzył o tym, by jego dom kojarzył się z przeszłością, z historią. No to się kojarzył. Tyle tylko, że z tą niezbyt kolorową.

Anna oparła się o maskę samochodu i utkwiała wzrok w willi Pancernik. Zastanawiała się, jaką osobą jest właścicielka. Anna nie urodziła się wczoraj i potrafiła korzystać z Facebooka, zawsza dowiedziała się więc, kto tutaj rządzi. Maria Bójko. A zatem nie Lajon. Lajon w ogóle zapadł się pod ziemię. Nie miał konta na Facebooku, nie słyszał o nim Google... A przecież każdy

gdzieś teraz istniał. Internet wiedział wszystko o ludziach. Nawet jeśli usilnie próbowali przed nim uciec. Anna miała nadzieję, że nie kryła się za tym żadna przykra historia. Przyszło jej do głowy, że w wolnej chwili powinna także poszperać w internecie w poszukiwaniu informacji o Sofii Stiatesi. I o Amalii. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej? Powinna! Być może znajdzie coś ciekawego. Choćby plotki. Jak wiadomo, każda zawiera ziarenko prawdy. W związku z tym nie można nimi gardzić.

— Lempi, obudzisz mojego męża? Ja wejdę do środka i powiem, że już przyjechaliśmy — zwróciła się do Finki, która od dłuższej chwili usiłowała zapanować nad swoimi włosami, pływającymi wokół jej głowy.

Anna roześmiała się cicho. Rzeczywiście, cholernie tu wiało. W Ystad również było wietrznie, ale jednak nie tak Helski wiatr wydawał się jej zawsze wyjątkowo... upierdliwy. Lempi posłała jej spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

— A no pewnie! Niech się pani śmieje. Tak, tak! Kupa śmiechu! Kupa! Boki zrywać! Niektórzy mają takie gładkie włosy, jak pani, co to je można spiąć i po sprawie. A inni dostają takie włosy, jak ja, żeby już za życia trochę pocierpeli i ćwiczyli hart ducha. Tak, tak! Niech się pani śmieje! A swoją drogą ładnie tu. Ale zimniej niż na Gotlandii...

— Byłaś na Gotlandii? — zapytała z uśmiechem Anna, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu frotki do włosów. Wreszcie znalazła jedną i podała ją Lempi.

— O, dziękuję. Tak mój mąż pochodził z Gotlandii — odrzekała i mocno przyklepała niesforne loki. — Był rybakiem, jak większość ludzi tam... — urwała na chwilę, a jej twarz na moment skurczyła się boleśnie. — Wyszłam za niego, kiedy miałam osiemnaście lat. Poznaliśmy się w mojej rodzinnej wiosce. Przyjechał odwiedzić jakiegoś dalekiego kuzyna. Rozmawialiśmy trochę i kiedyś powiedziałam mu, że bardzo nie lubię nocy polarnej, że zawsze mi wtedy smutno i zimno... No to on powiedział, żebym za niego wyszła i wyjechała. Tak zrobiłam. Zamieszkaliśmy na Gotlandii. Pewnego dnia on wypłynął w morze po ryby i już nie wrócił. Zerwał się sztorm, kuter utonął. To był dobry człowiek. Ale właściwie nie zdążyliśmy się poznać.

Anna podeszła do Lempi i położyła jej dłoń na ramieniu. Przez chwilę miała wrażenie, że są do siebie bardzo podobne. Dwie kobiety po trzydzieście, ale znacznie starsze duchem. Pokiwała smutno głową. Lempi otworzyła tylne drzwi samochodu i z właściwym sobie wdziękiem krzyknęła:

— Panie Vidar!!! Hej, panie Vidar!!! No już! Budzimy się! Pospał pan?! Jak to nie?! No, bez gadania! Otwieramy oczy! Trzeba stąd wyłazić!

Vidar mruzczał coś niezrozumiale, a Lempi w zapamiętaniu tarmosiła jego ramię. Anna była pełna podziwu. Lempi naprawdę świetnie radziła sobie z humorami jej męża.

Zostawiła ich z tyłu, pokonała trzy niskie schodki i zapukała do drzwi Pancernika. Miała nadzieję, że o tej porze roku nie ma tutaj wielu turystów i nikt nie zacznie się na nią drzeć za zakłócanie ciszy nocnej. Po chwili w korytarzu zapaliło się światło, a zamek zgrzytnął. W progu pojawiła się młoda kobieta. Anna zmarszczyła brwi, a później... siarczyście zaknęła w duchu.

Maria Bójko!

Kiedyś Maria Wolińska.

No tak! Oczywiście!

Bo przecież świat jest, kurwa, mały! Prawda?

Maria Bójko, *de domo* Wolińska.

Siostra Lajona...

Facebookowe zdjęcia jednak cholernie wypaczają rzeczywiście. Maria Bójko była na nich praktycznie nierozpoznawalna. Anna uśmiechnęła się bezradnie. Młoda kobieta wpatrywała się w nią z otwartymi ustami, po czym teatralnym gestem przetarła oczy.

— Ania?! Ania Bylińska?! Dlaczego nie powiedziałaś przez telefon, że to ty?! No wiesz co?! Właż!!!

Maria Bójko chciała przepuścić ją w progu, ale Anna zaprotestowała.

— Czekał. Ja... Muszę pomóc mężowi — zawiesiła na chwilę głos i obejrzała się za siebie. Lempi nadal tarmosiła ramię Vida i darła się, że ma natychmiast otwierać oczy. Anna wypuściła z sykiem powietrze i na powrót spojrzała na Marię. — Trochę mu się przysnęło. Nie powiedziałam przez telefon, że ja to ja, bo nie miałam pojęcia, że ty to ty. Na zdjęciu wyglądałaś zupełnie inaczej.

— Ach, tak! — Maria machnęła ręką i lekko się zarumieniła. — To zdjęcia sprzed ciąży. Byłam jakieś dwadzieścia kilo chudsza i nosiłam długie włosy. Teraz ścięłam i przebarkowałam, stąd ta zmiana. I jestem gruba. Delikatnie mówiąc. No cóż, bywa. Nie dla każdego czas jest łaskawy. Ale ty... Ty wyglądasz jak modelka! Czekał, czekał! Jak się podpisałaś w mailu? Anna...

— Lindholm.

— Tak, faktycznie. Wiem, że wyszłaś w Szwecji za męża. Za Żyda, tak, tak! Twoja matka trąbiła o tym każdemu, kto chciał słuchać! — Kobieta przewróciła oczami. — Ale oprócz tego nic o tobie nie wiem. Nigdzie cię nie ma. Nie założyłaś konta na Fejsie?

Anna uśmiechnęła się mimowolnie. Jeszcze przed kilkoma minutami myślała o tym, że Lajon nie ma konta na Facebooku i coś z nim chyba nie tak, a teraz zdała sobie sprawę, że ona sama również nigdy nie założyła sobie prywatnego profilu. Z Facebookiem miała do czynienia tylko przez ich firmowy fanpejdż. Uznała, że to jej w zupełności wystarczy.

— A, długa historia! Opowiem ci później.

— Koniecznie — rzuciła podekscytowana Maria.

Uśmiechnęła się promiennie i cmoknęła Annę w policzek. Spojrzała ponad jej ramieniem. Natychmiast spoważniała. Anna świetnie wiedziała, co Maria tam zobaczyła. Ponownie obejrzała się za siebie.

— Tak to mój mąż. Po angielsku mówi biegle, ale po polsku też potrafi się dogadać, jakby co. Miał wypadek pół roku temu — dodała szeptem. — To też dość długa historia. Słuchaj, możemy się już ulokować? Jutro pogadamy.

— Jasne! Oczywiście!!! Chodźcie, chodźcie! Boże, no jasne! Przecież ty przyjechałaś na wesele swojej siostry! Ale ja jestem jednak głupia! No to się Leon ucieszy. Wspominał cię ostatnio!

Maria Bójko ponownie się uśmiechnęła, zbiegła po schodkach i ruszyła w stronę zaparkowanego przed Pancernikiem auta. Anna patrzyła, jak wyciąga dłoń do Vidara i przedstawia się, następnie zapraszającym gestem wskazuje na dom. „Leon się ucieszy”. Czyli jednak się zobaczy. Ona i jej dawna, szczenięca miłość. Gdyby okoliczności były inne, Anna uznałaby nawet całą sytuację za dość zabawną. A tak? Trupy, trucizny, morderstwa, mąż, kochanek i fińska gosposia. Fińska gosposia... Anna przypomniała sobie nagle jej słowa o tym, że w Helu jest zimniej niż na Gotlandii.

Zimniej.

W Helu.

Gdzieś na obrzeżach jej procesów myślowych zabrzęczało dziwne wspomnienie. Hel. Zimno. Hel... Anna nie potrafiła przypomnieć sobie, z czym jej się to kojarzy. A z czymś się kojarzyło. Na pewno.

Hel. Zimno. Zimniej niż na Gotlandii...

Anna wzdygnęła się mimowolnie i owinęła szczelniej kurtkę. Powoli ruszyła w stronę samochodu, z którego Lempi wyładowywała bagaże.

Rozdział 16

Obudził ją skrzek mew. Jak w domu, w Ystad. Ale to nie było wszystko. Anna zarejestrowała jeszcze inny dźwięk. Śpiew? Chyba śpiew. Ale bardzo cichy, niewyraźny, ocierający się o ultradźwięki. A jednak mimo wszystko słyszalny. Śpiew. I ruch. Tak, z pewnością ruch. Bodźce docierały coraz wyraźniej. Anna otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Vidar nie spał. Siedział w piżamie na wózk, przy oknie. Na parapecie ustawił laptop, a w uszy wetknął słuchawki. Oglądał coś. Na jego ustach błąkał się uśmiech, ale oczy wydawały się smutne. I zaczerwienione, zupełnie jak gdyby całkiem niedawno płakał.

Vidar zorientował się, że Anna na niego patrzy, szybko zamknął laptop. Wyrwał z uszu słuchawki i wetknął je do kieszeni spodni od piżamy. Nie był zadowolony. Palcami lewej dłoni lekko stuknął w parapet. Anna wstała z łóżka, narzuciła na ramiona bluzę z kapturem i podeszła do niego. Za szybą huczało morze.

— Piękny widok — powiedziała.

— Tak, piękny — zgodził się Vidar. — Czasami żałuję, że nasz dom w Ystad nie stoi bliżej plaży.

„Nasz dom”. Vidar od dawna nie używał słowa „nasz”. Anna przysiadła na parapecie i zaczęła skubać zamek swojej bluzy. Nagle Vidar podjechał bliżej. Chwytał ją za rękę. Spojrzała na niego zaskoczona.

— An, wiesz może... Kiedy będzie pogrzeb Sofii? — spytał nieśmiało.

Anna poczuła skurcz w żołądku. Ach, więc o nią chodziło! O ducha Sofii Stiatesi, którą tak podziwiał Vidar. Skąd mogła wiedzieć, kiedy będzie pogrzeb? O tak wczesnej porze nie zdążyła jeszcze nawet zadzwonić do Ingvara i zapytać go o wyniki sekcji zwłok. Nie zdążyła jeszcze o niczym konkretnym pomyśleć. Pogrzeb...?

— Nie mam pojęcia — odrzekła chłodno. — A dlaczego pytasz? Chciałbyś się wybrać?

— Tak. Chciałbym się wybrać. — W głosie Vidara brzmiała ostrożność.

Chciałby się wybrać?

Na pogrzeb Sofii?!

Przez pół roku nie wychodził z domu, nie licząc ogródka, plaży i pobliskiego lasu, a teraz? He! Pogrzeb Sofii! Co jeszcze? Poza tym Sofia Stiatesi na pewno nie zostanie pochowana w Szwecji, tylko gdzieś w świecie, blisko któregoś ze swoich odpicowanych domów. W Wiedniu? A może w Wenecji? Może zażyczyła sobie, żeby jej prochy rozsypać nad Canal Grande? Była w końcu artystką, mogła mieć fanaberie! Anna czuła coraz większą złość na myśl o Sofii Stiatesi. I zupełnie nie miała pojęcia, dlaczego.

— A nie chciałbyś, żebyśmy złapali jej mordercę? — zapytała gorzko i podniosła się z parapetu. Vidar nie puścił jej ręki. Wręcz przeciwnie. Ucisnął ją mocniej.

— Chciałbym, An, ale boję się o siebie. Nie będziemy się chyba oszukiwać? Ktoś otrul Sofię, ktoś podrzucił nam ciasto. Gdyby nie Lempi i jej domysły rodem z Agathy Christie, być może już byśmy wykorkowali.

— Nie... — Anna poczuła się nagle bardzo głupio. Vidar patrzył na nią uważnie, niemal czule. Dawno już nie przyglądał jej się w podobny sposób. Pochyliła się nad nim. — Nie wykorkowalibyśmy. Chyba że któreś z nas zjadłoby na raz cały tort. Świr chyba na to raczej nie liczył, chociaż kto wie? Przyszły już wyniki analizy. Arseniku w cieście było tyle, że mogliśmy się nieźle pochorować, w zależności od tego, ile byśmy zezarli na raz... Ale raczej nie mówimy o dawce śmiertelnej. Chyba że dla kota Erikssonów...

Vidar uśmiechnął się krzywo.

— Nigdy nie lubilem kota Erikssonów. Zawsze im spieprzał i włożył do naszego śmietnika — powiedział z dziwnym błyskiem w oku.

Anna zachichotała.

— Właśnie. A raz przewrócił doniczki, w których hodowałam ziola — dodała.

— Cholera! Czyli sobie zasłużył, sukinkot mały... — Vidar pokiwał głową z mądrą miną i znowu zatrzęsł się ze śmiechu. Po chwili na powrót spoważniał. — An, nawet jeśli nie mieliśmy wtedy zginać, to jednak w cieście tkwił ten cały syf... I nie wydaje mi się, żeby było bezpiecznie. Ogólnie. Wszędzie. Ta sprawa, to morderstwo Sofii, dotyczy mn... nas. Wiemy o tym, prawda? Oboje to wiemy. I jeszcze Narcyz... Nie rozmawiamy o nim od kilku miesięcy, ale może teraz czas zacząć? Ktoś go otrul, do kurwy nędzy! An! Myślałaś nad tym? Na pewno! Na pewno cały czas myślisz! Dobrze... Dobrze, myśl, tylko, cholera, nie dajmy się...

Anna wstrzymała oddech. „Nie dajmy się”. Miał rację. Anna powinna zaangażować się

w sprawę, ale nie mogła udawać, że nie ma w tym wszystkim niczego osobistego. Przed sześcioma miesiącami ktoś zniszczył jej i Vidarowi życie. A teraz mógł zniszczyć je jeszcze bardziej. To nie była kolejna zwykła zagadka do rozwiązania — zewnętrzna i emocjonalnie obojętna. Vidar też tkwił w tym wszystkim. Nie powinna go pomijać. On w końcu... ucierpiał najmocniej. Anna nie mogła pozwolić, by spadły na niego kolejne ciosy. Poza tym, co on chciał powiedzieć? To słowo, którego nie dokończył...

„Ta sprawa, to morderstwo Sofii, dotyczy mn... nas”.

„Mn...”.

Mnie?

— Mam ochotę na prysznic — odezwał się znowu Vidar. — Ten prysznic nie jest pewnie taki, jak w domu. Może... Pomożesz mi?

— Oczywiście, jeśli chcesz — odpowiedziała zaskoczona. Ostatni raz Vidar poprosił ją o pomoc mniej więcej cztery miesiące temu, kiedy nie zainstalowali jeszcze w domu wszystkich udogodnień, a rehabilitacja dopiero zaczynała przynosić efekty. — Idź... Jedź już do łaźienki, zaraz dołączę.

Vidar uśmiechnął się blade. Wreszcie puścił jej dłoń. Patrzyła za nim, kiedy powoli wtaczał się do łaźienki. Słyszała, jak obija się o ścianę i podnosi kłapę od muszli. Uznała, że zamierzał skorzystać najpierw z toalety, a to z pewnością chwilę mu zajmie. Jej wzrok padł na leżący na parapecie laptop. Przeknęła ślinę. W łaźience Vidar nadal walczył z muszlą. Teraz albo nigdy, pomyślała i zdecydowanym ruchem sięgnęła po komputer. Otworzyła go.

Vidar korzysta z toalety.

Na ekranie laptopa pojawia się obraz.

Scena. Kobieta. Taniec...

Vidar przesiada się z powrotem na wózek

Kobieta tańczy.

Vidar spuszcza wodę.

Taniec... siedmiu... welonów.

Sofia Stiatesi.

Opera w Malmö.

Anna zamknęła laptop i odłożyła go na parapet. Dłonie jej drżały. Nie miała najmniejszych wątpliwości. To było to samo nagranie, które w środę pokazał jej dyrektor opery w Malmö. A zatem ktoś wysłał je także Vidarowi. A zatem... Sofia Stiatesi wysłała je Vidarowi? Jeśli nie ona, to kto? I po co?

— An! Idziesz?! — krzyknął z łaźienki Vidar.

— Już! — odpowiedziała.

Już.. Anna weszła do łaźienki i nachyliła się nad Vidarem, by pomóc mu ułożyć się pod prysznicem. Na podłodze w kabinie ułożyła dwa grube ręczniki, a na nich gumową matę, dzięki czemu mógł wygodnie usiąść. Puściła wodę i sięgnęła po mydło. Vidar ponownie chwycił ją za rękę i pocałował w wewnętrzną stronę dłoni.

— Dziękuję. I... Przepraszam cię.

Przepraszal ją. A dokładnie za co? Za to, że każdego dnia wzbudzał w niej poczucie winy, był opryskliwy i wredny, za to, że nie chciał, by się do siebie ponownie zbliżyli, za to, że nie był już w pełni sprawny, za to, że... oglądał taniec siedmiu welonów w wykonaniu Sofii? Za co dokładnie Vidar ją przepraszal? I dlaczego nagle zaczął się zachowywać tak dziwnie? A raczej nie dziwnie. Dlaczego nagle zaczął zachowywać się tak, jak zwykł zachowywać się dawniej? Ten pocałunek w wewnętrzną stronę dłoni... Kiedyś robił to często. I całą resztę.

Anna z początku spięła się, kiedy Vidar pogłodził ją po policzku, a później zatopił palce w jej włosach. Czekala, co będzie dalej. Vidar musnął lewą dłonią jej szyję i dekol. Później objął Annę delikatnie w pasie i przyciągnął do siebie. Zakręciła wodę i odłożyła na podłogę słuchawkę od prysznicza.

— Muszę cię wytrzeć. Zmarzniesz — szepnęła, przy mykając powieki.

Sama była już zupełnie przemoczona. Do jej pleców lepiła się mokra piżama, a wilgotne kosmyki włosów smagały szyję i policzki. Czuła się dziwnie. Błogo i cudownie, a jednocześnie okropnie. Czuła ulgę, rozkosz i potworną gorycz zarazem. Przesunęła opuszkami palców po klatce piersiowej i brzuchu Vidara. Słyszała jego przyspieszony oddech. Po twarzy spływały mu krople wody. Przypomniała sobie inną scenę. Scenę, w której ona była pijana w sztok, a Ingvar mył jej włosy.

Ingvar.

Opanowały ją potworne wyrzuty sumienia, nie miała jednak pojęcia, wobec kogo. Wobec swojego męża czy kochanka?

— An... An... Musisz dać mi jeszcze trochę czasu — poprosił Vidar, ujmując jej twarz w dłoń. — Jeszcze trochę. Myślę... Wiem, że będzie dobrze. Że wszystko wróci do normy. Ze mną.

— Chcę ci pomóc — powiedziała i przylgnęła do niego całą sobą. — Chcę pomóc...

— Dobrze, An. Ale nie teraz. Potrzebuję jeszcze czasu. Zaufaj mi. Będzie dobrze. Wiem, że będzie dobrze — powtórzył.

Anna naprawdę chciała pomóc. W tamtej chwili była gotowa zrobić dla niego wszystko. Nagi Vidar, usadzony na podłodze w kabinie prysznicowej i ociekający wodą wydał się nagle taki bezbronny i taki całkiem jej oddany, że prawie zapomniała o zewnętrznym świecie. Potrzebował czasu. Jeszcze trochę. Mimo to Anna wiedziała, że fizycznie Vidar był gotów. Mogli wreszcie się do siebie zbliżyć, spróbować do siebie wrócić. To był odpowiedni moment. Ciało Vidara zareagowało na jej dotyk. A jednak nie chciał. Potrzebował czasu. Widocznie po to, by pokonać jeszcze jedną barierę — tę emocjonalną.

Pokiwała głową i sięgnęła po ręcznik. Kiedy jej serce przestało wściekle kołatać, a krew nie szumiała już w uszach tak intensywnie, Anna poczuła się źle. Co to było? Co ona myślała? Chciała być z Vidarem. A jak wyglądałoby to w kontekście zdrady? Co innego samotna żona, pozostająca

— chwilowo? — w czysto platonicznym związku ze swoim mężem, która zakochuje się w innym mężczyźnie i idzie z nim do łóżka, a co innego... Granie na dwa fronty. Dwoistość uniesień, powtarzalność emocji, dwulicowość umysłowo-cieleśna. Anna tak nie chciała. Nie potrafiła. Chyba.

Rozdział 17

Ingvar zadzwonił o dziewiątej trzydziści. Anna wybierała się właśnie na krótki spacer wzdłuż plaży, który zamierzała zakończyć wizytą w willi Heel. Należało to w końcu zrobić. Przywitać się z Lidką, zobaczyć matkę. Po piętnastu latach... Anna nie spodziewała się, że będzie łatwo. Wyobrażała sobie awanturę, wymówki i komentarze o „bogatym szwedzkim Żydzie”. Dlatego najpierw musiała pójść tam sama, a dopiero później przyprzewodzić Vidara. Vidar bywał w takich sytuacjach nieobliczalny. Anna wciąż pamiętała, jak potraktował Ester Gustafsson, kiedy ta spróbowała rozstawić go po łąkach. Z matką zrobiliby pewnie to samo. A może byłoby nawet gorzej? Może posłałby ją do wszystkich diabłów, kazał Annie pakować manatki i wracać do Ystad? Chętnie... Chętnie wróciłaby do Ystad. Na ucieczkę jednak nie mogła sobie pozwolić. Musiała zostać i pokazać, że jest babką z jajami, jak przystało na szwedzką panią komisarz Prowincjonalną. Ale zawsze.

Kiedy wychodziła z Pancernika, przed willą pojawiło się auto z warszawskiej wypożyczalni. Za kierownicą siedział jej ojciec, a obok niego Dagmar. Anna rzuciła się pędem w ich kierunku. Ojciec otoczył ją ramionami, jak gdyby była małą dziewczynką.

— I jak tam? Już po konfrontacji z „M”? — zapytał z uśmiechem, a Anna stłumiła chichot.

Tak właśnie często nazywali między sobą matkę. Mówili o niej „M”, jak w filmach o Jamesie Bondzie, lub, w chwilach większej słabości czy paskudnego nastroju, „Krwawa Mary”. Przy czym nie mieli, rzecz jasna, na myśli drinka, a raczej królową Marię Tudor.

— Eeee, nie. Przyjechaliśmy wczoraj w nocy, przecież bym do niej nie poszła o dwudziestą czwartą! Teraz właśnie myślałam, że przejdę się po plaży i zahaczę... Cześć, Dagmar. Jak lot? I jak ty to robisz, że po podróży z Warszawy wynajętym gratem nie jesteś w ogóle wymięta? — zapytała, przechodząc na szwedzki.

— Normalnie byłabym wymięta. — Dagmar wyciągnęła z torby welnianą czapkę i wcisnęła ją Annie na głowę. — Wieje tu jak cholera... Co to ja...? A, tak! Normalnie byłabym wymięta, ale musiałam się odpowiednio wyretuszować na wypadek niespodziewanego spotkania. Wiesz z kim. I tak mam już łatkę „szwedzkiej dziwki”! Chciałam się wykręcić od tej imprezy, ale Adam się uparł. No a skoro już jestem szwedzką dziwką, to niech nie wyjdzie jeszcze, że do tego brzydka!

— Ha! Widzisz, Dagmar, nie tylko ty chciałaś się wykręcić. I nie tylko ciebie namówił Adam — rzuciła Anna zgryźliwie i spojrzała z ukosa na ojca. — Nazwała cię szwedzką dziwką? A nie było nic o heretyckiej luterance? Aż dziw... — Machnęła ręką i wskazała na wille Pancernik — Vidar i Lempi jedzą śniadanie w jadalni. Pancernik należy do Marii Bójko, która kiedyś, tato, była Marysią Wolińską. Pamiętasz? Dobra, idę się przywitać. Gdybym długo nie wracała, zawiadomcie kogoś, że zginęła szwedzka funkcjonariuszka policji. Ale nie sądzę... Matka mnie nie ukatrupi, a świr od ciasta chyba za nami nie przypląnął...

Natychmiast pożałowała tego, co powiedziała. Dagmar pobladła, a ojciec już otwierał usta, w których zamierzał wystrzelić serię pytań o śledztwo. Anna nie była w nastroju do tej rozmowy. Za wiele miała na głowie. Vidara i prysznic, „Krwawą Mary”, a także, oczywiście — morderstwa z Malmö. I w dodatku od dobrych kilku minut na jej komórkę dobijał się Ingvar, którego nie potrafiła oszukiwać. Postanowiła, że oddzwoni do niego z promenady, choć nie spodziewała się, by do tego czasu nauczyła się kłamać.

Rozdział 18

Hel to miejsce symboliczne, w którym coś się zaczyna. Tak zawsze mawiała świętej pamięci babcia Anny, która na półwyspie mieszkała przez całe swoje życie i niespecjalnie lubiła wyjeżdżać gdzieś dalej. Tutaj miała swój przedwojenny dom z czerwonej cegły, różany krzak w ogródku, mewy nad głową i wspomnienia. W pierwszą sobotę miesiąca zawsze chodziła na cypel i rzucała na morskie fale garść popiołu. Mówiła, że w całym jej pragmatycznym, poukładanym i wypełnionym prostymi regułami życia tylko ten jeden gest miał w sobie tyle cikliwego sentymentalizmu. Nie mogła przestać. Pierwsza sobota miesiąca i garść popiołu wtapiająca się w zieloną wodę stanowiły święty rytuał.

To właśnie w pierwszą sobotę lipca babcia dowiedziała się, że w walkach na morzu zginął jej pierwszy mąż. Trwała wojna. Tego właśnie należało się spodziewać, mawiała. Każdy ją ostrzegał, że brać sobie za męża chłopca z marynarki wojennej to nie był najlepszy pomysł. Babcia jednak się uparła. A później dostała wiadomość i poszła na cypel, wyłócać się z Bałtykiem, by zwrócił jej ukochanego. Bałtyk jak zwykle w takich wypadkach, przywitał ją obojętnym szmerem. Babcia nigdy nie zapomniała o swoim „chłopie z marynarki wojennej”. Nawet wtedy, kiedy wyszła za mąż za sympatycznego nauczyciela matematyki, urodziła mu dwie córki i zaczęła wieść swoje spokojne i pozbawione przygód życie, którego jedynym urozmaicheniem było codzienne pomstowanie na komunistów.

Babcia zabierała niekiedy Annę na owe osobliwe spacerunki na cypel. Mawiała, że chociaż Lidka jest starsza od siostry o cztery lata i być może więcej by zrozumiała z tego

uteutralizowanego aktu, to Anna jest do babci bardziej podobna. Tak samo uparta i nieczuła na wpływ innych. I pewnego dnia tak samo też postąpi. Babcia na przekór „dobrym radom” poślubiła chłopaka z marynarki wojennej i Anna również wykaże się odwagą, postąpi wbrew woli najbliższych i zawalczy o marzenia. Lidka nie. Lidka nigdy by się na to nie zdobyła. Lidka będzie tą, która zostanie w domu, przy matce, która nigdy nie będzie potrafiła funkcjonować oddzielnie. Ale, jak mawiała babcia, takich również potrzebuje świat. Świat potrzebuje nie tylko bezkompromisowych Sofoklesowskich Antygon, ale też Ismen, które usiądą w kącie i będą po cichu przędły wełnę na ubranie. Ludzie przecież muszą mieć co na grzbiet włożyć. Nie każdy może iść na wojnę.

Anna, pogrążona we wspomnieniach o babci i jej spoczywającym na dnie Bałtyku ukochanym, zatrzymała się na promenadzie, przed kopcem Kaszubów. Kiedy stąd wyjeżdżała, jeszcze go tutaj nie było. Przeczytała napis: „HEL. POCZĄTEK POLSKI”. Coś ścisnęło ją za gardło. „Hel to miejsce symboliczne, w którym coś się zaczyna”. Babcia miała rację. Jak zwykle. Była niczym wieszczka, wyrocznia delficka, wielka znawczyni wszelkich przejawów niezwykłego fatum. Anna żałowała, że jej tu nie ma.

Babcia odeszła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Kilka tygodni przed śmiercią konspiracyjnym szeptem zagadała do Anny i poprosiła, by wnuczka zabrała ją do Gdańska, do kina. Pojechały pociągiem. Lidka była potwornie wkurzona, że nie wzięły jej ze sobą, ale babcia postawiła sprawę jasno. Nie życzyła sobie obecności Lidki. Wciąż złościła się na nią za to, że nie chciała iść na studia, tylko wolała stać przy garach w jakimś Heelu, w który powoli przeistaczał się ich rodzinny dom. Wybrały się zatem we dwie. Babcia i Anna. W Gdańsku obejrzały *Titanica*. Anna płakała jak bóbr, odbierając dramat wszystkim i swoimi młodzieńczymi, rozdrzganymi emocjami, ale babcia tylko zaciskała wargi w wąską kreskę. Czy kiedy tonął Leo DiCaprio, myślała o swoim ukochanym z marynarki? Anna nigdy nie dowiedziała się prawdy. Babcia niedługo po ich wyprawie umarła. Przed śmiercią jeszcze raz przypomniała wnuczce, że ma nigdy nie słuchać tego, co mówią inni. Że zawsze powinna kierować się tylko tym, co podpowiada jej wewnętrzny głos. Nawet jeśli z początku wydaje się, że pierniczy potworne głupoty.

Anna ruszyła przed siebie i wkrótce zostawiła w tyle kopiec Kaszubów. Naciągnęła mocniej na uszy czapkę, którą dała jej Dagmar, spojrzała na schodki prowadzące na plażę. Zawahała się. Wiatr był wprawdzie zimny i przenikliwy, a morze szalało w najlepsze, jednak słońce świeciło dość obiecująco i przyjemnie roziskrzało złocisty piasek. Anna usiadła na ławce i rozsznurowała buty. Po chwili przekonała się, że piasek, choć faktycznie złocisty, był jednak dość zimny. Mimo to postanowiła przejść się boso przynajmniej kawalek. Myślała o Vidarze, arseniku, „Krwawej Mary”, tańcu Salome i swoim wewnętrznym głosie, który w ostatnim czasie, jak na złość, zapadł chyba na wtórny mutyzm. Nic dziwnego. Taki chaos w głowie każdemu wewnętrznemu głosowi wyszedłby wreszcie bokiem. I jeszcze Ingvar...

Ingvar!!! Cholera by to!!!

Anna przy stanęła, zapadając się po kostki w miękkim piasku. Sięgnęła po telefon i zobaczyła dwadzieścia pięć nieodebranych połączeń. Miała przecież oddzwonić. A w ogóle to po prostu powinna odebrać. Za któryś razem. Wcisnęła guzik i przyłożyła telefon do ucha.

— Halo?! Ingvar, przepraszam. Nie miałam jak w spokoju pogadać — wyrecytowała.

— Cześć. Rozumiem. — Ingvar brzmiał dość grobowo.

„Rozumiem”. Jasne... A teraz cisza. Będzie czekał, aż sama zacznie go wypytywać. Faceci miewają czasem fochy większe niż baby...

— No mów! Nie drażnij mnie! Jeszcze przede mną spotkanie z matką, nie dokładaj mi, co?

— Gdzie ty jesteś? Strasznie szumi w tle.

— Nad morzem. Na plaży. Wysłałam na chwilę, żeby złapać oddech przed wizytą w Heelu. Za chwilę rozpęta się pewnie piekło. Ojciec i Dagmar przyjechali. Zostawiłam z nimi Vidara i Lempi. No ale dobra, coś masz? Coś wiesz? Wiecie? — poprawiła się na wspomnienie o Ester Gustafsson w grafitowym garniturze i butach na obcasach.

— Wiemy — odparł Ingvar. Nadal się boczył za te dwadzieścia pięć połączeń. Anna westchnęła. — Coś wiemy. Ale nie spodoba ci się to. I lepiej szybko wracaj. Ester w ogóle nie potrafi dogadać się z ludźmi w operze, mówię ci, tragedia... Dyrektor pytał, gdzie jest ta miła pani z Ystad, z którą gawędził sobie o Metropolitan Opera...

Anna parsknęła krótkim śmiechem.

— A filmik wam pokazał? Z tańcem siedmiu zaston? — zadrżała na myśl o laptopie Vidara.

Postanowiła, że powie o tym Ingvarowi przy następnej okazji. Być może nawet dopiero wtedy, kiedy wrócą do Ystad. Wcześniej spróbuje się czegoś dowiedzieć. Podejść jakoś Vidara, wyciągnąć od niego przynajmniej okruchy prawdy.

— Pokazał, ale ja nic z tego nie rozumiem. Twoim zdaniem to się łączy? Ten taniec, te całe cytaty z Wilde'a? Te rysunki? Zaczęłaś główkować? Na pewno tak.. Ja tu latam między więzieniem, hotelem i operą, wysłuchuję jakichś głupich bredni, znoszę fochy Ester, a ty na pewno masz już opracowaną całą koncepcję? — zapytała.

W tle usłyszała radio. Nico & Vinz. *So am I wrong?/ For thinking that we could be something for real?* Ten sam utwór, co wtedy, kiedy wyjeżdżali razem z Malmö. Wspomnienie tamtego wieczoru złało się w jej głowie z obrazkami dzisiejszego poranka pod prysznicem. Ingvar. Vidar. Anno Lindholm, mogłabyś się na coś zdecydować, pomyślała z niesmakiem i przysiadła na piasku.

— Nie mam gotowej koncepcji. Ale łączy się. Myślę — co jest zajebiście odkrywcze — że ktoś próbuje przekazać nam w ten sposób jakąś informację. Może ostrzeżenie. Ale... Ingvar, ja nie jestem pewna, czy to morderca. A jeśli... Przyszło mi do głowy takie coś. Słuchaj. Co by było, gdyby te cytaty i rysunki podrzucała całkiem inna osoba?

— Ale przecież leżały w celi Narcyza...

— Tak, ale może poza nią nie znalazł się w wyniku jego działań? Może ktoś chciał na niego skierować uwagę? On był świrem, zaczął sobie bazgrać, a ktoś to wykorzystał do swoich celów?

Teraz my zastanawiamy się, co zrobił Narcyz, a być może on...

— Nie zrobił nic — zakończył Ingvar.

— Właśnie. Albo zrobił, ale niedużo. Albo dał się wmanewrować w zamian za pomoc... no nie wiem, w ucieczce? Za kasę? O ile w ogóle jakiejś potrzebował... A tak naprawdę z zabójstwem Sofii nie miał zbyt wiele wspólnego. Oni się chyba nawet nie znali, co? Nie byłam bliską przyjaciółką Sofii, ale nie wydaje mi się, żeby coś o nim kiedykolwiek wspominała.

Anna urwała na chwilę i zaczerpnęła tchu. Po raz kolejny przypomniała sobie słowa Amalii Stiatesi. Sofia bardzo przeżyła wypadek Vidara. Czyli nawet jeśli nie знаła Narcyza, to przynajmniej przez chwilę o nim pomyślała. Wszyscy wówczas obwiniali go za ten wypadek w lesie. A może... Sofia poznała go później? Tylko jak? W więzieniu? Podróżowała często do Malmö i to na własne życzenie... Ale o co tutaj, do cholery, mogło chodzić? Dlaczego ją samą również sprzątnięto? Anna miała mętlik w głowie. Coraz trudniej było jej wyciągać logiczne wnioski z tak wielu, pozornie ze sobą niepowiązanych, informacji i domysłów.

— Ana?! Jesteś tam? Czy fala cię porwała? — krzyknął Ingvar, wyrywając ją z zamyslenia.

— Jestem. Mów, co macie z więzienia.

— A! Z więzienia... No tak. Nie będziesz szczęśliwa. Otóż współwięźniowie i strażnicy mówią zgodnie, że z Narcyza był fajny chłop. Owszem, świrnięty trochę, ale spokojny. Nikomu nie wchodził w drogę. Raczej siedział sam i czytał. Ciągłe wypożyczał książki z biblioteki, rzucał cytatami, przepisywał całe fragmenty. Kumpel z aresztu właściwie nie mogli nic więcej o nim powiedzieć. Nie wchodził w kontakty z nimi, nie grał w karty, nie oglądał telewizji, nie interesował się sportem. Tylko czytał.

— Bardzo chwalebne — mruknęła Anna gorzko.

— Taaa. I jeszcze wystawał przed lustrem.

— Po co?

— No... Cesał się. Krem wklepywał...

— Żartujesz?

— Nie. Z narcyzowym nazwnictwem to chyba nie tylko o kwiatki chodziło.

Anna przypomniała sobie zdjęcia ofiar Narcyza. Wszystkie piękne, blondwłose, smukke. Podobne do swojego oprawcy. Poza tamtą jedną, z Kopenhagi... Zadrzała. Zaczęło jej się robić zimno. Podniosła się z piasku i ruszyła wolno przed siebie. Pomyślała, że niebawem trzeba będzie włożyć buty. Jakis facet pałętał się nieopodal i zerkał w jej stronę. Odwróciła wzrok.

— No tak, ale słuchaj dalej. Narcyz nie miewał gości. Na ogół. Nikt go nie odwiedzał, poza... matką.

— Czyli jednak matka? Ale przecież mówiłeś, że nie ma jej w kraju! Znalazła się?! To ona niby przysłała ciasto...

— W pewnym sensie... Na nagraniach widnieje miła starsza pani, lekko przygarbiona, siwa, w babcinych garsonkach... Tyle powiedziały o niej taśmy z monitoringu. Przychodziła, gadali chwilę, zostawiała jakieś wypieki, ciasteczka czy co, i szła.

— Ciasteczka?! — Anna przystanęła. Ciasteczka! — Własna matka go trula? Skąd wzięła

arszenik?!

— Och, to nietrudne. Jak się bardzo postarasz, to kupisz. Nawet przez internet. Starsze panie nie są głupie, potrafią się ogarnąć w sieci. Ale na tym nie koniec. Oczywiście my także od razu zaczęliśmy ją podejrzewać. To ona również przyniosła Narcyzowi urodzinowy tort. Przyniosła, nie przysłała. Osobiście. Sama sobie zobaczysz taśmy, jak przyjedziesz. Wszystko się pięknie układało, ale...

— Ale...?!

— Ale to nie była tak naprawdę jego matka. — Ingvar zawiesił głos.

Usłyszała, jak ścisza radio. W tle tym razem szumiał czajnik Ingvar z pewnością przygotowywał sobie jakiś ziołowy szajs. Super-hiper-zdrowy, ale obowiązkowo ohydny jak jasna cholera.

— Nie matka? A kto? — Zaczynała powoli tracić cierpliwość. — No gadaj!!!

— Właśnie... Nie wiemy. Okazało się, że matka Perssona zrobiła sobie małe wakacje.

Wyleciała w dniu, kiedy Narcyz został otruty.

— Przecież wniosek nasuwa się sam!

— Powoli. Na szczęście nie musieliśmy ściągać jej do kraju. Kiedy doleciała na miejsce, usłyszała informację o śmierci Narcyza. Natychmiast kupiła bilet i wróciła. Zaczęliśmy ją przesłuchiwać, a ona... powiedziała, że nie była w więzieniu ani razu. Zaprezentowała piękne alibi na czas przynajmniej połowy wizyt. Tutaj jakiś brydzyk, tutaj kwesta w kościele, tutaj spotkanie klubu książkowego, kiedy indziej zajęcia z ceramiką, a jeszcze innym razem kółko piekarskie...

— Zajęta kobieta — zauważyła Anna zgryźliwie.

— I bardzo porządna. Przez dwie godziny opowiadała nam, jak to ludzie z początku stracili do niej zaufanie po osądzeniu Narcyza. Ale odcięła się od syna i po jakimś czasie wszystko wróciło do normy. W końcu to nie jej wina, że dziecku odbiło. — Ingvar odchrząknął.

— Może chciała się go pozbyć ze wstydu? Sama wymierzyła mu sprawiedliwość? — zaryzykowała. Zupełnie bez sensu. Wiedziała, że ta teoria brzmi śmiesznie.

— Sama w to nie wierzysz, Ana — rzekł Ingvar, jak gdyby właśnie włamał się do jej umysłu. — Nie, to nie była ona. Widać, że mimo wszystko przeżyła śmierć syna. A kiedy ponownie obejrzelśmy taśmy z monitoringu, upewniliśmy się już na sto procent.

— Dlaczego?

— Tamta kobieta faktycznie wyglądała inaczej. Podobnie. Tak ogólnie. Sylwetka, styl ubierania, fryzura. Ale rysy twarzy są jednak trochę inne. — Ingvar znowu siorbnął. I znowu chrząknął.

— Czyli co? Jakaś obca baba przyłaziła trucić Narcyza i nikt się nie zorientował?! A odciski palców?

— W celi nie było żadnych jej odcisków. Torebki po ciastkach Narcyz wyrzucał, a nawet gdyby nie wyrzucił, to i tak byłyby pewnie wygniecione, wszystko zamazane. Na pudełku od tortu nie ma żadnych odcisków. To znaczy są — Narcyza i strażników. Wiadomo. A co do odwiedzin, to miał do nich prawo. Został skazany za jedną zbrodnię, pamiętasz? Nie uznano go za

„enkę”. Poza tym głowę daję, że przynajmniej kilku strażników dostało od Narcy za pokaźne kieszonkowe za to, żeby czasem patrzyli w innym kierunku.

— No tak Oczywiście. Skąd ja to znam? — Anna pokręciła głową z rezygnacją. — Co jeszcze? Jest w ogóle coś jeszcze?

Ingvar zakasłał. Siorbał coś. Musiał się przeziębici. Anna otuliła się szczelniej kurtką i skierowała w stronę schodków prowadzących na promenadę. Było jej potwornie zimno. Mimowolnie obejrzała się za ramię. Facet, który wcześniej pałętał się w odległości kilku metrów, nadal tam tkwił. Oprócz niego na plaży nie było nikogo. Hel opustoszał, jak zwykle w październiku. Ingvar kasłał.

— Hej? Wszystko dobrze? Jesteś chory? — zapytała.

— Tak, z miłości do ciebie — zaśmiał się, a Annę przeszedł dreszcz.

— A tak serio? — mruknęła niechętnie, po raz kolejny oglądając się za siebie. Obcy facet również szedł w kierunku promenady. Przy padek. To musi być przy padek.

— A tak serio, to mam mały katar. Co do sprawy... Z więzienia nic więcej nie wiem. W operze działa Ester, ale... No cóż, średnio jej idzie. Do artystów trzeba mieć podejście. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Przyszły wyniki sekcji zwłok Sofii Stiatesi...

Anna wstrzymała oddech.

— Nie była podtruwana od dłuższego czasu. Faktycznie się odchudzała, jej organizm był bardzo osłabiony, ale śmiertelną dawkę arsenu najwyraźniej podrzuciono nie do żadnego koktajlu, tylko do kawy. Z mlekiem, bitą śmietaną, syropem karmelowym i wiórkami czekoladowymi.

— Co?! Przecież była na diecie!

— Właśnie! — wykrzyknął z triumfem Ingvar.

— I co?

— I co? — powtórzył. — Poszliśmy do tej całej Amalii Stiatesi. Przypomniała sobie, że siostra faktycznie wychodziła po południu. Nie mówiła, dokąd ani z kim.

— Jasna dupa!!!

— Właśnie. Podejrzewamy tę Amalię czy jak?

— Wszystkich podejrzewamy, Ingvar! Poza tym, do cholery, to ty masz większe doświadczenie w tej robocie! Po co mnie pytasz?! A w ogóle, o której nastąpił zgon?

— Około północy. Kilka godzin po kawie...

Anna przysiadła na promenadzie, przytrzymała telefon brodą i zaczęła wkładać buty. Facet na plaży również się zatrzymał. Przykucnął i grzebał patykiem w piachu.

— Straszna kicha, co nie? Myślisz, że Sofię też załatwiła ta babcia z więzienia? — spytał. Znowu siorbnął. Ziółka musiały być jeszcze gorsze niż zazwyczaj, skoro pił je tak wolno.

— Babcia albo współnik babci. Nie sądzę, żeby nagle w tym samym czasie dziwnym zbiegiem okoliczności pojawili się w Malmö dwaj niezależni mordercy, którzy w dodatku posługują się taką samą trucizną. To się łączy.

— Łączy — powtórzył jak echo Ingvar. — No nic, dzisiaj będę oglądał laptop Sofii.

Zacząłem już wczoraj, ale to jest jakiś obłęd! Wiesz, ile ona dostawała maili? Miała kilka skrzynek.. Maile od fanów, jakaś oficjalna korespondencja, maile prywatne... Nudy! Na razie nie podejrzanego. Żadnego psychofana.

— No to faktycznie do dupy... — zauważyła, sznurując drugiego buta.

Podniosła się z wolna. Facet na plaży nadal grzebał badyłem w piachu. Rozejrzała się. W razie niebezpieczeństwa do wyboru miała plażę, promenadę lub desperacki bieg przez wydmy. I, oczywiście, zostawało też morze. Zawsze mogła rzucić się do wody. Albo kopnąć faceta między nogi. Była w końcu policjantką, do jasnej cholery, nawet jeśli ostatnio nieco wygaszoną!

— Do dupy — potwierdził Ingvar. Przestał siorbać. — Przeczytałem *Portret Doriana Graya*. Nic nie rozumiem z tej książki.

Anna uśmiechnęła się pod nosem. W dalszym ciągu stała w miejscu, nie spuszczać faceta z badyłem z oczu.

— Przeczytaj może jakieś opracowanie? Albo zabierz się za pozostałe teksty. Te zacytowane fragmenty znalazłeś?

— Znalazłem. Ulf kupił mi gdzieś angielski egzemplarz *Salome*. Przynajmniej się na coś przydał. Teraz za to się wezmę, ale nie sądzę, żeby *Salome* okazała się bardziej zrozumiała od *Portretu Doriana Graya*. Ten Wilde był gejem?

— Był. Ale to niekoniecznie ma coś do rzeczy. Ja dzisiaj też zacznę czytać. Mam nadzieję, że znajdę czas. W razie czego zawsze zostaje noc...

— W nocy śpij — powiedział miękko. — Brakuje mi ciebie.

— Mnie ciebie też — odrzekła. Wspomnienie prysznic i Vidara w popłochu zepchnęła gdzieś na obrzeża świadomości.

— Uważaj tam. I wróć.

— Wrócę.

Anna rozłączyła się i wetknęła telefon do kieszeni kurtki. Pięknie! Śledztwo tkwi głęboko w ciemnej dupie, a ją obserwuje facio z badyłem. Wzięła głęboki wdech i postanowiła ruszyć z powrotem tam, skąd przyszła. Skierowała się w stronę kopca Kaszubów. Facet na plaży odrzucił badył. Anna przyspieszyła kroku. Facet przeciął plażę i wbiegł na schodki. Anna patrzyła prosto przed siebie. W kieszeni kurtki, oprócz telefonu, wymacała kluczyki do samochodu. Zaciśnęła na nich palce. W razie czego dziabnie go w oko... To jak Krav Maga, prawie... Na promenadzie, za jej plecami, wybrzmiały kroki. Anna nie zwolniła. Walczyła ze sobą, by nie spojrzeć przez ramię.

I wtedy ktoś z tyłu zaczął biec.

Poczuła czyjąś dłoń na plecach.

Obróciła się.

Wyrzuciła przed siebie rękę ściskającą kluczyki do samochodu.

Ktoś krzyknął.

Anna wypuściła z sykiem powietrze.

— Lajon?!

Rozdział 19

— Lajon?! — wykrzyknęła ponownie i przyłożyła dłonie do ust. Kluczyki do samochodu upadły na ziemię.

Mężczyzna stojący przed nią zatoczył się i przyłożył pięść do oka.

— Kurwa mać! Anka Bylińska! Popierdoliło cię?!

Anna złapała mężczyznę za zwinętą pięść, po czym spróbowała odciągnąć ją od oka. Modliła się w duchu, by tkwiło nadal na swoim miejscu w jednym kawałku. Po policzkach Lajona ciekły łzy. Pięść nadal przyciskała powiekę.

— Lajon, kurde! Zabierz tę łapę i daj mi zobaczyć...

Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Pięść odskoczyła od oka. Anna chwyciła go za głowę i drżącymi palcami otworzyła powiekę. Oko tkwiło w organicznie przypisanym mu miejscu, wściekle zaczerwienione, choć z natury cholernie niebieskie. Odetchnęła z ulgą.

— Z czego się tak cieszysz? Myślałam, że ci oko wydziobałam i teraz, w ramach zadośćuczynienia, będę musiała oddać ci jedno swoje. No i po co się tak mażesz?

— No sorry, ale nie każdy dziobie mnie kluczami w oko! Bolało! Masz coś z głową? Manię prześladowczą? Agorafobie? Na każdego się rzucasz? To przez ten wypadek?

Anna miała wrażenie, że za kilka sekund trafi ją jasny szlag. Wyprostowała się dumnie, choć przy Lajonie nadal była załóżnie mała.

— O co mnie jeszcze zapytasz?!

— Jak to robisz, że tak świetnie wyglądasz? — odbił spokojnie pileczkę i jeszcze raz przetarł załzawione oczy.

Oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego z politowaniem. Komplementy!!! O nie, nie!!!

— Odpieprz się! Skąd wiesz o wypadku?!

— Ej, weź wyluzuj, naprawdę chyba jesteś psychiczna! Lidka mi powiedziała. Twoja siostra, pamiętasz? Powinnaś jej teraz pomagać, zamiast włóczyć się po plaży. Jest zestresowana. Ale wiedziała, że najpierw przyleżesz tutaj. I będziesz unikać swojej matki. Dlatego pomyślałem sobie, że też się przejdę i jeśli na ciebie wpadnę, to przywlekę cię siłą do Heelu.

Anna chciała natychmiast uderzyć w Lajona jakąś mądrą ripostą, ale coś ją zastanowiło. Umilkła i zmrużyła oczy. Lidka. Stres. Plaża. Heel. Lajon.

— Chwila, chwila!!! Czekaj no... To ty się z nią hajtasz? Niewiele mówiła o swoim narzeczonym. I teraz już chyba wszystko kapuję...

— Nie, nic nie kapujesz! Jak ty w tej policji sobie dajesz radę z takimi zdolnościami dedukcyjnymi?! Nie hajtam się z Lidką. Będę jej robił zdjęcia na ślubie i weselu. Jestem fotografem. Połażem do Heelu już rano, bo sobie zażyczyli sesję z przygotowań. Nie wiem, po cholere! Już teraz jest tam dziki cyrk na kółkach. A co do tego kolesia, jej narzeczonego, to ma na imię Bruno, jest superprzyjstojny — ja tam nie wiem, ale tak mówią baby — i pewny siebie. Nie lubię go.

Uśmiechnęła się złośliwie, po czym zrobiła niewinną minę i wzruszyła ramionami.

— Nie lubisz? A może sam chciałbyś być na jego miejscu, hm? — zapytała słodko. — Poczuleś nagle miękę do Lidzi?

Lajon otworzył usta ze zdumienia i — znowu — ryknął śmiechem. Anna poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Ten facet był cholernie wkurzający. Jeszcze bardziej niż dawniej. Zaciśnęła dłonie w pięści. Lajon chichotał nadal.

— No tak, strasznie śmieszne! — krzyknęła i odwróciła się do niego plecami. Ale tak naprawdę nie była do końca pewna, czy chce już odejść. Lajon mimo wszystko ją zaintrygował.

— Czeka, Anka, weź nie świruj! — złapał ją za nadgarstek i pociągnął do siebie. Miał zimne ręce. — O co ty mnie pytasz? O jakieś pierdoły! Te twoje wnioski... Ja nie wiem, zaczynam się martwić o przestępczość w Ystad. Z taką komisarz!

Krew ją zalała.

Właśnie w tej, konkretnej chwili.

Nabrała powietrza...

— No to ci może wyjaśnię, skoro nie wiesz — powiedział, zanim zdążyła się odezwać. — Nie, nie czuję „miękę do Lidzi”, po prostu wkurza mnie jej przydupas. Jest fałszywy. Obludny. No ale... Lidzka to Lidzka. Ma trzydzieści sześć lat, jest niebrydka, ale do piękności to jej daleko, tłum się wokół niej nigdy nie kręcił, a tu nagle taki adonis, to postanowiła łapać wiatr w żagle. Albo chytać byka za rogi, wedle innego porzekadła. Które teraz jakoś jednak głupio zabrzmiało...

Kąkici ust Anny niebezpiecznie zadrgały. Zduśliła śmiech i spojrzała na niego wyniośle.

— Mówisz o mojej siostrze!

— Mówisz o mojej siostrze, mówisz o mojej siostrze! — przedrzeźniał ją Lajon. — Jakoś ona nie staje w twojej obronie, kiedy wasza matka publicznie wygaduje, że wysłaś za mąż za szwedzkiego Żyda! I że jesteś wielką pani, nosisz dupę wysoko i trzymasz ze swoim ojcem — który pohańbił waszą rodzinę rozwodem — i jego szwedzką dziwką.

Anna spowaźniała. W sercu poczuła ukłucie i spuściła głowę. Lajon umilkł. Jemu chyba też zrobiło się głupio. Na jedną krótką chwilę Anna pożałowała, że tutaj przyjechała. Matka zbudowała jej już wizerunek. Stworzyła obraz córki od zera. I wszyscy go sobie przyswoili. Nawet jeżeli nie miał zupełnie nic wspólnego z rzeczywistością. Ponownie odwróciła się do Lajona plecami i ruszyła przed siebie. Na swoim nadgarstku po raz kolejny poczuła zimne palce. Zatrzymała się niechętnie.

— Sorki, nie powinienem — odezwał się cicho Lajon. — Po prostu, Anka, nie idealizuj swojej siostry. Lidka święta nie jest. I uważam, że robi błąd, wychodząc za tego całego Brunona.

Ale ona chyba słyszy tykający zegar biologiczny i... ma trochę kompleksy w związku z tobą. Ty — jej młodsza siostra — już dawno wyszłaś za mąż, masz firmę, jesteś komisarzem... A właśnie! Firma! Tak w ogóle, to byłem na waszej stronie internetowej i widziałem, co robicie. Świetne są te meble! Naprawdę! Twój chłop je projektuje? A ty?

— Ja trochę też. Ale mniej. To Vidar jest wizjonerem. Ja bardziej zajmuję się renowacją mebli antycznych. To znaczy kiedyś się zajmowałam, później pracowałam w policji, a teraz... A teraz jestem trochę tu, trochę tu...

Ku swojemu zaskoczeniu Anna poczuła, że Lajon otacza ją ramieniem.

— Jednym słowem masz lekkie rozdwojenie osobowości? No tak. Czyli nie myliłem się! Jesteś trochę świrnięta!

— Słuchaj no! — zaczęła. Jej ciśnienie niebezpiecznie skoczyło.

— Oj tam, zamknij się. Chodźmy na kawę. Trzęsiesz się, jak ćpun na głodzie.

Zrezygnowana dała się poprowadzić przez promenadę, a następnie przez Maszopów i Wiejską. Usiedli w jakiejś małej kawiarence — jednej z nielicznych, które nie zostały zamknięte po zakończeniu sezonu letniego. Anna przyglądała się Lajonowi z niechęcią. Może miał rację? Może rzeczywiście była trochę świrnięta? I w ogóle wszystko wokół było trochę świrnięte? No bo przecież nie wydaje się całkiem normalnym zjawiskiem pogawędka — dość bogata w wielokrotnie złożone zdania (Lajon), przetykane tępawo brzmiącymi monosylabami i durnymi werbalnymi próbami oporu (Anna) — z dawnym szkolnym kumplem, który zaczyna uzewnętrzniać się na temat jej siostry, jej matki i jej ogólnej ciemnoty umysłowej. Choć od ostatniego spotkania minęło siedemnaście lat... No! To wszystko nie wyglądało normalnie! Zdecydowanie nie.

Kiedy kelner postawił przed nimi kawę, zegary wybiły jedenastą. Anna czuła się trochę tak jak gdyby wybrała się na węgry. W Pancerniku zostawiła swojego męża, ojca, swoją macochę i fińską gosposię, po drugiej stronie barykady czekały jej matka, siostra i nieznanzy przyszyli szwagier, a w Malmö — kochanek, dwa trupy i morderca. Lub mordercy. Ona tymczasem siedziała w knajpie, jadła szarlotkę i popijała kawę w towarzystwie chłopaka, w którym podkochiwała się w podstawówce.

Lajon dwoił się i troił, by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie wcześniej wywarły jego słowa o matce Anny, Lidce, szwedzkich Żydach i szwedzkich dziwkach. Dużo mówił o sobie, co przyjęła z ulgą. Wiedziała, że w końcu on również zacznie zadawać pytania, na razie jednak póki mogła, cieszyła się jego słowotokiem. A Lajon mówił ciekawie. Opowiadał o studiach w łódzkiej Filmówce, na wydziale operatorskim, o tym, jak je porzucił na rzecz fotografii i rozwijał następnie swoją pasję, jeżdżąc po świecie i ćwicząc się w oglądaniu rzeczywiście, w łapaniu wysublimowanych ujęć i w wyszukiwaniu interesujących obiektów. Na wieść o tym, że Lajon prowadzi bloga, Anna zastygła z widelczykiem w dłoni i uniosła brew.

— Bloga? Ostatnio, kiedy szukałam noclegów w Helu, wklepałam twoje nazwisko w Google.

Myślałam, że może to ty jesteś właścicielem Pancernika. Zawsze chciałeś kupić sobie ten domek. Ale nigdzie nic o tobie nie znalazłam. To blog ze zdjęciami?

— Tak I trochę podróżniczy. Nie znalazłaś, bo w sieci istnieję jako Leon Wit. Krócej niż Woliński. Łatwo zapamiętać.

— Leon Wit?! Cholera! Widziałam twoje zdjęcia. Całkiem dokładnie obejrzałam sobie zwłaszcza fotografie z Wiednia. I mój mąż też je oglądał. Pomogły nam znaleźć inspirację przy okazji jednego zlecenia. — Anna poczuła dziwny chłód na myśl o Sofii Stiatesi i jej wiedeńskim domu na Ringstrasse. — To naprawdę ty?!

Lajon uśmiechnął się, całkiem miło, po czym przywołał kelnera, by zamówić jeszcze jedną gorącą kawę i jeszcze jedno ciastko. Dla Anny. Była mu wdzięczna. Rano, po dziwnym prysznicu z Vidarem, nie miała ochoty na śniadanie, a teraz ręce trzęsły jej się z głodu. Swoją porcję szarlotki pochłonęła w dwie minuty. Lajon musiał to zauważyć. Rzucił okiem na pusty talerzyk i pokiwał głową.

— Nadal wpięprzasz słodczyce na potęgę. Ale widzę, że teraz, w tej konkretnej chwili, mogłabyś zeżreć wszystko. Moja siostra w Pancerniku chyba podaje śniadania? A, no tak, ty zamiast jeść, lazałaś sobie o poranku po plaży. Zapomniałem. No to... Cóż. Postawiłbym ci kanapkę, tylko że tutaj nie mają. Polecam drożdżówkę.

— Okay — zgodziła się bez zbytniego zagłębiania się w szczegóły.

Lajon strasznie dużo gadał. I szybko.

Kontynuował swoją opowieść o tym, jak jeździł po świecie i robił zdjęcia. Do domu w Gdańsku wracał na kilka tygodni w roku. Wreszcie uznał, że sensowniej będzie wynajęć mieszkanie i mieć z niego zysk. Odtąd, kiedy przyjeżdżał do Polski, pomieszkiwał po prostu w Helu, u rodziców. Utrzymywał luźne kontakty z tymi członkami paczki, którzy nigdy stąd nie wyjechali. A także zacieśnił swoją znajomość z Lidką, co wydawało się Annie dość dziwne. Nie skomentowała tego jednak. Jadła drożdżówkę, popijała kawę i zastanawiała się, skąd właściwie wzięła się ich przyjaźń. Lajon był od Lidki młodszy o cztery lata i wcześniej — jeśli dobrze pamiętała — nie znajdował się w kręgu zainteresowań jej siostry. Wiele musiało się zmienić. Anna miała nadzieję, że teraz wreszcie czegoś się dowie, i słuchała uważnie, raz po raz kiwając z namysłem głową. Zbliżali się do najciekawszego punktu...

Któregoś dnia, podczas pobytu Lajona w Helu, Lidka poprosiła go o zrobienie kilku ładnych zdjęć plaży i okolicy, by mogła wrzucić je na stronę internetową willi Heel. Zgodził się. Współpracowało im się sympatycznie, zaczęli do siebie dzwonić i mailować, a ich znajomość przeobraziła się w coś na kształt przyjaźni. Dzięki temu Lajon o wiele lepiej poznał Lidkę. I, choć nadal bardzo się lubili, przestał ją idealizować. Uważał, że w gruncie rzeczy była cwana, przebiegła i złośliwa. A do tego zakompleksiona. Miała dość stania w cieniu młodszej siostry.

— Ale jak w cieniu? — przerwała mu Anna. — Przecież matka mnie nie znosi. Uważa, że jestem wyrodną czarną owcą, a Lidzia to dobre dziecko, które nie odwróciło się od własnej matki, nie uciekło z domu. Ja trzymam z ojcem i jego szwedzką, luterańską dziwką! Prawda?! — W zapamiętaniu skubnęła drożdżówkę i wcisnęła sobie do ust wielki kęs.

— Tak, ale każdy swoje wie — odrzekł sentencjonalnie Lajon. — Dziwki, Żydzi i luteranie to jedno, ale... No, osiągnęłaś sukces. Masz kasę, dom, jesteś Wallanderem. Wszyscy ci zazdroszczą. Cholera! Nawet chyba ja ci zazdroszczę!

— Wallanderem? Serio? — spytała powoli. — Czy tałeś chociaż jedną książkę o Wallanderze? Zapewniam cię, że nie ma mu czego zazdrościć. A ja... Mam sparaliżowanego męża, z którym średnio mi się ostatnio układa, własna matka mnie nienawidzi, wokół mnie trują...

Anna ugryzła się w język. Głupia! Co jeszcze zamierzała mu powiedzieć? Może powinna zdradzić szczegóły śledztwa? Zwierzyć się z tego, że znalazła sobie kochanka? Pokazać, jak bardzo jest, w gruncie rzeczy, porąbana? Ale fakt, ma firmę. Ma swoje meble. Trochę pieniędzy. Nawet całkiem sporo. Chociaż tego mogła się od biedy ucześcić, by nie zacząć się nad sobą użalać, jak jakaś diwa z brazylijskiej telenoweli.

Lajon wzruszył ramionami i w zamyśleniu upił łyk kawy. Poszła w jego ślady. Nagle przypomniała sobie o ostatniej kawie w życiu Sofii Stiatesi. Gdzie ona była? I z kim? Jak to sprawdzić? Wydrzeć taśmy z monitoringu od wszystkich restauratorów i cukierników w Malmö? Anna zaszępiła się. Nie powinna tu siedzieć, tylko rozwiązywać sprawę. Miała dosyć tego cholernego urlopu, który z pewnością niczego dobrego jej nie przyniesie. A przecież... jeszcze nawet nie widziała się z matką. Lajon poprawił się na krześle, wyciągnął rękę i niezdarnie poklepał ją po dłoni.

— Tak, trochę ci zazdroszczę, Anka. Chyba nawet teraz. Chociaż nie powiem, żebym zazdrościł twojemu mężowi. Forsa forsa, ale on pewnie wolałby mieć sprawne nogi. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Złapałście go chociaż? Tego gnoja, który w was wjechał?

Anna pokręciła głową i zaczęła miąć w palcach papierową serwetkę. Wreszcie odchyliła się na krześle i spojrzała Lajonowi prosto w oczy. To już nie był ten sam wkurzający, kpiący facet, którego spotkała na plaży. Teraz wyglądał całkiem poważnie. I wydawał się odrobinę zakłopotany.

Szczegóły śledztwa... Szczegóły... Profesjonalizm.

W sumie... Pieprzyć to?

— Widzisz... — zaczęła niepewnie. — Być może wszystko zacznie się od nowa. Tylko gęba na kłódkę. Ktoś podrzucił nam do domu ciasto z trucizną, otruł moją klientkę i otruł też seryjnego zabójcę, którego pół roku temu wsadziłam za kratki. Nie powinno mnie tu w ogóle być. Gdyby nie to, że oficjalnie jestem na urlopie, nie mogłabym przyjechać. Moi koledzy prowadzą śledztwo, które z każdą godziną wydaje się coraz bardziej zagmatwane. A mnie dzieli od nich morze... Żle się z tym czuję. I... Nie wiem, co będzie. Ale teraz muszę już chyba iść. Do Heelu. Może pójdziesz ze mną? Uszczypniesz mnie, kiedy zacznę przeklinać?

Lajon zgodził się chętnie i po chwili kroczyli już ulicą Wiejską w kierunku Sikorskiego i Rybackiej. Anna była na siebie zła. Nie powinna jednak mówić o śledztwie. Nie zdradziła wprawdzie dużo, ale... on był przecież całkiem obcym facetem. Nie widzieli się od siedemnastu lat. I zupełnie nie miał znaczenia fakt, że kiedyś Lajon fałszował przy dźwiękach jej gitary. Lajon to Lajon. A Anna to Anna. Z całym jej pogmatwanym życiem.

Mimo wszystko przyjemnie było iść do Heelu w towarzystwie kogoś żywego.

Do Heelu...

Anna zatrzymała się nagle i chwyciła Lajona kurczowo za ramię. Spojrzał na nią zaskoczony.

— Co jest? Masz znowu jeden ze swoich ataków? — rzucił żartobliwie. — Anka?

Wpatrzyła się w przestrzeń przed sobą i przez chwilę nic nie mówiła.

Heel...

Hel...

Dlaczego nie wpadła na to wcześniej?

Dlaczego nie wpadła na to od razu?!

— Lajon, przepraszam, ale muszę iść. Muszę...

— Anka?! Masz ten swój atak?! Co jest?!

— Muszę iść. Przyjdę później. Powiedz Lidce, że się widzieliśmy, ale musiałam na chwilę wrócić do Pancernika, bo mój mąż mnie potrzebował. Proszę! Zrobisz to?! Przyjdę! Przyjdę później, obiecuję! Przepraszam!

Anna rzuciła się z powrotem pędem w kierunku Wiejskiej.

Jak mogła tego nie zauważyć?!

Heel!!!

Hel!!!

Helheim!!!

Rozdział 20

Z jadalni dobiegały odgłosy rozmowy prowadzonej we wszystkich językach świata. Królował angielski, dało się jednak również słyszeć szwedzki i polski, a nawet fiński. Do Vidara, Lempi, ojca i Dagmar dołączyła Maria Bójko. Na jej prośbę Lempi raz po raz nazywała różne przedmioty po fińsku. Wyglądało na to, że wszyscy świetnie się bawią. Nawet Vidar wydawał się zadowolony. Miał w oku ten błysk, którego Anna od dawna u niego nie widziała.

Zdyszana stanęła w progu i powiodła wzrokiem po zebranych w jadalni towarzystwie. Maria Bójko pomachała do niej z uśmiechem, a ojciec poderwał się z krzesła i uniósł brwi. W jego oczach czaiły się tysiące pytań. Anna niecierpliwie pokręciła głową.

— Nie byłam jeszcze u matki! — rzuciła. W jadalni zrobiło się cicho. Policzki zapiekły ją z nerwów. — Tato, przywiozłeś mi *Salome*? Coś mi przyzło do głowy! Powiedz, że przywiozłeś!

— Przywiozłem.

Ojciec ruszył na piętro, do sypialni, którą zajęli z Dagmar. Anna nie odstępowała go na krok. Kiedy przechwyciła szwedzki i angielski egzemplarz dramatu Wilde'a, rzuciła się biegiem do

swojego pokoju. Za plecami słyszała jeszcze, jak ojciec mamrotał, że nie udało mu się zdobyć polskiego przekładu. Nic ją to nie obchodziło.

Usiadła na łóżku, przed sobą położyła książki, laptop i telefon. Włączyła zdjęcia przedstawiające rysunki wykonane przez Narcyza i te, na których uwieczniła cytaty z ksiązek Wilde'a. Interesował ją zwłaszcza jeden. Pierwszy z cytatów, pozostawionych dla niej w hotelu Renaissance, w Malmö. Przeczytała go jeszcze raz, a po jej plecach przebiegł dreszcz. Odszukała odpowiedni fragment w tekście angielskim i szwedzkim, po czym porównała ze zdjęciem.

Tekst widniejący na fotografii brzmiał:

*How pale the Princess is! Never have I seen
her so pale. She is like the shadow of a white
rose in a mirror of silver. She is like a queen
of Helheim
the land of death*

Oryginalny tymczasem:

*How pale the Princess is! Never have I seen
her so pale. She is like the shadow of a white
rose in a mirror of silver.*

Brakowało trzech linijek. W oryginale nie było ani słowa o królowej Helheim, krainy śmierci... Anna przymknęła powieki. Gardło wyschło jej na wiór. Wszystko zaczynało nabierać kształtów i układać się w sensowną całość. Helheim! A zatem pierwsze skojarzenie z mitologią nordycką było słuszne. Helheim... W mitologii nordyckiej jeden z dziewięciu światów, gdzie tłoczyły się cienie tych, którzy nie umarli śmiercią chwalebną.

Anna otworzyła laptop i weszła do sieci. Zaczęła szukać.

Helheim...

...znajduje się w przeraźliwie zimnym Niflheim, leżącym na dnie nordyckiego wszechświata. Helheim... Kraina umarłych, rządzona przez boginię... Hel!

Hel!

Bogini, której ciało uległo częściowemu rozkładowi. Pół kobieta, pół szkielet...

Hel, władczyni krainy umarłych, której miejsce kultu, wedle niektórych podań, znajdować się miało na Mierzei Helskiej z uwagi na panujący tutaj zimny klimat.

Hel.

„Zimniejszy niż Gotlandia”.

Słowa Lempi wróciły do Anny ze zdwojoną siłą. Po głowie kołatały jej się również inne skojarzenia. Zacisnęła powieki.

Piekło, w starogermańskiej mitologii kojarzone z zimnem...

Starogermańskie określenie piekła...

Nazwa półwyspu na holenderskich mapach z siedemnastego wieku, o których opowiadała Annie babcia...

Nazwa, którą dawniej posługiwali się żeglarze...

Anna wstała z łóżka i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Czy ktoś próbował ją ostrzec? A może to było raczej wyzwanie? „Złap mnie, jeśli potrafisz”. Ostrzeżenie? Wyzwanie? Anna zaczęła nerwowo skubać dolną wargę. Jedno nie ulegało wątpliwości. Coś się wydarzy. I to już wkrótce.

Jutro.

Ostrzeżenie?

Wyzwanie?

Nazwa półwyspu na holenderskiej mapie...

Starogermańskie określenie piekła, kraju bogini...

...Hel...

Heel...!!!

Rozdział 21

Anna postanowiła, że do willi Heel, która mieściła się na Rybackiej, dotrze bulwarem Nadmorskim i przez pomosty spacerowe. Fale z tej strony Helu zawsze wydawały się większe, a woda w Bałtyku bardziej mętna i przerażająca. To właśnie tutaj, nieopodal brzegu, posadowiono na morskim dnie kadłub wycofanego ze służby okrętu marynarki wojennej „Bryza” K-18. Anna wyraźnie widziała skierowany w stronę plaży dziób wraku, o który rozbijały się wściekle bałwany. Wiatr wiał coraz mocniej, a chłód przenikał aż do kości. Maria Bójkó twierdziła, że to najzimniejszy październik na Helu od ładnych kilku lat.

Przynajmniej nie pada, pomyślała Anna i wcisnęła pod czapkę pojedyncze kosmyki swoich długich czarnych włosów. Oderwała wzrok od rozkołysanych na wietrze wód Zatoki Puckiej i skierowała się w stronę Domu Morświna. Przystanęła na chwilę przed niewielką urokliwą budowlą z czerwonej cegły. Kiedyś jej dom rodzinny na Rybackiej wyglądał bardzo podobnie, teraz jednak Anna nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Słyszała o dobudówkach, przebudówkach, wyciętych drzewach w ogrodzie, które musiały ustąpić przestrzeni minipolu namiotowemu i barakowi, mieszczącemu letnią kuchnię i dwie łazienki. Wiedziała też, że matka odkupiła kawałek ziemi od sąsiadów, którzy akurat znaleźli się w trudnej sytuacji finansowej, a nie chcieli w swoim domu wynajmować pokoi. Annę ogarniał żal na myśl o wszystkich tych zmianach, nie mogła jednak mieć do nikogo pretensji. Ona sama nie zajrzała tu od prawie

piętnastu lat, a matka i Lidka znalazły swój sposób na życie. Poza sezonem z pewnością i tak nie było im łatwo. W zimie turyści podróżują raczej na południe Polski, w góry, nie zaś na północ, na zimną i chłostaną wiatrem Mierzeję Helską.

Zimną...

Zimniejszą niż Gotlandia...

Anna poczuła, że jej serce znowu zaczyna bić szybciej. Przymknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów. Tłumaczyła sobie, że tylko spokój może ją uratować. Musiała zachować trzeźwy umysł i nie dać się ponieść emocjom. Ktoś usiłował ją ostrzec lub rzucić jej wyzwanie. Wszystko wskazywało na to, że coś miało się tutaj niebawem wydarzyć.

Na Helu. W Helu. W Heelu.

Wszystkie te durne rebusy wyraźnie wskazywały to miejsce. Pozostałe cytaty dotyczyły zbrodni, duchów, śmierci i wyrzutów sumienia. Anna nie potrafiła odczytać ich ukrytego sensu. Jeszcze nie. Hel i Heel zostały jednak wskazane wyraźnie i gdyby Anna myślała logicznie i od razu porównała cytat z *Salome* z oryginalnym tekstem, jechałaby tutaj z innym nastawieniem. Bardziej czujna. Bardziej uwrażliwiona na warunki zewnętrzne. Może nawet na otaczających ją ludzi?

Nie miała pojęcia, czy za całą tą chorą akcją z cytatami, trującymi ciastami i obydwoma morderstwami stała ta sama osoba, czy też mieli raczej do czynienia z jakimś psychopatycznym kółkiem wzajemnej adoracji. Mimo wszystko trzeba się było trochę napracować. I najeździć. Otruty Narcyz w Malmö, ciasto w Ystad, otruta Sofia w Malmö, a teraz Hel. Być może Hel. Czy jedna osoba miałaby w sobie aż tyle determinacji, żeby tak nienormalnie biegać w tę i z powrotem? Anna bardzo w to wątpiła. Skłaniała się raczej ku teorii „kółka”. I w sumie nie musiałaby to być jakaś liczna wataha. Na dobrą sprawę wystarczyłyby dwie zorientowane w terenie osoby. Osoby, które znalazłyby się w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu, by zrealizować swój plan. A zatem — być może — „babcia” z więzienia i... Ktoś jeszcze. Bo ta „babcia” z więzienia musiała przecież w całej szopce grać jakąś rolę.

Anna zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie boleśnie wbiły się w jej skórę. „Ktoś”, „coś”, „gdzieś”, „jakoś”. Wszystko same domysły, być może zupełnie nietrafione! Jeden rozwiązany rebus dotyczący Helu/Heelu o niczym jeszcze nie świadczył! A jednak musiała ostrzec Lidkę i... matkę. Należało mieć się na baczności i trzymać rękę na pulsie. Lepiej, żeby ta impreza nie wymknęła się spod kontroli. Ingvar, którego poinformowała o swoim odkryciu przez telefon, również tak uważał. Doszedł do tego wniosku, jak tylko skończył świrować i krzyczeć, że natychmiast kupuje bilet na prom, jęczeć, że się o nią boi i prosić, żeby natychmiast stamtąd uciekała. Więcej sprzecznych ze sobą poleceń w jednym komunikacie upchnąć nie mógł! Rozmowa z Ingvarem dobrze Annie zrobiła. Przy najmniej trochę się pośmiała.

Minęła Dom Morświna i ruszyła w kierunku Rybackiej. Już z daleka dostrzegła dach swojego rodzinnego domu, teraz najwyraźniej zmienionego w psychiatryk Krzyki, muzykę, odgłosy szurania meblami i brzęk kuchennych naczyń słychać było na całej ulicy. W zielony płot wpleciono białe aksamitne wstążki, a bramę udekorowano ogromnym sercem ze sztucznych

białych róż. Anna skrzywiła się. Ale obciach... Ciekawe, czyj to genialny pomysł? Matki czy Lidki? A może tego całego Brunona, którego tak nie lubił Lajon?

Zatrzymała się na chwilę i policzyła do dziesięciu. Potrafiła ją obca babka, taszcząca przed sobą cztery blachy ciasta, a facet, który rozwijał przed domem jakieś kable, spojrział na nią z zainteresowaniem. Na schodkach przed wejściem pojawił się Lajon z wielkim aparatem w dłoniach. Zobaczył ją. Uśmiechnął się. Anna ruszyła przed siebie.

Matka stała przy kuchence i z wielką determinacją mieszała coś w garach. Zakłopotana Lidka kręciła się obok i skubała fartuch. W kuchennych drzwiach, zahaczając głową o framugę, tkwił Lajon. Mógłby oszczędzić sobie niewygody i wejść dalej, ale z pewnością chciał w ten sposób odciąć Annie drogę ucieczki. Spojrzała na niego niechętnie, z rezygnacją oparła się o pobliską ścianę i wetknęła ręce do kieszeni kurtki. Na głowie nadal miała czapkę od Dagmar. Nie wiedziała, czy nie będzie zbyt zuchwała, jeśli bez zachęty ze strony gospodyń zacznie się z tego wszystkiego rozbierać.

Już po chwili jej policzki zaczęły płonąć z gorąca. Nie wytrzymała i jednym ruchem zdarła czapkę. Przyklepała naelektryzowane włosy i poczuła na sobie uważne spojrzenie Lajona. I Lidki. A jednak Lajon patrzył na nią inaczej. Z nowym zainteresowaniem i nutką... sympatii? Lidka zaś... Lidka pobladała i lustrowała ją od stóp do głów. Anna zauważyła, że siostra odrobinę przytyła i nosiła teraz inną fryzurę, która niekorzystnie uwydatniała wysunięty podbródek. Wokół oczu Lidki rysowały się pierwsze drobne zmarszczki. W ogóle się nie malowała. Wyglądała na więcej niż swoje trzydzieści sześć lat. Mimo to była atrakcyjną kobietą. Nie piękną, ale na pewno na swój sposób atrakcyjną. Anna zmarszczyła brwi. Coś, jakieś zamazane i niedające się pochwycić wspomnienie, zaczęło drażnić jej synapsy. Lidka kogoś Annie przypominała. Kogo...?

Oderwała plecy od ściany i dyskretnie rozpięła kurtkę. W zadymionej, choć obszernej kuchni zaczęło się robić potwornie duszno. Przyłożyła pięść do ust i zakasłała. Matka nadal się do niej nie odzywała. Odpowiedziała tylko zdawkowo na „dzień dobry” i na powrót skupiła się na mieszanii w garach. Pierwsza zreflektowała się Lidka. Puściła róg fartucha, który w zapamiętaniu skubała, i złapała krzesło, a następnie podsunęła je Annie.

— Siadaj! — zawołała nerwowo. — I daj tę kurtkę. Ugotujesz się. Napijesz się kawy? Może herbaty? Albo czegoś mocniejszego? Piwnica pęka w szwach od alkoholu.

Lidka zaczęła krzątać się po kuchni i szczebiotać z udawaną wesołością, a Lajon, który widocznie doszedł do wniosku, że Anna nie zamierza na razie uciekać, odkleił głowę od framugi i przysiadł w rogu na taborecie.

— Masz burbon? — wyrwało się Annie i natychmiast tego pożałowała.

Burbon?! Chyba ją powaliło?! Dlaczego to powiedziała?! Szlag, szlag, szlag... W panice zerknęła na Lajona, który postukał się znacząco w czoło i uniósł do góry kciuk Kretynka!!!

— Burbon? — bąknęła Lidka. — Burbona, no wiesz...

— Johnnie Walker może być? Choć to nie do końca to samo? — zabrzmiał nagle głos,

dochodzący z korytarza.

Znała ten głos? Nie. Tak? Nie. Nie?

W drzwiach, w których przed chwilą kwitł Lajon, ukazał się teraz jakiś facet. Dobrze zbudowany, bardzo przy stojny, niezłe ubrany. Wszedł do kuchni i zatrzymał się przed Anną.

Znała go? Nie. Nie...? Z pewnością zapamiętałaby taką twarz. Sylwetkę, w ogóle sposób bycia. Chyba że wtedy to wszystko prezentowało się zgoła inaczej.

Wtedy. Kiedy?

Nigdy. Nie, z pewnością nigdy wcześniej tego człowieka nie widziała.

— Ty musisz być Anna. Bruno, miło mi — przytrzymał jej dłoń odrobinę dłużej niżby sobie tego życzyła. Nie był to jednak uwodzicielski gest. Raczej. Chyba... — To jak z tym Walkerem? Jeśli ci nie odpowiada, skoczę do sklepu i kupię Jima Beama.

Och, och, ktoś tu się popisuje, pomyślała i uśmiechnęła się lekko.

— Nie, żartowałam. Tak tylko, jak Lidka wspomniała o tej piwniczce... Przepraszam. Głupie to. A ciebie miło mi poznać.

Bruno wyszczerzył śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu. Był nie tyle przystojny, co... piękny. Lajon miał rację. Może trochę przesadził z tym „adonisem”, ale jednak.. Mógł podobać się kobietom. Anna pozostała mimo to nieczuła na jego wdzięk. Sama miała przecież nieprzeciętnie przystojnego kochanka i nieprzeciętnie przystojnego — nawet mimo paraliżu — męża. Uroda Brunona była też dość chłodna, a jego wygląd zbyt perfekcyjny.

Anna poprawiła się na krześle i wbiła wzrok w plecy matki. Coś należało zrobić, nawet jeśli wszelkie wylewne powitania wydawały się wykluczone. Matka wyraźnie nie cieszyła się z przyjazdu młodszej córki i sugerowała, że Anna nie była tu mile widziana. A przecież została na wesele oficjalnie zaproszona! Lidka dzwoniła w tej sprawie kilka razy, więc trzeba było się z tą nienormalną sytuacją uporać. I przede wszystkim należało poruszyć inną, bardzo niewygodną kwestię... Teraz chodziło głównie o to, by zadbać o bezpieczeństwo wszystkich gości.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Strach, który z niezmienną intensywnością odczuwała od samego rana, ustąpił na chwilę miejsca rozbawieniu. Matka postanowiła być wredna. Okay. Anna wyjechała na prawie piętnaście lat. Okay. Ale, mimo wszystko, wyjechała dlatego, że z matką nie dało się żyć. Że Anna nie potrafiła z nią żyć. A matka również przez całe te piętnaście lat nawet do niej nie zadzwoniła. Nie skontaktowała się z nią choćby po to, by zrobić awanturę. Wygłosić jakieś pretensje. By okazać choć szczątkowe emocje, dać do zrozumienia, że młodsza córka nie jest jej obojętna. Nie, nie... Anna nie zamierzała posypywać głowy popiołem i przeproszać. Była z matką kwita. A teraz czas pokazać, kto tu rozdaje karty!

Wstała i wyprostowała się dumnie. Matka nadal prezentowała swoje, odziane w jakąś mdłą bluzkę, plecy. Anna uśmiechnęła się drwiąco. No tak.. „Wszelka ekstrawagancja w stroju powoduje tylko niezdrowe prowokacje!”.

— Przepraszam, ale chyba muszę wam zepsuć nastrój — zaczęła.

Matka odwróciła się powoli. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

— Już mi zepsułaś nastrój — wycedziła. — Jest coś jeszcze?

Anna poczuła w gardle znajomy ucisk Nie, nie będzie płakać. Nie przez nią!

— Tak jest. Być może coś się wydarzy podczas wesela.

Bruno nalał jednak do szklanki parę kropel Johnny'ego Walkera i postawił ją na stole, przy którym przed chwilą siedziała Anna. W kuchni zapadła nieprzyjemna cisza.

— Być może coś się wydarzy? Ale co? — zapytała cicho Lidka, a matka zgromiła ją wzrokiem.

Anna zaczynała szczerze współczuć siostrze. Zdążyła się już powoli rozeznąć w sytuacji. Lidka nie miała tutaj nic do gadania. Była stłamszona. Wcześniej przez matkę, a teraz jeszcze pewnie przez tego całego Brunona w modnej koszuli. Anna zawahała się, po czym, ku świętemu oburzeniu matki, pociągnęła jednak łyk whisky. Poczula pieczenie w przełyku, a później przyjemne ciepło.

— Być może morderstwo.

Rozdział 22

Zapach jajecznicy, świeżego chleba i kawy drażnił nozdrza. Anna poczuła ssanie w żołądku, choć jednocześnie miała pewność, iż nie będzie w stanie przelknąć ani kęsa. Serce biło jej tak mocno, że postanowiła odpuścić sobie również kawę. Poza tym jajecznica z pewnością nie będzie tak dobra jak ta, którą w domu przygotowywała Lempi.

Finka stała przy desce do prasowania i walczyła z garniturem Vidara, mrucząc pod nosem coś, co z pewnością było wyszukany m fińskim przekleństwem. Przez chwilę Anna chciała nawet sprawdzić znaczenie tego słowa w internecie, nie potrafiła go jednak poprawnie zapisać. A później poczuła się trochę jak jakiś darmozjad, reprezentant klasy próżniaczej, relikw systemu feudalnego albo współczesna Maria Antonina, która kąpie się, ubiera, załatwia potrzeby fizjologiczne i je w nieustającej asyście dam dworu. Oto bogate małżeństwo wybrało się na krótki urlop w towarzystwie gosposi, która prasuje i rozwiesza na wieszakach ich ciuchy, bo oni sami zbyt są delikatni i wyrafinowani, by zrobić to własnymi rękami. Jak u Jane Austen. Brakowało tylko tego, żeby Lempi codziennie o poranku trefiła Annie loki i sznurowała gorset.

— Panie Vidar!!! Pan to powinien w łeb dostać!!!!

Głos Lempi wdarł się w zalegającą w sypialni ciszę. Vidar spojrział na nią zdezorientowany, a Anna zaśmiała się w duchu ze swoich imperialistycznych refleksji. Lempi dla nich pracowała, dostawała przyzwoite wynagrodzenie. Z pewnością wolała to, niż sprzątanie po hotelach i stanie na zmywaku w jakiejś knajpie. Poza tym zabrali ją do Helu nie z wygodnictwa, ale dla bezpieczeństwa. Jej bezpieczeństwo. To prasowanie traktowała chyba jako coś najnormalniejszego i najbardziej oczywistego na świecie. I nie zawahała się ochrzanić swojego

pracodawcy. Anna już jakiś czas temu zauważyła, że Lempi zachowuje się wobec Vidara z dużo mniejszym dystansem niż wobec niej.

— Coś zbroilem? — Vidar wydawał się nadal mocno spłoszony. Lempi patrzyła mu w oczy z wyrzutem, wymachując rękawem marynarki.

— I pan się jeszcze pyta?!

Vidar tyknął na Annę, lekko już wystraszony.

— Na mnie nie patrz. Ja nic nie wiem. Na mnie Lempi nie krzyczała.

Anna wzruszyła ramionami i zdjęła z wieszaka swoją prostą granatową sukienkę. Wygładziła dłonią materiał i odpędziła od siebie natrętą, nawracającą od rana myśl o fryzjerze. Głupoty! Lepiej już myśleć o mordercy, Heelu, ostrzeżeniach, literackich kalamburach i ewentualnej truciznie w rosole. Zaśmiała się pod nosem, ściągając na siebie spojrzenia Lempi i Vidara. Nie wiedzieć czemu ta sytuacja wydała jej się nagle zabawna, a spodziewane morderstwo — nieprawdopodobne. Równie dobrze ktoś mógł sobie z nią pogrywać, robić ją w cholernie wielkiego balona i mieć z tego niezły ubaw. Anna odniosła też niejasne wrażenie, że popełniła błąd, informując o sprawie matkę, Lidkę i lalusia Brunona. Lepiej było zachować wszystko dla siebie, ostrzec jedynie Vidara, ewentualnie Lajona...

Lajon! Dlaczego właściwie jemu zdecydowała się zaufać? Prawdopodobnie to również nie był najlepszy pomysł...

— Jak pan mógł tak się uwalić na ten garnitur?! Ja rozumiem, spał pan!!! Ja wszystko rozumiem!!! Ale przecież można było usiąść po drugiej stronie, a nie tam, gdzie garnitur rozwiesiłam!!! Wie pan, jak trudno przewieźć samochodem wyprasowane rzeczy tak, żeby się nie pogniotły?! A tu proszę, materiał dobry, metki jakieś nie wiadomo jakie, o, tutaj... I czym to takie ufajdane?! Czekolada czyżby? Widziałam tego batonika, co go pan ukradkiem jadł w aucie. Chusteczek się używa, panie Vidar, a nie brudny dziób opiera o marynarkę! Chryste Panie! Jak ja teraz mam czyścić, kiedy tu... O! Proszę bardzo! Pięknie! Napisane, żeby do pralni chemicznej nosić!!! No i co?! Że ja teraz mam szukać tej pralni?! Po jakimu się dogadam?! Po fińsku?! Szwedzku?!

— Rosyjsku...? — wyrwało się Annie.

Lempi umilkła i zmrużyła oczy.

— A tak!!! Pewnie, niech pani szydzi!!! Proszę bardzo! Ale garnitur ledwie wyprasowałam, jak materiał zniszczyłam, to trudno, ja już nie poradzę! I brudne nada! Jakby co!

— Lempi — przemówił wreszcie Vidar. — Uspokój się. Nikt się ciebie nie czepia. Okay, pogniotłem garnitur. Powinienem usiąść z drugiej strony. Masz rację. Pobrudziłem. W porządku. Ale i tak niepotrzebnie się tak starasz. Przecież będę cały czas siedział.

Anna przygryzła wargę i odwróciła się do nich plecami. Mechanicznie gładziła materiał swojej sukienki, jak gdyby chciała poprawić jeszcze efekty prasowania. Ku jej zaskoczeniu Lempi wykrzyknęła:

— Ha!!! O nie, nie! Pan mnie na współczucie nie weźmie!!! Co to, to nie!!! Taki przystojny chłop, a zrędzi jak pięciolatek! Poza tym, o co tu się martwić?! O jakieś garnitury! Kiedy być

może morderca za nami przyjechał!!! Jezu, Jezzzu...

Vidara najwyraźniej zamurowało, bo spoglądał niepewnie na obie kobiety, a Lempi wściekle potrzasała to rękawem marynarki, to własną głową. Anna podeszła do niej i delikatnie wyjęła z jej rąk rozgrzane żelazko.

— Dziękujemy, Lempi, jesteś niezastąpiona. I musisz mi obiecać, że kiedy wyjdziemy, ty się stąd sama nie ruszysz. Musisz mi obiecać! Masz tutaj siedzieć. Jest telewizor. Komputer. Książki, gazety... Wytrzymasz?

— Ha! Miałabym wychodzić sama, kiedy tam jakiś morderca?! Jeszcze czego!!!

Lempi fuknęła, złożyła deskę do prasowania, po czym wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i z miną wyrażającą wyższość odebrała od Anny żelazko. Tak, Lempi zdecydowanie nie była zahukaną, stłamszoną przez feudalizm służącą. To raczej ona roztawiała ich teraz po kątach.

Anna westchnęła cicho i zrzuciła z siebie szlafrok. Zauważyła, że Vidar przygląda jej się z uwagą. Poczuli się odrobinę skrępowana. Wczorajszy poranek pod prysznicem... Późniejszy spacer i rozmowa telefoniczna z Ingvarem. Spotkanie z Lajonem na plaży. Odkrycie związane z Helem i Heelem. Konfrontacja z matką w kuchni rodzinnego domu na Rybackiej. Ponowna rozmowa z Ingvarem, który panikował jak piętnastoletnia panienka przed dyskoteką. Domysły, obawy, lęki i rozmyślenia. A wreszcie to, co wydarzyło się w nocy... Wspomnienia zlały się w głowie Anny w jedną, hałaśliwą, ciężkostrawną mieszaninę. Miała wrażenie, że gdzieś w tym kotle zgubiła samą siebie, że przygniotły ją inne osoby, zjawiska i przedmioty. I że przez chwilę nie było już Anny, a jedynie maski, jakimi okazjonalnie przykrywała swoją prawdziwą twarz. O ile w ogóle miała jeszcze prawdziwą twarz. A może dawno już o niej zapomniała? Wyuczyła się swoich ról do perfekcji i teraz prawda nie była już potrzebna?

Vidar podjechał do niej i objął ją w talii.

— I co? — spytał cicho, unikając wzroku Anny. Jak zwykle. Pod tym względem, jak widać, ubiegła noc niczego nie zmieniła.

Anna nie odpowiedziała od razu. Nie mogła przecież ot tak, zwyczajnie, trysnąć entuzjazmem i wykrzyknąć, że było cudownie. Nawet jeśli było. I to nie dlatego, że Vidar po półrocznej przerwie i przy znacznie ograniczonych możliwościach ruchowych nadal wykazywał się biegłością w sztuce kochania. Tutaj chodziło raczej o odrodzoną bliskość, o przełamanie barier i pokonanie lęku. Anna po raz kolejny poczuła się wspaniale i okropnie zarazem. Krok po kroku odyskiwała Vidara, co wypełniało ją ulgą, spokojem i radością. Krok po kroku traciła również Ingvara, oddalała się od niego. A to boleśnie łamało jej serce. Lajon miał rację. Była trochę nienormalna. A może nawet bardzo.

— I nic — odrzekła wreszcie. Postanowiła zachowywać się z największą swobodą, na jaką było ją stać. — To się mogło wydarzyć wcześniej.

Zaczęła wciągać do siebie sukienkę. Wydobyla z pudełka dwie pary butów i przyjrzała im się krytycznie. Nigdy nie była biegła w kwestii szpilek.

— Mogło — odezwał się nagle Vidar. — Przepraszam. Obwinałem cię o ten wypadek Irracjonalnie. A przecież to nie była twoja wina. Ty też mogłaś zginąć. Przepraszam cię, An.

Myślisz, że jeszcze się nam uda?

Zastygła w bezruchu. Rzuciła szpilki na podłogę i usiadła na łóżku. Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła zgodnie z prawdą. — Ale musimy spróbować — dodała, choć nie przyszło jej to łatwo.

— Tak.. Tak, chyba musimy, prawda? To by było całkiem bez sensu... Spieprzyć takie dobre życie. Teraz to wiem. Zbudowaliśmy wspólny świat, który głupio byłoby teraz zawalić. Brzmię patetycznie, co? Nienawidzę tego. Nienawidzę patosu. Nasłuchałem się go już wystarczająco w szpitalu. Przepraszam, An. Tobie też musiało być ciężko. Po prostu uznałem, że mnie jest ciężiej.

Cieszyły ją słowa Vidara, a jednocześnie zastanawiała się, co też skłoniło go to tych refleksji. Akurat w tej konkretnej chwili. Maską śledczej zaczęła wciskać się na twarz Anny i wypierać wszystkie inne. Anna-żona pisnęła cicho i ustąpiła miejsca Annie-policjantce. Anna-policjantka przelknęła ślinę.

— Tak, było mi cholernie trudno. Ale zacisnęłam zęby. I chyba najgorsze już za nami, chociaż tego tak naprawdę jeszcze nie wiemy. Vidar.. Skoro już się sobie patetycznie spowiadamy, to muszę cię o coś zapytać. Pewnie się wkurzysz, ale, no... muszę. Wczoraj rano otworzyłam twój laptop. Oglądałeś występ Sofii Stiatesi. Taniec siedmiu welonów z *Salome*. Wiem, że to nagranie z prób. Skąd je miałeś?

Vidar drgnął, a jego twarz skurczyła się w bolesnym grymasie.

— Widzę, że sporo działałaś przez te kilka godzin w Malmö — zauważył z goryczą. — Tak, to nagranie z prób. Sofia wysłała je do mnie, kiedy kontaktowaliśmy się w sprawie nowego weneckiego zlecenia. Powiedziała, że może mógłbym zmienić zdanie co do Malmö, zrobić wyjątek i przyjechać na spektakl. Zobaczyć ją w roli Salome. Ona już od dawna lubiła ten dramat. Rozmawialiśmy o nim kiedyś kilkakrotnie.

— Kilkakrotnie? — zdziwiła się Anna. — I nic mi nie powiedziałaś?

— An... O czym ci miałem mówić? Chciałaś, żebym rozmawiał z tobą o operze? Chyba żartujesz? Nigdy nie interesowała cię opera, a ponieważ ja również nie dzieliłem z tobą żadnej twojej pasji, to uznałem, że nie będę cię zdręczał. Kiedy robiliśmy meble dla Sofii, spędziłem z nią trochę czasu. Uznała, że całkiem nieźle orientuję się w operze. Wiedziała też, z jakich powodów nie znoszę Malmö. No więc teraz, w związku z tym, że odnowiliśmy kontakty, chciała mnie zachęcić do przyjścia na przedstawienie. I tyle.

— Fascynowała cię — stwierdziła Anna. Zabrzmiało to dość złośliwie i Vidar spojrział na nią z zaskoczeniem.

— Sofia? — zapytał. — No tak.. W pewnym sensie. To była niezwykła artystka. Nie ma takiej drugiej. Ale właściwie o co ci chodzi? An?

Pokręciła wolno głową. Nie ma takiej drugiej. To akurat prawda. Cholerna prawda. Anna-policjantka walczyła jeszcze przez chwilę z Anną-żoną. Nawet jeśli Vidar był zafascynowany Sofią, nawet jeśli się w niej... zakochał.. to teraz był dobry moment, by zamknąć za sobą ten rozdział. Sofia nie żyła. A Anna-żona również nie była święta.

Podniosła się z łóżka i zdjęła z wieszaka koszulę Vidara.

— Pomogę ci się ubrać. Musisz wyglądać jak człowiek i tak wszyscy będą się na nas gapić.

— Wiem. Mówiłem ci, że tak będzie — odrzekł i pozwolił się ubrać.

— No tak, ale sam widzisz. Nie było innego wyjścia.

— Nie było. Więc lepiej włóż te kremowe szpilki. Skoro mają się gapić.

Vidar uśmiechnął się lekko i uniósł podbródek, gdy Anna wiązała mu krawat. Poczowała ulgę na myśl, że nie będzie tkwiła w tym wszystkim sama.

Rozdział 23

Ogromny namiot, który stanął na placu przed Heelem, zadziwiająco dobrze trzymał ciepło. W środku było też o wiele więcej miejsca, niż to się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Stoły ustawiono dookoła, wzdłuż ścian, parkiet wydzielono na środku, a miejsce dla didżeja w specjalnie przeznaczonym do tego kąciuku, tuż obok minibarku. Jedzenie przynosili z domu „kelnerzy”, czyli kilku lokalnych nastolatków i studentów, którzy chcieli sobie dorobić i których zatrudniła matka, by wszystko wyglądało profesjonalnie i elegancko. Anna wcale się jej nie dziwiła. Było to w końcu jedyne wesele, jakie matka mogła wyprawić dla swojej córki. Anna nigdy nie marzyła o wystawnym ślubie i welonie ciągnącym się wzdłuż kościelnej nawy. Związek z Vidarem sformalizowała po swojemu. Oboje byli co do tego zgodni. Urząd stanu cywilnego, prosta sukienka, bukiet z konwalii, cztery podpisy i na tym koniec. A później podróż poślubna na Kubę. Anna nie potrzebowała niczego więcej.

Lidka jednak była w swoim żywiole. Brylowała w towarzystwie, rozdawała uśmiechy, dawała się szarpać za ręce w tańcu z wujkami, kuzynami, znajomymi, sąsiadami i czyimiś synami. Kiwała głową, kiedy ktoś wznosił toast, i posłusznie całowała się ze swoim świeżutkim mężem, gdy słyszała „gorzko!”. Pozowała do zdjęć, pozwalała się wyściskać i machała do kamery niczym królowa brytyjska. Anna czuła się momentami zażenowana zachowaniem siostry, uznała jednak, że jest to jej dzień, na który — najwyraźniej — czekała bardzo długo. Postanowiła zatem trzymać się na uboczu, zerkać na jedzenie w poszukiwaniu ewentualnej trutki, jakoś to wszystko przeczełakać. Ojciec, Dagmar i Vidar przyjęli podobną strategię i ich stolik niechcący przerodził się w coś w stylu łoża szyderców.

— Przynajmniej twoja matka świetnie się bawi. O ile nie patrzy w naszą stronę — mruknął przy obiedzie ojciec, gmerając łyżką w rosole. Anna wiedziała, że nigdy za nim nie przepadał. Dagmar również nie wydawała się zachwycona.

— Przestańcie grymasić jak dzieci w przedszkolu! — syknęła po szwedzku, nachylając się w stronę ojca i macochy. — Szwedzkie jedzenie też nigdy mnie jakoś nie powalało i żyję. Sama

nienawidzę rosołu, ale trzeba się jakoś ogarnąć, bo zaraz będzie, że się nadyjemy. No już. Wiosłujcie!

Ojciec i Dagmar posłusznie skłonili głowy nad talerzami, a Anna omiotła wzrokiem potrawy na stole. Wiedziała, że to bez sensu i jeśli ktoś zdecydował się podrzucić gdzieś arsenik czy inne dziadostwo, ona na pewno nie odkryje tego gołym okiem. A ponadto wokół wiele się działo. Takie wesele było idealnym miejscem na dokonanie zbrodni. Anna poczuła, że mimo panującego w namiocie zaduchu robi jej się zimno.

Kiedy goście zjedli już obiad i ruszyli na parkiet, ona również wstała od stołu. Postanowiła „zbadać teren”. Nie mogła usiedzieć dłużej w miejscu. Była niespokojna i miała wrażenie, że każdy jej mięsień żyje własnym życiem. Czula się również osaczona przez to miejsce, przez znajome i nieznanne twarze, przedmioty, zapachy... Przez Vidara, który nienaturalnie często trzymał ją za rękę, i przez Ingvara, który wydzwaniał do niej co godzinę. Anna obawiała się, że jeśli ktoś rzeczywiście zdecyduje się akurat dzisiaj popełnić zbrodnię, ona z pewnością nie zdoła go powstrzymać.

Stała przy minibarku i niezdecydowana spojrzała na etykiety butelek. Młody chłopak, dzisiaj odgrywający najwyraźniej rolę barmana, uśmiechnął się do niej szeroko, a przy tym dość zuchwale, może nawet beczelnie. Anna z trudem oparła się pokusie, by zamówić jakiegoś wyszukanego drinka i skutecznie podkopać jego pewność siebie. Tyle tylko, że ona sama nigdy nie piła wyszukanego drinków i żadna egzotycznie brzmiąca nazwa nie przychodziła jej do głowy.

— Śmiało — usłyszała głos tuż przy uchu. — Zamów burbona. Dzisiaj mamy. Pomyślałem, że się napijesz.

Głos. Znała go czy nie?

Tak?

Odwróciła się i zobaczyła ślicznie uczesanego Brunona, w śnieżnobiałej koszuli i garniturze, który prawdopodobnie wzbudziłby jej zachwyt, gdyby nie była zepsuta przez znakomity gust Vidara i jego bogatą garderobę. Anna zmusiła się do uśmiechu i delikatnie odsunęła od szwagra.

— Właśnie się waham. Mój mąż nie pije, pomyślałam, że może dotrzymam mu towarzystwa w abstynencji — powiedziała niedbale. W kolorowym płaszącym tłumie pochwyciła spojrzenie Lajona.

— To bez sensu. Przecież nie musisz się umartwiać z jego powodu. — Bruno skinął na chłopaka za barem. — Marcin, nalej Ani burbona.

— Dziękuję, ale naprawdę...

— No już, przestań się wykręcać. — Bruno podsunął Annie szklankę hojnie napełnioną bursztynowym płynem. — Powtórzę jeszcze raz — przecież nie musisz się z jego powodu umartwiać! Na pewno jest ci ciężko, ale nie przesadzaj. Pójdę z nim pogadać, jeszcze nie mieliśmy okazji...

Zanim Anna zdążyła się odezwać, Bruno już oddalił się w kierunku stolika, przy którym siedział Vidar. Dłonie zaczęły jej drżeć tak bardzo, że bała się chwycić szklankę. Co to było? Co się tutaj wydarzyło? Jak on... śmiał? Anna przemogła się, zgarnęła z baru szklankę i duszkiem

wychyliła jej zawartość. Zauważyła, że Bruno przygląda jej się z — kpiącym? — uśmiechem, po czym ze swobodą odzywa się do Vidara. W jakim języku rozmawiali? O czym? Czy wobec jej męża Bruno był równie bezczelny, jak wobec niej?

Język...

W jakim języku rozmawiali? To pytanie nie dawało jej spokoju.

Odstawiła z rozmachem szklankę i ruszyła przez parkiet w ich kierunku. Dookoła niej wirowały twarze, których nie poznawała lub których nigdy wcześniej nie widziała. Tańczący poszturchiwali Annę, deptali jej po palcach, usiłowali wciągnąć w tę śmieszny grę, w rozedrganą przestrzeń, gdzie nikt nie łapał właściwego rytmu. Poczula czyjeś dłonie wokół talii, czyjs oddech na karku, chrapliwy szept, zapach wódki i potu. Zrobiło jej się duszno i niedobrze. Wpatrzona w jeden punkt ruszyła przed siebie jak taran. Widziała poruszające się wciąż wargi Brunona i bladą, nieruchomą twarz Vidara. Wreszcie Bruno dostrzegł jej próbę przedarcia się przez parkiet. Uśmiechnął się do Vidara, wstał od stolika, po czym skierował się w stronę swojej małżonki, popijającej wino w towarzystwie matki.

Anna dotarła do celu. Odgarnęła z czoła wilgotne włosy i zacerpnęła tchu. Vidar nadal był śmiertelnie błądy.

— Co jest? — rzuciła i złapała go za rękę. — Vidar? Co się stało? Wkurzył cię ten facet? Ten Bruno? Mnie też przed chwilą wkurzył. Irytujący typ! Co ci nagadał? — mówiła szybko, na jednym wydechu, usiłując nieco się uspokoić. Ogarnęły ją nagle bardzo złe przecucia.

— Nie... Nic się nie stało. Ale jestem zmęczony. Chyba już wrócę do Pancernika i się położę. Nie masz nic przeciwko temu?

— Ale... Vidar...

— Powiedziałem, że jestem zmęczony. — Vidar oparł dłonie na kołach swojego wózka i wy kierował się w stronę wyjścia. Anna bez słowa patrzyła na jego znikającą w ciemnościach sylwetkę. Ruszyła za mężem.

Dogoniła go szybko. Ziemia przed namiotem była nierówna, a ustawione tu i ówdzie prowizoryczne latarnie, rozwieszony nad ich głowami sznur z kolorowych żarówek i światło padające z okien domu nie wydobywały z mroku każdej pułapki. Wózek Vidara grzązł w łąkach piasku, chwiały się na nierównościach i co rusz natrafiał na pojedyncze kamyczki. Anna zbiegła mu drogę. Zatrzymał się, zacisnął palce na kołach.

— Vidar, do jasnej cholery! Wiesz, że nie powinieneś zostawać sam. Sytuacja...

— W dupie mam sytuację! Pokazałem się na weselu. Każdy zobaczył, że masz męża. I jakiego masz męża. Chyba wystarczy? Nie bój się, zamknę drzwi na klucz. A teraz przepraszam...

Vidar zaczął manewrować wózkiem, ale Anna nachyliła się nad nim i ścisnęła go za ramiona.

— Przestań, proszę cię. Jeśli chcesz wracać, w porządku. Ale ja idę z tobą. Nie mam

zamiaru...

— Ty jeszcze zostań. Chociaż do północy. Albo po prostu wróć z ojcem i Dagmar, jak oni już będą mieli dość.

— Co ci powiedział Bruno? Vidar! Przecież wiem, że coś...

— Uciekacie już?!

Anna wyprostowała się i zmrużyła oczy. W ich kierunku zmierzła biała zjawa, w powłóczystej sukni i welonie z tiulowej mgły. Włosy zjawy opadały na ramiona w mocno skręconych sprężynach, błyszczących od drobinek brokatu. Strój i fryzura tak bardzo przytłaczały Lidkę, że zdawała się nawet mówić ciszej niż zwykle. Zgarnęła w dłonie fałdy sukni i ostrożnie, by nie wybrudzić śnieżnobiałych szpilek, zbliżyła się do nich. Anna miała zamiar uraczyć siostrę zjadliwym komentarzem na temat jej beczelnego małżonka, w ostatniej chwili jednak ugryzła się w język.

Lidka promieniowała ekscytacją i zdawała się unosić kilka metrów nad ziemią. Nie można było zepsuć tego wieczoru. Zwłaszcza Anna nie powinna zniszczyć jej święta. Lajon prawdopodobnie miał trochę racji. Lidka rzeczywiście mogła być odrobinę zazdrosna o Annę. O jej odwagę, sukcesy, samodzielność, urodę, talent i wykształcenie. O miłość ojca. O miłość babci, która tylko z Anną wybrała się do Gdańska na *Titanica*...

Dzisiaj należało pozwolić Lidce błyszczeć. Nawet kosztem zszarganych nerwów. Ostatecznie Anna niebawem wyjedzie, a Lidka zostanie tutaj — wraz z wkurzającą matką i wymuskany bufonem. Westchnęła, po czym przywołała na usta wymuszony uśmiech.

— Vidar jest zmęczony, chyba już wrócimy do Pancernika — zaczęła.

— Nie, ja pojadę, Anna zostanie — przerwał jej Vidar.

Odezwał się po polsku, ze swoim śmiesznym północnym akcentem. Byłby to dość miły gest wobec Lidki, gdyby nie fakt, iż jego głos zabrzmiał szorstko.

— Szkoda. Ale ty, Aniu, jeszcze chwilę zostań, co? Nawet nie miałyśmy okazji porozmawiać. — Lidka sprawiała wrażenie zasmuconej, choć Anna-policjantka, która na moment wygryzła Annę-siostrę, dostrzegła w tym jakąś pozę. Falsz?

— Zostanie, zostanie — dodał Vidar i spojrzął na Annę znacząco.

— Dobrze, zostaną, ale cię odprowadzę...

— Mowy nie ma...

— Zamknij się! Odprowadzę cię...

— An...

— Dobrze, to może skoro odprowadzisz Vidara — przerwała im szybko Lidka, zanim zaczęli się kłócić na dobre — zabierzesz swoją... tę... gosposię?

— Lempi? — spytała Anna w osłupieniu. — Zapraszasz Lempi?

— Pomyślałam, że siedzi tam zupełnie sama. Może by wpadła chociaż na kawałek ciasta i kawę? Nie miałyśmy okazji się poznać. Widziałam ją tylko raz. A nie... to była wasza poprzednia pomoc. Przecież Lempi jest nowa. Przepraszam. Zresztą... W sumie od razu powinnam ją zaprosić. Zachowałam się nie w porządku. Proszę, przyjdźcie razem.

Anna przystała na to bez sprzeciwu. Mruknęła, że zaraz wróci. Coś w tym przydługim monologu Lidki wydało jej się dziwne. Nie pamiętała, by siostra kiedykolwiek wcześniej mówiła aż tyle i w tak szybkim tempie. Pchnęła wózek Vidara i znaleźli się wreszcie na ulicy. Noc była wyjątkowo chłodna, choć na niebie nie wisiała ani jedna chmura. Ostre morskie powietrze wkuwało się w oczy i nos, wywołując łzy. Anna zatęskniła za domem. Chciała znaleźć się z powrotem w Ystad, w swoim świecie, który oswoiła i dobrze знаła. Chciała też zacząć od początku z Vidarem. Wypróbować tę nową relację, która tak nagle się między nimi zawiązała. To była dla nich szansa, której nie mogli zmarnować. Vidar miał rację. To by było zupełnie bez sensu spięrzyc takie dobre życie. Życie dające się jeszcze ocalić. Anna pomyślała o Ingvarze. Kochała go i nie zamierzała oszukiwać samej siebie, że tak nie było. A jednak musiała to skończyć. Odejść z policji, odciąć się. Tylko wtedy będzie potrafiła zapomnieć o nim, o pracy, o dawnej pasji. Musiała dokonać wyboru. Już to właściwie zrobiła. Ubiegłej nocy. Teraz należało tylko rozwiązać sprawę zabójstwa Sofii i Narcyza.

I będzie wolna.

Wolna?

Kiedy dotarli do Pancernika, zatrzymała się przed wejściem i chwyciła Vidara za rękę.

— Co ci nagała Bruno? Mów — zażądała ponownie.

Mogła oszczędzić Lidkę, ale lalusiowi nie zamierzała odpuścić. Planowała urządzić sobie z nim małą pogawędkę, gdzieś z dala od gości. Nikt nie będzie jej mówił, czy powinna się umartwiać, czy nie, i dla kogo.

— Mów! — powtórzyła zdecydowanie.

— Nic konkretnego. Że powinienem ci trochę odpuścić, bo się dla mnie za bardzo poświęcasz. A jesteś piękną kobietą i mogłabyś mieć każdego faceta na jedno skinienie, więc powinienem bardziej na ciebie uważać. Lepiej cię traktować.

Anna poczuła, że ciśnienie jej niebezpiecznie wzrosło. Zaciśnęła dłonie w pięści.

— Co?! Żartujesz sobie?! A co on niby o nas wie? Skąd... — urwała nagle i ucieszyła się w duchu, że jest zbyt ciemno, by Vidar dostrzegł jej rumieńce.

— Skąd wiedział, że źle cię traktuję? — zapytał spokojnie i spojrzał jej w oczy. — Pojęcia nie mam.

— Ja nie to chciałam... No dobrze. To chciałam powiedzieć. Ale nie mam do ciebie żalu. On nie zna sytuacji.

— Nie zna. A przynajmniej tak sądzę. Ale trafił w sedno, prawda? Widocznie nie trzeba być wielkim znawcą ludzkiej natury, żeby to zauważyć. Twój nowy szwagier ma rację. Nie potrafiłem ci darować tego, co się stało, musiałem kogoś obarczyć odpowiedzialnością. Choć to przecież nie była twoja wina. I rzeczywiście — możesz mieć każdego faceta.

— Nie chcę każdego faceta — powiedziała cicho.

Dopiero teraz zorientowała się, że wybiegła z wesela w samej sukience, bez marynarki. Mimo to nie czuła zimna. Co kilka sekund zalewała ją nowa fala chorobliwego gorąca.

— Nie. Każdego pewnie nie. — Vidar spuścił wzrok, a Anna miała wrażenie, że zapada się

w dziwną otchłań, miłą i ogłuszającą, z której nie ma już wyjścia.

— Żadnego — sprostowała w panice.

Do tej pory potrafiła grać przed Vidarem jak oscarowa aktorka, kłamać w żywe oczy, bez najmniejszego zająknięcia. Teraz jednak poczuła do siebie obrzydzenie. To on był jej mężem. Vidar. A nie tamten facet, któremu zawsze mówiła tylko prawdę.

— Żadnego? An... No dobrze. Zostawmy to. Nic mi nie mów. Dajmy sobie szansę, tak jak postanowiliśmy rano. Jeśli nadal chcesz.

„Jeśli nadal chcesz”. „Nic mi nie mów”. Anna przyknęła oczy. Vidar wiedział. Musiał o wszystkim wiedzieć. Ale milczał.

— Nadal chcę — potwierdziła.

Po chwili znaleźli się w sypialni. Anna pomogła Vidarowi przebrać się w pizamę, zdjęła z wieszaka swoją sukienkę i zanosła ją Lempi. Finka protestowała i broniła się przed pójściem na wesele ze wszystkich sił, ale ostatecznie musiała skapitulować. Niecałą godzinę później stanęły przed namiotem we dwie. Żadna z nich nie miała najmniejszej ochoty na to, by wejść do środka.

Rozdział 24

Impreza trwała w najlepsze. Zapachy stały się tylko intensywniejsze, powietrze duszniejsze, a goście z coraz większym trudem łapali pion. Kilku „wujków” przysiadło się do Anny i zaczęło wypytywać ją o życie w Szwecji i pracę w policji. Alkohol dodał im pewności siebie, a nieobecność Vidara skróciła dystans. Dopóki jej mąż był obecny na weselu, każdy wołał omijać ich łukiem, ograniczając się do kilku kurtuazyjnych, zdawkowych uwag i pytań. Teraz jednak hamulce puściły, a Annę zaczęło coraz więcej członków „rodziny”. Lempi nie odstraszała ich tak jak Vidar. Stanowiła raczej ciekawy obiekt do obserwacji, raz czy dwa poproszono ją nawet do tańca, ale pokręciła grzecznie głową i mocno spłoszona skupiła się na konsumpcji weselnego tortu.

Anna, odbębniwszy kilka konwencjonalnych konwersacji z zupełnie nieznanymi kuzynami, wmieszała się w tłum i rozejrzała za Lajonem. Stał w pobliżu minibarku i, nie wypuszczając z rąk aparatu, rozmawiał z ojcem i macochą. Odetchnęła z ulgą. Lajon pochwycił jej wzrok. Pomachał jej, jednocześnie pstrykając kilka fotek. Przewróciła oczami i przepchnęła się w kierunku barku. Czuła się źle z tym, że zostawiła Vidara zupełnie samego, a jednocześnie była na siebie wściekła, że zupełnie straciła czujność. Zapomniała o ostrzeżeniach i o swoich obawach. Teraz myślała tylko o tym, by nagadać Brunonowi, doczekać końca imprezy, a potem wrócić do domu. Lajon poklepał ją po ramieniu.

— Widzę, że postanowiłaś się ubezpieczyć w kwestii osób towarzyszących — powiedział

z uśmiechem i wskazał na Lempi. — Teraz nie tylko będą gadać o szwedzkim Żydzie, ale jeszcze o tym, że jesteś niezdecydowana pod względem seksualnych preferencji. Twoja matka musi sobie załatwić zapas relanium albo wykupić specjalny pakiet u terapeuty.

— Odpięrz się, Lajon — mruknęła. Z nutką tęsknoty spojrzała w stronę butelki Jima Beama. — Matka wie, że to moja, hm... gosposia.

Lajon ryknął śmiechem. Na szczęście zagłuszyła go muzyka, jednak kilka najbliższych stojących osób spojrzało na nich z zainteresowaniem. Ojciec postukał się w czoło i zaciągnął Dagmar na parkiet. Teraz oni ściągnęli na siebie ciekawskie spojrzenia weselników. Anna poczuła satysfakcję, kiedy ojciec z gracją obrócił Dagmar i poprowadził ją w rytmie szalonej salsy. Od dawna już, w ramach hobby i dlatego, że zupełnie nie przemawiały do nich inne sporty, chodzili na kurs tańca i kilka razy brali nawet udział w amatorskich turniejach. Teraz dali popis swoich umiejętności, skutecznie zamykając wszystkim gęby. Anna spojrzała na matkę, która z bardzo marnym skutkiem siła się na obojętność. Lajon robił zdjęcia jak szalony. Butelka Jima Beama wydawała się coraz bardziej kusząca...

I wtedy, przy wejściu do namiotu, zobaczyła go. Pił wódkę w towarzystwie jakichś dwóch typów. Uśmiechnęła się jadownicie. Ruszyła w tamtym kierunku.

— Anka?! Gdzie leziesz? Co z tą gosposią? — usłyszała za sobą głos Lajona, ale nie odwróciła się.

Podeszła do Brunona i dwóch zdrowo już podpitych typów. Jadowity uśmiech tkwił wciąż przyklejony do jej twarzy. Posłusznie przyjęła pięćdziesiątkę wódki i wlała do gardła zawartość. Włożyła nadludzki wysiłek w to, by się nie skrzywić i na gwałt nie szukać popitki. Ponownie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Bruno, możemy chwilę porozmawiać? Szwagrze?

Bruno skinął głową, po czym teatralnym gestem podał Annie ramię. Wyszli z namiotu i po chwili znaleźli się w domu. Anna instynktownie skierowała się do kuchni. Pomyślała, że to będzie dobre miejsce do rozmowy, usytuowane na tyłach budynku, z dala od głównego wejścia. Nie miała jednak racji. Po kuchni kręciła się jakaś pani w fartuszkach i kilku pseudokelnerów. Anna stanęła w progu. Zawahała się. Bruno chwycił ją za łokieć i pociągnął do pokoju, który musiał być jadalnią. Rozsiadł się na krześle i spojrzał na Annę z tym swoim beczelnym wyrazem twarzy.

— Zamieniam się w słuch — powiedział słodko.

— Wiem, co nagadałaś mojemu mężowi! Słuchaj, ja nie mam pojęcia, jakim prawem...

— Nie gorączkuj się tak, Aniu. Ktoś musiał mu to kiedyś powiedzieć. Ja tylko chciałem, żeby ci trochę odpuścił, żebyś mogła się zabawić...

— Mogę się bawić, jeśli chcę! Dziękuję za troskę! Nie wiem, jakim prawem wpięprzasz się w moje sprawy! Nawet się nie znamy, widzę cię drugi raz w życiu, nie wiesz nic o mnie ani o moim mężu! Nie mam pojęcia, co nagadała ci moja matka ani co nagadała ci Lidka, ale gówno...

Bruno roześmiał się głośno, czym wytrącił Annę z równowagi.

— Gównu wiesz! — krzyknęła. — Nie znasz mnie, nie znasz Vidara i nie wiem w sumie, po co nas zaprosiliście!

— Wszystko w porządku?

W jadalni pojawił się nagle Lajon, który obrzucił Annę uważnym spojrzeniem. Zawahała się. Bruno również przestał się bezczelnie uśmiechać.

— Lajon... Tak wszystko dobrze. Chcieliśmy porozmawiać — powiedziała z ociąganiem.

— Krzyczałaś...

— Tak wyszło.

Lajon przez chwilę mierzył Brunona wzrokiem.

— Co tu jest grane? — Nie dał za wygraną i na wszelki wypadek znowu stanął w drzwiach, odgradzając wszystkim drogę ucieczki. Zupełnie jak wczoraj, kiedy Anna przyszła porozmawiać z matką.

— Mój szwagier trochę zdenerwował Vidara — odrzekła. Jej głos niebezpiecznie zadrzął.

— Ona przesadza! Histeryzuje! Święta się znalazła, alkoholu się nie może napić, bo jej mąż akurat nie ma ochoty! Ktoś musiał powiedzieć im kilka słów prawdy! — skwitował wreszcie Bruno i podniósł się z krzesła.

— I musiałeś to być akurat ty? — odbił piłeczkę Lajon.

Odłożył na stół aparat fotograficzny i oparł ręce na biodrach, jak gdyby szykował się do bójki. Anna pomyślała o paralizatorze, który nosiła w torebce, i o taserze, spoczywającym w walizce. Samolotem w życiu by tego nie przetransportowała. Prawie parsknęła śmiechem, choć nadal była krańcowo wściekła.

— A co ty, Leon? Jesteś jej adwokatem?!

W korytarzu rozbrzmiały kroki. Anna zakłęła w duchu. Usłyszała głosy. Nie miała najmniejszej wątpliwości, do kogo należały. Po upływie kilku sekund w drzwiach stanęły matka i Lidka. Matka spojrzała na Annę z pogardą.

— Musicie się awanturować akurat dzisiaj? Nie możesz się powstrzymać? — skierowała to pytanie do Anny, jak gdyby w sposób oczywisty przyjęła, że właśnie ona musi być sprawcą każdego zamieszania. — Co tu w ogóle robicie?!

— Nic — wycedziła Anna. — Oglądam sobie wasze grafiki z motywem jedzenia. Dużo ich.

Lidka zamachała nerwowo rękami.

— To... reprodukcje... Ty z pewnością wolisz oryginały... Przecież widziałam...

— Co to znaczy? Też się będziesz mnie czepiała o to, że akurat powodzi mi się finansowo?! — Anna powoli traciła panowanie nad sobą.

— Nie, ja tylko chciałam... — Lidka zaczęła się jękać.

— No wiesz co?! To już jest szczyt bezczelności! — wydarła się matka. — Przyjeżdżasz do cudzego domu, pleciesz trzy po trzy o jakichś morderstwach, przywozisz tu swoją służącą, jak jakaś królowa, przywozisz tego swojego... tego Żyda! Dobrze mu tak Bóg go pokara!

Annie zakręciło się w głowie tak mocno, że poczuła mdłości. Opanowała ją dziwna, obca agresja. Miała ochotę chwycić matkę za włosy. Szarpnąć nią. Wbić pazury w jej fałszywie

świętą gębę. Wzięła kilka głębokich wdechów. W jadalni zapadła cisza.

— Nigdy więcej nie mów tak o moim mężu — powiedziała nienaturalnie spokojnie. — Nigdy więcej, ty fałszywa, wredna babo! Rozumiesz? On jest sto razy lepszy od ciebie. Lepszy niż ty kiedykolwiek będziesz! Nigdy... więcej... tak.. o nim... nie... mów!

— Wynoś się! — wyszczała matka, blada jak ściana. — Własną matkę wyzywasz od wrednych bab?! Wynoś się! Zabieraj tę swoją fińską sprzątaczkę i nigdy nie wracaj!!!

— O to się nie martw. Nigdy nie wrócę.

Chwiejnym krokiem wyszła z jadalni. Ze złości miała ochotę płakać i krzyczeć. Ktoś złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i mocno objął. Nogi ugięły się pod nią. Po policzkach spływały łzy.

— Chodź — szepnął Lajon. — Chodźmy stąd.

Dała się poprowadzić przez korytarz. Kiedy byli już prawie w drzwiach, usłyszeli hałas, dochodzący z jadalni. A później krzyk Lidki darła się wniebogłosy. Anna zdrtwiała.

— Mamo!!! Mamo!!! Co ci jest?! Mamo?! O Boże!!!

Rozdział 25

Bywają takie sytuacje, kiedy domysły krok po kroku zmieniające się w pewność są najgorszym zjawiskiem, jakiego można doświadczyć. Z początku człowiek dopuszcza je do siebie powoli, gra z nimi w ciuciubabkę, pozornie daje się złapać w pułapkę, po czym umyka, zaszywa się w swojej kryjówce i ze złośliwą satysfakcją obserwuje, jak ślepy przeciwnik łapie w garści cząsteczki próżni. Później jednak domysły zaczynają brać górę, zajmują strategiczne pozycje w zwojach mózgowych i przystępują do straszliwej partyzantki, zatruwając życie, odbierając energię, zmuszając umysł do nadludzkiego wysiłku. Aż wreszcie domysły triumfują. Wtedy, kiedy człowiek nie potrafi się od nich odseparować, kiedy pozwala im bezustannie karmić swoją wyobraźnię, szeptać do ucha toksyczne słowa, podsuwać przed oczy coraz to nowe obrazy. A jeśli domysły zmieniają się w pewność, jeśli w jednej krótkiej chwili dociera do nas wreszcie z całą mocą, że od początku prowadziły właściwą ścieżką — wówczas nie istnieje już żaden rodzaj wybawienia. Pozostajemy sami, ze straszliwą świadomością tego, co dokonane. Z wyrzutami sumienia. Z bólem. I paraliżującym strachem.

Wtedy, w domu na Rybackiej, w przestronnej jadalni o białych ścianach, udekorowanych kiepskimi grafikami, Anna przeżyła dwa takie momenty oświecenia. Kiedy jej matka źle się poczuła, zaczęła wymiotować i tracić przytomność, wiedziała, że nie chodzi o coś zwykłego. O prozaiczne zatrucie, zawał czy inne banalne schorzenie. Domysły zmieniły się w pewność, gdy nadeszły inne objawy. Anna jak przez mgłę słyszała pytania Lidki, a później te same pytania,

kóre powtarzał lekarz w gustownym czerwonym uniformie.

Światła karetki zwały się w jedną kolorową całość z migającymi żarówkami i mdłym blaskiem przesączającym się z wnętrza weselnego namiotu. Podobnie dźwięki... Sygnał zwiastujący rychłą pomoc złączył się z dźwiękami muzyki w dziwnej, surrealistycznej kakofonii. Anna miała ochotę roześmiać się głośno, kiedy lekarz nakładał matce maskę tlenową, a w tle grali Cleo i Donatan. Śpiew i pytania zamieniały się miejscami, walczyły o lepszą pozycję, przepychały się łokciami.

Co robił didżej? Dlaczego nikt nie wyłączył muzyki?

Anna oparła się o ścianę. Było jej duszno i słabo. Poza tym to wszystko nie działo się naprawdę. Nie mogło... Lekarz wciąż pytał. Cleo wciąż śpiewała.

„Kiedy poczuła się pani źle?”...

„A dokładnie?”...

„Dlaczego nikogo pani nie poinformowała?”...

„Proszę pani?! Straciła przytomność! Szybko do karetki!”...

Anna osunęła się na podłogę. Przed jej oczami zamajaczyły dwie twarze. Jedną znała.

— Anka? Żyjesz? — Lajon był już teraz tak samo trupio błydy, jak wszyscy wokół. Dłonie lekko mu drżały, kiedy uniósł jej podbródek.

— Proszę pani? Źle się pani czuje? A może one jadły to samo? Może to zatrucie?!

Wsparała się na ramieniu Lajona i podniosła z podłogi. „Może jadły?” „Może zatrucie?” Anna złapała za rękę jednego z lekarzy. Dopiero, kiedy głośno syknął, zorientowała się, że wbiła mu paznokcie w skórę. Lekarz wyrwał rękę i odskoczył jak oparzony.

— Płukanie żołądka i badania toksykologiczne — wydukała wreszcie. — Słyszysz? Płukanie żołądka! Badania toksykologiczne!

— Jest pani lekarzem?

— Nie. Jestem policjantką.

— Coś pani podejrzuwa?

— Jestem prawie pewna...

— A zatem?

— Arsenik.

Lekarz otworzył szeroko oczy. Oczywiście mogła się mylić. Oczywiście! Matce mogło się równie dobrze przytrafić coś zupełnie innego. Ale się nie przytrafiło... Wewnętrzny głos Anny kazał jej z miejsca odrzucić tę wersję.

— Później panu wyjaśnię, a teraz niech mi ktoś da numer tutejszej policji. Jedźcie już! Szybko! Nie ma czasu!

Anna wybiegła z domu i pognąła do namiotu. Lajon był od niej szybszy. Stał już na środku parkietu. Wykrzykiwał pytania o to, czy ktoś się źle czuje i ma dziwne objawy. Rozmowy, wesole pokrzykiwania i pijackie przyśpiewki umilkły.

Dlaczego dopiero teraz? Nikt nie słyszał karetki? Naprawdę nikt?

Zdumieni i zawiani goście patrzyli na Lajona jak na czubka, ale on specjalnie się tym nie

przejął. Postawił za to na element grozy. Kazał wszystkim przestać jeść i pić. A najlepiej odsunąć się od stołów. Ludzie zbili się w ciasną gromadkę przy zdezorientowanym didżeju.

Cleo i Donatan nie dawali za wygraną i wciąż śpiewali o słowiańskiej braci.

Jak długa jest ta piosenka? Anna stanęła obok Lajona i nie wiedziała, co właściwie powinna powiedzieć. Nie była nawet pewna, czy on dobrze zrobił, siejąc panikę. Rozejrzała się bezradnie dookoła, po czym, kiedy z głośników popłynęło *Final Countdown*, rzuciła didżejowi mordercze spojrzenie. Chłopak wreszcie załapał. Powcisnął jakieś przyciski i w namiocie zapadła cisza. Anna szybko przekonała się, że była znacznie gorsza niż *Final Countdown*... Ludzie zaczęli się niepokoić i zadawać pytania. Patrzyli na nią wrogo, jak gdyby to ona była wszystkiemu winna. Uniosła dłonie w niemal poddańczym geście.

— Moja matka źle się poczuła — przemówiła wreszcie. — Być może coś jej zaszkodziło. Zabrała ją karetka...

— Zaszkoziło?! — krzyknął ktoś, nie wiadomo kto. Po chwili na środek wysunął się jakiś niski, zaczerwieniony na gębę facet. — Przecież ona prawie nie dzisiaj nie jadła! Mówiła, że to z nerwów. Piła tylko herbatę. A potem jakiś drink bezalkoholowy. Nie, nie drink.. Co to było? Poncz! Poncz! Tak! Taki specjalny, dla tych, co nie pili alkoholu. Ale ja nie wiem, czy poza Malwiną ktoś jeszcze to pił... A wy? Ktoś coś widział? Była jeszcze taka osoba, co to wódki nie piła?! — Facet obrócił się twarzą do gości i najwyraźniej dobrze się czuł w roli zaimprovizowanego śledczego. Ludzie spoglądali po sobie, kręcili głowami i wzruszali ramionami. Facet na powrót zwrócił się do Anny i Lajona. — Nawet jeśli, to nie było tutaj takich dużo. Malwina nigdy nie piła alkoholu, więc... no, wiadomo. Ale kto jeszcze?

Ludzie zaczęli szeptać między sobą i wkrótce przestrzeń w namiocie wypełnił osobliwy dźwięk, przypominający brzęczenie zdenerwowanych pszczoł. Lajon odrobinę się zreflektował i zaczął przeproszać za to, że wywołał panikę, po czym zniweczył swój trud, rzucając informację, że za chwilę będzie tu policja. Anna złapała się za głowę.

— Do dupy z ciebie mediator — mruknęła.

— Jaka policja?! — krzyknęła kobieta w szarej garsonce.

— Po co?! — zawołał ktoś inny.

W namiocie robiło się coraz głośniejsze. Lajon próbował tłumaczyć, że policja przyjedzie tylko na wszelki wypadek, ale nikt go już nie słuchał. Ludzie rozprawiali między sobą głośno, z mieszaniną strachu i ekscytacji.

I nagle coś przyszło Annie do głowy. Minibarek, butelka Jima Beama, szklanka z grubego szkła, bursztynowy płyn, Vidar przy stoliku, głos Brunona...

Jej własny głos...

„Mój mąż nie pije, pomyślałam, że może dotrzymam mu towarzystwa...”.

Vidar nie pił alkoholu!!!

Ale co pił? Herbatę, kawę, wodę? A może ten pieprzony poncz?! Skąd ten poncz? Skąd się wziął?

Anna wspięła się na palce i zlustrowała zebranych w namiocie gości. Wśród nich była

również Maria Bójko z mężem. Lempi stała w łacie, z dłońmi splecionymi jak do modlitwy. A zatem...

Oczywiście! Vidar był w Pancerniku zupełnie sam! Anna rzuciła się w stronę krzesła, na którym wisiała jej torebka. W środku nie było telefonu... I wtedy nadszedł drugi moment oświecenia — moment, w którym domysły zmieniły się w pewność. Pewność, że wszystko to zostało z góry zaplanowane, a ona nie zorientowała się na czas. Nie zorientowała się na czas...! Z gardła Anny wyrwał się okrzyk przerażenia. Krzesło z hukiem upadło na podłogę. Zrzuciła niewygodne szpilki i na boso wybiegła z namiotu. Łzy drapały ją w przełyk.

— Anka?! — Lajon dogonił ją, kiedy była już na ulicy.

— Dzwon na policję! — krzyknęła, nie przestając biec. Jej rajstopy podarły się na twardym bruku, a stopy zaczęły krwawić. — Dzwon!

Lajon zatrzymał się i po chwili usłyszała, jak wydiera się do telefonu. Ponownie zrównał się z nią na Wiejskiej. Razem dotarli do Pancernika. W korytarzu Anna poślizgnęła się na kafelkach i wtedy zaczęła płakać naprawdę. Lajon podźwignął ją z podłogi. Wreszcie dobiegli do sypialni. Zanim Anna nacisnęła kławkę, zauważyła jeszcze szkarłatne ślady, które na białej posadzce pozostawiły jej poranione stopy.

Rozdział 26

Lekarz, który uwijał się wokół Vidara, milczał. Nie padły żadne kłopotliwe pytania, nie pojawiły się dociekania, nie nawiązały rozmowy. Było inaczej niż tam, u matki. Matka raz po raz otwierała oczy, dawała jakieś oznaki życia, ostatkiem sił próbowała zachować przytomność.

Vidar natomiast... Vidar wydał się Annie dziwnie twardy i ciężki. A przecież nigdy nie miał nadwagi, jego sylwetka była nienaganna, nawet ostatnio, dzięki ćwiczeniom i rehabilitacji... Teraz jednak, kiedy Anna chciała chwycić go za rękę, unieść go, ciężar Vidara okazał się zbyt duży. Uklękła więc tylko obok. Lekko poklepywała go po twarzy, a później szarpnęła za ramię. Nie reagował. A ona nie miała już siły płakać, drzeć się, nie miała nawet siły się bać. W klatce piersiowej czuła ucisk. Miała wrażenie, że jakaś ogromna siła rozrywa jej serce i zamienia wnętrzności w strzępy, że ona cała za chwilę eksploduje. I wreszcie wszystko się skończy. Bo najgorsza w tym wszystkim była bezradność. I brak kontroli. Brak wpływu na wydarzenia, które rozgrywały się przed jej oczami.

Pamiętała kraciastą piżamę Vidara i porzucony na szafce nocnej tablet. Jego palce zacisnięte na telefonie komórkowym. Odrzuconą do połowy koldrę. Rozładowany laptop i kabel zwinięty pod ścianą. Półprzymknięte drzwi do łazienki. Znowu piżamę. Znowu palce. Znowu telefon komórkowy. Kilka wychodzących połączeń. Wszystkie do niej. Tylko do niej. I ostatni

numer. Inny. Alarmowy. Dzwonił na pogotowie?

— Dzwonił na pogotowie? — usłyszała swój własny głos, choć była pewna, że to nie ona się odezwała.

— Chyba chciał — odrzekł niepewnie lekarz. — Dostaliśmy informację, że ktoś dzwonił, ale się nie odezwał. Sprawdziliśmy numer i... wszystko się zgadza. Ruszyliśmy, zanim pani do nas zadzwoniła. Dlatego tak szybko... Pewnie źle się poczuł. I dlatego... się nie odzywał.

— Dlatego... Szybko...? — Anna zaśmiała się gorzko.

Kiedy położono Vidara na noszach, wstała i ruszyła za ratownikami. Lekarz złapał ją za ramię.

— Pani nie powinna jechać. Jest pani wyziębiona. I proszę spojrzeć na swoje stopy.

— Jadę! — wycedziła i wyrwała ramię z jego uścisku.

Na porwane rajstopy pospiesznie wsunęła swoje sznurowane buty i ruszyła w ślad za lekarzem, który dłużej już z nią nie dyskutował. W karetce wszystko się trzęsło, podskakiwało, wibrowało. A może to było tylko jej rozedrgane wnętrze? Jej szaleńczo bijące serce? Strach, wygrywający symfonię na poszczególnych organach? Znała to uczucie. Już kiedyś miała z nim do czynienia. Wtedy obiecała sobie, że nigdy więcej... I nagle wróciło do niej wspomnienie niedawnych słów Vidara. „Nie dajmy się”. I co? Co teraz?

Anna spojrzała na lekarza, który na prowizorycznym sprzęcie monitorował funkcje życiowe jej męża. Jakież maszyny wydawały z siebie wysokie, piskliwe odgłosy. Zatkła dłońmi uszy i zamknęła oczy. A jednak jeden dźwięk przebił się przez tę nieudolnie skonstruowaną barierę.

Przeciągly, irytujący.

Otworzyła oczy i odsunęła dłonie od uszu. Lekarz zerwał się na równe nogi i przystąpił do jakichś skomplikowanych czynności. Ratownik rzucił mu się na pomoc. Odsunął Annę, zasłonił jej widok całym sobą. Podłoga pod stopami falowała jak na statku. Piskliwe dźwięki medycznej maszyny boleśnie dźgały uszy. Jechali szybciej, ale ruchy lekarza i ratownika stawały się coraz wolniejsze. Anna szarpnęła się w ich stronę, jednak mężczyźni nadal odpychali ją od Vidara.

Wysoki przeciągly dźwięk trwał nadal i stawał się coraz bardziej irytujący. Lekarz i ratownik zastygli w bezruchu. Jeden z nich — który? — spojrzał na zegarek. Powiedział coś. „Czas...”. Czas czego?! Anna wreszcie zrozumiała. Słyszała swój krzyk, choć nie wiedziała, czy wybrzmiał on w środku, w jej głowie, czy też pozwoliła mu się naprawdę uzewnętrznic. Ale słyszała go na pewno. To słowo. „Nie!!!” Poczula ukłucie w ramię.

Rozdział 27

W Ystad lato zawitało na dobre. Przez okna biblioteki widać było wyraźnie soczystą zieleń traw

i czyste niebo, obezwładniająca swoim beznamię, rozciągająca się nad ziemią niczym błękitna wata, gotowa wchłonąć w siebie cały świat. Ciepły wiatr od morza łaskotał w policzki i wywoływał przyjemny skurcz w żołądku. Nawet fale przyplitwu wydawały się radosne, nuciły optymistyczną melodię, nosły obietnicę tego, co dobre i piękne. Wszystko żyło. Anna żyła. I Vidar.

Ściana w szpitalu również była błękitna i bezkresna. Również gotowa, by wchłonąć w siebie cały świat. Ale Anna traktowała ją bardziej jak płótno, na powierzchni którego malowała swoje prywatne obrazy, gdzie wizualizowała kubistyczno-dadaistyczne sceny z wewnętrznego życia. Sceny raz ociekające makabrą, to znów oglądane przez wypaczoną soczewkę, niekiedy sielskie, anielskie, innym razem znów podszyte złem w czystej postaci.

Sen o Ystad należał do tych sielskich, anielskich. Sen o Ystad nie był nawet snem. Był odgrzewanym wspomnieniem, sytuacją już kiedyś przeżytą, do której Anna mogła wrócić w każdej chwili. Wystarczyło tylko zaprzęgnąć powóz pamięci, obudzić uspione emocje, z czasem mniej rozdzierające trzewia, ale za to o wiele bardziej liryczne, stonowane, obrobione intelektualnie i uporządkowane. Wspomnienie o lecie w Ystad, o nowym domu, o wnętrzach pachnących farbą, o mężczyźnie szkicuującym na tarasie...

Anna odwróciła wzrok od ściany, której kolor wydał jej się nagle mdły i przytłaczający. Pomyślała, że teraz lepiej będzie nie śnić o lecie w Ystad. To by ją mogło zabić. A Anna bała się śmierci. Szanowała śmierć. I nienawidziła jej.

Przezroczysty kabel łączył przedramię Anny z plastikową butelką, która od kilku chwil smętnie zwisała z blaszanego stojaka. Była pusta. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Bo i po co? Anna zakłęła pod nosem, usiadła na łóżku i wyszarpnęła wenflon z żyły. Kręciło jej się w głowie, mięśnie niepokojąco drżały i była... głodna. Zwyczajnie głodna. A to przejęło ją wstydem. Głód wydawał się w zaistniałej sytuacji taki prozaiczny i beznadziejny! Nie powinna czuć głodu! To nie wypada! Głód jest fizjologiczny, nie ma w nim nic wzniosłego i transcendentalnego. Głód jest zwierzęcy! A teraz Anna nie mogła być zwierzęciem, ssakiem domagającym się białka i węglowodanów. Teraz musiała grzebać się w najgłębszych głębiach człowieczeństwa, oddawać kontemplacji i wysublimowanym formom cierpienia. Tymczasem była głodna. Zwierzęco głodna.

Zignorowała bandaże na stopach i zmusiła chwiejne kolana do minimalnej pracy. Posuwistym krokiem wypełzała na korytarz. I wtedy jej wzrok padł na ścienny kalendarz. Poczula mdłości. Dwa dni! Minęły dwa dni! Co się przez ten czas wydarzyło? Co się stało z Vidarem?! Nie... Nie było już Vidara. To Anna wiedziała na pewno. A później? Później myślała, że wszystkiego jest w pełni świadoma. Budziła się. Mówiła coś. Ktoś mówił coś do niej. Przychodziły pielęgniarki, jakiś lekarz. Coś się działo. Myślała, że działo się w ramach jej świadomości, ale być może była w błędzie.

Dwa dni!

Co z nim zrobili?

Z Vidarem?

I gdzie można zdobyć coś do jedzenia?

Anna opadła na pobliskie krzesło. Głupia kretyнка! Egoistka! Wredna suka! Wdowa... Głodna wdowa... Boże, Boże... Co robić?! Anna ukryła twarz w dłoniach. Łzy kapaly na podłogę przez jej szeroko rozstawione, chude palce. „Boże?”. A to skąd się wzięło? Bóg... Chleb z masłem... Mogłaby zabić za kromkę! Vidar...

— Anka?! Co ty wyprawiasz?! Porąbało cię?!

Lajon pokonał korytarz kilkoma krokami i znalazł się przy niej. Puścił siatkę, które trzymał w dłoniach, a po podłodze potoczyły się bliżej niezidentyfikowane produkty spożywcze. Anna zdołała dojrzeć serek homogenizowany i rogaliki z makiem. Poczula szarpanie w żołądku. Lajon położył dłonie na jej kolanach.

— Anka?! Kurwa, pięknie! Przez ciebie to niedługo i ja wykituję! Zobaczysz!

Dopiero teraz dostrzegła krew na piżamie. Tryskała obficie z przedramienia, z którego wyrwała wenflon. Coś musiała zrobić niewłaściwie... Może to dlatego było jej tak słabo? Ale te rogaliki... Gdzie Vidar? Co zrobili z Vidarem? Musiała zobaczyć męża... Na pewno jej potrzebował. On twierdził, że jest już w pełni samodzielny, ale Anna wiedziała, że to nieprawda. I Vidar też wiedział. Tyle tylko, że nigdy by się do tego nie przyznał...

Kiedy ponownie otworzyła oczy, przy łóżku siedział Lajon. Postukał się w czoło, po czym podał jej butelkę wody.

— Powaliło cię? Nie miałaś lepszych pomysłów? W szufladzie leży twój telefon. Przyniosłem ci. Trzeba było zadzwonić, zanim zaczęłaś sobie żyły wypruć!

— Mój telefon? — zapytała. — Znaleźliście go?

— Tak policja namierzyła. Leżał w krzakach. I zanim zaczniesz główkować, od razu ci powiem, że nie było na nim odcisków palców. To znaczy podejrzanych odcisków. Ktoś po prostu wrzucił go w krzaki, żeby Vidar nie mógł... się do ciebie dodzwonić. I...

— I nie dodzwonił się — dokończyła i spojrzała w okno. Drzewo za szybą było idealnie złote. — Kurwa no! Mógł przecież zadzwonić do Lempi! Dlaczego nie zadzwonił do cholernej Lempi? Co z nim?

— Anka...

— To znaczy wiem, że nie żyje. Ale co z nim? Jak sekcja zwłok?

— Sekcja zwłok? Oszalałaś? — Lajon spojrzał na nią zdumiony. — Musiałabyś wyrazić zgodę.

— Musiałabyś? Przecież to morderstwo!

— Nie krzycz na mnie! Ja tam nie wiem. Ale jesteś jego jedyną rodziną. A kontakt z tobą był, no... Trudny. Delikatnie mówiąc.

Anna zaczęła w zamyśleniu skubać dolną wargę. W jej przedramieniu ponownie pojawił się wenflon, a plastikowa butelka nie była już pusta.

— A tak, oczywiście... — powiedziała tępo, nie bardzo wiedząc w odniesieniu do czego. — A co mi jest konkretnie? — zainteresowała się nagle.

— Zapalenie płuc.

— Naprawdę? — Anna uśmiechnęła się blado. Zapalenie płuc, nie wiedzieć czemu, bardzo ją rozbawiło. — A skąd ja wzięłam zapalenie płuc?

— Miałaś wyziębiony organizm, biegłaś po dworze bez płaszczu, w samej kiecce z krótkim rękawem, a, no... Karaiby to to nie są... Poza tym ostatni bieg urządziłaś sobie na bosą. I też bez płaszczu. No ale o to się nie czepiam.

— Jasne... I co? Lepiej mi teraz czy gorzej?

— Chyba lepiej, ale masz podobno osłabiony organizm, lekkie niedożywienie, niedobór elektrolitów i witamin, niską hemoglobinę...

— Dobra, starczy. Nie rozumiem, co do mnie mówisz. Lajon...

— Co?

Spojrzała na niego uważnie. Przez chwilę analizowała twarz Lajona, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Skąd on się tu wziął? Dlaczego się do niej przykleił? Czy mogła mu ufać? Komuś musiała... Ale był przecież jeszcze ojciec. Była Dagmar. Lempi... Właśnie! Gdzie oni wszyscy się podziewali? Miała zamiar zapytać o to Lajona, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

— Jeść mi się chce.

Lajon milczał przez chwilę, bezgłośnie poruszając wargami. Wstał z krzesła i chwycił pękątką foliową torbę, z której wy dobył bułkę i topiony serek.

— Ty tak serio? Czy znowu zachowujesz się jak psychiczna? Ja nie bardzo orientuję się w twoim poczuciu humoru...

— Serio. Jeść!

— Okay. Z pomidorem czy bez?

Rozdział 28

Przyszli trzeciego dnia. Podobno przychodzili także wcześniej, ale tego zupełnie nie pamiętała. Lempi śniła jej się kilka razy, w dłoniach zawsze trzymała tasak albo tłuczek do mięsa, a zatem nie mogła to być jawa. Teraz, trzeciego dnia, przyszli naprawdę. Zasiadli wokół niej i milczeli. I wtedy właśnie Anna zrozumiała, dlaczego z taką skwapliwością godziła się na towarzystwo Lajona. Dlaczego przy nim było jej łatwiej jeść i pić, dlaczego z nim potrafiła normalnie rozmawiać.

Lajon nie znał Vidara. Dla niego Vidar był tylko kilkakrotnie widzianą twarzą, sylwetką na wózku, zlepkiem zasłyszanych w pobieżnej rozmowie zdań, subtelnym zapachem i cieniem. Obcym mężem dawno niewidzianej koleżanki. Dla Lajona Vidar nic nie znaczył i było to całkiem normalne. Ta śmierć nie wiązała się dla niego z żadną zmianą, żadnymi wyrzutami sumienia,

poczuciem winy i... delikatną, tłącą się gdzieś na obrzeżach świadomości ulgą. Ulgą, za którą Anna do reszty się znenawidziła. Ulgą, którą w sobie zagłuszyła, ilekroć zauważała jakiegokolwiek jej symptomy.

Ojciec, Dagmar i Lempi znali Vidara dobrze. Oni również walczyli z poczuciem straty. I o wiele lepiej niż Lajon zdawali sobie sprawę z tego, co ta śmierć oznacza dla niej. Przy ojcu, Dagmar i Lempi Anna nie potrafiła jeść. Nie potrafiła pytać o sekcję zwłok, swoje zapalenie płuc czy nawet postępy w śledztwie. Oni zmuszali ją do tego, by skupiła się na Vidarze. Na pustce po nim. A świadomość tej pustki rozrywała ją od środka bez żadnego znieczulenia. Razem z wyrzutami sumienia i przekonaniem, że znowu zawiodła. Że nie dopilnowała Vidara. Że wszystko przez nią.

— Twoja matka czuje się już dobrze — odezwał się wreszcie ojciec, po tym, jak milczeli ponad kwadrans. Wiedział, że Anna nie znieśnie cłiwego pocieszenia. — Mówią, że dawka arsenu była całkiem spora, ale nie śmiertelna. I w porę udzielono jej pomocy. Poza tym miała siłę do walki. Jest zdrowa jak koń.

— Jasne. Nigdy nie piła, nie paliła, w zimie zawsze nosiła ciepłe gacie...

— Aniu...

— Wiem, wiem! Jestem złośliwą suką, córką bez serca!

Przymknęła oczy. To był jej kolejny problem. Świadomość, że wołałaby zamienić matkę i Vidara miejscami, że wołałaby, aby ona zginęła. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny skłeczonej z wyrzutów sumienia.

— Przepraszam, nie powinnam tak mówić — przemogła się.

Otworzyła oczy i prześliznęła się wzrokiem po ich twarzach. Ojciec był błydy, Dagmar miała zaczerwienione powieki, a Lempi... Ona wydawała się dziwnie zacięta. Zaciskała wargi w wąską kreskę i siedziała nieruchomo, sztywna jak schnące na mrozie ubranie.

— Przykro mi — powiedziała cicho Dagmar. — Ale... To nie była twoja wina.

— Była...

— Aniu! — Ojciec stanął nad nią i pokręcił głową. — Przestań. Wiem, że jeszcze przez pewien czas będziesz tak myślała, ale musisz sobie wybaczyć.

— Muszę złapać skurwiela, który to zrobił — odpowiedziała.

— Myślę, że powinnaś teraz skupić się na czym innym. Policja sobie poradzi. A ty musisz odpuścić. Pozwól sobie na żalobę. Nie jest dobrze myśleć o zemście, kiedy...

— Skąd to wiesz?! — krzyknęła nagle, unosząc się na poduszkach. — Może pozwoliś, że sama zadecyduję?! Nie zamieniam się w matkę! Muszę stąd wyjść. Trzeba zrobić Vidarowi sekcję zwłok już dawno powinna zostać przeprowadzona... Muszę zadzwonić... Muszę się zobaczyć z lekarzem! Idźcie już! Idźcie!

Ojciec i Dagmar spojrzeli na nią niepewnie, po chwili jednak odsunęli od łóżka krzesła i z ociąganiem wyszli na korytarz. Lempi nie od razu ruszyła ich śladem. Przymknęła oczy i sztywno kiwnęła głową. Właściwie przy pominało to bardziej ukłon.

— Ma pani rację. Tak trzymać! Jeśli byłąbym w czymkolwiek potrzebna... W czymkolwiek!

Jestem do dyspozycji.

Lempi skierowała się do drzwi. Anna uśmiechnęła się blado. Usiadła na łóżku, narzuciła na ramiona szlafrok, który wziął się tu nie wiadomo skąd, po czym również wyszła na korytarz. Dziś nie czuła się już tak słabo, jak wczoraj, choć do pełni sił wiele jej jeszcze brakowało. Odnalazła dyżurkę lekarską i zapukała. Po półgodzinnych negocjacjach jakiś miły, dość młody pan doktor łaskawie zgodził się na to, by wypisała się ze szpitala, choć kręcił nosem i bredził coś o niebezpiecznych powikłaniach. Obstawał jednak przy tym, by Anna do końca tygodnia przychodziła do szpitala na zastrzyki i kroplówkę, a za dziesięć dni zjawiała się do kontroli. Przystała na zastrzyki, kroplówce powiedziała stanowcze „nie”, co do kontroli zaś... No, to zależało od sytuacji. Od rozwoju wydarzeń tutaj i w Szwecji. Nie potrafiła powiedzieć, co się stanie za dziesięć dni. Nie miała pojęcia, co wydarzy się za dziesięć minut.

— Proszę, oto pani wypis. — Lekarz podał jej papier i skrzywił się z niesmakiem. — Moim zdaniem to błąd, ale widzę, że pani jest zdeterminowana. Przykro mi z powodu... męża.

— Tak Mnie też.

Wyszła z gabinetu i po kilku minutach była już spakowana. Narzuciła torbę na ramię i skierowała się do windy, w której niemal zderzyła się z... Brunonem. Stała jak wryta. On również zastygł w bezruchu. Anna spojrzała na niego wyniośle, po czym zrobiła krok do przodu i wcisnęła parter.

— Odwiedzasz kogoś? — mruknęła, stając tyłem do Brunona.

— Właściwie to przyjechałem do ciebie. Chciałem cię przeprosić. Głupio wyszło. Nie spodziewałem się...

— Że ktoś otruje mojego męża? Bo gdybyś się spodziewał, to byłbyś miłszy? Bardzo szlachetne.

Winda dobrnęła do parteru i Anna szybko ruszyła przed siebie. Bruno złapał ją za ramię.

— Przepraszam jeszcze raz. Nie wiem, co mnie opętało. Chyba zrobiło mi się ciebie żal. Chciałem dobrze. Ale masz rację, nie powinienem był się wpięprzać. Nie znałem sytuacji. A teraz musiałem tu przyjść i przeprosić, choć to nic nie znieni. Tylko że... Nie mogę poradzić sobie z tym, że być może gdybym z nim nie rozmawiał, nie nagadał mu głupot, to... Nie chciałby wracać do Pancernika, zostałyby na weselu i... Zorientowałabyś się wcześniej, że coś jest nie tak. Być może udałoby się go uratować, jak Malwinę.

Anna wreszcie na niego spojrzała. Był blady, a wokół jego oczu widniały fioletowe sińce. Skaza na idealnym wizerunku. Rysa na szkle. Albo zrobił sobie przekonujący makijaż sceniczny, albo... kiepsko sypiał. Wyrzuty sumienia! Tak o nich mogła powiedzieć wiele. I faktycznie. Bruno miał podstawy do tego, by czuć się winnym. O ile mówił prawdę. O ile był po prostu głupi i bezczelny, a nie okrutny i świrnięty. Na głupotę, jak wiadomo, lekarstwa brak. Na okrucieństwo również. I na świrów. Ogólnie nic a nic nie wygląda dobrze w kontekście ewentualnej sanacji...

Bruno.

Wierzyć mu?

Nie wierzyć?

I skąd to nagle uczucie déjà vu? Ten głos, a w tle szpitalne tło...

Przecież... To nie ma najmniejszego sensu!

— Okay, nie gorączkuj się. Chciałabym pójść ci na rękę i powiedzieć, że to nie twoja wina, ale... No cóż, w pewnym sensie trochę twoja. Wkurzyłeś go. I mnie. Jak Lidka?

Bruno wzruszył ramionami. Wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i kiedy znaleźli się przed szpitalem, zapalił jednego.

— Lidka jest załamana. Nie wiem, czym najbardziej. Próbą zamordowania matki, śmiercią szwagra czy tym, że wesele się spieprzyło...

Anna parsknęła śmiechem. Zupełnie spontanicznie i wbrew swej woli. Idiotka! Nie powinna się śmiać. A jednak w zdaniu wypowiedzianym przez Brunona było tyle szczerości i tyle beznadziejnej rezygnacji, że reakcja uaktywniła się sama. Bruno również się uśmiechnął i wysunął w jej stronę paczkę. Pokręciła głową, choć rzeczywiście miała ochotę się zaciągnąć. Nie mogła jednak Zapalenie płuc przecież...

— Policja was już przetrzepuje? — zapytała i otuliła się szczelniej kurtką. Powietrze było ostre i chłodne, choć słońce świeciło intensywnie.

— Przetrzepuje — potwierdził i zaciągnął się mocno. Papieros małał z sekundy na sekundę. — Na razie wsiedli na tego całego barmana. Tego, co nalewał ci burbona. To on robił drinki i podawał alkohol. Musiał też coś wiedzieć o tym ponczu, ale twierdzi, że poncz po prostu był. Był, rozumiesz? A on tylko rozlewał. Powiedział nawet, że to ja pokazałem mu wagę z ponczem, ale... cholera, no... zupełnie tego nie pamiętam! Być może... A kto go zrobił? Czy to dziwne, że nie wiem? Czy to dziwne, że poncz bezalkoholowy po prostu się tam pojawił i nie zwrócił niczyjej uwagi? Nic takiego nie kojarzę. Nie byłem odpowiedzialny za jedzenie i picie. Lidka zajmowała się wszystkim i ty mi duperelami. Chłopak.. Barman twierdzi, że ja powiedziałem...

— Co powiedziałeś? — podjęła i szybko zgaśniła się w myślach za to nagle zainteresowanie. Teraz powinna przecież rozpaczać. Tylko rozpaczać. Nic więcej.

— Powiedziałem: „Moja teściowa nie pije alkoholu. I chyba tamten pan. Zapytaj, może im posmakuje”.

— No, skoro tak powiedziałeś, to jesteś głównym podejrzanym — skwitowała i przyjrzała mu się uważnie. Dłoń, w której trzymał papierosa, drżała lekko.

— Właśnie. Kiepsko to wygląda, co nie? Myślisz, że powinienem szukać jakiegoś adwokata? Serio, ja... Nie pamiętam, żeby to mówił.

— Poczekaj z adwokatem. Chociaż ogólnie może się przydać. Ale najpierw niech tego chłopaka zobaczą. Może kłamie, skoro ty masz nagły zanik pamięci. Na pewno trudno będzie ustalić, kto majstrował przy ponczu. Zamieszanie, jak to na weselu, kupa ludzi... Ale ten, kto to zrobił, ryzykował. Ktoś jeszcze mógł zginąć. Albo ucierpieć. Jakieś dziecko, na przykład... Chyba że dopilnowano, by poncz trafił do konkretnych osób. — Anna umilkła i zamysliła się.

— Właśnie... Niezły początek małżeństwa, co? I miałaś rację. Faktycznie wydarzyło się morderstwo. Skąd wiedziałeś? — Bruno odpalił drugiego papierosa. Dłoń nie przestała mu drżeć.

— Można powiedzieć, że ktoś mnie ostrzegł... Dobra, słuchaj, muszę lecieć. Dzięki, że...

przyszedłeś.

Bruno nie odezwał się, skinął jej tylko głową na pożegnanie i został pod szpitalem sam ze swoim papierosem. Anna ruszyła przed siebie. Kiedy minęła szpitalne zabudowania, drogę zajechał jej beżowy chevrolet.

— A ty co? Uciekałeś? Twój kolejny zajebisty pomysł? — Lajon wyskoczył z auta i rozłożył ręce w geście bezradności. Wyglądał trochę jak zmaltretowany orzeł.

— Nie uciekałam. Pozwolili mi iść w cholerę. Mam na to papier.

— Wsiadaj.

— Przejdę się może. Albo złapię taksówkę.

— Taksówkę?! Tutaj? Chyba meleksa... I co ci się nagle poprzestawiało? Wsiadaj, zawiozę cię. Nie odstawię cię z powrotem na oddział, nie martw się. Chociaż dam sobie łeb uciąć, że coś zrobiłaś temu lekarzowi, skoro cię wypuścił. Nie wiem, przystawiłaś mu gnata do żeber albo kopnęłaś w czuły punkt...

Anna pokazała Lajonowi środkowy palec i wsiadła do auta.

— Pomyślałem jeszcze o czymś...

— Mhm?

— Mam nagrania i zdjęcia z wesela... Może chciałabyś obejrzeć? Może coś na nich niechcący zarejestrowałem?

Anna zerknęła na Lajona spod półprzykniętych powiek. To była genialna myśl, ale głupio było tak od razu trysnąć entuzjazmem. Miała przecież coś do załatwienia.

— Jutro. Jutro obejrzymy, okay? Dzisiaj muszę się zająć... Vidarem.

Miała ochotę się rozplakać, ale w kanałach łzowych najwyraźniej chwilowo zabrakło surowca. Jej wnętrze wypełnił dziwny chłód. Chłód, który zamrażał emocje, doświadczenia i wspomnienia. Chłód, który nie był dobry. Anna wiedziała to na pewno. A jednak nie potrafiła z nim walczyć. Jeszcze nie.

Rozdział 29

W Pancerniku panowała cisza. Wszyscy mijali się w milczeniu, nikt nie włączał radia ani telewizora. Raz na jakiś czas dzwonił telefon. I przyszła policja. Dwóch mundurowych, którzy zadawali rutynowe pytania i traktowali Annę z dystansem, ledwie powstrzymując się przed niewybrednymi żartami na temat jej pracy w szwedzkiej policji. Zagaili nawet o rozmowę, którą przeprowadziła w Heelu z matką, Lidką i Brunonem. Chcieli wiedzieć, skąd przyszedł jej do głowy pomysł, że może się tam wydarzyć morderstwo i jakie otrzymała ostrzeżenia. Skąd? Od kogo? Anna spoglądała na nich pobłaźliwie. Skąd? Od kogo? Dobre pytania... Nie miała

wątpliwości, że policjanci zostali już poinformowani o tej rozmowie przez Brunona i Lidkę, może też przez matkę i może... przez Lajona. Dlaczego nie? Jego również z pewnością ktoś już przesłuchiwał. Nie miała jednak pojęcia, czy sprawę powiązano z wydarzeniami w Szwecji. Ojciec na pewno poinformował o wszystkim Ingvara, a zatem...

— Może pani pokrótce scharakteryzować swoje relacje z małżonkiem? — zapytał jeden z mundurowych.

Relacje z małżonkiem... Od czego tu zacząć? Czy ci policjanci naprawdę byli na to gotowi? A może stała się główną podejrzaną? Wszyscy w Helu wiedzieli, że nie dogadywała się z matką. Jej mąż był sparaliżowany... Pozbyła się ich za jednym zamachem i już! Po sprawie! A Ystad? Malmö? Proszę bardzo! Narcyz zlecił spowodowanie wypadku, w którym ucierpiał Vidar, więc Anna ukatrupiła go z zemsty. Jako policjantka z pewnością bez problemu podrzuciła mu truciznę do więzienia. A Sofia? Och, Amalia opowie policji o wielkiej sympatii Vidara do jej siostry, na laptopie znajdują to nagranie z tańcem siedmiu welonów i jakaś profilerka od razu skłeci historię o tym, że Anna oszalała z zazdrości. A później z zemsty. I wycięła wszystkich w pień. Po co się oszczędzać?!

Zaczęła „pokrótce” opisywać swoje relacje z małżonkiem, po czym przeszła do streszczenia wydarzeń, które rozegrały się w noc zabójstwa. I wtedy coś przyszło jej do głowy. Przekłęła w myślach samą siebie, swoje lenistwo, głupotę i zaćmienie umysłowe. Policjanci wreszcie zakończyli wywiad i stanęli przed dylematem natury egzystencjalnej — jak przesłuchać Lempi? Po jakimu? Anna zlitowała się nad nimi i zaferowała swoje usługi w charakterze tłumacza. Pominęła kilka szwedzko-fińskich przekleństw, poklepała Lempi po ramieniu i było po sprawie. Mundurowi wreszcie sobie poszli, a Anna w ekspresowym tempie wykonała kilka telefonów, pojechała podpisać zgodę na sekcję zwłok Vidara, choć nie miała pojęcia, po jaką cholere w ogóle ta zgoda, wróciła do Pancernika, zrobiła sobie mocną kawę i w końcu zaczęła myśleć. A pierwszą osobą, którą wzięła pod lupę, była... Amalia Stiatesi.

Matka przecież po incydencie z ponczem czuła się źle przez kilka godzin. Vidar usiłował wezwać pomoc, zanim stracił przytomność. Prawdopodobnie też źle się czuł już wtedy, kiedy wychodzili z wesela, ale o niczym jej nie powiedział. Zbagatelizował objawy. Wszystko to jednak trochę trwało. Arsenik nie zabija w kilka sekund! A zatem... Dlaczego Sofia Stiatesi nie wzywała pomocy? I jaką rolę odegrała w tym jej siostra, która zajmowała sąsiedni pokój?

Wybiła trzecia w nocy, kiedy Anna zamknęła laptop. Czuła się bezradna i sfrustrowana. Internet nie powiedział jej tak wiele o siostrach Stiatesi, na co w głębi serca liczyła. W sieci znalazła wprawdzie mnóstwo informacji o Sofii — o szkołach, które ukończyła, o nagrodach i wyróżnieniach, o koncertach, płytach, o zarobkach, o ścieżkach dźwiękowych do filmów fabularnych i dokumentalnych, o rolach, które zagrała, a jednak.. Sofia nie była królową tabloidów. Anna trafiła na kilka nic nieznaczących plotek dotyczących jakichś imprez, jednego pokazu mody i koncertu U2, na którym śpiewaczka pojawiła się w towarzystwie znanego — ponoć — aktora, ale na tym koniec. Żadnej pikanterii, kompromitujących zdjęć, toksycznych kochanków, odwyków czy rozbieranych sesji. To nie była Kate Moss albo Amy Winehouse. Sofię

postrzegano jako gwiazdę elitarną, kogoś, kto uswietnia swoją obecnością szlachetne imprezy, wartościowe przedsięwzięcia i prestiżowe wydarzenia kulturalne. A że miała forszę, domy i fanaberie? Jej prawo. Zapracowała na to.

Anna zeszała do kuchni i włączyła czajnik. Zachowywała się bardzo cicho, mimo iż sypialnie ojca i Dagmar, a także Lempi znajdowały się na piętrze, poza nimi zaś w Pancerniku nie było innych gości. Otworzyła lodówkę, a później przejrzała zawartość szafek. Widok puszek z kawą przyprawił ją o mdłości, na herbatę nie miała ochoty. Po chwili wahania sięgnęła po budyń. „Gotowe w trzy minuty”. „Wystarczy zalać wrzątkiem”. Hasła na opakowaniu brzmiały bardzo zachęcająco, ale szybko się okazało, że nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Wystarczy zalać, a i tak wychodzą grudki! To jej wina! Anny! To dlatego Vidar prawie zabił ją śmiechem, kiedy pewnego dnia oświadczyła, że właściwie nie potrzebują gosposi. Znał Annę na wylot. Wiedział, że nie potrafiła przygotować nawet dania z proszku i była świetnie przystosowana do tego, by wyżyć na kanapkach, musli, herbatnikach, czekoladzie, jogurtach i ewentualnie kaszy jaglanej, którą jadła z dodatkiem soli i oleju orzechowego. A teraz... Może znowu to wszystko do niej wróci? Nie ma już przecież Vidara, który przypilnuje, by codziennie zjadła normalny obiad.

Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła rozgniatać łyżką beżowe grudki. Taki budyń sobie przyrządziła i taki zamierzała zjeść. Nawet jeśli jego smak pozostawał bliżej nieokreślony. Pozycjonował się gdzieś między toffi i karmelem, ale co przeważało — tego Anna już nie potrafiła stwierdzić. Przelykała gorący budyń, a jednocześnie odtwarzała w pamięci informacje o Amalii Stiatesi. Rocznik osiemdziesiąty, z wykształcenia tłumacz języka angielskiego, menedżerka swojej siostry. I tyle. Amalia nie miała nawet profilu na Facebooku, choć Anna podejrzewała, że to właśnie ona prowadziła fanpejdż Sofii. Była cieniem. Zawsze za kulisami, zawsze z boku... Rola ży cia?

To na pewno ona maczała palce w śmierci Sofii! Na pewno! Nawet jeśli nie otruła jej osobiście, musiała jakoś odciąć siostrze możliwość wezwania pomocy. Była najbliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Musiała coś słyszeć. Chyba że... Wyszła z hotelu? Monitoring by zarejestrował... Albo ktoś ją uspił i nic nie słyszała. Tak czy inaczej Sofia powinna mieć jeszcze na tyle siły, by zadzwonić po pomoc. Ktoś musiał jej w tym przeszkodzić. Tak jak przeszkodził Vidarowi!

Intuicja mówiła Annie, że Amalia była winna, a jednocześnie ta sama intuicja milczała w kwestii motywu. Zazdrość? O tym myślała już wcześniej, ale jak zazdrość o Sofię łączyła się z Narcyzem i zabójstwem Vidara? Jak to wszystko w ogóle mogło być połączone?

Łyżka stuknęła o dno kubka i Anna poczuła ulgę, że budyń wreszcie się skończył. Na zębach pozostały jej drobinki proszku. Ohyda... Podeszła do kranu i sięgnęła po płyn do mycia naczyń. Szum wody wydawał się niemal kojący. Sofia, Narcyz, Vidar i... matka. Skąd tu matka? Przecież to bez sensu! Anna odstawiała czysty kubek na suszarkę i wytarła ręce. Powinna zadzwonić do Ingvara. Była do tyłu ze śledztwem. Minęły cztery dni, odkąd się kontaktowali. Jeden dzień wesela i trzy dni w szpitalu. W trakcie imprezy Ingvar wydzwaniał do niej wprawdzie maniakalnie, ale później nie dostała od niego ani jednej wiadomości. A przecież musiał wiedzieć, co się stało. I nie

dzwonił. Ona również nie dzwoniła. Bała się. Miała dziwne opory. A jednocześnie chciała go usłyszeć. I to było w tym wszystkim najbardziej chore i beznadziejne. Anna wiedziała jednak, że tylko Ingvar zrozumie jej determinację, by teraz zająć się pracą, by gonić za mordercą, zamiast... Zamiast płakać.

Płakać... Chciała płakać. I płakała. Kiedy myślała o Vidarze w karetce, o Vidarze na weselu, o martwym Vidarze w kostnicy, gdzie znalazła się dzisiajszego popołudnia... Mogła odmówić, mogła go nie oglądać. A jednak poszła za patologiem i nie stawiała oporu. Coś w niej wtedy pękło. To była ostateczność, kwintesencja śmierci, brak odwrotu, kropka, wykrzyknik i znak zapytania — wszystko, co zamyka zdanie i każe przejść do kolejnej frazy. A co było kolejną frazą? Powrót do Ystad? Pogrzeb? Jaki? Bezwyznaniowy czy żydowski? Vidar nie miał rodziny, ale posiadał grono żydowskich znajomych. Czy Anna mogła zdecydować za niego? Czy mogła odrzec go z duchowości na tej ostatniej drodze? A jeśli nie, to co innego miała do wyboru? Kadisz? Nie znała się na tym.

A później? Policja czy meble? Kontynuacja dzieła Vidara czy swojego własnego? Anna złapała się za głowę. Nie była w stanie dłużej znieść tego natłoku myśli. Pobiegła do swojej sypialni, włożyła buty i chwyciła kurtkę. Kiedy wychodziła z Pancernika, zegar wskazywał trzecią czterdzieści pięć.

Rozdział 30

Lajon mieszkał na Wiejskiej, w obszernym starym domu z czerwonej cegły, z prostym dachem i dużymi oknami, wychodzącymi na port. Jego rodzina przeprowadziła się tu, kiedy miał czternaście lat. Anna zazdrościła mu tego miejsca i tego widoku. W lecie to właśnie w tym punkcie deptaku na Wiejskiej kondensowało się turystyczno-towarzystkie życie. Tutaj było najpiękniej, tutaj najchętniej odwiedzano restauracje, tutaj się spacerowało i popijało piwo czy wino, nierzadko w towarzystwie odzianych w „kostiumy z epoki” performerów D-Day.

Dom Lajona pozostawał jednak domem prywatnym. Jego rodzice nigdy nie zdecydowali się wynajmować pokoi letnikom. Tutaj zawsze było spokojnie i cicho, pachniało chlebem i zbożową kawą, a gdzieś w tle pobrzmiwały nienachalne dźwięki pianina, na którym grywała pani Wolińska. Przed laty Anna często bywała w tym domu — to właśnie w nim odbywały się próby zespołu From Hel. To tutaj przygotowywano repertuar i obmyślano występy. Matka Lajona — wykształcony muzyk — chętnie podsuwała im różne ciekawe pomysły. A oni jej słuchali. Nigdy nie uważali, żeby była „drętwa”, jak większość innych matek Anna cholernie jej Lajonowi zazdrościła. Była również pewna, że ta przyjemna atmosfera, panująca w domu, wynikała z tego, że Wolińscy wprowadzili się tu po wielu latach mieszkania w peerelowskim bloku

z wielkiej płyty. Bloku, którego cała rodzina tak bardzo nie znosiła. Zwłaszcza Lajon. Szansa kupna domu na Wiejskiej, po bardzo okazyjnej cenie, spadła im z nieba, zaciągnęli więc kosmiczny kredyt i wynieśli się z wielkiej płyty w niecałe dwa tygodnie. Anna cieszyła się razem z Lajonem. Pamiętała, że od zawsze o tym marzył. Jej szczęście zauroczenie było czyste i bezinteresowne, jak przystało na wycofaną nastolatkę, jeszcze nieprzeżartą cynizmem.

Na dworze wciąż panował mrok kiedy stanęła przed ceglany m domem na Wiejskiej. Cisza oblepiała ją z każdej strony, a szum morza potęgował nastrój grozy. Podeszła do drzwi i zapukała. Sekundę później przyszło jej do głowy, że powinna najpierw do Lajona zadzwonić. Bo, na przykład, normalni ludzie o czwartej nad ranem najprawdopodobniej śpią... Po kilku minutach pomysł ten przerodził się w strasliwą pewność. Dokładnie w chwili, kiedy drzwi się otworzyły i na progu pojawiła się... zaspana pani Wolińska. I wtedy Anna doznała olśnienia. Oczywiście! Przecież cholera, to nie jest dom Lajona! To dom jego rodziców! Sam tłumaczył Annie, jak łagodnej wariatce, że zawsze zatrzymuje się u nich, kiedy jest w Helu!!! Kretynka, kretynka, kretynka!!!

Kretynka...!

Na fali samokrytyki i oskarżania się o wszystkie plagi tego świata, a także pod wpływem widoku zaspanej twarzy, Anna doznała kolejnego olśnienia. Otóż nie powinna łączyć po nocy, w takim zimnie. W samym swetrze. To zdecydowanie głupi pomysł. Ciągle miała przecież to swoje zapalenie płuc, brała mocne antybiotyki i tłumaczyli jej, że organizm ledwo dycha... Tłumaczyli! Lekarze, pielęgniarki, nawet Lajon... Coś o elektrolitach i hemoglobinie...

Anna zapowietrzyła się i zachwiała. Chciała powiedzieć „dzień dobry”, ale panujący wokół mrok skutecznie zatkał jej gębę. I zasugerował ponownie, że to nie jest cholera, „dzień”. Pani Wolińska przez kilka sekund trzepotała rzęsami, jak gdyby chciała uzyskać w ten sposób coś w stylu efektu motyla i przegonić Annę w diabły, po chwili jednak twarz kobiety pojaśniała. To była prawdziwa noc olśnień!

— Ania?! Wchodź szybko. Jesteś przemarznięta. Ledwo cię poznałam! Nie masz kurtki? Coś się stało? Zaraz zrobię herbatę. Mój mąż wyjechał do Gdańska na trzy dni, jesteśmy sami z Leonem. Leon!!! Złaź!!!

Pani Wolińska usadziła Annę w salonie, po czym spojrzała na nią krytycznie, rozmyśliła się, uniosła ją za łokcie i zaprowadziła do kuchni.

— Tutaj jest cieplej. No już, zaraz będzie herbata. Usiądź z tej strony, mniej ciągnie od okna.

Ściany w kuchni pomalowane były na kolor słonecznikowy, jak przed laty. Anna posłusznie usiadła tam, gdzie nie ciągnęło od okna, i schowała głowę w ramiona.

— Przepraszam — zaczęła cicho, ale tak naprawdę nie wiedziała, jak ma się przed tą kobietą wytłumaczyć.

— Nonsens! Nie przepaszaj! Bardzo mi przykro z powodu twojego męża. — Wolińska spojrzała na Annę współczująco. — Naprawdę, bardzo. Leon wszystko mi opowiedział. To straszne. Mam nadzieję, że go złapiecie. Tego skurw... drania.

Anna uniosła głowę i uśmiechnęła się smutno. Jednak nie wszyscy uważali, że postępuje źle, nie skupiając się tylko na płaczu. Miała wsparcie w Lempi, teraz w pani Wolińskiej, Ingvar na pewno też...

— Anka?! Co jest, do ciężkiej cholery?! Coś się stało?! Na pewno tak! Co się stało?! Gadaj!

Lajon wpadł do kuchni na bosaka, w powyciąganym T-shircie i gaciach w smerfy, które w tej chwili stanowiły szczyt groteski. Podobno w życiu zdarza się tak, że w kryzysowych momentach człowiek zapamiętuje głupawe szczegóły. Anna wiedziała, że dla niej takim głupawym szczegółem będą smerfy na gaciach Lajona. Zaczęła chichotać jak nienormalna. A później się rozbeczała.

Przesłuchanie było dziwne. Odbywało się na podłodze, a dokładnie — na różowym dywanie ze Statuą Wolności i ogromnym napisem NEW YORK. Dwa stoliki z Ikea — dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć za sztukę — wyznaczały krańce dywanu niczym Tolkienowskie Dwie Wieże. Na jednym z nich stał otwarty laptop, na drugim zaś kubki z herbatą i talerz z kanapkami. Gdzieś w tle wały się telefony komórkowe, tablety i aparaty fotograficzne. Pokój Lajona przypominał teraz jakąś tajną dziuplę CIA. Pytania padały bez przerwy. Gdzie byłeś tego i tego dnia, tygodnia, miesiąca, czy masz na to dowód, bilety lotnicze, dokumenty, zdjęcia, czy znałeś tego i tego, skąd wiesz to i to, dlaczego szedłeś za mną przez plażę, dlaczego nie lubisz Brunona, dlaczego uważasz, że Lidka jest zawistna, jak dokładnie zaczęła się przyjaźń między wami, czy byłeś w Szwecji, kiedy, po co, czy masz na to dowód, co ci mówi nazwisko Stiatesi, co ci mówi pseudonim Narcyz, ile słyszałeś, co wiesz, dlaczego, czy masz na to dowód...

Tego poranka Anna była policjantką. Po swoim popisowym ryku w kuchni pani Wolińskiej postanowiła, że czas wziąć się w garść. Poza tym musiała sprawdzić Lajona. Chciała mu ufać, bo bardzo potrzebowała teraz jakiegoś przyjaciela. Najlepiej takiego, który nie byłby policjantem i nie znałby szwedzkiego etapu jej życia. I jeszcze nie usiłowałby bawić się w „wujka dobra rada”, który z różnych powodów sugerował, co powinna zrobić. A ojciec, na przykład, tak się właśnie zachowywał. Anna nie miała do niego pretensji. Nie winiła ojca za to, że próbował odwieść ją od śledztwa. Martwił się. Była jego córką. A skoro zginął Vidar, mogła też zginąć ona. Ale dopóki sprzeciwiał się udziałowi Anny w dochodzeniu, dopóty nie była w stanie znaleźć u niego zrozumienia. Lempi? Lempi sama mocno przeżywała śmierć Vidara i trudno było się przy niej wyciszyć, odgradzić od żalu i świadomości straty. Ingvar nie dzwonił. A Lajon?

Lajon nieźle się pocili. Odpowiadał niemal bez zająknięcia, prezentował wszystko, co tylko mogło posłużyć za dowód i był bardzo przekonujący. Anna wiedziała oczywiście, że absolutnie nie powinna nikogo przesłuchiwać w pojedynkę, jednak zmusiła ją do tego sytuacja. I chciała go sprawdzić. To, że nie zabił Narcyza i Sofii, wydawało się jasne jak słońce. Co do Vidara i matki nie mogła mieć stuprocentowej pewności, choć zrobiony przez niego film i zdjęcia wskazywały raczej na to, że przez cały czas grzecznie tkwił przy sprzęcie. Mimo wszystko nie takie rzeczy Anna widziała...

Pojęciem „czasu” można dowolnie manipulować, jeśli się jest wystarczająco sprytnym. Tylko po cholere Lajon miałby mordować jej męża i matkę? To byłby jakiś absurd... Chciała mu wierzyć i po trzygodzinnej rozmowie — zupełnie nieprofesjonalnie — skreśliła go ze swojej prywatnej listy podejrzanych. Czy słusznie? Tego nie mogła być do końca pewna.

— Dobra, to co? Zdałem egzamin? Zdobyłem minimalną liczbę punktów? Czy wywiad wciąż trwa? — zapytał Lajon, kiedy za oknami świt z wolna rozrzedzał mrok

— Nie wiem... — przyznała Anna i zadrżała. — Pokaż mi te zdjęcia z wesela. I film. Ale najpierw... Zmarzłam. Możesz mi pożyczyć jakąś bluzę? Tylko nie w smerfy, błagam...

Na twarzy Lajona wykwił rumieniec. Bąknął pod nosem, żeby odczepiła się od jego smerfów, bo to pamiątka, i zaczął grzebać w szafie.

— Jakieś preferencje kolorystyczne? Z kapturem pani sobie życzy? A może sweterek?

— Pamiątka po czym? — przerwała mu Anna.

Wstała z podłogi, podeszła do szafy i chwyciła gruby czarny sweter. Wciągnęła go przez głowę i zaczęła podwijać rękawy.

— Po kim... — Lajon odwrócił się do niej plecami i stanął przy oknie.

— Aaaa... To przepraszam. Bez sensu drążyłam...

— Miała na imię Jenny, była Walijką, robiła zdjęcia. Jak ja.

— Była... — Anna żalowała, że włożyła ten pieprzony sweter. Zrobiło jej się teraz potwornie gorąco.

— Nie żyje. Umarła na raka kości. Dwa lata temu. Planowaliśmy jechać na Wyspę Wielkanocną, popracować nad kolejnym katalogiem. Może książką. Mieliliśmy sponsora.

— Ale przecież... Pojechałeś tam. Wydałeś książkę. Pamiętam ją, nie czytałam, ale widziałam wpis na blogu... I kilka zdjęć. Są niesamowite.

— Pojechałem.

Lajon nic już nie powiedział. Odsunął się od okna i zaczął majstrować przy laptopie. Po chwili na ekranie pojawiły się zdjęcia ze ślubu i wesela Lidki. Anna usiłowała znaleźć w sobie tyle siły, by móc się wystarczająco skupić. Zauważyć detale, elementy niepasujące, podejrzane, niewłaściwe... Coś, co rozbijało porządek, wrzynało się w tło jak ostry klin. Lajon siedział obok. Komentował, pokazywał, objaśniał. A Anna myślała głównie o tym, że teraz już wie na pewno, dlaczego chce mu ufać. Dlaczego przyswaja jego towarzystwo bezboleśnie. Nie tylko z powodów, z których zdawała sobie sprawę już wcześniej. Teraz zrozumiała dodatkowo, że udział w śledztwie to jej prywatna Wyspa Wielkanocna. I Lajon musiał wiedzieć to również.

Zdjęcia i film nie ujawniły niczego przełomowego, choć Anna wreszcie zobaczyła, jak wyglądała waza z bezalkoholowym ponczem. Na weselu w ogóle nie zwróciła na nią uwagi. Owszem pojawiały się pytania o to, kto nie pije alkoholu, i pewnie proponowano napoje alternatywne, ale nie sądziła, że powinna im się przyjrzeć. Teraz zastanawiała się, dlaczego właściwie Vidar skusił się na jakiś głupi poncz, skoro wcześniej w takich sytuacjach zawsze

wybierał wodę. Właśnie... Poncz Vidar nigdy nie pił go nawet w wersji wzmocnionej alkoholem. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Ktoś musiał mu go zaproponować. I nalegać, by się poczęstował. Anna zmarszczyła lekko brwi na widok zadowolonej gęby Brunona i lekko bufonowatej facjaty Marcina-barmana. Wcisnęła stop. Przewinęła film i puściła od nowa jeden fragment. Tak, teraz widziała tę wazę wyraźnie. Stała na kontuarze. Marcin-barman zamieszał jej zawartość wielką chochłą. A później... to samo zrobił Bruno. Przyszła matka, zajrzała do środka. Również chwyciła tę cholerną chochłą. Powiedziała coś do chłopaka za barem. A później zjawiła się Lidka. Wzięła wazę z ponczem i oddaliła się w stronę stolików. Wyszła poza kadr. Annę zemdlilo. Kamera zadrgała. Lidka na powrót weszła w kadr. I wtedy ktoś ją zasłonił. Przed obiektywem pojawiły się szerokie plecy jakiegoś faceta.

— Tutaj ktoś mnie szturchnął — mruknął Lajon nad jej ramieniem.

— A ten facet? Kto to jest? Znasz go?

— No co ty! Twoja matka zaprosiła cały Hel i nie tylko, jak gdyby...

Uciszyła go. Obraz przestał drgać. Facet, który zasłonił plecami obiektyw, dokąś się ulotnił. Czy to mogło być celowe działanie? W tle, za gośćmi, pojawiała się i znikwała Lidka. Z początku trzymała wazę, później już nie. Anna zatrzymała film. Lidka z wazą. Matka nad ponczem. Bruno i Marcin-barman z chochłą... Przecież to był jakiś absurd! Co powiedział Bruno? Że barman twierdził, jakoby to właśnie jej szwagier wskazał osoby, które należało poczęstować napojem. Bruno tego nie pamiętał. Rzeczywiście — stali we dwóch przy kontuarze. Mogło dojść do takiej wymiany zdań. Ale później zjawiła się matka we własnej osobie, a częstować gości poszła Lidka. Dlaczego nie było widać, kto tę wazę przyniósł do namiotu? Dlaczego akurat tego Lajon nie nagrał? Powodów mogło być wiele. Waza z ponczem nie wydawała mu się interesująca, na przykład. Ktoś go zagadał. Na weselu działy się w tym czasie inne ciekawe rzeczy, które należało utrwalić. I tak dalej. Anna zamysliła się.

— Coś ci przyszło do głowy? — odezwał się Lajon. — Dla mnie wygląda jak normalna impreza. Możemy jeszcze zwolnić tempo...

— Tak.. — patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. — Tak, możemy zwolnić. Za chwilę. Wiesz co? Zupełnie zapomniałam ci powiedzieć... Bruno był u mnie w szpitalu. Zaraz po tym, jak zajechałeś mi drogę i pytałeś, czy uciekałam z oddziału. Gadał jakoś dziwnie. Mówił o tym nieszczęsnym pseudobarmanie...

Lajon wyprostował się na dźwięk imienia Brunona. Naprawdę musiał faceta strasznie nie lubić. Anna oderwała wzrok od ekranu laptopa, po czym opowiedziała o wizycie Brunona w szpitalu i o dziwnym zachowaniu Marcina-barmana, który ponoć dostał instrukcje co do bezalkoholowego ponczu właśnie od jej szwagra. Jednak sam zainteresowany o tym zupełnie nie pamiętał. Lajon gwizdnął przeciągle.

— Czyli jeśli chłopak mówi prawdę, to Bruno jest naszym pierwszym podejrzanym! Powiedział jasno: moja teściowa i tamten pan nie piją alkoholu. Wskazał na nich. A chłopak podał wazę.

— Tak, ale Bruno twierdzi, że zupełnie tego nie pamięta. Chłopak może kłamać. A wtedy

trzeba przyrzeć się lepiej właśnie jemu. Poza tym zerknij na ten fragment filmu. Wazę wzięła Lidka, nie barman.

— Bardzo wygodnie tłumaczyć się taką pomrocnością jasną... Co do Lidki, to pamiętaj, że nie wszystko nakręciłem. Jakoś jedzenie i picie na tej imprezie interesowały mniej najmniej. Może odstawiła później gdzieś tę cholerną wazę i ktoś inny ją wziął. Może na tym etapie niczego jeszcze w niej nie było. Dopiero później ktoś coś tam dodał. Pojęcia nie mam, ale mogło być różnie i nie opierałbym się tylko na tym, co mi się udało nagrać — mruknął Lajon.

— Pomrocność czy nie pomrocność, mamy słowa przeciwko słowom. Dopóki nie pojawi się świadek, który ich jakimś cudem podsłuchał, nie możemy wierzyć ani jednemu, ani drugiemu — zaprotestowała Anna.

— Ale świadkowie się coś nie kwapią.

— Właśnie.

Dochodziło południe, kiedy Anna i Lajon opuścili ceglany dom na Wiejskiej. Miasto tonęło we mgle, jak gdyby pogoda zdecydowała się dostosować do niedawnych wydarzeń i nadać im odpowiednią aurę. Teraz Anna nie czuła się już jak dziecko we mgle tylko w sensie metaforycznym. Błądziła naprawdę, wyciągała przed siebie ręce i sprawdzała, jak daleko sięga jej wzrok. Okazało się to całkiem miłe. A przecież gęsta mgła nie była dla Anny żadnym nowym doświadczeniem. Wokół jej domu w Ystad, na wydmowym pustkowiu, często zalegały mleczne obłoki, odgradzające to miejsce od reszty świata. W takich chwilach miała ochotę poddać się tej osobliwej izolacji, zanurzyć w beczas, nic nie robić.

Lajon nadawał rytm ich marszowi. Dzięki niemu dotarli do Pancernika w niecałe dziesięć minut. Anna była pewna, że bez Lajona włókłaby się tu w nieskończoność, przesuwając się wzdłuż ścian i płotów. Poddana irracjonalnemu strachowi.

— Szorm jest — stwierdził, kiedy znaleźli się na miejscu. — Może przejdziemy się jeszcze do portu? Na chwilę?

Anna uśmiechnęła się i pokręciła głową. Jej wagary trwały już wystarczająco długo. Nawet jeśli przez ostatnie kilka godzin naprawdę usiłowała pracować. I zwłaszcza że kompletnie nic z tej pracy nie wynikało. Widziała wazę z ponczem, ale to, kto ją przyniósł, pozostawało nadal niewyjaśnione. Widziała szerokie plecy obcego faceta. Barman Marcin faktycznie rozmawiał z Brunonem, a Bruno faktycznie na coś wskazywał. Czy chodziło o tę rozmowę, o której wspominał chłopak, a której zupełnie nie pamiętał jej szwagier? Przy minibarku kręcili się również inni goście. Łącznie z Anną, jej ojcem i Dagmar. Każdy mógł przynieść tam tę cholerną wazę. Ale skoro barman Marcin rzeczywiście zeznał, że Bruno wydał mu instrukcje co do przeznaczenia ponczu, to musiał mieć w tym swój cel. Albo zwyczajnie mówił prawdę, albo kłamał, bo uznał, że mu się opłaca.

Ze zdjęciami sprawa nie przedstawiała się lepiej. Lajon do samego końca pozostał cholernym wysublimowanym artystą i unikał fotografowania podpitych wujków, płaszących cioć w obciachowych sukienkach i czułych spojrzeń świeżo poślubionych małżonków. Jego zdjęcia pełne były subtelnych ujęć, komicznych i emocjonalnych sytuacji, dynamiki

i interesujących zbliżeń. W ogóle nie przypominały typowej „weselnej dokumentacji” i Anna szczerze wątpiła, czy o to właśnie chodziło Lidce. Zatrutego ponczu w ogóle na nich nie zobaczyła, nie mówiąc już o obrazkach sugerujących, że ktoś z kimś o czymś podejrzanym rozmawiał. Zauważyła za to siebie, na kilku zbliżeniach. Każdy głupi by spostrzegł, że na tej imprezie nie bawiła się najlepiej.

— Nie, to raczej nie jest dobry pomysł — odpowiedziała wreszcie.

— Anka, piętnaście minut! Dotlenisz się. Dobrze ci robi na płuca. I w taką pogodę jest najwięcej jodu!

— Wiem, ale robota czeka. Te twoje zdjęcia to, za przeproszeniem, są gównem. Poza tym dzisiaj po południu mają już być wyniki sekcji zwłok Vidara... Sprawa priorytetowa. I...

Umilkła. Drgnęła lekko, kiedy gdzieś w tle usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. We mgle zamajaczyła jakaś postać. Anna stopniowo rozróżniała detale. Czarna skórzana kurtka, ciemne włosy, śniada cera... Jej serce załomotało, a z oczu popłynęły łzy. Wreszcie. Myślała, że nie ma już czym płakać, a jednak.. Te łzy szły z zupełnie innej puli. Mężczyzna zauważył ją i zaczął biec. Ona również rzuciła się ku niemu.

— Ingvar! — krzyknęła. — Ingvar!!!

Rozdział 31

Ingvar Frisk Czarne włosy, śniada cera. Szerokie ramiona, ciemne oczy. Niski głos, spokojne ruchy. Ziółka w walizce, cztery T-shirty i szczoteczka do zębów. Szampon. Zawsze woził swój. Okulary przeciwsłoneczne, kilkudniowy zarost. Szorstki policzek mokry od łez.

Przez pierwszą godzinę siedzieli w milczeniu. Ingvar uruchomił czajnik, wsypał ziółka do dzbanka i krytycznie przyjrzał się kuchence. Po chwili wahania pokręcił głową i wetknął orkiszowy makaron z powrotem do torby. Przestrzeń wypełnił szum gotującej się wody. Anna zaczęła mówić.

— Amalia Stiatesi... Ona miała z tym wszystkim coś wspólnego. Odkrywcze, prawda? Nie wiem, dlaczego nie wymyśliłam tego wcześniej, ale oczywiście jest, że Sofia nie padła trupem od razu. Musiała już wcześniej mieć jakieś objawy, musiała cierpieć. Nie wierzę, że nie wzywała pomocy. Na pewno wzywała. A jeśli nie, to ktoś jej zabronił. Przypilnował, by... Umarła. I ja stawiam na Amalię. Była najbliżej, nigdzie nie wychodziła, na bank słyszała wszystko, co działo się za ścianą. A przy najmniej większość. Że też od razu na to nie wpadłam! Wysłałam z wprawy.

Ingvar wpatrywał się w Annę z uwagą i nie odpowiedział od razu. Wyłączył czajnik i zalał ziółka. Usiadł przy stole, przykrył jej dłonie swoimi. Anna instynktownie chciała wycofać się z tej nagłej intymności i oddalić na bezpieczną odległość. A jednak nie mogła. Zapomniała, jak to jest

być z Ingvarem. I powinna zapomnieć. Na jakiś czas. Na długo. Jej mąż nie żył. Anna nie potrafiła jednak aż tak się okłamywać. Wszystko w niej wyrywało się w kierunku tego śniadego faceta, którego kochała zakazaną miłością. Nadal zakazaną. Nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Anna poprawiła się na krześle i poruszyła palcami. Ingvar nie był ślepy. Uwolnił jej dłonie i wpatrzył się w kubek z zieloną ciecżą.

— Na pewno chcesz teraz rozmawiać o Amalii i Sofii?

Chciała. To był jedyny temat, na który w ogóle mogła teraz rozmawiać. Ingvar odchylił się na krześle. Wydawał się bardzo przygnębiony, a Anna poczuła się tak, jak gdyby od ich ostatniego spotkania upłynął nie tydzień, lecz wiele miesięcy. Miała wrażenie, że stała się nagle kimś zupełnie innym — kimś, kto przyglądał się dawnej Annie z dystansu i z politowaniem kręcił głową. „Ja miałam problemy?! Dylematy?! Wewnętrzne rozterki, jak jakiś młody, znerwicowany i emocjonalnie niestabilny młody Werter? Ja?! Ty idiotko! Spójrz na siebie teraz!”.

Spójrz na siebie teraz.

Spojrzała. Chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Ingvar znowu milczał. On wiedział. Wiedział, że Anna unika tematu śmierci swojego męża jak ognia, że musi wydarzyć się jakiś przełom, zanim będzie potrafiła o tym rozmawiać. I wiedział również, że nie miała pojęcia, co dalej z nimi.

Co mogło być dalej z nimi? Ingvar & Ana? Na zawsze razem? Dwoje śledczych z misją odnowy świata? Z wewnętrzną potrzebą tropienia i izolowania od społeczeństwa wszelkich mętów społecznych? Wiecznie zwarci i gotowi, by udać się w pogoń za przestępcami? Ingvar & Ana podlewający pelargonie w domu nieopodal Mariagatan i przy śniadaniu ze swobodą dyskutujący o seryjnych zabójcach? Piękny obrazek!

— No dobra... Widzisz, wpadłem na to samo, co ty, ale wcześniej — przemówił wreszcie. — Znaczy na to, że trucizna działała przez kilka godzin i ktoś musiał dopilnować, by Sofia nie wezwała pomocy. Pomyślałem o tym od razu po naszej rozmowie telefonicznej. Tamtej długiej, kiedy byłaś na plaży. I później przeczytałem... To głupie, ale, no... przeczytałem sobie końcówkę *Pani Bovary*. To ulubiona książka mojej matki. Na końcu główna bohaterka truje się arsenikiem i potem...

— Wiem, co jest potem — oświadczyła zimno Anna. — Pani Bovary umiera w strasznych męczarniach przez kilka godzin. Jednego tylko nie rozumiem. Po cholereę ci właściwie jakaś pieprzona *Pani Bovary*, żeby sobie przypomnieć działanie arseniku? Masz aż taką kiepską pamięć? Przejdź się do prosektorium, któryś z koronerów szybciułko pomoże ci odświeżyć wiedzę. I jeszcze pokaże obrazki.

— Wiem, ale *Pani Bovary* była pod ręką! A poza tym każdy teraz cytuje literaturę, więc pomyślałem... No, w każdym razie wpadłem na to wszystko po tamtej rozmowie telefonicznej.

— I nic mi nie powiedziałaś?! — Anna uderzyła pięścią w stół. Ingvar podskoczył. — Przecież rozmawialiśmy jeszcze później!!! Uznałeś, że mnie to nie interesuje? Kurwa, Ingvar...

— Uspokój się, do cholery... Nie powiedziałem ci, bo sprawdzałem jeszcze Amalię. I rozważałem inne możliwości. Ale rzeczywiście — Sofia ani razu nie wykręciła numeru na

pogotowie.

— A do Amalii? Co mówi monitoring? Amalia wychodziła dokądś? Była u siostry?

— Najfajniejsze jest to, że nie wiemy. Na korytarz Amalia nie wychodziła, a czy poszła do Sofii...

— Skoro nie wychodziła, to po co w ogóle bierzesz takie coś pod uwagę? Może się pomyliłam? I ty? Albo jest inny sposób...?

— Jest inny sposób, Ana. — Ingvar uśmiechnął się smutno. — Nie uwierzysz... To jest naprawdę dobre! Jak z powieści!

— Aha, czyli musi chodzić o najdurniejszą rzecz pod słońcem. Niech zgadnę...

Anna odtworzyła w pamięci wnętrze pokoju Amalii Stiatesi. Skrzywiła się. Oczywiście! Zauważyła to od razu, tyle że wówczas ten niuans nie wydawał się istotny. A powinien. Cholera, powinien!

— Ich pokoje się łączyły? Były jakieś wewnętrzne drzwi? — zapytała ponuro.

— Pewnie! Arne Holm, menedżer, twierdzi, że na co dzień te drzwi są zamknięte, ale siostry Stiatesi zażyły sobie, by je otworzyć. To stary budynek Kiedyś bogacze wynajmowali w hotelach całe piętra albo lokale wielkości normalnych mieszkań. Te dwa apartamenty stanowiły całość. Drzwi nie zamurowano. Holm twierdzi, że często nadal wynajmuje się te pokoje razem, jednemu gościowi. I tu pojawia się problem...

— Bo nic nie możemy udowodnić Amalii? Nikt nie wie na pewno, czy była u Sofii? Odciski palców o niczym nie świadczą, bo i tak często tam przebywała... Szlag by to!

— Właśnie. Ale nie to jest najlepsze. Na monitoringu hotelowym znaleźliśmy nagranie, na którym widać, jak Amalia zostawia w recepcji kopertę. Tę dla ciebie. Bo Sofia niczego nigdzie dla ciebie nie zostawiała. Przyparty do muru recepcjonista przypomniał sobie, że faktycznie przesyłkę przyniosła Amalia Stiatesi. Mówiła, że to od jej siostry. Facetowi było wszystko jedno, kto, co i dla kogo zostawia. A najciekawsze jest to, że Amalia wcale nie poszła do recepcji z kopertą wieczorem, tylko... Po północy!

— Ingvar! To jest prawie jak dowód! Sofia już wtedy nie żyła! Dlaczego nie aresztowaliście Amalii?!

— Aresztowaliśmy. Ma cholernie dobrego prawnika i już następnego dnia wyszła za kaucją. W sumie twardych dowodów przeciwko niej nie znaleźliśmy. Adwokat powiedział, że Amalia przez całą noc była w swoim pokoju i czytała. Przypomniała sobie, że miała zostawić przesyłkę na recepcji, zesła więc, po czym wróciła do siebie. Do Sofii nie zaglądała. Diwa nie lubiła, kiedy jej zakłócano sen... No cóż, prawnik Amalii jest bardzo wyszczekany i potrafi odpowiednio dobierać argumenty. Została zwolniona z aresztu, ale sprawa jest w toku. Amalia awansowała na główną podejrzaną. Skonfiskowaliśmy jej laptop. Informatycy odzyskują skasowane pliki. I teraz wisienka na torcie...

— Wisienka? Są jeszcze jakieś cholerne wisienki?!

— Owszem. Lepiej siedź. Otóż Amalia wpadła w histerię na wieść o śmierci... Hm... Twojego męża.

Anna poczuła, że robi jej się słabo. Sięgnęła po kubek Ingvara i upiła łyk ziółek

— Co ty mówisz? Dlaczego?

— Pojęcia nie mam, ale panna Amalia w ciągu kilku dni zamieniła się we wrak człowieka.

Prawnik dalej się stara, a jednak ona jakby miała już gdzieś, czy pójdzie siedzieć, czy nie...

Rozdział 32

Kolejne rewelacje na temat Amalii Stiatesi przysły późnym popołudniem. Anna i Ingvar siedzieli właśnie na komisariacie w Helu, gdzie informacji na temat prowadzonego śledztwa — dość niechętnie — udzielał im jakiś komisarz. Tutejsza policja z pewnością wolałaby zająć się wszystkim sama, zamiast użerać się z bandą Szwedów zza morza. Bo nawet jeśli w tej chwili na ich terenie pojawił się sam Ingvar, nie ulegało wątpliwości, że w ślad za nim przypełźnie ktoś jeszcze. A już na pewno między Ystad, Malmö i Helem wywiąże się telefoniczna gorąca linia. Cholerni Szwedzi nie odpuszczą. Zrobią kolejny potop! Na półwyspie zginął ich ziomek! I to jaki! Dziany! Szanowany! Sparaliżowany! Ożeniony z policjantką! Dla „lokalsów” nie wyglądało to wszystko zbyt dobrze...

I dlatego teraz mina helskiego komisarza mówiła wszystko. Nad głową Anny zapaliła się lampka. Czuła, że Ingvar był zbyt oschły. No i mówił po angielsku, a już sama niemożność wysławiania się w ojczystym języku mogła okazać się dla policjantów wystarczająco frustrująca. Komisarz prowadzący sprawę nie miał wprawdzie problemów z angielską konwersacją, blokował się jednak na „kryminalnej” terminologii. Co było dość zaskakujące. Anna opanowała to nazewnictwo niemal do perfekcji, oglądając brytyjskie i amerykańskie seriale detektywistyczne... Tak *Sherlock*, *Castle*, *Criminal Minds*...

Skupiła się. Komisarz mówił teraz o tym młodym chłopaku, okazjonalnym barmanie, który miał pecha i znalazł się akurat w pobliżu nieszczęsnego ponczu z arsenikiem. Poncz z arsenikiem! To jakiś absurd. Pieprzony absurd! Wciąż nie mogła uwierzyć, że ktoś rzeczywiście posłużył się takimi metodami.

Zakłaskała.

— Przepraszam, a nie uważa pan — odezwała się po polsku — że to wszystko jest odrobinę bezsensowne? — Wiedziała, że komisarz zapoznał się już ze sprawą Narcyza i Sofii. — Arsenik? Przecież morderca, czy też mordercy, nie mogli mieć pewności, że ofiary nie zostaną odratowane. W kwestii mojego męża... — Głos Anny zadrżał. Wzięła głęboki wdech.

— Napije się pani wody? A może herbaty? — zatroskał się nagle komisarz, a z jego czoła zniknęła głęboka zmarszczka.

— Nie, dziękuję. Wracając do tematu... W kwestii mojego męża morderca rzeczywiście

zadał sobie trud odcięcia go od możliwości skontaktowania się ze mną. Mój telefon leżał sobie w krzakach. Nadal nie wiem, jak i kiedy do tego doszło. Ale Vidar mógł przecież zadzwonić na pogotowie, do mojego ojca albo do naszej... Lempi. A w wypadku Sofii i Narcyza? Przecież oni mogli zostać odratowani! Gdyby ktoś zareagował na czas. Może na tym trzeba się skupić? Narcyza jeszcze, jeszcze... Podtruwano go od dłuższego czasu, był osłabiony, a strażnicy niespecjalnie przejęli się jego „chorobą”. Uznali, że symuluje. Ale Sofia...? Arsenik? Co to za idiotyczny wybór?

Komisarz rozłożył ręce. W kieszeni Ingvara zabrzęczał telefon. Anna spojrzała na niego niespokojnie.

— Informatyk z Malmö. Przepraszam, odbiorę.

Ingvar wstał z krzesła, podszedł do okna i przysiadł na parapecie. Po chwili zrobił się zupełnie błądy. Zaklął, oczywiście po szwedzku, i prawie rzucił komórką o ścianę.

— Odzyskali skasowane pliki z laptopa Amalii. Ponoć nie było łatwo. Znaleźli śliczny folderek dosłownie pękający w szwach od cytatów z Wilde’a — odezwał się Ingvar po angielsku. — Mało tego. Są tam też zdjęcia rysunków... No nie wiem, chyba rysunków Narcyza. A na ekranie laptopa technik zauważył bardzo delikatne linie... Jak gdyby ktoś rysował po nim niepiszącym długopisem...

— Kurwa mać! — krzyknęła Anna po polsku. Komisarz z Helu spojrzał na nią niemal z uznaniem. Zreflektowała się i również przeszła na angielski. — Czyli co? Dobrze kombinuję? Przykładała kartkę do monitora i odrysowywała? A później dorabiała detale? Stąd ta podobna, prawie identyczna technika? Ekran dawał dobre podświetlenie, można sobie było zrobić zbliżenie, iść kreska w kreskę. Sama kiedyś tak coś odrysowywałam, kiedy jeszcze studiowałam...

— Na to wygląda.

— Ale — wtrącił się helski komisarz — przecież to nie ona załatwiła... Znaczy, przepraszam, nie ona odpowiada za zabójstwo Vidara Lindholma i spowodowanie uszczerbku na zdrowiu Malwiny Bylińskiej. Nie było jej tutaj. Sam pan mówił, że ta cała Amalia Stiatesi jest pod obserwacją policji i nie może opuszczać Malmö.

Ingvar pokiwał głową.

— Tak Amalia nie mogła tego zrobić, nie wyjeżdżała z Malmö. Może ma współnika? Wciąż nie zdobyliśmy przeciwko niej twardych dowodów. Adwokat Amalii zje nas na śniadanie, jeśli znowu ją aresztujemy. Nie mamy podstaw. Musimy ją poddać niezłej lustracji, jeśli chcemy cokolwiek znaleźć. Trzeba dosłownie wejść jej do łóżka — powiedział i zawisł na telefonie.

Anna słyszała, jak wydaje dyspozycje. Zadzwonił nawet do cholernej Ester Gustafsson... Wypuściła ze świstem powietrze i spojrzała na komisarza.

— Wróćmy może do tych gości weselnych, co? — rzekła niechętnie. Wyciągnęła do policjanta rękę. — Jestem Anka. I jednak napiłabym się tej herbaty. Mam nadzieję, że serwujecie coś lepszego niż nasze pomyje w Ystad.

— W szafce mam indyjską. Liściastą... Moją prywatną.

— Cudownie.

Wyraz twarzy helskiego komisarza zmienił się zupełnie. W jego oczach zauważyła błysk. Czyżby... sympatii?

Wiatr od morza był tego wieczoru wyjątkowo chłodny, a mgła nie ustępowała. Anna wsłuchiwała się w lament przyływu i ze wszystkich sił starała się nie myśleć o Vidarze, Ingvarze ani nawet o Lajonie, który dzwonił do niej milion razy, a później sam we własnej osobie przypałał się do Pancernika. Tłumaczył pokrętnie, że musiał sprawdzić, czy wszystko okay, bo o świcie to wyglądała nie bardzo i bla, bla, bla... W sumie w ogóle mu się nie dziwiła. Lajon opiekował się Anną, kiedy była w szpitalu i przez te kilka dni awansował prawie na jej przyjaciela, a teraz niespodziewanie poszedł w odставку. I to po tym, jak przyszła do niego o czwartej nad ranem, jak ryczała w kuchni i urządziła zalatujące amatorszczyzną przesłuchanie, które miało usprawiedliwić tę nagłą bliskość. Lajon z pewnością był też ciekawy. Anna przedstawiła go wprawdzie Ingvarowi, ale później szybko spławiła. Nie zaprosiła na herbatę, chociaż przecież powinna. To by nie budziło żadnych podejrzeń, a tak? Sama się prosiła...

Kiedy Lajon zjawił się w Pancerniku po południu, Anna i Ingvar byli jeszcze na komisariacie. Czełał półtorej godziny, według relacji Lempi. Wreszcie nie wytrzymał i wyszedł. Spotkali się na Wiejskiej. Ingvar przywitał się uprzejmie, ale obrzucił Lajona podejrzliwym spojrzeniem. Anna poczuła się głupio.

— Byliśmy na komisariacie. Musiałam nadrobić zaległości, a Ingvar wtajemniczył tutejszych w szwedzkie śledztwo. Może... Wrócisz z nami? Napijemy się kawy albo herbaty?

Anna przestąpiła z nogi na nogę. Ingvar wykonał podobny taniec. Lajon spojrział w lewo, w prawo, a później na swoje buty.

— Nie, dzięki. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko okay. Ale masz opiekę, więc już się nie martwię. Muszę popracować. Kiedy wracacie do Szwecji? — spytał. Tylko na kilka żalonych sekund oderwał wzrok od butów.

— Prawdopodobnie pojutrze. Musimy jeszcze coś sprawdzić i później będziemy kontaktować się z tutejszą policją telefonicznie. Ewentualnie przyjedziemy, jak coś będzie nie tak. To ich teren, więc i tak nie możemy przejąć śledztwa w całości. A... Ja właściwie w ogóle nie prowadzę tej sprawy, jestem na doczepkę... I muszę zająć się pogrzebem. Przewieźć ciało. Co nie będzie łatwe. — Tak naprawdę Anna dopiero teraz pomyślała o tym, że rzeczywiście czeka ją bardzo trudne zadanie. A z powodu Lajona i swojego porannego zachowania miała coraz większe wyrzuty sumienia.

— To zrozumiałe — wymamrotał. Wzrok nadal w butach. — Mam tylko nadzieję, że moje alibi szybko się potwierdzi, bo muszę wyjechać. Kontrakt...

— Kontrakt? Uhm — tym razem wymamrotała Anna. Rozmawiali po polsku i Ingvar, który nie rozumiał ani słowa, spoglądał to na jedno, to na drugie, jak na meczu tenisowym. — Dokąd tym razem?

— Na Tahiti.

— Tahiti. To daleko.

— Owszem.

Wzrok w butach. Przesztopowanie z nogi na nogę. Chrzążanie. Bawienie się rękawami i paskiem od torby. Anna nie wytrzymała.

— No dobra, skoro nie chcesz wypić z nami herbaty, to chociaż cię odprowadzę — zdecydowała i przemówiła do Ingvara po szwedzku. Nie wyglądał na zadowolonego, ale kiwnął głową, po czym oddał się w stronę Pancernika.

Anna wpadła w słowotok. Dziękowała Lajonowi za dzisiejszy poranek, za opiekę w szpitalu, za wsparcie i pomoc, za udostępnienie zdjęć zanim jeszcze widziała je tutejsza policja, za... Podziękowałaby mu ogólnie za całe dobro tego świata, byle mogła dzięki temu sama poczuć się lepiej. Wyraziła nadzieję, że kolejny album będzie jeszcze bardziej imponujący od poprzednich, ponownie usiłowała zrozumieć, jak to się stało, iż nie rozpoznała w Leonie Wicie Leona Wolińskiego, to znów przepraszała, że czepiała się o gacie w smerfy, a on przypomniawszy sobie o Jenny.

Jenny...

To była już ostateczna, absolutna gafa. Nie powinna teraz o niej wspominać. A jednak Lajon tylko wzruszył ramionami.

— Nie mam pretensji o to, że przypomniawszy mi o Jenny. Nie próbuję o niej zapomnieć. Po prostu staram się myśleć o jej życiu, nie o śmierci — powiedział, kiedy dotarli już do ceglanego domu na Wiejskiej, gdzie Anna spędziła cały dzisiejszy poranek. Poranek, który wydawał się teraz odległy jak dawno wyśniony sen.

O życiu, nie o śmierci. Anna zadała sobie pytanie, czy ona też kiedyś będzie tak umiała. Ale relacja Lajona z Jenny była pewnie inna niż jej małżeństwo z Vidarem. Czystsza. Może prostsza. A Anna już kiedyś miała taki moment, kiedy starała się myśleć raczej o przeszłości, niż o terażniejszości. O swoim mężu sprzed wypadku, o tym, jaki był dawniej i co ich połączyło. Teraz będzie musiała uporządkować wspomnienia, położyć na wierzchu dobre. Żeby nie oszaleć.

— Pamiętasz... — zaczęła, zanim zdążyła ugryźć się w język — Kiedy cię przesłuchiwałam — tak to umownie nazwijmy — powiedziałeś, że w dniu zabójstwa Narcyza i w dniu zabójstwa Sofii byłeś na Wyspach Brytyjskich. Pokazywałeś mi bilety lotnicze...

— Tak i co?

— Polecałeś tam... w związku z nią? Z Jenny?

— Nie tylko. To był głównie służbowy wyjazd. Jeden z moich katalogów wychodzi właśnie na Wyspach. Ale... Tak byłem u rodziców Jenny. Lubię ich. Nadal utrzymujemy kontakt. Jenny była ich jedyną córką i myślę, że znaleźli się w dużo trudniejszej sytuacji niż ja. Chociaż ja... Zresztą nieważne.

Lajon gwałtownie zamrugał. Anna doskonale знаła ten trik. Sama stosowała go wielokrotnie po wypadku Vidara, kiedy płakać chciało jej się średnio co godzinę. Teraz nie zwracała sobie już tym głowy. Nie musiała udawać, że jest silna i wcale nie miała na to ochoty.

— Przepraszam, znowu bez sensu do tego wracam. Szkoda, że jedziesz tak daleko. Na Tahiti.

Fajnie byłoby odnowić naszą znajomość. Tak naprawdę. Poza tym czułabym się lepiej, gdybym miała w Helu swoją, no wiesz... Wtyczkę.

— Wtyczkę? A po co?

— Aaa... Takie tam. Coś mi się ten Bruno nie podoba. Przychodzą mi do głowy różne rzeczy w związku z nim i z tym cholernym barmanem... To może być grubsza afera. Ale nawet nie przegadałam tego z Ingvarem.

— Jaka grubsza afera, Anka? Będziemy się teraz bawić w podchody? Mów! — zażądał.

— Nie mogę jeszcze o tym mówić. Wszystko pozostaje na razie w sferze moich domysłów i spekulacji. Ale nie potrafię sobie tego tak po prostu odpuścić. W końcu tutaj... zginął Vidar.

— Wiem. A jednak skoro chcesz zrobić ze mnie swoją helską wtyczkę, to chyba powinienem coś wiedzieć? Nie uważasz? Poza tym wiesz, że mnie się Bruno również nie podoba. Mówiłem ci o tym już wcześniej, jeszcze przed weselem, ale mnie olałaś.

— Nie olałam, tylko...

— I widzisz... — przerwał jej. — Tak naprawdę nie wyjeżdżam. Trochę nakłamałem. To znaczy odwołałem wyjazd. Część spraw załatwiłem przez telefon i mailowo, podpisaną umowę wysłałem pocztą. Tylko negocjacje wyszły do dupy i dostanę mniej kasy, niż pierwotnie zakładałem. Ale prawdę mówiąc — chrzańię to. Zostanę tutaj. Na trochę.

— Na trochę? W takim razie po jaką cholere było całe to pieprzenie o wyjeździe i szybko potwierdzającym się alibi?! — zdenerwowała się Anna. — Przecież i tak mówiłeś po polsku, Ingvar gówno z tego zrozumiał!

— A... Aaaa... Nie wiem. Przez chwilę pomyślałem, że może rzeczywiście powinienem pojechać i nie babrać się w całym tym bagnie. Ale nie potrafię. Coś mnie tu trzyma. To irracjonalne. Nie mogę wyjechać. Więc jeśli chcesz wtyczkę, to... okay.

— Debil! — mruknęła w odpowiedzi i spojrzała na niego z mieszaniną niechęci i sympatii. — Dzisiaj i tak nic ci nie powiem o moich podejrzeniach, bo muszę wracać do Pancernika. Jutro... Może! Może jutro! Debil!

— Debil, debil... A ty? Od jak dawna sypiasz z tym całym Ingvarem?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Rozdział 33

Spacerowała po plaży i trzęsła się z zimna. Powietrze jednak przyjemnie orzeźwiała i dodawało jej sił. Nawet Ingvar, który od godziny bez przerwy nawijał o śledztwie — i o tym, że „Lajonowi też do końca nie można ufać, bo jednak wciąż należy do grona podejrzanych i jeszcze nie potwierdziło się jego alibi, a nigdy nic nie wiadomo, więc nawet jeśli tobie, Ana, wydaje się, że

jest w porządku, wcale nie znaczy, że tak musi być naprawdę” — umilkł i wpatrywał się w ciemne fale. Chciał rozwiązać tę sprawę. Ona również chciała. A jednak między nimi wciąż wisiał cień Vidara, o którego śmierci nie potrafili rozmawiać. Anna nie wiedziała, czy kiedykolwiek stanie się to możliwe. Gdyby ich relacja nie była naznaczona zdradą, kłamstwem, tęsknotą, wyrzutami sumienia i cierpieniem, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. A tak? A teraz? Gdyby po prostu rzuciła się na Ingvara, pozwoliła, by wreszcie byli razem „legalnie” i na poważnie, czułaby się tak, jak gdyby cieszyła się ze śmierci swojego męża. Śmierci, która nadeszła, można powiedzieć, w samą porę. Cóż za znakomite wyczucie czasu!

Ingvar oddał jej swoją kurtkę i znowu zaczął mówić. O Brunonie. O tym, co również Annie nie dawało spokoju, od kiedy opuścili komisariat. Okazało się bowiem, że Bruno niedawno rzucił pracę w charakterze pilota wycieczek i nie byłoby w tym zupełnie niczego nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, iż ostatnią swoją wycieczkę odbył tuż przed ślubem, do Danii. A dokładnie do Kopenhagi. I w tym również nie byłoby absolutnie niczego nadzwyczajnego, gdyby nie fakt kolejny. Szczegół, który natychmiast wychwycił Ingvar, a na który Anna nie wpadłaby z pewnością jeszcze przez dłuższy czas, podobnie jak helski komisarz.

A przecież, cholera, powinna wpaść!

Z geografii zawsze była niezła i świetnie знаła szlaki komunikacyjne na północy Europy. Na hasło „Kopenhaga” powinna jej się zapalić nad głową nie tyle rachityczna żaróweczka, ile gigantyczny halogen. Anna była na siebie wściekła za to, że kojarzyła fakty tak wolno. Ingvar natomiast... Ingvar błyszczał. Dawno go takim nie widziała. Coś dodawało mu energii. Coś go nakręcało. Błyskawicznie dopasowywał do siebie kolejne elementy układanki, myślał do bólu logicznie, nie pomijał najdrobniejszych szczegółów. Był lepszy od niej. Kiedyś myślała, że mu dorównała. Wtedy, gdy rozgryzła Narcyza. Ale to... było jednak dawno temu. I przecież nie wpadła na trop Eliasa Perssona zupełnie sama. Czy powinna wreszcie przypomnieć o tym Ingvarowi? A może lepiej było tę sprawę zostawić, żeby nie zaciemnić obecnego śledztwa? Myśleć, że tamta sytuacja z tą obecną nie miała nic wspólnego? I ktoś, kto podsunął jej trop, naprawdę chciał pomóc, a nie po prostu się zabawić. I odizolować od świata niewinnego człowieka. Annie pociemniało w oczach. Nie, nie mogła tego dłużej ignorować.

Spojrzała na Ingvara, ale on kontynuował swój monolog. Odwaga ją opuściła. Postanowiła, że przypomni mu o tej sprawie później. Może jutro. Teraz nie było na to czasu. Mieli większe zmartwienia. Wsluchiwała się w jego słowa. Ingvar opowiadał właśnie o tym, jak skojarzył z Brunonem, jego wycieczką i Kopenhagą coś bardzo ważnego. Mianowicie Kopenhagę i Malmö łączy długi most przetrzucony nad cieśniną Oresund... Z Kopenhagi do Malmö można zatem przedostać się szybko i bezboleśnie. Wystarczy auto. Lub inny w miarę sprawny pojazd. Bruno wobec tego byłby w stanie porzucić na trochę swoich wycieczkowiczów, pojechać do Malmö, załatwić sprawę i wrócić. Mógłby to zrobić. Naprawdę.

Kiedy Ingvar mówił, Anna w zadumie bawiła się rogiem szalika. Bruno rzeczywiście wydawał się podejrzany typem, ale ta teoria wyglądała śmiesznie. Wycieczkowiczów nie można przecież ot tak porzucić, żeby sobie dokądś pojechać. A poza tym, o ile podobny numer

może by i wyszedł w odniesieniu do Sofii Stiatesi, o tyle w wypadku Narcyza nigdy by się nie udał. No i była jeszcze cholerna babcia, która przyniosła do więzienia pieprzony tort. O niej na chwilę zupełnie zapomnieli. A jednak Bruno znajdował się blisko miejsc zbrodni, był na swoim własnym weselu, wkurzył Vidara, przez co ten opuścił imprezę...

Anna musiała przyznać, że coś tu się nawet zgadzało. Jej prywatna teoria spiskowa też jakoś dałaby się dopasować do reszty. Tyle tylko, że Annę dręczyło jeszcze kilka z pozoru nieistotnych detali. Po pierwsze: głos Brunona, który wydawał się dziwnie znajomy. Po drugie: jego pokrętnie tłumaczenia związane z zatrutym ponczem. Po trzecie: równie pokrętnie tłumaczenia Marcina-barmana związane z tym samym ponczem. Po czwarte: Lidka... Właściwie nie wiadomo, dlaczego trafiła na tę listę. Anna miała jednak wrażenie, że podczas wesela Lidka powiedziała coś ważnego. Wtedy, w jadalni, kiedy rozpętała się awantura z Brunonem. Coś, na co Anna nie zwróciła wówczas należytej uwagi. Ale co to było? I ten kadr, na którym pojawiły się plecy jakiegoś faceta... Przyadek?

Ostatecznie stało na tym, że trzeba dobrze przyjrzeć się Brunonowi, sprawdzić, gdzie logował się jego telefon i jaki dokładnie był program wycieczki do Kopenhagi. Oprócz niego, lustracji należało poddać jeszcze kilkadziesiąt osób, które brały udział w weselu lub pracowały podczas imprezy... I moty w. Gdzieś w tym wszystkim krył się moty w. Z początku Anna myślała, że chodzi o zwykłą zemstę, ale teraz... Teraz najzwyczajniej w świecie nie miała pojęcia. A bez motywu nie mogli daleko zajść. O tym wiedział każdy, nawet bardzo kiepski śledczy. Moty w. Czy Bruno miał moty w? A Amalia?

Anna zacisnęła powieki. Od długiego spacerowania po miękkim piachu bolały ją nogi i plecy. Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo jest słaba. Przystanęła.

— Wrócimy już? Położyłabym się...

— Jasne. — Ingvar chwycił ją za rękę. Nie opierała się. Była zbyt zmęczona. — Ana... Sprawdźmy tego Brunona. Obejrzymy go z każdej strony. Obiecuję. A jeśli to nie on, poszukamy gdzie indziej. Znajdziemy... tego kogoś.

— A jeśli to nie jest jedna osoba?

— To z pewnością nie jest jedna osoba.

— Czyli ty też tak myślisz? Cholera... — Anna ponownie przystanęła.

— Właśnie. Od początku wydawało mi się, że Sofię i Narcyza zabiły dwie różne osoby, a teraz nie mogę pozbyć się tego wrażenia.

— A arsenik? Zbieg okoliczności? Takie cuda nie dzieją się za często...

— Wiem. Być może intuicja mnie zawodzi. Ale musimy to sprawdzić.

— A co z Amalią? To ona wysyłała mi cytaty? A jeśli nie, po co w takim razie kolekcjonowała je sobie w komputerze? Dlaczego zeszła do recepcji po północy? Jakim cudem — jeśli faktycznie nie zabiła siostry — nie słyszała, co się działo w pokoju obok? Dlaczego zostawiła dla mnie tę dziwną przesyłkę? I skoro to właśnie Amalia zostawiła mi w recepcji cytaty, dlaczego wypiera się autorstwa pozostałych przesyłek? Jaki ona miała związek z Narcyzem? Bo jakiś musiała mieć, prawda? Ona go zabiła? Jak? Ja mam dość...!

— Może... — zaczął Ingvar, ale zawahał się i urwał w pół zdania.

— Może?

— Może coś byś z niej wyciągnęła, gdyby udało wam się spotkać. Amalia rozpaczła po śmierci... Vidara. Wiem, że jest ci ciężko, ale o tym też trzeba pamiętać. Może to ważne. Może kryje się tutaj jakaś dziwna tajemnica. Amalię i tak prawdopodobnie czeka proces poszlakowy, bo wiele na nią wskazuje, przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo Sofii Stiatesi. Ale gdybyś z nią porozmawiała... Jakoś?

— Jakoś? — Anna uniosła brwi. — Ingvar, ja mogę do niej pójść, ale nie sądzę, by chciała ze mną gadać. Po pierwsze adwokat na pewno jej zabronił odzywać się do kogokolwiek. A po drugie... Nie wiem, czy będę potrafiła rozmawiać z nią o Vidarze.

Ingvar uśmiechnął się smutno i objął Annę ramieniem. Oblała ją zienawidzona w tej chwili fala błogości. Nie zasłużyła na nią. Ta błogość, prosta radość i poczucie bezpieczeństwa powinny być zarezerwowane dla dobrych ludzi. Takich, którzy nie kłamią i nie krzywdzą innych. A jednak poddała się. Schowała się pod ramieniem Ingvara, odcięła od tła. Chciała być niewidzialna.

Pomyślała jeszcze raz o Amalii. Dlaczego wpadła w histerię po śmierci Vidara? Dlaczego akurat... ona?

CZEŚĆ III

Czuł się dobrze. Jeszcze odrobinę niepewnie, ale dobrze. Wiedział, że z czasem nabierze wprawy i przestanie mieć głupie skrupuły. A raczej nie tyle skrupuły, co obawy. Że jego plan nie jest pozbawiony słabości, bo przecież on sam nie ma za grosz wyobraźni. Kiedyś już wpędził się przez to w kłopoty. Przekombinował. Sprawę można było załatwić prościej. Znalazłby jakiś sposób. Teraz jednak nie potrafił przestać. Brnął w to dalej, choć przecież mógłby wyjechać, uciec. Nic go tutaj nie trzymało. Nic oprócz strachu? Tak, bał się. Strach również niekorzystnie wpływał na jego wygląd. Oczy stawały się wylupiaсте, wargi to zaciskały się w wąską kreskę, to znów rozchylały jak u osoby tępej i nierozgarniętej. Nie dosypiał, a na skroni dostrzegł pierwszy siwy włos. Wyrwał go.

Tak, bał się. Ale coraz mniej. Bo dobrze sobie radził.

Ta kobieta. Zaskoczyła go. Od dawna już wiedział o niej wszystko. Co lubiła jeść, gdzie biegła, jak odreagowywała stres. To, że od czasu do czasu piła kawę po turecku i potrafiła grać na gitarze. W szafie miała kilka par sznurowanych butów i proste sukienki, czarne i granatowe. I zdarzało się, że zbyt szybko obdarzała kogoś zaufaniem. Naiwność — piękna sprawa. Tylko ludzie niewinni mogą sobie pozwolić na naiwność. Jak te kobiety. Blondynki, smukłe, młode. Były naiwne, wszystkie. Ufne. Zawsze przychodziły same. Poza tamtą, brzydulą z szerokimi biodrami. Ona nie była ani piękna, ani naiwna, ani niewinna. Za dużo gadała.

A ta kobieta? Policjantka z Ystad? Naiwna, niewinna? Nie, nie. Jej przecież daleko było do świętości. A co z brzydulą?

Nic oprócz strachu. Czy rzeczywiście musiał się bać? Brzyduli chyba już nie. Ona była grzeczna, przestała się buntować. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się na weselu. Doskonale udawała złość, choć przecież wcale jej nie czuła. To ona się bała. Jej nie pozostało nic oprócz strachu.

Brzydula była grzeczna. Nie powinna stwarzać problemów. Ale mogłaby trochę o siebie zadbać.

Woda, kawa. Okno, a za nim mewy. Śmiały się z niej. Zawsze uważała, że są wredne. Ale śmiały się słusznie. Było za późno. Stało się. Po lewej drzwi, po prawej okno. Przed nią lustro, odbijające brzydką twarz. Mogłaby jeszcze coś z nią zrobić. Chwyciła nożyczki i zbliżyła do policzka. Czy to coś da? Lekkie ukłucie. Czerwona kropka. Strużka krwi. Nie potrafiła zdobyć się na więcej.

Wobec siebie.

Mdle ściany, kiepskie grafiki. Czy tamta rozumiała aluzję? Nic więcej nie mogła zrobić. Nie została z nią sam na sam nawet na minutę. Nigdy by na to nie pozwolił. Dłoń trzymająca nożyczki zadrżała. Rozplecione palce. Głuche uderzenie ostrza o podłogę. Dlaczego to zrobił? Nie musiał. Nie musiał, bo ona i tak nie wiedziała już, dokąd uciec i gdzie się ukryć. Dlaczego wciąż tu był? Do czego jej potrzebował? Przecież po tamtym...

Deszcz stukający o szybę. Kawa, woda, chleb z masłem, którego nie mogła przełknąć.

Śmiech. Zasnęta krew na policzku. Czy ktoś byłby w stanie jej uwierzyć? Nie, nikt. Nic nie pozostało.

Nic oprócz strachu.

YSTAD — MALMÖ

Rozdział 34

Lempi mówiła o pomocy. O tym, że warto o nią poprosić, kiedy sami czujemy się bezradni. Fińska gosposia zmieniała się wówczas w prawdziwego filozofa, który nie silił się jednak na wyszukane teorie i egzystencjalne brednie. To była prosta mądrość. Nieprzykryta żadną metaforą. Lempi musiała widzieć, że Anna próbuje coś w sobie zagłuszyć. Jakis ważny ludzki odruch. Że usiłuje skondensować siły i skoncentrować się na czymś innym. Od środka zaś rozpadała się na pojedyncze elementy, z których każdy zwracał się przeciwko sobie. Anna zwracała się przeciwko sobie. Walczyła z dawną Anną, przyszlą Anną... Szła prosto w ogień. Często z uśmiechem na twarzy. Z głupim poczuciem humoru. Próbując obrócić wszystko w żart. Nie wiedziała, dokąd ją to zaprowadzi. Nie знаła już samej siebie.

Lempi mówiła o pomocy, kiedy leciały samolotem do Szwecji. W samolocie było najtrudniej. Gdzieś w tej samej przestrzeni, w naszpikowanej lodowatymi drobinami chłodni, tkwiło ciało Vidara. Pozbawione ducha i zredukowane do martwych tkanek Nasączone trucizną. Naruszone skalpelem patologa. Ciało, które należało pochować. Cień, który należało wypuścić w zaświaty, skierować na drogę ku innemu wymiarowi. Anna nie miała pojęcia, jak to zrobić. Dość mgliście wierzyła w inny wymiar i zupełnie nie była gotowa na to, by tak na serio pożegnać męża. Dopóki nie poczuła na plecach oddechu końca, dopóty czuła się jak we śnie. Mogła się oszukiwać, okłamywać, że Vidara nie ma tylko chwilowo. Że zaraz wróci, uderzy kołem swojego wózka we framugę kuchennych drzwi i siarczyście zaklnie. Ale przecież tak się nie da w nieskończoność.

O pomocy mówił również Lajon, w Helu. Kiedy żegnała się z nim przed podróżą, roztrzęsiona wynikami sekcji zwłok i przytłoczona wizją pogrzebu. Dlaczego roztrzęsiona?

Wiedziała przecież, że Vidar został zamordowany. Dlaczego przytłoczona? Zawsze przecież po czyjejs śmierci następuje pogrzeb, który może przybrać dowolną formę. Lajon mówił o tym, że jeśli będzie potrzebowała pomocy, ma do niego natychmiast dzwonić. Dlaczego? Anna nie miała pojęcia. Ale bardzo wyraźnie podkreślił, że nie zawsze dobrze jest ufać tylko sobie. Czasem warto... No właśnie. Nie bać się prosić o pomoc.

Wtedy się z nim zgodziła. Wyjechała. Ingvar opuścił Hel nieco wcześniej. Musiał wrócić do pracy i zająć się sprawami w Szwecji, a zwłaszcza Amalią Stiatesi, przeciwko której — poza cytatami i rysunkami — wciąż nie znaleziono żadnych innych dowodów. Anna jeszcze została. Załatwiała formalności związane z transportem ciała Vidara do Ystad. Wtedy nie mogła już uciec w śledztwo, ogłaszać się detektywistyczną robotą i babraniem w domysłach. Wtedy musiała skupić się na tragicznej prawdzie. Vidar nie żył. Została wdową. Została sama z wielkim domem, dwoma warsztatami meblarskimi na głowie i odbierającym oddech poczuciem winy. Co będzie, kiedy złapią już tego cholernego mordercę? Kiedy ta sprawa znajdzie swój finał? Co jej zostanie? W co ucieknie wtedy?

Słowa Lempi potraktowała poważniej niż słowa Lajona. Lempi była blisko. I dlatego Anna zapytała ją, co ma konkretnie na myśli, a ta odpowiedziała, że „pogrzeb pana Vidara”. To było jak przyśpieszony masaż serca, po którym człowiek nagle odzyskuje przytomność. Pomoc. Pogrzeb! Lempi była mądra, a ona — Anna — głupia.

Zadzwoiła do przyjaciół Vidara — tych, z którymi łączyło go wyznanie. I poprosiła o pomoc. Nie było ich wielu, zaledwie dziesięć osób. Ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Anna знаła ich dość dobrze, nie byli to jednak jej bliscy znajomi. „Należeli” do Vidara. To był jego prywatny świat, w który nie chciał wciągać żony na siłę, skoro ona sama nie wykazywała nim zbyt wielkiego zainteresowania. A teraz ci prywatni przyjaciele stanowili dla Anny ostatnią deskę ratunku. I okazali życzliwość. Pomogli jej wyprawić Vidara w ostatnią podróż.

Kadisz, pogrzeb... To wszystko pamiętała jak przez mgłę. Czuła się bezpiecznie. Ktoś udzielał jej wskazówek, co powinna mówić. Co robić. Jak się pomodlić. Nie dla siebie i nie za siebie. Za niego. Ktoś inny pokazywał i mówił, jaką przyjąć postawę. Jaki powinien być grób, w którą stronę zwrócić ciało Vidara. Jeszcze inny ktoś uśmiechał się smutno.

— Pani Lindholm, żadni z nas ortodoksi, ale przyjmijmy, że my to Chewra Kadisza. Bierzemy na siebie nieczystość związaną z kontaktem ze zmarłym. Pani nie powinna już go dotykać.

Chewra Kadisza? Nieczystość?! O czym on mówił!

— Nie jestem Żydówką. Nie jestem nawet wierząca.

„Inny Ktoś” ponownie uśmiechnął się smutno.

— Wiem. Ale to nic nie szkodzi. Dziecko.

Dziecko... Faktycznie, „Inny Ktoś” wyglądał na mocno posuniętego w latach, ale tylko na zewnątrz. Każdą czynność wykonywał energicznie i na sto procent. Anna bardzo mu tego zazdrościła. A później go posłuchała. Zrzuciła swój prywatny ciężar na członków Chewra Kadisza. I tak było rzeczywiście łatwiej. Podczas przygotowań do pogrzebu, podczas samej

ceremonii, a nawet przez jakiś czas po niej. Kto wie? Może rzeczywiście jest gdzieś jakiś Bóg, któremu zdarza się od czasu do czasu spojrzeć na człowieka z litością? A nawet jeśli nie ma... Ludziom, którzy wierzą — nieważne w jaki sposób — chyba łatwiej się żyje.

Anna przeżyła pogrzeb. Płakała. Cierpiała. A później, już bez wyrzutów sumienia, pozwoliła, by ogarnęła ją wyciszona na chwilę złość. I postanowiła odnaleźć sprawcę.

Rozdział 35

Ingvar zawsze był gdzieś obok Anna miewała go dosyć, starała się jednak nie dać tego po sobie poznać. Zresztą, tylko przecież „miewała”, a nie „miała”. Nie potrafiła wmówić sobie, że go nie kocha. I to było chyba najgorsze. Oczywiście jej uczucie stała się wreszcie potwornie przytłaczająca. No bo jak tak można? Tęsknić i płakać za zmarłym mężem, a jednocześnie kochać innego faceta? To prawie jak zdrada. Prawie jak czynność nielegalna, za którą należała się kara, społeczny ostracyzm, izolacja i samotność. Anna czuła, że wyrządza Vidarowi krzywdę. Chociaż już go nie było. Chociaż teraz stała się wolna i mogła bez przeszkód związać się z tamtym.

Ingvar był obok, ale nigdy nie rozmawiali o tym, co się stało. Nie naciskał. Czeakał. Wkurzał ją tą swoją cierpliwością i wyrozumiałością. Ale prowadzili razem śledztwo. Teraz już oficjalnie, odkąd Anna zgodziła się wziąć w nim udział jako konsultant.

Urlopu zakończyć jeszcze nie zamierzała. Nie wiedziała, czy naprawdę chce wrócić do policji na dobre. Miała przecież dwa warsztaty meblarskie, kilkunastu pracowników i administrację do ogarnięcia. Ktoś z pewnością odpowiadał za kwestie formalne w firmie Lindholm. Ktoś zatrudniony przez Vidara. Jakiś prawnik i facet od finansów... Kto jeszcze? W Sztokholmie było przecież to ich wielkie biuro... Anna czuła się przytłoczona ciężarem nowych obowiązków. Teraz wszystko spadło na jej nie do końca zdrową głowę i musiała się z tym jakoś uporać. Nie mogła zaprzepaścić dzieła Vidara. A czy mogła je przehandlować? Po prostu komuś odsprzedać? Za niezłą sumę? A później założyć lokatę i żyć w świętym spokoju, pracując sobie rekreacyjnie w policji? Kuszące... Anna jednak wcale nie była pewna, czy tego właśnie chciała. Kochała meble. Pragnęła kontynuować pracę męża, choć nie miała wątpliwości, że daleko jej do niego w kwestii talentu i wizjonerstwa. Mogła zwyczajnie polec. A wtedy co?

Kilkanaście dni po pogrzebie, kiedy Anna wracała z porannego treningu — pierwszego od dłuższego czasu — i przeklinała swoją kiepską kondycję, zobaczyła przed domem listonosza. Rozmawiał z Lempi. Finka gestykulowała zaciekle i raz po raz pukała się w czoło. Listonosz miętosił pasek od torby. Z wrażenia puścił rower, który przytrzymał jedną ręką. Rower huknął o ziemię. Listonosz rzucił się do jego podnoszenia, upuszczając przy tym torbę. Anna przystanąła i przez chwilę obserwowała całą scenę z oddali. Listonosz pobierał się jakoś, przyklepał torbę, po

czy próbował wcisnąć Lempi w dłońe dużą kopertę. Lempi odskoczyła jak oparzona. I później znowu to samo. Próba wcisnięcia koperty i odskakiwanie. Annie zrobiło się niedobrze. Przy spieszyła kroku.

Kiedy była już na ścieżce przed domem, pochwyliła strzępy rozmowy. A raczej awantury.

— Kobieto, ja nie mam czasu na pierdoły! Zabieraj to! Mam rzucić na wycieraczkę? — darł się listonosz, bardzo skupiony na tym, by znowu nie puścić roweru. Ganianie za Lempi z rowerem, kopertą w łapie i ciężką torbą na ramieniu sprawiało mu pewne trudności.

— Ja nie wezmę żadnego anonimu! Niech Bóg broni! Żadnych anonimów, pan słyszy? Pan poczeka na panią Lindholm albo wróci później. Albo niech pan do skrzynki wcisnie!

— Ha!!! Skrzynki? Widzi pani tu gdzie jakąś?! Proszę bardzo, mogę wrzucić do skrzynki, ale niech się ona tutaj w końcu pojawi! Za debila mnie pani ma?! Ja z tymi Lindholmami już od miesięcy walczę, żeby sobie skrzynkę zawiesili! I po co w ogóle zdejmowali starą? Bo zardzewiała?! No!!! We łbach się poprzewracało! Burzuje cholerni!!!

Anna zwolniła. Listonosz miał rację. Już dawno powinni zamontować nową skrzynkę. Ponownie przyspieszyła kroku. Lempi zamachnęła się na listonosza ścierką. Listonosz odskoczył i znowu upuścił rower. Coś dziwnie brzdąknęło. Koperta będąca zarzewiem konfliktu wylądowała na ścieżce, u stóp Anny. Lempi zamarła. Listonosz z godnością otrząpiał ubranie. Anna podniosła z ziemi kopertę. Ręce jej drżały. Anonim. Nie, tylko nie to! Nie znowu! Co tym razem, do jasnej cholery?!

— Pani Lindholm... — zaczął listonosz, teraz, na widok miny Anny odrobinę spłoszony.

— Wiem, wiem. Nie ma skrzynki. Załatwię to. Kiedyś... Kiedyś na pewno. Dziękuję — powiedziała jak robot.

Listonosz bąknął coś w stylu „nie ma sprawy”, po czym szybko się ulotnił. Anna usiadła na schodkach. Lempi przycupnęła obok. Obie doznały dziwnego déj à vu. Kiedyś już tu siedziały. Tyle że wtedy przyglądały się kartonowemu pudełku, którego zawartość zgładziła kota Erikssonów. Tyle że wtedy Anna miała jeszcze męża i nie spodziewała się zostać wdową. Tyle że wtedy...

— To co? — odezwała się Finka grobowym głosem. — Otwieramy czy od razu na wszelki wypadek wywalimy?

— Wywalić nie możemy. Może tam być jakaś wskazówka. Dowód...

— Taa...

Anna podjęła wreszcie męską decyzję i rozerwała kopertę. W ogóle nie zdziwiła się jej zawartością. W środku było kilka czystych kartek papieru i tylko jedna zadrukowana. Cytaty z Wilde'a. Żadnej wzmianki o Helu, Heelu czy innych dziwnych miejscach. Raczej ogólnoludzkie refleksje. O teatrze świata. O pieniądzach. O miłości. O zazdrości. O zbrodni... Anna nie czytywała się w nie zbyt uważnie. Jednego tylko była naprawdę ciekawa. Po co znowu jej to przyślano? I czy tym razem również zrobiła to Amalia?

Nie... To by było zbyt bezsensowne. Zbyt idiotyczne. Teraz Amalia niczego by już Annie nie wysłała.

Więc kto?

Wkrótce przesyłek było więcej. Anna dostawała codziennie jedną do domu, a raz Ingvar przyniósł też kopertę z pracy. Anonim, oczywiście. Wysłany na adres komisariatu i zaadresowany do komisarza Lindholm. Wilde. Czy autor zamierzał przepisać wszystkie jego książki? Zaczynał już cytować powieść *Teleny* o namiętej miłości gejowskiej... Do czego to wszystko prowadziło? Anna dostawała również maile o podobnej treści. Cytaty powielały się, fragmenty książek przytaczane były w innych konfiguracjach, jak gdyby układane w większe, ale za każdym razem odmienne całości.

— Musisz mieć wsparcie — oświadczył pewnego dnia Ingvar z bardzo poważną miną.

Siedzieli w kuchni. Był późny wieczór, a Lempi położyła się wcześniej spać, bo rozboleła ją głowa. Anna upiła łyk wina. Nie znosiła wina, ale burbon za bardzo teraz kojarzył jej się z weselem Lidki i z... Brunonem.

— W sensie... Ochronę? Chyba cię pogięło!

— Ana, nie mamy przełomu w śledztwie, za dużo zupełnie ze sobą niepowiązanych ofiar...

— Niepowiązanych?! A ja? Ja ich wszystkich znalazłam, Ingvar! To ja jestem wspólnym mianownikiem. Cholera, na pewno... Innej możliwości nie widzę.

— I w ogóle cię to nie martwi?

— Martwi. Tylko dlaczego nikt mnie nie słucha? W Malmö sprawdzają powiązania finansowe Sofii, znajomości polityczne Narcyza, w Ystad studiują księgi rachunkowe Vidara i jego potencjalne znajomości na Półwyspie Helskim... To śmieszne!

— Trzeba sprawdzić wszystko. Świetnie o tym wiesz.

— Wiem. Ale coś mi mówi, że ta zbrodnia nie jest natury ekonomicznej ani politycznej. To zbrodnia namiętności...

— Namiętności? — Ingvar roześmiał się, co sprawiło Annie przyjemność. Tak dawno nie słyszała jego śmiechu. Pokręcił głową. — Brzmi jak z taniego romansu.

— Być może. Ale tak czuję. Po namyśle mogłabym ewentualnie dopuścić też czynnik ekonomiczny. Kasa i namiętność. Wiem, że mam rację. Niestety... Niczego więcej nie wiem. A te maile? Skąd przyszły? Informatyków już ołśniło? Bo na listach tradycyjnych oczywiście żadnych odcisków palców nie uraczymy, to jasne. Chyba że pracowników poczty. Nie były słane priorytetem ani listem poleconym, więc monitoringi tutaj akurat można o kant dupy rozbić. Ktoś wrzucał listy do skrzynki. Jakiegokolwiek. Wydrukował adres. Wykazując się wielką mądrością i przecznością, wystroił się w rękawiczki. I tyle. No więc co z mailami?

— Kawiarenka internetowa w Malmö. Podrzędna. Bez kamer.

— Kurwa!

— Zgadza się.

— I pracownicy nikogo nie kojarzą?

— Ale co mieliby kojarzyć? Nie zaglądają ludziom przez ramię. Postawiliśmy tam kogoś, niech się trochę pogapi. Może nasz delikwent wróci?

— Delikwent? A zatem podejrzewasz jakiegoś faceta, nie Amalię?

Ingvar wzruszył ramionami.

— Płeć ma tu akurat znaczenie drugorzędne. Ale Amalia dużo by ryzykowała, bawiąc się dalej w takie podchody. Wciąż utrzymuje, że nic nigdy nikomu nie wysyłała. Poza tą jedną kopertą, którą zostawiła na recepcji. Temu nie zaprzecza, ani też niczego nie potwierdza. Milczy, tak jak kazał jej papuga.

Anna dopiła swoje wino i wstawiła kieliszek do zmywarki. Oparła się o kuchenny blat.

— Istnieje taka opcja, że ktoś majstrował przy jej laptopie? I jakoś wetknął tam te foldery z cytatami?

— Istnieje. Ale musiałby to być ktoś bliski. Raczej. Tak miemam. Nie zgłosiła kradzieży. Chyba że zostawiła ten laptop gdzieś w miejscu publicznym na dłuższą chwilę. Ale musiałaby być jakąś idiotką lub cierpieć na chwilowy zanik pamięci. A ktoś inny musiałby akurat znaleźć się w odpowiednim miejscu. Co jest naciągane i to mocno. Nie sądzisz? No i... Przecież zauważyłaby ten folder, gdyby ktoś jej go „zaaplikował”...

— Mhm. I tak warto to chyba sprawdzić?

— Warto. Chyba. Ana... Nadal uważam, że nie powinnyście być tu z Lempi same. To niebezpieczne. Albo chociaż przeprowadźcie się na jakiś czas do Ystad. Tutaj jest takie pustkowie.

— Albo ty spakuj ziółka do torby i przeprowadź się tutaj na parę dni. Wolę ciebie niż jakiegoś obcego typana... — zaproponowała Anna i natychmiast tego pożałowała.

Kretynka! To tyle w kwestii rozterek...

Ingvar zdębiał.

— Co ty gadasz? Jesteś pewna?

— Absolutnie nie. I... Póki co, śpimy osobno. Nie jestem... Nie wiem jeszcze... Nie potrafiłabym...

Podszedł do niej i mocno ją do siebie przycisnął.

— Zamknij się już lepiej.

Ingvar głaskał ją po głowie, a ona myślała tylko o jednym. Że jest skończoną idiotką.

Rozdział 36

Obudził ją hałas. Hałas, w którym nie było jednak niczego niepokojącego. Usiadła na łóżku i przeciągnęła się leniwie. Hałas powtórzył się. Co to dokładnie było? Stukanie? Szuranie? I dlaczego uznała, że nic ją w tym dźwięku nie zaniepokoiło?! Zerknęła na zegarek. Czwarta trzydzieści. Być może uznałaby nawet, że to całkiem niestosowna pora na jakiegokolwiek hałas, gdyby nie fakt, iż całkiem niedawno ona sama biegała o tej godzinie po Helu, we mgle,

i wyrywała ze snu porządných ludzi. Biegała, a jednak na nikogo przecież nie polowała. A na nią ktoś polował! Anna zarzuciła na ramiona bluzę i z zaciętą miną złapała kij do nordic walking. Obejrzała go w świetle księżycyca i z uznaniem pokiwała głową. Nada się. Lekki do noszenia, a jak śmignie przez leb...

Po cichutku otworzyła drzwi i na boso zesza po schodach. Hałas dochodził z kuchni. Tak, to było delikatne stukanie przemieszane z szuraniem i... siorbaniem? Anna zatrzymała się w hallu. Z kuchni sączyło się słabe światło lampki nocnej. Sama ją tam umieściła, kiedy zaczęła pracować w wydziale zabójstw i często wychodziła z domu o różnych porach, także o świcie, późnym wieczorem czy około północy. Nagle wypadki... Vidar tak potwornie ich nie znoził!

Smuga światła przecinała hall, a dźwięki powtarzały się regularnie. Anna zacisnęła palce na kiju. Ruszyła przed siebie. W hallu zamajaczył jakiś cień. Machnęła kijem. Obawiała się, że dość na oślepi... Usłyszała głuche uderzenie, a później ktoś wyrwał jej „broń” z ręki.

— Ana!!! Oszalałaś?!

Ingvar stał przed nią w samych gatkach — które, na szczęście, nie były w żadne cholerne smerfy — i rozmasowywał sobie dłoń. Aha. Czyli w nią właśnie przy waliła. Powinna się zacząć leczyć. I to jak najszybciej!

— A mogłabym wiedzieć, co ty tutaj robisz? W środku nocy? I co to za szuranie, siorbanie i inne-nie-wiem-co?

— W jakim środku nocy?! Ja nie wiem, być może renowatorzy i producenci mebli wstają o dziesiątej i jedzą śniadanie w łóżku, ale przyzwoity policjant przyłazi do biura o ósmej albo nawet o siódmej i...

— O ósmej! O siódmej! Ja pierdołę, Ingvar, jest czwarta trzydzieści!!!

Ingvar spojrział na nią z politowaniem i zaciągnął ją do kuchni. Wskazał palcem na blat. Oczom Anny ukazała się sielkana zielenina, jakiś dziwnie wyglądający twarożek, syplki ryż i makaron, który sprawiał wrażenie brudnego i oblepionego podejrzaną roślinnością. Z sokowirówki wyciekał sok o niezbyt zachęcającym do konsumpcji kolorze. Pachniało... czymś. Anna pociągnęła nosem. Pomyślała o Lempi, która z pewnością wścieknie się, kiedy zobaczy ten burdel.

— Uhm... A to co niby jest? Mam na myśli... To wszystko?

— Jedzenie.

— Co ty powiesz?

— Przepraszam, a tobie się wydaje, że to zdrowe żarcie, które zawsze przy nosilem do pracy, kto mi niby robi? Gosposia?

— Odwal się od gosposi!

— Przecież nie przy wałam się do gosposi! — zaprotestował. — Tylko stwierdzam fakt. Jeśli ktoś, kto akurat nie ma gosposi, chciałby w ciągu dnia zjeść dobre żarcie, to sam je sobie musi przygotować. Przepraszam, ale tak wygląda życie. A ja postawiłem na slow food. Koniec kropka. A teraz przepraszam, muszę dokończyć sos na zimno do ryżu.

Anna zdrętwiała. „Tak wygląda życie”. Jasne. Co ona wiedziała o prawdziwym życiu?

Takim, w którym trzeba samemu sobie robić zarcie, samemu sprzątać i wyrzucać śmieci. „Pieprzona burżujka”! Czy nie tak wyraził się o niej tamten listonosz? A przecież... Tak nie było zawsze! Nie miała gosposi „od zawsze”. I dlaczego właściwie zaczęła się czuć winna, że teraz jedną zatrudniała?! Przecież Lempi nie była wykonywanym niewolnikiem z *Chaty wuja Toma*!

Obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni, zostawiając Ingvara z jego kuchennym burdelem. Proszę bardzo! Niech świeci oczami przed Lempi. Powinni zdążyć się spotkać. Finka miała zwyczaj wstawać wczesnym rankiem.

Ingvar dogonił ją, kiedy była już w drzwiach sypialni. Spojrzała na niego z miną obrażonej diwy, majestatycznie zrzuciła bluzę i wpełzła pod koldrę. Spodziewała się przeprosin. Ale się pomyliła.

— Można wiedzieć, co wyprawiasz?

— Śpię. Wszyscy ludzie, którzy mają gosposie i nie muszą sami sobie robić zarcia, śpią o czwartej trzydzieści! — odcięła się.

— Tak! Być może tak! Ale my jedziemy dzisiaj do Malmö! Sama mi trulaś dupę, że chcesz jeszcze raz obejrzeć taśmę z więziennego monitoringu i się rozejrzeć! Przecież o tym rozmawialiśmy! Mówiłaś, że wstaniesz o piątej, zbierzemy się i pojedziemy. Żeby nie tracić dnia! Sama tak mówiłaś! Świeciłem dla ciebie oczami przed różnymi ważnymi ludźmi z komendy! Dzisiaj miałem załatwiać papierkologię i odwalić telekonferencję z tym policjantem z Helu, zamiast biegać po Malmö! A ty co?! Wykituję przez ciebie!!!

Wykituję przez ciebie... To samo powiedział Annie Lajon w Helu. Na niego zresztą też rzuciła się impulsywnie i zaatakowała zaimprovizowaną „bronią”. Usiadła na łóżku i tym razem z miną naburmuszonego dziecka odrzuciła koldrę. Oczywiście na śmierć zapomniała nastawić budzik, do czego nigdy w życiu by się Ingvarowi nie przyznała. Na korytarzu wybrzmiały kroki i w drzwiach sypialni ukazała się tym razem Lempi. Z dzikim okrzykiem rzuciła się na Ingvara, wygrażając mu walkiem do ciasta. Anna czym prędzej włączyła światło. Lempi gwałtownie zmrużyła oczy i uświadomiwszy sobie, że oto stoi przed nią facet odziany w same gacie, krzyknęła ponownie. Walek upadł na podłogę. Ingvar syknął.

— Co tu się wyrabia?! Chciecie mnie zabić obie? Wam wcale nie jest potrzebna ochrona!!!

Zamachał rękami w niewiadomym celu i z dumnie podniesioną głową opuścił pokój. Lempi usiłowała na niego nie patrzeć, Anna zauważyła jednak, że Finka pospiesznie i z bliskim uznaniem oku zlustrowała sylwetkę Ingvara.

— Niezły, co? — powiedziała i otworzyła szafę. W coś trzeba się było ubrać. W coś, co najlepiej przypominało dresu.

— Ale co pani wygaduje! Myślałam, że ktoś panią atakuje...

— Dobrze zrobiłaś. Ja też przybiegłabym tobie na ratunek.

Anna opowiedziała Lempi pokrótce o porannej konfrontacji z Ingvarem w hallu. No cóż, każda z nich wybrała charakterystyczną dla siebie broń. Anna kijek do nordic walking, a Lempi walek do ciasta. Wybór Lempi był chyba jednak o niebo lepszy.

— On tu tak... na stałe? Znaczy pan Ingvar? Znaczy pan Frisk? — spytała Finka, siłąc się na

niedbały ton.

— Daruj sobie tytuły, Lempi. Ingvar jest przeciwny feudalizmowi, służbie, burżujom i nawet monarchii. Pojęcia nie mam, co robi w Szwecji. Jak będziesz go nazywała „pan Frisk”, to się na ciebie obrazi. Skoro ci przez gardło nie przechodzi nazywać nas po imieniu, to „pan Ingvar” wystarczy. Ale i tak nie będzie zadowolony. Uważa, że to dyskryminacja. Ciebie.

Lempi prychnęła i poinformowała, że robi śniadanie, skoro wszyscy wstali. Anna kiwnęła głową, wciąż przebierając w ciuchach. Dopiero, kiedy usłyszała przeraźliwy wrzask i wykrzyczane na wysokich tonach fińskie słówka, które na pewno były przekleństwami, wyobraziła sobie, co dokładnie Lempi zastała w kuchni. Uśmiechnęła się mściwie i postanowiła dać im trochę czasu sam na sam. Nie zaszkodzi przecież, jeśli dla odmiany zrobi sobie staranny makijaż...

Rozdział 37

Więzienie w Malmö wyglądało dokładnie tak, jak przed czterema tygodniami. Cztery tygodnie. Tyle czasu upłynęło, odkąd wysiadła z terenówki Ingvara i przypomniała sobie cytat z *Hrabiego Monte Christo*. Więzienie nadal przypominało w większym stopniu elitarną szkołę dla angielskich chłopców z dobrych domów niż zakład karny, ale tym razem Anna darowała sobie wyrzuty wobec przedstawicieli prawa. Prawdę powiedziawszy, gdyby rzecz nie dotyczyła Vidara i jej matki, zupełnie straciłaby serce do tego śledztwa. Miała w nosie Narcyza i właściwie miała już też w nosie Sofię... Ale mordercy Vidara nie mogła tak po prostu sobie odpuścić. Jego musiała dorwać. I jeśli nie udusić osobiście, to przynajmniej postarać się, by dostał to, na co zasłużył.

W gabinecie dyrektora czekała na nich Ester Gustafsson. Anna drgnęła na jej widok i przywitała się cicho. Ester wyglądała na zakłopotaną. I złą.

— Bardzo mi przykro z powodu twojego męża.

— Dziękuję.

— Ale... No, ostrzegalam was. Widziałas te zdjęcia. Wasze prywatne, które ktoś wam zrobił. Mówiłam, że trzeba uważać, tym bardziej że twój mąż nie bardzo miał jak się bronić...

— Ester! Daj spokój — wtrącił się Ingvar. W samą porę. Anna już zdążyła się zagotować.

— Uważam tylko, że można było...

— Nie pamiętam, żebyś jakoś specjalnie zniechęcała mnie do wyjazdu! Wręcz przeciwnie!
— nie wytrzymała Anna.

— Tak, ale to nie zmienia...

— Ester! — głos Ingvara przeciął przestrzeń jak ostry nóż.

Anna spojrzała na niego z wdzięcznością. Ester zacisnęła wargi w wąską kreskę. Zmieszała

się. Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież.

— Chodźcie. Zobaczymy te filmy. Chociaż nie wiem, po cholere, już je przecież widzieliśmy!

Kiedy szli przez korytarz, Ingvar, chcąc pewnie oczyścić nieco atmosferę, wypytywał Ester o wczorajszy dzień. O to, czy zrobiła jakieś postępy i co w ogóle działo się w Malmö. Ingvar nie przyjeżdżał tutaj od kilku dni. Siedział w Ystad i dłużył w sprawie helskiej, choć trudno było brać w niej udział na odległość. Pracę komplikował również fakt, iż nie mogli zbyt wchodzić w paradę tamtejszym policjantom, którzy — o ile Anna wiedziała — do niczego jeszcze nie doszli.

— Okay, jesteśmy na miejscu. Ja wracam do gabinetu dyrektora. Pogadam z nim jeszcze. Nasz kolega ponownie prześwietlił wszystkich byłych kontrahentów Narcyza, z czasów gdy ten zajmował się jeszcze hodowlą rzadkich kwiatów. Popytam. Może Narcyz coś jednak komuś mówił... I trzeba dotrzeć do przekupionych przez niego strażników. Bo są tacy. Na pewno. No... to ja lecę. Nie mam zamiaru znowu babrać się w tych taśmach. Ingvar? Idziesz?

— Nie. Pooglądam.

— Już oglądałeś.

— Pooglądam znowu.

— Ingvar... Mogę cię na chwilę prosić?

Ingvar z ociąganiem wyszedł na korytarz. Anna słyszała, jak Ester warczy na niego z wściekłością. „Co ty wyprawiasz?!”. „Zachowujesz się jak szczeniak”. „Jesteś śmieszny”. „Myślałam...”. Myślała... Co myślała? Anna uśmiechnęła się gorzko. Pewnie ze sobą spali. Jakoś niedawno. Zaciśnęła powieki.

To-teraz-nie-jest-ważne!!!

Przysunęła sobie krzesło i usiadła przed monitorem. Skupiła się. Postanowiła, że tym razem coś zauważy. I zauważyła.

Wychyliła się w stronę ekranu i skoncentrowała wzrok na słynnej „babci” od wypieków. A dokładnie podrabianej matce Narcyza. Zatrzymała film. Zrobiła zbliżenie. Zmarszczyła brwi. Obejrzała wszystko od początku. Coś jej tu nie grało. A raczej... właśnie grało. Coś w twarzy, ale bardziej w gestach. W mimice. W sposobie siedzenia. Lekko przygarbionych ramionach. W zakłopotanej, przepraszającej minie. Anna wyciągnęła z kieszeni telefon i uruchomiła internet. Weszła na stronę Sofii Siatesi i w zakładce „kontakt” odnalazła zdjęcie Amalii. Jeszcze raz spojrzała na ekran. Jeszcze raz puściła film. Jeszcze raz zatrzymała go na kilku ujęciach. Jeszcze raz zrobiła zbliżenie.

Amalia.

Babcia od wypieków.

To nie było nawet żadne podobieństwo. To były zaledwie mikroruchy. Niuanse. Robota dla Sherlocka Holmesa. Tylko dla niego. Bo ona sama nie wierzyła we własne domysły. Być może mylił ją wzrok. Wiele przeszła. Nikt nie weźmie jej podejrzeń na poważnie. To nie czasy, kiedy mordercy bawią się w przebieranki.

A może jednak...?

Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że głosy na korytarzu ucichły. Ingvar musiał widocznie skapitulować wobec gniewu Ester i udać się razem z nią do gabinetu dyrektora. Albo w inne miejsce. Co za różnica? Grunt, że powinien być tu z Anną i razem z nią ponownie oglądać te pieprzone filmy. Ponownie! I co z tego, że już je widział? Co z tego, że Ester uważała to za stratę czasu?! Nie powinien jej słuchać! Powinien słuchać Anny. Powinien wykazać się zaufaniem, powinien się postarać, powinien...

A jeśli on również uważał, że Anna jest zbyt rozchwiana emocjonalnie, by ktokolwiek mógł brać na poważnie to, co mówi? Że jej teorie są nieprawdopodobne i podyktowane prywatnym pragnieniem zemsty? Albo że sama jest celem? Tak, ta teoria akurat bardzo by się Ingvarowi spodobała. To właściwie była jego teoria. Przekonanie, że morderca zostawił sobie ją po prostu na deser. A najpierw wybił osoby z najbliższego otoczenia. Najbliższego? Nie! Poza Vidarem to wcale przecież nie było najbliższe otoczenie. Teoria miała luki. I gliniane fundamenty. W ogóle nie było właściwie jednej spójnej teorii. No i Bruno... Lidka. Marcin-barman. To wszystko wyglądało jak jakaś cholerna kpina! Bzdura...! Mimo to Ingvar powinien tu być.

A jednak nie było go. Poszedł z tamtą. Przekonała go do swoich racji. A Anna została sam na sam ze zlepkim dziwnych filmów, które w niepożądany sposób pobudzały jej wyobraźnię. Wyłączyła płytę z nagraniem i wyszła na korytarz. Strażnik, który stał na zewnątrz i którego zadaniem było — jak podejrzewała — mieć na wszystko oko, spojrział na nią dyskretnie. Anna oparła się o ścianę, otworzyła torbę i tępo wpatrzyła się w jej wnętrze. Po co? Ach tak... Telefon... Sięgnęła po komórkę i w nią również wpatrzyła się tępo. Nie, nie... Nie będzie dzwonić do Ingvara. Najlepiej zwyczajnie uciec. Znowu uciec, jak wtedy, przed czterema tygodniami, kiedy skłamała, że pojedzie do hotelu, a tak naprawdę udała się do opery. I teraz też właśnie o operze myślała. Ester podobno wszystkich już tam przesłuchiwała, ale ona szukała podejrzanych. A Anna... Anna nie zamierzała szukać podejrzanych. Interesowała ją tylko jedna, konkretna osoba.

Wyprostowała się. Wrzuciła telefon z powrotem do torby. Uśmiechnęła się do strażnika i kiwnęła głową w stronę drzwi, zza których przed chwilą wyszła.

— Skończyłam już, dzięki. Odprowadzi mnie pan do wyjścia?

— Jasne.

Strażnik zamknął pomieszczenie na klucz i wskazał Annie drogę. Przez chwilę szedł obok niej w milczeniu, ale każdy jego ruch zdradzał objawy zdenerwowania. Był bardzo młody. Może to dlatego? Nie zdążył się jeszcze przyzwycząić do tej roboty, nie zdążył się znieczulić... Strażnik spojrział na Annę z ukosa i nagle pociągnął ją za łokieć. Krzyknęła, kompletnie zaskoczona.

— Ciiiiii! — syknął chłopak i rozejrzał się niespokojnie. Był śmiertelnie błądy.

Anna wyrwała mu się, ale ten znowu ją złapał, tym razem za rękę, i pociągnął w stronę schodów awaryjnych. Zbiegli na półpiętro. Chłopak puścił wreszcie Annę, która już miała wziąć porządny zamach, by dzielić go w zęby. Zatrzymała się w pół ruchu i tylko trzepnęła delikwenta

mocno w ramię.

— Co ty odpieprzasz?! Myślałam, że się zabiję na tych schodach!

— Niech pani nie krzyczy. I przepraszam. Ale muszę... Bo widzi pani, ja też pilnowałem tego Narcyza. Pracuję tu od niedawna i nie chciałem... Ale powiedzieli, że mam się uczyć. Było nas dwóch. Ja i... Taki Sven. Starszy facet. I on... No, brał kasę.

Anna z satysfakcją klasnęła w dłonie. Bingo!

— Brał kasę? — powtórzyła. — Od Narcyza? Ale przecież wzięliśmy już tę opcję pod uwagę. Sprawdzamy was sukcesywnie i póki co, wszyscy wydają się czyści, ale ten... Sven...

— Adamsson...

— ...Adamsson jakoś nie rzucił mi się w oczy.

W ogóle nikt nie rzucił jej się w oczy, bo przecież nie ona sprawdzała strażników. Ale o tym chłopak nie musiał wiedzieć. A może właśnie dlatego w ogóle z nią rozmawiał? Bo była tutaj w miarę świeża i nieobeznana z otoczeniem? Jak on...?

— Bo Sven już tu nie pracuje.

— Aha... No jasne. — Anna przysiadła na schodach. — A gdzie jest?

Karaiby? Hawaje?

— Wyspy Kanaryjskie. Zawsze chciał tam mieszkać.

Oczywiście! Niewiele się pomyliła. Wyspy Kanaryjskie to nawet lepsze wyjście. Blżej. Taniej.

Strażnik stał przed Anną jak skazaniec przed ścięciem. Po chwili wahania usiadł obok niej.

— Wiem to — podjął — bo sam mi powiedział. Ten Sven. Nie krył się specjalnie. Powiedział, że opłacało mu się parę razy przymknąć oko na to i owo, żeby wreszcie stąd uciec i wygrać się w ciepłych krajach. Kupił sobie jakiś domek na takiej mniej komercyjnej wyspie, ponoć niedrogo. Znaczy, starczyło mu z tego, co...

— Zarobił sobie tutaj? — uściśliła i w zamyśleniu podrapała się po czole. — No dobra... Skoro ty jesteś taki miły i chcesz się zwierzyć, to gadaj! Co ci powiedział ten cały Sven Adamsson i dlaczego jeszcze nie zznałeś tego na policji?! Wiesz, że to zatajanie ważnych informacji i utrudnianie śledztwa?

— Wiem. Ale, widzi pani, bałem się. Bo Narcyz kilka razy grzecznie mnie poprosił, żebym nie czepiał się specjalnie tej starszej pani, co tu przychodziła i przynosiła ciasteczka... I żebym jej się tak nie przyglądał. I żebym nie podsłuchiwał za bardzo. To może po godzinach, kiedy wyjdę na zewnątrz...

— Nic ci się nie stanie? — dokończyła.

— No właśnie. Svena podplacił, a ja... Od razu widać, że nikomu specjalnie nie podskoczę. Bałem się, że jeśli o tym opowiem tej kobiecie... Tej nadkomisarz... To zaraz będzie, że ja też brałem łapówki. A nie brałem. Słowo! Z drugiej strony, co ze mnie za klawisz, skoro nawet nie umiem się bandytom postawić?

Chłopak wyglądał na autentycznie zrozpaczonego. Anna poklepała go lekko po kolanie.

— Znajdź sobie inną robotę lepiej.

— Wielkie dzięki — odparł, całkiem już zrezygnowany.

— Zemasz to pod przy sięgą? To o zastraszaniu przez Narcyza?

— Chyba nie mam wyjścia.

— Dobrze. A teraz ten Sven...

— Svena nie ma sensu szukać. To był, w gruncie rzeczy, głupek.

— Głupek?

— Tak.. On niczego się nie domyślał. Brał kasę i pozwalał Narcyzowi przyjmować paczki od tej swojej matki, która okazała się wcale nie jego matką... Nie wnikał, wie pani. Po prostu patrzył w innym kierunku. Już go tu nawet nie było, kiedy Narcyz wykitował. Wtedy pilnował Narcyza inny strażnik i on zgodził się tylko na tę paczkę urodzinową z tortem. I też na pewno coś mu za to skapnęło. A ja... widzi pani... Mnie nikt nie brał na poważnie w tych finansowych rozgrywkach. Ale to właśnie ja wszystkiego się domyśliłem. I dlatego Narcyz mnie zastraszył.

— Już mówiłeś o zastraszaniu...

— Nie, on mnie znowu zastraszył. Tak już na serio.

— Słucham? — Anna poczuła, że oblewa ją nagła fala gorąca.

— Zastraszył mnie, bo się wszystkiego domyśliłem. Powiedział, że czasem nie jest dobrze być zbyt mądrym... To nierozsądne. I że jeśli komuś powiem... To on wciąż ma znajomych poza więzieniem, którzy będą wiedzieli, jak mnie znaleźć. Teraz oczywiście wiem, że popełniłem błąd. Powinienem to zgłosić naczelnikowi, ale uznałem, że skoro Narcyz sam tego chciał... I przecież im mniej zbirów na świecie, tym lepiej. W głębi duszy jestem chyba zwolennikiem kary śmierci.

— O czym ty mówisz, do ciężkiej cholery?! — zirytowała się, bo opowieść chłopaka stawała się coraz bardziej chaotyczna.

— No o Narcyzie... On chciał umrzeć. Wiedział, że ona go truje. Ta jego matka czy ktoś. Nie wiem, czy się na to umówili, czy może ona chciała się go pozbyć, on to wykapował i w sumie uznał, że świetnie się składa, bo i tak nie chce mu się siedzieć w pierdlu do końca życia... Tego nie wiem. Ale na pewno zdawał sobie sprawę, że ona go truła. Wszystko zerał. Wszystko, co mu przynosiła. A po tym torcie zaczął narzekać, bo pewnie się wreszcie przestraszył, że to już... Co innego chcieć umrzeć, a co innego rzeczywiście zacząć umierać... Prawda?

— Kurwa mać — szepnęła Anna i przetarła oczy. — Musisz to zeznać.

— No wiem...

— Musisz! Powiedziałeś mnie. Poćwiczyłeś sobie przemawianie. Odprowadź mnie do wyjścia, a później znajdź tę miłą nadkomisarz Gustafsson i wszystko jej powiedz. I jej kumpłowi. Taki śniady, w skórzanej kurtce... Oni coś wymyślą. Pomogą ci. Nie musisz się bać.

Chłopak zmarszczył brwi. Anna poklepała go po ramieniu i zaczęła schodzić po schodach.

— Nie lubię tej Gustafsson — powiedział, dołączając do niej.

— No co ty?

Rozdział 38

Wszyscy byli na siebie obrażeni. Lempi wciąż dąsała się za poranny burdel, którego Ingvar nie zdążył po sobie posprzątać, a on z kolei dąsał się o to, że przecież NIGDY niczego nie sprząta RANO. Bałagan czeka spokojnie i cierpliwie na jego powrót, po czym zostaje unicestwiony w całości wieczorem. Chyba że akurat wypada dzień wolny od pracy. Wtedy proszę bardzo! Wtedy można sprzątać, bawić się w perfekcyjną panią domu — czy pana, w zależności od sytuacji — i karmić duszę harmonią, płynącą z czy stych podłóg i poukładanych przedmiotów.

Ale! Jeśli trzeba iść do pracy, to komu, do cholery, przeszkadza burdel? Przecież i tak nikt go nie widzi. Prawda? Lempi odpowiadała na to z miną Kleopatry, że owszem przeszkadza. Jej! Bo w tym domu ona zajmuje się kuchnią. Ona gotuje! A może to ma się zmienić? Może już nie jest potrzebna? W takim razie proszę bardzo! Skoro pani Lindholm tego sobie życzy, ona — Lempi — czeka na wypowiedzenie! Nie ma pojęcia, dokąd pójdzie i gdzie znajdzie pracę, i w ogóle co się z nią stanie po tych wszystkich dramatach, które przeżyła. Bo przecież nie może wyjechać z Ystad i nadal jest chyba w gronie podejrzanych, a zatem ruszyć w świat nie sposób. Ale na siłę tutaj zostać nie zamierza. Nie zniesie krzywych spojrzeń i dogadywania, że czasy niewolnictwa się skończyły. Otóż ona — Lempi — niewolnicą nie jest, dostaje godziwą pensję i wykonuje pracę tak samo dobrą, jak każda inna. A może nawet lepszą! Bo lubi to, co robi! Kocha to! I jest sama na świecie, nie licząc babci pod kołem podbiegunowym i matki w Moskwie, z którą nigdy jakoś nie było jej po drodze! A tutaj, pani Lindholm zawsze... I pan Vidar...

Lempi rozbeczwała się i ukryła twarz w kuchenną ścierekę. Anna spojrzała z wściekłością na Ingvara, który z rozmachem odstawił kubek z ziółkami i wyszedł z kuchni. Lempi nie przestawała chlipać. Anna policzyła do dziesięciu, następnie do dwudziestu. Poprosiła Finkę, by poszła sobie trochę odpocząć, bo dzisiaj i tak nikt nie ma specjalnej ochoty na kolację. Zapewniła ją, że na razie o żadnych zwolnieniach nikt tu nie myśli i niczym nie trzeba się zamartwiać. A Ingvar musi z nimi chwilę pomieszkać, w przeciwnym razie zwali im się na łeb jakiś obcy policjant, który będzie zaglądał w gary i próbował każdego żarcia. Lempi rozłożyła ręce w geście bezradności. Wychodząc z kuchni, zauważyła jeszcze złośliwie, że pan Ingvar to być może i zna się na zdrowym jedzeniu, ale zupełnie nie wie, jakiego noża do czego używać!

Anna została sama. Złapała się za głowę i usiłowała przywołać jakieś antystresowe triki, których uczyli ich w policji. Nic z tego. Cała aż trzęsła się z wściekłości. Po wszystkich domysłach związanych z nagraniem z monitoringu i zwierzeniach strażnika więziennego, po niemożności ucieczki i udaremnionej wizycie w operze, teraz jeszcze to! Anna czuła się jak matka zbuntowanej nastolatki, która po śmierci ojca uprawia partyzantkę wobec każdego nowego faceta swojej rodzicielki.

Chociaż... W tym sporze rozumiała obie strony. Ingvar miał rację. Ludzie, którzy żyją bez gosposi, zostawiają rano burdel i sprzątają dopiero wieczorem. Albo nawet i nie... Poza tym

Ingvar akurat należał do tej zwichrowanej części ludzkości, która wykazywała niebezpieczne tendencje pedantyczne. Jego dom łnił. W zdrowym ciele zdrowy duch. W zdrowym domu zdrowe ciało... Trudno jednak, żeby wszystkie te porządki robił o piątej czy szóstej rano! Lempi również miała rację. Ingvar wkroczył na jej terytorium i poczuła się nagle niepotrzebna. Martwiła się, że Anna ją zwolni... A Anna przecież myślała też i o tym. Dla siebie samej nie potrzebowała gosposi. Mimo to miała pieniądze i mnóstwo spraw na głowie, a gotować nie umiała i nie lubiła. I szkoda było jej pozbywać się Lempi.

Konflikty domowe należało rozwiązać jak najszybciej. Finka nie nadawała się już dzisiaj do żadnych dyskusji, ale Ingvara można było trochę ochrzanić. Tym bardziej że Anna była na niego zła. Po pierwsze za to, że nie obejrzeni razem taśm z monitoringu, po drugie dlatego, że kiedy wyszła z więzienia, czekał na dworze, przed zakładem i uniemożliwił jej planowaną wycieczkę do opery. Po trzecie za to, że uznał, iż nie powinna wysłuchiwać zwierzeń strażnika w samotności, na jakiejś klatce schodowej, tylko powinna od razu kogoś zawołać. Powinna-Nie-Powinna! Zawołać! Na przykład Ester.

— Ester...!

Prychnęła na to Anna i więcej już się nie odezwała. Nie powiedziała nawet Ingvarowi o swoich domysłach związanych z babcią z nagrania i Amalią Stiatesi. O tajemniczym pomocniku i tropie w postaci gazet pod wycieraczką wciąż mu nie przypominała, choć myślała o tym coraz częściej. Amalia, Narcyz, Sofia, arsenik Bruno, Lidka, Vidar, arsenik Tajemniczy pomocnik Narcyzy i bogini Hel. Oscar Wilde i Joris-Karl Huysmans. Ktoś tu sobie nieźle pogrywał. Co jeszcze wymyśli?

Ingvar wymógł na Annie obietnicę, że wróci do cholernego więzienia i jeszcze raz wysłucha wynurzeń chłopaka. Tym razem w towarzystwie jego i — rzecz jasna — Ester. A później potwierdzi, czy strażnik zeznał to samo, co mówił wcześniej, na schodach. Zgodziła się, choć nie zamierzała udawać zadowolonej. Przesłuchanie przebiegło pomyślnie, ale zajęło sporo czasu. Do Ystad wracali późnym popołudniem. Anna siedziała w milczeniu przez całą drogę. Ingvar zresztą też.

A teraz co...? Co robić? Z całym tym bałaganem?

W korytarzu wybrzmiały kroki, które wyrwały Annę z zamyślenia. Ciekawe, co tym razem...? W progu pojawiła się rozczochrana, czarnowłosa głowa Ingvara.

— Zostawiłaś telefon w łazience — mruknął i podał jej komórkę.

— Mhm.

— Dostałaś milion esemesów od Leona Wolińskiego.

Anna wyprostowała się jak struna.

— A skąd to wiesz? Przeczytałeś?

Ingvar spojrział na nią z politowaniem.

— Nie, pokazały się na wyświetlaczu. Tak się właśnie dzieje, kiedy przychodzą wiadomości, nie pamiętasz? Nie, nie czytałem. Po prostu zobaczyłem, że od niego. Wystarczy?

— Wystarczy?! Teraz tak będziemy ze sobą rozmawiać? O co ci chodzi? Czepiasz się Lempi,

czepiasz się mnie, masz jakiś problem z tym, że Lajon do mnie pisze! Tak, utrzymujemy kontakt!

Nie podoba ci się coś?!

— Spałaś z nim?!

Anna stanęła jak wryta. Chciała zaczerpnąć tchu, ale tylko łapczywie chwyciła pojedyncze hausty powietrza. W skroniach jej pulsowało, a policzki piekły z wściekłości.

— Słucham?! — wycedziła wreszcie i doskoczyła do niego. — Co ty powiedziałeś?!

— Pytałem, czy z nim spałaś — powtórzył spokojnie Ingvar i spojrzął Annie prosto w oczy.

— A dlaczego miałabym z nim spać, do kurwy nędzy?! Ty jesteś nienormalny! Popieprzony! Nie, nie spałam z nim! Nic nas nie łączy! To znajomy! Znamy się od dziecka! Czy ty uważasz, że ja sydam z każdym, kto się napatoczy...? Mąż mi umarł! W Helu! Zapomniałeś?!

Wyraz twarzy Ingvara zmienił się zupełnie. Usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

— Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Kiedy widziałem was tam, w Helu, wydawało mi się, że tak się dobrze dogadujecie... Po prostu, chyba... Byłem zazdrosny. A teraz on do ciebie pisze. Przepraszam.

Anna wzięła wreszcie kilka głębszych wdechów i usiadła na krześle obok

— I będzie pisał. Lubię go. Bardzo mi pomógł po... Kurwa, Ingvar! Jaki ty możesz mnie o coś takiego pytać?!

— Przepraszam.

— A ty?

— Co ja?

— Spałaś z Ester?

W kuchni zapadła cisza. Ingvar odsunął dłonie od twarzy i zaczął bawić się serwetką. Anna miała wrażenie, że za chwilę krew tryśnie jej przez skórę na policzkach.

— Nie — powiedział wreszcie. — Ale była jedna sprzyjająca sytuacja. Powiedziałem, że nie mogę. Nie zdradziłbym cię. Kocham cię. Ale obiecałem Ester, że... przemyślę sobie wszystko.

— Przemyślisz sobie wszystko?

— Tak

— I przemyślałeś?

— Nie.

Przez chwilę znowu siedzieli w milczeniu. Pół metra od siebie. Oddzieleni dwoma kubkami zimnej herbaty, talerzem kruchych ciastek i koszykiem z owocami. Ingvar sięgnął przez stół i chwycił Annę za rękę.

— Kiedy dowiedziałem się, że Vidar nie żyje, prawie podskoczyłem z radości. Pomyślałem, że teraz już możemy być razem, że nie będziesz mieć skrupułów i wyrzutów sumienia. Jesteś wolna. A później z dnia na dzień czułem się z tym coraz gorzej. Nasz związek.. To trochę wznoszenie pałacu na cmentarzu, co? Posłuchaj, gadam teraz jak jakiś cholerny poeta! Poza tym nie sądzę, że przestałaś go kiedykolwiek kochać. Widzę, co się teraz z tobą dzieje. Nie wierzę, że kochałaś mnie naprawdę. Na pewno mnie potrzebowałaś. Nie mam do ciebie pretensji.

Myślałaś...

— Nie, Ingvar, to nie tak Masz rację, nie przestałam kochać Vidara. Ale nie wiem, na ile była to dobra miłość. Jednak.. Prawdopodobnie nigdy bym go nie zostawiła. Nie umiałabym. Teraz jestem rozdarta między żalem a wyrzutami sumienia. I tobą. To nieprawda, co mówisz. Kochałam cię. Kocham nadal. Ale masz też rację z tym cmentarzem. Za szybko na decyzję. Ja muszę dać sobie czas. I ty też. Nawet jeżeli co sekundę mam ochotę wtulić się w ciebie i zostać tak na zawsze. Wszystko się we mnie do ciebie wyrywa. Nie wyobrażam sobie, że ty też mógłbyś odejść. Nie... Nie mogę sobie tego wyobrazić. Ale to po prostu nie jest dla nas dobry czas.

Ingvar pokiwał głową. Po jego policzkach ciekły łzy. Anna płakała również. A jednocześnie czuła się lekko. Coś w niej pękło. Miała wrażenie, że wkroczyli na kolejny etap, na którym łatwiej im będzie zarówno się rozstać, jak i iść dalej.

Podniosła się z krzesła i podeszła do lodówki. Wyjęła białe wino, a z szafki dwa kieliszki. Nie zdążyła upić nawet łyka, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi.

Rozdział 39

Lajon miał trzydniowy zarost i mętny wzrok. W dłoniach trzymał płócienny worek, z którego wystawała długa bagietka. Ubrany był w samą bluzę z kapturem, a na plecy zarzucił harcerski plecak. Z jego dolnej wargi sączyła się krew, ubranie nosiło ślady szarpaniny. Annie zrobiło się słabo. Lajonowi zresztą chyba też, bo oparł się ciężko o framugę, żeby nie runąć do środka. Anna w mig opanowała własną słabość i podtrzymała go, jednocześnie drąc się wniebogłosy.

— Ingvar!!! Lempi!!! Chodźcie tutaj!!! Ingvar!!! Lempi!!! Na pomoc!!! Cholera, jaki ty jesteś wielki, Lajon, na czym ty tak urosłeś?! Szlag by to...

Prawie dwumetrowa sylwetka Lajona zgięła się w pół i przez chwilę wykonywali z Anną osobliwy taniec. Dwa kroki w przód, dwa w tył, jeden do przodu, trzy w tył... Miało to nawet jakiś powtarzalny rytm, gdyby się przyjrzeć bliżej. Z kuchni wypadł Ingvar, a po schodach zbiegła Lempi. Ingvar stanął jak wryty. Lempi załamała rękę.

— Jezus Maria, Matko Boska!!! — wykrzyknęła i rzuciła się w ich stronę.

Ingvara też wkrótce odblokowało i właśnie w chwili, kiedy Anna już myślała, że nie utrzyma dłużej Lajona i dwumetrowa sylwetka z hukiem runie na posadzkę, ciągnąc ją za sobą, otrzymana pomocną dłoń. Odetchnęła z ulgą. Lajon mruknął coś, czego nikt nie rozumiał, i został zawleczonej do sypialni. Anna chwyciła telefon i uparła się zadzwonić na pogotowie. Lajon złapał ją za rękę i pokręcił głową. Wyrwała mu się, a on znowu usiłował ją złapać, wychylił się za bardzo w bok i zwałił z łóżka. Cała trójka zaczęła go zbierać z podłogi. Anna wreszcie zadzwoniła na pogotowie. Lajon ostatkiem sił postukał się palcem w czoło.

Panowie z pogotowia odprawiający dziwne rytuały nad Lajonem przypomnieli Annie o wszystkim, co wydarzyło się w Helu. Wtedy lekarze tańczyli wokół nieprzytomnego Vidara i próbowali ukryć desperację, a później i rezygnację. Teraz było inaczej. Lajon był przytomny. Rzucił mężczyznom wrogie spojrzenia, raz po raz przewracając oczami.

— No to co? Jak było? Prał się pan z kimś po mordach, co?

Lajon milczał. Anna z wolna traciła cierpliwość.

— Obdukcja jakaś? To musimy do szpitala. Czy pan rozumie?!

— Panowie, zapomniałam powiedzieć, pan Leon nie włada językiem szwedzkim, musicie...

Lajon uniósł się na łokciach i triumfalnie rzucił:

— Włada, włada!

Po czym wyartykułował coś, co brzmiało jak „Ja jechał stopa do lasa, Anka zamiatać zadupie, ona esemesa nie robić, no to ja płynął, ale późni dopłynął i nie taksówka, a autobus ostatni zbiegł, to ja adres znał i piechotą przez las, bo las, to ja myślał, przejdzie i trafi, ale auto jechać, to ja stopa łykać, a w stopie ze mnie śmiać, że to miejsce daleko za puszcza i jakieś wydmy tam, żeby wsiadać i nie gadać, bo późno zapadać i w lesie strach, bo wilki ponoć, ja nie wierzył, ale oni śmiali, potem gadali i piwo dali, ja nie wziął, bo w gości, to żeby nie zionąć, i że bez zapowiedzi, to jakby mnie ona wywalić, to ja by znowu w ten las musieć, potem jeden pyta, co ja w torbie mieć, ja że aparat, bo fotografic, na co tamten, że pokazać jak fotografic, to ja wyjąć aparat, oni gwizdać, ja zakpotać się i schować, bo coś świtać, że autostop stary i rżęcha, czuć się debil, wyglądać, czy widać, dom albo wilki, bo jakby wilki nie, to może ja by wysiadać, ale oni poklepywać, że fotografic fajna praca, a potem lup!!! i ja przez łeb dostać od taki jeden duży, zakręcić się i chcieć rzygać, ale przecia aparat drogi, dwadzieścia pięć tysięcy złotych, no to bronić potrzeba i lać zaczął, ale ich więcej i w dupę ja dostał, a oni mnie w ten las rzucać z auta, to ja zabrać im torba z auto, bo niech się jebają, ja też im coś kraść! Pierdolicie się w czachę! Ha!”.

Kiedy Lajon zakończył swoją opowieść, całe towarzystwo przez dłuższą chwilę milczało jak zakłète. Ratownicy mrugali gwałtownie, prawdopodobnie, żeby nie rozryczeć się ze śmiechu, Lempi opanowała gest przeżegnania się, a Ingvar stał bez ruchu, jak gdyby wykonywał ćwiczenie ze wsłuchiwania się we własne ciało. Finka wreszcie drgnęła lekko i z zakopotaniem przeczesła włosy.

— To na pewno był szwedzki? — zapytała nieśmiało, a ratownicy nie wytrzymali i z ich gardel wydobył się niekontrolowany rechot.

Ingvar odwrócił się do okna i tylko po jego drżących ramionach Anna zorientowała się, że również ledwo żyje ze śmiechu. Lempi nadal chyba domagała się odpowiedzi na swoje pytanie, bo spoglądała na wszystkich zdeorientowana, a Lajon obraził się na śmierć. Anna podeszła do niego i pogłaskała go po głowie jak dziecko.

— Musisz po prostu jeszcze trochę poćwiczyć. Ale wszystko idzie ku dobremu —

powiedziała, po czym sama ryknęła śmiechem.

— No jasne! Śmiejecie się! Niech oni pokażą, jak po polsku mówią!

— Ale...przecież...nik...ci...nie...kazał...po...szwedzku...sam...chciałeś — wystękała Anna i otarła oczy.

Lajon tylko burknął coś w odpowiedzi. Kiedy wszyscy nieco się już uspokoiłi, ratownicy przełożyli poszkodowanego na nosze i zanieśli do karetki. Anna uparła się mu towarzyszyć. Przeżyła kolejne déjã vu. Ingvar oświadczył, że ruszy za nimi samochodem i później zabierze Annę — lub ich oboje, w zależności od diagnozy — do domu. Lempi podniosła lament i odmówiła siedzenia samej w domu „po nocach”, została zatem również wpakowana do auta. Procesja ruszyła spod domu Lindholmów i zagłębiła się w las, który jeszcze niedawno stał się sceną nieszczęsnego spektaklu z Lajonem w roli głównej. Pozostało tylko powiedzieć mu, że swoim oprawcom ukradł... bagietkę. Anna uznała, że zrobi to później.

W szpitalu założono Lajonowi kilka szwów i zrobiono tomograf głowy, by przekonać się, czy „taki jeden duży” nie dzielił go jednak zbyt mocno. Po dokonaniu obdukcji oraz dokładnym obejrzeniu, czy na pewno nic nie jest złamane, wypuszczono go na wolność z sugestią, że powinien stawić się do kontroli. Gdzieś. Niekoniecznie w Ystad. A jeśli w Ystad, to może jednak „pan Leon” byłby tak uprzejmy komunikować się z personelem w języku angielskim. Wszyscy znają. A jeśli nie w języku angielskim, to może po polsku. Mają tutaj polską pielęgniarkę, bardzo bystrą. Ściągną ją, gdyby akurat nie miała dyżuru. Zrobią w ogóle wszystko, byle „pan Leon” zaprzestał mówić po szwedzku. Bo szwedzki „pana Leona” jest nie na nerwy Szwedów...

— O co im chodzi? — spytał Lajon, kiedy jechali ze szpitala na komisariat, złożył zeznania w sprawie kradzieży.

Dostał jakieś leki przeciwbólowe i przeciwżęzcowe — bo „taki jeden duży” nie wyglądał, by dbał o higienę, a poza tym poszkodowany walał się chwilę po lesie, zanim dotarł do celu — i teraz można z nim było wreszcie normalnie porozmawiać.

— No... Po prostu chyba niespecjalnie przypadły im do gustu twoje zdolności lingwistyczne — odpowiedziała Anna, gapiąc się w okno.

— Aż tak źle z tym? — zatroskał się.

— Trochę. Po prostu... Musisz popracować. Nauczyć się więcej słówek i gramatyki. I czasów. I... Ogólnie musisz nauczyć się... szwedzkiego.

— Dzięk.

— Nie obrażaj się! Lepiej, żebyś to usłyszał ode mnie niż od kogoś obcego. Widziałeś reakcję ratowników! A w ogóle ślad ci się ten szwedzki wziął? Znasz kilka języków, ale tutaj, o ile wiem, nigdy cię z aparatem nie zagnało.

— Zacząłem się uczyć w szkole — odrzekł cicho. — Ty się uczyłaś... No to ja pomyślałem...

Anna spojrzała na niego zdumiona.

— Co ty pieprzysz?

— No pomyślałem, że będziemy mieli coś wspólnego.

— Mieliliśmy! Zespół From Hell!!!

— Aaaa to! Nie... Bez sensu. Ty z tym swoim szwedzkim byłaś jakaś elitarna. Chciałem ci zaimponować, ale mi nie wychodziło. Później jeszcze próbowałem trochę, ale sobie odpuściłem.

— Chciałeś mi zaimponować? Lajon, zaczynasz mnie wkurzać... Przecież ci uczyniłam wyznanie na koniec podstawówki, że się w tobie kocham, a ty mnie olałeś, nagadałeś, że nie umiesz mnie jeszcze docenić i takie tam duperele...

— No, idiota. Wiem. Bałem się ciebie.

— I uczyłeś się szwedzkiego? Serio?

— Tak. Dawno to było, więc można już o tym mówić bez zażenowania. Słuchaj, o co chodzi z tym twoim faga... facetem? Nie patrzy w ogóle na drogę, tylko na nas w lusterku wstecznym. Ty się nie boisz z nim jeździć?

— Nie... Przy wykład! — Anna machnęła ręką i zerknęła w lusterko. Ingvar czym prędzej odwrócił wzrok i skupił się na drodze.

Kiedy dotarli wreszcie na miejsce, Ingvar i Anna wysiedli z auta, a Lempi i Lajonowi kazali chwilę poczekać. Ingvar był wściekły.

— Wiesz, że on nie powinien wyjeżdżać z Helu?! — warknął i odciągnął ją dalej od samochodu. — Muszę tam zadzwonić. Poinformować ich, że tutaj jest. Módl się, żeby jego alibi było potwierdzone, a on miał pozwolenie na wyjeżdżanie z miasta i kraju. Inaczej jesteśmy w dupie.

— Jego alibi się potwierdziło — oświadczyła Anna spokojnie.

— Aha. Dobrze. — Ingvar spuścił z tonu. — A po cholere przyjechał?

— Martwił się. Nie odpisywałam na maile. Od dwóch dni miałam oddzwonić, ale jakoś zapomniałam... Poza tym widzisz, gdybyś jednak przejrzał moją komórkę i zobaczył esemesy, wiedziałbyś, że przyjedzie. Dzwonił, jak był już w Ystad. Pisał. Ale ja zostawiłam telefon w łazience i zupełnie o nim zapomniałam. Gdybym odebrała, pojechałabym po niego i nic by się nie wydarzyło. A tak, Lajon stracił drogi aparat. Być może jakieś zdjęcia, których nie zdążył przegrać.

— Mógł nie brać aparatu.

— Mógł. Ale wziął.

— Wziął. A ty byś mnie zabiła, gdybym przejrzał twój telefon.

Anna zgodziła się z tym natychmiast i uśmiechnęła się. Ingvar również odrobinę się rozluźnił. Wyłuskali z samochodu Lajona, po czym poszli wreszcie złożyć zeznania. Do domu wrócili nad ranem. Anna pościeliła swojemu nowemu lokatorowi w pokoju gościnnym i zignorowała jego niewinne pytania o to, czy Ingvar już się do niej zdążył wprowadzić. Zignorowała również Ingvara, który najwyraźniej chciał jeszcze chwilę porozmawiać, a także Lempi, która chętnie dowiedziałaby się, o co tutaj do jasnej cholery chodzi. Anna wysłała wszystkich spać i sama również poczłapała do sypialni. Nie miała nawet siły przebrać się w piżamę.

Rozdział 40

Najwcześniej wstał Ingvar. Anna słyszała jego kuchenne poczynania, jak gdyby dochodziły z innego świata. W końcu dotarło do niej, że on, niezależnie od tego, co robił w nocy, musiał pojawić się w pracy. I tak był już mocno spóźniony. Zegary wskazywały ósmą dwadzieścia. A zatem Ingvar spał jakieś trzy godziny. Dwie, jeśli jak zwykle wstał wcześniej, by zrobić sobie całe to zdrowe zarcie.

Podniosła się z łóżka i zorientowała się, że spała w ubraniu i najpewniej w jednej pozycji, bo strasznie bolały ją plecy. Zwlekała się na dół i złapała Ingvara w drzwiach. Nie pomyliła się. W dłoniach dzierżył pudło z jedzeniem... A zatem spał dwie godziny... Może nawet godzinę, biorąc pod uwagę fakt, iż kuchnia była pięknie posprzątana. Annie zrobiło się nagle okropnie żal Ingvara i w nagłym odruchu mocno go przytuliła. On również przycisnął ją do siebie trzymany w rękach pudłem. Bąknął, że musi iść. Pomachała mu na pożegnanie. Czuli się okropnie. Ingvar nie miał z nimi wstytkimi i lekko. A przecież musiał rozwiązać sprawę.

Ona również musiała!

Wciąż i wciąż powtarzała sobie, że tego właśnie chce, że niczego tak nie pragnie, jak złapać winnego lub winnych. A jednak ciągle coś jej przeszkadzało, rozpraszało ją, rzucało na boczne myślowe tory, nakazywało taplać się w swoim wewnętrznym życiu, rozgrzebywać moralne i niemoralne dylematy, jęczeć, płakać i użalać się nad sobą... Istniało wyjście z tej sytuacji. Nasuwało się samo. Należało się po prostu skupić. Zabrać się za robotę.

Anna wzięła szybki prysznic, włożyła dres i z kubkiem kawy wkroczyła do gabinetu, w którym wcześniej często pracowała razem z Vidarem. Najpierw wykonała kilka telefonów do swoich zakładów meblarskich, wydała dyspozycje i zapewniła, że wszystko będzie funkcjonować po staremu, a ona już wkrótce w pełni zaangażuje się w życie firmy. Na szczęście nic jeszcze nie zdążyło się zawalić, nie miała jednak wątpliwości, iż to tylko kwestia czasu. Firmą trzeba zarządzać. A przynajmniej pilnować, by dobrze zarządzali nią inni.

Uspokoiwszy swoje sumienie w związku z zakładami, Anna chwyciła teczkę z listami od anonimowego nadawcy. Musiała przyznać, że w ostatnim czasie było ich mniej. Czyżby nadawca się znudził? A może napisał już wszystko, co zamierzał? Może nie pozostało nic do dodania? Anna upiła łyk kawy i rozłożyła papiery na biurku. Wczytała się w ich treść — po raz setny chyba, ale teraz już ze sporym zapasem nowej energii. To mogła rzeczywiście być tylko głupia gra, którą prowadził z nią ktoś bardzo wredny. Równie dobrze jednak istniała szansa, że gdzieś tutaj kryła się wskazówka. Po godzinie Anna wyselekcjonowała trzy cytaty. Ułożyła je przed sobą i oparła brodę na dłoniach.

Co dzień studiował kolumnę nekrologów w „Timesie”, oczekując notatki o śmierci lady

Clementyny, ale każdy numer gazety przynosił rozczarowanie. Ogarnęła go już obawa, że coś się przydarzyło, i często żałował, że przeszkodził kuzynce w zażyciu kapsułki z tojadem, gdy taką miała ochotę wypróbować jej działanie. Listy do Sybil, choć pełne miłości, zaufania i czułości, także bywały smutne w tonacji i zdarzało mu się myśleć, że oto nastąpiło rozstanie z nią na zawsze.

Ci, którzy są wierni, znają jedynie trywialną stronę miłości; to niewiernym znane są miłosne tragedie.

Szli cicho, jak to się instynktownie zwykło czynić w nocy. Lampa rzuciła fantastyczne cienie na ściany klatki schodowej. Na dworze zerwał się wiatr; dzwoniąc szybami.

Odchyliła się na krzesło i utkwiała wzrok w suficie. Dlaczego akurat te cytaty wydały jej się takie istotne? Były przecież jeszcze inne, o bardziej dramatycznej treści, filozoficzne, poruszające tematy egzystencjalne. A te... wydawały się zwykłe. Ot, opisy sytuacji. Być może drugi z nich był odrobinę bardziej liryczny, brzmiał trochę jak aforyzm. A jednak.. Anna wiedziała, że tutaj gdzieś musiało kryć się... coś. Nawet jeśli nie klucz do rozwiązania zagadki, to jakaś wskazówka.

Bo tylko te cytaty przytoczone zostały jeden jedyny raz!

Każdy inny powtarzał się przynajmniej dwukrotnie, niektóre nawet częściej. Jedyne te...

— Co robisz?

Anna wzdygnęła się i oderwała wzrok od sufitu. Lajon stał w progu w gustownej granatowej piżamce i grubych skarpetach. Szew na jego łuku brwiowym wyglądał lepiej niż rozcięta, sina warga. Anna patrzyła na niego przez chwilę tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Nie chciało jej się nic mówić. Myślam i wciąż była jeszcze przy swoich literaturoznawczych analizach. Jak zwykle ktoś musiał jej w tym przeszkodzić. No, ale Lajon był tutaj gościem. Przyjechał, bo się martwił. Nie dzwoniła do niego przez dwa dni. Też coś! I tego szwedzkiego się uczył... Kiedyś. Sam. Pewnie z jakichś tandetnych źródeł. W tajemnicy. Idiota!

Wyprostowała się na krzesło i wskazała Lajonowi fotel obok biurka.

— Myślę — odpowiedziała wreszcie na jego pytanie i pobierała kartki.

— To te cytaty?

— Uhm...

— Mogę zobaczyć?

— No nie wiem...

— Tylko te, co trzymasz. Tak żebym miał ogólne pojęcie.

Z lekkim wahaniem podała mu kartki.

— Nie ma o czym mieć „ogólnego” pojęcia. Zwykły Times New Roman, kursywa... Normalny papier. Nic specjalnego. Żadnych znaków wodnych.

Lajon rozłożył przed sobą papiery, tak jak przed chwilą zrobiła to Anna, i zmarszczył brwi, po czym syknął z bólu. Zapomniał, że jedną z nich ma rozciętą. Zamamrotał coś pod nosem

i podrapał się w czoło.

— Dziwne... Ten pierwszy trochę taki... Jakby czyjaś śmierć przeszkodziła kochankom się połączyć. Albo brak śmierci...

— No tak, ale tego możesz się dowiedzieć, czytając całą książkę. *Zbrodnia lorda Artura Saville'a* — podpowiedziała usłużnie Anna i pchnęła po blacie cieniutki tom.

— Mhm... A na przykład w tym sensie, że ktoś komuś przeszkodził w zażyciu trucizny, czy li na przykład udaremnił samobójstwo...? Albo być może nadawca zwraca twoją uwagę ogólnie na sytuację, w której można zupełnym przypadkiem wpłynąć na czyjeś życie lub śmierć? Bo się akurat nadarza okazja...

Anna zamyśliła się. „Nadarza się okazja”. Coś jej w związku z tym przyszło do głowy, zamierzała jednak rozwinąć swoją teorię nieco później. Nachyliła się nad Lajonem i popukała palcem w drugi cytat.

— A to?

— Nie muszę ci mówić, o czym jest — mruknął w odpowiedzi. — Chyba wiesz coś o...

— Zdradzie? — przerwała. — Tak wiem.

Spojrzała na niego uważnie. Zaczęła z wolna zbierać kartki i układać je w równy stosik. Wepchnęła wszystko do teczki, zamknęła ją i schowała do pancерnej szuflady. Lajon obserwował każdy ruch Anny, a ona pomyślała, że zdradza mu zbyt wiele swoich tajemnic. „Zdradza”. Świetne słowo, bardzo ostatnio na czasie... Czy Lajon powinien poznawać wszystkie jej sekrety? Z drugiej strony jednak miło było znowu go widzieć. Nawet nie spodziewała się, że wizyta Lajona — jakkolwiek powiązana z traumatycznymi zdarzeniami, których można było przecież unikać — sprawi jej taką przyjemność. Uśmiechnęła się jeszcze raz na widok gustownej granatowej piżamki.

— No, no... Lajon! Widzę, że byleś gotowy dotrzeć tu po trupach! — powiedziała, nieco już weselej.

— Po trupach, tak! A dokładnie po jednym. Mojego aparatu!

— Przykro mi.

— A tam! Przecież to nie twoja wina. Mogłem przespać się w Ystad i ruszyć rano. Może nawet odebrałabyś wreszcie telefon. Ale długo nie było z tobą kontaktu. Martwiłem się.

— Kto by pomyślał...

— Może byś łaskawie przestała się ze mną nabijać? I zaczęła się cieszyć, że masz przyjaciela? — powiedział wyniośle i pomacał swoją rozciętą wargę.

— Tak Cieszę się, że mam przyjaciela — odrzekła zupełnie szczerze. — Chodź. Zjemy jakieś śniadanie.

— Czekał... Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć. W Helu jest nie do wytrzymania. Policja ma dosyć przesłuchiwanie całej tej weselnej bandy i ciągle nie mogą uwierzyć, że ktoś posłużył się arsenikiem. Usiłują dociec źródła. Gdzie można kupić i od kogo. Ale to oczywiście błądzenie we mgle. Twoja matka teraz zaczęła dla odmiany obwiniać ciebie o wydarzenia na weselu. Twierdzi, że to ty przyjechałaś ze swoją teorią o domniemanym morderstwie i ostrzeżeniach,

i kogoś w ten sposób zachęciłaś. A może sama to zrobiłaś? Chciałaś za jednym zamachem pozbyć się męża i zienawidzonej matki. Oczywiście nikt nie traktuje tego serio. Poza tym jako policjantka na pewno wybrałaś pewniejszą metodę. Arsenik nie dawał gwarancji. Morderstwo mogło nie wyjść. Więc raczej odpadasz.

— Zamknij się już lepiej...

— To ty się zamknij, bo jeszcze nie skończyłem. Wiem już, do kogo należały plecy.

— Plecy? Aaaa, te plecy!

Anna klasnęła w dłonie. Plecy faceta z wesela, które na chwilę zasłoniły w kadrze Lidkę z ponczem. Wychyliła się w stronę Lajona.

— No i?

— Nie ekscytuj się. Wujka nie poznałaś? To był jakiś kuzyn twojej matki z Warmii, ponoć daleki, ale mówiłem ci, że zaprosiła każdego, kogo mogła. Facet musiał z tymi swoimi plecami napatoczyć się przypadkiem. Nijak nam tu nie pasuje. Na tej Warmii handluje jajkami od szczęśliwych kur.

— Świetnie...

— Ale słuchaj tego. Bruno — on był w Kopenhadze i mógł...

— Wiem — wciąła się Anna. — Przejechać przez most nad Oresund i w Malmö wszystkich wytruć, po czym wrócić. Już to braliśmy pod uwagę. Mówiłam ci w Helu. Ale! Nie wszedłby do więzienia ot tak, żeby zostawić ciasteczka! Byłby na taśmach z monitoringu. Może jeszcze miał się przebrać za podstarzałą kobietę? I wreszcie — skąd znał Narcyza? Czy w ogóle znał? Czy znał Sofię? Po co miałby się ich pozbywać? A Sofia i Narcyz? Między nimi też nie wykryto żadnego związku. Poza tym Narcyza i Sofię zamordowano w pewnym czasowym odstępie. Jeśli załatwiła ich ta sama osoba, to musiała mieć motywy wspólne dla pozbycia się obojga.

Umilkła. Dobrze, że przyjechał Lajon, pomyślała. Kiedy z nim rozmawiała, zaczęła porządkować pewne kwestie. Ten wspólny motyw nie dawał jej ciągle spokoju. Usiłowała też odpedzić od siebie natrętą refleksję, że ogniwem łączącym Narcyza z Sofią była... ona sama. Anna знаła jedno i drugie. Z obojgiem miała bezpośredni kontakt. I te gazety pod wycieraczką... Nabierała pewności, że powinna jeszcze raz porozmawiać z Ingvarem o podrzuconym tropie. On sam powinien do niego jakoś nawiązać. Dlaczego jeszcze tego nie zrobił?

— Zostaje jeszcze ciasto u mnie — podjęła przerwany wątek — Bruno musiałby z tej Kopenhagi biegać jak kot z pęcherzem.

— No właśnie... A jeśli biegał tylko raz? Bo miał współnika?

— Wspólnika? Jakaś konkretna teoria?

— Widzisz... Lidka również była nieobecna w tym czasie w Helu. To znaczy wtedy, kiedy Bruno był w Kopenhadze, a tutaj odbywało się trucie. Twierdzi, że pojechała do Gdańska na przymiarę swojej sukni ślubnej i... tak ogólnie się powłóczyć.

Anna zbladła i zacisnęła dłonie w pięści.

— Co w tym dziwnego?

— Dziwne jest to, że sukienkę szyła przecież u krawcowej z Pucka!

— Lajon... — zadrzała. Zrobiło jej się zimno, choć pogoda na zewnątrz była piękna, a grzejniki w domu gorące. — Może zmieniła krawcową?

— Może. Albo wcale nie pojechała do Gdańska. Tylko gdzie indziej.

— Co? Do Świnoujścia? Promem do Ystad? A później do Malmö? Czy samolotem?

— Promy i autobusy trudniej wykryć. W sensie w samolotach bardziej pilnują, rejestrują, trzeba przez bramkę przechodzić... A Lidka miała czas. Nie było jej ładnych kilka dni. I nie musiała się przed nikim meldować...

— Powiedziałeś to policji? — spytała cicho.

— Jeszcze nie. Czekałem, co ty na to.

— A co ja mogę na to?! Niech policja zweryfikuje tę cholerną krawcową...

— Jakaś pani podająca się za krawcową z Gdańska ponoć potwierdziła te informacje. Lidka podała policji jej numer telefonu. Ale ta cholerna kiecka, którą miała na sobie w dniu ślubu była na sto procent z Pucka!

— Skąd wiesz?!

— Zrobiłem małe dochodzenie...

Anna zaczęła mechanicznie obracać w dłoniach pusty kubek po kawie. Dochodzenie zrobił! Szkoda, że on, a nie — dla odmiany — policja...

Lidka? Nie, to głupie! I w ogóle nawet Bruno! Co oni mieli wspólnego z Sofią i Narcyzem? Nie, nie, to niemożliwe... Bruno...? No dobrze, ewentualnie Bruno! Może jakoś to faktycznie wykombinował, dojechał z tej Kopenhagi, coś wymyślił... Był blisko. Można go sprawdzić. Zerknąć na logowanie komórki na terenie Danii. Będzie trochę zachodu, ale to przecież teraz nie problem... Tyle że on na pewno też o tym wie i jeśli faktycznie tutaj przyjechał, na banknie wzięł swojego telefonu! No, ale są jeszcze inne metody... Jakies są. Bruno? Być może... Ale Lidka? Absolutnie! Ona się do tego zupełnie nie nadaje! Zupełnie! Anna bezwiednie pokręciła głową. Nie chciała podejrzewać siostry, a jednak gdzieś w zakamarkach jej umysłu narodził się koncept, by sprawdzić te promy. Tylko jak? Monitoring? Kamery można łatwo obejść, założyć czapkę, okulary... Komórka? Identyczna sytuacja jak z Brunonem... Chociaż... Przestępcy popełniają przecież błędy. I to bardzo często. Nawet ci znakomici. A Lidka z pewnością nie mogła być znakomitym przestępcą. Nie mogła być w ogóle przestępcą. Nie była przestępcą!

Anna roześmiała się cicho i wstała z krzesła. Idiotka! Skończona idiotka! Lidka! Też coś! Własna siostra... Anna pociągnęła nosem. Lempi śpiewała w kuchni i już rozpoczęła swoje kulinarne czary-mary.

— Chodź, Lajon. Zjemy coś.

Kiedy siedzieli przy kuchennym stole nad jajecznicą i fińską owsianką, Anna pomyślała o tym, że powinna przekonać Lajona do powrotu do domu. Jego obecność tutaj nie była najlepszym pomysłem, nawet jeśli wydawała się przyjemna. Rzecz jasna... Annie wydawała się przyjemna. Bo przecież nie Ingvarowi! Ona sama jednak nie chciała się niczym już więcej rozpraszać. Postanowiła zachowywać stoicki spokój w towarzystwie cholernej Ester, która robiła wszystko, by ją sprowokować i nie zamierzała na razie zbyt wiele myśleć o swoich relacjach z Ingvarem. Niech się dzieje... A swoją drogą ta Ester... Może to dlatego śledztwo przecieka jej przez palce? Bo zajmuje się pierdołami? Teraz pewnie czuje palący się pod stopami grunt. Anna została wdową. Jest wolna. Przeszkoda w postaci sparaliżowanego męża, z którym nie wypada się rozwieść, została usunięta. Ingvar nie musi już być tym drugim. Szanse Ester maleją prawie do zera. Wystarczy jeden gest.

Anna potrząsnęła głową, czym ściągnęła na siebie spojrzenie Lajona. Poczula przyływ irytacji. Obiecała sobie przecież, że duperele odstawia na bok! A zatem... Lajon tutaj nie jest dobrym pomysłem, bo to jednak gość. Nie wypada go olać. Lempi mogła zrobić obiad, ale Anna nie była pewna, czy zgodziłaby się również na zabawianie gościa elokwentną konwersacją. I w jakim w ogóle języku miałyby tę konwersację poprowadzić? Z drugiej strony Lajon nie wydawał się głupkiem, powinien rozumieć, że Anna ma dużo pracy. Musi odkryć, kto zabił jej męża. I z pewnością wcale nie uśmiecha mu się tkwić tutaj jak wrzód na tyłku, znosząc złośliwe spojrzenia Ingvara, który — delikatnie mówiąc — nie jest przyjaźnie do niego nastawiony. O co zatem chodzi? Dlaczego tak naprawdę przyjechał i w miarę gładko przełknął kradzież aparatu? Czyżby tak bardzo zależało mu na tym, by Anna rozważyła ewentualny udział Lidki w całej sprawie?

Odsunęła od siebie jajecznicę i zaczęła w zamyśleniu skubać kromkę chleba. W gruncie rzeczy nie miała ochoty jeść.

— Kawy? — zapytała, choć Lajon już wcześniej wybrał sobie do śniadania sok pomarańczowy.

Wygrzebała ze zmywarki swój ulubiony kubek i po krótkim wahaniu wylała do niego dwie czubate łyżeczki zmielonej kawy i dwie czubate łyżeczki cukru. Taką kawę, parzoną po turecku, piła kiedyś codziennie i taką właśnie do tej pory pił jej ojciec. Innej nie uznawał. Ona sama również zdradzała niekiedy ekspres, ignorując krzywe spojrzenia Vidara i głupie uwagi o tym, że zostanie jej nalot na zębach. Przecież po każdej kawie zostawał! Co za różnica?!

Lajon stanął obok niej i wziął do rąk puszkę.

— Masz ekspres, za który mógłbym sobie kupić nowy aparat, a pijesz po turecku? — roześmiał się.

— Nie przesadzaj. Chcesz też? Czy będziesz się czepiał? Już mi Ingvar dogaduje, że wszystko robi za mnie gospoś — mruknęła i zamachała mu przed nosem kubkiem.

— Mogę chcieć. Lubię kawę, która chrzęści między zębami. W Turcji tylko taką piłem... No, tam też robiłem zdjęcia. Ale Jenny ciągle nawracała mnie na herbatę, więc ograniczyłem kawę.

— Jenny... — Anna załała wrzątkiem zmielone ziarna. — Naprawdę mi z jej powodu

przy kro.

— Tak.. Wiesz, że ja z nikim o niej dotąd nie rozmawiałem? Tylko z jej rodzicami, ale to co innego. A tak.. z nikim. Naprawdę.

— W takim razie czuję się wyróżniona.

Anna zastygła z cukiernicą w dłoniach. A może to dlatego przyjechał? Pogadać o Jenny? Poczuł z Anną nagle pokrewieństwo dusz? Dwie pokrzywdzone istoty, które straciły bliskich... I jak mu teraz wytłumaczyć, że owszem, świetnie, naprawdę czuje się wyróżniona, ale to dla niej fatalny moment na introspekcje? Że może porozmawiać, rozdrapywać rany, nurzać się we wspomnieniach, ale... później? Bo teraz musi się mocno skupić?

Odstawiła ostrożnie cukiernicę i zdecydowała się na szczerość. Miała wrażenie, że do niego mogła mówić bez owijania w bawełnę. Lajon czekał. Wiedział, że nastąpi jakaś przemowa. Anna zamieszała kawę.

— Wiesz.. Miło mi, że obdarzyłeś mnie zaufaniem i że... się o mnie troszczysz, choć właściwie nie znamy się za dobrze. Mam na myśli, jako dorośli. Ale ja teraz potrzebuję skoncentrować się na sprawie. Mam wrażenie, że wszystkim ciągle coś umyka. W Ystad toczy się jakieś biedne śledztwo w sprawie śmierci Vidara, bo był stąd, ale tak naprawdę sprawę prowadzi policja w Helu. Ingvar i ja współpracujemy z Malmö, bo tam siedział Narcyzi i tam zginęła Sofia. A Sofia była moją klientką, miałyśmy się spotkać. Narcyza właściwie ja przyknęłam. Ale jestem na urlopie, dlatego oficjalnie pracuje przy tej sprawie Ingvar. Ja bawię się w konsultanta. Każdy pociąga za inny sznurek i robi coś po swojemu. W Helu w ogóle nie wiem, co się dzieje... Nie jest dobrze. Bez przerwy coś mnie rozprasza. Mój mąż nie żyje. Ja... Muszę się skupić, Lajon. Kiedy to wszystko się skończy, chętnie porozmawiam z tobą o Jenny. Mogę opowiedzieć ci o Vidarze. Chętnie powiem ci... wszystko. Ale teraz nie mogę poświęcić ci stu procent mojej uwagi. Przepraszam.

Umilkła. Przestała wreszcie mieszać kawę. Utkwiła wzrok w oblepionej fusami łyżeczce. Lajon chwycił Annę za ramiona i obrócił ku sobie. On, w przeciwieństwie do Vidara, prawie zawsze patrzył jej prosto w oczy.

— Ty myślałaś, że na zwierzenia przyjechałem? Jednak masz coś z głową. Faktycznie powinnaś się skupić. Weź sobie załatw jakiś żeń-szeń czy coś. Ten twój Ingvar z pewnością coś takiego ma w swojej walizeczce z ziółkami. — Lajon machnął ręką w kierunku zawieszanej na okiennej klamce płóciennej torby, w której Ingvar trzymał ziółka. — Nie, ja nie o tym... Po pierwsze, naprawdę się martwiłem. Jakkolwiek durnie i patetycznie to brzmi, stałaś mi się przez te kilka dni bliska. Tylko sobie zaraz nic nie pomyśl, jak to baby potrafią! W każdym razie musiałem się przekonać, czy dajesz sobie radę. Widziałem, że nie trzymałaś się najlepiej w Helu. A po drugie... Widzisz...

Tym razem on umilkł i wziął do rąk cukiernicę. Anna popatrzyła z niesmakiem na niego, a później na nieszczęsny rekwizyt.

— Posłudzisz w końcu? Spuentujesz wypowiedź? Czy ta historia ma otwarte zakończenie i mam sobie sama ją zinterpretować?

— A bo... To zabrzmia głupio.

— Głupio. I co dalej? — zapytała cierpliwie.

— Przy pomniała mi się Jenny...

— Czyli jednak o niej...

— Nie! Cholera, no dobra, słuchaj... Kiedy u Jenny zdiagnozowano raka kości, było już za późno na cokolwiek.. I ona postanowiła się nie leczyć. Skoro i tak szanse były małe, uznała, że nie spędzi ostatnich miesięcy w szpitalu. I szukała... Jakby ci to powiedzieć... Szukała niebezpieczeństwa. Skakała na bungee, rozumiesz, wspinała się na skałki, nurkowała w dziwnych miejscach. Zawsze żyliśmy aktywnie, ale nie tak. Ona chyba chciała, żeby to się stało szybko i trochę obok niej. Jakiś wypadek.. Coś, co sprawiłoby, że nie byłaby do końca świadoma. No wiesz... Umierania. Pewnego dnia zapytała mnie nawet, czy bym jej nie pomógł. Oczywiście odmówiłem. Zrozumiała. Chyba. Ale próbowała dalej...

— I co? — spytała ponuro Anna.

— I umarła w szpitalu. Nie udało jej się. Ale do czego zmierzam... Mówiłaś o tym arseniku. Że wszyscy powinni wzywać pomocy, a tak po prostu dali się otruć. Może... tego właśnie chcieli?

Anna pobałda. Przypomniała sobie rozmowę ze strażnikiem więziennym, który powiedział jej mniej więcej to samo. Że Narcyz chciał umrzeć. Wiedział, że nie wyjdzie z więzienia. Wiedział, że go trują. I pozwalał na to. Albo sam sobie taką śmierć zorganizował, albo po prostu na nią przyzwolił. A Sofia? To bez sensu... Sofia nie mogła chcieć umrzeć! Kariera, pieniądze, uroda... Dlaczego miałyby godzić się na śmierć? A Vidar... Annie zakręciło się w głowie. Poczula w gardle świetnie już znany ucisk i swędzenie pod powiekami. Przetarła oczy. Lajon objął ją ramieniem. Vidar... Czy Vidar chciał umrzeć? Nie... To znaczy chciał. Po wypadku, kiedy okazało się, że nigdy nie odzyska władzy w nogach. Wtedy chciał, ale później...? Niedawno? Nie mógł chcieć po tym, co się między nimi wydarzyło. Nie mógł! Poza tym dzwonił do niej... Dzwonił, ty lko...

Odsunęła się od Lajona i wzięła głęboki wdech. Chwyciła telefon. Przypomniała sobie właśnie o dwóch ważnych sprawach, o których nie powinna była zapomnieć nawet na chwilę. Idiotka! Cholerna idiotka!

Ingvar odebrał od razu.

— Ingvar! Nie, nic się nie stało! Słuchaj! Nie, nie! Słuchaj!!! Masz kopię raportu z sekcji zwłok Sofii Stiatesi? Długie to? Przeczytaj mi. Przeczytaj, do cholery!

Anna wsłuchiwała się w niski głos Ingvara, który brzmiał przyjemnie nawet podczas odczytania raportu z sekcji zwłok. W myślach wciąż wyzywała się od idiotek. Jak mogła tego osobiście nie przejrzeć? Jak mogła?! Wystarczyła jej informacja od Ingvara o tym, że Sofia zmarła w wyniku zatrucia arsenikiem. A reszta? Dlaczego nikt nie zainteresował się resztą?! Banda kretynów! Amatorzy! Po drugie... Dlaczego Anna jeszcze nie złożyła wizyty Amalii? Powinna to zrobić już dawno! Pokonać swój własny, pieprzony opór! Stawić jej czoła, nawet jeśli ta kobieta z niewiadomych przyczyn oplakiwała śmierć Vidara! Amalia mogła mieć dobrego papugę. Mogła być niewinna. Ale jednak... nie całkiem nieświadoma.

Ingvar czytał. Dłonie Anny spocły się z nerwów i telefon zaczął ślizgać się w palcach. Wreszcie to usłyszała.

— Powtórz — zażądała.

Powtórzył.

— To z raportu z sekcji? — zapytała z powątpiewaniem.

Odpowiedź była satysfakcjonująca. Nie z raportu. Z dołączonej prywatnej dokumentacji medycznej. Oczywiście. Anna rozłączyła się i odłożyła telefon. Na jej twarzy odmalowała się przeraźliwa determinacja. Wizyta u Amalii Stiatesi była konieczna. I to szybko. A skoro i tak znajdzie się we właściwym miejscu i Ingvar, przesiadujący tego dnia nad papierami w Ystad, w niczym jej nie przeszkodzi, będzie mogła również przejść się wreszcie do opery.

— Lajon, ty jednak jesteś niegłupi! — powiedziała z uznaniem i prawie wyrwała mu z rąk cukiernicę, którą nadal trzymał. — Zbieraj się. Jedziemy. Pozwiedzasz sobie Malmö, a ja w tym czasie pozalátwiam parę spraw. I ubierz się.

Ruszyła do sypialni, by również zmienić dres na coś bardziej odpowiedniego. Serce biło jej szybko i czuła się coraz bardziej zdenerwowana, a przecież na spotkanie z Amalią powinna stawić się opanowana. Musiała dowiedzieć się wszystkiego.

Na temat *carcinoma nasopharyngis*.

Rozdział 42

Amalia Stiatesi wyprowadziła się z hotelu Renaissance i wynajęła przestronne mieszkanie w centrum Malmö. Dostała pozwolenie na opuszczenie miasta jedynie w celu urządzenia siostrze pogrzebu i to nie w Wiedniu czy Wenecji, jak sobie życzyła Sofia, ale w Sztokholmie. W wyniku tego nakazu wywiązał się konflikt między Amalią i jej adwokatem a prokuraturą i nadkomisarz Ester Gustafsson. Amalia histeryzowała, że ostatnia wola zmarłej to świętość i należy ją uszanować, adwokat przytaczał kodeksy, a policja i prokuratura grzecznie kiwały zbiorową głową. Sytuacja młodszej panny Stiatesi wciąż wyglądała dziwnie. W jej laptopie znaleziono, a właściwie odzyskano, pliki z cytatami i z Wilde'a, podejrzewano, iż nie udzieliła siostrze pomocy lub też uniemożliwiła jej wezwanie karetki, kiedy ta zauważyła objawy zatrucia, i wreszcie było jeszcze owo nieszczęsne nagranie, na którym kobieta zostawia w recepcji kopertę dla Anny. A jednak jakkolwiek wszystko wyglądało mocno niekorzystnie, nikt niczego nie mógł jej udowodnić. Zeznania Amalii wydawały się spójne, a prawnika rzeczywiście wynalazła sobie wyszczekanego.

Dopiero niedawno Amalia odrobinę zapadła się w sobie. Była blada, wyglądała na zmęczoną, schudła i reagowała na wszystko bardziej histerycznie. Nie panowała już nad sobą tak

jak krótko po śmierci siostry. Fatalna kondycja Amalii zbiegła się w czasie z zabójstwem Vidara w Helu. Informację o zbrodni przekazano jej, kiedy przebywała akurat na komisariacie i składała zeznania odnośnie do nagrań z hotelowego monitoringu. Również świeżo o tym powiadomiona Ester Gustafsson zaczęła wypytywać podejrzaną o znajomość Sofii Stiatesi z Vidarem Lindholmem, który wczorajszej nocy... Tutaj padła informacja o jego śmierci. Amalia zatrzęsła się, zachwiała i zemdlą. Kiedy doszła do siebie, wpadła w histerię. Do tego stopnia, że zawołano lekarza, który podał jej środek uspokajający. Odmówiła składania dalszych zeznań.

Później odmawiała składania zeznań z podziwu godną regularnością. Nie chciała też słyszeć o rozmowie z komisarz Anną Lindholm. Po pierwszej fali nawracających histerii stała się apatyczna i zupełnie zamknęła się w sobie. Być może zachowanie Amalii było zwykłą pokazówką? Tylko co tkwiło u jej źródeł?

Lajon ociągał się chwilę, zanim zostawił Annę samą i ruszył spacerkiem między kamieniczkami Malmö. Mówił coś o niebezpieczeństwie, ale przestała go słuchać mniej więcej w połowie wywodu. Odnalazła właściwy budynek, lekko przyknęła oczy i wmówiła sobie, że musi zachować spokój, po czym zadzwoniła domofonem. Cisza. Anna spojrzała w górę, w okna na pierwszym piętrze. Nie zauważyła niczego szczególnego i znowu podeszła do domofonu. Wtedy właśnie zadzwoniła jej komórka.

— Tak? — rzuciła niechętnie, bo był to wyjątkowo fatalny moment na rozmowę.

— Czego pani chce? — odezwał się głos po drugiej stronie.

Anna zamarła. Rozejrzała się dyskretnie i oparła o ścianę.

— Oczywiście porozmawiać. Już dawno powinniśmy...

— Nic nie powinniśmy. Proszę stąd odejść.

— O nie, nie! — zawołała Anna. Zalała ją fala wściekłości. Ta mała mysz nie będzie z nią rozmawiała tym tonem. Na pewno nie! — Słuchaj, możemy pogadać teraz, dyskretnie i na spokojnie, albo za chwileczkę wyciągnę cię stąd na komisariat. Lepiej mnie nie denerwuj. Nie jestem akwizytorką. Otwieraj!

Już po chwili Anna stała przed drzwiami do tymczasowego mieszkania Amalii Stiatesi. Kobieta, która jej otworzyła, wyglądała na jeszcze bardziej spłoszoną niż ostatnio. Zrobiła krok do przodu, rozejrzała się po korytarzu i wciągnęła Annę do środka. Zamknęła drzwi na klucz i dwa zamki. Skuliła się w sobie. Anna ze wszystkich sił starała się ukryć rozbawienie. Co ona? Na manię prześladowczą zapadła?

Amalia zlustrowała ją od stóp do głów i zaprowadziła do salonu, który byłby nawet przytulny, gdyby oprócz sofy i niskiego stolika mieścił w sobie chociaż jeden mebel więcej. To jasne, że panuje moda na otwarte przestrzenie, a Szwedzi kochają minimalizm, tutaj jednak wiało chłodem. Pustką. Prawie... śmiercią. Anna niepewnie przysiadła na sofie, a Amalia zasłoniła wszystkie okna i zapaliła niewielką lampkę nocną. Klimat do zwierzeń już był...! Bez dwóch zdań!

— Czego pani chce? — powtórzyła to samo pytanie, które zadała jej przed chwilą przez

telefon.

Tym razem nie krępowala się tak, jak w hotelu, i z miejsca zapaliła papierosa, co pozwoliło jej odrobinę się uspokoić. Anna przyjrzała się uważnie Amalii. Kobieta miała na sobie sweter i dżinsy, które smętnie zwisały z bioder, a włosy związała w kucyk. Nie nosiła makijażu i wciąż się garbiła. Podniosła do ust papierosa i... Anna poczuła, że robi jej się potwornie duszno. Ten gest... Film z więzienia... Zaszło jej w gardle, ale Amalia nie zaproponowała niczego do picia. Oblizła wargi i z trudem przełknęła ślinę. Pomyślała o czymś jeszcze. O kimś. Zrozumiała, kogo jeszcze przypominała jej Amalia. Nie tyle z rysów twarzy, ile z postawy, wycofania, strachliwości i... być może nieśmiałości, choć nie była pewna, czy o to dokładnie chodziło.

Otóż Amalia przypominała jej... Lidkę. Lidka i Amalia prezentowały podobny typ charakterów. Lajon twierdził, że w Lidce siedziało znacznie więcej, niż widać na zewnątrz. Czyżby w Amalii również...?

— Boisz się — stwierdziła, płynnie przechodząc na ty.

— Skąd ten pomysł? — spytała cynicznie panna Stiatesi i odpała drugiego papierosa.

— Mogę ci pomóc. Mogę cię ochronić, jeśli ze mną porozmawiasz. Jeśli powiesz prawdę.

Amalia roześmiała się i pokręciła głową.

— Ochronisz mnie? A ochroniłaś swojego męża? — W jej oczach, ku zaskoczeniu Anny, zaśmiały się.

— To była inna sytuacja... Ja... — Anna nagle postanowiła zmienić front. — Masz rację, nie ochroniłam go. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale zginęły trzy osoby. Prawie cztery. A ty coś wiesz. I boisz się. A ja chcę ci pomóc. I sobie. Ty straciłaś siostrę, a ja męża.

— Męża... — Amalia zgasila papierosa i rozplakała się. Nie zawracała sobie głowy szukaniem chusteczki i wycierała łzy w rękaw. Łkała głośno. To był prawie lament. Annę zamurowało.

— Przykro mi z powodu twojej siostry... — zaczęła cicho.

— Siostry! Co mnie ona obchodzi!

Anna wpatrzyła się w Amalię z niebotycznym zdumieniem. Serce waliło jej jak szalone. Przypomniała sobie wszystkie te chwile, kiedy Vidar wspominał o Amalii. I co o niej mówił. „Dziwaczka”. „Introwertyczka”. „Wycofana”. „Zgorzkniała”. „Nie umie się wypowiedzieć”. „Chyba nie ma własnego zdania”. „Żyje życiem siostry”. „Daje się wykorzystywać — może tak lubi?”. A jeśli Vidar kłamał? Jeśli w ten sposób mydlił Annie oczy? Jeśli chciał... coś ukryć?

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Amalia pochlipywała jeszcze, ale znacznie już ciszej. Anna walczyła ze sobą, by samej się nie rozplakać. Wreszcie wróciła na swoje miejsce i zebrała się na odwagę.

— Amalio... Czy ty i mój mąż mieliście romans? Czy coś was łączyło?

Amalia po raz kolejny wytarła nos i oczy w rękaw. Oddychała szybko. Oczy miała potwornie zapuchnięte. Pokręciła głową. Drżącą ręką sięgnęła po kolejnego papierosa, ale go nie zapaliła.

— Kochałam go — oznajmiła zimno, a Annie zrobiło się miękko. — Ale nie... On... I ja...

Nie. Ja go kochałam. Bardzo. Ty nawet nie wiesz... Skąd możesz wiedzieć! On... Nie był ze mną... Idź już! — Amalia rzuciła zgnieciony w dłoń papieros na stół — Wyjdź! Słyszysz?! Mam dość tej rozmowy! Zwłaszcza z tobą! Ty... Wyjdź! Słyszysz?!

Anna chciała jeszcze ją o coś zapytać, ale Amalia wpadła w furję.

— Amalio, posłuchaj...

— Wyjdź! Wyjdź! Wyjdź!

Anna podniosła się z sofy i skierowała do drzwi. Szła szybko i z wolnizną odrobinię dopiero na schodach. A *carcinoma nasopharyngis*?! Nie zapytała o to... I o co jej chodziło?! Amalia kochała jej męża... A on? A Sofia? Zmarła otruta arsenikiem, choć przecież zapadł już na nią inny wyrok... Jakna nieszczęsną narzeczoną Lajona.

Do opery poszła piechotą. Znała świetnie drogę i już po chwili snuła się między zabytkowymi kamieniczkami, a następnie po alejkach Magistratparken i Teaterparken. Złote i rude liście pokrywały ścieżki grubym dywanem, który przyjemnie chrzęścił pod stopami. Promienie słoneczne tańczyły na tej barwnej mozaice, wydobywając z niej coraz to nowsze kolory. Powietrze było rześkie, a wiatr delikatny i przyjemnie ciepły. Pomyślała, że jesień jest naprawdę piękna. I to miasto również. Miasto, którego w ramach solidarności ze zmarłym mężem powinna nienawidzić. Anna potępiała wszelkie przejawy szowinizmu i antysemityzmu — gdziekolwiek by one wyrosły — a jednak tej przestrzeni nie potrafiła przestać darzyć sympatią. W Teaterparken przystanęła na chwilę i mocno wciągnęła powietrze do płuc. Przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Było jej tak przyjemnie, tak błogo, że aż poczuła się winna. Błogość powinna znajdować się teraz poza zasięgiem Anny. I z pewnością nierozsądne było tracić w ten sposób czas.

Otworzyła oczy. Zobaczyła przed sobą Lajona, jak zwykle z lekko wykrzywioną gębą i w gotowości do tego, by automatycznie postukać się w czoło. Zakłęła w duchu. Miał łaźnię po starówce, cholera, a nie pałętać się jej pod nogami. Wyprostowała się dumnie i machnęła ręką w stronę budynku opery.

— Jeszcze nie skończyłam. A właściwie tutaj nawet nie zaczęłam. Więc spadaj — rzuciła i ruszyła przed siebie.

— Tak się domyślałam, ale powiedziałaś, że będziesz szła do opery, więc pomyślałem, że się tutaj pokręcę. Ładny park i pogoda niczego sobie. Szkoda wysiadywać w muzeach. Porobię trochę zdjęć.

— Czym? — zapytała niewinnie, a Lajon posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Zamachał smartfonem.

— Tym. Najnowszy model. Wiadomo, nie do profesjonalnej fotografii, ale do prywatnych zbiorów się nada. Szkoda światła i miejsca.

— No to powodzenia!

Anna oddaliła się czym prędzej, nie czekając na odpowiedź Lajona. Skoro chciał pstrykać

zdjęcia telefonem — jego sprawa. Grunt, że nie próbował iść razem z nią. Po chwili wkroczyła do foyer, minęła „złotą panienkę”, jak w duchu nazywała lśniący posąg Talii i obrała kierunek na biuro dyrektora. O tej porze korytarze opery świeciły pustkami. Oprócz znużonego portiera, oglądającego jednym okiem program kulinarny, i równie znużonej pani w kasie, a także dwóch dziewczyn w teatralnych kostiumach, które bardzo się dokądś spieszyły i nerwowo dojadły kanapki, Anna nie zobaczyła nikogo.

Pomodliła się w duchu, by dyrektor siedział grzecznie na swoim miejscu, ale, jak się zresztą mogła spodziewać zważywszy na jej stopień duchowego zaangażowania, modlitwy nie zostały wysłuchane. Gabinet był zamknięty na glucho. Anna rozejrzała się i zrezygnowana opadła na stojące nieopodal krzesło. Co robić, co robić? Czekać? A może... spróbować gdzie indziej? U artystów? Spojrzała na zegarek i ponownie opanowała ją rezygnacja. Czternasta... Kto tu teraz będzie o tej godzinie? W dodatku w środku tygodnia? Czy dzisiaj w ogóle coś wieczorem grają...? Chyba tak? Nie? A może jednak?

Wstała z krzesła, a z jej ust wymknęło się polskie przekleństwo. I wtedy na końcu korytarza ujrziała jakąś sylwetkę. Sylwetka również zauważyła Annę, przystanąła na moment, po czym zaczęła biec. Zjawa miała na sobie powłóczystą suknię i buty na wysokich obcasach, które wściekle stuknęły o posadzkę. Jej włosy powiewały za nią niczym czekoladowy welon.

— Komisarz Lindholm! — krzyknęła.

I wtedy Anna rozpoznała zjawę. Stała przed nią Camilla Stenberg, niegdyś dublerka Sofii Stiatesi, a teraz już chyba... No właśnie? Kto? Anna nie dowiedziała się wreszcie, czy *Salome* okazała się kłapą czy sukcesem. Dziewczyna wyglądała jednak na tak rozanieloną, że chyba źle jej się w życiu zawodowym nie układało.

— Komisarz Lindholm!!! — wykrzyknęła znowu. — Muszę pani podziękować. To co pani powiedziała wtedy... O tym, żebym zrobiła wszystko po swojemu! To znaczy, żebym zrobiła *Salome* po swojemu! Miała pani rację! Wszystko zmieniłam! Przestałam naśladować Sofię! Stałam się Salome! I udało się! Podpisałam kontrakt na wszystkie spektakle w tym sezonie! Teraz ja mam swoją dublerkę i... och, och!!! Mam tylko nadzieję, że mnie nikt nie otruje. — Dziewczynie zrzedła na chwilę mina, ale już po chwili cieszyła się znowu. — Przyjdzie pani na spektakl? No, niech się pani zgodzi! To dzięki pani!

Anna podrapała się z zakłopotaniem po głowie. Przypomniała sobie nagranie z występem Sofii, które oglądała w gabinecie dyrektora i które później Vidar oglądał na swoim laptopie. To wspomnienie bardzo ją przygnębiło.

— Gratuluję pani. I cieszę się. Ale... na razie chyba z wizytami w teatrze muszę poczekać. Oczywiście w celach rozrywkowych. Mój mąż nie żyje. Został zamordowany i...

Oczy Camilla Stenberg zrobiły się okrągłe jak spodki. Anna przez chwilę myślała, że śpiewaczka zamierza się rozbeczeć. Panna Stenberg zacisnęła jednak nerwowo wargi i tupnęła.

— Co za świat jakiś popierdolony! Jak to się stało, jeśli mogę spytać? Też otruty? — Dziewczyna nie zamierzała sił się na delikatność.

— Niestety tak

— I to ma związek z nami? Z operą?! Musi mieć, skoro pani tu jest! O mój Boże!

— Spokojnie, spokojnie. Niech się pani nie denerwuje. Czy ma związek...? Szczerze mówiąc, nie wiem. Dlatego chciałam porozmawiać jeszcze z dyrektorem. Nie wie pani, gdzie go znajdę? Albo o której wróci?

— Dyrektora dzisiaj nie będzie. Uświetnia swoją obecnością koncert charytatywny w jakimś liceum — słowo „uświetnia” Camilla wypowiedziała z lekką pogardą i machnęła ręką. — A ja szłam właśnie do sekretariatu. Muszę podpisać jakiś aneks do umowy. Właśnie! Może ja w czymś pani pomogę? Proszę pytać! Śmiało! No przecież pani musi rozwiązać tę sprawę! Nie można sobie łączyć i truć ludzi, do ciężkiej cholery! Trzeba złapać skurwiela!

— Albo skurwieli — wyrwało się Annie, na co jej rozmówczyni cicho zachichotała. — No nie wiem... Ale... Pamięta pani, wtedy w garderobie rozmawialiśmy o tym, że Sofia się odchudzała i wyglądała mizernie. Była słaba i tak dalej... Nie wydaje się pani, że po prostu na coś chorowała?

Camilla Stenberg pobladła i zaczęła nerwowo skubać fałdy sukni. Odrzuciła na plecy czekoladowe włosy. Przez chwilę mierzyła Annę wzrokiem. Wreszcie westchnęła i zaczęła przechadzać się po korytarzu. Stukot jej obcasów wkuwał się irytującym, powtarzalnym dźwiękiem prosto w kanały słuchowe. Dziewczyna wciąż szarpała fałdy sukni i Anna pomyślała, że może to jakaś wariacja na temat tańca siedmiu welonów...?

— Rozumiem, że nie chodziło o odchudzanie? — zapytała w końcu świeżo upieczona gwiazda opery. — Nie przez to była taka słaba?

— Być może też, ale... No więc sekcja zwłok wykazała, że Sofia chorowała...

— Ach! Czyli miałam rację! Nikt mnie nie słucha! Tylko dyrygent! A tak naprawdę wszyscy wiedzieli! Widzieli! Słyszeli! Ale i tak udawali głupków! Przecież jasne było, że Sofia miała kłopoty ze słuchem! Tylko jeden dyrektor, sam głuchy jak pień, się nie zorientował! Ale on nie jest muzykiem, więc sobie może! W gruncie rzeczy gówno wie!

— Czyli pani coś podejrzewała? Dlaczego mi pani wcześniej nie powiedziała? Albo nadkomisarz Gustafsson z Malmö?

Z gardła dziewczyny wydobył się dźwięk przypominający „argh”.

— Nadkomisarz Gustafsson! — prychnęła z niesmakiem. — Ona w ogóle nie umie rozmawiać z ludźmi! Może z jakimś elementem społecznym, z kryminalistami, to tak! Ale nie z artystami! Jakiś baran musiał ją tu przysłać!

— No dobrze, ale nawet jeśli przysłał ją baran, to jednak głównie ona prowadzi tę sprawę, a zatem trzeba jej mówić prawdę.

— Ależ ja powiedziałam prawdę! — oburzyła się Camilla. — Po prostu nie powiedziałam o swoich domysłach. A domysły to, wie pani, można sobie w dupę wsadzić, tyle są warte. My tu wszyscy, a raczej nie wszyscy, tylko większość domyślała się, że Sofii coś jest. No ale, jak mówiłam, poza mną i dyrygentem każdy udawał głupka. I pomyśleliśmy też, że jak zrobicie tę swoją AUTOPSJĘ, to wszyscy i tak wyjdzie.

Anna ponownie zakłęła w duchu. Wyjdzie! Pewnie! Trzeba tylko się skupić i dokładnie

przestudiować raport, a nie tak na wariata! Durna, durna!!! Prawie tak samo durna jak Ester! Jeden Ingvar z nich wszy stkich coś jeszcze umiał skojarzyć, ale i on ostatnio specjalnie nie szalał z bystrością. Ci z góry powinni zmienić śledczych prowadzących tę sprawę, dać kogoś ze świeżym umysłem.

Nie, nie!

Nie mogą przecież zmienić ekipy! Trzeba pozostać u źródeł, mieć wszystko pod kontrolą! Anna zaczęła gorączkowo myśleć. Camilla również wydawała się rozgorączkowana.

— No dobra, nie powiedziała pani policji, to mnie niech pani powie. Czego się pani domyślała?

— Ja i dyrygent...

— Pani i dyrygent...

— No bo z Sofią było tak, że ona już śpiewała od dawna i czuła rytm w sobie. Ale ostatnio zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Pierwsza próba wypadła świetnie. Została nagrana, zresztą pani to widziała. A później, no cóż, Sofia zaliczyła stopniowy spadek formy. Bywały też i lepsze dni, ale ogólnie śpiewała gorzej. Z początku chodziło o barwę głosu. Widzi pani, głos jej się zmienił. Był taki nosowy, jak przy katarze. Wiadomo, każdy może się przeziębnić, ale Sofia nie wyglądała na przeziębioną. Tylko ten głos... Później wydawało się, że nie trafia w niektóre dźwięki. Ona! Taka śpiewaczka! Sluch absolutny! To było aż niemożliwe. Rozmawiałam o tym raz czy dwa z dyrygentem, który podzielał moje zdanie, ale nikt inny nie chciał nas słuchać. Dyrektor wyrzucił mnie z gabinetu, kiedy przyszedłam mu coś zasugerować. Bałam się, że stracę pracę...

— Jasne. Rozumiem. Dziękuję. Pomogła mi pani. — Anna zawahała się, rozejrzała po korytarzu i w wszelki wypadek, choć nie wiadomo do końca po co, zniżyła głos. — Tak sobie myśle... Nie wie pani może, gdzie znajdę charakteryzatorkę, która zajmowała się Sofią?

— Charakteryzatorkę Sofii? Jest tutaj, na dole, w charakteryzatorni. Wszystkie charakteryzatorki dzisiaj tutaj są, bo opera podpisała umowę z nową firmą kosmetyczną, która przywiozła próbki. Testują je.

— Jak się nazywa? — W Annę wstąpiła nowa nadzieja.

— Annika Norling.

— Dziękuję pani. I powodzenia.

— Pani Linholm...

— Tak?

— Czyli Sofia jednak była chora? Miałam rację? Strasznie się wściekała, kiedy pytałam.

Anna kiwnęła głową. Camilla Stenberg uśmiechnęła się smutno i pomachała do niej na pożegnanie, a już po chwili zniknęła za drzwiami sekretariatu. Anna ruszyła w dół, do charakteryzatorni. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się to pomieszczenie ani jak wygląda Annika Norling, wiedziała jednak, że musi zamienić z tą kobietą przynajmniej dwa słowa. Albo trzy. To zależy od okoliczności.

Charakteryzatornia była dobrze oświetloną, przestronną salą, usytuowaną nieopodal wyjścia na scenę. Anna dotarła tam po dość intensywnych poszukiwaniach, w których wreszcie pomógł jej ziewający portier. Najwyraźniej oglądany przez niego odcinek programu kulinarnego osiągnął etap napisów końcowych, w związku z czym poziom nudy wzrósł o sto procent. Portier wypełił ze swej kanciapy, nakazał odrobinę zbulwersowanej tym osobliwym buntem kasjerce, by miała na wszystko oko, i poszedł z Anną aż do miejsca przeznaczenia.

Zapukała delikatnie, co okazało się zupełnie zbędne. Nikt jej nie usłyszał. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. W charakteryzatorni działy się igraszki dantejskiej sceny. Kobiety śmiały się, przekrzykiwały, przerzucały jakimiś specyfikami, których przeznaczenia Anna nie potrafiła odgadnąć.

Weszła i stanęła z boku, przyglądając się wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem. Żadna z charakteryzatorek nie zwróciła na nią uwagi. Były zbyt zajęte wypróbowywaniem coraz to nowszych kosmetyków. Anna chyba nigdy w życiu nie używała jednocześnie podkładu, pudru, cieni do oczu, tuszu do rzęs i pomadki do ust. A przecież był jeszcze jakiś róż... I wszystko na jednej twarzy! Zawsze wydawało się to Annie absurdalne. Przez moment usiłowała sobie przypomnieć, co znajduje się w jej własnej kosmetyczce i uznała, że ma spore braki.

— Hej, Annika! — zawołała jedna z dziewczyn. — Zobacz te sztuczne rzęsy! Gdyby połączyć z kredką do oczu, to wyglądałabym prawie jak ta Żmija Stiatesi! Chociaż ona... Oj...

W tym momencie w charakteryzatorni zapadła cisza. Anna została zauważona. Zrobiło jej się nieswojo. Jedna z kobiet otrzepała ręce z pudru i podeszła się przywitać.

— Dzień dobry. Jestem Annika Norling. Przewodzę tej... grupie. — Machnęła ręką w kierunku pozostałych dziewczyn. — Kto panią tutaj wpuścił? Możemy jakoś pomóc? — spytała niepewnie i skrzywiła się na widok odznaki Anny. — Ach, pani też z policji... Była tutaj już taka jedna...

Kobiety w tle zachichotały cicho i natychmiast umilkły. Kąciki ust Anniki Norling również zdrzały.

— Komisarz Lindholm z Ystad. Jestem konsultantką w tej sprawie. W sprawie śmierci Sofii Stiatesi. I... innych osób. Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

Annika Norling zaprowadziła ją do niewielkiego pomieszczenia, które najprawdopodobniej służyło za coś w rodzaju zaplecza z czajnikiem, lodówką i półką, na której leżały pachnące bułki, herbatniki, a także puszki z kawą i herbatą. Anna przypomniała sobie o ledwie skubniętej z rana jajecznicy i poczuła ssanie w żołądku.

— Kawy? Herbaty?

— A właściwie... Jeśli to nie kłopot, chętnie napiłabym się kawy.

Czajnik zaszumił przyjemnie i po chwili pomieszczenie wypełnił intensywny zapach kawy. Annika Norling postawiła przed Anną kubek, sobie przygotowała herbatę i rozsiadła się wygodnie w fotelu.

— Żmija Stiatesi? — spytała Anna lekkim tonem.

— Ach, to! — Annika skrzywiła się. — Przesadzają. Sofia Stiatesi była wkurzająca, ale

przecież każdy jest wkurzający na swój sposób. Zwłaszcza artyści! Już się przyzwyczaiłam. Ale ją akurat nawet lubiłam. Znała się na rzeczy. Sama mogłaby się ucharakteryzować, gdyby trzeba było. Interesowała się makijażem scenicznym i charakterystyką, zwłaszcza taką głęboką. Stiatesi nie była tylko śpiewaczką. Ona była też aktorką. Wiedziała, że do każdej roli musi się przeistoczyć w kogoś innego. Inaczej wyglądać, poruszać się... Zadawała mi mnóstwo pytań o makijaż, maski, peruki... Pokazałam jej parę rzeczy, trików. Pojęła w mig. Nikt inny tak się tym nie interesował. Dlatego właśnie ją lubiłam. Bo uważała moją pracę za tak samo ważną, jak swoją.

Anna zamknęła dłonie na kubku z kawą. Ta rozmowa zapowiadała się bardzo ciekawie.

Z opery wyszła po dwóch godzinach. Informacje zasłyszane od Anniki Norling szumiały w jej głowie dziwną kakofonią. Niby wszystko miało sens, ale nieco zmieniało kierunek, w którym do niedawna biegły myśli Anny. Sofia interesowała się charakterystyką, choć to Amalia wydawała się podobna do... kobiety z więzienia. Do tej całej fałszywej matki Narcyza, babki czy kogo tam jeszcze! Ale być może to wcale nie była ona? Tylko ktoś inny, a jednak wcale nie tak odległy i obcy?

Tylko dlaczego, do cholery, Amalia nie powiedziała policji o chorobie Sofii?! Nie wiedziała o niej? Sofia nikomu nie powiedziała? Jeśli Camilla Stenberg i ten jakiś dyrygent wszystkiego się domyślili, musiały zatem domyślić się tego również Amalia. Były przecież ze sobą blisko! Były siostrami!

Anna przystanęła na ścieżce w Teaterparken, tak samo jak zrobiła to przed dwiema godzinami. Słońce nie świeciło już tak mocno i pierwsze szarości zwiastowały nadejście zmierzchu. To była właśnie najmniej sympatyczna cecha jesieni. Krótki dzień. Długa noc. Anna odgarnęła czubkiem buta zeschłe liście i po raz nie wiadomo który zakłęta w duchu. Miała mętlik w głowie i była potwornie zmęczona.

Wizyta u Amalii i rewelacje tam zasłyszane. Wycieczka do opery, Camilla Stenberg, Annika Norling. Sofia i jej choroba. Fascynacja charakterystyką. Amalia Stiatesi ledwie żywa z nerwów i rozpaczy po śmierci Vidara.

Vidara!

Anna pomyślała ze wstydem, że to ona powinna szaleć z rozpaczy po jego śmierci, a przecież jakoś sobie radziła. I tylko chciałaby czasem po prostu usiąść na ławce w parku. Na przykład takim, jak ten. Popatrzeć na liście. Pooddychać. Przestać myśleć choć na chwilę. Ale być może... przyjdzie czas i na to?

Obróciła się wokół własnej osi i zastanowiła, gdzie zostawili samochód. Ogarnęły ją mdłości na myśl o tym, że musi znowu znaleźć się nieopodal kamienicy, w której mieszkała Amalia. A przecież i tak trzeba będzie do niej wrócić. Ta rozmowa jeszcze się nie zakończyła. Została zaledwie zawieszona. Anna sięgnęła do torby po telefon i od razu rzuciły jej się w oczy miliony nieodebranych połączeń od Ingvara i setki esemesów. Zamierzała od razu oddzwonić, ale ktoś złapał ją za ramię. Wyrwała się instynktownie, od razu jednak odetchnęła z ulgą.

- Lajon, kurde! Nie strasz mnie!
- Anka... — Lajon był okropnie zdyszany. Z trudem łapał oddech.
- Co jest?! Coś się stało? Biegłeś?
- Taak... Spacerowałem sobie tam dalej i nagle zadzwoniła... twoja siostra.
- Lidka?!
- Masz jeszcze jakieś?!
- Odwal się!
- Zamknij się!!! — ryknął nagle Lajon i lekko nią potrząsnął.
- Zamknęłam. Więc się może wypowiedz — odrzekła zimno.

— Dzwoniła twoja siostra. Powiedziała, że w Helu aresztowali tego chłopaka... Tego, który stał za barem. No... Tego Marcina! On jest synem sąsiadów twojej matki, chciał sobie dorobić, więc go zatrudniła na weselu. No i... — Lajon urwał i wziął kilka głębszych wdechów. — No i policji coś widocznie z nim nie grało, bo uzyskali nakaz i przeszukali jego dom. To znaczy rodziców dom. Na strychu, pod stertą książek znaleźli laptop, a w nim pliki z cytatami, zdjęcia rysunków tego całego Narcyza i... twoje zdjęcia. Prywatne. Z Vidarem.

Anna poczuła ucisk w klatce piersiowej i osunęła się na ławkę.

— Co ty mówisz?

— Chłopak ten cały Marcin, był, wyobraź sobie, na wycieczce w Kopenhadze, którą pilotował Bruno... Podobno mieli tam mnóstwo wolnego czasu. Mógł przejechać przez ten cholerny most nad Oresund i... No, laptop... Rysunki, zdjęcia... Anka...

— To głupie — odpowiedziała cicho. — Głupie, Lajon! Marcin-barman? Nawet go nie znam! Laptop, zdjęcia, Kopenhaga... To głupie, głupie...!

— Głupie, głupie! On też się tak tłumaczy. Mówi, że laptop jest jego, ale od kilku dni nie mógł go znaleźć. A zdjęcia widzi pierwszy raz w życiu na oczy. Wypiera się. Ma akurat pecha, bo studiuje architekturę...

— Czyli potrafi rysować — dokończyła i zasępiła się.

Lajon chwycił Annę za rękę i pomógł jej wstać z ławki. Do samochodu szli w milczeniu. Anna raz po raz kręciła głową. Ten zwrot w śledztwie był dziwny. Nieprawdopodobny. Może i Marcin-barman odwiedził Kopenhagę... Może i mógł dotrzeć tutaj, by kogoś otruć... Ale po co? Dlaczego on? Taki smarkacz? Co miał z tym wszystkim wspólnego? I jeśli laptop faktycznie był jego, jeśli miał na nim — nie wiadomo skąd — te pieprzone zdjęcia, to dlaczego nie wybrał lepszej kryjówki? Dlaczego nie wywalił komputera? Po cholerę trzymał go na strychu?! Przecież to jakiś absurd! Chyba że ten gówniarz miał coś wspólnego z Vidarem. Czy to możliwe? Albo z Sofią? Z Narcyzem? Anna zaśmiała się w duchu. Idiotyżm! Ta teoria nie trzymała się kupy. Ani trochę.

Kiedy dotarli do auta, po raz kolejny zadzwonił Ingvar. Anna chwyciła komórkę i z grobową miną odebrała połączenie.

— Tak? Mhm... Jestem w Malmö. Opowiem ci w domu. Tak. O tym już słyszałam.

Rozdział 43

Wrzaski, pretensje, przejmująca cisza, bezsilność, wojna argumentów, kuchenne odgłosy i walizka w hallu. Anna nie wiedziała, co było najgorsze. Przemieszczała się z jadalni przez korytarz do kuchni, po czym zaczynała wycieczkę od nowa, gdzieś w międzyczasie dostrajając ton wypowiedzi do aktualnego rozmówcy. Lempi przygotowywała w kuchni kolację dla batalionu wojskowego i nie przyjmowała do wiadomości, że wystarczyłoby kanapki, bo nikt nie jest głodny. Lajon miotał się po hallu ze swoim harcerskim plecakiem i niepewnie spoglądał na walizkę Anny. Ingvar przytaszczył do jadalni tablicę, do której poprzyklejał zdjęcia ofiar i inne artefakty związane ze śledztwem. Mówił, że trzeba się wziąć do pracy i coś w końcu odkryć, skoro policja w Helu już kogoś aresztowała. Stanowczo odrzucił propozycję skorzystania z gabinetu Anny, ponieważ wciąż „czuć-tam-obecność-kogoś-innego-i-świetnie-o-tym-wiesz-Ana”. Lempi natomiast oświadczyła z wyższością, że ona jedzenia nie poda tam, gdzie wiszą zdjęcia nieboszczyków. Zaczęła znosić talerze do salonu i — najprawdopodobniej — klęła po fińsku, usiłując pomieścić naczynia na deserowym stoliku.

To wszystko było jednak w miarę do przeżycia. Prawdziwe piekło rozpętało się wtedy, gdy Anna oznajmiła, że pojedzie do Helu razem z Lajonem. Z Lajonem, który uznał, iż lepiej jednak wrócić tam i postarać się zdobyć jakieś informacje, choć widział, że z „Anką” nie jest najlepiej. Ucieszył się, kiedy wpadła na pomysł o wspólnym wyjeździe. Ingvar natomiast pobladł, zatrząsł się, po czym wypluł z siebie łańcuch niezrozumiałych fraz. Wypił tyk swoich ziółek, uspokoił się i oświadczył, bardzo powoli i już wyraźnie, że na Hel to owszem, może sobie jechać Lajon, a choćby i nawet szwedzka królowa, ale nie „Ana”!

Bo „Ana” jest potrzebna tutaj! Bo tu jest jej praca!

Anna wielce się na to oburzyła, wydarła się, że w Helu ktoś otrul jej męża i właśnie powinna tam pojechać, skoro aresztowano podejrzanego, a poza tym żaden męski szowinista nie będzie jej niczego zabraniał. Nazwany męskim szowinistą, Ingvar zdębiał i umilkł. Anna pobieгла spakować walizkę, do której nawrzucała luzem zupełnie bezsensowne ciuchy. Lajon usiłował załagodzić konflikt, rozpoczynając od udobruchania Lempi, ale ta prychnęła tylko i rzuciła w niego ściereczką. Wycofał się z powrotem do przedpokoju, zajrzał do jadalni, z której Ingvar pokazał mu środkowy palec. Wycofał się również stamtąd i ograniczył się do obserwowania mediacyjnej czynności Anny.

A Anna poległa w kwestii Lempi i pozwoliła jej podać kolację w salonie. Obawiała się, że obrażeni faceci urządzią strajk głodowy, w wyniku czego ona, żeby gosposi nie zrobiło się przykro, będzie zmuszona zjeść wszystko sama. Wreszcie nie wytrzymała. Zaciągnęła Lajona do jadalni i usadziła na krześle. Ingvar demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami i zaczął w skupieniu

studiować swoją tablicę z nieboszczykami. Anna walnęła pięścią w stół.

— Zachowujecie się wszyscy jak banda smarkaczy! Ja jeszcze rozumiem Lempi, w końcu jadalnia to nie miejsce na wieszanie zdjęć, ale...

— Zdjęć nieboszczyków — poprawił usłużnie Lajon i zaczął zwiijać w palcach papierową serwetkę.

— Odpieprz się! — zripostowała bardzo kreatywnie i pokazała mu środkowy palec.

Lajon wstał gwałtownie. Krzesło huknęło o podłogę.

— O nie! Ja wyjeżdżam! To jasne, że nie jestem tu mile widziany. Już mi twój facet fuckera pokazał, a teraz jeszcze ty!!!

— Pokazałeś mu fuckera? — Anna szarpnęła Ingvara za ramię. — Jak mogłeś!!! On jest tu gościem!

— Ale ty jakoś mogłaś! — oburzył się Ingvar.

— Bo to mój gość! Mogę z nim robić, co chcę!

— Ja przepraszam, ale nie jestem przedmiotem!!! — wydarł się Lajon i podniósł przewrócone krzesło. Bo nie był przecież wandelem.

— A tak! Jasne! Wiem, że to nie mój dom! Ja też jestem tu gościem — wycedził Ingvar. — Czuję to na każdym kroku! Nie musisz mi przypominać!

— Ingvar...

— To ja już może pojedę... — Lajon porzucił papierową serwetkę i sięgnął po plecak

— Dokąd pojedziesz tak późno, idioto? — Ingvar postukał się w czoło. — Nie ma już o tej porze promu. Znowu ci ktoś mordę w lesie obje. Lepiej siadaj na dupie i poczekaj do jutra. Chyba że kuter jakimś rybakowi podpieprzysz, ale nie radzę. Sztorm dzisiaj. Jeszcze ty się utopisz i będzie! Jakaś zbiorowa masakra...

W jadalni zapadła cisza. Finka zapukała cichutko i z zamkniętymi oczami, żeby zapewne nie widzieć nieboszczyków, poinformowała ich o kolacji. Anna westchnęła z rezygnacją i oznajmiła, że ona idzie coś zjeść i im też radzi, w przeciwnym razie mordować zacnie również Lempi. Mężczyźni, choć faktycznie obrażeni, posłusznie udali się za nią. Jest jednak ziarno prawdy w tym, że facet myśli przede wszystkim o żółdku, przyszło Annie do głowy. I jeszcze coś, ale o tym starała się choć na jakiś czas zapomnieć...

Przeżywali w milczeniu. Nad stołem zawisła grobowa atmosfera, z którą z pewnością poradziłyby sobie Lempi, ale fińska gosposia chyba obraziła się również, bo tylko szywno wyartykułowała, że w takich warunkach jeść nie będzie i poszła z powrotem do kuchni. Zostali sami. Anna nie miała pojęcia, o czym myślał pobladły, wściekły i jednocześnie zatroskany Ingvar, ani co chodziło po głowie również złego, ale też równie zakłopotanego Lajona. Ona natomiast wciąż na nowo analizowała poznane fakty.

Ingvar wiedział więcej o aresztowaniu Marcina-barmana w Helu, niż od Lidki usłyszał Lajon. Został poinformowany o wszystkim bezpośrednio przez helską policję i znał szczegóły sprawy. Okazało się, że w mieszkaniu rodziców barmana, na strychu, faktycznie znaleziono laptop, a na nim zdjęcia i pliki z feralnymi cytatami. Chłopak jednak twierdził, iż swojego laptopa szukał

od kilku dni i podejrzewał zwykłą kradzież. Wracał kiedyś z imprezy w Pucku, gdzie pił się do nieprzytomności, po czym został odeskortowany przez jakiegoś innego imprezowicza do domu. Miał przy sobie komputer. Może wtedy sprzęt zaginął...?

Policja na wszelki wypadek ustaliła tożsamość „podwoziciela”, nie miała jednak co do niego zbyt wielkich nadziei. Ot zwykły gość. Niezwiązany ze sprawą. Przesłuchiwany Marcin-barman wyznał, że owszem, kojarzy panią i pana ze zdjęć w komputerze, bo widział ich na weselu Lidii Bylińskiej i Brunona Kuca, ale nigdy ich wcześniej nie poznał. Pani ze zdjęć ponoć pochodzi z Helu, ale wyjechała do Szwecji prawie piętnaście lat temu, kiedy on sam miał cztery, nie może więc jej pamiętać.

W Szwecji również nigdy nie był. W Danii? W Danii owszem. W Danii był. Całkiem niedawno, przed samym weselem Lidii i Brunona. Bruno jechał do Kopenhagi jako pilot, w ostatnim momencie zwolniło się jedno miejsce w grupie wycieczkowej, bo turysta się rozchorował, i można było je dość tanio odkupić. Lidia Bylińska, z którą Marcin-barman od dziecka mieszkał po sąsiedzku, dała mu o tym szybko znać, wiedziała bowiem, że zaczął studia na wydziale architektury i interesował się budownictwem północnej Europy. A ponieważ zazwyczaj nie miał kasy na wojaże, propozycja wydała mu się kusząca. Skorzystał więc z okazji i pojechał.

Most nad cieśniną Oresund? Tak wie, że w Kopenhadze jest taki most. Łączy się z Malmö? Być może. Pewnie tak. Ale nie. On nigdy przez ten most nie przejechał. Nigdy nie był w Malmö. Na pewno. Skąd zatem bilet kolejowy? Jaki bilet? Z Kopenhagi? Do Malmö? Ale skąd? Gdzie? W jego rzeczach? To jakiś absurd! Nigdy nie był w Malmö! Ktoś go wrabia! Tak samo, jak z laptopem! Sofia Stiatesi? Kto to jest Sofia Stiatesi? Narcyz?! Jezu, jaki znowu Narcyz?!

Tu już chłopak stracił panowanie nad sobą, zaczął się drzeć i błagać o adwokata. Póki co, z urzędu, bo na innego nie było go stać.

Anna odłożyła sztuce. Mężczyźni nadal przeżywali zawzięcie, nie odzywając się ani słowem. Sprawa wyglądała gorzej niż beznadziejnie. Śledztwo w Helu skoncentrowało się na nieszczęsnym Marcinie-barmanie, który raczej na pewno nie miał z tym wszystkim nic wspólnego, a śledztwa w Ystad i Malmö ugrzęzły na babci z więzienia, która zносиła Narcyzowi ciasta. I jakichś bzdurnych powiązaniach finansowo-politycznych.

Idioty zmy! Cholerne idioty zmy!

Myśli Anny biegly dwutorowo. Po szwedzkiej stronie Bałtyku koncentrowały się na Amalii Stiatesi, która po pierwsze musiała wiedzieć o chorobie siostry, po drugie na pewno zbierała cytaty i kopiowała rysunki, niezależnie od tego, co mówił jej prawnik, a po trzecie... Kochała Vidara. I to ostatnie również miało związek ze sprawą. Tyle że Anna jeszcze nie wiedziała, jaki. Po polskiej stronie Bałtyku myśli Anny skupiały się wokół Brunona Kuca. Była niemal pewna, że to on pogrążył tego biednego chłopaka. Miał możliwość. Mieszkał blisko, znał go, byli razem w Kopenhadze. A zatem... Amalia i Bruno. A między nimi Narcyz, Sofia i Vidar. Matka się nie liczyła. Anna nie mogła się oprzeć wrażeniu, że podtrucie matki miało służyć za zasłonę dymną, odwrócić uwagę. Była do tego idealna. Łatwo się irytowała, nienawidziła Anny, wystarczyła jedna iskierka i awantura gotowa. A zatem piątka. Amalia, Bruno, Sofia, Narcyz, Vidar. Co ich

łączyło? Czy osoba, która podrzuciła Annie gazety pod wycieraczkę, była jedną z nich? A jeśli tak — to jaki przyświecał jej cel? Kto kogo pozabija! Dłaczego?

Gdzie tu motywy?

Nazajutrz była sobota. Lajon dał się udobruchać i postanowił zostać jeszcze przez weekend. Ingvar uparcie odmawiał korzystania z gabinetu Anny i zabarykadował się w jadalni, a Lempi chodziła naburmuszona i raz po raz powtarzała hasło „dom wariatów” na przemian z fińskimi — chyba — przekleństwami. Przy śniadaniu pokłócili się tylko raz. O to, że Anna zrelacjonowała Ingvarowi rozmowę z Amalią Stiatesi w obecności Lajona. A Lajon jest osobą postronną, przez chwilę znajdował się nawet w gronie podejrzanych, nie powinien zatem znać szczegółów śledztwa. Chłopcy poprzerzucali się przez parę minut hasłami w stylu: „pocałuj mnie w dupę”, „ciągnij się” i „chyba cię powaliło”, co było dość łagodną formą ubliżania sobie, w porównaniu z dniem ubiegłym, zwłaszcza że jeden wyrażał się po polsku, a drugi po szwedzku. I wreszcie zapanował spokój. Anna pokazała Lajonowi, jak dotrzeć na plażę i pożyczyła mu aparat fotograficzny Vidara, którym jej mąż robił zdjęcia mebli. Sprzęt był niezły, Lajonowi zaświeciły się oczy i poszedł nad morze się odstresować.

Anna zamierzała pracować nad sprawą razem z Ingvarem, została jednak zmuszona do szybkiego i zupełnie nieplanowanego wyjazdu do Ystad. Tuż po wyprawieniu Lajona na plażę zadzwonił telefon. Zdenerwowany fachowiec z warsztatu meblarskiego tłumaczył, że miał dzisiaj pomalować komodę na „oberżynę”, ale dostawca, który przywiózł farbę, jest niekwestionowanym daltonistą i ta jego „oberżyna” wygląda na cokolwiek „chujową”, więc on malował taką nie będzie. Anna pojechała do Ystad, gdzie zeszyły jej prawie dwie godziny na łagodzeniu sporu i zamawianiu „nie-chujowej oberżyny”, po czym wreszcie wsiadła do auta.

Od razu po powrocie dołączyła do Ingvara w jadalni i opowiedziała mu o swoich domysłach. Mimo iż ostatnio nie układało się między nimi najlepiej, wiedziała, że potraktuje je poważnie. I miała rację. Nie tylko potraktował je poważnie, ale i sam sformułował bardzo podobne wnioski. Odetchnęła z ulgą. Rozmawiali o sprawie przez kolejne dwie godziny, usiłując poskładać w całość wszystkie informacje, które posiadali.

— To, że Amalia kochała się w moim mężu... — odezwała się nagle Anna i urwała.

— Tak? — spytał delikatnie Ingvar, odrywając wzrok od tablicy.

— Musi mieć jakiś związek ze sprawą. Nie wiem, jaki... Ale to na pewno ma znaczenie.

Wydaje mi się, że powinnam przeszukać jego rzeczy. Na strychu jest mnóstwo kartonów, starych zdjęć, ale też dokumentów, dawnych zleceń, rysunków, projektów i tak dalej. Vidar zawsze znosił na strych różne graty, ja nigdy tam nie zaglądałam. Nie mam skłonności do chomikowania. W każdym razie jakiś czas przed wypadkiem, kiedy my finalizowaliśmy sprawę Narcyza, Vidar wydawał się odrobinę dziwny. Nie swój. Mówił, że to w związku z takim jednym trudnym zleceniem, za które nie wie, jak się zabrać. Mielśmy wówczas mało czasu dla siebie, ja ciągle siedziałam w pracy, zamykaliśmy śledztwo, Vidar finalizował zlecenie na wiedeńskie meble Sofii

Stiastesi i kursował między Szwecją i Austrią. Obiecaliśmy sobie, że kiedy to się skończy... No, nadrobimy ten czas. Vidar zrealizował zlecenie dla Sofii, zaniósł na strych kolejny karton jakichś swoich szpargałów, które „tym razem akurat się nie przydały, ale być może przydadzą się przy następnym projekcie”. Zawsze tak mówił. Chodził przez kilka dni zamyślony, ale później wszystko zdawało się wracać do normy. Narcyza zamknęli w pierdlu. Ja też byłam wreszcie wolna. I wtedy wydarzył się wypadek. Te kartony... Zapomniałam o nich. Vidar zapomniał. Teraz myślę, że powinnam do nich zajrzeć. Może coś znaleźć. Jakiś ślad po... nie wiem... Amalii?

— Chyba raczej Sofii? — odezwał się głos od progu.

Anna i Ingvar odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stał Lajon z aparatem Vidara w dłoniach. Anna przełknęła ślinę.

— Jakiej Sofii? — zapytała słabo, choć przecież świetnie знаła odpowiedź.

Lajon nie odezwał się ani słowem. Szybko znalazł się obok niej, uruchomił aparat i włączył zdjęcia. Obrócił ekran w stronę Anny. Jej oczom ukazało się zdjęcie Vidara i Sofii. Tak zwane selfie. To Sofia musiała je pstryknąć. Nie Vidar. Vidar bowiem obie dłonie trzymał na jej policzkach. Całował Sofię w usta.

— Jest tylko to jedno — ostrożnie poinformował Lajon. — Albo nie było więcej, albo... resztę skasował.

Anna odłożyła aparat na stół, wciąż jednak wpatrywała się w niego tępo. Ingvar i Lajon milczeli. Spojrzała najpierw na jednego, później na drugiego, a następnie rozejrzała się po jadalni, jak gdyby znalazła się tutaj po raz pierwszy w życiu. Vidar i Sofia! I Amalia, na dokładkę... O co w tym wszystkim chodziło?! A zatem Vidar... zdradził ją. Zdradził. Jeszcze zanim ona zdradziła jego. I w dodatku zrobił to w „zdrowych” warunkach, wtedy, kiedy mieli jeszcze normalne życie i zwyczajne problemy zapracowanych par małżeńskich. Kiedy myślała, że on ją kocha. Kiedy miała potworne wyrzuty sumienia z powodu pierwszych cieplejszych uczuć wobec Ingvara. Kiedy nie wydarzyła się jeszcze tragedia... On i Sofia. On i... Amalia?

— Na strych — powiedziała cicho. — Idziemy na strych. Wszyscy. Za mną.

I nie czekając na reakcję mężczyzn, pobięła w kierunku schodów.

Rozdział 44

Ingvar kichał co jakiś czas, a Lajon wycierał sobie zażawione oczy. Kurz dawał się im mocno we znaki i nie można było nad nim zapanować. Jedyne Anna zdawała się go nie zauważać. Na jej policzkach widniały ciemne smugi, pozostawione przez zabrudzone dłonie, a we włosy zaplątała się stara pajęczyna. Lajon nie wytrzymał wreszcie i litościwie ją z nich wypłatał. Nie zwróciła na to uwagi. Było jej wszystko jedno. Pajęczyna czy nie. Co za różnica? Liczyła się tylko

zawartość cholernych kartonów. Ingvar przekopał się już przez jeden, ale nie natrafił na nic interesującego. Lajon kończył drugi. Też nic. Na strychu zeszło im niemal pół dnia i za niewielkimi okrągłymi okienkami zapadła ciemna noc. Cierpliwie szukali dalej. Wreszcie został już tylko jeden karton. Najnowszy. Ten sprzed wypadku. Ten, który wydawał się Annie coraz bardziej podejrzany. Ten, od którego powinna — a jednak nie potrafiła — zacząć.

Drzącą ręką przecięła taśmę klejącą i odchyliła wieko. Lajon i Ingvar nie zaoferowali jej pomocy. Stali z boku i nie odzywali się ani słowem. Wiedzieli, że teraz nie powinni Annie przeszkadzać. Jeśli w kartonie rzeczywiście coś było, najpierw musiała zmierzyć się z tym sama. Patrzyli, jak przeglądała rachunki i dokumenty firmowe, po czym odkładała je na bok. Wreszcie w jej dłoniach znalazła się czarna tekturowa teczka. Anna zastygła w bezruchu. Wpatrywała się w nią przez chwilę, a następnie jednym zdecydowanym ruchem odwiązała tasiemkę i zajrzała do środka.

Wstrzymała oddech.

W teczce znajdował się angielski egzemplarz *Salome* Oscara Wilde'a. Za okładkę wetknięto zdjęcie. To samo, które przed chwilą Anna oglądała na aparacie Vidara. Oni. Razem. Sofia i Vidar.

Salome, Sofia, Vidar.

Anna przekartkowała egzemplarz, ale nie znalazła żadnych zaznaczonych fragmentów. Odrzuciła książkę na podłogę. Przypomniała sobie film, który oglądał na swoim laptopie Vidar. Nagranie z prób. Sofia Siatesi wykonująca taniec siedmiu welonów...

Poczuła łzy zbierające się pod powiekami, nie wiedziała jednak, czy były to łzy smutku, złości czy zawodu. Czuła też ich spojrzenia. Dwóch mężczyzn. Milczących i taktownych świadków jej osobistego dramatu. Skuliła się na podłodze i ukryła twarz w dłoniach.

Amalia nie spała. Anna widziała światło w jednym z okien i poruszającą się co jakiś czas firankę. Stała pod budynkiem już blisko godzinę i wciąż zbierała się na odwagę, by zadzwonić domofonem. Albo na komórkę. Domyślała się, że do Amalii nie wejdzie tak po prostu. Że będzie zmuszona raczej tam wtargnąć i skłonić ją do rozmowy. Tyłko jak? Ingvar chciał iść razem z nią, zamachać odznaką i uczynić tę pogawędkę bardziej oficjalną, Anna jednak nie chciała wystraszyć Amalii. Była przekonana, że w towarzystwie Ingvara niczego się nie dowie. Nie, nie... Ona nie mogła tam pójść jako policjantka. Raczej jako... przybita żona. Choć i to mogło Amalię skutecznie wytrącić z równowagi.

Lajon i Ingvar przyglądali jej się zza szyb samochodu. Nie pozwolili, by tłuła się sama do Malmö i to w dodatku po nocy. Prosilili, by zaczęła do rana, ona jednak uparła się, jak jeszcze nigdy w życiu. Musiała porozmawiać z tą dziewczyną. Ponownie. Ona coś wiedziała. Wiedziała dużo. Być może nawet znajdowała się w posiadaniu klucza do całej tej zagadki.

Spojrzała na przyklejonych do szyby mężczyzn i pomachała im. Odmachali równocześnie. Pomyślała, że w wyniku całej tej afery jeszcze się zaprzyjaźnią. To by było dość interesujące.

Anna wzięła głęboki wdech i ruszyła w stronę kamienicy. Zadzwoniła domofonem. Nikt się nie odezwał. Wyciągnęła telefon i wystukała numer. Amalia odebrała za drugim razem.

— Wpuść mnie — powiedziała Anna stanowczo. — Wpuść!

Brama zabręczczała i Anna znalazła się na znanej już klatce schodowej. Amalia rzeczywiście nie spała. W ogóle się jeszcze nie położyła, o czym świadczył zwykły dzienny strój i nieodłączny papieros. Musiała też coś wypić, bo czuć było od niej alkohol. Wódkę. Być może dlatego wydawała się odrobinę mniej przestraszona.

Anna usiadła na sofie w niemal pustym salonie. Amalia zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko i zgasila wypalonego do połowy papierosa. Na stoliku stała szklanka i napęczeta butelka.

— Napijesz się?

— Nie.

Amalia wzruszyła ramionami, ale sobie również nie dołała. Wpatrywała się w Annę intensywnie, trochę z pogardą, a trochę też ze strachem.

— Bądź ze mną szczerza. Czy... Twoja siostra i mój mąż mieli romans?

— Tak — odrzekła dziewczyna szybko i bez wahania. Jej twarz skurczyła się w bolesnym grymasie.

— Tak? — Anna pożałowała, że odmówiła alkoholowego poczęstunku. Zrobiło jej się słabo.

— Strasznie długo się tego domyślałaś — rzekła chłodno Amalia. — I dlatego zastanawiam się, czy ty w ogóle go kochałaś. Ja go kochałam. I wiedziałam od razu.

— A on...

— Co on? Co on?! — uniosła się. — Czy coś go łączyło także ze mną?! Nie bądź śmieszna! Czy tobie się wydaje, że kiedy pod ręką była Sofia Stiatesi, jakiś facet w ogóle na mnie patrzył?!

Anna odchyliła się i zapadła w miękkie poduszki kanapy. Przypomniała jej się rozmowa z Lajonem na plaży w Helu. O Lidce i o tym, że zawsze żyła w cieniu Anny. One naprawdę były do siebie podobne. Lidka i Amalia.

— A jak długo...

— Jak długo ze sobą byli? Prawie rok

Prawie rok! Głupia, ślepa, cholerna kretyńka! Jak mogła niczego nie zauważyć?!

— Rozumiem...

— Chyba jednak nie. — Amalia roześmiała się cynicznie. — Ty nawet nie jesteś specjalnie załamana. Ja... Kiedy patrzyłam na nich, miałam wrażenie, że ktoś wyrywa mi żywcem serce. A przecież to nie był mężczyzna, o którego musiałabym walczyć tylko z moją siostrą, prawda? Pozostawałaś jeszcze ty! I ostatecznie wygrałaś!

— Wygrałam? — zapytała Anna ze zdumieniem. — W jaki sposób wygrałam?

— Zostawił ją. Sofię. Powiedział, że kocha ciebie i nigdy od ciebie nie odejdzie. Nie potrafił. Uważał, że nie warto burzyć świata, który razem zbudowaliście i takie tam duperele... Ich romans skończył się kilka tygodni przed tym, jak wpakowałaś Narcyza do pierdła. Sofia chodziła nieprzytomna z wściekłości. Później był wypadek i dowiedziała się o tym, że Vidar został

sparaliżowany. Załamała się. Nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Zerwała z nim całkiem kontakt. Ale nie zapomniała... Nie, nigdy! Nie przestała go kochać, ale też nadal czuła się urażona. W międzyczasie zaczęła się gorzej czuć. Łapała katar, mówiła, że zatykają jej się uszy, miała problemy ze śpiewaniem... Wreszcie, jakieś trzy miesiące temu, usłyszała diagnozę. Rak nosogardła. Lekarze dawali jej jakąś nadzieję. To nie był jeszcze wyrok śmierci. Mogła wyzdrowieć... Ale śpiewanie... Tutaj pojawił się problem. Głos się jej zmienił i coraz gorzej słyszała. Uznała, że powinna zająć się tym, co dla niej najważniejsze, bo nie wiadomo, ile tak naprawdę czasu zostało. I odnowiła kontakt z Vidarem. Chciała, by zaprojektował dla niej meble do nowego domu w Wenecji. Zaczęła też obsesyjnie walczyć o to, by w operze w Malmö wystawili *Salome*. Ona, widzisz... Czytywała to sobie z Vidarem do poduszki. W Wiedniu, kiedy przyjeżdżał dopilnować zleceń. To była ich wspólna pasja, o której nikomu nie mówili. Wilde. A zwłaszcza *Salome*. Opowieść o zdeterminowanej kobiecie, która robi wszystko, by zdobyć upragnionego mężczyznę — nawet martwego.

Annie zrobiło się niedobrze. Wstała z kanapy i podeszła do okna. Lajon i Ingvar wypelźli z auta i stali teraz pod drzewem, pod którym jeszcze nie tak dawno tkwiła ona sama. Gapili się w okna. Ledwie powstrzymała się, by im nie pomachać. Oparła się o parapet i ze wszystkich sił starała się zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami.

— Zapaliłabym — powiedziała wreszcie i wróciła na sofę. — I wódki też się napiję.

Amalia poczęstowała ją jednym i drugim, po czym sama również wróciła na swoje miejsce. Anna wychyliła wódkę jednym haustem i zaciągnęła się mocno papierosem. Ręce odrobinę przestały jej drżeć.

— Słuchaj... Mam mały problem. Że osobisty, to wiadomo. Nie od dziś. Ale śledztwo się sypie. Nie wiem, co łączyło twoją siostrę i mojego męża z Narcyzem, kto pół roku temu spowodował wypadek, kto otruił twoją siostrę, kto otruił mojego męża i co może mieć z tym wspólnego facet, który z kolei ożenił się z moją siostrą... Ty coś wiesz. I nie mam żadnych wątpliwości, że to ty podrabiałaś rysunki Narcyza i przesyłałaś mi cytaty z Wilde'a. Chciałaś mnie ostrzec? Dać mi wskazówkę? Wiem, że to ty. I wiem, że będziesz się bronić i do niczego się nie przyznasz, dopóki policja nie znajdzie twardych dowodów. Nawet teraz absolutnie niczego mi nie powiesz. Chociaż nie ma tutaj żadnych pluskw ani ja nie mam nigdzie ukrytego dyktafonu.

— Masz rację. Nie przyznam się. Bo przecież to nie ja. — Amalia spojrzała na Annę znacząco.

— Oczywiście. Nie ty. Tylko widzisz.. W Helu za zabójstwo Vidara aresztowano młodego chłopaka. Który moim zdaniem na pewno jest niewinny.

— Rozumiem.

— Chyba jednak nie. — Anna przytoczyła frazę, którą wcześniej posłużyła się Amalia. — Ktoś go wrabia. A on jest dość głupi. Co jednak nie znaczy, że winny.

Panna Stiatesi sięgnęła po szklankę i wypila swoją wódkę. Zapaliła papierosa — dopiero drugiego podczas tej rozmowy — i zamyśliła się. Po chwili dołała alkoholu do obu szklanek. Przez moment uważnie przyglądała się butelce.

— Wiesz... — zaczęła z wolna. — Ja niczego nie wiem na sto procent. Sofia miała przede mną tajemnice. To była żmija... Mówiła tylko to, co mogło mi sprawić przykrość... Uważała, że jestem głupia. I Vidarowi... Vidarowi też wmawiała, że jestem głupia, a ona trzymała mnie przy sobie z litości. Ale ja się domyślałam różnych rzeczy. Tylko że domysły są czasem niewiele warte.

— To wiem — potwierdziła z przekąsem Anna. — W każdym razie Sofia nie była sympatyczną siostrą. Czułaś się urażona. Miałaś prawo. I nikogo by nie zdziwiło...

— Gdybym ją otruła? W akcie desperacji? Po wieloletnich upokorzeniach? — Amalia roześmiała się.

— Można by było to zrozumieć — zaryzykowała Anna.

— Ale ja tego nie zrobiłam. Cholera jasna! Wiem, jak to wygląda. Te pieprzone połączone pokoje, bliskie sąsiedztwo, przesyłka w recepcji po północy.

— Właśnie...

— Mimo wszystko! To nie ja! — zawołała Amalia. — Nie zabiłabym własnej siostry. Nawet wrednej.

— Ale mogłaś ułatwić jej otrucie komuś innemu. Nie wezwać pomocy.

— Nie zrobiłam nawet tego. I możesz mi wierzyć lub nie, ale... Ja naprawdę nic nie słyszałam.

— A przesyłka w recepcji?

— O tym mówię tylko w obecności adwokata.

— Jasne. Bo niczego nie wiesz na sto procent. Tylko się domyślasz.

— Właśnie. Tylko się domyślałam. Domyślam nadal. Ale niczego nie wiem. Być może dlatego ktoś przysłał ci te cytaty. Żeby dać ci wskazówkę. Żebyś mogła znaleźć dowody, których ten ktoś nie ma.

— A czy ten ktoś ma dla mnie jeszcze jakieś inne wskazówki?

— Być może... Być może powinnaś pojechać do Wenecji — oświadczyła nagle Amalia i wypuściła z ust kłęb dymu.

— Słucham? Dokąd?! — Annę zamurowało.

— Do Wenecji. Do tego domu, który kupiła Sofia. Dom stoi pusty. Pilnuje go opłacony cieć. Teraz tylko ja mam z nim kontakt i ode mnie dostaje pieniądze. Wszystko załatwię. Dostanie wolne na kilka dni, a tobie dam klucze. Żadne papiery nie są potrzebne. Moja siostra nie miała innych spadkobierców, więc wszystko przeszło na mnie. Chyba że zostaną posadzona za jej zamordowanie, a mój majątek ulegnie konfiskacie. Tak w ogóle można? Nieważne. W każdym razie w tym domu da się przez kilka dni pomieszkać. Sofia urządziła tam sobie prowizoryczną sypialnię i gabinet, ale pozostałe pomieszczenia są niezagospodarowane. Wiem, że... Gdzieś tam jest sejf, w którym Sofia coś trzymała. Coś, co przewiozła z domu w Wiedniu. Dokumenty... I chyba laptop. Być może coś tam znajdziesz.

— Dlaczego sama tam nie pojedziesz?

— Nie mogę. Bo przecież niby jestem podejrzana o morderstwo. Ale nawet gdyby... Boję

się.

— Oczywiście. A skąd wiesz o sejfie? Nie chciałabym w tej chwili urządzać sobie bezcelowych wycieczek kurystrycznych.

— Wiem. I już.

— Dlaczego nie chcesz powiedzieć niczego wprost? Dlaczego bawisz się w kotka i myszkę? Z policją? Ze mną? Dlaczego wciąż mówisz o domysłach? O „kimś”, kto przesyła mi wskazówki? To się staje męczące. I śmieszne. Ta rozmowa robi się kuriozalna!

— Boję się.

— Oczywiście. Boisz się. Ale przecież możemy ci pomóc.

— Tak jak Sofii? I Vidarowi?

— Przecież ty sama jesteś jedną z podejrzanych! Myślisz, że jak to wygląda? Wszyscy policjanci pracujący przy tej sprawie podejrzewają cię o udział w śmierci Sofii. To kwestia czasu, kiedy się do ciebie dobiorą! Czeka cię proces, nawet jeśli tylko poszlakowy! O co ci chodzi? Żeby zyskać na czasie? Dlatego całe to gadanie? Cytowanie? Ryśowanie? Dlatego Wenecja?

— Może. Trochę. I boję się...

— Taaak A może ta Wenecja ma też ciebie oczyścić, co? Ty wiesz, co tam jest! Mogłabyś mi po prostu powiedzieć.

— Nie. Nie wiem na sto procent. Powiedziałam ci już. Domyślam się tylko. A poza tym potrzebujesz dowodu, prawda?

— Jasne. Prawda. Dowodu. A domyślasz się, że kiedy ja wyjadę, z policji zostanie ci przydzielony niewidzialny przyjaciel, który będzie ci towarzyszył na każdym kroku? Mój partner z pewnością o to zadba, nawet gdybym ja chciała go od tego odwieść.

— I tak siedzę całymi dniami w domu.

— Może to i lepiej dla ciebie.

— A zatem wierzysz mi trochę? Pojedziesz? — Na twarzy Amalii odmalowała się ulga.

— Pojadę.

Rozdział 45

Nad ranem w domu panował wyjątkowy spokój. Po awanturze, która miała miejsce w nocy, cisza wydawała się tutaj zjawiskiem nienaturalnym, jak gdyby sztucznie dokejonym. Z jednej strony koła zmysłu słuchu, uśmierzała ból głowy i pozwalała opaść zmęczonym powiekom. Z drugiej uruchamiała wyobraźnię, przywoływała wspomnienia, popędzała myśli i kazała im uczestniczyć w szalonej gonitwie, w której nikt nie był wygrany. Podsuwała obrazy szczęścia i cierpienia. Miłości i zdrady. Zaufania i kłamstw. Wszystkie te zjawiska umieszczała w jednej

przestrzeni, łączyła je nierozzerwalnym węzłem. Cisza. Przyjacieli i wróg w jednej, niematerialnej osobie.

Anna nie mogła spać. Siedziała na łóżku w sypialni, z brodą opartą na kolanach, i bezmyślnie wpatrywała się w dwie torby podróżne. Bilety na samolot do Wenecji zostały już zamówione, co okazało się wyjątkowo trudne, a skład ekipy wycieczkowej ustalony. Anna od samego początku wiedziała, kto z nią pojedzie. Osoba Lempi nasuwała się automatycznie. Lempi nie mogła zostać sama w Ystad, a już z pewnością nie zgodziłaby się na to, by przez kilka dni — lub nawet dłużej — przebywać pod jednym dachem z obcym facetem. Nawet wyposażonym w policyjną odznakę. Anna nie potrafiłaby jej tego zrobić, nie teraz, kiedy wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo.

Drugim kandydatem był Lajon, który dobrze znał Wenecję. Mieszkał tam przez dwa lata, w efekcie czego powstały trzy cudowne albumy, z przepięknymi fotografiami, które zdobyły liczne nagrody w różnych konkursach. Mówiono wówczas, że Leon Wit na nowo odkrył Wenecję, spojrzal na nią inaczej niż wszyscy, wydobyl z tego miejsca nieznaną jakość. Anna słyszała już wcześniej o weneckich albumach, nigdy jednak nie zdecydowała się na ich zakup. Nigdy też sama nie była w Wenecji. Zwiedziła z Vidarem ładny kawałek świata, ale tam akurat nie dotarła.

Ciekawe, że akurat tam — nie...

Lempi nie zareagowała zbyt entuzjastycznie na wieść o wyjeździe, ale przyjęła ją z ulgą. Lajon był zaskoczony, jednak z miejsca wyraził zgodę. Ingvar oczywiście również chciał pojechać. Wykonał milion telefonów, pokłócił się z komendantem i prokuratorem, i z przekleństwem na ustach przyjął sugestię, że pojechać to on sobie może, ale w ciemną dupę. Albo do Wenecji, owszem, jako BYŁY nadkomisarz. Proszę bardzo!

Ingvar był wściekły. Głównie na Annę, która nie pozwoliła mu poinformować przełożonych o rozmowie z Amalią i domysłach związanych z Wenecją. Ona z kolei uważała, że nawet gdyby to zrobił, i tak najprawdopodobniej nie pozwolono by mu pojechać. Mogło przecież chodzić tylko o garść wymysłów chorej psychicznie i znerwicowanej baby, która najpewniej ułatwiła własnej siostrze przejście na tamten świat. Ingvar świetnie to wiedział, ale i tak nie przyznał jej racji. Chodziło mu też o Lajona. No bo przecież Anna nie powinna tak mu ufać! Właściwie się nie znają. Jako dorośli.

„Tracisz instynkt policjantki, Ana”.

Być może... Nie tylko traciła instynkt policjantki, ale też zmuszała Ingvara do zatajenia ważnych informacji, które mogły się okazać istotne dla śledztwa. A on szedł jej na rękę. I na pewno działał przy tym wbrew sobie i wartościom, które wyznawał. Nadkomisarz Ingvar Frisk zawsze przecież postępował zgodnie z kodeksem. Nie powinien jej pomagać. Nie powinien utrzymywać z nią intymnej relacji. Nie powinien pozwolić jej pojechać do Wenecji. A jednak Anna była zdecydowana. Nic nie zmieniłoby jej decyzji. Postanowiła pojechać z Lempi i Lajonem, nawet bez Ingvara. Musiała to zrobić. Wiedziała, że w Malmö nikt nie spuści z oka Amalii. A być może ona mówiła prawdę. Także o tym, że się bała.

Anna podniosła się z łóżka, odsunęła zasłony i wpuściła do pokoju szare smugi świtu. Wymknęła się na korytarz i cichutko wbiegła na górę. Stała przed pomalowanymi na biało

drzwiami, wzięła głęboki wdech i weszła bez pukania.

— Nie śpisz — stwierdziła i przy siadła na brzegu łóżka.

— Ty mnie wpędzisz do grobu — odezwał się cicho Ingvar. — Jak mam ci pomóc na odległość? Dlaczego tak się uparłaś? Przecież możesz tam niczego nie znaleźć. Amalia na pewno chce zyskać na czasie i dlatego każe ci tuc się po świetle. Wie, że masz pieniądze i to dla ciebie żaden problem. A ona w międzyczasie wykręci jakiś numer... Ana...

Spojrzała mu w oczy. Nie był już zły. Teraz znowu patrzył na nią ze smutkiem i obawą. Tak jak kiedyś, zupełnie niedawno, ale jeszcze przed śmiercią Vidara.

— Ingvar... Ja muszę spróbować. Muszę sprawdzić. Być może coś znajdę. Coś, co pomoże rozwiązać tę sprawę, ale nie tylko. Mam osobiste powody. Nie rozumiesz? Chcę wiedzieć. Poznać prawdę o Vidarze i Sofii. To ma jakieś znaczenie. I być może ja również wreszcie będę mogła... ruszyć z miejsca. Dowiem się, czy on też... Czy Vidar również w czymś zawinił. Czy mnie oszukał i zdradził. To znaczy na pewno tak. Wiem, że mnie oszukał i zdradził, ale ja muszę poznać skalę tego oszustwa. Motywy. Chcę dotrzeć do źródła. Może wtedy będę potrafiła choć po części sobie wybaczyć i nie będę już musiała czuć się winna. Z naszego powodu. Twojego i mojego.

— Ana, zimno ci... Czekaj, dam ci bluzę.

— Mogę wejść pod kołdrę? — spytała nagle.

— A... chcesz?

Ingvar uniósł róg kołdry i spojrzał na nią pytająco. Położyła się obok. Oparła głowę na jego ramieniu. Ingvar przykrył Annę i nieznacznie się do niej przysunął.

— Przytul mnie.

Przytulił ją. A ona wreszcie zasnęła.

CZEŚĆ IV

Nie podziwiała go. To był tylko strach, który nie mógł przeistoczyć się w nic innego. Spodziewał się więcej. Z początku wydawała się przecież idealna. Wodziła za nim wzrokiem, z lubością przyglądała się jego twarzy i sylwetce, spełniała każdą zachciankę. Tak, z początku to był właśnie podziw. Nie mogła uwierzyć, że ktoś taki jak on zainteresował się... nią. Była dumna. Chwalila się innym. Chodziła z wysoko uniesioną głową, czuła się lepsza. I on również czuł się lepszy. Jej podziw sprawiał mu przyjemność. Nie była piękną ani nawet ładną. Ale go uwielbiała. Co nie zdarzyło się wcześniej, choć przecież miał do tego odpowiednie warunki. Dokładnie takiej adoracji oczekiwał. Koniec ze staniem na uboczu.

Podziw tej małej szarej myszki rozbudził jego apetyt. Chciał więcej, a sytuacja okazała się sprzyjająca. Wszystko układało się pomyślnie i postanowił zrealizować swój plan. Zwątpił w niego kilka razy. Uznał, że wszystko można by załatwić prościej. Ciągle to sobie powtarzał. Tyle tylko, że on nie chciał niczego załatwiać prościej. Pragnął, by go doceniono. Za inteligencję, spryt, pomysłowość. Choć oczywiście nie zamierzał dać się złapać. Właściwie... Wszystkiego jeszcze nie przemyślał. Ona mu w tym przeszkodziła. One obie. Jedna okazała się głupia i strachliwa, zaczynała tracić rozum, popadać w obłąd, a nawet — oszpecała się! Za tę ranę na policzku mógłby ją równie dobrze zabić. Nie powinna pogarszać swojej sytuacji. Po co to robiła? Myślała, że go zniechęci? Idiotka! Miałby dać jej spokój teraz, po tym wszystkim? Zostawić z całą wiedzą, z winą, ze strachem? Nie, nie! Tkwili w tym razem. Ona jednak zaczęła go irytować. O podziwiewie w ogóle nie było już mowy. Jej strach również był dobry i motywujący, ale nie wystarczał.

A druga? Policjantka z Ystad? Wytrącała go z równowagi. Co ona kombinowała? Dlaczego jeszcze nie wróciła do tematu gazet? Czyżby i ona miała plan? Czyżby i jej ta zabawa zaczęła sprawiać przyjemność? A może w ogóle o nim nie myślała? O dawnym tropie, o tajemniczym pomocniku?

On uwielbiał z nią grać... Ale teraz nie reagowała na zaczepki. Nie przyjechała tutaj nawet na wieść o aresztowaniu tego głupiego chłopaka-barmana.

*Czy z nim to też był błąd? Może posunął się za daleko? Za dużo ryzykował?
A jednak... Był przecież mistrzem. Wszystkim musiał to udowodnić.
I wiedział, że nic na niego nie mieli.*

Mewy, kurwa... Znowu one. Ziółka na uspokojenie. Na co pomogą głupie ziółka? Nic nie pomoże. Nikt nie pomoże. Udawala. Ukrywała. Uderzył ją. Uspokoila go. Umierała ze strachu. Słowa na „u”. Było ich wiele. Nikt niczego nie zauważył, nawet matka. Nie usłyszała słów na „u”. Nie widziała rany na policzku i siniaka, który pojawił się w ślad za nią. On... Zdenerwował się. Ukaral ją. Kolejne słowo na „u”. Ale później się zreflektował, zauważył, że tylko pogorszył sprawę. Wyglądała źle. Cieszyłaby się z tego nawet, gdyby nie ból. Kupił jej kosmetyki. Puder, fluid, korektor. Kazał jej się umalować. Kolejne słowo na „u”. Zrobiła to. Usłuchala go. Znowu „u”.

Uwielbiała go kiedyś, a teraz chciała uciec. „U” i „u”. I pragnęła umrzeć, również na „u”.

A jednak mewy. Ziółka. Praca? Nic się nie działo. Nikt nie przyjechał. Sprawa przecież. Morderstwo. I chłopak w areszcie. Dlaczego ona tutaj nie przyjechała? Liczyła na nią. Chciała porozmawiać, odważyłaby się, wyznała prawdę, a później to już wszystko jedno, co za różnica... Miała dość. To nie było dla niej. Marzyła o spokoju.

Ból brzucha, wymioty, nerwy. Chłopak w areszcie. Głupi chłopak, który niczego nie podejrzewał. Uwierzył. Na „u”.

WENECJA

Rozdział 46

Za szybą *vaporetto* migotały światła. Ciasno do siebie przytulone kamieniczki nawet w półmroku skrzyły się osobliwą feerią barw, a blask weneckich latarni oplatał wybrzeże złocistą wstęgą. Anna czuła się dziwnie. Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak silnych emocji związanych z jakąkolwiek przestrzenią. Tutaj, kiedy płynęli przez Lido aż do San Marco, ścisnęło ją za gardło prawdziwe, szczerze wzruszenie. A później poczuła skurcze w żołądku. Zupełnie tak, jak gdyby była zakochana.

Przykleiła nos do szyby i pożałowała, że nie przyjechała tutaj w innym celu. I że nigdy nie znalazła się w tym miejscu wcześniej, choć przecież tak wiele podróżowała. Widocznie Vidar chciał zarezerwować Wenecję dla siebie i Sofii. Być może byli tutaj razem i dlatego właśnie Sofia zdecydowała się kupić sobie zabytkową kamienicę. Anna wiedziała, że prawdopodobnie nigdy nie pozna całej prawdy, ale musiała odkryć chociaż jej skrawek.

Wysiedli przy Pałacu Dożów. Anna stanęła jak wryta i otworzyła oczy ze zdumienia, na widok przepyszej gotyckiej architektury, lekkich, misternych zdobień i gładkich, delikatnych marmurów, lśniących subtelnym różem. Rozejrzała się. Całą sobą pragnęła wchłonąć atmosferę tego niezwykłego miejsca. Zaaferowana, pociągnęła Lajona za rękaw i zaczęła wyrzucać z siebie pojedyncze, pełne zachwyty frazy. Wenecja musiała naprawdę mieć coś w sobie, bo nawet Lempi замуrowało. Finka powstrzymała się od komentarzy i tylko lekko poruszała wargami, wpatrując się to w mury Pałacu Dożów, to w wody laguny.

Lajon natychmiast wcielił się w rolę przewodnika i obiecał doprowadzić je we właściwe miejsce, to jest do kamienicy, która należała do Sofii Stiatesi. Formalności zostały już załatwione przez Amalię i opłacony cieć, zatrudniony do kręcenia się wokół budynku pod nieobecność właścicielki, wiedział, że zjawią się goście. Ruszyli przez plac św. Marka. Anna wydała z siebie

niekontrolowany okrzyk na widok bazyliki i chciała natychmiast wejść do środka, Lajon jednak przytrzymał ją lekko za ramiona, nakazał wziąć kilka głębokich wdechów i uświadomił, że przecież jest już prawie dwudziesta i ze zwiedzaniem kościołów — i w ogóle czegokolwiek — najlepiej poczekać do rana. Anna mruknęła coś pod nosem, wielce niezadowolona, po czym powlekła się za Lajonem w kierunku, jak mówił, mostu Rialto.

Wiedziała, że kamienica Sofii znajduje się gdzieś nieopodal rzeczonego mostu, nad samym Canal Grande, i że swoim wyglądem ponoć przypomina Ca' d'Oro, w którym mieściła się obecnie Galleria Giorgio Franchetti. Ca' d'Oro Anna obejrzała sobie dokładnie na zdjęciach i jej zdaniem pałac Sofii niespecjalnie był do niego podobny. Przypominał raczej Palazzo Farsetti, tylko w mniejszej wersji i z odrobinę szerszymi oknami. Ale kto wie? Może na żywo wszystko wyglądało inaczej niż na fotografiach? Nie! Nie „może”! Na pewno wyglądało inaczej!

Zarówno Anna, jak i Lempi przystawały co jakiś czas, oszołomione tym, co widzą. Kluczyły małymi, wąskimi uliczkami, między kolorowymi sklepami, wystawami, kawiarniami i restauracjami, z których dochodziły wspaniałe zapachy. Anna pomyślała, że Wenecja to nie tylko obraz, ale też właśnie zapach. Zapach stanowiący osobliwą mieszaninę aromatów kawy, lodów, ciasta, pizzy, spaghetti, eleganckich perfum, wilgotnych kamieni i... wody. A dokładnie wód. Wód laguny, wód Canal Grande i tych innych, skromniejszych, cienkich jak nitki kanałów, których nazw zupełnie nie pamiętała. Pokochała tę mieszaninę zapachów od pierwszej chwili. Lajon uświadomił ją co prawda brutalnie, że w lecie zwyczajnie tutaj śmierdzi, ale Anna nie zamierzała psuć sobie znakomitego pierwszego wrażenia.

— Czyli w takim razie dobrze, że przyjechaliśmy na początku listopada? Turystów dużo, ale chyba mniej niż na wiosnę, co?

— Może i dobrze, że w listopadzie. Ludzi rzeczywiście trochę mniej, ale i tak jak mrówek. Poza tym ciesz się, że woda się jeszcze nie przelała.

— Słucham?

— O tej porze już lubi czasem podlać. No wiesz... Taka mała powódź. *Acqua alta*. Zdarza się co roku. Kalosze wzięłaś?

— Kurde, Lajon, ty potrafisz każdą radość zatruć. Nie chce mi się dzisiaj z tobą gadać.

Lajon, niezrażony deklaracją Anny, zaczął opowiadać o pomniku Goldoniego, prężącym się dumnie na środku jednego z urokliwych placów. Mówił po polsku, bo Lempi i tak nie rozumiała angielskiego, a on sam popis swoich szwedzkojęzycznych umiejętności dał już wcześniej.

— No... Niech pani tłumaczy! O czym on gada?! — Lempi szarpnęła Annę za kurtkę.

— Co...? A, tak..

Chcąc, nie chcąc, zaczęła tłumaczyć, choć tak naprawdę wolałaby rozejrzeć się po okolicy sama, bez asysty pseudoprzewodnika i fińskiej gosposi. Tutaj było tak pięknie! Trzydzieści dwa lata życia i ani jednej wycieczki do Wenecji! Że też musiała skierować swoją uwagę na jakąś północ i kraje skandynawskie! Szlag by to...

Lajon wyartykułował się już na temat Goldoniego i ruszyli dalej. Anna wciąż rozglądała się na boki i żałowała, że jej głowa nie może obracać się wokół własnej osi. Nagle ujrzała niezwykle

czarujący obrazek Trzy porośnięte bluszczem kamieniczki połączone ze sobą w kształcie litery „U” pochyłały się nad kwadratowym, brukowanym placikiem, pośrodku którego stała stara studnia. Przestrzeń sprawiała wrażenie, jak gdyby wycięto ją z innej epoki. Jak gdyby zapomniał o niej czas, świat, absolut... Anna podeszła bliżej i zatrzymała się przy studni. To miejsce pulsowało od dziwnej energii i roztaczało wokół siebie niezwykłą, magiczną aurę.

— Lajon, zobacz! Lempi! Zobaczcie — zawołała.

Nikt jej nie odpowiedział.

— Lajon?! Lempi?! Jasna cholera!!!

Anna odwróciła się i zobaczyła grupkę Chińczyków zapamiętałe pstrykających zdjęcia. Zaczęła przeciskać się między nimi, a kiedy wreszcie udało jej się znaleźć ponownie na placu z pomnikiem Goldoniego, po Lempi i Lajonie nie było już śladu. A teraz? Dokąd miała iść? Przecież wszy stkie uliczki tutaj wyglądały tak samo! Gdzie znajdował się ten cholerny most?

Anna szybko przegrała walkę z głodem. Postanowiła, że kupi sobie kawałek pizzy i dopiero później ruszy w dalszą drogę. Przed sobą widziała most Rialto, o którym mówił Lajon. Nabrała pewności, że skoro znalazła most, uda jej się również znaleźć kamienicę Sofii Stiatesi. Kiedy wychodziła z pizzerii, wгрыzając się w ogromny kawałek *vegetariany*, zaczął ją jakiś Włoch. Odezwał się do niej po angielsku i zaczął tłumaczyć, że z pierwszym kawałkiem nie ma sensu odchodzić, bo pizza jest tak dobra, że na pewno zdecyduje się wrócić po drugi. Wszyscy tak robią. Naprawdę, *signorina! Signorina!* Panna? Panienka? Do niej tak się zwracał? I ona miała mu uwierzyć? No ale... Włoch wydawał się szczery, a stłoczona za jego plecami trzyosobowa kompania zawzięcie kiwała głowami. Anna musiała się poddać. I rzeczywiście, po pierwszym kawałku pizzy nabrała ochoty na kolejny — od dawna nic tak jej nie smakowało. Z drugim kawałkiem zamierzała już jednak pójść w kierunku kamienicy Sofii. Pokierował ją Włoch z kiwającą głowami kompanią w tle.

Ruszyła wzdłuż Canal Grande i po kilkunastu minutach znalazła się u celu. Dom Sofii, z białego, a właściwie lekko poszarzałego marmuru, zachwycał pięknymi zdobieniami i niewielką przystanią dla gondoli. Anna gwizdnęła z uznaniem.

— Ciebie już do reszty pogięło?! — rozległ się krzyk od wejścia. — Spacerek sobie urządziłaś?! Smakuje pizza?!

— Bardzo — mruknęła Anna z pełnymi ustami i wetknęła Lajonowi w ręce brudne serwetki.

— Bardzo?!

— No. I widzisz, sama znalazłam drogę. Bez twojego „przewodnictwa”. — Anna ziewnęła. Miała stanowczo dosyć facetów, którzy na okrągło darli na nią mordy. — To tutaj?

— Tutaj! Martwiliśmy się!

— Tak wiem. Wszyscy się o mnie w kółko, kurwa, martwią!

— Nie wszyscy, Anka. Nie wszyscy. Wygląda na to, że tylko ja, Ingvar i Lempi. Uważasz, że to dużo?! Ciesz się, że w ogóle ktoś! Bo szalu nie ma!

Lajon odwrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu kamienicy. Anna zastygła w bezruchu. Miał rację. Niewiele osób orbitowało wokół niej. Właściwie... Prawie nikt. Ingvar był jej bliski od dawna, on się liczył. Ale Lajon? Czy mogła go już zaliczyć do grona przyjaciół? A Lempi? Lempi była przecież jej gosposią, do cholery! Dostawała pieniądze! Co to za przyjaźń? Lajon miał rację. Anna była właściwie... sama.

Pobiegła w ślad za Lajonem i odnalazła go w kuchni. Wsypywał makaron do garnka. Lempi nigdzie nie było widać, w przeciwnym razie z pewnością odpedziłyby go od kuchenki.

— Położyła się — odezwał się, uprzedzając jej pytania. — Zobaczyła cię przez okno, ulżyło jej tak, że się rozbeczała i oświadczyła, że to wszystko jest nie na jej nerwy. Chciała mi wyrwać z ręki łyżkę, ale... Przekonałem ją, że dam radę, a ona może sobie odpocząć. Chciała na ciebie zaczekać, ale stałaś tam długo z tą pizzą. Przy stań dla gondoli sobie oglądałaś...

— Bo jest ładna.

— A ty jesteś powalona.

— Wiem.

— Mogłaś sobie włączyć roaming i chociaż zadzwonić. Albo odebrać telefon ode mnie.

— Wiem.

Zapadła cisza. Lajon siorbnął coś z łyżki.

— Rozumiem, że jesteś najedzona.

— Właściwie tak.

— Uhm.

— Ale mogę spróbować. Ostatnio ogólnie niewiele jem. Warto nadrobić.

— Okay.

— Lajon!

— Czego?

— Nie obrażaj się jak gówniarz! Zgubiłam się. Tu jest tak.. No nie wiem, niezwykle. Wszystko mnie interesowało, ludzi w cholere, uliczki małe... Zgubiłam się po prostu. A potem zobaczyłam tę pizzerię koło Rialto i tak mnie skrzyło z głodu...

— To najlepsza pizza w Wenecji. Mówili ci, że masz nie odchodzić daleko z pierwszym kawałkiem?

— Mówili. Nie odeszłam.

Lajon uśmiechnął się. Anna już zdążyła sobie wyobrazić wykład, który urządziłby Ingvar na jej widok, gdy zażera się wielkimi kawałkami pizzy. „Ser tłusty, drożdże rozpychają żołądek i podobno są rakotwórcze, soli za dużo, ciśnienie podnosi, zobacz, coś z tego kapie, warzywa pewnie z puszki, a pieczarki są ciężkie na żołądek poza tym, Ana-ty-piłaś-colę?!”. Anna poczuła w sercu delikatne ukłucie tęsknoty za Ingvarem. Wciąż pamiętała, jak o poranku trzymał ją w objęciach i po raz pierwszy od dawna w ogóle nie zrządził. No, ale teraz należało się brać do roboty.

— Lajon, przepraszam za to, co powiedziałam o martwieniu się. Masz rację. Jakoś tłumy wokół mnie nie krążą.

— Ale mogłyby. Tylko chyba ty sama tego nie chcesz. Vidar ci wystarczał i wasze wspólne życie, twoja praca w policji i znajomi stamtąd...

— Nie, to nie tak. Przed wypadkiem ciągle się z kimś spotykaliśmy, w naszym domu non stop ktoś przesiadywał. Ale to się później zmieniło. Po wypadku Vidar zaczął się alienować i ja chyba razem z nim. Zajęłam się naszą firmą, żeby nie upadła. Organizowałam Vidarowi rehabilitację. Chciałam ułatwić mu życie. Być jak najwięcej w domu. Czulałam się winna.

— A Ingvar?

Anna pobladła lekko.

— Co Ingvar?

— No... co z nim? Od jak dawna... Wiesz... Wy...

— Od niedawna. To znaczy od niedawna ze sobą sypiamy.

— Sypiacie?

— Sypialiśmy. Bo na chwilę, jakby, zrobiła się przerwa, z której nie wiadomo co będzie. Ale, widzisz, to trwa już dłużej.

— Co?

— My. Ja i Ingvar. On mnie kocha już od dawna. Nigdy się z tym nie krył, ale nie usiłował rozwalić mi małżeństwa. A ja... jego...

— Kochasz go?

— Kocham. Ale nie wiem nawet, czy będziemy razem. Ostatnio działa mi na nerwy. A jednak kocham go. Nie będę cię oszukiwać. Ani siebie. Jestem już tym okropnie zmęczona.

Lajon zwiesił głowę nad garem i Anna nie wiedziała, czy przygniótł go ciężar jej wyznania, czy też po prostu chciał przetestować miękkość makaronu. Na wszelki wypadek postanowiła kontynuować wywód. Coś się w niej odblokowało.

— Vidara też kochałam. Po prostu było nam trudno po wypadku. Ja czulałam się przez cały czas winna, a on... Dopiero niedawno zrozumiał, że ciągle we mnie to poczucie winy podsyczał. Nie mógł mi wybaczyć. Był chłodny, opryskliwy. Odrzucał mnie. Choć przecież starałam się wszystko naprawić. Ostatnio coś się zaczęło nawet poprawiać, ale to nie była moja zasługa. Teraz sądzę, że Vidar ożywił się, bo odezwała się do niego Sofia — powiedziała Anna z goryczą. — A ja bym go nie zostawiła. Prawdopodobnie... nigdy. Ingvar to wiedział. Jeszcze wcześniej niż wiedziałam to ja.

— No widzisz, być może okaże się, że to nie twoja wina. Ten wypadek. Że Narcyz nie mścił się na tobie. Być może to w ogóle nie jego pomysł. — Lajon wyłączył gaz pod garem i odcedził makaron. Odwrócił się do niej. — Może niepotrzebnie się obwiniałaś. Tak mi przyszło do głowy... Skoro Sofia została porzucona przez Vidara mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ty wykończyłaś Narcyza i czuła się upokorzona, załamana, wściekła, to...

— Ona stała za wypadkiem? — dokończyła Anna. — Już o tym myślałam. Ale... Sofia miała wtedy koncert w Dubrowniku.

— Ale mogła nie wjechać w was osobiście. Tylko kogoś wynająć.

— Wiem. Tylko że to kolejny cień. Kolejna anonimowa figura, której tożsamości nie znamy.

Lajon kiwnął głową i nałożył na talerze makaron, który polał sosem. Pachniało wybornie.

— A ta babcia z więzienia? To znaczy podrabiana matka Narcyza? Nic na jej temat nadal nie wiecie? Jak ona do tego więzienia weszła? Nie trzeba się tam wylegitymować? Pokazać jakiegoś dowodu? Przejść przez bramkę?

— Trzeba. Przeszła. Pokazała dowód. Taki sam, jak ona. Podrabiany. Odciski palców? To również drobnostka! Podawała się za matkę Narcyza. Pesel, data urodzenia, adres zameldowania... A że zdjęcie trochę inne? Też coś! A bo to u niej jednej? Nie widziałeś mojego zdjęcia na prawie jazdy...

— Masz rację.

Anna wzruszyła ramionami i nabiła makaron na widelec. Przeżuła kilka kęsów i odłożyła sztućce.

— Co jest? Nie smakuje ci? — zatroskał się Lajon.

— Smakuje. Po prostu... Chodźmy poszukać tego cholernego sejfu! — powiedziała zdecydowanie i wstała od stołu.

— Rano!

— Nie rano, teraz.

— Rano, Anka!

— Nie zasnę. Teraz! Albo zrobię to sama!

Lajon również wstał od stołu i wrzucił talerz do zlewu, po czym to samo zrobił także z talerzem Anny. Otworzył butelkę wina, napełnił jej kieliszek, a sam pociągnął z gwinta. Spojrzał na Annę z rezygnacją.

— Kurwa mać! Denerwujesz mnie!

Rozdział 47

Mozaika w hallu przedstawiała mityczną boginię Temidę. Kobieta w zwiewnej białej sukni i z przepaską na oczach trzymała w dłoni wagę, którą odmierzała dobre i złe uczynki, sprawiedliwość i nieprawość, uczciwość i kłamstwo. Ferowała wyroki. Nie kierowała się tym, co na zewnątrz. Spoglądała w głąb siebie, w głąb swojego sumienia. Nie pozwalała, by rozmiłowany w pięknych widokach wzrok dał się zwieść i wpłynął na słuszny osąd. Przepaska oddzielała zmysł wzroku od bodźców zewnętrznych. Nie liczyło się to, co lśniło. Liczyło się to, co słyszały uszy, co mówił głos rozsądku, co wskazywała bezlitosna i niedająca się zwieść waga. Temida wyściełała swoją osobą całą posadzkę hallu i mimo iż oczy miała zasłonięte, zdawało się, że śledzi każdy ludzki krok.

Anna wzdrygnęła się i utkwiała wzrok w schodach, a następnie w rzeźbionej balustradzie.

Choć fasada pałacu zachowała swój pierwotny, renesansowy kształt, wewnątrz więcej miało wspólnego z barokiem, ponieważ odznaczało się przepychem formy. Jedyne reliktem renesansu, który rozbijał barokową przestrzeń, była właśnie posadzka przedstawiająca mitologiczną boginię Temidę. Ściany i sufit pokrywały natomiast malowidła utrzymane w złotoczerwonej kolorystyce, często nawiązujące do motywów sakralnych. Anna dałaby sobie uciąć głowę, że jedno z tych malowideł stworzył maestro Tintoretto lub jeden z jego uczniów. Mogła nigdy nie odwiedzić Wenecji, a jednak dobrze znała się na sztuce. I wiedziała, że Tintoretto zamalował ściany wielu tutejszych budowli. Zwłaszcza kościołów. Wiedziała również, że licznych dzieł jego autorstwa jeszcze nie skatalogowano. A ten obraz tutaj...

— Anka? Będziemy teraz oglądać Tintoretta? Czy idziemy do tego sejfu? Cholera, jak ty mnie wkurzasz...

Anna poderwała się i spojrzała na Lajona, który z irytacją wymachiwał latarką.

— Aha! Czyli ty też uważasz, że to Tintoretto! Nigdzie nie ma wzmianki o tym obrazie.

— Pffff! Oczywiście, że to Tintoretto! Spójrz... Nie no! Chwila! Bez jaj! Będziemy teraz gadać o Tintoretcie?

— Nie będziemy — przyznała Anna potulnie. — Ale miło wiedzieć, że nie jestem odosobniona w swoich odkryciach.

— Iiii tam, na pewno każdy tutejszy to wie. Tintoretta wszędzie w Wenecji pełno, lokalni traktują jego obrazy jak jakieś graffiti — zripostował bezżłobnie Lajon i skierował światło latarki do wąskiego korytarzyka tuż obok klatki schodowej. — Sypialnia Sofii jest chyba tam. Tak mówił ten włoski cieć, zanim oddał mi klucze i się ulotnił.

— Ale Amalia nie powiedziała, że sejf jest w sypialni. Powiedziała „gdzieś tam”.

— No i to jest oczywiście cholernie konkretne, więc może zaczniemy od czegokolwiek, co?

Zgodziła się z tym niechętnie i poszła w ślad za Lajonem. Sypialnia Sofii wcale nie sprawiała wrażenia prowizorycznej, jak wyraziła się o niej Amalia. Piękne, obszerne wnętrze, oświetlone w tej chwili przez srebrzyste światło księżyca, urządzone z klasą, choć odrobinę pompatycznie. Nad szerokim antycznym łóżem zwieszał się ciężki baldachim, podłogę przykrywał gruby, puszysty dywan, a między oknami, na tle pokrytej wyblakłymi freskami ściany, stała ciężka komoda w stylu Madame de Pompadour.

Droga... I wcale nie stara.

Anna poczuła dziwny chłód. Nie ulegało wątpliwości, że była to komoda zaprojektowana przez Vidara. Specjalnie dla Sofii. On sam reprezentował zupełnie inny gust. Wolał lżejsze meble i oszczędniejsze zdobienia. Ale przecież... Projektował dla niej. Dla NIEJ. Anna podeszła do komody i przejechała palcami po śliskiej lakierowanej powierzchni. A zatem Vidar sprezentował już Sofii coś do jej nowego domu. Musiał zrobić to jakiś czas temu. Jeszcze przed wypadkiem, kiedy diwa dopiero nosiła się z zamiarem kupna pałacu w Wenecji. Musieli więc przyjechać tutaj razem, wtedy, kiedy Anna myślała, że pracowali w Wiedniu. Vidar z pewnością widział ten dom, czuł jego atmosferę...

— Wszystko gra? — zapytał ostrożnie Lajon, po chwili milczenia.

— Tak W porządku — odrzeka mechanicznie i wzruszyła ramionami. — Tutaj nic nie ma.

— Uhm, czekaj, sprawdzę jeszcze pod tym wiszącym czymś. To chyba arras? W filmach często sejfy są właśnie w takich gównianych miejscach... Nie jednak nic. Tak sobie myślę... Dlaczego ona nie oddała tego, cokolwiek „to” jest, w depozyt?

— Pewnie chciała sprawować nad wszystkim osobistą kontrolę. Poza tym wiadomo byłoby, że coś w jakimś banku zostawiła, a w bankach, jak wiesz, jest w cholere kamer i innych zabezpieczeń. Przecież teraz, po jej śmierci, by najmniej nie z przyczyn naturalnych, musiałoby to wyjść na jaw. A przynajmniej ona na pewno się tego obawiała. Tutaj natomiast... Opustoszały dom, prywatna własność... Kto by się spodziewał jakichś sejfów?

— Poszukiwacze skarbów?

Anna przewróciła oczami. W gruncie rzeczy Lajon słusznie zapytał o depozyt. Dlaczego Sofia miałaby zrobić coś tak ryzykownego i nielogicznego, jak umieszczenie ważnych dokumentów — i laptopa! — w starym, opuszczonym domu? Sejf tutaj wydawał się kretyńskim pomysłem i Anna coraz bardziej obawiała się, że Ingvar miał rację. Amalia chciała zyskać na czasie i świetnie igrała z jej naiwnością. A ona dała się nabrać. Jak jakiś żółtodziób, początkująca policjantka, tykająca bez mrugnięcia okiem każdą ściemę.

Lajon rozejrzał się ostatni raz po pokoju. Dziwnie się skrzywił. Wyszedł na korytarz i zapalił małą, boczną lampkę oświetlającą schody. Anna poszła w ślad za nim. Lajon przystanął na moment i zadarł do góry głowę.

— Tutaj są jeszcze cztery puste pokoje. I ten urządzony gabinet, w którym teraz śpi Lempi... — zaczęła i natychmiast urwała.

Lajon uciszył ją gestem. Opuścił głowę, zgasił lampkę oświetlającą schody, pomachał latarką, po czym znowu zapalił lampkę.

— Teraz ty zachowujesz się jak świr — powiedziała cicho, przyglądając mu się z uwagą. Mimo iż sprawiał dość idiotyczne wrażenie, zdołał ją zaintrygować.

— Taak... Chodź no tutaj!

Pociągnął ją za rękę i ustawił przed sobą. Plecami dotykała teraz klatki piersiowej Lajona i czuła, jak mocno bije mu serce. Przez chwilę tkwili tak, w zupełnej ciszy. Anna poczuła się dziwnie nieswojo.

— Na co mam patrzeć?

— Ja pieprzę, włącz się, Anno Lindholm! Gdzie jest ten twój wewnętrzny komisarz z Ystad?! Skup się!

Anna po króciutkim namyśle uznała, że nie ma zamiaru się obrazić i rzeczywiście spróbowała się skoncentrować, co było dość trudne. Lajon niemal przyciskał ją do siebie i kazał na coś patrzeć... Spojrzała zatem. Na schody. A później na balustradę, teraz, w świetle bocznej lampki wyglądającą zupełnie inaczej. Barokowe zdobienia, złożone głównie z motywów roślinnych, rzuciły na stopnie i ściany fantastyczne cienie... I wtedy Anna sobie przypomniała. Ten cytat.

Szli cicho, jak to się instynktownie zwykło czynić w nocy. Lampa rzuciła fantastyczne cienie na ściany klatki schodowej. Na dworze zerwał się wiatr; dzwoniąc szymbami.

Anna miała wrażenie, że wszystkie jej mięśnie najpierw sztywnieją, a później zamieniają się w miękką galaretkę. Oczywiście! Vidar i Sofia musieli tu być. Musieli włączyć tę samą lampę. Musieli iść tymi schodami, kroczyć między barokowymi cieniami z innej epoki. Musieli słyszeć... Tak, słyszeć, bo przecież tutaj wcale nie było cicho! Wiatr wiejący od kanałów śpiewał swoją pieśń, w której odbijało się echo słów rzewnej barkaroli jakiegoś spóźnionego gondoliera. Stare szyby w weneckich oknach dzwoniły... Ktoś jeszcze musiał tu wtedy być. Z Vidarem i Sofią. Ktoś także musiał czuć, widzieć i słyszeć to wszystko. I cierpieć, patrząc na nich.

— O Boże! Ona tutaj była! Z nimi! Amalia...

Lajon zacisnął wargi w wąską kreskę. Puścił ramiona Anny i pociągnął ją na schody.

— Jeśli coś gdzieś jest... Nieważne, czy sejf, czy cokolwiek innego, ale jeśli przedstawia sobą jakąś większą wartość, z pewnością umieściła to na górze. Powinienem był od razu się domyślić! Jak mogłem być takim idiotą. Mieszkałem w Wenecji dwa lata! Kretyn!

— O czym ty mówisz? — wydyszała Anna, usiłując nie przewrócić się na schodach.

— O Wenecji mówię, do cholery!!! Sofia wiedziała... Ona była stąd?

— Ze Sztokholmu rdzennie, ale mieszkała w Wiedniu...

— Ale jej ojciec... Stiates! Był Włochem. Słyszałem o nim. Jakiś dziany finansista, zostawił absurdalny majątek.. Był z Wenecji? — Lajon przystanął, przez cały czas wściekle zaciskając palce na dłoni Anny. Po chwili ruszył znowu, pokonał ostatni stopień i zaczął wspinać się na kolejne piętro. — Z Wenecji był?! Ten ojciec?!

— Nie, z Padwy... Chyba...

— Ale to też Veneto... Ten sam region. Musiał tu bywać i wiedzieć... A zatem ona też wiedziała. I to dobrze wiedziała!

— Co wiedziała?! Lajon!!! — głos Anny odbił się echem od pokrytych freskami ścian. Szarpnęła się i zmusiła go, by się zatrzymał.

— Wiedziała, że w weneckich domach, zwłaszcza tutaj, w historycznym centrum, niczego istotnego nie trzyma się na dole. Ważne pomieszczenia znajdują się na górze. Dokumenty, książki... Kiedyś nawet kuchnie lokowano na górze. Bo dół regularnie podlewa... Mówiłem ci. Pytałem, czy masz kalosze!

Anna przełknęła ślinę. Patrzyli przez chwilę na siebie, po czym jej wzrok padł na otwarte, dwuskrzydłowe, pięknie zdobione drzwi prowadzące do wielkiego pokoju, z wysokimi oknami, kilkoma meblami stylizowanymi na antyczne i dwoma arrasami przykrywającymi blad różowe ściany. Meble wyglądały na nowe, ale ustawione były w przypadkowym porządku, posadzka sprawiała wrażenie nieodnawianej od wielu lat, w arrasach widać się gruba warstwa kurzu, a z sufitu kruszył się tynk

Na środku pokoju zaś... Stała Lempi.

Rozdział 48

Patrzyli na nią bez słowa. Bali się ruszyć, by jej nie spłoszyć. Finka stała na środku pokoju niemal jak posąg. Jej ręce zwisały wzdłuż ciała, plecy były sztywno wyprostowane, a oczy wpatrzone w przestrzeń za oknem.

— Może lunatykuje — szepnęła Lajon.

Anna wbiła mu łokieć w żebro. Lempi poruszyła się i powoli odwróciła głowę. Anna i Lajon zamarli. Finka była śmiertelnie blada. Uniosła lekko dłoń i wskazała na jeden z arrasów.

— Nie wiem, co pan powiedział, ale z pewnością było superśmiesznie — odezwała się.

Anna przetłumaczyła jak z automatu. Zupełnie abstrakcyjnie przyszło jej do głowy, że skoro już zupełnie nie nadaje się na policjantkę i jeśli nie będzie potrafiła pokierować firmą Vidara, zawsze może się przekwalifikować na tłumacza symultanicznego. Praktykę miała zaliczoną.

Finka nadal wskazywała arras.

— Tam jest ten cały wasz sejf. Tego szukacie prawda? — uśmiechnęła się lekko.

Nie poruszyli się do przodu nawet o centymetr. Czyli jednak arras... Anna spojrzała z ukosa na Lajona, a ten lekko wzruszył ramionami. Ręka Lempi opadła.

— No? Co wy? — spojrzała na nich zaskoczona. — Czy wy... Wam się wydawało, że ja... A! Aaaa! Ha ha ha ha!!!

Lajon przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

— Co ona mówi? Zrozumiałem tylko ha ha ha ha...

Finka zaczęła się histerycznie śmiać. Anna odetchnęła i zrobiła krok do przodu. Lajon łukiem zbliżył się do arrasu, unosił go lekko i stęknął, z czego wnioskować można było, że ozdoba okazała się ciężka. Lempi wyciągnęła chusteczkę i, nadal bardzo rozbawiona, zaczęła wycierać sobie nos.

— Lempi, do jasnej cholery, może się jakoś wytłumaczysz? Prawie zesłam na zawał! Przez chwilę myślałam, że to ty wszystkich mordujesz! A to nie ty? Prawda? — upewniła się Anna, która znalazła się już bardzo blisko swojej gospośki.

— A pewnie, że nie ja! Co pani myśli? — Lempi postukała się w czoło. — Gdybym ja miała mordować, nie trudziłabym się z arsenikiem. Potrafię świetnie korzystać z różnego rodzaju noży. I znam się na grzybkach. Sosik do makaronu z muchomorków i już! Cała rodzina z głowy! Nie, nie... Arsenik nie jest w moim stylu! Niech pani słucha i tłumaczy temu tam, panu Leonowi.

Lempi zaczęła mówić. W miarę, jak rozwijała się jej opowieść, Anna coraz szerzej otwierała oczy. A Lempi streszczała... swoje pierwsze spotkanie z Vidarem, które było właściwie czymś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Vidar pytał ją o doświadczenie zawodowe, poprzednie miejsca pracy, o to, co potrafi ugotować, czy zgadza się również na wykonywanie

innych prac w domu, czy zna się trochę na pielęgnacji ogrodu i takie tam. Lempi odpowiadała grzecznie i wyczerpująco. Na koniec Vidar zapytał ją o swoje najstraszniejsze doświadczenie. Chodziło mu oczywiście o najmniej przyjemne doświadczenie zawodowe, o którym wolałaby jak najszybciej zapomnieć, ale użył dokładnie tego słowa. „Najstraszniejsze”. Lempi roześmiała się i powiedziała, że nie może narzekać na żadnego pracodawcę, bo póki co trafiała na ludzi przyzwoitych, choć nie zawsze sympatycznych, ale... Faktycznie, ma na swoim koncie „straszne” doświadczenie. I zaczęła opowiadać mu o swojej pracy w Moskwie, gdzie spędziła trzy miesiące. Zatrudnił ją pewien zamożny Rosjanin, który mimo swojej zamożności mieszkał jednak w dość kiepskiej dzielnicy, a na dodatek w sąsiedztwie — ponoć — nawiedzono domu. Lempi zaczęła ze śmiechem opowiadać Vidarowi o tym, jak się z początku bała i jak każde najmniejsze światełko, cień czy odgłos dobiegający z tamtego budynku przyprawiały ją o dreszcze. Vidar również się uśmiechnął, zamyślił i... zrewanżował się swoją historią. On z kolei opowiedział Lempi o innym domu, co do którego mówiło się, że jest obłożony klątwą. Dom miał nazywać się Ca’Dario...

— Ca’Dario! — wykrzyknęła jeszcze raz Lempi. — Pan Vidar opowiadał mi o tutejszym pałacu! Weneckim! Wszystko później sprawdziłam sobie w internecie, tak mnie poruszyła ta historia. Od setek lat dzieją się ponoć w tym domu straszne rzeczy! A to właściciele chorują, a to tracą cały majątek, a to się wieszają... Ktoś tu kogoś zamordował, a jeden śpiewak, co jechał kupić dom, prawie zginął w wypadku samochodowym. Ostatni właściciel, jakiś przemysłowiec, zastrzelił się w latach dziewięćdziesiątych. Ten dom znany jest jako „dom, który zabija”. I proszę... — Lempi pociągnęła Annę za rękę, zaprowadziła ją do okna i lekko się wychyliła. — Pani patrzy! To ten dom! Widać go stąd. Od razu tak pomyślałam, kiedy tu zśliśmy, że musi być jakoś niedaleko i pewnie widać go z któregoś okna. I? O! Jest! No a potem tak mi przyszło do głowy, że skoro pan Vidar się interesował tym nawiedzonym domem, znaczy domem z klątwą, to może tutaj często siedział, tak jak my teraz, przy oknie. A jeśli... Ta szmat... Lafirynda jedna... — Lempi zarumieniała się mocno. — Ta śpiewaczka od siedmiu boleści... Jeśli ona tak bardzo, niech mi pani wybaczy, szalała za pani mężem, to może ten pokój też stał się dla niej ważny. No i... Tak zaczęłam sobie popatrywać...

Anna wzięła głęboki wdech. Wyglądało na to, że każdy potrafił poskładać pojedyncze elementy w całość, tylko nie ona jedna. Wielka pani komisarz! Z zaćmą mentalną jakąś...

Lajon spojrział na nią pytająco i skinął głową w stronę sejfu.

— Otwieramy?

— Tak Otwieramy.

— A, że tak zapytam... Znamy szyfr?

Osunęła się na kolana, jak gdyby zamierzała wreszcie po raz pierwszy w życiu naprawdę się pomodlić. Szyfr! Oczywiście, że nie znała szyfru! A jednak coś przyszło jej do głowy. Poderwała się z podłogi. „Cholerna *Salome*”, mruknęła pod nosem i wyciągnęła z kieszeni telefon. Weszła do sieci i wpisała hasło w wyszukiwarkę. Wiedziała, że opcji było kilka, ale nie miała nic do stracenia. *Salome*... Z tą obsesją coś musiało się wiązać. A przynajmniej Anna miała taką

nadzieję — inaczej pozostawało im zaatakowanie sejfu siekierą.

Przejrzała pobieżnie tekst na stronie internetowej i zatrzymała wzrok na ciągu liczb. Które to? Zawahała się. Podeszła do sejfu. Jeden, osiem, dziewięć, cztery. Data publikacji *Salome* w Anglii. Nic się nie wydarzyło. Sejf nadal pozostawał zamknięty. Anna zacisnęła dłonie w pięści. Jeszcze dwie próby. Jeśli one zawiodą, innych pomysłów już nie miała. Jeden, osiem, dziewięć, trzy. Data pierwszej publikacji *Salome*, w języku francuskim. Nadal nic. Wstrzymała oddech. Jeden, osiem, dziewięć, sześć. Premiera *Salome* w Paryżu. Wilde nie mógł w niej uczestniczyć. Przebywał w więzieniu w Reading, skazany za sodomie...

Anna cofnęła się o krok. Sejf stanął otworem.

Oczom Lajona, Anny i Lempi ukazał się dość skromny widok. We wnętrzu sejfu znajdowały się laptop i kabel, a także kilka tekturowych teczek. Wpatrywali się w to wszystko przez dobrych kilkanaście minut, po czym Lajon zdobył się na odwagę i jako pierwszy sięgnął po komputer. Wyprostował się i niepewnie spojrzął w górę, a później na boki. Kiedy z ulgą przekonał się, że nie spadł na niego żaden głaz ani nie przekłuła go na wylot ostra włócznia, ani też nic nie zapowiadało innej podobnej niespodzianki, wyciągnął również kabel i tecki. Upewnili się, czy w sejfie nie zostało coś jeszcze, zebraли swoje zdobycze i zeszli na dół, do ciepłej i przytulnej kuchni. Lempi mruknęła niezadowolona na widok brudnych talerzy w zlewie i zauważyła, że w gościach nie wypada robić takiego syfu. Wzięła się za zmywanie. Wstawiła wodę na kawę, po tym, jak już upewniła się, iż tej nocy nikt spać iść nie zamierza.

Anna i Lajon rozsiedli się przy stole i zaczęli od przeszukiwania teczek. Podłączyli również laptop do prądu. Kuchnię wypełnił szcęk naczyń, szum czajnika i szelest kartek. Po godzinie Lajon uniósł głowę i siorbnął łyk kawy.

— Beznadzieja! Jedno wielkie gówno! Co to ma być? Jakieś pierdoły...

Siorbnął kolejny łyk kawy i zaczął bębnić nerwowo palcami w blat stołu. Anna również sięgnęła po kubek z kawą. Z niechęcią skinęła głową. W teckach nie natrafili na nic ciekawego. Same nieistotne dokumenty związane z zakupem domu w Wenecji, umowa kupna jakiejś motorówki, której nie widzieli na oczy i inne tym podobne sprawy.

— To co? Bierzemy się za laptop — powiedział Lajon. Odchylił się na krześle i na chwilę przymknął oczy.

Anna przyjrzała mu się ukradkiem. Nie miała pojęcia, dlaczego jej pomagał. Dlaczego tu w ogóle był. I jak się do tego mają jego obowiązki zawodowe, zlecenia, kontrakty i inne zobowiązania. Jak się do tego ma planowany wyjazd na Tahiti, o którym mówił w Helu. Skąd u niego ta determinacja, by nie zostawić Anny samej? Lajon przesunął dłonią po powiekach, a później zmierzwił włosy, które i tak sterczały już na wszystkie strony. Jego lekko piegowata twarz była biała ze zmęczenia. Raz po raz ziewał przeciągle. Dopił kawę i wstał od stołu z zamiarem przygotowania kolejnej. Lempi skończyła zmywać. Laptop leżał na stole jak wyrzut sumienia...

— No dobra! — Anna zatarła ręce z udawanym entuzjazmem. — Do dzieła!

Lajon wrócił do stołu z drugą kawą, a Lempi usiadła sztywno na krześle. Anna otworzyła laptop. Cała trójka pochyliła się w stronę ekranu. Lajon czytał to, co napisano po angielsku i włosku, czyli w językach, które rozumiał. Anna i Lempi skupiły się na dokumentach szwedzkojęzycznych. Po dwóch godzinach praca przy jednym komputerze dała im się mocno we znaki. Zegary wybiły piątą rano. Za oknem szumiały wody kanału. Uliczki Wenecji spowijała mgła — jeszcze inna niż ta, którą Anna знаła z Ystad i Helu. Tutejsza mgła była jak z bajki. Jak z filmu o Casanovie... Anna ledwie panowała nad odruchem ciągłego spoglądania w okno. Zniechęcona i zmudzona otworzyła kolejny plik. Jej serce załomotało. Mgła za oknem przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bo oto Anna znalazła...

Narcyza!

Rozdział 49

Lajon wpatrywał się na zmianę w Lempi i Annę. Obie naraz, przekrzykując się i wchodząc w niezrozumiały belkot, tłumaczyły mu treść pewnego sporządzonego po szwedzku dokumentu. Głos Anny drżał, jak jeszcze nigdy dotąd.

— Boże, jaką ja jestem kretynką! Boże!

— Weź przestań już z tym Bogiem, zostaw Go w spokoju, sama mówiłaś, że jesteś ateistką! — zirytował się wreszcie Lajon, który zaczął nerwowo przechadzać się po kuchni.

— Ale to prawda! Jestem nie tylko ateistką, ale też debilką! Powinna być to zauważyć! To wszystko! W ogóle! Ciekawe czy Vidar zauważył? Nie, on musiał się także zorientować, ale później! Nie znał szczegółów sprawy Narcyza. Nie mogłam ich zdradzać. Ale później, po wypadku... Na pewno dodał dwa do dwóch. Znał Sofię lepiej ode mnie. Co jest oczywiste — powiedziała Anna z goryczą.

— No tak, i pracował z nią — przyznał Lajon. — Czyli pewnie orientował się trochę w jej interesach. Tak się domyślałam.

— Narcyzy! Kurwa! Pieprzone narcyzy! Oczywiście! To takie proste! I takie głupie! Idiotyczne! Zabij mnie... — jęknęła i spojrzała na niego błagalnie. — Po co komu taka głupia policjantka?

— Przytnij się. Myślisz, że ona wiedziała? Sofia?

— O tym, że Narcyz to Narcyz? Nie wiem. Kiedy zawierała z nim umowę pewnie nie. A później... Później pewnie tak! Czekaj...

Anna pobiegła do gabinetu Sofii i przyniosła stamtąd swój laptop.

— No dobra, wy dalej grzebiecie w jej komputerze. A ja muszę coś zobaczyć. Tylko pamiętajcie, że wszystko może się okazać ważne!

Lajon i Lempi patrzyli przez chwilę na Annę niepewnie, po czym z westchnieniem na powrót zasiedli przed laptopem Sofii. Anna ulokowała się naprzeciwko nich i wcisnęła do uszu słuchawki. Najpierw obejrzała nagranie z tańcem siedmiu welonów w wykonaniu Sofii Stiatesi. Później odnalazła w internecie pliki z jej wywiadami, fragmenty koncertów i filmów. Obejrzała wszystko bardzo dokładnie. Przypomniała sobie swoje osobiste kontakty z Sofią. Przejrzała jej fotografie w sieci. A później... otworzyła plik ze zdjęciami kobiety, która odwiedzała Narcyza w więzieniu w Malmö. Jego rzekomej matki. Poczula ucisk w klatce piersiowej. Wyciągnęła słuchawki z uszu i ukryła twarz w dłoniach. Myśl, myśl, powtarzała sobie uparczywie, zaciskając powieki.

Myśl!

Myśl, choć to przecież... takie oczywiste!

Anna zdała sobie z tego sprawę już wtedy, w operze. Po rozmowie z Anniką Norling. Tyle tylko, że później aresztowano w Helu Marcina-barmana, a ona sama natrafiła na ślady niewierności Vidara. Jeszcze zaś później Amalia kazała jej przyjechać tutaj i szukać sejfu. Poziom abstrakcji urósł do maksimum. I wizyta w operze na chwilę wjechała na myślowy boczny tor.

Być może niesłusznie? Bo przecież...

Sofia Stiatesi zna Narcyza. Wtedy kiedy jeszcze — być może — nie wie, że szwedzki hodowca kwiatów to seryjny morderca. Zawiera z nim umowę na dużą dostawę roślin — narcyzów — do swojego ogrodu, okalającego dom w Wiedniu. Później okazuje się, że Narcyz to Narcyz Psychopata. Seryjny zabójca. Oficjalnie nie seryjny, tylko pojedynczy. Ślad po umowie Narcyza z Sofią trafia jasny szlag. Vidar kończy romans z Sofią. Tuż po aresztowaniu Narcyza Anna i Vidar ulegają wypadkowi. Pół roku później zostaje zamordowany Narcyz. Dwa dni po nim Sofia. Kilka dni później Vidar...

Szlag by to, szlag by to, szlag by to!!!

Anna zerwała się z krzesła, chwyciła swoją komórkę i wybiegła do hallu. Wybrała numer.

— Ingvar!!! Słuchaj mnie! Wrzuciliście już zdjęcie tej babci z więzienia do systemu? Szukaliście podobieństwa? Porównywaliście twarze? I nic ciekawego nie wyszło, prawda? No więc... Słuchaj, pokaż zdjęcia Sofii Stiatesi i tej babki z więzienia niejakej Annice Norling. To charakteryzatorka z opery w Malmö. Pokaż jej! Ona zajmowała się Sofią... Nauczyła ją paru rzeczy... Musisz to zrobić, Ingvar! Musisz! Nie, nie oszalałam. Ale chyba wiem, kto zabił Narcyza. Kończę. Ingvar! Zrób to, o co cię prosiłam!

Rozłączyła się i zaczęła w zadumie skubać dolną wargę. Wcisnęła telefon do kieszeni dzinsów i wróciła do kuchni. Lempi i Lajon wpatrzyli się w nią z uroczystym wyrazem twarzy, jak gdyby mieli wręczyć jej oficjalną nagrodę na szkolnym apelu. Za wzorowe zachowanie. Annie zakręciło się w głowie ze zmęczenia i ekscytacji.

— Co jest? — spytała podejrzliwie.

Lajon obrócił w jej stronę laptop, a Lempi klasnęła w dłoń.

— No? Co to jest? — mruknęła i przebiegła wzrokiem po dokumencie.

Poczuła się tak jak gdyby ktoś mocno uderzył ją w spłot słoneczny. Oderwała wzrok od ekranu i spojrzała Lajonowi w oczy.

— Sofia podpisała umowę i zobowiązała się do spotkania z uczestnikami polskiej wycieczki, którzy zwiedzali Wiedeń śladami wielkich twórców opery. Sofia miała im zrobić mały wykład na temat wiedeńskich kompozytorów, śpiewaków i śpiewaczek. W Staatsoper. I zrobiła go. Wycieczkę pilotował...

— Bruno Kuc. Mój szwagier — dokończyła cicho Anna.

— Zgadza się. Wycieczka nie została zorganizowana przez żadne biuro podróży. Bruno miał działalność gospodarczą. Sam podpisał umowę z Sofią. Albo zorganizował wyjazd na własną rękę, albo może zebrała się grupa i poprosili go, żeby ich oprowadził, bo miał odpowiednią wiedzę i kontakty. Czasem tak się dzieje. Ktoś jedzie na wycieczkę organizowaną przez biuro podróży, poznaje na niej sensownego przewodnika, myśli sobie, że można by skrzyknąć własną ekipę na jakiś fajny wyjazd i wziąć tego gościa. Bo gość ma łeb na karku i doświadczenie. Myślę, że tak to się właśnie odbyło.

— A Sofia trzymała ten dokument, żeby po spotkaniu w Staatsoper został jakiś ślad... Tak samo jak po Narcyzie. Skoro się tych papierów nie pozbyła, to znaczy, że były jej jeszcze do czegoś potrzebne. — Anna oparła brodę na zwinionych w piąstki dłoniach. — Ale na cholere? I skąd oni się znali?

— Może coś wspólnie znajstrowali? — włączyła się Lempi.

Tym razem Lajon chwycił telefon i wybiegł na korytarz. Wrócił po piętnastu minutach, lekko wściekły.

— Dzwoniłem do ostatniego biura podróży, z którym współpracował Bruno Kuc. Cieszył się świetną opinią... Niestety. Choć pracował tam krótko.

— A czym się zajmował wcześniej?

— Też pracował w biurze podróży. W Kopenhadze. I stamtąd również miał świetne referencje.

Kopenhaga, Kopenhaga! Anna zacisnęła powieki. Coś z tą Kopenhagą było nie tak. Wycieczka... Pilotowana przez Brunona... Na którą pojechał też ten głupi barman... Coś zaczęło jej świtać, ale wciąż nie potrafiła powiązać ze sobą wszystkich nitek.

— Cholera by to! — zawołała. — Sprawdzanie telefonu też nic nie da. Ingvar już to zrobił, kiedy się okazało, że Bruno pojechał jako pilot na tę wycieczkę do Kopenhagi i był blisko Malmö w chwili, gdy popełniono morderstwo. Zresztą, jaki to problem użyć telefonu na kartę...! Albo w ogóle nie brać telefonu, kiedy się idzie popełnić zbrodnię... W każdym razie, nawet jeśli Bruno był w Malmö w odpowiednim momencie, żeby zabić Sofię, to jego telefon nie był tam razem z nim. Zostaje jeszcze ten chłopak Barman. On mi tutaj do niczego nie pasuje.

Cała trójka umilkła i wpatrzyła się w wygaszony już ekran laptopa. Za oknem wenecką mgłą rozrzedzało poranne słońce.

Mniej więcej o dziesiątej Lempi uznała, że ona jednak czuje się zmęczona lataniem samolotem, spacerami po Wenecji, oglądaniem „zakłątwnego” domu i nocnym buszowaniem w cudzych rzeczach. I jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, chętnie położy się spać. Anna tylko machnęła ręką i postukała się znacząco w czoło, kiedy Finka zaproponowała, że najpierw zrobi śniadanie. Lempi oddaliła się do gabinetu Sofii Statesi, mamrocząc pod nosem standardowe uwagi o tym, że świat się kończy i ludzie są zakłamani, nawet jeśli wyglądają na porządnym. To ostatnie dotyczyło najprawdopodobniej Vidara i Anna poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

Zostali sami. Ona i Lajon. Lajon z anielską cierpliwością ponownie odpałił laptop i zajął się dokumentami sporządzonymi w językach, które rozumiał. Anna, zemdlna kawą, sięgnęła po butelkę z wodą. Miała już swoją teorię. A teoria z kolei miała luki. Mnóstwo luk.. Anna była jednak pewna, że to Sofia odwiedza Narcyza w więzieniu. Interesowała się charakteryzacją, znała się na tym, miała dostęp do odpowiednich narzędzi. Świetnych narzędzi. A nawet jeśli potrzebowała sobie dokupić kilka elementów — dokładnie wiedziała, gdzie i czego szukać. Mogła zmienić się nie do poznania. To nie takie trudne dla kogoś, kto wie, co robić.

Sofia znała Narcyza wcześniej, jeszcze zanim poszedł do więzienia. Czy wiedziała o tym, że był mordercą? Co do tego Anna nie mogła mieć pewności. Najprawdopodobniej jednak śpiewaczka nie była niczego świadoma.

Chociaż..?

W każdym razie Sofia mogła namówić Narcyza, by wysłał list do komisarz Lindholm po wypadku. Ona sama wszystko zaaranżowała. Wynajęła kogoś, by wpakował się w nich wielką terenową toyotą i uciekł. W nocy, z nieoświetlonego lasu pod Ystad nietrudno było przecieżyć zbiec... Sama Sofia pojechała do Dubrownika na koncert. Co chciała osiągnąć? Zabić Annę? Zabić Vidara? Ostrzec ich? Okaleczyć? Wypadek to ryzykowna forma morderstwa... Bardzo ryzykowna, nawet jeżeli wszystko się dokładnie zaplanuje. A dalej? Po wypadku Sofia namówiła Narcyza, by wziął winę na siebie? By udawał, że to on za wszystkim stał? Tym sposobem wypadek wyglądał na zwykłą zemstę. Zemstę skuteczną. Zwłaszcza po tym, kiedy okazało się, że Vidar został trwale sparaliżowany. Anna Lindholm z dumnej pani komisarz zmieniła się w przygniecioną poczuciem winy, nieszczęśliwą żonę. Narcyz wyszedł na twardziela. Ostatnie słowo należało do niego. A co ofiarowała mu Sofia? Pieniądze? Pieniądze nie były mu potrzebne. Ucieczkę? Być może. Albo... Śmierć. Tak jak sugerował tamten strażnik I do pewnego stopnia Lajon. Według młodego strażnika Narcyz chciał umrzeć. Być może dlatego, by nie odsiadywać dożywotniego wyroku. Być może dlatego, że dotarło do niego, co zrobił... Siedział w celi, czytał Oscara Wilde’a i jadł ciasteczka z arsenikiem. Czyżby tak się właśnie dogadali?

Inna opcja: Sofia uznała, że należy Narcyza usunąć, bo za wiele o niej wiedział. Miał na nią zatem haka. To ona stała za wypadkiem. Mógł się nagle obudzić, mógł zechcieć to wykorzystać, zaproponować policji współpracę. Co by jednak przez to zyskał? Nikogo przecież nie zamordowano. Anna żyła. Vidar żył. A zatem co by Narcyz zyskał? Sofia jednak mogła czuć się zagrożona. Zaczęła pielgrzymować do Malmö, załatwiła sobie angaż w operze, odwiedzała Narcyza, przynosiła mu ciastka i zachęcała do lektury Oscara Wilde’a, który tak świetnie znał

naturę ludzką... Naturę grzechu i zbrodni. W międzyczasie uświadomiła sobie, że nie może tak łatwo poddać się w kwestii Vidara i musi spróbować go odzyskać. Nawet w takim stanie, w jakim się znajdował... Zwłaszcza że ona sama... była chora. Choroba zaś, zwłaszcza poważna, zmusza ludzi do przewartościowania całego życia. Postawienia wszystkiego na jedną kartę. Zmusza do walki o to, co do tej pory odkładaliśmy na później. Ale żeby odzyskać Vidara, musiała się pozbyć Narcyza. Bo on wiedział, że to był jej plan.

Kolejny krok nie wydawał się już Annie tak prosty. No bo kto zabił Sofię, jeśli nie Bruno? Anna czuła, że to właśnie Bruno wjechał w nich czarną toyotą. Że to on współpracował z Sofią. Że to on ją zabił, bo zaczęła mu w jakiś sposób przeszkadzać. Ale jak? Jak to zrobił? Kiedy? I co go dokładnie do tego skłoniło? Chciał wyciągnąć od niej więcej pieniędzy? Zaczęła go straszyć? Czym? Co się dokładnie wydarzyło? Jak znaleźć na to dowody...? Annie przychodziło do głowy tylko jedno wyjście. Ryzykowne. I być może bezsensowne. Ponownie chwyciła telefon.

— Ingvær... To znowu ja. Przepraszam. Tak, wiem, że na pewno jeszcze nie byłeś u Anniki Norling... To jasne. Ale chciałam... Znowu powiesz, że oszalałam, ale czuję... Wydaje mi się, że wiem, kto załatwił Sofię, tylko nie mam pojęcia, dlaczego dokładnie. Ani... jak to udowodnić. Posłuchaj mnie... Wiem, że to kretyńskie... Musicie sprawdzić te kawiarnie w Malmö. Wiemy, jaką kawę piła Sofia przed śmiercią. To nie było zwykłe espresso. To był konkret. Nie każda kawiarnia taką serwuje. Nie każda też ma monitoring... Zdadę sobie z tego sprawę. Ale trzeba spróbować. Nie wiem, jak, ale... czuję... Co? Co ty mówisz? Już? Naprawdę? Ingvær... dziękuję! Może coś z tego będzie! Tak, wszystko gra! Później zadzwonię.

Rozłączyła się i westchnęła z ulgą. Była pewna, że Ingvær uzna ją za idiotkę i każe jej się wypchać ze swoimi kretyńskimi teoriami. A on tymczasem... sam zaczął sprawdzać kawiarnie. Na własną rękę, jeszcze zanim go o to poprosiła.

Anna uniosła głowę i zobaczyła utkwione w sobie spojrzenie Lajona. Zesztywniała.

— Dlaczego tak się na mnie gapisz?

— Czyżby twój chłopak łączył się z tobą telepatycznie?

— To nie jest mój chłopak. Ale... chyba masz rację. Wpadliśmy na ten sam pomysł. Dość głupi, który może okazać się ślepym zaułkiem i zwykłą stratą czasu. Malmö to duże miasto. Kawiarni w cholereę.

— Racja. Ale może się uda.

— Wiesz, sam fakt, że ktoś pił kawę z Sofią jeszcze nie znaczy, że ją otrul. Jakoś to gówno trzeba było do kawy wsypać... Ja nie wiem już nic! Mam mętlik w głowie. Wydaje mi się, że jestem blisko rozwiązania tej sprawy, a z drugiej strony sądzę, że nigdy nie połączę tego w całość. Chociaż brakuje mi niewielu elementów.

— Słuchaj, Anka...

— Tak?

— Chyba coś znalazłem... Ale nie rozumiem ani słowa.

Anna uniosła się na krześle i obróciła do siebie laptop.

— I nie wiem też, czy na pewno powinnaś to czytać — powiedział i zaczął smarować bułkę

masłem. Był zdenerwowany i czuł się nieswojo. — Chcesz, żebym zostawił cię samą?

Spojrzała na niego zaskoczona i przeniosła wzrok na ekran. Korespondencja. Kopie maili... Wczytała się w pierwsze zdania i pociemniało jej przed oczami.

Rozdział 50

Nie pamiętała całych listów. Kiedy wracała do nich myślami, widziała tylko fragmenty. Urywki nabrzmiałe znaczeniem, pulsujące od namiętności, bólu, tęsknoty, nawet nienawiści. Jej i Vidara nigdy nie łączyła podobna relacja. Anna nie miała nawet pojęcia, że przez kilka lat żyła obok takiego człowieka. Myślała, że znała go na wylot, że nie mógł jej niczym zaskoczyć. A tymczasem poznała jedynie wierzchołek góry. I nie miała pojęcia, co w nim naprawdę tkwiło.

A może wcale tak nie było? Może właśnie to Anna знаła Vidara? A on po prostu przed nią się kreował? Przed tamtą? Sofią? Może dla niej grał? Chciał być taki, jakim pragnęła go widzieć? A prawdziwą twarz pokazał tylko Annie? Czy tak właśnie było? Jak mogła to odkryć? Teraz było już za późno. Vidar nie żył. Członkowie Chewra Kadisza wyprawili go na tamten świat. A jednak przed śmiercią wyciągnął do niej rękę. Prawie się pogodzili. Prawie im się udało.

Po pogrzebie Anna obiecała sobie, że będzie pamiętała to, co dobre. Teraz jednak było jej trudniej. Teraz wiedziała o nich. Zajrzała w tę relację, wtargnęła w ich intymność. W coś, co nigdy nie było przeznaczone dla niej. Ją z tego układu wykluczono. W centrum znajdowali się tylko Vidar i Sofia.

(...) Nie wiesz nawet, co czuję, kiedy tego słucham. Chłonę wysokie dźwięki, których nikt nie wyśpiewa tak samo jak ty. „Salome” jest twoja. Ty jesteś „Salome”. Nikt Ci nie dorówna. Ale gdybym to ja był Janem Chrzcicielem, nigdy nie musiałabyś wykonywać tańca siedmiu welonów. Nigdy nie musiałabyś prosić o moją głowę. Niczego bym Ci nie odmówił. Dla Ciebie zdradziłbym każdego.(...)

(...) Po koncercie w Paryżu pojechałam do Wersalu. To okropne, że mam już tyle lat i tak wiele razy byłam w Paryżu, a jeszcze nigdy nie zwiedziłam Wersalu. Miałaś rację. Meble w stylu Madame de Pompadour pasują do mnie. Nie wiem tylko, czy będą odpowiednie do weneckiego wnętrza. A jednak ufam Ci. Wiem, że zaprojektujesz wszystko z myślą o mnie. Widziałeś mój nowy dom. Spędziliśmy tam takie cudowne chwile... Nigdy ich nie zapomnę... Mam nadzieję, że mój dom nie jest obłożony żadną klątwą. Po tym, jak wyjechałeś, wielokrotnie wchodziłam na górę i patrzyłam w stronę Ca' Dario. Wiesz, że tam ktoś kogoś zabił z miłości...? Kiedy myślę o tym, że mogłabym Cię stracić... Ale nie,

to zbyt okrutne obrazy, podsuwane przez przebrzydłą wyobraźnię. Czasami wydaje mi się, że Ty i ja jesteśmy z innej epoki. Z innej bajki. Że przeżywamy namiętności jak w dziewiętnastowiecznych powieściach, że karmimy się sztuką, jak bohaterowie Oscara Wilde'a i nie rozumiemy współczesnego świata. A przecież jakoś w nim funkcjonujemy.

Nie mogę przestać o Tobie myśleć. Paryż był pusty bez Ciebie. Wiedeń jest pusty bez Ciebie. Wenecja jest pusta bez Ciebie. (...)

(...) Nie mogę przyjechać, mimo że bardzo bym tego chciał. Anna specjalnie wzięła wolne, choć ostatnio siedziała w pracy prawie dwie doby. Idziemy do kina. Nie mogę wyjechać teraz. Przepraszam. Wynagrodzę Ci to. (...)

(...) Czyli wygrywa? Twoja żona, ostatni sprawiedliwy, walczący ze wszystkimi zbrodniarzami tego świata? Twoja logicznie myśląca żona, która nie wie nic o operze, która może orientuje się w sztuce, ale która z pewnością jej nie czuje? Ja mogłabym Cię inspirować. A ona? (...)

(...) Spotkamy się, Sofio. Porozmawiamy. Nie szalej. Ale nie zmienię zdania. To koniec. Anna jest moją żoną i coś razem z nią zbudowałem. Nie wiesz, czy nie znudziłabyś się mną po tygodniu, miesiącu, roku, kiedy opadłyby już emocje i zobaczyłabyś, jaki jestem naprawdę. Anna mnie zna. Ja znam ją. Popelnilem błąd. Nigdy Cię nie zapomnę, ale to było szaleństwo. Teraz to wiem. Nie żałuję tego, co się stało, ale drugi raz nie postąpiłbym tak samo. Wyrządziłem Annie wielką krzywdę. Ona mogłaby zrobić to samo. Wiem, że mogłaby. Wiem... z kim. Ale nie zrobiła. Jest silna, a ja jestem słaby. Jednak to moja żona i muszę walczyć o to małżeństwo. Teraz, kiedy zamknęła już swoją, jak dotąd najważniejszą, sprawę, może wszystko się zmieni. Poproszę ją, by odeszła z policji. By pracowała ze mną. Wciąż ją kocham.

Przepraszam. Nie zapomnę Cię. (...)

(...) Vidar!

Nie zgadzam się. Rozumiesz? Nigdy się na to nie zgodzę! Nie zostawisz mnie tak po prostu. Nie zgadzam się! Tak nie będzie. Nie będzie tak łatwo, jak to sobie obmyśliłeś. Dobrze mnie zrozum! Tak nie będzie!!! (...)

Nie chciała pamiętać tych listów. Nawet fragmentów, które uporczywie tkwiły w jej głowie. Nawet jeśli dzięki nim uzyskała jaśniejszy obraz sytuacji. Wiedziała, na czym stoi. Miała dowód na to, że Vidara i Sofię coś łączyło. Coś, co mogło stać się przyczyną zemsty. Postanowiła zredukować te listy do roli dowodu. I jak najszybciej przestać się nimi zadrećcać. Choć wiedziała,

że to jeszcze nie będzie możliwe.

— Chodź. Lajon... Chodźmy stąd — powiedziała i wyrwała kartkę z notesu, by zostawić wiadomość dla Lempi.

Lajon zastygł z bułką w ręku. Bułką, którą żuł od niemal godziny. Tkwił wciąż na swoim miejscu, kiedy ona czytała. Anna nie powiedziała mu przecież, żeby zostawił ją samą.

— Dokąd chcesz iść? — zapytał z pozornym spokojem.

— Nie wiem. Nie znam Wenecji.

— Dobrze. Dobrze, chodźmy.

Porzucił bułkę, której i tak nie mógł przełknąć, po czym złapał kurtkę. Po chwili szli już wzdłuż Canal Grande, kierując się w stronę San Marco. Powietrze pachniało wilgotnymi kamieniami, kawą, ciastem, ziołowymi przyprawami i wodą szemrzącą w kanałach. Osobliwa mieszanka. Zapach Wenecji. Annie chciało się płakać.

Krażyli wokół różnych obiektów. Jak spragnione światła ćmy latają wokół żarówki, by nasycić się jej oślepiającym blaskiem. W milczeniu. Jak przyjaciele, którzy nie muszą niczego sobie wyjaśniać. Lajon tylko pokazywał Annie co ciekawsze obiekty i krótko opowiadał ich historię, a później ponownie milkł. Anna szukała zapomnienia. Szukała go w otaczającym ją pięknie. Chciała się w nim zatracić. A jednak zapomnienie wciąż się wymykało i nie przyszedł jeszcze na nie czas. Pragnęła zagubić się w tym miejscu, zjednoczyć z nim, przestać myśleć, ograniczyć swoje istnienie do wzroku i słuchu. Do odbierania prostych bodźców. Wreszcie zrezygnowana przysiadła na kamiennej ławce.

— Przeziębisz się — zauważył Lajon i z powątpiewaniem pomacał siedzisko.

Rzeczywiście. Kamień był zimny i wilgotny, ale Anna poczuła się nagle potwornie zmęczona.

— Chodź, pokażę ci coś — powiedział.

Wstała z ociąganiem i dała się zaprowadzić do kościoła San Giorgio Maggiore. Zaprotestowała słabo, kiedy zrozumiała, że Lajon zamierza wejść na dzwonicę, ale nie zdało się to na nic. Lajon był nieugięty. Anna musiała mu później za to podziękować. Widok okazał się oszałamiający.

— To Giudecca. Tamten budynek to bazylika Najświętszego Zbawiciela. Zbudowano ją w podzięce za ustanie zarazy, w wyniku której zmarła jedna trzecia populacji. Spodobałaby ci się. W zakrytści są obrazy Veronesego... Anka... Musisz tu kiedyś wrócić. Bez tego kontekstu, który przywołała ze sobą teraz. Nie zamknij się na to miejsce.

— On... Vidar napisał jej, że musi ze mną zostać, bo chce walczyć o nasze małżeństwo. Napisał też, że mogłabym zrobić to samo co on, że mogłabym go zdradzić, ale jednak tego nie zrobiłam i okazałam się od niego silniejsza. Chyba mnie kochał. I ją kochał. Ale inaczej. Bardziej?

— Myślisz, że można kochać jednocześnie dwie osoby?

— Oczywiście. Ale jedną zawsze... Kocha się bardziej. I czujesz się wtedy tak, jak gdybyś

tę drugą zdradzał. Pod tym względem nigdy nie ma równości.

— Wiem. To okropne uczucie. Trudno się z nim uporać. Ale mnie się wydaje, że równość można jednak osiągnąć. Kiedy się zrozumie, że druga miłość nie musi być wcale taka sama, jak ta pierwsza.

Lajon zapatrzył się w horyzont. Anna oderwała wzrok od bazyliki Najświętszego Zbawiciela i zerknęła na niego. Skąd u Lajona nagle takie przemyślenia? Pewnie przypomniała mu się Jenny. Anna szturchnęła go lekko w ramię, a później objęła delikatnie. Spojrzał na nią zaskoczony.

— Trzeba się zbierać. Robota czeka. Trochę się zapomniałam... Lajon, dziękuję, że mi pomagasz. Naprawdę.

Lajon uśmiechnął się i zasalutował. Kiedy schodzili w dół, Anna poczuła się odrobinę lepiej. Lżej.

I wtedy przypomniała sobie o grafikach.

Rozdział 51

Zamierzała biec, ale w porę zdała sobie sprawę z tego, że przecież nie zna drogi. Szła zatem dzielnie obok Lajona i tylko wciąż go popędzała. Bo wydawało jej się, że idą za wolno, choć z wysiłku prawie nie mogła złapać tchu. Po policzkach Anny ciekły łzy. Kręciło jej się w głowie. Znowu. W klatce piersiowej czuła potworny ból. Spokój, który choć w części odzyskała na dzwonnicy kościoła San Giorgio Maggiore, ulotnił się bezpowrotnie. Wreszcie coś szarpnęło ją w boku. Kolka była tak mocna, że Anna przez chwilę nie mogła oddychać. Lajon złapał ją wpół i wciągnął w pobliski zaułek. Zachłyśnęła się i oparła o ścianę jakiejś kamienicy.

— No już... Żyjesz? Oddychaj... Spokojnie... Ja przez ciebie oszaleję! Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co się, do cholery, tak nagle stało?!

— Lidka — wydukała Anna i zaczęła płakać.

— Co Lidka?

— Miałaś rację... Ona... Nie jest... Święta... Pamiętasz ten moment na weselu, kiedy odprowadziłam Vidara do Pancernika? Wróciłam, poszłam do jadalni z Brunonem i zaczęłam się z nim kłócić...

— Tak pamiętam. Przyłączyliśmy się do was. Lidka, twoja matka i ja.

— Właśnie. Lidka chciała załagodzić sytuację i gadała jakieś głupoty. Ja powiedziałam, że podziwiam grafiki w ich jadalni, a ona na to... Powiedziała, że wolę na pewno oryginalne grafiki, bo takie widziała... Widziała! Pewnie miała na myśli, że u mnie w domu!

— No i co w tym dziwnego?

— Nie mogła widzieć u mnie tych grafik wtedy, kiedy ostatnio przyjechała odwiedzić nas

w Ystad! Lajon! Nie mogła! Nie było ich tam jeszcze wtedy! Są nowe! Zamówiłam je dla Vidara już po wypadku, w prezencie urodzinowym. To była pierwsza rzecz, z której naprawdę się ucieszył. Rozumiesz?! Ona nie mogła widzieć tych grafik! A jednak widziała. Bo była u mnie w domu. Ale nie z oficjalną wizytą. Przyjechała w tajemnicy. Z pieprzonym ciastem... Prawdopodobnie to ona podrzuciła też pierwsze rysunki, które znalazłam w domu. Kolejne, te, za którymi na bank stoi Amalia, przysyłano mi pocztą razem z cytatami. I jednak odrobinę się różniły. Niewielkimi detalami natury technicznej. Tamtych pierwszych było niewiele i myślę, że pochodziły z innego źródła.

— Z innego źródła? Czyli kto je wykonał? Lidka? Bruno? Narcyz?

— Nie wiem.

— Skąd Lidka miałaby te rysunki wziąć? — drążył Lajon.

— No przecież nie wiem! Pojęcia nie mam. Jeszcze. Ale jestem pewna... Ona tam była. Była w moim domu. Mogła wejść do środka bez problemu, miała klucze. Sama jej dałam. Zupełnie o tym zapomniałam! Kiedyś przyjechała do Ystad pod naszą nieobecność. Musieliśmy wtedy z Vidarem załatwić jakiś interes w Karlskronie. Lidka zadzwoniła, że chciałaby się u nas zatrzymać na kilka dni i odpocząć od Helu. Zostawiłam jej klucze pod... wycieraczką! — Anna wyszarpnęła z kieszeni telefon i podała go Lajonowi. — Zadzwoń do Ingvara. Powiedz mu, by zlustrowali Lidkę. Jej telefon, nie wiem... Wszystko. Wszystko, bardzo dokładnie. Z tą niby-krawcową z Gdańska niech pogadają jeszcze. Miałeś rację. Lidka nie była w Gdańsku. Tamta kobieta z jakiegoś powodu kłamie. Lidka była w Szwecji. Lajon, zadzwoń do Ingvara. Dogadacie się. Ja nie dam rady. Drugi raz nie przejdzie mi to przez gardło.

Lajon odebrał komórkę z rąk Anny i zrobił to, o co prosiła. Patrzyła na niego w milczeniu, próbując choć trochę się uspokoić. A później dała się odprowadzić do domu Sofii, posadzić w kuchni i włączyć w siebie gorącą herbatę. Przez cały czas myślała tylko o tym, jak bardzo chciała się mylić.

Ingvar zadzwonił dopiero wieczorem następnego dnia. Anna spędziła ten czas na przeglądaniu pozostałych plików w komputerze Sofii, na przeszukiwaniu jej domu, a kiedy już nie pozostało absolutnie nic do sprawdzenia, włączyła się po okolicy razem z Lempi i Lajonem, jadła pizzę, którą sprzedawano nieopodal mostu Rialto i tłumila w sobie żal, że nie może zachwycić się Wenecją tak jak należy. Tak jak by tego chciała.

Kiedy zabręczczała jej komórka, zamierzali właśnie zwiedzić bazylikę Św. Marka. Anna uznała, że skoro i tak tkwią w beznadziejnym zawieszaniu, równie dobrze mogą to zrobić. Bilety na samolot udało się zarezerwować dopiero na kolejny dzień. Jeden do Szwecji i dwa do Polski. Lempi nie była zadowolona z tego, że będzie musiała podróżować samotnie, ale Anna nie dała jej wyboru. Musiała dotrzeć na Hel. Musiała to wyjaśnić. Zobaczyć Lidkę. Przekonać się na własne oczy.

— Anka, telefon ci dzwoni — powiedział ostrożnie Lajon, kiedy stali w kolejce przed

wejściem do bazy liki.

Anna przyknęła oczy. Czyli jednak dzwonił. Naprawdę dzwonił. Nie było to tylko jej zienawidzone złudzenie. Sięgnęła do torby i wyciągnęła komórkę, którą następnie podała Lajonowi. Ingvar dzwonił już po raz czwarty.

— Ty z nim pogadaj.

— Anka, on...

— Proszę.

— Jezzuz... Halo?

Lajon ograniczył swoją rolę do słuchania. Wrzucał jedynie urywane „okay”, „of course”, „I understand”, „I'll tell her”, „she'll call you back”, „thanks”. Kiedy wreszcie się rozłączył, co trwało całą wieczność, Anna miała wrażenie, że jej serce nie może już bić szybciej. Lajon oddał telefon, wetknął ręce w kieszenie i przez chwilę nie mógł wykrzusić z siebie ani słowa. W Annie obudziły się mordercze instynkty.

— Gadaj!!! — wrzasnęła.

Kilka osób stojących pod bazylką spojrzało na nią z wyraźną dezaprobatą. Anna wzruszyła ramionami.

— Lidka... — zaczął Lajon. — Mówiłem ci już, że Lidka wyjechała na kilka dni z Helu, właśnie wtedy, kiedy otruto Sofię Stiatesi. Namierzeli jej telefon i okazało się, że nie logował się nigdzie w pobliżu Ystad ani Malmö. Ale... Widzisz, ona miała też służbowy telefon. Ten, na który ludzie dzwoniли, by rezerwować pokoje w Heelu i składać zamówienia na potrawy waszej matki...

— I wzięła go ze sobą?

— Nie. Ten telefon również namierzono. I nie logował się ani w Ystad, ani w Malmö.

Anna przyknęła oczy i zachwiała się. Czyżby naprawdę się pomyliła? Lajon spojrział na nią i wziął głęboki wdech.

— I to jest właśnie trochę podejrzane...

— Dlaczego?

— Bo oba telefony zostały w Helu. Dziwne. Prawda?

— Prawda... — przyznała niechętnie. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec.

— Ale jest jeszcze coś...

— Kobieta z Gdańska? — domyśliła się od razu.

— Tak Ingvar wysłał tam tego komisarza z Helu, z którym gadaliście po morderstwie Vidara. Przycisnął ją i ona... Powiedziała, że trzeba Lidkę poddać badaniom.

— Badaniom? — Anna niczego nie rozumiała. — Jakim, cholera, badaniom?

— Chyba chodziło jej, z tego, co mówił teraz Ingvar, o badania... ginekologiczne.

— Słucham??? Jak mam to rozumieć? Lidka jest niby w ciąży?

— Nie. Helski komisarz lekko się zdenerwował i kazał niby-krawcowej, która jest krawcową naprawdę, ale nigdy nie szła dla Lidki kiecki, żeby się wyrażała jaśniej, bo trzeba będzie pojechać na komisariat. Kobieta się wystraszyła, przyznała, że Lidkę zna od dłuższego czasu, kumplują się, no i Lidka pewnego dnia zadzwoniła, powiedziała, że ma mały problem, którym

trzeba się zająć, i potrzebuje na ten czas alibi. A że koleżanka akurat jest krawcową, a Lidzia musi sobie sprawić suknię ślubną, to się wszystko elegancko składało.

— Mały problem, którym trzeba się zająć? — powtórzyła powoli Anna.

— No... Który trzeba usunąć — uściślił Lajon i urwał.

— Masz na myśli... Lidka powiedziała jej, że chce usunąć ciążę! Oczywiście! To tak intymna sprawa, że dyskrecja jest czymś bardzo pożądanym. Dlatego tamta kobieta milczała. I poza tym aborcja w Polsce jest nielegalna...

— Właśnie. Ale kiedy komisarz z Helu wyłuszczył jej, że chodzi o morderstwo, zaczęła patrzeć na wszystko inaczej.

— Jasne. Czyli Lidka nie ma alibi. Wiadomo, że nie była w Gdańsku. Pewnie jest coś jeszcze...?

— Jest — potwierdził Lajon i zaczerpnął tchu. — Ingvar próbował szczęścia z monitoringiem tych kawiarenek w Malmö.

— I co?

— Wszyscy stukali się w głowę, a on faktycznie szukał według receptury tej cholernej kawy, którą miała w żołądku Sofia... Znalazł trzydzieści pięć lokali, w których serwują taką kawę i jeszcze dziesięć, w których serwują bardzo podobną. Za dziesiątym razem...

— Tak...?

— Udało mu się. W kawiarni niestety prawie nic nie widać. Obie kobiety są bardzo niewyraźne, jedna ma na głowie kapelusz, a na szyi apaszkę, druga siedzi w wielkich okularach przeciwsłonecznych na nosie. I tę w okularach można rozpoznać. To Sofia... Druga, ta w kapeluszu, usiadła bardzo sprytnie, wiedziała, jak unikać kamery. Tylko że... Ta kawiarnia ma też zewnętrzny monitoring. Musiała jej to umknąć. Na jednym ujęciu widać wyraźnie twarz kobiety w kapeluszu. Dla potwierdzenia swojej teorii Ingvar wykorzystał jeszcze taśmy z monitoringu miejskiego. I tam też... widać ją dość dobrze. Nie ulega wątpliwości, że to ona...

— Lidka?

Lajon pokiwał głową. Anna miała wrażenie, że wszystko wokół niej znika. Że nie ma już placu św. Marka i złotej bazyliki. Jest tylko ona. I jej siostra, którą właśnie traciła na zawsze.

CZEŚĆ V

Coś się działo. Strach był brzydki, ale panika wydawała się jeszcze gorsza. Panika sprawiała, że wyglądał brzydko i robił brzydkie rzeczy. Okazywał słabość. Nie chciał górować nad nią w ten sposób. Nie chciał zwyciężać dzięki agresji. Strach przed agresją był trywialny i zwierzęcy, a jemu przecież chodziło o podziw. Nie zauważył tylko, że związał się z potwornie głupią i irytującą babą, niezdolną do podziwu. Wyzwalała w nim to samo, co tamta, w Kopenhadze. Obie brzydkie i głupie. Obie irytujące. Tamta bardziej bezczelna, ta bardziej nieobliczalna. Teraz był tego świadomy.

Dowiedział się czegoś. Policjanci za dużo kłapali językami w obecności osób trzecich. Wystarczyło przejść się na komisariat i zapytać, jak postępy w śledztwie. W Helu nikt się aż tak bardzo tą sprawą nie ekscytował. Mieli głupka-barmana, mieli laptop, a to oznaczało, że NIE mieli już smartwień. Wenecja. Dom śpiewaczki. Pojechała tam. Policjantka z Ystad. Nie rozumiał jej. Szła naokoło, bardziej interesowała się jakimisź durnymi wątkami pobocznymi, romansami, a tymczasem on... Przecież jej pomógł. Nic nie rozumiała.

Pomógł jej nie raz.

Dzięki niemu była wolna.

Skierował snop światła latarki na wilgotne ściany. Kryjówka była dobra. Ona mu ją wskazała — głupia i brzydka siostra policjantki. Nadal robiła to, co kazał. Ale on wpadał w panikę, bał się, stawał żaloszny. Co z tego planem?

Co z wyobraźnią, której nie miał? Tamten zawsze to powtarzał.

I jeszcze, że nigdy mu nie dorówna.

Zgasił latarkę. Czekał.

Wiedział, że policjantka z Ystad wreszcie do niego przyjdzie.

Od strachu gorsza była rezygnacja. A rezygnacja przyszła wtedy, kiedy skrzek mew przestał wydawać się irytujący. Spojrzała na nie przelotnie. Fruwały gdzieś tam, za szybą. Jego nie było. Chciała wierzyć, że już na dobre, ale to nie wchodziło w grę. Wiedziała, dokąd uciekł i gdzie się ukrył. Sama chciała tam uciec wielokrotnie. Świetnie pamiętała to miejsce. Chowaly się w nim razem z siostrą, kiedy miały ochotę побыć same, nie słuchać zarządzenia matki i nie płakać za ojcem, który zdecydował się wyjechać. Tylko one dwie i echo. To były dobre chwile, ale należały do przeszłości.

Teraz... Czekanie. Cisza. Rozcięta warga, krew i siniak. Prawdziwa złość, nienawiść, agresja. Tak wyglądała jego reakcja na prawdę, którą zamierzała wyjawić. Szybko zweryfikowała swoje plany, zwłaszcza po tym, co powiedział o jej siostrze. I Leonie.

Łza sięgnęła rozciętej wargi i rana zapiekła. Wiedziała, na co go stać. Pokazał to. Na weselu i wcześniej. Nie panował nad sobą i miała nadzieję, że właśnie to go zgubi. Tak jak wtedy, w Kopenhadze... Niepotrzebnie brał się za coś, czego nie umiał. Tamten drugi musiał być profesjonalistą, świetnie radził sobie z pięknem i ze śmiercią, potrafił łączyć je w spójny obraz. Ale do tego potrzebna była wyobraźnia i umiejętność planowania.

Las, kryjówka. Sama mu ją wskazała. Była mistrzynią w działaniu wbrew sobie.

A teraz, jeśli przyjdą... Wiedziała, co powinna zrobić. Jak to wszystko zakończyć i uwolnić się od niego raz na zawsze. Nie było innego sposobu. Usiadła przy oknie i postanowiła czekać.

Czy będzie potrafiła odpowiednio to rozegrać? Udawać aż do końca? Nigdy nie była zbyt dobrą aktorką. Choć przecież raz jej się udało.

W Malmö.

Cisza. Ani jednej mewy za oknem.

HEL — YSTAD — MALMÖ

Rozdział 52

Poprosiła, by zatrzymał się w lesie. Droga była zupełnie pusta, a mnogość jesiennych kolorów biła w oczy. Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Siedzieli przez chwilę w ciszy. Wyciągnęła z torby tabletki, ale on szybko wyrwał jej go z rąk. Nie znalazła w sobie siły na kótnię. Wiedziała, że miał rację. Nie powinna już tego oglądać. Nie musiała. Znała to nagranie na pamięć. Znała kształt kapelusza i wzór na apaszcze.

Tysiące razy odtwarzała fragment, w którym kobieta w okularach wychodzi do toalety, a kobieta w kapeluszu i apaszcze wstaje, po czym zaczyna wykonywać wokół stolika osobliwy taniec. W kawiarni siedzą jeszcze dwie osoby. Jedna wbija wzrok w ekran laptopa, druga czyta książkę. Nikt nie zwraca uwagi na kobietę w kapeluszu. A kobieta w kapeluszu przekłada jakieś torby z krzesła na krzesło, nachyla się nad swoją kawą i miesza ją zapamiętane, ciągle dosładza i znowu miesza. Później pochyła się nad drugą kawą. Jest tyłem do kamery.

Miesza... Dosypuje cukier i znowu miesza...

To proste. Wystarczy odpowiedni moment i odpowiedni sprzęt w kieszeni. Niewielka papierowa torebka, może dwie-trzy. Z daleka wyglądające zupełnie jak cukier. I proszek. Tak samo biały. Kelnerka przeciera ladę. Barista, znudzony brakiem konkretnego zajęcia, przegląda gazetę. Pozostali goście nadal nieobecni duchem. Jeden wpatrzony w laptop, drugi w książkę. Kobieta w kapeluszu siada z powrotem na swoje miejsce. Jeszcze przez chwilę grzebie w torbie. Wyciąga notatnik, chowa go, znowu wyciąga i znowu chowa. Wreszcie porzuca torbę, siada spokojnie. Wraca jej koleżanka w wielkich okularach.

Anna odpięła pas i zerknęła w lusterko. Przez chwilę przyglądała się sobie z wielkim zainteresowaniem. Bo to nie było jej odbicie. Z lustra patrzyła na nią blada twarz, otoczona ramą

czarnych, matowych strąków. Anna chwyciła grzebień, uczesała się i zwinęła włosy na czubku głowy. Wysiadła z auta, wylała sobie na dłoń odrobinę wody mineralnej i przemyła twarz. Poczula przyjemne orzeźwienie, ale bladość nie znikła. Ze swoimi lekko skośnymi oczami, czarnymi włosami i tą białą nieruchomą maską, w którą zamieniła się teraz jej twarz, wyglądała jak japońska gejsza. Oparła się o maskę samochodu i wzięła głęboki wdech. Las pachniał późną jesienią.

— Nie dam rady — powiedziała. W jej głosie nie było już słycać rozpaczy ani żadnej dramatycznej nuty. — Po prostu nie dam. Muszę zadzwonić do Ingvara.

— Co zamierzasz zrobić? — Lajon przysiadł na masce samochodu obok Anny.

— Powiem mu, żeby na mnie nie czekał. Niech... robi swoje.

— Ale przecież chciałaś być przy arestowaniu, chociaż ten helski komisarz darł się na Ingvara, że w dupach wam się poprzewracało. Jesteś pewna?

— Jestem pewna. — Anna przyłożyła telefon do ucha. — Ingvar... Jestem już w Helu, ale jeszcze w lesie. Nie czekaj na mnie. Idźcie. Nie dam rady. Przyjadę do aresztu. Jestem pewna. Tak Dopilnuj, by nie byli wobec niej zbyt brutalni. A wobec niego... Ingvar, rozegraj to odpowiednio. Tak, jak ty tylko potrafisz. Niedługo się zobaczymy.

Rozłączyła się i spojrzała na zegarek. Zamierzała dać Ingwarowi i helskiej policji trochę czasu. Złapała się też na tym, że przecież niedawno tędy jechała... I właśnie tutaj zwolniła, by opóźnić swój przyjazd do Helu o choćby kilkanaście minut. Ale wtedy obok niej siedziała Lempi, a z tyłu spał Vidar... Teraz zaś Anna jechała do Helu po to, by zobaczyć swoją siostrę w areszcie. Bo jej siostra była morderczynią. Otruła Sofię Stiatesi. Ale czy otruła także Vidara? Czy mogłaby to zrobić? I czy usiłowała również podtruc własną matkę? A Bruno? Przecież on musiał za tym wszystkim stać... Musiał! Ty lko jak to udowodnić?

Anna otworzyła auto i z tylnego siedzenia podniosła dużą płócienną torbę. Wyciągnęła z niej termos. I... Przypomniała sobie nagle inny termos. Ten, który zabrała do Ales Stenar. Ten, z którym wybrała się o poranku na spacer, na kify, i z którego piła zimną kawę. A przy okazji zimnej kawy myślała o Ingvarze, organicznie niezdolnym do przyjmowania gorących napojów.

— Zamierzasz się napić, czy tylko chcesz sobie popatrzeć? — odezwał się Lajon, skubiąc zeschnięte liście.

Wzruszyła ramionami i wrzuciła termos z powrotem do torby. Również podniosła z ziemi liście. Ponownie spojrzała na zegarek. Gapienie się w termos, wspomnianie Ales Stenar i podnoszenie liścia zajęło jej piętnaście minut. Jeszcze trochę. Czas włócił się niemilosiernie. Anna obesła dookoła samochód, przystanąła na moment, zawahała się, po czym utkwiała w Lajonie uważne spojrzenie.

— Coś by było między wami, prawda? — zapytała, a Lajon drgnął.

— Między kim? Mną a kim?

— Tobą i Lidką? Dlatego tak o niej mówiłeś? Że jest wredna i takie tam. Coś się wydarzyło. Rzuciła cię albo co...?

Lajon przygryzł wargę. Wyprostował się i wyrzucił oskubany liść.

— Właściwie nie nie było. Jakiś rok temu, kiedy pracowałem w Brukseli, Lidka przyjechała do mnie na kilka dni. Zresztą sam napomknąłem, że może przyjechać, jeśli będzie miała trochę wolnego, bo wynająłem po okazyjnej cenie całkiem spore mieszkanie. Pracowałem tam przez siedem miesięcy i co jakiś czas wpadali do mnie różni moi znajomi, żeby pokręcić się po Brukseli. Ja i tak właściwie tylko w tym mieszkaniu spałem. Całe dni siedziałem w terenie i pstrykałem fotki. Lidka zatem też do mnie przyjechała. Był początek listopada, tak jak teraz. Mówiła, że musiała wyrwać się na trochę z Helu, bo czuła się wyczerpana po zakończeniu sezonu turystycznego. No i cóż... Ja robiłem przez całe dni zdjęcia do nowego katalogu, a ona zwiedzała. Wieczorami jadaliliśmy razem kolacje. Czasem wychodziliśmy jeszcze do kina albo oglądaliśmy coś w domu. Jakiś film lub serial... I... Lidka, ona... Widzisz, chyba za dużo sobie zaczęła wyobrażać. Jej pobyt u mnie się przedłużał. Zapytałem w końcu, czy wasza matka nie będzie zła, że została w Helu ze wszystkim sama, a ona zaczęła narzekać.

— Na matkę? — Anna miała tak ściśnięte gardło, że ledwie udało jej się cokolwiek wykrzusić.

— Na matkę. Że ma już jej dosyć, że jest stłamszona, zahukana, że w ogóle nie czuje się wolna i chciałaby stamtąd uciec. A później zaczęła narzekać... na ciebie.

— Na mnie?

Lajon pokiwał głową, a Anna odniosła wrażenie, że kolejne puzzle tej pokręconej układanki zaczynają wskakiwać na właściwe miejsca. Stała przed nim i chwyciła go za ramiona.

— Co powiedziała?

— Powiedziała, że... jesteś... no... wredna, samolubna, egoistyczna, zimna i wyrachowana. Że specjalnie przez całe dzieciństwo podlizywałeś się ojcu, żeby później wyjechać i mieć lepsze życie. W Szwecji, zamożnym kraju, z tatusiem i jego nową żoną, w ich białutkim domku z cegły. A później wyszłaś za męża dla lasy i mogłaś sobie hobbyistycznie pracować w policji, bawić się w obrończynię uciśnionych, bo nie musiałaś martwić się niczym innym. Tymczasem ona została sama z despotyczną matką, z rozgrzebanym interesem, bez żadnej możliwości ucieczki. Ktoś musiał przecież zostać. Pomóc.

— Ale przecież gdyby tylko chciała...

— Tak wiem — przerwał jej Lajon. — Ale pamiętaj, że Lidka patrzyła ze swojej perspektywy i nie przekonałabyś jej do niczego.

— To czego ona oczekiwała? Że ja wrócę do Helu i będziemy sobie razem we trzy prowadziły knajpę? Gdyby odezwała się choć słowem, kiedykolwiek, że chce wyjechać... Ale ona nic nie mówiła! — Anna pokręciła głową i ponownie sięgnęła po termos z kawą. — No i co dalej? Pewnie poszliście do łóżka. Zawsze tak jest...

— Dzięki. — Lajon postukał się w czoło. Jak zwykle. — Nie poszliśmy do łóżka. Ale Lidka chyba tego chciała. Zaczęła mówić bardzo dziwne rzeczy. Że teraz już może będzie jej łatwiej, bo ma motywację, by postawić się matce...

— Żartujesz sobie?! — Anna zastygła z kubkiem w dłoniach. — Wymyśliła sobie, że jesteście razem?

— Na to wyglądało. Podeszła do mnie i... Zaczęła... A zresztą! Nieważne!

— Dlaczego? Chętnie poznam szczegóły.

— Nie ma szczegółów! — zirytował się. W jego oczach niespodziewanie pojawił się smutek

— Nie ma żadnych szczegółów. To wszystko działo się rok po śmierci Jenny i nie byłem gotowy... Może i byłbym, gdyby... Ale Lidka nigdy nie interesowała mnie w ten sposób. Lubilem ją, owszem. Ale nie tak. Do głowy mi to nawet nie przyszło. Ona sobie coś uroiła, ja nie wiem, może... Nigdy nie miała z nikim takiej relacji? Nie mieszkała z facetem pod jednym dachem, nie jadała z nim kolacyjek, nie chadzała do kina... Chciałem, by miło spędziła czas. Ale ona zinterpretowała to po swojemu.

— Kobiety zawsze interpretują po swojemu — mruknęła Anna i upiła łyk kawy. Ponownie zerknęła na zegarek. Minęło pół godziny. Za chwilę będą mogli ruszyć w drogę.

— No niech będzie, że tak. Ale u Lidki to już była ekstremalna forma interpretacji. W każdym razie obraziła się wtedy na mnie i wyjechała. Nie odzywała się przez ładnych kilka miesięcy. A później coś się zmieniło. Zadzwoiła, powiedziała, że przeprasza, była słodka jak miód. No i... Kiedy przyjechałem odwiedzić rodziców w Helu, poznałem pana Brunona Kuca.

— Ach tak... Czy li Lidka się zabujała i postanowiła ci wspaniałomyślnie wybaczyć.

— Coś w tym stylu. Chyba chodziło też o to, by mi... hm... pokazać, co straciłem. Bruno przystojny, młody bóg, te sprawy, a ja, taki zwykły Leon z piegami, nią wzgardziłem...

— No już nie przesadzaj, garbaty nie jesteś, babkom w szkole się podobałeś nawet z piegami.

— Ale to było dawno. — Lajon skrzywił się, wyjął z rąk Anny kubek z kawą i również upił łyk

— Ciężko ci sobie nalać czy jak? Musisz moje zabierać? I dlaczego mi nie powiedziałeś? O tym wszystkim? — Anna zabrała Lajonowi kubek, zanim zdążył wyszczyć ostatnią kroplę.

— Nie chciałem kablować na twoją siostrę. Nie wiedziałem przecież, że czeka nas jakieś mordowanie... Poza tym było mi głupio. Chciałem, żebyś... No nie wiem, chyba chciałem, żebyś mnie polubiła. I musisz mi zaufać, Anka. Ja naprawdę nie robiłem Lidce żadnych nadziei. Trzymałem się na dystans. Byłem po prostu uprzejmy.

Anna kiwnęła głową i klepnęła Lajona w ramię.

— Wierzę, wierzę. W ogóle uprzejmy z ciebie chłopak. A mówią, że nie ma porządných na tym świecie. Ze mną też jeździsz w różne miejsca i jakoś nie roję sobie, że jesteśmy w związku. Więc bez obaw. Ufam ci. Wierzę, że było tak, jak mówisz.

Lajon przełknął ślinę i spojrzał na Annę ukradkiem. Spuścił głowę.

— No widzisz, gdyby chodziło o...

— Czekaaj. Ciiicho!

Anna uniosła dłoń i nakazała Lajonowi się zamknąć.

— Ingvar dzwoni. Jezu... Tak? Halo? Dobrze, zaraz tam będziemy... Co?! Co ty mówisz?! Ja pierdole! Nie, to niemożliwe! Ingvar... Co wysłałeś? Dokąd? Kogo? Ja... — Anna przytknęła oczy i usiłowała uspokoić oddech. — Ja jestem teraz w tym lesie!!! Przestań mi tu pieprzyć, po

prostu wyslij wsparcie. A ja juz sama zacne. Nie, nie wiem, gdzie. Ale Lidka... Daj ja do telefonu. Daj ja! Powie mi! Zobaczysz, ze mi powie... Okay, czekam.

Rozlaczyla sie i zacisnela palce na telefonie. Lajon patrzył na nia bez slowa.

— Co jest? Ten frajer uciek?

Anna pokiwała glowa.

— Uciek, uciek... Jest w lesie, w jakimś bunkrze. W tym lesie.

— W bunkrze?! — Lajon złapał się za glowe. — Kurwa, w tym lesie są same bunkry!

— Wiem... Wiem i dlatego Lidka musi podać współrzędne. Inaczej będziemy go szukać przez cały dzień albo i dłużej... Znam trochę ten las. Jeśli poda współrzędne...

— A jeśli nie?

— Poda. Muszę z nią tylko porozmawiać.

Lajon podszedł do Anny, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie. Z początku poczuła się odrobinę nieswojo, ale nie zaczęła się wyrywać. Pozwoliła się przygarnąć i miała wrażenie, że na jedną krótką chwilę niezwykle opanowanie Lajona udziela się również jej samej. Odsunęła się od niego lekko i uśmiechnęła.

— Jesteś dzielną dziewczyną — powiedział, wciąż trzymając dłonie na jej ramionach. — Przed chwilą chciałem ci powiedzieć...

— Czekaj, dzwoni Ingvar... O Boże. Teraz się módl. Albo nie wiem co... Halo? — Anna oparła się o samochód. Drżała na całym ciele. — Lidka, posłuchaj mnie... Musisz mi powiedzieć, gdzie ukrywa się twój mąż. Bo przecież ty wiesz, gdzie. Jeśli go nie znajdziemy, zostaniesz skazana w pojedynkę. Nie będzie mowy o żadnym współudziale, żadnym podjudzaniu, namowach do zbrodni, nie będzie żadnych okoliczności łagodzących. Zostaniesz sama. Nie bądź głupia i nie chroń go za wszelką cenę. Jak widać, on nie zamierzał o ciebie zadbać. Nie planował się za tobą wstawić. Uciekł od ciebie, Lidka. Ale jeśli go znajdziemy, to jeszcze nie wszystko stracone. Podaj mi współrzędne. Znajdę go i przyprowadzę. Niech odpowie za to, co zrobił. Nie mamy na razie... nic na niego. Ale na ciebie tak. Na ciebie dużo... Lidka, zastanów się, czy na pewno chcesz wziąć wszystko na siebie.

Anna umilkła i zacisnęła powieki. Podczas tych kilku sekund upiornej ciszy miała wrażenie, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. I nagle wszystko się zmieniło. Nagle zrobiło jej się potwornie gorąco, a na czole załśniły krople potu. Lidka podała współrzędne. Anna rozlaczyla się i wetknęła telefon do torby. Otworzyła bagażnik i wyjęła stamtąd sprzęt, który, wobec braku innych, skuteczniejszych środków, uznała za niezbędny. Przystanęła na moment i obróciła się wokół własnej osi. Znała to miejsce. Znała drogę... To ona trafiła na ten bunkier, kiedy były jeszcze małymi dziewczynkami. W helskich lasach mnóstwo było podobnych, opuszczonych bunkrów z czasów drugiej wojny światowej. Ten był świetnie ulokowany, skryty między dwoma wzgórzami, wśród kępy gęstych krzewów, położony mniej więcej dwa kilometry od dzikiej, niemal nieuczęszczanej plaży. Między Juratą a Helem. Nikomu o nim nigdy nie mówiły. Ojcu ani matce. Nawet babci. A teraz... A teraz o jego istnieniu wiedział on.

— Wsiadaj do auta i czekaj na mnie. Nie wiem, czy wsparcie zdąży, więc na wszelki

wypadek donikąd nie jedź. Mogę potrzebować auta. Podam ci współrzędne, to w razie czego...

— Co ty pieprzysz? Mogę wiedzieć?!

— Nie pieprzę, tylko wydamę ci dyspozycję. Idę po tego skurwiela...

— Sama nie idziesz!

— Idę!

— Nie! Albo idę z tobą, albo cię tu przywiążę... Jezu!!! Co to jest?!

— Taser — oświadczyła spokojnie. — Lepiej mnie nie strasz związaniem i innymi takimi, bo użyję tego na tobie i przez ładnych parę chwil będziesz się krztusił własną śliną i sikał w gacie... Jasne? Nie mogę nosić prawdziwej, służbowej broni, bo jestem na długim urlopie. Więc to musi wystarczyć. Ale nie martw się. Poradzę sobie...

Lajon stał przed nią na baczność, z lekko uniesionymi rękami. Wreszcie opuścił je i swoim zwyczajem postukał się w czoło. Anna westchnęła.

— No dobra. Chodź ze mną. Ale weź ten badył. Nie ten. Tamten gruby...

Rozdział 53

Las gęstniał z każdym kolejnym krokiem. Anna biegła przed siebie, napędzana dziwną determinacją. Za sobą słyszała głuchy odgłos kroków Lajona. Mokre i ostre gałęzie kaleczyły jej twarz i ramiona, zaplątały się we włosy, ciągnęły za ubranie... Ścieżka, którą szli, była rzadko uczęszczana. Momentami ginęła w ogóle, przykryta grubym dywanem runa leśnego. Anna jednak nie szukała prostszych rozwiązań. Wiedziała, że to najlepszy skrót. Kroczyła zatem pewnie po miękkiej warstwie wilgotnych liści, odgarniała splątane krzewy, torowała sobie uparcie drogę, aż wreszcie znalazła się na miejscu.

Stanęła przed ledwie widocznym włazem i zacerpnęła tchu. Nie obejrzała się za siebie. Przykucnęła i pociągnęła za klapę. Wtedy właśnie usłyszała za plecami głuche uderzenie i cichy jęk. Zamarła. Powstrzymała łzy, które zebrały się pod jej powiekami, przelknęła ślinę. Wyprostowała się powoli. Jedną rękę uniosła w górę, a palce drugiej dłoni zacisnęła na taserze.

Lajon, Lajon...

Debilka! Skończona idiotka!

Powinien zostać! Lajon powinien zostać w aucie! Nie jest policjantem! To ona jest policjantką! Co z tego, że beznadziejną? Powinna go chronić!

— Odwróć się. Powoli — usłyszała głos za plecami.

Głos Brunona. Zachrypnięty i skrzelkiwy. Znała ten głos. Teraz miała pewność. Tylko że wtedy — kiedy? — brzmiał inaczej... Inaczej, ponieważ... Mówił coś innego. Mówił inne słowa. W innym... języku. Szwedzkim! Tak, to na pewno był język szwedzki! Nie słyszała tego głosu zbyt

często, ale wydawał jej się bardzo charakterystyczny. Inny niż wszystkie. Wtedy pomyślała, że ten chłopak to na pewno obcokrajowiec, bo mówił po szwedzku z dziwnym akcentem. I nigdy nie mogła przyjrzeć się jego twarzy. Zawsze schylony, z bandaną na włosach, w okularach, w białym fartuchu... Sanitariusz. Ze szpitala, w którym po wypadku leżał Vidar. Oczywiście! Sanitariusz, który kręcił się koło nich przez dwa dni, a później nagle już go nie było. Nie zapytała o tego chłopaka nikogo. Nic ją nie obchodził. Był nieistotną figurą w teatrze szpitalnych cieni. Anna miała inne zmartwienia. On również o tym wiedział.

Zerknęła w bok

— Odwróć się! Głucha jesteś?

Znowu to brzmienie. Skrzekliwe, drżące... Niepewne. Bruno się bał!

Anna jeszcze mocniej zacisnęła palce na taserze. Ryzykować? Nie ryzykować? Co z Lajonem?! Obróciła lekko głowę i po swojej prawej stronie zobaczyła zarys sylwetki. Czy on coś ma? Czy ma broń? Jak daleko stoi? Cztery, pięć metrów...? Więcej...? Serce Anny biło jak szalone. Nie wahaj się, nie celuj w oczy... A zresztą... Wszystko jedno gdzie! Byle szybko...

— Hej?! Ogłuchłaś? Odwróć się! Wiedziałem, że ta suka mnie zdradzi! Wiedziałem, że nie jest dobrym materiałem ani na żonę, ani na współniczkę! Wiedziałem! Suka! Wiedziałem, ale one obie...

Gada, ekscytuje się, koncentracja spada, emocje biorą górę...

Nie zna się na tym!

Teraz!!!

Anna obróciła się błyskawicznie i wycelowała. Elektrody pomknęły przed siebie. Zdanie urwało się w połowie i nigdy nie dotarło do kropki. Jęk, błysk niedowierzania w oku, uderzenie o ziemię. Nienaturalnie głośne. Dziwny trzask i bezruch. Anna zerwała się z miejsca i podbiegła do leżącego mężczyzny. Ale nie tego, który przed chwilą tak spektakularnie upadł. Ten w gruncie rzeczy nic jej nie obchodził. Wiedziała też, że przez ładnych kilka chwil będzie zupełnie niegroźny. Uklęka przy Lajonie, który trzymał się za głowę i postękiwał cicho. Pomogła mu usiąść.

— Kurwa, Lajon, miałeś użyć tego badyła, a nie się nim podpierać...

Zerknęła na Brunona. Nadal leżał bez ruchu.

— Pokaż.. Nic ci nie jest? Pokaż to... Boże, ile krwi... To jakaś tętnica, co... to... jest? Jak się czujesz? — Po policzkach Anny kapały łzy. Odgarniała włosy Lajona z zakrwawionego czoła i jednocześnie siłowała zajrzeć mu w oczy.

— Anka...

— Mówiłam, żebyś został w samochodzie, trzeba wezwać karetkę...

— Anka, uspokój się!

— Powinieneś zostać! To tętnica, na pewno... Ty le krwi...

— Nic mi nie jest!!! Tętnica na czole?! Odbiło ci?!

— Jakie odbiło?! Przecież są tutaj! Tętnica oczna, tętnica skroniowa... I coś tam jeszcze...

Przecież są tutaj tętnice!!! Jezu...

— I co z tego, że są?! Będziemy się teraz biologii uczyć?! To ty lko łuk brwiowy. Ten sam, co

mi zszywali w Ystad. Niestety... Dużo krwi, ale poleci i przestanie. O, tutaj mam chusteczkę... Potrzymam sobie, a ty zobacz, co z tamtym. Zaraz się ocknie i znowu się zrobi problem.

Anna kiwnęła głową i przetarła oczy, rozmazując sobie krew Lajona na twarzy. Podniosła się z ziemi i podbiegła do Brunona. Pochyliła się nad nim. Zamknęła oczy. Otworzyła oczy. Zrobiło jej się niedobrze. Krew... Bardzo dużo krwi.

Skąd ten kamień? Akurat tutaj?

— Anka? — stęknął Lajon. — Co jest?

— Bruno...

— Co z nim?

— Nie żyje.

Rozdział 54

Za niedomkniętych drzwi dochodziły odgłosy komendy. Pracownicy policji przekrzykiwali się, przerzucali żartami, drobnymi złośliwościami i całkiem poważnymi wyzwiskami, kłeli, umawiali się na piwo, wymieniali dyskretnymi uwagami o prowadzonych śledztwach i chodzili w tę i z powrotem. Byli nieustannie w ruchu. Wciąż biła od nich energia, nawet wtedy, kiedy narzekali na zmęczenie, wysypując do kubków kolejne porcje kawy. Gdzieś w tle grało radio. Nico & Vinz zastanawiali się, czy się mylą, czy mogą być naprawdę, czy mogą myśleć poza pudełkiem, w którym są zamknięci... Anna uśmiechnęła się gorzko. Akurat ten utwór? Akurat teraz? Tutaj?

Zacisnęła palce na plastikowym kubku, do którego Ingvar ukradkiem dołał odrobinę koniaku. Piła powoli, pozwalając, by alkohol piekł ją w gardło i rozgrzewał przetyk. Intensywna woń koniaku mieszała się z zapachem kawy, starych, zakurzonych dokumentów i środków czystości. Anna pomyślała, że właśnie one nadają przestrzeni określoną aurę. Zapachy. Przywołują wspomnienia, odtwarzają zapomniane obrazy, przywracają dawno przeżyte emocje. Dom pod Ystad, pachnący drewnem, wilgotnym piaskiem i morską bryzą. Dom ojca w Sztokholmie, pachnący miętą, którą Dagmar hodowała w doniczkach. Dom rodzinny w Helu, wypełniony — kiedyś tak przez Annę zienawidzonym — zapachem śledzi, z których matka robiła rolmopsy. Dom Ingvara w Ystad i aromat wszelkich ziół tego świata. Wenecja. Komenda w Helu.

Anna syknęła z bólu, kiedy Ingvar po raz kolejny przyłożył jej do policzka wacik nasączony wodą utlenioną. Dopiero tutaj zorientowała się, jak bardzo była podrapana. Jej lewy policzek i szyję pokrywały czerwone smugi, a we włosy zaplątały się pojedyncze liście i połamane gałązki. Ingvar o mało nie zemdlał, kiedy radiowóz przywiózł Annę na komendę. Policjanci, którzy przybyli do lasu ze wsparciem, upierali się, że powinna pojechać do szpitala, ale nie zamierzała ich słuchać. Powierzyła im tylko Lajona i poprosiła, by odwieźli go na pogotowie.

I oddali w dobre ręce. Lajon nie wyglądał dobrze. Krew lała mu się z łuku brwiowego. Rana z pewnością wymagała założenia szwów. Poza tym przydałaby się też surowica. Oberwał brudnym kijem i ryzyko zakażenia wydawało się całkiem realne. Dobrze by było, gdyby chwilę na tym pogotowiu wytrzymał.

Syknęła znowu. Miała już tego po dziurki w nosie. Chwyciła Ingvara za rękę, wyrwała mu waciki i jednym zwinnym ruchem wrzuciła go do kosza.

— Tobie też przydałaby się surowica — mruknął.

— Przecież tylko się podrapałam — odparła i zerknęła w lustro. Zadrapania rysowały się wyraźnie na jej bladej skórze.

— Ana, kiedy cię przywieźli... Miałś całą twarz we krwi. Wiem teraz, że ubrudziłaś się krwią Lajona, ale wtedy... Myślałem...

Anna pokiwała głową i ścisnęła go za rękę. Ingvar patrzył na nią smutno. Znowu.

— Wiem, że to jest fatalny moment na taką rozmowę, ale... Kocham cię. Wtedy, kiedy powiedziałaś mi, że jesteś w lesie i zamierzasz iść po tego faceta, chciałem wszystko rzucić i natychmiast do ciebie jechać. Tutejszy komisarz mnie ostudził. Zaczął gadać, że aresztowaliśmy podejrzaną i to nieodpowiedzialne z mojej strony, reprezentuję Ystad, bla bla bla... A ja nie mogłem normalnie myśleć. Nie wiem... Chyba nigdy mi to nie przejdzie. Zawsze będziesz w mojej głowie. Wiem, że mamy za sobą niełatwą przeszłość, ale jeśli będziesz chciała... Jeśli nie będziesz, to... Ale jeśli jednak będziesz...

— Nic nie rozumiem — oświadczyła i roześmiała się cicho. Zaraz jednak spowaźniała. — To faktycznie nie jest dobry moment na taką rozmowę. Ja też cię kocham. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale teraz... Nie mogę teraz o tym myśleć. Ingvar, ja go zabiłam... — Anna ukryła twarz w dłoniach. — Zabiłam go! Co teraz?

Ingvar objął ją ramieniem i przez chwilę siedzieli w ciszy. Anna odtwarzała w myślach obrazy sprzed dwóch godzin. Przed oczyma wyobraźni widziała szkarłatną plamę wokół głowy Brunona, jego szeroko otwarte oczy i nieruchomą twarz. Te oczy... To ciekawe, że z początku w ogóle nie zwróciła na nie uwagi. A przecież nachyliła się, żeby sprawdzić puls. Widziała krew. Widziała wielki, upstrzony na czerwono kamień, o który musiał uderzyć głową. Ale oczy... Na oczy zwróciła uwagę później, kiedy już przekonała się, że serce Brunona przestało bić. A jednak on wciąż na nią patrzył. Z zaskoczeniem i lekkim niedowierzaniem. I wtedy Anna pomyślała, że Bruno nie był profesjonalistą. Że się bał i sam nie wiedział, co robić. Że on również musiał ulec... czyimś namowom. Może nawet nie do końca zdawał sobie z tego sprawę i został zwyczajnie zmanipulowany. A może chciał komuś... zaimponować? Pokazać, na co go stać? Wielu morderców i przestępców kierowało się przecież podobną motywacją. Tylko przez kogo został zmanipulowany? Komu chciał zaimponować? Kto stał nad nim? I o co tutaj tak naprawdę chodziło? Przecież cała teoria wydawała się już dopracowana. Bruno musiał pociągać za sznurki, namówić Lidkę, by zabiła Sofię i... Spowodować wypadek, który zniszczył życie Vidarowi. Był później w szpitalu, zrobił mu zdjęcia. Widział ich. Anna nie miała też wątpliwości, że to on otrul Vidara. On, nie Lidka. Ale przecież... Mogła się mylić...

Dlaczego go otrul? Albo otruli? Jaki udział miał w tym Vidar? Czy na te pytania kiedykolwiek znajdą się odpowiedzi? Przecież Bruno nie żył. Zabrał tajemnicę do grobu. I tak nie mieli przeciwko niemu żadnych dowodów, ale póki chodził po tym świecie, istniała szansa, że kiedyś zacznie mówić. A teraz? Skąd wziął się tam ten pieprzony kamień? Dlaczego Bruno musiał uderzyć w niego głową? Dlaczego tak niefortunnie, że prawie natychmiast wyzionął ducha? Kiedy na miejsce przyjechała karetka, Anna wysłuchiwała z uwagą wszystkiego, co miał do powiedzenia lekarz, ale wciąż nie mogła w to uwierzyć. Uderzenie w potylicę, pęknięta czaszka, najprawdopodobniej krwotok wewnętrzny, ciśnienie śródczaszkowe, ucisk..., coś tam jeszcze. Nie pamiętała dokładnie co. Wiedziała oczywiście, że czasem wystarczy kilka sekund, by pozbawić człowieka życia. Ale... Akurat on? Akurat teraz? Musiała się bronić, to nie ulegało wątpliwości. A jednak..

Wydostała się delikatnie spod ramienia Ingvara i stanęła przed tablicą, do której przyklejane były zdjęcia ofiar, billingi, fotografie z miejsc zbrodni i z monitoringów, jakieś rachunki i notatki.

— Pokazałem zdjęcia babci z więzienia tej charakteryzatorce, Annice Norling. Porównała je ze zdjęciami Sofii i roześmiała się. Powiedziała, że to na pewno ona. Że sama nauczyła ją, jak zrobić takie opadnięte powieki, obwisłe policzki, pomarszczone czoło... Ana, to głupie. Dlaczego Sofia tak ryzykowała? Przecież prędzej czy później dotarlibyśmy do tego. Charakteryzacja była świetna, to fakt. Ale ta Annika...

— Annika Norling jest na wylocie.

— Słucham? Na jakim wylocie?

— Zaproponowano jej pracę na Broadwayu. Wyjeżdża w połowie listopada. Sofia myślała pewnie, że nikt nie wpadnie na to, by powiązać ją ze śmiercią Narcyza. Bo niby dlaczego? A gdyby nawet taśmy z monitoringu znalazły się pod szczególnie wnikliwą obserwacją, to i tak zanim ktoś odkryłby jakiegokolwiek podobieństwo, zanim ktoś wpadłby na to, by przyjrzeć się Sofii, prześwietlił ją i tak dalej, to jedyna osoba, która mogłaby ją na tym filmie faktycznie rozpoznać, byłaby już za oceanem. Ale skoro otruto również Sofię... To zmieniło postać rzeczy. Sofia otruta krótko po Narcyzie, w taki sam sposób... Przypadek nie wchodził w grę. A zatem musiało istnieć między nimi i jakieś powiązanie.

— Herkules Poirot zawsze mówił, że morderca musi w którymś momencie popełnić błąd...

— Już mi kiedyś Lempi udzielała korepetycji z Agathy Christie...

— I chyba słusznie? Mnie się wydaje, że to jest właśnie największy błąd Li... Znaczy Bru... Morderców — uściślił Ingvar i zmieształ się. — Sofia musiała im cholernie przeszkadzać. Gdyby ją zostawili w spokoju, pewnie faktycznie drążylibyśmy śmierć Narcyza jeszcze długo. A tak? Dlaczego wybrał taką samą metodę? Przecież to idiotyczne! Chyba że zrobił to specjalnie.

— Co masz na myśli? Chciał nas wodzić za nos? Bawić się w kotka i myszkę? Wymykać w ostatniej chwili?

— Dokładnie tak. Niby coś wiemy, podejrzewamy i tak dalej, ale nie mamy pewności ani dowodów. I „podziwiamy” mordercę za jego spryt. Może właśnie o to mu chodziło? O podziw?

— A jak wpasowuje się w to moja siostra? Przecież musiała odegrać swoją rolę. Lidka była w moim domu, podrzuciła ciasto, później otruła Sofię, wcześniej ktoś załatwił Narcyza. Wszystko miało wyglądać tak, jak gdybym to ja była celem. Albo Vidar. Albo my oboje. Być może mieliśmy myśleć, że gdzieś tam w tle czai się prawdziwy Narcyz, który zabija swoją marionetkę w więzieniu i daje mi sygnał. A jeśli to ma związek z tamtym niespodziewanym tropem? Z gazetami pod wycieraczką? Myślę o tym coraz częściej i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ktoś rozpoczął ze mną grę już wcześniej. Ktoś, kto chciał, bym przymknęła Narcyza. Z jakiegoś powodu. Coraz bardziej wątpię w szczerą intencje „pomocnika”. Ale wtedy... Sam poradziłeś mi...

— Żebyś to wykorzystała. Wiem. Ale nie mam pojęcia, czy postąpiliśmy słusznie. Tyle tylko, że teraz już za późno na gdybanie. Wiesz, co mi nie pasuje do naszego aktualnego obrazka? Zabójstwo Sofii. Te jakieś brednie o pilotowaniu wycieczek... Co Sofia miała z tym wspólnego? — Ingvar wpatrzył się w zdjęcie śpiewaczki.

— Sofia również była powiązana ze mną. Planowałyśmy się spotkać. Być może miało to wyglądać na kolejne ostrzeżenie dla mnie. A gdyby dotrzeć do romansu Sofii z Vidarem... Równie dobrze ostrzeżenie mogłoby być przeznaczone dla niego. — Anna skrzywiła się nieznacznie na wspomnienie korespondencji, którą jej mąż prowadził z diwą.

— A cytaty? Rysunki? To Amalia, prawda? Poza tymi pierwszymi, które podrzuciła ci do domu Lidka.

Anna skinęła głową.

— Amalia musiała już od dawna domyślać się prawdy. Będę musiała jeszcze z nią porozmawiać, przycisnąć ją. Ona musi mi wszystko powiedzieć, przyznać się. Do tego, że słyszała odgłosy zza ściany i nie zareagowała. Przecież była obok, kiedy Sofia umierała w męczarniach. Do tego, że odkryła jej romans z Vidarem i cierpiała, bo sama była w nim zakochana. Do tego, że domyśliła się, dlaczego Sofia wciąż kursuje do Malmö, i co ukrywa w swoim sejfie. Do tego, że dotarła do jej kontaktów z Narcyzem i pewnie też z Brunonem Kucem...

— Tylko że nazwisko Brunona Kuca niewiele Amalii wówczas mówiło — dodał Ingvar i podrapał się z namysłem w czoło. — Ale później zaczęła szperać, szukać informacji o tobie...

— ...żonie faceta, w którym się kochała i który miał romans z jej siostrą...

— ...i odkryła, że ty sama masz siostrę w Helu...

— ...a siostra ma narzeczonego...

— ...którym jest Bruno Kuc. Ingvar, nie widzisz? To wszystko się ze sobą łączy!

Anna opadła na krzesło i zajrzała do plastikowego kubka. Po koniakaku nie było już śladu. Przez chwilę skubała w zamyśleniu dolną wargę. Zadrapania na policzku piekły ją coraz bardziej.

— Właśnie. Bruno Kuc. Amalia z pewnością nie wiedziała niczego na sto procent. Sama twierdziła, że bazuje tylko na domysłach i teraz wydaje mi się, że mówiła prawdę. Dlatego zrobiła cały ten cyrk z rebusami, cytatami... Wykorzystała fascynację Sofii Oscarem Wilde'em i fakt, że Narcyz czytał jego dzieła w więzieniu. Chciała dać mi wskazówkę. Ale nie wiedziała,

czy nie strzela na oślep.

— Nie strzelała. — Ingvar odwrócił się plecami do tablicy i spojrzął na Annę uważnie.

— Nie — przyznała. — Ale nie miała też pojęcia, że faktycznie coś tu się stanie. Ona za bardzo przeżywa śmierć Vidara. Wierzę jej. Chciała wskazać mi to miejsce, Hel, Heel, Brunona, może nawet Lidkę, ale to nie było ostrzeżenie. Amalia nie spodziewała się... tego wszystkiego, co tu się wydarzyło. Sama nie wiem, czy... to ja nie wywołałam lawiny.

— O czym ty mówisz?

— Gdybym do nich nie poszła, nie powiedziała im bez sensu o swoich podejrzeniach, o tym, że być może podczas wesela wydarzy się morderstwo, to... nic by się nie stało.

Ingvar pokręcił głową i przewrócił oczami.

— Jeszcze tylko tego brakuje, żebyś zaczęła się obwiniać. Nie mogłaś wiedzieć. Miałas obawy i podejrzenia, wołałaś ich ostrzec...

— Ale gdybym tego nie zrobiła...

Anna urwała i spojrzała w stronę drzwi. W progu stał helski komisarz z grubą teczką pod pachą. Spoglądał niepewnie to na nią, to na Ingvara. Wreszcie chrząknął z lekka, ale nie wszedł do środka. Anna poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Komisarz spojrzął na nią niemal ze współczuciem. Wiedziała, w jakim celu się zjawił. Wiedziała też, że nie był do końca zadowolony z tego, co się tutaj działo. Anna powinna zostać odsunięta od śledztwa. Za bardzo była w tę sprawę zaangażowana emocjonalnie. A jednak z niewiadomego powodu pozwolono jej zostać.

— Może pani już do niej iść. Może pani z nią porozmawiać.

Skinęła głową i ruszyła za policjantem. Przesłuchać podejrzaną. Porozmawiać z siostrą.

Rozdział 55

Lidka miała podbite oko i rozciętą wargę. Siedziała nieruchomo przy stole, wyprostowana, ze splecionymi dłońmi. Patrzyła gdzieś przed siebie. Prawie nie mrugała. Anna zatrzymała się w wejściu i byłaby zawróciła, gdyby policjant delikatnie jej nie popchnął. Oparła się o ścianę i usiłowała zebrać myśli. Wiedziała, że Lidka o niczym jeszcze nie wie. I ona będzie musiała ją poinformować. Właśnie ona. Ale jeszcze nie teraz.

Oderwała plecy od ściany i poczłapała w stronę krzesła. Usiadła naprzeciwko siostry. Lidka nie zmieniła pozycji, ale przeniosła wzrok z niezidentyfikowanego punktu gdzieś w tle na Annę. Obie kobiety przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Od Lidki bił przeraźliwy chłód. Anna poczuła się nagle potwornie tym wszystkim przytłoczona i bezgranicznie samotna. Kto jej został? Nie miała już męża, siostra okazała się morderczynią, a matka pałała do niej wieczną nienawiścią. Ale przecież był jeszcze ojciec. Dagmar. Ingvar. I Lajon.

Warto było się pobierać.

Warto?

Musiała w to tylko uwierzyć.

Tylko?

Lidka rozplotła palce i przycisnęła dłonie do blatu stołu. Pochyliła lekko głowę. Ta osobliwa mieszanina gestów sprawiała wrażenie, jak gdyby kobieta szykowała się do medytacji, szukała skupienia, chciała odgrodzić się od bodźców zewnętrznych i wejrzeć w głąb siebie. Anna położyła na stole grubą teczkę z dokumentami, którą przed wejściem do pokoju przesłuchań wręczył jej helski komisarz. Zdusiła w sobie impuls, by przysunąć się do siostry. Objąć ją lub choćby potrząsnąć nią mocno. Poprosić, by wszystkim zaprzeczyła, zaczęła się bronić, krzyczeć, że niczego nie zrobiła i cała ta sprawa to jedna wielka pomyłka. Ale Lidka nawet nie drgnęła. Przez cały czas patrzyła na Annę. Zimno, przenikliwie, bezlitośnie. W tej chwili to ona była górą. Miała przewagę. Przewagę zyskuje przecież zawsze ten, kto przestał już kochać. Jest silniejszy, chroniony przez pancierz obojętności, a może nawet nienawiści. Ten, kto kocha nadal, pozostaje słaby, podatny na złamanie, naiwny. Chce ufać ze wszystkich sił, nawet jeśli nie ma już żadnej nadziei. Anna pociągnęła nosem. Jej głowę rozsadzał potworny ból.

— Znaleźliście go? — Lidka odezwała się pierwsza. Uśmiechnęła się cynicznie, a rozcięta wargą sprawiła, że w tym momencie wyglądała upiornie. — Oczywiście. Ty go znalazłaś. Dotarłaś tam bez problemu. To był twój bunkier. Żałuję teraz, że ci powiedziałam. Co z nim? Nic mi nie chcieli powiedzieć.

Anna poprawiła się niespokojnie na krześle. Opanowanie Lidki wydawało się porażające, zwłaszcza w porównaniu z jej własnym wewnętrznym rozedrganiem.

— Co ci się stało? — odrzekła, ignorując jej pytania. — Czyżby Bruno się na ciebie zdenerwował?

Lidka poruszyła się wreszcie i zmieniła pozycję. W jej oczach pojawił się złowrogi błysk

— Gdzie on jest?! Nie powinnam była ci mówić o tym bunkrze! Gdzie jest?! Co powiedział?!

— Pobił cię? Lidka, do cholery!!! Zacznij wreszcie gadać!

— Co cię obchodzą nasze małżeńskie sprawy? Tobie nigdy nie zdarzyło się pokłócić z Vidarem? Panem Chodzącym Idealem?!

Anna wstała z krzesła i pochyliła się w stronę siostry. Jej rozpacz zamieniła się we wściekłość.

— Nie mów o nim. Nawet go nie wspominaj! Vidar nigdy w życiu nie podniósłby na mnie ręki!

— I co ci z tego przyszło? Na ciebie może i ręki nie podniósł, ale położył łapy na innej kobiecie...

— A ty o wszystkim wiedziałaś? — Anna uderzyła pięścią w stół. Lidka podskoczyła. Żarty się skończyły. Obie zdały sobie z tego wreszcie sprawę.

— Nie od razu... — Lidka zawahała się. — Chcę wiedzieć, co z nim. Z Brunonem.

— A ja chcę wiedzieć, czy to on cię pobił.

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wtedy... — Dziewczy na umilkła gwałtownie.

— Zdradziłabyś, z jakiego powodu to zrobił? — Anna wciągnęła gwałtownie powietrze. Przynęła sobie krzesło i na powrót usiadła. — Może ci pomogę. Co? Otóż było tak. Zdaliście sobie sprawę, że policja coraz więcej wie, że być może odkryliśmy powiązanie między Brunonem i Sofią Stiatesi. Że być może wiemy, kto ją zabił... I mamy jakieś dowody...

Twarz Lidki stawała się powoli biała jak kreda.

— Dowody? Nie... — zaczęła i natychmiast urwała. — Muszę wiedzieć, co z Brunonem! Co powiedział?!

— Tak naprawdę, to myślę, że zaczęłaś panikować. Lidka... — Anna nie zdołała się tym razem opanować i chwyciła siostrę za rękę. — To wy podrzuciliście te graty do mieszkania Marcina-barmana, prawda? Musiało tak być. To wszystko od początku wyglądało mocno podejrzanie. Laptop na strychu? Który idiota ukryłby laptop na strychu, skoro przechowywał na nim pliki z takimi cennymi dowodami? To głupota! Jak mogliście posunąć się do czegoś tak absurdalnego? I ty... poczułaś się winna. Prawda? Zaczęłaś mieć wątpliwości, chciałaś się przyznać, może nie tak naprawdę, ale myślałaś o tym. Mówiłaś. Bruno nie wytrzymał presji. Uderzył cię, a później uciekł. Myślał, że przeczeka tam chwilę, w bunkrze, i przedostanie się lasami do Jastarni. Stamtąd autobus do Władysławowa albo jeszcze dalej... A ty? Żona? Wspólniczka? No cóż... Martw się sama.

Lidka powoli pokręciła głową. Sięgnęła po plastikowy kubek, z którego upiła łyk wody.

— Nie, on by mnie tak nie zostawił... Nie wierzę. Wróciłby po mnie. Wszystko robiliśmy razem. Rozumiesz? Nie zostawiłby mnie samej. I nie zostawi. Popeniłam błąd, mówiąc ci, gdzie jest. Byłam roztrzęsiona i przestraszona całym tym aresztowaniem. Ale rozmawiałam z tutejszym policjantem i wiem, że o niczym nie ma pojęcia. Nawet nie otworzył tej teczki. To atrapa? Żebym się przestraszyła, ile na mnie macie? Ten policjant zadawał mi tylko rutynowe pytania. Chciał wiedzieć nieco więcej o Brunonie, jego wcześniejszej pracy, ale to były same pierdoły. Nic ważnego. Nic nie wiecie. A zatem ja też już nic nie powiem. Chcę się widzieć z Brunonem. I z adwokatem — dodała, po czym spłótła palce tak mocno, że kostki jej zbiełały.

Siedziała przez chwilę w tej pozycji, wyprostowana i na pozór opanowana. Ale jej ramiona drżały, a oddech stawał się coraz płytszy. Anna puściła rękę Lidki. Z uwagą przyglądała się siostrze. Jej zaciśniętym wargom, jasnym włosom, przeistaczającym się z wolna w mało estetyczne siano, szarym oczom i wąskim brwiom, między którymi biegła teraz pionowa kreska. Być może to faktycznie była prawdziwa Lidka? Czyżby aż tak bardzo się co do niej pomyliła? Czyżby w ogóle jej nie znała? Nigdy? Anna przechyliła głowę lekko na bok i nagle parsknęła śmiechem. Lidka spojrzała na nią zaskoczona. Anna stłumiła chichot i ponownie podniosła się z krzesła. Zaczęła krążyć po pokoju, raz nawet mrugnęła do lustra weneckiego. Nie, zaraz! Nie weneckiego! Ingvar zawsze ją poprawiał. Fenickiego! Miała wrażenie, że daje się opanować

dziwnej gorączce, niewyjaśnionemu szaleństwu, które popycha ją do irracjonalnych zachowań. Wreszcie wróciła na swoje miejsce. Lidka była blada jak ściana. Anna postanowiła przestać się z nią cackać.

— Ty jesteś skończoną idiotką. Lajon miał rację co do ciebie.

Policzki Lidki oblał dla odmiany szkarłatny rumieniec. Jej oczy zaszkliły się, a po twarzy przebiegł grymas bólu.

— Lajon miał rację? Wykorzystał mnie...

— Wykorzystał cię? W jaki sposób? — Anna znowu się roześmiała. — Chyba jako towarzystwo w kinie? No i nie wiem... Pewnie mu kilka razy poodkurzałaś. Co? W tej Brukseli? Bo o niczym innym nie możemy tutaj mówić, prawda?

Lidka przygryzła rozciętą wargę. Rana zaczęła krwawić, ale ona zdawała się tego nie czuć. Przygryzła wargę jeszcze mocniej, jak gdyby chciała rozładować w ten sposób napięcie i frustrację. Wyglądała upiornie.

— Lajon! Myślałam, że coś nas łączyło — rzuciła nagle. Naburmuszyła się jak nieopierzona nastolatka. Wydawała się teraz zupełnie niestabilna. Wysyłała sprzeczne sygnały.

— To źle myślałaś — przerwała jej Anna brutalnie. Już się nie uśmiechała. — A teraz, idiotko, lepiej zacznij gadać, bo źle wyglądasz w całym tym burdelu. Widzisz... Póki co, na twojego pięknego męża nic nie mamy. Oprócz tego, że znał Sofię.

— Wiecie o tym...

— Wiemy o tym? Oczywiście, że o tym wiemy! Ty kretynko! Wiemy też o tym...

Anna otworzyła teczkę i zaczęła wyciągać z niej jakieś papiery. Lidka otworzyła szeroko oczy, a po chwili przycisnęła dłoń do krwawiącej wargi. Zacisnęła powieki. Okazało się, że teczka nie jest żadną atrapą. Na stole pojawiło się kilka zdjęć. Lidka wydała z siebie zduszony okrzyk. Anna z politowaniem pokręciła głową.

— Bardzo gustowny kapelusz — powiedziała, stukając palcem w fotografię. — A apasza... No, nie sądziłam, że kiedyś odważy się na taki awangardowy wzór. Powiedz mi, co ty myślałaś? Że ci się uda? Że załatwisz ją w kawiarni i nikt nie zauważy?

Lidka poruszyła się na krześle. Założyła nogę na nogę i prawie natychmiast ją zdjęła. Złączyła kolana, po czym zacisnęła na nich palce. Ramiona wciąż jej drżały. Wreszcie uniosła głowę i spojrzała na siostrę. Co było w jej wzroku? Anna chyba... wiedziała. Strach. Strach? A może coś jeszcze? Lidka wzięła do rąk jedną z fotografii i zbliżyła do oczu. Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie.

— Kamera... Widziałam, gdzie była... Ustawiłam się tyłem.

— Tak! — Anna niedbale machnęła ręką. — Gdybyśmy mieli tylko to nagranie z kawiarni, niczego byśmy ci nie udowodnili. Nie widać twojej twarzy. Nawet nie idzie się porządnie rozróżnić, co tam gmerasz przy kubku. Tyle tylko, że kamera zewnętrzna złapała cię dość dobrze, a sekcja zwłok wyraźnie wykazała, kiedy Sofia połknęła truciznę. Wystarczy dodać dwa do dwóch. Powiedz mi jedną rzecz... Dlaczego zrobiliście coś tak ryzykownego? Przecież Sofia mogła zostać uratowana! Wystarczyła odpowiednio szybka reakcja.

Lidka skuliła się i schowała głowę w ramiona. Mimo to w jej głosie wciąż pobrzmiwała pewność. Dlaczego to wszystko mówiła? Dlaczego się nie wyparła? Dlaczego to było takie proste?

— Dawka trucizny była bardzo duża — odezwała się. — I... Po wyjściu z kawiarni odprowadziłam Sofię kawałek, a później pobiegłam do hotelu inną drogą. Wiedziałam, że Sofia zamierzała wybrać się jeszcze na jakieś zakupy. Do hotelu weszłam tylnymi drzwiami, dla dostawców. Tłumaczyłam, że przywiozłam umowę dla menedżera, bo zapomniał jej w jednym miejscu podpisać. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zwłaszcza że mówiłam ładnie po szwedzku, więc ludziom nie chciało się wysilać... Uwierzyłybyś? — zaśmiała się gorzko. — Że to zrobiłam?

Potrząsnęła głową. Sama pewnie w to nie wierzyła. Anna również z trudem wyobraziła sobie swoją siostrę, która posuwa się do takich rzeczy, by dostać się do jakiegoś hotelu tylnym wejściem. Zawsze kiepsko jej szło kombinowanie i kłamanie. Ale pewnie w tej kwestii wiele się zmieniło.

Lidka zaczerpnęła tchu.

— Wcześniej zamieniłam kapelusz na czapkę z daszkiem, a apaszkę na duży wełniany szalik. Wmieszałam się w tłum w okolicach kuchni i zaplecza. Weszłam na górę schodami awaryjnymi. Drzwi z klatki schodowej na korytarz znajdują się tuż przy dwóch połączonych apartamentach, w których mieszały Sofia i Amalia. Czekałam tam. — Lidka podrapała się po czole i przejechała dłonią po karku. — Kiedy zjawiła się Sofia, w odpowiednim momencie wyszłam i wśliznęłam się za nią do pokoju. Wiedziałam, że mnie wpuści i szybko zamknie drzwi. Że nie będzie robiła scen. Tak.. Musiałam działać sprawnie. Pogadałam z nią chwilę, a kiedy zaczęła się źle czuć... No cóż, wyjaśniłam, że przed nami kilka trudnych godzin i zamknęłam ją w łazience. Czekałam. Planowałam ogłuszyć ją, kiedy zacznie szaleć, ale ona siedziała dziwnie cicho. I tak, masz rację. Było to ryzykowne. Mogło się nie udać. Ale wtedy... No cóż, nawet gdyby ją odratowali, i tak nigdy nie wskazałaby, kto usiłował ją otruć — oświadczyła na koniec z przekonaniem.

— Bo coś o niej wiedziałś. Coś złego. Prawda?

— Prawda. Ale, jak widzisz, udało się. Poczekalam w pokoju, aż wykitowała. Otworzyłam później te drzwi do łazienki. Strasznie rzygała... To było po prostu okropne. — Lidka wzdygnęła się z niesmakiem. Była biała jak ściana i Anna już wiedziała, że jej siostra tylko udawała twardą. — Wszystko się skończyło, zwyczajnie wyszłam. Tą samą drogą. Oczywiście niczego nie posprzątałam i na wszelki wypadek nosiłam rękawiczki, żeby nie zostawić nigdzie żadnych idiotycznych odcisków palców. No, to chyba tyle... A teraz nic już więcej nie powiem.

— Powiedz chociaż, dlaczego to zrobiłaś. Bo tego ciągle nie wiem.

— On... Bruno... Nie mogę ci powiedzieć.

— Lepiej będzie, jeśli to zrobisz. I nie będziesz utrudniała dalszego śledztwa.

— Muszę najpierw wiedzieć, co z Brunonem. — Lidka uniosła się lekko na krześle i oparła łokcie na stole. Nie mogła usiedzieć w miejscu.

— Lepiej zacznij gadać, bo na razie wychodzi na to, że albo siedzicie w tym razem, albo jesteś wszystkim winna w pojedynkę.

Lidka splótła ramiona na piersi, a Anna pomyślała, że to nie były dobre argumenty. Tutaj

działa się coś dziwnego. Z Lidką działa się coś dziwnego. Anna postanowiła zaryzykować.

— Albo... Jeśli weźmiemy pod uwagę twój obecny wygląd... Dojdziemy do wniosku, że kłamiesz. Że ktoś każe ci kłamać.

Tym razem Lidka wpadła w panikę. Poderwała się z krzesła, które z hukiem upadło na podłogę.

— On nic nie zrobił! To ja! Słyszysz! Ja... Ona, ta cholerna Sofia... Chciała, żeby Bruno coś dla niej załatwił. Bo wcześniej nie zawsze prowadził legalne interesy i zdarzyło mu się handlować...

— Narkotykami? — podsunęła Anna.

— Tak Sofia miała kłopoty ze zdrowiem, źle się czuła, a chciała dalej pracować. Uparła się, żeby Bruno coś dla niej załatwił. Nawet nie wiem, co. Straszyla go, że wszyscy dowiedzą się o jego przeszłości i nigdzie nie znajdzie pracy, że ona pozamyka mu wszędzie drogę.

Anna klasnęła w dłonie i przerwała wywód Lidki.

— Żartujesz sobie? I dlaczego ją zabiłaś? Mam w to uwierzyć?

— Nie musisz. Dobry adwokat i tak..

— Dobry adwokat? Tobie chyba na mózg padło? Jaki adwokat? Właśnie przyznałaś się do popełnienia morderstwa!

Anna spojrzała na Lidkę z niedowierzaniem. A zatem to ona była w pokoju Sofii! Przypilnowała ją! Tylko że... Amalia musiała coś przecież słyszeć. Sofia na pewno krzyczała. Na pewno usiłowała się bronić. Przekonywała Lidkę, by pozwoliła jej zadzwonić na pogotowie. Chyba że chciała umrzeć... Bo przecież była chora. I uznała, że to w sumie żadna różnica, kiedy przyjdzie śmierć. A ta śmierć zapowiadała się przynajmniej spektakularnie. Nie była taka prozaiczna, trywialna i obrzydliwa, nie wiązała się z pobytem w szpitalu, z uśmierzaniem bólu, z niechlubnym końcem zawrotnej kariery. Z wielkim upadkiem sławnej artystki. Ta śmierć była jak szansa. Sofia chciała umrzeć. Tak samo jak Narcyz. Ale chciała mieć spektakularny finał! Grande finale! Anna odchyliła się na krześle i zaczęła bębnić palcami w blat stołu. To wyznanie jej nie wystarczyło. Zdecydowanie nie! A zatem należało wytoczyć ciężkie działa.

— Nie wierzę, że działałaś sama i to zaplanowałaś. Lepiej powiedz, jaki dokładnie był udział twojego męża. Tylko mi nie wciskaj kitu o walecznej żonie, która kogoś truje przez głupi szantaż.

— Nic ci nie powiem...

— On nie będzie cię chronił! — nie wytrzymała wreszcie Anna.

— Będzie! Na pewno jakoś będzie! Muszę mu tylko dać trochę czasu! Jak już wszystko sobie poukłada... Pomoże mi. Zatrudni prawnika.

— A zatem to twoje ostatnie słowo? Przyznałaś się do winy. A teraz nie zamierzasz już nic powiedzieć? Ani słowa w jedną bądź w drugą stronę? Nie wierzę! To... To idiotyczne...! Przecież wystarczyło siedzieć cicho! W ogóle nic nie mówić i czekać na adwokata! Dobry prawnik zacząłby wmawiać sędziom, że to wcale nie ty jesteś na tych zdjęciach, bla bla bla, i że o znajomości Brunona z Sofią nie miałaś pojęcia. Brak alibi, kombinowanie... No, byłoby trochę roboty, ale miałybyś szansę. A teraz? Chyba że... Ty chcesz tu zostać! Ty chcesz, żebyśmy cię

zamknęli! Chcesz tego! Dlatego tak szybk o wszystko wy paplałaś! Dlatego, że chcesz tu zostać! Na pewno! Nie możesz przecież być zwy czajnie głupia! Lidka!!!

— Nic nie powiem. Bruno sobie poukłada i...

— Niczego nie będzie sobie układał. Już na to za późno.

— Co ty mówisz? — Lidka sprawiała wrażenie, jak gdy by chciała się rozplakać. — Co ty, do cholery, mówisz? Złożył zeznania? Nie mógł powiedzieć... wszystkiego. Nie mógł...

— Nie powiedział — weszła jej w słowo Anna. — I właśnie tym zaczęłaby m się na twoim miejscu martwić.

— Ale skoro niczego jeszcze nie powiedział, to wciąż ma szansę! On i ja! — Lidka była zupełnie zdezorientowana. I przerażona. I wygłaszała coraz bardziej niedorzeczne uwagi. Anna nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

— Nie macie żadnej szansy. Ty być może jakąś masz. Chociaż, cholera, trochę za bardzo byłaś wylewna. Ale może masz szansę na okoliczności łagodzące. Jeśli zaczniesz gadać. Ale on nie ma. Lidka...

— Jak to nie ma?! Chcę go zobaczyć!!! Anka!!! Co on powiedział?! Gdzie jest?! Co powiedział?! Niemożliwe, żeby...

Anna spojrzała w szeroko otwarte, przestraszone oczy siostry. Przypomniała sobie tamtą noc. Uciekającą spod stóp podłogę w karetce, piszczącą maszynę i pokrzykiwania lekarzy. Bezładne ciało Vidara, jego przymknięte powieki i sine wargi. Reanimację, która odbywała się gdzieś obok, w alternatywnej rzeczywistości, i zdawała się nie dotyczyć bezpośrednio jej ani nikogo z realnego świata. A później ten pojedynczy, przeciągły dźwięk Kreska na monitorze. Zwiastun końca. Zwiastun wielkiej pustki, która się pod nią rozwarła. Wtedy Anna chciała sprawiedliwości, nie zemsty. Ale skoro mogła dostać jedno i drugie...

— Bruno nie żyje — oświadczyła spokojnie.

Lidka skurczyła się w sobie. Przyłożyła dłonie do ust i kręciła głową, jak w amoku.

— Kłamiesz! To niemożliwe! Kłamiesz!

— Nie kłamie — wycedziła Anna. — Sama go zabiłam. I wiesz, to ciekawe... Zanim umarł, nazwał cię suką. Powiedział, że nie nadajesz się ani na żonę, ani na współniczkę. A teraz zastanów się chwilę nad sobą. I kiedy tu wrócę, lepiej zacznij gadać.

Anna podniosła się z krzesła i ruszyła w stronę wyjścia. Lidka zaczęła cicho łkać.

— Poczekaj — powiedziała nagle prawie szeptem.

Anna odwróciła się w drzwiach.

— Bruno naprawdę nie żyje?

— Naprawdę.

— Jesteś całkiem pewna?

— Całkiem.

— To... To całe szczęście!

Lidka westchnęła z.. ulgą i ukryła twarz w dłoniach. Zdumiona Anna opuściła pokój przesłuchań. W pierwszym odruchu chciała natychmiast usiąść na powrót przy stole, wziąć Lidkę

w krzyżowy ogień pytań, dowiedzieć się wreszcie całej prawdy. Czuli jednak że powinna dać siostrze kilka minut na uspokojenie emocji. Na oswojenie się ze śmiercią Brunona. Cokolwiek z niej wynikało.

Rozdział 56

Później wszystko potoczyło się w miarę szybko. Anna opuściła pokój przesłuchań, wypila czarną, mocną i bardzo słodką kawę, po czym wrosła w podłogę przed tablicą i wpatrzyła się w dokumentację. Ingvar usiłował znowu przemyć jej zadrapania wodą utlenioną, ale posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Podał się, a ona poszła do łazienki i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Zadrapania zbledły odrobinę i nie wyglądały już tak groźnie. Włosy, o dziwo, tkwiły na swoim miejscu, zwinięte na czubku głowy. Anna wydobyła z nich ostatni zeschnięty liść, który musiał przeczochić Ingvar.

Wróciła do gabinetu. Ingvar po raz setny wczytywał się w dokumentację, którą jeszcze w Wenecji przegrała z laptopa Sofii. Zerknęła na ekran i zobaczyła, że jest właśnie w trakcie lektury korespondencji między diwą i Vidarem. Ingvar zmieszał się. Chciał zamknąć laptop, ale złapała go za rękę i ucałowała w czubek głowy. Wyglądał na krańcowo wyczerpanego, a jednocześnie zdeterminowanego. W Ystad wiele razy widziała go właśnie w takim stanie i zawsze ogarniała ją wtedy dziwna tkiwość. Ingvar był bezkompromisowy. Zawsze wszystko musiał doprowadzić do końca. Nie potrafiłby odnaleźć się w innym zawodzie. To był jego świat. A ona? Czy w dalszym ciągu chciała do tego świata przynależeć? A może nadszedł wreszcie właściwy moment, by postawić kropkę?

— Przykro mi z powodu... tego. — Ingvar wskazał ekran, na którym czarne litery układały się w wyszukane wyznanie miłosne.

— Taaak No cóż, wygląda na to, że jesteśmy kwita. Ja i Vidar. — Anna przysiadła na biurku. — Chciałabym już zakończyć tę sprawę. Wiesz? A później... Może wyjechać na trochę. Sama. Zastanowić się, co powinnam dalej robić. Jak nie zniechęcić Vidara i nie uznać tych wszystkich lat z nim za stracone. Bo to kawałek mojego życia, które wydawało mi się dobre. I muszę też pomyśleć, jak nie zniszczyć tego, co jest między nami. Między tobą i mną.

Ingvar posłał jej zmęczony uśmiech.

— Czy to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone? — zapytał.

— Przecież nigdy się nie poddajemy. Ja i ty. Prawda?

Anna wstała od biurka i również zabrała się do pracy. Porządkowali fakty przez kolejną godzinę, kiedy do gabinetu wsunął się jakiś młody policjant. Skinął głową w kierunku Anny. A to oznaczało, że jej siostra wreszcie zdecydowała się mówić.

Po niezwyklej opanowaniu Lidki nie został nawet ślad. Nie bił już od niej chłód, a jasne, wcześniej tak obojętne i zimne oczy były teraz opuchnięte i zaczerwienione. Na stole piętrzył się stos zmiętych chusteczek i zgnieciony plastikowy kubek. Na ten widok Annie ścisnęło się serce, postanowiła jednak za wszelką cenę zachować dystans, pozostać opanowaną i profesjonalną na tyle, na ile to było teraz możliwe. Podeszła do stolika i postawiła przed siostrą butelkę wody mineralnej. Usiadła i wzięła kilka głębokich wdechów. Przed sobą położyła dyktafon. Lidka utkwiała w nim przerażone spojrzenie. Skrzywiła się i przycisnęła dłońmi skronie.

— Masz coś przeciwbólowego? — wydukała.

Anna skinęła głową i z kieszeni marynarki wyciągnęła listek tabletek. Lidka wsunęła jedną do ust i popiła wodą. Milczała przez chwilę. Wreszcie wyprostowała się. Zaczęła mówić.

— Nie wierzę w to, że on nie żyje i już nigdy nie będę musiała się go bać.

W pokoju zapadła cisza. Słowa Lidki zabrzmiały tak prosto, że aż nierealnie.

— Najprawdopodobniej skończysz w więzieniu — odrzekła Anna. — Nawet nie próbowałaś niczemu zaprzeczyć. Jeszcze go broniłaś.

— Nie znałaś Brunona tak dobrze jak ja. Znalazłby sposób, by do mnie dotrzeć. Narcyz też został otruty w pierdłu i nikt mu nie pomógł. Wolałam wziąć wszystko na siebie. Przynajmniej byłabym bezpieczna. Może wtedy dałby mi wreszcie spokój. I tobie. Ty nadal nic nie rozumiesz? — Lidka przymknęła lekko oczy i pokręciła głową, jak gdyby z niedowierzaniem.

— Ryzykowałaś dożywocie...

— Dożywocie czekało mnie i tak! Co za różnica pod jaką postacią? Za dużo wiedziałam, żeby Bruno mógł mnie kiedykolwiek zostawić. Dręczyłby mnie do końca życia. Jako mój pseudomąż. Nie miałam dokąd uciec, znalazłam się w pułapce bez wyjścia. Wiele jest kobiet podobnych do mnie. Prawda? Ile macie takich przypadków? Jak często zgłaszają się do was żony zastraszone, zaszczute, zmalretowane przez swoich mężów? Rzadko, co? Za rzadko... Albo dowiadujecie się o nich, kiedy jest już za późno na pomoc. No, więc widzisz... Ja właśnie jestem jedną z nich. Przez chwilę myślałam, że może mi się uda, ale szybko się przekonałam, że z niektórych sytuacji nie ma wyjścia.

— I dlatego dopuściłaś się morderstwa? Przecież to jakiś absurd. Dlaczego nic nie powiedziałaś? Mogłaś przyjść z tym do mnie! — zawołała Anna.

Coś ścisnęło ją mocno za gardło. Bruno! Ten skurwiel! A jednak! Przez niego wszystko!

Lidka roześmiała się cicho.

— Do ciebie? Anka! A komu ty ostatnio pomogłaś? Nie ocaliłaś nawet własnego męża! Zresztą kiedy to się zaczęło, miałaś swoje problemy na głowie. A ja też... Bałam się o ciebie.

„Nie ocaliłaś nawet własnego męża”. To samo powiedziała jej ostatnio Amalia. Rzeczywiście Anna nie była idealnym materiałem na obrończynię uciśnionych. Nie potrafiła ochronić tych, których kochała. Pochyliła się w stronę siostry. Teraz ją poznawała. To była dawna Lidka, ta prawdziwa. Nie chłodna, bezlitosna podróbka, która w akcie desperacji przyznała się do

popelnienia morderstwa.

— Balaś się o mnie? Ja nie rozumiem, co toaczy...

— Oczywiście. Przecież Bruno już raz cię skrzywdził. I nikt nic mu za to nie zrobił, prawda?

— Mówisz o wypadku? — domyśliła się. — Jak się o tym dowiedziałas? Jak się to wszystko w ogóle zaczęło?

Lidka wzruszyła ramionami. W jej oczach znowu pojawiły się łzy. Opanowała się jednak i dołączyła sobie odrobinę wody.

— Widzisz... — zaczęła powoli. — Przy tobie jestem wprawdzie raczej biedna, ale ogólnie nie powodziło nam się z matką w Helu źle. Zwłaszcza ostatnio. Bruno natomiast... No, Bruno przeciwnie. Nie miał dobrego startu. No ale... Angażując się w różne podejrzone interesy, zebrał jakos pieniądze, by zdobyć uprawnienia pilota wycieczek i zaczął jeździć po Europie. Miał do tego smykałkę, dostał dobre warunki, doceniano go. Zawsze chciał zwiedzać świat, na własną rękę uczył się języków, mnóstwo czytał. Zostało to zauważone. Zarabiał nieźle, tylko...

— Chciał szybsze go zysku? — spytała Anna.

Lidka skinęła głową i wykrzywiła wargi w upiornym uśmiechu.

— Owszem. Latami odkładał każdą złotówkę, kapitał jednak.. No cóż, rósł powoli. Bruno miał też przecież swoje wydatki. Musiał gdzieś mieszkać, coś jeść, jakos się ubierać. Praca w charakterze pilota wycieczek nie była z początku aż tak intratna. Kiedy się uczył i zdobywał uprawnienia, wciąż jeszcze dorabiał sobie na boku. Bardzo... dużo dorabiał. Poznał odpowiednią osobę, której się trzymał, bo bardzo mu się to opłacało. I która go fascynowała.

Anna wyprostowała się na krześle. „Poznał odpowiednią osobę”. „Fascynowała go”...

— Czy ty masz na myśli Sofię Stiatesi? — zapytała glucho.

Tak to by jej nie zdziwiło. Wiedziała już, że Sofia Stiatesi mogła podobać się mężczyznom. Fascynować ich. A przecież Bruno nie był z jej ligi, więc tym bardziej mógł podziwiać słynną śpiewaczkę, dać się omotać... Zrobić, co chciała. Lidka nie odpowiadała. Anna wychyliła się w jej stronę.

— To Sofia skłoniła Brunona, żeby się wokół ciebie zakręcił! Znała mnie. Wiedziała, że mam siostrę. Zapłaciła mu. Za to, żeby się zaangażował, związał z tobą. Chciała w ten sposób... znowu we mnie uderzyć. Prawda? Kiedy już zorientowała się, że nic nie wskórała tym wypadkiem. Bo to była jej inicjatywa. Bruno prowadził auto, ale to Sofia wszystko zaaranżowała. Jaki miała cel? Chciała zabić nas oboje? Wypadek to ryzykowna forma morderstwa, tak samo jak trucizna.

Lidka spojrzała prosto w lustro fenickie. Przez chwilę świdrowała wzrokiem srebrną taflę. Po upływie jakichś trzech minut do pokoju przesłuchań wsunął się młody funkcjonariusz, który położył przed Anną telefon i czym prędzej opuścił pomieszczenie. Przyjrzała się białemu smartfonowi i... przestała oddychać. Miała wrażenie, że na całą wieczność. Że nigdy już jej przepona nie przypomni sobie tego płynnego ruchu, który zwiększa pojemność płuc. Bo oto leżał przed nią... telefon Vidara! Telefon sprzed wypadku! Ale jak to możliwe?! Przecież Vidar miał ze sobą telefon wtedy, w samochodzie. Usiłowała go uruchomić, by zadzwonić po karetkę. Nie działał. Był właściwie w kilku kawałkach. A zatem jak znalazł się tutaj w jednym?!

— W samochodzie miałaś być tylko ty — oznajmiła Lidka. — Sofia zainstalowała w telefonie Vidara aplikację, która pozwalała jej go namierzyć. Bruno śledził was wtedy, kiedy pojechaliście na kolację do restauracji. Po tym, jak zamknęłaś Narcyza. Sofia zaplanowała to w ten sposób, że chciała, byś z restauracji wyszła tylko ty. Vidar miał tam zostać.

— Ale jak ona chciała go zatrzymać? Przecież jej tam nie było!

— Oczywiście, że nie! Była w Dubrowniku, to wiemy obie. Ubezpieczyła się. Napisała do Vidara wiadomość, że musi z nim pilnie — bardzo pilnie — porozmawiać i zadzwoniła za pół godziny. Prosiła, by Vidar zadbał o dyskrecję, udał się w jakieś ustronne miejsce, by mogli spokojnie podyskutować. Twierdziła, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Ich wspólna sprawa. Zresztą zobacz sobie tę wiadomość. Vidar wykasował esemesy, spis połączeń i zdjęcia, ale Bruno okazał się w tej kwestii całkiem bystry i dał telefon jakiemuś kumpłowi, biegłemu w odzyskiwaniu danych. Nie wszystko udało się przywrócić, ale akurat z wiadomościami i spisem połączeń mu się poszczęściło. A później to trzymał na wszelki wypadek. W każdym razie Sofii wydawało się, że Vidar jej posłucha. Że zostanie w lokalu lub zaszyje się w jakimś ustronnym miejscu, bez ciebie. Śledziła go przez tę cholerną aplikację, a ustrojstwo nie wskazywało żadnego ruchu. Telefon się nie przemieszczał. Tymczasem przyszedł esemes od Brunona, że wyszła z restauracji. Sama. Właśnie... Dlaczego sama?

Anna oderwała wzrok od wiadomości, którą Vidar otrzymał od Sofii i odłożyła telefon na stół. Miała wrażenie, że wszystkie jej nerwy zaczęły wygrywać dziwną, szarpaną melodię. Czuliła się słaba i żałośnie głupia. Dlaczego co? Lidka zadała jakieś pytanie. Dlaczego sama? Dlaczego wyszła z restauracji sama? Anna znarszczyła brwi i przywołała w pamięci tamten wieczór. Poza wypadkiem niewiele pamiętała. Ale faktycznie... Ona i Vidar wyszli osobno.

— Tak — odezwała się wreszcie. — Tak, rzeczywiście wyszłam sama. Vidar powiedział, że musi skoczyć jeszcze do toalety, ale poprosił, bym już wyjechała z parkingu. Padał deszcz. Podjechałam przed wejście i on wskoczył do auta. Chyba takto mniej więcej wyglądało.

— No właśnie. Widzisz, Bruno twierdzi, że nie widział, kiedy Vidar wsiadł. Musiał stać jeszcze na tym parkingu, zamierzał ruszyć za tobą chwilę później, by nie tkwić ci na ogonie. Sofia powiedziała mu jeszcze, że Vidar na pewno siedzi w restauracji, bo wciąż jest tam jego telefon. A zatem Bruno ruszył za wami. Zorientował się w sytuacji dopiero, kiedy w was uderzył. Jak sama mówisz, padał deszcz, było ciemno. A skoro już uderzył, nie chciał się wycofać. I wyszło, co wyszło.

— Ale ten telefon... Przecież miał w samochodzie...

Anna urwała i przyłożyła dłonie do skroni. Coś jej się właśnie przypomniało. Vidar próbował żartować. W szpitalu, kiedy jeszcze nie dotarło do niego, że paraliż jest nieodwracalny. Mówił o telefonie. Że szkoda go, bo nowy. Najświeższy model. Podobny do starego, też biały. Tylko lepszy. Annę bardzo to wszystko dziwiło. Przecież Vidar nigdy nie przejmował się gadżetami.

Zupełnie nie pamiętała o tym, że jej mąż kupił sobie wtedy nową komórkę i przez kilka dni nosił dwie, bo nie potrafił przerzucić kontaktów. Nie rozróżniała ich. A on nigdy nie czuł się mocny, jeśli chodziło o elektronikę. Dlatego pewnie nie wiedział o aplikacji wgranej przez Sofię.

Wszystko można mu było w telefonie zainstalować, a on i tak nigdy by się nie zorientował! W takim razie jednak musiał ten stary telefon zostawić w restauracji. Zapomniał o nim? Po tym, jak pisała do niego Sofia? Chyba że zostawił go celowo?

— Właśnie — głos Lidki wyrwał ją z zamyślenia. — Co z tym telefonem? Może miał dwa? Bo tamten z aplikacją na pewno został w restauracji! Nad tym teraz główkujesz, prawda? No to cię oświecę. Bruno tam wrócił, zaalarmowany przez Sofię, która twierdziła, iż komórka wciąż jest gdzieś w lokalu. I była. W toalecie, wcisnięta między dwie donice z kwiatami. Vidar najwyraźniej ją tam wetknął. Symboliczny akt pozbycia się Sofii Stiatesi. Symboliczny, bo... ona i tak przecież wiedziała, gdzie go szukać. A zatem skoro uważasz, że zabrał telefon do samochodu, to musiał mieć dwa.

— Miał dwa telefony — potwierdziła głucho Anna. — Teraz sobie wszystko przypomniałam. Ale skąd ty masz ten cholerny telefon?

— Znalazłam go w rzeczach Brunona. Zaczęłam coś podejrzewać. Podслуchałam kiedyś jego rozmowę telefoniczną. Mówił po szwedzku. Stał na balkonie, myślał, że już wyszłam z mieszkania, a ja wróciłam, bo chciałam zobaczyć, czy pranie wyschło. Coś mi się w tej rozmowie nie spodobało i któregoś dnia zaczęłam szperać w jego rzeczach. Znalazłam ten telefon. Zaczęłam przeglądać listę kontaktów, esemesy, myślałam, że on po prostu mnie zdradza czy coś. I wtedy mnie przyłapał...

— Przyznał się?

— Przyznał. Nie od razu, ale ja dodałam dwa do dwóch. Wiedziałam, czyj to telefon. Sprawdziłam daty. Wszystkie kontakty i esemesy urywały się w dniu waszego wypadku. Nie widziałam jeszcze całej sprawy zbyt klarownie, ale chodziło o ciebie, więc się uniosłam. Zaczęłam się drzeć. Chciałam iść na policję. Natychmiast mnie spacyfikował. Nie pytaj, w jaki sposób. Później o wszystkim mi opowiedział. A jeszcze później zagroził, że znowu mnie spacyfikuje, jeśli się będę wygłupiać. I robi to w mniej przyjemny sposób niż poprzednio. A że poprzedni sposób już był mało przyjemny, to... Siedziałam cicho. I oczywiście zagroził, że weźmie się za ciebie. Tak jakby jeszcze się nie wziął...

— O wypadku też ci opowiedział? — spytała Anna ostrożnie.

— O wypadku przede wszystkim. I o motywach Sofii... Jak wiesz, ona po pierwsze chciała odzyskać kochanka, który ją porzucił, bo stwierdził, że jednak kocha swoją żonę. Vidar kategorycznie odmówił. Właściwie zerwał z nią kontakt. Sofia nie przywykła do bycia porzucaną. Poza tym... W nim akurat naprawdę się zakochała. Chciała się zemścić. Wymyśliła wypadek... Zaangażowała Brunona. Miałas uciepieć tylko ty. Najlepiej zginąć. Plan nie wypalił i ucierpiał Vidar. Sofia spanikowała. Wsiadła w Dubrowniku w samolot, przyleciała do Szwecji, ucharakteryzowała się i odwiedziła w mamrze swojego starego znajomka od kwiatów...

— Narcyza!

— Właśnie. Namówiła go do napisania listu. A później przybrała swoją dawną postać, opuściła Malmö i wróciła do Dubrownika. Dzięki Bogu za samoloty, co? Bez nich nigdy w życiu by jej się to nie udało. Oczywiście zakładam, że podróżowała *incognito*. Prawdopodobnie nie po

raz pierwszy w życiu. W końcu była wielką gwiazdą, musiała mieć na to swoje sposoby. Jakąś alternatywną tożsamość czy coś? Ale... był jeszcze jeden problem. Otóż Sofia wściekła się na Brunona. I tak zaczęło się błędne koło. Ich wzajemna nagonka. Ona straszyla jego, a on ją. Ale zaczęła hojnie Brunona opłacać. Robiła mu na konto regularne przelewy, by siedział cicho. Był na lepszej pozycji. Spowodował wypadek, ale to ona go wynajęła. A tą wizytą u Narcyza jeszcze bardziej zacieśniła sobie pętlę wokół szyi.

— Bo wtajemniczyła kolejną osobę?

Lidka nie odpowiedziała od razu. Spuściła wzrok i w ciszy skubała rękaw swojego swetra. Teraz wydawała się niemal spokojna. Annie natomiast zrobiło się zimno z nerwów. Czuła, że zaraz coś się wydarzy. Że Lidka powie coś, co zmieni jej sposób patrzenia na tę sprawę. W głowie miała kompletny chaos. Czuła się zmęczona, zła i... pokonana. Nie miała już ochoty walczyć, bo nie było o co. Nie potrafiła pomóc swojej siostrze, choć przyłapała się na tym, że wciąż szukała sposobu. I nadal nie wierzyła w jej słowa. Łudziła się, że wszystko, co usłyszała i czego się dowiedziała, było jakąś cholerną mistyfikacją. I nawet jeśli jej samej przeznaczono by w tej zabawie rolę wioskowego głupka, którego wszyscy robią w konia — miała to gdzieś.

Anna sięgnęła po szklankę z wodą. Odstawiła ją, nie upiwszy nawet łyka. Brzuch rozboleł ją ze strachu. Tylko to teraz czuła. Strach. I nic oprócz niego.

— Lepiej usiądź wygodnie — przemówiła niespodziewanie Lidka i uniosła głowę.

— Siedzę wystarczająco wygodnie.

— W takim razie wróćmy do przerwanej wcześniej wątku.

— Którego?

— Pamiętajsz, jak ci powiedziałam, że Bruno dorabiał sobie na boku, kiedy zdobywał uprawnienia pilota wycieczek? I że trzymał się blisko z pewną osobą, bo mu się to bardzo opłacało?

— Tak i że ta osoba go fascynowała. Czyli Sofia.

— Skąd ci przyszło do głowy, że mówimy o Sofii?

Anna chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wykrzusić słowa. Faktycznie — skąd pewność, że chodziło o Sofię? Lidka nie potwierdziła jej domysłów. Wyjaśniła tylko, jak doszło do wypadku i przyznała, że stali za nim Sofia i Bruno. Ale nie zająknęła się słowem na temat ich znajomości. Tego, jak się zaczęła. Gdzie zobaczyli się po raz pierwszy. Jak się porozumieli. Co ich połączyło. Anna miała przecież tylko umowę znaną w Wenecji, z której wynikało, że Sofia i Bruno znali się i współpracowali ze sobą przynajmniej raz, przy okazji wycieczki do Wiednia. A teraz, kiedy mogła to wyjaśnić, odpuściła. Tak bardzo chciała poznać prawdę na temat wypadku, w którym ucierpiał Vidar, że pominęła inne kwestie. Kluczowe.

Spojrzała Lidce w oczy.

— O kim w takim razie mówimy?

— O Narcyzie.

Rozdział 57

Lidka snuła swoją opowieść bardzo długo. Annę rozboleły plecy od siedzenia na twardym krzeselku i skóra po wewnętrznej stronie dłoni, w którą raz po raz wbijała paznokcie. Przyniesiona przez munduowego herbata wystygła. Lidka zachrypla. Anna chłonęła każde jej słowo. Z trudem w nie uwierzyła. I wreszcie wiedziała wszystko o człowieku, który był pierwszoplanowym bohaterem opowieści jej siostry.

Bruno Kuc bardzo lubił swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście, było na czym zawiesić oko. Od zawsze uważał, że należała mu się odpowiednia oprawa, tak samo jak piękny obraz potrzebuje ramy. Marzył o markowych ciuchach i pięknych samochodach, o gustownie urządzonej domu i „właściwej” kobiecie u boku, w której wzbudzałby podziw. Pech chciał, że Brunonowi Kucowi przyszło wychowywać się w biednej rodzinie. Nikt nie zwracał uwagi na jego ambicje i pragnienia, nikt nie przejmował się zachciankami. Nikt go nie zauważał i nie doceniał. Choć on na to zasługiwał. Był piękny. Był też mądry. Dobrze radził sobie w szkole. Chwalono go. Tyle tylko, że w domu warunków do nauki nie miał. Na niczym nie mógł się skupić. Ojciec szydził z jego planów na przyszłość, matce były one obojętne. Bruno postanowił zatem, że musi się jak najszybciej usamodzielić. Zdecydował się na najprostszy sposób. Zaczął prowadzić nielegalne interesy i handlować narkotykami, które dostarczał do działających pod przykrywką domów publicznych. Zajmował się wszystkim, co mu zlecono. Sprzedawał, przywoził, odwoził, kupował, przemycił. Nigdy się nad tym nie zastanawiał — po prostu robił, co mu kazano, i planował, że kiedy zbierze odpowiednią sumę, zniknie.

Wizja nowego życia pozostawała jednak wciąż daleka. Bruno poznał kilku chłopaków z Danii, którzy ściągnęli go do Kopenhagi. Tam robił to samo, co w Polsce, tyle że za lepsze pieniądze i na większą skalę.

I poznał jego. Bogatego hodowcę kwiatów. Tak pięknego, że aż nierealnego. Elias Persson był ucieleśnieniem marzeń Brunona. Miał odpowiednią oprawę dla swojej urody. Markowe garnitury i drogie samochody. Z pewnością też imponujące domy. I szczególne upodobania. Lubił na przykład mały, ale luksusowy burdelik w Kopenhadze, w którym dziewczęta reagowały na wszystkie zachcianki klientów. Miał oczekiwania i z początku każdy gorliwie je spełniał. A jednak Elias Persson nie był jedynym klientem tego przybytku rozkoszy. Właściciele musieli reagować również na zachcianki innych gości. A Persson stawał się dziwny, jego roszczeniowa postawa zaczynała wszystkim działać na nerwy.

Wtedy uaktywnił się Bruno Kuc. Chłopak z Polski. Obrotny i niegłupi. Z talentem do języków obcych, których uczył się zupełnie sam. Przystojny, choć zupełnie inny od Eliasa Perssona. Ciemnowłosa, mocniej zbudowany. I ślepo zapatrzony w swojego nowego idola. Elias Persson nie mógł nie wykorzystać sytuacji. Porozmawiał z Brunonem raz czy dwa. Zlecił mu coś, a on

wywiązał się z tego zadania śpiewająco. Później wszystko poszło już z górki. Elias Persson dostawał to, czego oczekiwał. Każda dziewczyna, która do niego przychodziła, musiała mieć odpowiedni wygląd. Zawsze młoda, wiotka, blondynka z porcelanową cerą. Podobna do niego. Delikatna i piękna jak... narcyz.

Bruno nie od razu rozegrał się w sytuacji. Z początku myślał, że Persson, tak jak inni klienci domu publicznego, tylko wprowadzał w życie swoje erotyczne fantazje. Później jednak usłyszał o pierwszej dziewczynie. Za kilka miesięcy o drugiej. Za kolejnych kilka — o trzeciej... Zrozumiał wreszcie, że Elias Persson potrzebował ich po to, by zrealizować zupełnie inne fantazje. I że to on był Narcyzem.

Nie zamierzał nikomu zdradzać sekretu Eliasa Perssona. Uznał raczej, że to kolejny sposób na zarobienie pieniędzy. I miał rację — Persson hojnie go opłacał. Poza tym Bruno Kuc nawet... rozumiał Narcyza. Podziwiał go. Tamten był sprytny, genialnie zwodził policję, mylił tropy, a jednocześnie zostawiał mnóstwo wskazówek. Był genialny, miał niezwykłą wyobraźnię. Bruno często spoglądał w lustro i zastanawiał się, czy on sam również byłby zdolny do podobnych czynów. Czy potrafiłby tak planować, przewidywać przeciwności, idealnie skomponować swoje „dzieło”. Często słyszał, że nie miał za grosz wyobraźni. To on tak mówił. Persson. Narcyz.

Pewnego dnia cierpliwość Brunona Kuca została wystawiona na próbę. Nie potrafił nad sobą zapanować. Kiedy Lili, ta brzydka dziwka z szerokimi biodrami i żółtymi zębami, zaczęła z niego drwić, nie wytrzymał. Nie mógł już dłużej znieść wszystkich tych przytyków, że jest „przydupasem” hodowcy kwiatów, że jest „nikim”, „śmieciem” i „soferem kurew”. Uderzył ją. Nie pamiętał, ile razy, ale kiedy wreszcie odsunął się od Lili, ona patrzyła na niego szeroko otwartymi, szklanymi oczami. Nie żyła. Zmarła brzydką śmiercią. Nieladnie wyglądała. Cała posiniaczona i brudna od krwi. Nie miał pojęcia, co powinien z nią zrobić. I wiedział, że jeśli powie o wszystkim Perssonowi — on nie będzie zadowolony.

I nie był. A jednak przyjechał. Z niewiadomych — wówczas — powodów wziął wszystko na siebie i zaaranżował scenę po swojemu. Lili była kolejną ofiarą Narcyza. Bruno odetchnął z ulgą. Jeśli Perssonowi chodziło o jego dozoną lojalność, to osiągnął swój cel. Bruno był lojalny. Wdzięczny. I wciąż niezmiennie zafascynowany. Ale Persson zaczął wszystko psuć i stawiał coraz dziwniejsze żądania. Bruno starał się je spełnić, rzadko jednak odnosił sukces. A to włosy nie takie, a to oczy za małe, a to za duże piersi, za szeroka szczęka, za długi nos... Przede wszystkim jednak Perssonowi znudziły się prostytutki. Chciał umawiać się na prawdziwe randki, poznawać kobiety nie tylko piękne fizycznie, ale i duchowo. Mądre, wykształcone, z osiągnięciami. Pragnął, by przychodziły do niego z własnej woli, nie przez wzgląd na ewentualny zysk. Marzył o tym, by go podziwiała. A później je zaskakiwał... Wtedy wydawały mu się najpiękniejsze. Jak dzieła sztuki. Kiedy Narcyz zapragnął dziewczyny o dwukolorowych oczach, Bruno po raz pierwszy w życiu się postawił. Bo przecież nie tylko trzeba było taką znaleźć, ale jeszcze skłonić ją do kontaktu z Perssonem. Tego było już za wiele. Bruno nie chciał rezygnować, chciał tylko... być asertywny. Zwrócić szefowi uwagę, że wymaga zbyt wiele. Ale Persson się wściekł. A Bruno Kuc zrozumiał, że stał się jego więźniem.

Sofia Stiatesi spadła mu z nieba. Widywał ją od dawna i wiedział, że była przyjaciółką Eliasa Perssona. Ona i Persson poznali się, kiedy Sofia urządziła dom w Wiedniu. Złożyła wtedy u hodowcy zamówienie na narcyzy do swojego ogrodu. Bruno rozmawiał z nią kilka razy w Kopenhadze, kiedy wpadała do przyjaciela z wizytą. Nie były to żadne poważne dyskusje. „Dzień dobry”, „ładna pogoda”, „mam nadzieję, że podróż minęła pani spokojnie”. Kilka razy odwiózł ją do hotelu albo do teatru. Zastanawiał się, czy Sofia Stiatesi wiedziała już wówczas o szczególnych upodobaniach Eliasa Perssona. Nigdy jednak nie odważyłby się poruszyć tego tematu. Zadał jej to pytanie dopiero później, kiedy wspólnie opracowywali swój plan. Ale ona unikała odpowiedzi.

Na poważnie Bruno zainteresował się śpiewaczką dopiero wtedy, gdy Persson po kilku drinkach streścił mu historię jej nieszczęśliwej miłości do Vidara Lindholma, szwedzkiego projektanta mebli. Z nudów właściwie sprawdził tego Lindholma. Miał ładną żonę. Policjantkę.

I właściwie to policjantka spadła mu z nieba, nie Sofia Stiatesi. Przypomniał sobie o niej, kiedy sytuacja zrobiła się niebezpieczna. Kiedy Persson coraz bardziej zatracił się w swoim szaleństwie, a pozycja Brunona wydawała się gorsza z dnia na dzień. Los jednak okazał się dla niego łaskawy. Narcyz urządził sobie wycieczki na szwedzkie wybrzeże, do Ystad i Malmö. Dlaczego akurat tam? Może i Persson chciał zagrać na nerwach rodzinie Lindholmów? Bruno nigdy się tego nie dowiedział. Ale kiedy odkrył, że Anna Lindholm pracuje nad sprawą Narcyza, długo się nie zastanawiał. Miał w nosie zbiegi okoliczności, skrupuły i Sofię Stiatesi, która musiała przecież z czasem wszystkiego się domyślić.

Zebrał materiał. Gazety, czasopisma, periodyki i prasę plotkarską, w których znalazł zdjęcia Eliasa Perssona. Miał nadzieję, że ona nie jest głupia, ta policjantka. Że przejrzy wszystko dokładnie, a nie od razu wyrzuci. I nie zawiódł się. Zaimponowała mu. Prawie ją podziwiał. A kiedy z determinacją doprowadziła sprawę Narcyza do końca, podziwiał ją już w pełni. I odetchnął.

Na chwilę.

Bo oczywiście okazało się, że nie miał za grosz wyobraźni. Był nikim przy Perssonie. Był śmieciem, jak mówiła Lili, brzydka dziwka. Jeden dziwny telefon, drugi. Głupi list z głupim cytatem. I Bruno oszalał ze strachu.

Sofia przypomniała sobie o nim jako pierwsza, choć i on myślał często o śpiewaczce. Zastanawiał się, czy jeszcze była zakochana w tamtym facieciu, mężu policjantki. Była. Na szczęście. Bardzo szybko doszli do porozumienia. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo. Plan wydawał się doskonały. Sofia z ciasteczkami w więzieniu, Bruno w czarnej toyocie. Przysługa za przysługę, a później każde w swoją stronę, bez wzajemnych oczekiwań i pretensji. Tyle tylko, że plan się nie powiódł, policjantka przeżyła, a jej mąż ucierpiał. Sofia oszalała z wściekłości. Bruno Kuc musiał się postarać, musiał wszystko naprawić. Narcyz wydawał się coraz bardziej niebezpieczny, a Sofia groziła na dodatek, że wyzna mu prawdę o tym amatorskim, gównianym zamachu. I wyznała. Poprosiła go przecież, by napisał list do komisarz Anny Lindholm...

Bruno Kuc nie mógł się poddać. Za wiele zaryzykował. I wreszcie wymyślił. Kolejny

genialny plan, w którym miała odegrać rolę siostra policjantki. Mała, brzydka, szara myszka z Helu, którą można było albo skłonić do popełnienia morderstwa, albo ją w nie zrobić. Albo... wzbudzić w niej podziw. Bruno pragnął podziwu. Miał dość strachu. Postanowił wprowadzić swój plan w życie, a Sofia, o dziwo, wcale go nie wyśmiała. Odwiedzała Narcyza w więzieniu, przez kilka miesięcy wytrwale grała swoją rolę. Czekwała na odpowiedni moment. Oboje czekali. To było jak wspólne dzieło sztuki.

Zbrodnia doskonała.

Rozdział 58

Lidka umilkła. Anna powoli układała sobie w głowie szczegóły tej historii. Wciąż nie mogła w nią uwierzyć. „Zbrodnia doskonała”? Czy rzeczywiście? Przecież to wszystko było bez sensu i nie miało prawa się udać. Bruno, Sofia, Narcyz... Lidka. Popelniali błąd za błędem. A jednak policja nie wpadła na właściwy trop. Anna również nie znalazła żadnych twardej dowodów. Miała tylko swoje domysły, pojedyncze dokumenty, które niczego nie wyjaśniały na sto procent, nagrania z kawiarni w Malmö i z więzienia, korespondencję Vidara z Sofią i... I co jeszcze? Anna poniosła porażkę. Nawet teraz czuła, że niczego właściwie nie wyjaśniła sama. O wszystkim opowiedziała jej siostra.

— Kto w takim razie popełnił błąd? — zapytała wreszcie.

— Każdy gdzieś jakiś błąd popełnił. A później wszystko się sygnęło, jak domino. Po naszym wypadku Sofia i tak nie miała wyjścia. Musiała zlikwidować Narcyza, bo on o wszystkim wiedział. Kazała mu przecież napisać ten list do ciebie. Więc Elias Persson dysponował wiedzą o tym, kto tak naprawdę stał za wypadkiem i na trwałe uszkodził Vidara. I jako jedyny nie miał nic do stracenia, a wiele mógł zyskać. Persson napisał tylko ten list do ciebie. Niczego więcej nie miał na sumieniu. A Sofia nie mogła ryzykować...

— Dlatego przystała na ten szalony i z pozoru głupi plan Brunona — przerwała Anna. — Nic lepszego nie przyszło jej do głowy, a ta zbrodnia faktycznie była jak... z jakiejś sztuki teatralnej. Z operowej fabuły.

Lidka wzruszyła ramionami, upiła łyk wody i z namysłem obróciła w dłoniach listek z tabletkami przeciwbólowymi. Uśmiechnęła się pod nosem.

— Pewnie teraz zadasz mi serię pytań o to, jak mogłam być taka głupia, co sobie myślałam, dlaczego nie poszłam na policję...

— Czytasz w moich myślach.

— Widzisz... Kiedyś starałam się go przekonać, że faktycznie cię nienawidzę. To nie było aż takie trudne. Pomyślałam — bardzo zresztą naiwnie — że rozbiję tę ich komórkę od wewnątrz.

Udawalam nienawisc do ciebie. Zawsze bylam zazdrosna. Ciebie wszyscy bardziej kochali. Ty mialas lepsze zycie. Ty wyjechalas, a ja musialam zostac z despotyczna, wredna matka. Tobie sie wszystko udawalo, mialas meza... A ja... — glos Lidki zalamal sie. Po jej policzku stoczyla sie lza. — A ja nie mialam nic. Zadne miosci. Prawie w to wszystko uwierzylam. Ze cie nienawidze. Ze moge — i naprawde chce — zniszczy ci zycie. Bruno sie ucieszyl. Bylam mu potrzebna do tego, by pozbyc sie Sofii.

Lidka zanosila sie szlochem. Siegnela po znieyta chusteczke i przylozyla ja do oczu. Anna rowniez czula lzy pod powiekami. Zacisnela dlonie w piastki. Lidka odetchnela glęboko. Przestala plakac.

— O tym opowiem ci za chwile. Teraz jeszcze ten Narcyz... Chcialabym ci to do konca wyjasnic.

— Lidka...

— Nie przedluzajmy. Otóz Narcyz sie we wszystkim pokapowal. W niecnym planie Sofii. I to dosc szybko. Co tu duzo gadać, byl profesjonalista. Z poczatku cieszil sie z jej wizyty, zwlaszcza w tak oryginalnym przebraniu. Chetnie przyjal od niej paczke ciasteczek. Straznik nie chcial sie na to zgodzic, ale prawdopodobnie zostal odpowiednio przekonany. I w kwestii kolejnej wizyty i nastepnej paczki smakołyków rowniez. Sofia informowala o wszystkim Brunona, a on ciagle sie smial, ze w polskim wiazieniu to by sie nigdy nie udalo i ze szwedzki areszt musi byc naprawde bardzo liberalny. Na pewno Narcyzowi pomogla kasa. A moze nawet kogos postraszy swoimi znajomosciami „na zewnatrz”? Takich szczegolów nie znam. Nie bylo mnie tam...

— Twoje domysly ida w dobrym kierunku — uzupelnila z gorycza Anna.

— Tak, chyba tak.. Zawsze bylam raczej bystra, choc wszyscy uwazali mnie za glupia. W kazdym razie pewnego dnia bylo tak.. Sofie chwycily jakieś skrupuly. Zadzwonila do Brunona, ze chce sie wycofac. Spuscila w kiblu arsenik i wiesz co? Ta kretynka polazla do wiazienia i dala Narcyzowi do zrozumienia, czy wiecie nie wprost, bo ciiezko mowic o dyskrecji w wiazieniu, ze to ostatnia wizyta, ze ona sobie wszystko przemyslala i wiecej juz nie posunie sie do rozwiązán ostatecznych. Czy jakoś tak

— A on?

— A on... On tymczasem zaczal mowic jak w amoku, przerazil ja. Zaczal tłumaczyć, ze juz tak dluzej nie moze, ze oglada swiat przez wypacona soczewke, przez grubą firane, za która przesuwa ja fantastyczne cienie sylwetek ludzkich. Ale to tak naprawde nie sa ludzie, tylko lalki, wprawiane w ruch reka wyzszej instancji, imitujace zycie, uczucia i emocje. Swiat to scena, na której ida złe obsadzone sztuki. A ludzie to aktorzy. Nienawidzil ich wszystkich. Mowil, ze zera go glucha zlosc, która kipi w sercu i nieprzerwanie zatruwa umysl. Mowil tez o pamieci. Ze pamiec to wróg, który kaze reinterpreterowac przeszlosc, brac odpowiedzialnosć za czyny, które kiedyś wydawaly nam sie sluszne. I on, Narcyz, juz nigdy nie uwolni sie od swoich cieni, ale Sofia moze. Musi tylko zaczac na nowo i zniszczyć jedne świadectwo, które niepotrzebnie tak dlugo...

— Oszczedza? — dopowiedziala Anna i usmiechnela sie smutno. Lidka pokiwala glowa.

Anna oparla brode na zwinietych dloniach. To, co mowila Lidka, wydobywalo

z zakamarków jej pamięci inne słowa. Być może Narcyz miał rację? Pamięć to wróg.

Czyż pamięć o nim będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż wiecznie ma dźwigać ciężar swej przeszłości? Więc przyznać się naprawdę? Nigdy! Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo! Zniszczy je. Czemu oszczędzał je tak długo?

(...) Tylko gdzieś na tle oświetlonej firanki przesuwały się fantastyczne cienie sylwetek ludzkich. Spoglądał na nie z ciekawością. Poruszały się niby potworne marionetki, gestykulując jak żywe istoty. Nienawidził ich wszystkich. Jakaś głucha złość kipiała mu w sercu.

Aktorzy są tak szczęśliwi! Mogą wybierać, czy mają wystąpić w tragedii czy komedii, czy cierpieć, czy się weselić, śmiać się czy wylewać łzy. Mężczyźni i kobiety muszą najczęściej występować w rolach, do których nie mają kwalifikacji. Guildensternowie grają nam Hamleta, a Hamleci muszą blaźnować jak księżę Hal. Świat jest sceną, na której idą źle obsadzone sztuki.

A zatem Narcyz nawet w rozmowie z Sofią parafrazował Oscara Wilde'a? Anna знаła jego słowa. Zapamiętała każdą linijkę, każdą frazę, każdy przecinek

— Sofia powtórzyła to wszystko Brunonowi? — zapytała cicho.

— Tak, słowo w słowo.

— Skoro Narcyz chciał umrzeć, to w sumie Bruno nie powinien się go obawiać!

— Ale Persson wciąż żył, a co za tym idzie, nadal stanowił zagrożenie. Bruno obawiał się, że Narcyz w ostatniej chwili może zechcieć mu zaszkodzić. Z takimi jak on nigdy nie wiadomo. Zza grobu natomiast byłby nieszkodliwy w stu procentach.

— Czyli Sofia wycofała się.

— A później poprosiła o... nową dostawę. Bo wszystko przecież spuściła w kiblu. Musiała dokończyć to, co zaczęła. Obiecała mu.

— Zrobiło jej się go żal? — Anna uniosła głowę.

Tamten młody strażnik miał rację. Narcyz chciał umrzeć. To była umowa. Umowa między nim i Sofią. Pozwolił jej na to.

— Chyba tak Sumienie ją ruszyło... Ostatecznie to miało być jej pierwsze prawdziwe morderstwo. Nie udało jej się przecież zabić ciebie.

Po plecach Anny przebiegł dreszcz. Sprawa zabójstwa Narcyza została wyjaśniona. Lidka przyznała się do otrucia Sofii. Na tym jednak jej zwierzenia nie mogły się zakończyć. Anna musiała dowiedzieć się wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Bo nie wierzyła, że tam, w hotelu Renaissance, w apartamencie wielkiej operowej śpiewaczki wszystko potoczyło się tak, jak referowała Lidka.

Siostra zakasłała nerwowo, po czym splótła dłonie jak do modlitwy.

— Sofia była moją jedyną ofiarą. Musiałam... ją zabić. Bruno nie mógł. Choć przecież był tak blisko, dosłownie rzut beretem od Malmö. Tylko że tym razem plan wycieczki okazał się bardzo napięty i Bruno nie miał swobody działania. Nie zdołałby przedostać się przez most nad Oresund, wypić kawki z Sofią, dopilnować, by wyzionęła ducha i wrócić do Kopenhagi. Udało mu się jednak kupić bilety kolejowe w obie strony, które później podrzucił Marcinowi-barmanowi. Tyle zdążył zrobić... Zdążył wsiąść w pociąg i przejechać się nim do Malmö i z powrotem. Podróż w jedną stronę zajmuje jakieś trzydzieści pięć minut, więc...

— Tak, ale na biletach widnieją godziny. Zapomniałaś? — wtrąciła Anna. — I wynika z tego, że Marcin-barman z Kopenhagi wyjechał około dwunastej w południe, a wrócił z Malmö po północy. Sofia zmarła mniej więcej o dwudziestej trzeciej... W takim razie Bruno musiałby tam siedzieć cały dzień, a nie jeździć w tę i z powrotem. Chyba że... kupił nie dwa bilety, tylko...

— Cztery — dokończyła Lidka. — Dał wycieczkowiczom w Kopenhadze dwie i pół godziny wolnego w południe, przejechał się w tym czasie pociągiem do Malmö i z powrotem. A później pojechał znowu o jedenastej, kiedy wszyscy już poszli spać. I od razu wrócił. Marcinowi podrzucił tylko dwa bilety.

— A sam Marcin? Przecież ktoś mógł go w tym czasie zobaczyć w Kopenhadze! W hotelu, na przykład! Ktoś z wycieczkowiczów. A gdyby tak się stało, miałby cudowne alibi!

— Marcin? Marcin leżał w swoim pokoju i spał jak dziecko, ululany odpowiednim specyfikiem przemyconym w piwie.

— A przez cały dzień? Ja rozumiem, czas wolny, te sprawy, ale chyba brał udział w wycieczce? Nie mógł tak po prostu zniknąć na kilkanaście godzin.

Lidka wzruszyła ramionami, po czym rozłożyła ręce w geście bezradności. Nie płakała już. Sprawiała wrażenie dziwnie zrezygowanej. Swoją opowieść snuła nadal spokojnie, beznamiętnym tonem, jak gdyby to wszystko zupełnie już nic jej nie obchodziło.

— No widzisz, Bruno kupił naszemu Marcinowi wejściówkę do przybytku rozkoszy, o którym już ci wspominałam. Wciąż miał tam jeszcze znajomości. Innym wycieczkowiczom pan pilot oznajmił, że Marcin jako student architektury chciał sobie samotnie połączyć i pooglądać budynki. W przybytku rozkoszy młody wsiąkł do późnego wieczoru, a kiedy wrócił, był już po kilku głębszych. Dodatkowe piwo ze środkiem nasennym położyło go na amen. To było dziecinnie proste. Bruno dopilnował, by nikt powrotu Marcina do hotelu nie zauważył. Jego samego też przestrzegł, że ma być dyskretny. Bo Bruno wiele dla niego ryzykował i tak dalej...

— Ale mimo wszystko — nie dawała za wygraną Anna — ktoś go przecież w tym „przybytku” widział. Dlaczego Marcin-barman nie podał policji namiarów? Na lokal, na prosty tutkę, z którą się zabawiał? Przecież, cholera, oskarżyli go o morderstwo!

— Jak już mówiłam, ten „przybytek” to raczej mało legalny interes. Dla bogatych panów o niecodziennych upodobaniach... A i dziewczęta, które świadczą w nim usługi, robią to niekoniernie z własnej woli. Nawet gdyby Marcin podał namiary, i tak nikt nie potwierdziłby jego alibi, a pewne „osobistości” z półświatka wiedziałyby, gdzie go szukać...

— Czy ja dobrze słyszę? Dlaczego nic z tym nie zrobiłaś? Dlaczego... Kurwa, dlaczego ty

zgodziłaś się za niego wyjść? Dlaczego się nie ratowałaś?

— Już ci mówiłam. Bałam się go. Bałam się o siebie, ciebie, o matkę. Jak miałam z nim walczyć? Ja jedna? Sama? Dałam się omotać. Zakochałam się w nim. Podziwiałam go. A kiedy przejrzałam na oczy, było za późno. Osaczył mnie z każdej strony. Łatwiej mi było... zaplanować zabicie Sofii niż ucieczkę.

— Nie byłabyś sama — odpowiedziała Anna i spuściła głowę. — Nie zostawiłabym cię z tym. Mogłaś do mnie przyjechać.

— Nie mogłam donikąd pojechać bez jego wiedzy i zgody. Najpierw straszyl, że pozbędzie się naszej matki. Później przypominał mi dość regularnie, co się stało z Vidarem. Niczego się nie bał. Nikogo! Tylko ta Sofia mu przeszkadzała...

— Lidka... Aż tak bardzo się go bałaś, że zdecydowałaś się zabić? Czy ty siebie słyszysz?

— Nie miałam wyjścia!

— Lidka!!!

— Obmyśliłam plan...

— Obmyśliłaś plan??? Jaki plan??? Jezu...

Anna wstała z krzesła i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju przesłuchań. Lidka wypila duszkiem dwa kubki wody. Wydawała się coraz bardziej opanowana. Anna przyjrzała się jej uważnie, po czym wróciła na krzesło.

— No? — odezwała się. — Co z tym planem? Domyślałam się, że nie wypalił.

— Nie wypalił — przyznała Lidka. — Chciałam jej wszystko powiedzieć. Tej całej Sofii. Pomyślałam, że jeśli połączymy siły, jeśli będziemy w tym tkwić obie... To być może jakoś nam się uda. Bruno przestrzegał mnie, że mam nic nie kombinować, bo pożałuję. A zatem przygotowałam grunt tak, by wydawało się, iż uczestniczę w planie. On chyba zaczął już podejrzewać... Domyślać się, że ta moja nienawiść do ciebie jest mocno nielogiczna... W każdym razie postanowiłam działać. Odpowiednio wcześniej zaczęłam trąbić wszystkim, że jadę do Gdańska na przymiarkę sukni ślubnej i na jakieś zakupy. Moją koleżankę-krawcową z Trójmiasta ustawiłam właściwie, tłumacząc jej, że muszę załatwić pewną delikatną sprawę. Koleżanka-krawcowa w razie czego miała również powiedzieć, że tej sukienki w efekcie od niej nie kupiłam, bo zdecydowałam się na kreację z Pucka. Wróciłam przecież z Gdańska z pustymi rękami. Ale oglądać i przymierzać mogłam. O tym już zresztą wiesz. Tymczasem pojechałam do Świnoujścia i popłynęłam promem do Ystad. Zakradanie się do twojego domu nie było wcale takie łatwe. Mieszkasz w lesie i na jakichś wydmach. Musiałam ganiać spory kawał piechotą, żeby nie świecić za bardzo polską rejestracją i nie rzucać się w oczy. Podrzuciłam ci ciasto na wycieraczkę. To było w miarę proste. I wiesz... Widziałam cię wtedy w lesie. Jak biegaliś. Jak waliłaś pięściami w drzewo.

— Byłaś tam?! — wykrzyknęła Anna. A zatem wrażenie, że była obserwowana, okazało się słuszne. — Dlaczego nie...

— Podrzucenie rysunków do środka już nie było takie łatwe, nawet jeśli miałam swoje klucze. Szkice oczywiście dostałam od Brunona. Zadał o każdy szczegół. Zachował dla siebie

kilka rysunków Narcyza, które Sofia pokazała mu jako ciekawostkę. Musisz przyznać, że Elias Persson miał wyjątkowy talent plastyczny. I nie potrafił uporać się ze swoimi obsesjami. Rysował jak szalony. Co do twojego domu... Musiałam uważać, żeby na nikogo nie wpaść. Wciąż ktoś się tam kręcił... — wtrąciła Lidka. — Później pojechałam do Malmö.

Urwała i roześmiała się gorzko. Anna ponownie zerknęła w lustro fenickie. Przez chwilę żałowała, że Ingvar siedzi tam, za taflą szkła, nie zaś tutaj, razem z nią. Było jej słabo, smutno, że... Miała wrażenie, że wszystko ją uwiera. Słowa Lidki, twarz Lidki, cała ta nabrzmiała od zwerbalizowanej treści przestrzeń.

— A czy znalazście się wcześniej z Sofią? Chyba musiałyście, skoro umówiła się z tobą na kawę? — spytała i na powrót wbiła wzrok w siostrę.

— Osobiście nie. Zadzwoniłam do niej z budki. Powiedziałam, że jestem narzeczoną Brunona Kuca i chciałyby porozmawiać. Z początku się wystraszyła, ale szybko wyjaśniłam, że podejrzewam romans, a skoro ona jest znaną śpiewaczką, to ja zapewne nie mam z nią szans i być może powinnam odwołać ślub, bla bla bla. Ogólnie zrobiłam z siebie straszną, skrzywdzoną sierotę. Sofia zmiękała, powiedziała, że żaden romans, absolutnie, nic z tych rzeczy i może byśmy wypily kawę. Tyle. Poszło prościej niż się spodziewałam. Poza tym chodziło przecież o Brunona... A Sofia dopiero co...

— Otruła Narcyza — dokończyła cicho Anna.

— Właśnie. Chciałam z nią porozmawiać. Szczerze. Powiedzieć, że się go boję, że może coś obie wymyślimy. Ale kiedy zaczęłam mówić...

— A więc powiedziałaś jej! Nie było tak, jak wcześniej twierdziłaś. A jednak Sofia nie żyje. Jak do tego doszło? Nic już nie rozumiem.

— Ja sama nic z tego nie rozumiem — odpowiedziała powoli Lidka. Na jej twarzy wykwiła osobliwa determinacja. — Kiedy zaczęłam o wszystkim jej opowiadać, Sofia zarumieniła się, później zbladła, a jeszcze później kazała mi się zamknąć. I jeszcze... Kazała mi zrobić wszystko tak jak on chciał. Powiedziała, że i tak dopnie swego, a mnie grozi niebezpieczeństwo, jeśli go nie posłucham. To zły człowiek. Nie powinnam mu się sprzeciwiać. Ona nie może mi w niczym pomóc. Trzeba zrobić, jak on kazał. Powtarzała to wciąż i wciąż. Zrobić, jak on kazał.

— Kto?! — wykrzyknęła ze złością Anna.

— Bruno. Tak, jak kazał Bruno. Powiedziała, że mam to zrobić. Otruć ją. Ona nie chce wiedzieć, kiedy. Wyszła do toalety...

— Boże...

— Nie wiedziałam... Ręce mi drżały, chciałam stamtąd uciec. Pomyślałam o tobie, o was. O Sofii. Była tak niezwykle spokojna. Jak można zgodzić się na śmierć? Dać na sobie dobrowolnie wykonać wyrok? Walczyłam z myślami. Nie powinnam była tego robić. Powinnam była wstać i wyjść. Iść prosto na policję. Albo do ciebie. Ale miałam wrażenie, że on jest wszędzie wokół mnie. Że nie zdążę. I...

— O Boże... — powtórzyła Anna i zacisnęła powieki. — Ty kretyno!

— On też tak do mnie mówił. Bardzo często. I jeszcze, że w ogóle nie wyglądamy na siostry.

Ty taka inteligentna, piękna, a ja...

— Lidka...

— A ja taka głupia, niewydarzona, takie popychadło...

— Lidka!!!

— W takich chwilach faktycznie miałam ochotę cię zienawidzić...

— Lidka... Błagam...

— Reszta jest taka, jak mówiłam wcześniej. Poszłam za Sofią do hotelu. Wcisnęłam się do jej pokoju. Nie zamykałam jej w łazience. Namawiałam na płukanie żołądka, prosiłam, byśmy wezwały karetkę. Było mi wszystko jedno, czy zostanę aresztowana. Nawet tego chciałam. Ale ona zachowała spokój aż do samego końca. Tłumaczyła, że na to zasłużyła. Że nie muszę mieć wyrzutów sumienia, bo zrobiłam dobry uczynek. Ona powinna zniknąć. Chce zniknąć. Nie rozumiałam...

— I dlatego nie słyszałaś was Amalia — rzekła Anna i zaczęła swoim zwyczajem skubać dolną wargę. — Nie słyszałaś odgłosów walki, prośb i błagań, bo... niczego takiego nie było.

— Nie było. Sofia umarła z godnością. Pomimo tych strasznych objawów, pomimo... Anka... Zabiła ją. Przepraszam. Nie chciałam jej zabić. Nie wiem, jak on to zrobił. Jak mnie do tego nakłonił. Ale nadal się go boję, choć przecież nie żyje. Zawsze już będę się go bała.

Lidka potrząsnęła nerwowo głową. Teraz wydawała się znowu przestraszona i bezbronna jak małe dziecko. Spoglądała na Annę z mieszaniną lęku i niedowierzania, tak jakby dopiero teraz w pełni zrozumiała, co zrobiła. Odchyliła się i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Stawała się z wolna sobą. Cichą, niepozorną Lidką, nieśmiałą, stojącą w cieniu. Dającą sobą dowolnie manipulować. O tak! Lidka była marionetką. Idealnie uległym mechanizmem, którym można było bez przeszkód sterować. Z jej twarzy spelży determinacja i gorycz. Teraz Lidka była tylko przerażona. Wiedziała, że nie ma już dla niej żadnej nadziei.

— To już naprawdę koniec, co? — odezwała się znowu. — Ze mną?

Anna patrzyła na nią w milczeniu. Starła się nie spłoszyć Lidki, nie wykonywać gwałtownych ruchów, nie mrugać zbyt szybko. Nie rozplakać się. Była wciąż słaba, wciąż zbyt chwiejna. Nadal bowiem ją kochała.

— Nie. — Anna potrząsnęła energicznie głową. — Jeszcze zostało kilka rzeczy do wyjaśnienia. Ale na początek... Podaj adres tego lokalu. Tego nielegalnego przybytku rozkoszy. Domyślam się, że to w Kopenhadze. Podaj adres. Współpracuj z nami. Proszę... — dokończyła szeptem.

Lidka zacisnęła wargi w wąską kreskę. Wahała się przez chwilę, po czym wyartykułowała nazwę ulicy i numer. Anna zerknęła w lustro fenickie i skinęła głową. Nie wątpiła, że Ingvar wiedział, co zrobić z taką informacją. Spojrzała ponownie na swoją siostrę.

— No dobrze, to powiedz mi, dlaczego Bruno chciał zrobić akurat Marcina? Niewinnego chłopaka? Wiesz coś o tym?

— Marcin? On od początku wydawał mu się dobrym kozłem ofiarnym. Naiwny, zapatrzonej w siebie, cwaniak. Ale goły, zupełnie bez kasy. Łatwo tyknął historyjkę o tym, że w ostatniej

chwili zwołniono się miejsce w autokarze i można pojechać do Kopenhagi za połowę ceny. Bruno mnie do niego wysłał z tą informacją... Nie miałam go jak ostrzec. Bruno śledził każdy mój ruch... Tak naprawdę to miejsce dla Marcina już dawno było zarezerwowane i opłacone. Wszystko się idealnie układało. Marcin miał pojechać do Kopenhagi, a później podawać drinki na naszym weselu. Twój mąż i nasza matka nie pili alkoholu. Przygotowaliśmy dwa poncze. Jeden zwykły, drugi bezalkoholowy... Nie wiedziałam, że ten drugi był wzbogacony przez Brunona. Weselne zamieszanie pozwalało łatwo manipulować dzbankami. Drugi dzbanek uległ unicestwieniu zaraz po tym, jak jego treść trafiła do odpowiednich żołądków. Marcin miał dostęp do baru... No i sama wiesz, co dalej. A kiedy było już po wszystkim, Bruno przyszedł do mnie i powiedział, żebym już przypadkiem nie miała żadnych skrupułów, wyrzutów sumienia i innych głupich pomysłów na ucieczkę albo poproszenie kogoś o pomoc. Bo nie tyle ja skończę, jak Vidar, ale... ty. Albo nasza matka. Albo ojciec. Bruno miał w kim wybierać.

— Tak... — odrzekła ostrożnie Anna. — Sofia otruła Narcyza. Bruno dostarczył jej środki. Ty otrułaś Sofię. Bruno zajął się wrabianiem Marcina-barmana. *Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo! Zniszczy je.* Pamiętam ten cytat. Narcyz miał haka na Sofię, a Sofia miała haka na Brunona. Ale powiedz mi... Dlaczego Vidar? Dlaczego Bruno to zrobił? Brałaś w tym udział? — Głos Anny zdrzął. — Dlaczego otruliście... Vidara? I podtruliście naszą matkę?

— Vidar... I matka. To była kara wymierzona we mnie.

— Słucham?

— Zaczęłam się buntować. Powiedziałam, że mam dość. A potem przyszedł ty i powiedziałaś, że ktoś cię ostrzegł... I Bruno pomyślał, że...

— To ty?! Ty mnie ostrzegłaś? Nie, nie! Nie! A zatem to moja wina. To ja doprowadziłam do śmierci Vidara...

— Nie ty, Anka. Bruno to zrobił. Powiedział mi później, po weselu, że skoro byłam taka niemądra, to teraz mam siedzieć i patrzeć, jak ty oplakujesz męża. I nie odezwać się nawet słowem, bo inaczej... ja dla odmiany będę oplakiwać naszą matkę. Na początek

— Na początek — powtórzyła jak echo Anna.

— To Amalia, prawda? — spytała nagle Lidka. — Ona dała ci wskazówkę? Nie mogłam przekonać co do tego Brunona, ale jestem pewna, że to ona. Choć może i Bruno sam wiedział? Pomyśl, że ja mogłabym cokolwiek do ciebie wysyłać, był zupełnie absurdalny. Teraz myślę, że Bruno wiedział o udziale Amalii...

— Poczekaj! Udział Amalii... W jaki właściwie sposób ona poznała Brunona. — Ten szczegół wcześniej pominęła. A przecież Anna wiedziała, że Amalia musiała widywać Brunona i że to właśnie jego się bała.

— Amalia Stiatesi, brzydka siostra. Zawsze czułam do niej dziwną sympatię. Jak myślisz — dlaczego?

— Przestań...

— Przestaję. To co było między mną a tobą jest już teraz nieważne.

— Lidka...

— Pytałaś o Amalię — przerwała jej siostra. — Otóż po aresztowaniu Narcyza, Bruno odwiedził kilka razy Sofię w Malmö. Nie spotykali się w tajemnicy, nie wiem dlaczego. Amalia tam go właśnie poznała. Pytała Sofię o Brunona, oczywiście. Kim właściwie jest i czym dokładnie się zajmuje. Ale Sofia ignorowała jej pytania. Wykręcała się jakimiś pobocznymi interesami, działaniami charytatywnymi, fundacjami na rzecz porzuconych dzieci i innymi takimi... I podobno jej siostra połknęła haczyk. Sofia miała wielu dziwnych interesantów, więc dlaczego nie on? Ale Bruno zawsze był wobec Amalii podejrzliwy. Mówił, że ona z pewnością coś wiedziała o poczynaniach jego i Sofii. Nie miał tylko pojęcia, skąd.

— Czyli Bruno domyślał się, że to Amalia dawała mi wskazówki, ale i tak...

— ...Postanowił dać mi lekcję. Zamanifestować swoją siłę. Władzę nade mną. A może i nad Amalią też? Bo przecież ona...

— Kochała Vidara. Jednym posunięciem skrzywdził nas wszystkie. Wszystkie trzy. Ciebie, mnie i nawet Amalię — dokończyła Anna.

— Krwawe годы. Moje przekleństwo. Jak dobrze, że już po wszystkim. — Lidka schyliła głowę. Jej twarz zasłoniła burza jasnych, skłębionych jak siano włosów.

Pamięć to wróg... Tak Narcyz rzeczywiście miał rację. Anna nigdy się z tego nie otrząśnie. Nigdy nie pozbędzie się obrazu Lidki. Jej przestraszonych oczu. Przesyconego rezygnacją głosu. Słów szarpających za serce. Nigdy. A przecież jej siostra mogła się ratować. Mogła chociaż spróbować! Z pewnością był jakiś sposób!

Anna ponownie zacisnęła dłonie w pięści. Pochyliła się nad Lidką i wyszeptała jej do ucha:

— Bruno... Bał się, kiedy do niego strzeliłam. I nie miał planu. Zwyczajnie się bał.

— Ja... Na początku naprawdę się w nim zakochałam. Najbardziej się tego wstydzę. Idź już — odpowiedział głos, którego brzmienie stłumiła gęsta zasłona jasnych włosów.

Anna podniosła się i w ciszy ruszyła do drzwi. Na korytarzu przy stanęła. Oparła się o ścianę. Wciąż było jej słabo. Międko, może nawet... błogo? Zielonkawe ściany korytarza traciły swoją barwę i stawały się białe. Mleczne. Anna nie czuła już gruntu pod nogami. Osuwała się w otchłań. Nabierała prędkości. Wciąż spadała. A jednak ktoś ją pochwyił. Czyjeś dłonie, ramiona. Słyszała głos. Znała go dobrze.

Rozdział 59

Wraz z nadejściem listopada Hel opustoszał całkowicie. Smagane wiatrem i deszczem uliczki sprawiały wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Wyglądały jak wakacyjne kochanki, które odwiedza się tylko w lecie, które obsypuje się pocałunkami na gorącej plaży, skąpanej w promieniach słońca. Co się dzieje z tymi dziewczynami, kiedy kochankowie wyjeżdżają

i wracają do swojego normalnego, poddanego rutynie życia? Co się dzieje, kiedy obiecują, że za rok wrócą i że nie zapomną ani na chwilę? Dziewczyny, smutne wakacyjne kochanki, zostają tam, gdzie były przez cały czas. Dla nich nie zaistniała żadna zmiana przestrzenna, żaden *genius loci* nie zmącił im zmysłów. One poddały się chwili związanej z konkretną osobą. Z głosem, śmiechem, dotykiem. Z energią, która wypełniła znane dotychczas kąty i nasycała je nową jakością. A później? Znowu dobrze znajoma pustka. Znowu szarość i cisza. Znowu chmury, deszcz i śnieg. Te nieznośnie długie pauzy w ciągnącym się w nieskończoność procesie oczekiwania na słońce. I na czyjś powrót.

Anna zatrzymała się przed kopcem Kaszubów i spojrzała na tabliczkę z napisem „Hel. Początek Polski”. Przypomniała sobie słowa swojej babci. Hel to miejsce, w którym coś się zaczyna. Rzeczywiście... Babcia miała rację. W Helu zaczęło się dla Anny wiele rzeczy. Jeszcze więcej się jednak dla niej zakończyło. I nie była już teraz pewna, czy kiedykolwiek tutaj wróci. Wydawało się jej, że nie. To miejsce było dla niej na zawsze zamknięte i niedostępne. Ale kto wie? Z biegiem lat osławiamy demony przeszłości. Chyba.

Ruszyła przed siebie, wzdłuż promenady. Postanowiła zmusić się do uśmiechu. Mimo wszystko. Mimo że nie żył jej mąż, a siostra — przestraszona i zaszczuta — zadała komuś śmierć. Mimo że matka nienawidziła Anny teraz jeszcze bardziej, zupełnie jak gdyby ona właśnie okazała się winna zbrodni. Mimo że to, co przydarzyło się Lidce, zupełnie załamało ich ojca. Mimo... wszystko. Mimo że wciąż tak bardzo chciało jej się płakać. Postanowiła się uśmiechnąć. Zaklinać rzeczywiście. Od teraz.

Zerknęła w bok na delikatne szwy i wielki siniak Zadrapania. Brązowe włosy i piegi. Charakterystyczny półuśmiech.

— Wszystko gra? — spytał niepewnie Lajon, widząc, że Anna mu się przygląda.

— Oczywiście, że nic nie gra. Ale chciałam ci podziękować.

— Anka, ja...

— Musisz mi obiecać, że się odezwiesz, zanim wyjedziesz na Tahiti.

— Anka...

— Obiecuj.

— Obiecuję. A ty?

— Co ja?

— No właśnie. Co ty?

— Zupełnie nie mam pojęcia — odpowiedziała i zapatrzyła się w odległy horyzont.

Prom do Ystad odpływał za pół godziny. Anna musiała w duchu przyznać, że cieszyła ją perspektywa samotnego rejsu. Przez ostatnich kilka dni, w Helu, nigdy tak naprawdę nie była sama. Nawet po wyjeździe Ingvara, który wrócił do Szwecji tuż po zeznaniach Lidki, żeby jeszcze raz przesłuchać strażników więziennych w Malmö, Amalię Stiatesi, a także właściciela i pracowników kawiarni, w której Sofia wypila swoją ostatnią kawę. Musiał też podjąć współpracę

z duńską policją w sprawie nielegalnego kopenhaskiego burdelu. Ester Gustafsson wydzwaniła do niego jak szalona i nie przebieając w słowach, dawała upust swojej frustracji. Była wściekła na Ingvara za to, że nie poinformował jej o wyjeździe Anny do Wenecji, pozwolił na wizyty Anny w mieszkaniu Amalii i nic nie powiedział o kartonach Vidara, które wspólnie przeszukiwali na strychu. I pewnie też za to, że nie ona pojmowała winnych. Miała powody do złości. Odniosła zawodową porażkę, a Ingvar wyraźnie jej się wymykał.

Anna drgnęła lekko, kiedy usłyszała swoje imię. Uśmiechnęła się i odebrała z rąk Lajona torbę z zapasami, w których mogłaby spokojnie wyżyć ładnych kilka dni na bezludnej wyspie.

— Wiesz, że ten rejs trwa jakieś sześć godzin? Po co tyle żarcia? Chyba że mam się podzielić z innymi pasażerami? — powiedziała i chwyciła go pod rękę.

Lajon wzruszył ramionami i chciał — tradycyjnie — postukać się palcem w czoło, ale nie wiedzieć czemu z tego zrezygnował. Był milczący i nieobecny. Nawet w samochodzie, przez całą drogę z Helu do Świnoujścia, odezwał się raptem kilka razy. A teraz, kiedy odprowadził ją na prom, wydawał się przygnębiony. Annie również zrobiło się smutno. Uniosła dłoń, w której akurat nie dzierżyła ciężkiej siatki, i lekko dotknęła brzozy Lajona. Zmarszczył brwi i uciekł wzrokiem.

— Boli cię?

— Nie.

Znowu cisza. Smer rozmów w tle, śpiew mew i huk przyływu.

— Słuchaj... — zaczęła i postarała się o jak najszczęśliwy uśmiech.

— A jak tam wieści? Ze Szwecji? — przerwał jej, ale nadal patrzył gdzieś przed siebie.

Wzruszyła ramionami.

— Ingvar przesłuchał Amalię. Powiedziała, że wszystkiego się domyślała, drążyła kawałek po kawałku, prowadziła swoje nieudolne śledztwo, ale nie miała ani stuprocentowej pewności, ani dowodów. Poznała Brunona, widziała się z nim kilka razy. Sofia przedstawiła go jako swojego współpracownika. Bruno wydał się Amalii podejrzany i jakiś taki śliski. Wzięła go pod lupę i poszło... A później, kiedy wydarzyły się morderstwa, wystraszyła się. Choć, muszę przyznać, pomysł z wysyłaniem do mnie cytatów był dość ryzykowny. Nie wiem, czy nie wyszłoby na to samo, gdyby mi po prostu powiedziała. Ale może... Amalia nie zamierzała mi niczego ułatwiać.

— Albo nie chciała przekazywać ci takiej informacji. To znaczy... O twojej siostrze. O tym, z kim się związała. Mogłabyś wtedy obrócić się przeciwko Amalii. No wiesz, zabić posłańca.

— Tak! — Anna roześmiała się. — To rzeczywiście niezła myśl!

— Ta Amalia... Nie czuje się źle z tym, że była tak blisko, kiedy umierała jej siostra? Dosłownie przez ścianę?

— Myślę, że ich relacje nie były modelowe. Amalia kochała Vidara, a Vidar wybrał Sofię. — Anna potrząsnęła głową, by odpędzić uwierające wspomnienie. — Sofia zawsze była górą, zaczęła babrać się w paskudztwach, kręcić z podejrzany mi typami — Narcyzem, Brunonem... A poza tym chorowała. Miała raka. W bardzo nieciekawym stadium. O swojej chorobie dowiedziała się całkiem niedawno i wtedy zaczęła z jeszcze większą determinacją walczyć o odzyskanie Vidara. Tak przy najmniej twierdzi Amalia. A jak by było naprawdę, wie pewnie tylko

sama Sofia. No, w każdym razie zbiegło im się dziwnie z tym Narcyzem. Odeszli w podobny sposób. I niekoniecznie w sensie fizyczno-toksykologicznym. Ona sama chciała umrzeć. Właściwie kazała się zabić. Jak Narcyz. Może Sofia zauważyła tę dziwną ironię losu? Losu, który zawsze wie, jak upomnieć się o swoje?

— A co z reszta? — Lajon oparł się o balustradę pomostu i zapatrzył w morskie fale.

— Z reszta? No cóż, Bruno nie żyje, więc pierdła mu się udało uniknąć. Lidka natomiast wygląda bardzo kiepsko. Nie dość, że popełniła zbrodnię, skrzętnie zaplanowaną i przemyślaną w najdrobniejszych szczegółach, to jeszcze wiedziała o działaniach Sofii. Posądzą ją pewnie o współudział w zabójstwie Vidara i spowodowanie uszczerbku na zdrowiu własnej matki. Ja wierzę, że ona nic o tym nie wiedziała i Bruno działał na weselu sam. Wierzę w jej motyw, w strach, w to, że dała się zaszczyć temu skurwielowi. Wierzę w to, że nie chciała zabić Sofii, że chciała się z nią dogadać. Szukała u niej pomocy. U niej zamiast u mnie! A ja i tak jej wierzę! Ale niestety istnieje ryzyko, że nikt inny nie uwierzy. Bruno nie wstanie z grobu, nie przyciśniemy go i nie zacznie gadać. Trzeba na niego coś znaleźć. Koniecznie. Najlepiej dużo. I jest jeszcze nadzieja w tym chłopaku, Marcinie-barmanie. Jeśli on zacznie się uzewnętrzniać i sypać, to będzie kolejną osobą, która potwierdzi udział Brunona w całej sprawie. Amalia Statesi również zgodziła się złożyć zeznania. Ale Lidka i tak pewnie nie uniknie więzienia. Choć stanę na głowie, by znaleźć jej najlepszego adwokata.

— Gdzie będzie sądzona? W Szwecji czy w Polsce?

— Pewnie tu i tu. Właściwie nie wiem. — Anna nie wytrzymała i postawiła ciężką siatkę z zapasami na ziemi. Zbliżyła się do Lajona i położyła mu dłonie na ramionach. — Dziękuję ci. Jeszcze raz. Bez ciebie nie dałabym rady.

Lajon nadal opierał się o balustradę, patrzył przed siebie. Po chwili odwrócił się jednak i chwycił Annę za rękę.

— Muszę wiedzieć, czy sobie poradzisz.

— Poradzę sobie.

— Anka, muszę to wiedzieć na pewno. Nigdzie nie pojedę, dopóki nie będę miał pewności, czy wszystko jest u ciebie w porządku. Z takimi... rzeczami trudno jest zmierzyć się w pojedynkę. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, gdyby coś się wydarzyło, to...

— Wiem, Lajon, dziękuję.

— Cicho! Ja mówię teraz serio. Nie bawię się w żadne kurtuazyjne gadki. Jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć, ale nie potrafię. Nie umiem, chociaż w głowie wszystko już sobie poukładałem.

— W takim razie nie mów — odpowiedziała i pocałowała go w policzek Lajon przy mknął oczy. — Muszę iść. Mój prom odpływa.

Odsunęła się od niego, podniosła z ziemi torbę i weszła na pokład. Nie patrzyła już więcej w stronę portu. Usiadła na lawce, otuliła się szczelniej płaszczem i naciągnęła czapkę na uszy. Roztańczone morskie fale kołysały promem tak mocno, że szybko poczuła się senna. Zamknęła oczy i wystawiła twarz w kierunku wiatru.

Rozdział 60

Dom pod Ystad byłby miejscem ekstremalnie przygnębiającym, gdyby nie obecność Lempi. Lempi bowiem nie zamierzała chodzić wokół Anny na palcach. Przywitała ją w progu z otwartymi ramionami, następnie zaprowadziła do kuchni, posadziła przy stole i z każdej strony obstawiała jedzeniem. Anna próbowała protestować i przypomniała sobie ciężką siatkę, którą w Świnoujściu wręczył jej Lajon. Przez sześć godzin rejsu wydobyla stamtąd jedynie butelkę wody i herbatniki w czekoladzie. A Lempi przygotowała swoją niezastąpioną fińską owsiankę, która pachniała tak wybornie, rozkosznie i... znajomo. Pachniała domem. Anna odchyliła się na krześle i rozplakała na dobre. Wróciły do niej stare-nowe bodźce. Gazety Vidara i jego wózek w hallu. Wciąż tam stał. Nie usunęła go, mimo iż minęło już kilka tygodni, odkąd był... używany. Na wieszaku wisiał płaszcz. Ten dom nie należał do niej. Należał do nich. Był ich wspólną przestrzenią. I nawet jeśli Vidar rzeczywiście okamał Annę, nawet jeśli ją zdradził... To przecież musiał istnieć taki moment, kiedy to wszystko było prawdą. Ich wspólne życie, małżeństwo i ten dom. Mikrokosmos, porzucony wśród lasów i wydm. I ta wspólna, ostatnia noc w Helu również musiała być prawdziwa.

Anna uspokoiła się i wytarła oczy w papierową serwetkę. Sprawa została prawie zamknięta. Piosenka dobiegła końca. Ostatnia fraza zmierzała z wolna ku ostatnim dźwiękom. Tyle tylko, że żadna melodia nigdy tak naprawdę się nie kończy. Pozostaje w uszach. Odtwarza ją mózg. Przywołuje rytm, słowa, brzmienie poszczególnych instrumentów. I ta melodia, która pozostaje w uszach, którą nucimy pod nosem, która towarzyszy nam na każdym kroku, może stać się najlepszym towarzyszem lub najgorszym wrogiem. Przyjemnością bądź utrapieniem.

Lempi nieśmiało podsunęła Annie talerz. Wsunęła jej łyżkę w dłoń i przez chwilę nie odzywała się słowem. Kiedy jednak po fińskiej owsiance nie został nawet ślad, zakrzętnęła się energicznie, wrzuciła naczynia do zmywarki i przyrządziła mocną kawę. Postawiła na stole kubek z parującą zawartością. Zatarła ręce.

— No! — zakrzyknęła z werwą. — To się trzeba chyba brać do roboty, co? Bo tu już, mówię pani, skaranie boskie z tymi popaprańcami!

Anna zdębiała.

— Popaprańcami? W sensie... Policją? — upewniła się.

— A tam policją! Z nimi to ja już sobie radzić umiem! Nie, nie! Tamci popaprańcy! Z warsztatu. A właściwie z warsztatów! Tak tak! No mówię pani, nawet ze Sztokholmu taki jeden z drugim przyjechali. Jakis pan dzwonił, że on na razie jeszcze ogarnia i kasa na wypłaty jest, ale co poniektórzy klienci to by się chcieli z szefową zobaczyć, bo niby nie wierzą, że naprawdę pani

istnieje i że firma jakaś widmo czy krzak czy co to oni tam gadali...

— Lempi! — wcięła się wreszcie Anna. — Uspokój się! Gadaj po kolei! Jacy popaprańcy? Jaka firma-widmo? Jaki krzak?!

— No firma-krzak.. Ja tam nie wiem! Ale coś pani powiem! Ja nie mam nic przeciwko kontaktom z upierdliwymi ludźmi, zwłaszcza że sytuacja szczególna, wiadomo. Ale! Ale!!! Chamstwa nie zniosę! A jeden taki to mi tu ciągle wydzwania i gada o jakiejś, za przeproszeniem, „chujowej oberżynie”!

Anna zakrztusiła się kawą i poplamiała sobie spodnie.

— Nadal ta chujowa oberżyna? Co on?

— No toż ja właśnie nie wiem! Pani mnie pyta?!

— I co zrobiłaś?

— No... Po pierwsze przyniosłam im do warsztatu do Ystad obiad... Bo widzi pani, ja nie uznaję takiego darmozjadztwa i nie wiem, czy pani mnie zatrzyma u siebie, czy nie, ale pensję dostałam za listopad, to i pracuję uczciwie. Panu Ingvarowi zawiozłam obiad ze dwa razy, ale on, hm, ma trochę inny kulinarny gust i coś tam znowu zaczął bajdurzyć o wyzysku, ech, mówię pani, szkoda słów. No w każdym razie zawiozłam obiad chłopcom z warsztatu. Wzięli z pocałowaniem ręki i jeszcze swoją robotę pokazali. Ten od chujowej, za przeproszeniem, oberżyny również. No to wzięłam na próbę takie trzy kolory i zaczęłam na desce mieszać...

— I co? — Anna dostała wypieków.

— I wyszło całkiem, całkiem... Ten facio miał zapytać zleceniodawcę, czy taki kolor nie lepszy od tej, no, hm, oberżyny. Dzisiaj będzie dzwonił. A pani radzę... Nie żebym się jakoś wtrącała, ale proszę spojrzeć do gabinetu. Korespondencję przyniosłam i zajrzałam do skrzynki mailowej, tej firmowej, bo mi tu dzwonią, że nikt wiadomości nie odbiera i jak tak można, no więc przeczytałam co nieco i odpisałam na maile, na które byłam w stanie odpisać. Mam nadzieję, że nie pokręciłam. Pani wybaczy, ale oni byli jak wrzody na d...

Lempi umilkła i z zakłopotaniem rozejrzała się po kuchni. Anna spojrzała na nią z tłdliwością. Finka miała rację. Trzeba się wziąć za robotę. Prawdziwą. Inaczej wszystko runie. Dzieło Vidara. Jej dzieło. Meble, które oboje kochali. Szuka, którą ona kochała do tej pory. Bo przecież Anna nigdzie się stąd nie wybierała.

Dwa tygodnie minęły jak mgnienie oka. Śledztwo zostało zamknięte i w sprawie Lidii Kuc z domu Bylińskiej ruszył proces. Marcin-barman współpracował z duńską policją w kwestii nielegalnego burdelu w Kopenhadze, a Amalia i więzienni strażnicy z Malmö dostali wezwania do sądu. Anna dostała je również. Postanowiła, że w tej kwestii odizoluje się od emocji. Zatrudni dla Lidki dobrego prawnika. Złoży zeznania, powie prawdę, zrelacjonuje wszystko, co trzeba i wróci do swojego życia. Do Ystad, do lasów, wydm i mebli. I jako się z tym wszystkim upora. Pewnego dnia. Musiała dać sobie czas i przestrzeń.

O potrzebie przestrzeni i czasu Anna powiedziała także Ingvarowi. Pewnego dnia poprosiła,

by znowu spotkali się w Ales Stenar. Mokra ziemia i chłodne powietrze nie sprzyjały biwakowaniu, posiedzieli więc do wieczora wśród pradawnych kamieni i wrócili do domu. Do domu Ingvara, na Mariagatan. Tym razem wszystko wydawało się inne. Anna chłonęła go całą sobą. Wyłączyła myślenie. Chciała tylko czuć. I zapamiętać to wszystko jak najlepiej, by móc karmić się przeżywanymi tutaj, z nim, emocjami jeszcze przez długi czas. Nigdy wcześniej Anna i Ingvar nie byli ze sobą tak blisko. Nie mogli się od siebie oderwać nawet na moment. W oczach Ingvara Anna widziała absolutne oddanie, ale i głęboki smutek. Wtedy, tamtej nocy na Mariagatan, pokochała go jeszcze mocniej. I wiedziała, że to, czego sama doświadczała, nie było jednostronne.

— Odejdiesz z policji, prawda? — zapytał, kiedy leżeli przytuleni do siebie.

Anna skinęła głową. Tej decyzji nic już nie było w stanie zmienić.

— A... Ode mnie?

— Nie chciałabym tego — odrzekła powoli. — Ale pamiętasz, co mówiłam. Potrzebuję pobyć trochę...

— Sama ze sobą. Wiem. W porządku.

Ingvar już się więcej nie odezwał. Dał jej przestrzeń i czas. Nie od razu. Z początku dzwonił jeszcze po kilkanaście razy dziennie, przynajmniej na minutę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Z każdym dniem było jednak coraz lepiej. Coraz... ciszej. Anna została sama ze sobą. Z lasem, wydmami i meblami. Dokładnie tak, jak tego chciała. Trawiła przeszłość, smakowała teraźniejszość i myślała o przyszłości. Swojej, ale także tych, z którymi czuła się silnie związana. I wiedziała, że wciąż ma jeszcze coś do załatwienia. Jedną rzecz. Jeden gest. Postanowiła dłużej już z tym nie zwlekać.

Rozdział 61

Malmö tonęło w strugach deszczu. Teaterparken i Magistratparken nie wyglądały już tak malowniczo i złociście jak wtedy, gdy przechodziła tędy ostatnim razem i marzyła, by choć na chwilę się zatrzymać, wyciszyć, usiąść na ławce, zapatrzeć w dywan barwnych liści i zwyczajnie celebrować upływające minuty. Teraz też była tutaj zupełnie sama. Deszcz skutecznie przegonił amatorów spacerów, a nieliczni przechodnie przemylkali gdzieś w tle, skryci pod baldachimem parasoli. Jego również nie mogła się tutaj spodziewać. Nie tym razem. Lajon został przecież w Helu. Nie wyskoczy nagle zza krzaków. Nie oświadczy, z tym swoim krzywym uśmiechem, że tak sobie chodzi w pobliżu, bo ona — Anna — zapowiedziała, że właśnie tutaj będzie się kręcić. Wtedy wydał jej się upierdliwy i namolny. Ale jednocześnie... Cieszyła się z tego, że był blisko i mogła na niego liczyć. Nie czuła się taka samotna i osobna. I zupełnie nie

spodziewała się tego dziwnego, nagłego przywiązania.

Brakowało jej Lajona. I świetnie wiedziała, czego wtedy, przed wejściem na prom, nie potrafił powiedzieć. Czego nie potrafił i nie powinien mówić. Przynajmniej na razie. Być może nigdy.

Anna przystanęła, odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na gmach opery. Taka Annika Norling... Camilla Stenberg... Miłe dziewczyny. Otwarte. Zdolne do tego, by się z kimś zwyczajnie zaprzyjaźnić. Nawet z nią. Anna uśmiechnęła się na wspomnienie swojej niedawnej wizyty w operze. Kiedy już podziękowała im za pomoc w śledztwie, spędziły całkiem miłą godzinkę na plotkach, popijaniu kawki i chrupaniu ciasteczek, które — jak się zdawało — upieczone zostały bez cukru i bez... mąki. Bardzo w stylu Ingvara.

Ingvar dzwonił tego dnia zaledwie trzy razy, a to stanowiło spory sukces i oznaczało, że coraz bardziej oswajał się z prośbą Anny, dotyczącą potrzeby przestrzeni. Za nim również tęskniła. Był to jednak inny rodzaj tęsknoty. Przejawiał się w każdym nerwie, każdej pojedynczej myśli. A jednak musiała wytrwać. Zdefiniować siebie na nowo, o ile to było w ogóle możliwe.

Podjęła przerwany spacer i wkrótce dotarła do kamienicy, w której apartament wynajmowała Amalia Stiatesi. W bramie zwołniła. Wchodziła po schodach majestatycznie, sunąc dłonią po gładkiej, lakierowanej poręczy. Z obawą zapukała do drzwi. Po chwili usłyszała kroki. Amalia, ubrana w dżinsy i czarną koszulę, z włosami ściągniętymi w koński ogon, z zaczerwionymi oczami, blada i wymęczona, wyglądała jak prawdziwa wdowa. Stała na progu i spojrzała na przybyłą z zaskoczeniem, po czym gestem zaprosiła ją do środka. Anna nie weszła do salonu. Zatrzymała się w przedpokoju i wyciągnęła z torby złożoną na pół kartkę.

— Przyszedłem podziękować za Wenecję — odezwała się. Głos odrobinę jej drżał. Tego dnia z wyjątkowym trudem panowała nad emocjami. — Tak naprawdę to ty rozwiązałaś tę sprawę. Mogłaś mówić wprost, zamiast... Cytować klasyków.

Amalia uśmiechnęła się. Wokół jej oczu zarysowały się drobne zmarszczki.

— Mówiłam ci już. To były tylko domysły. I bałam się.

— Bałaś się — podchwyciła Anna. — Jego? Brunona? Podejrzywał cię o to, że coś wiedziałaś. Nie miał tylko pojęcia, skąd — przytoczyła słowa Lidki. Musiała o to zapytać. O ostatni brakujący element układanki. Źródło strachu Amalii przed tamtym człowiekiem, który teraz nie żył.

— Tak Rzeczywiście musiał mnie podejrzewać. Byłam dla niego niemila. Zadawałam dwuznaczne pytania o cel jego przyjazdów do Malmö, ale w naszą rozmowę zawsze jakoś zdołała się wtrącić Sofia. Nigdy nie zostawałam z Brunonem sam na sam. A pewnego razu coś zobaczyłam. Widziałam, jak Bruno przekazał Sofii paczuszkę. Szybko się później ulotnił. Moja siostra odprowadziła go do drzwi. Wróciła dosłownie po trzech minutach, ale mnie tyle wystarczyło. Zobaczyłam biały proszek

— Arsenik!

— Ja wtedy nie miałam pojęcia, że to arsenik. Wzięłam trochę na palec i chciałam spróbować. Jak w filmach. Ale przyszła Sofia i zaczęła się wydzierać, że przecież miało mnie nie

być w domu. Że spotkanie jakieś zaplanowała... I mam przestać grzebać w jej rzeczach, powinnam wreszcie zorganizować sobie własne życie i się „odpieprzyć”. Sofia była wtedy wobec mnie taka sama, jak zwykle. Nie zapytałam o to więcej. Uznałam, że...

— To narkotyki. Oczywiście!

— Ale później, kiedy zginął ten cały Narcyz, a zaraz po nim Sofia, i wszyscy zaczęli mówić o arseniku, zaczęłam mieć pewne podejrzenia. Myślę, że moja siostra nigdy Brunonowi nie powiedziała o tamtym zdarzeniu. O tym, że ich nakryłam. Pewnie też się bała.

— Jego?

— Albo samej siebie.

Anna wpatrzyła się w podłogę.

— Co teraz? — zapytała cicho.

— Wszystko mi jedno.

— A nie powinno. Masz przed sobą całe życie. Mnóstwo perspekty w i... całkiem sporo forsy. A to wiele ułatwia. Możesz zacząć od nowa, ale tym razem już nie usuwaj się w cień. Okay?

— Nie potrafię być na świeczniku.

— To się naucz. I jeszcze jedno. Powinnam cię przeprosić. Za to, że podejrzewałam cię o nieudzielenie pomocy Sofii ze skutkiem śmiertelnym.

— Nie potrafiłam ci powiedzieć, kogo naprawdę powinnaś podejrzewać. Przykro mi. Trochę ją nawet rozumiem. Twoją siostrę. Ja też działałam irracjonalnie, bo się bałam. A on... Był przecież tak blisko niej.

— Tak.. — Anna urwała. Głos na moment odmówił jej posłuszeństwa. Przymknęła oczy i z całych sił przywołała się do porządku. — Czasem wydajecie mi się dziwnie podobne.

— Jasne... — Amalia skrzywiła się. — Ale ciebie do Sofii chyba nie powinnam porównywać.

Milczały przez chwilę obie. Anna przypominała sobie ten wieczór, kiedy wspólnie piły tutaj wódkę i paliły papierosy. Jak dwie studentki w obliczu egzystencjalnego problemu... Wyciągnęła przed siebie dłoń, w której trzymała kartkę.

— Proszę. Jeszcze raz ci dziękuję. I przepraszam. Pójdę już.

— Co to jest? — Amalia wzięła od Anny kartkę i rozłożyła ją. Pobladała. — To jest... To adres... Tam jest...

— Cmentarz. Jeśli chciałabyś się z nim pożegnać, to... A zresztą. Przecież wiesz.

Anna skierowała się do wyjścia. Tym razem nie schodziła po schodach wolno i majestatycznie. Zbiegła na dół i pędziła przed siebie, póki nie dotarła do samochodu.

EPILOG

Ystad, grudzień

Lempi śpiewała. Anna słyszała ją wyraźnie, mimo iż zupełnie nie rozumiała słów. Głos Finki brzmiał bardzo przyjemnie, był niski, lekko zachrypnięty i silny. Sprawił, że Anna poczuła się bezpieczna i spokojna. Zmarszczyła brwi. Tak, teraz skojarzyła melodię. Nawet słowa. Lempi śpiewała kolędę. Do świąt został zaledwie tydzień. Należałoby się postarać o jakąś choinkę albo chociaż stroik Łańcuchy, lampki, bombki... W tym domu zawsze przecież w święta stała choinka. Vidar przywoził drzewko już w połowie grudnia i przykładął wielką wagę do ozdób, mimo iż w sensie wyznaniowym Boże Narodzenie nie było dla niego ważne. Tak, choinka... I piernik I... goście. Jeszcze nie było za późno, by zaprosić ojca i Dagmar. Lempi, Ingvar, kilka osób z komendy, może ktoś jeszcze? A później pracowity styczeń, kilka dużych zleceń i... urlop?

Nagle pomyśl o wyjeździe gdzieś w ciepłe kraje, który chodził jej po głowie już od kilku dni, przeistoczył się w silne pragnienie, w organiczną wręcz potrzebę. Wstała z łóżka, wypadła z sypialni i w samej piżamie, na boso, zbiegła do kuchni. Lempi rzuciła jej uważne spojrzenie, po czym nieśmiało wruszyła ramionami, jak gdyby chciała za coś przeprosić. Anna zrozumiała ten gest dopiero wtedy, kiedy zobaczyła zarzucony wiktuałami blat kuchenny. Złapała się za głowę i z jękiem opadła na krzesło.

— Lempi!!! Kto to zje? Mogłybyśmy wydawać posiłki bezdomnym, ale obawiam się, że żadnemu z nich nie będzie się chciało tutaj fatygować... Oszalałaś?! Czy to twoja reakcja na stres?

— No, pomyślałam sobie, że skoro spodziewamy się gościa, to... Znaczący...

— A spodziewamy się gościa? Teraz? Czy dopiero na święta? — zainteresowała się Anna. Wstała i przestąpiła z nogi na nogę. W samej piżamie zaczynało jej już być zimno. — Okay,

wypiłam wczoraj wieczorem kilka drinków, ale nie pamiętam, żeby ktoś się zapowiedział. Zapowiedział się? Dlaczego go nie spławiłam? Ale co ja gadam! Przecież nie wypięłam aż tyle! No, Lempi... Lepiej gadaj, co nawywiłajaś! Zaprosiłaś swoją teściową?

Lempi impulsywnie postukała się w czoło i od razu splonęła rumieńcem. Chciała wyartykułować szybkie przeprosiny, ale Anna tylko machnęła ręką. Finka spłotła dłonie i wbiła wzrok w podłogę.

— Dzwonił ten pan Leon z Polski. Ledwie się z nim dogadałam po angielsku, on coś próbował po szwedzku, a później udało się po rusku. Powiedział nawet, że nie jestem taka niewykształcona, jak mówiłam, chociaż to akurat nieprawda, bo ze wsi okropnej pochodzę i na szkole średniej edukację skończyłam, tyle że ten ruski znam dzięki matce i gotować się nauczyłam...

— Lempi, litości, do rzeczy — przerwała niecierpliwie Anna i poczuła dziwne ukłucie niepokoju. Co to za biznes mógł się zawiązać między Lempi i Lajonem?

— No tak, to dzwonił ten pan Leon, że jedzie dokądś i po drodze wpadnie tutaj panią odwiedzić. Kazał nic nie mówić, że niby niespodzianka... No to nie powiedziałam. Żle zrobiłam? — zafrasowała się nagle i zbladła.

Na widok jej miny Anna przełknęła cisnące się na usta przekleństwa i uśmiechnęła się sztucznie. Pokręciła głową na wzór nakręcanej lalki i już miała zamiar zapytać, w jakich godzinach spodziewają się rzeczowego „gościa”, kiedy usłyszała warkot auta na podjeździe. Tym razem zakłęła na głos. Spojrzała na swoją rozciągniętą piżamę, bose stopy, fioletowe z zimna i potargane czarne włosy, spływające na ramiona.

— Świetnie — mruknęła pod nosem.

To samo powiedział Lajon, kiedy drzwi stanęły przed nim otworem i Anna zjawiała się w progu.

— Świetnie! Czyli nic nie wiedziałaś! O to chodziło. Inaczej zaraz byś jęczała, że nie chcesz gości i nie masz teraz nastroju. A ja kiepsko znoszę odmowę...

Lajon wtoczył się do środka i od razu skierował się do kuchni, zwabiony kuszącym zapachem przygotowywanego przez Lempi jedzenia. Po chwili wszyscy troje siedzieli przy stole, pogrążeni w dość krępującym milczeniu. Lajon jadł, Lempi obracała w dłoniach filiżankę z herbatą, a Anna po raz piętnasty mieszała swoją kawę. Nadal miała na sobie piżamę, ale nagle przestało jej zależeć na dobrym wizerunku. Nie czuła już nawet zimna i dawała się stopniowo pochłonać lekkiemu odrętwieniu. Lajon skończył jeść i chrząknął.

— Przepraszam, Anka, chyba naprawdę nie powinienem cię nachodzić. Po prostu rzadko się odzywałaś od powrotu do Ystad, nie zawsze oddzwaniałaś, sporadycznie odpisywałaś na maile... Musiałem się upewnić, że wszystko z tobą w porządku.

— I upewniłeś się? — spytała odrobinę złośliwie, po czym, niespodziewanie dla samej siebie, ziewnęła przeciągle.

— Nie wiem...

Zapadła cisza. Lempi uniosła się z krzesła i mruknęła, że lepiej zostawi ich samych. Anna

chwyciła ją za rękę i usadziła z powrotem przy stole.

— Właściwie, Lempi, chciałam z tobą porozmawiać... O twojej przeszłości.

— Nie chce mnie pani tu zatrzymać? Nie potrzebuje pani kucharki? To jasne. — Lempi spuściła głowę.

— Coś w tym stylu. Chciałabym, żebyś gotowała dla chłopaków z warsztatu. Tego w Ystad. Tak sobie myślę, że wprowadzę dla nich coś w stylu obiadu. Nie mają pakietu sportowego, warunki pracy szkodliwe, hałas, pyłki... Niech chociaż dostają jedzenie. Już raz sobie świetnie dałaś z tym radę. Ja sama nie potrzebuję gosposi, ale gdybyś raz w tygodniu zechciała mi posprzątać, byłoby miło. Warunki finansowe omówimy później... No i... Jestem zadowolona z tego, jak ogarnęłaś interesantów pod moją nieobecność. Chciałabym, żebyś poszła na studia albo przynajmniej na kurs. A później może mi pomożesz trochę w firmie? Co ty na to?

— Ale, ale... O Boże! Pani serio?! Matko Święta!!! Tak, oczywiście, wspaniale! Dziękuję! A kiedy... No bo jest jeszcze jedna sprawa! Kiedy mam się stąd wyprowadzić?

— Na razie możesz sobie tu mieszkać. To duży dom. Zmieścimy się we dwie. A teraz... Co powiesz na krótkie wakacje? Gdzieś w ciepłych krajach? Mniej więcej w lutym? Założę się, że nigdy w życiu nie byłaś na prawdziwych wakacjach...

— No nie, zawsze gdzie stałam na zmywaku albo przy garach, ale...

— Czyli załatwione! Potraktuj to jako rekompensatę za niedawny stres. Jeszcze dzisiaj poszukam oferty, uporządkuję sprawy w warsztatach, zrobimy sobie święta, przetrwamy styczeń i możemy jechać! A teraz idę się ubrać. Pogadajcie sobie...

Anna podniosła się z krzesła. Zignorowała zdumione spojrzenia Lempi i Lajona i ruszyła w kierunku schodów.

— Anka, czekaj!

Odwróciła się w progu. Lajon uśmiechnął się szeroko.

— Jadę na Tahiti robić zdjęcia. Może... Dołączycie do mnie?

Anna oparła się o framugę i przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie wyprostowała się, odrzuciła na plecy rozczochrane włosy i dumnie uniosła głowę.

— Muszę... się... ubrać...!!!

Nie zdążyła jednak wspiąć się na pierwszy schodek, kiedy usłyszała z kolei głos Lempi. Zakłęła pod nosem i odwróciła się bardzo powoli.

— Tak? O co chodzi? Mogę chociaż iść po sweter? Jesteście w jakiejś cholernej znowie? Chcecie mnie zamrozić?

Lempi wruszyła ramionami, zmierzyła Lajona od stóp do głów i na wszelki wypadek lekko się od niego odsunęła.

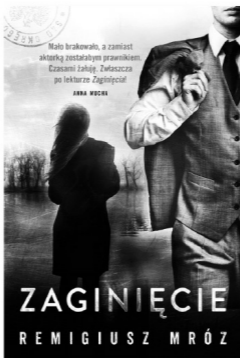
— Nie, nie! Żadna znowa! Tylko wie pani, tak sobie pomyślałam... Że na wakacje powinna pani pojechać sama. Ja zostanę i wszystkiego tutaj popilnuję. Tym bardziej teraz, skoro dostałam, można powiedzieć, awans. Chłopcy z warsztatu nie mogą przecież chodzić głodni! Zwłaszcza ten od oberżyny... chujowej... jak głodny jest, to się strasznie wścieka! A co do samego urlopu... Tak sobie myślę, że może by pani pojechała do Wenecji? Przecież pani chciała tam wrócić.

A w lutym, z tego co słyszałam, tam jest karnawał. I ludzie chodzą w maskach. I jest wesoło. Chyba.

W korytarzu zapadła cisza. Anna spojrzała najpierw na Lempi, później na Lajona. Ten ostatni posmutniał na chwilę, zaraz jednak pokiwał głową i uśmiechnął się krzywo, jak to miał w zwyczaju.

— Tak, Anka! — odezwał się. — Jedź do Wenecji!

Koniec



Kolejna sprawa bohaterów *Kasacji*

Trzyletnia dziewczynka znika bez śladu z domku letniskowego bogatych rodziców. Alarm przez całą noc był włączony, a okna i drzwi zamknięte. Śledczy nie odnajdują żadnych poszlak świadczących o porwaniu i podejrzewają, że dziecko nie żyje.

Doświadczona prawniczka, Joanna Chyłka, i jej początkujący podopieczny, Kordian Oryński, podejmują się obrony małżeństwa, któremu prokuratura stawia zarzut zabójstwa. Proces ma charakter poszlakowy, mimo to wszystko zdaje się wskazywać na winę rodziców – wszak gdy wyeliminuje się to, co niemożliwe, cokolwiek pozostanie, musi być prawdą...



W dzielnicy czerwonych latarni ginie mężczyzna. Zabójca jest bezlitosny. Pozbawia swoją ofiarę serca, które parę godzin później zostaje dostarczone rodzinie przez kuriera. Następne dni przynoszą kolejne ofiary. Giną zawsze mężczyźni.

Helen Grace myślała, że po swoim ostatnim śledztwie przeżyła już wszystko, co najgorsze. Nie sądziła, że wkrótce znów będzie musiała stawić czoło seryjnemu mordercy oraz własnym traumom i lękom...

„Cykl o Helen Grace to przykład powieści, które wtłaczają w żyły czytelnika tyle adrenaliny, serwują taką ilość bodźców, że aż trudno złapać oddech. Krótkie zdania, krótkie rozdziały, cios za ciosem, tylko podkręcają fabularne tempo. Arlidge to pisarz, który świetnie łączy kryminalne 'wow!' z dobrym warszatem. I drugi tom jest tego najlepszym dowodem.”

Monika Długa, *God save the book*

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

CZEŚĆ II

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

CZEŚĆ III

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

CZEŚĆ IV

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

CZEŚĆ V

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

EPILOG

Reklamy